

CZARNA SERIA

KRYMINAŁ

OSTATNIA PARA UCIEKA

ZARAZ KOŃCZY SIĘ GRA,
KOMU UDA SIĘ OCALIĆ ŻYCIĘ....



arne
dahl

OSTATNIA
PARA UCIEKA

**arne
dahl**

przełożyli
Anna Krochmal
i Robert Kędzierski

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Tytuł oryginału:
SISTA PARET UT

Redakcja:
Agnieszka Niegowska

Projekt okładki:
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce:
© ostill / Shutterstock
© bibiphoto / Shutterstock
© Ms Jane Campbell / Shutterstock
© biosdi / Shutterstock

Korekta:
Maciej Korbaśiński

Redaktor prowadzący
Małgorzata Głodowska

Copyright © Arne Dahl 2014
Published by agreement with Salomonsson Agency
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wydanie I

ISBN: 978-83-8015-002-7

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
www.czarnaowca.pl 691962519

JEDNOSTKA OPCOP, EUROPOL

Centrala - Haga, Holandia:

PAUL HJELM: szef operacyjny grupy Opcop działającej w strukturach Europolu, który jest świeżo po ślubie i chwilowo potrzebuje pomocy psychologicznej.

JUTTA BEYER: wciąż jeżdżąca na rowerze policjantka z Berlina, posiadająca wyczulony zmysł do szczegółów, takich jak na przykład prędkość lotu muchy.

CORINE BOUHADDI: dawniej policjantka z jednostki antynarkotykowej w Marsylii; teraz ma nowego partnera, co być może skłoni ją do zakwestionowania swojej dawnej dewizy „samotność to siła”.

MAREK KOWALEWSKI: polski gliniarz od papierkowej roboty, który przy rozwiązywaniu spraw grupy Opcop często obrywa, ale nowej partnerce udaje się tchnąć w niego nowe życie.

MIRIAM HERSHEY: brytyjska policjantka, która zaczyna powoli przepracowywać swoją przeszłość agentki MI- 5 i na nowo odnajdywać sens życia.

LAIMA BALODIS: litewska policjantka, która dawniej infiltrowała mafię, a teraz ma już dość wykonywania brudnej roboty dla podejrzaných szefów.

ANGELOS SIFAKIS: łagodny zastępca szefa jednostki, który znów wpada w tarapaty w dawnych greckich koloniach na południu Włoch.

FELIPE NAYARRO: madrycki policjant od zwalczania przestępczości gospodarczej, który przeszedł długą drogę, by

porzucić krawat, i obecnie jest na chorobowym w swoim rodzinnym mieście.

ADRIAN MARINESCU: specjalista od nasłuchu i monitorowania z Bukaresztu, który dostaje nowego, zaskakującego parmera i musi udać się na wyspę, gdzie kupić można piwo Pietra.

ARTO SöderSTEDT: Finoszwed z policj i kryminalnej , z którym nigdy nie wiadomo, na czym się stoi, i który czasem twierdzi, że jest archaniołem we własnej osobie.

Lokalne biuro - Sztokholm, Szwecja:

KERSTIN HOLM: szefowa krajowego biura jednostki Opcop w Sztokholmie, która jest świeżo po ślubie i nagle uzyskuje dostęp do utajnionej działalności policji.

SARA SYENHAGEN: spędza połowę czasu w Sztokholmie, a drugą połowę w Hadze, ale w tej chwili jest uwięziona w Szwecji z powodu działań męża.

JORGE CHAVEZ: tkwi w Europie, głównie na południu, i częściej, niżby miał na to ochotę, zmuszony jest do skrajnych rozwiązań.

Na obrzeżach:

SALVATORE ESPOSITO: członek krajowego biura grupy Opcop w Rzymie, który nagle popada w tarapaty razem z Jorgem Chavezem i Anglosem Sifakisem,

NICHOLAS DURAND: dawniej groźny przestępca i narkoman, twardziel będący życiowym partnerem Miriam Hershey, który niespodziewanie staje się jednym z ludzi Europolu.

JON ANDERSON: były członek Drużyny A, obecnie odpowiada za udział szwedzkiej policji w utajnionej działalności.

RUTH: jedna z najwybitniejszych policyjnych psychiatrów w Europie, która nagle zdaje sobie sprawę, z jakimi konsekwencjami może się wiązać taka pozycja.

1

PIERWSZA PARA UCIEKA

Drapieżnik

I

Archipelag Tuamotu, 2 maja

NA SŁOŃCU pojawiła się plamka. Od tego wszystko się zaczęło.

Wtedy zaczął się czas. W tamtej chwili.

Nie było go od dawna. Nie tak naprawdę. W tym miejscu czas już nie istniał. Być może mogłaby policzyć zmarszczki w kącikach oczu, gdyby miała lustro, które się nie porusza. Ale ocean nigdy nie był całkowicie nieruchomy, a jedyną rzeczą zakazaną na wyspie były lustra.

Choć właściwie nie były zakazane. Raczej niepożądane. A to, co niepożądane, odchodziło. Choć tyle mogła dla niego zrobić. Była mu to winna.

W takim miejscu łatwo było działać sobie na nerwy. I kiedyś często tak było, ale już nie. Nie od czasu, gdy zostali zupełnie sami. Teraz naprawdę stali się nawzajem swoim życiem.

Odkąd zaczęły działać urządzenia do odsalania wody morskiej, byli też samowystarczalni. Teiki coraz rzadziej przyplýwał swoim katamaranem i nie przywoził już towarów niezbędnych do przetrwania. Na początku na wyspie mnóstwo się działo, powstawały najróżniejsze budynki i Teiki dostarczał panele słoneczne, elektronikę, kable, materiały rzeźbiarskie, narzędzia,

sprzęt do nurkowania, całe wiadra kremu z filtrem, sprzęt wędkarski - i mięso.

Tak bardzo tęskniła za mięsem. Dość szybko zorganizowali małą kurzą fermę, ale wołowina, wieprzowina i cielęcina pozostały towarami deficytowymi, ponieważ dziewięćdziesiąt pięć procent jedzenia stanowiły ryby.

Mięso było w sumie jedyną rzeczą, którą Teiki wciąż dostarczał. Mięso i wino. Dostatek jak w krajach rozwiniętych. W tej chwili przypluwał mniej więcej co dwa tygodnie, może jeszcze rzadziej - nie była pewna, bo przecież nie i śmiał czas. Mięso wytrzymało kilka tygodni w małej zamrażarce; wciąż ją dziwiło, jak gorąco przekształca się w zimno. Czy jak nazwać to, co się działo, gdy panele słoneczne zasilaty zamrażarkę.

Panele słoneczne były dobrze ukryte w czymś w rodzaju siatki maskującej rozpiętej między palmami kokosowymi a ogródkiem. Niewiele roślin mogło żyć w nieurodzajnej piaszczystej ziemi, ale te, którym udawało się zapuścić korzenie, rosły większe i kielkowały przez cały rok. Był tu banan, pomarańcza, jams, taro, chlebowiec, i udało jej się nawet wyhodować pomidora. Włoski pomidor śliwkowy. Bardzo troskliwie się nim zajmowała. Był dla niej dzieckiem, dzieckiem, którego nigdy nie będzie miała. *Pomodoro*.

Poza tym jadło się ryby. Ryby, ryby, ryby. Ryby, których nazw nie znała w żadnym ze swoich języków. Ryby we wszystkich barwach tęczy. I te, które wyglądały, jakby wyciągnięto je z jakiegoś koszmaru.

Teraz, gdy spojrzała na łódź rybacką - prymitywną, a jednak solidną, funkcjonalną, choć wyglądała, jakby sklecono ją domowym sposobem - pomyślała, że dziś jest *mięsny dzień*. Na kolację będzie mięso. Chyba zostało go dość w zamrażarce?

Ile czasu minęło, odkąd był tutaj Teiki? Porządne wino dawno się skończyło, jedynym napojem alkoholowym, jaki jeszcze mieli, było to obrzydliwe wino, które uparcie pędził z palmowego soku. Nie, potrzebowała prawdziwego wina. Europejskiego. Najlepiej włoskiego. *Barolo*. I mięsa. Cielęciny. *Vitello*.

Teiki, gdzie jesteś?

Wino było dostarczane w kartonach, mięso w plastikowych opakowaniach, no i były jeszcze wiadra. Wiadra z przynętą. Kiedyś widziała, jak otworzył jedno z nich. Wieczne łowienie ryb wymagało oczywiście mnóstwa przynęty, ale czy musiała aż pływać we krwi? W tych białych wiadrach zawsze chlupało, ponure chlupanie, i gdy zobaczyła, jak otwiera jedno z nich, zawartość wyglądała jak utopione we krwi wnętrzności jakichś ssaków.

Bardziej przypominało to przynętę na duże drapieżni Id niż na ryby. Najwyraźniej jednak się sprawdzało, bo za każdym razem, gdy wypływał w prymitywnej łodzi rybackiej, wracał z rybami. Z całym mnóstwem ryb. Twierdził stanowczo, że potrafi odróżnić jadalne gatunki od niejadalnych, smaczne od trujących, ale zawsze kiedy siedziała na plaży i filetowała nieznane ryby, myślała o rozdymkach, o fugu, o neurotoksynie tysiąc razy silniejszej niż cyjanek, o tetrodotoksynie.

Ich mięso zawsze jednak było delikatne i gdy czasem przywoził jakiegoś tuńczyka, zdawała sobie sprawę, że ta paskudna przynęta pełni ważną funkcję. Choć nie potrafiła zrozumieć, jak udaje mu się unikać rekinów.

Bo to były wody, w których żyły rekiny. Każdego ranka wyruszał w niestabilnej łodzi z palmowego drewna, balansując wiadrem pełnym krwi i wnętrzności, i nigdy nie zaatakowały go rekiny. To, co kiedyś było zagadką, teraz stało się codziennością. Codziennością, która stała w miejscu. Codziennością bez czasu.

Życiem bez czasu.

Aż do teraz.

Siedziała nad brzegiem oceanu w leżaku z drewna wyrzuconego na brzeg i moczyła stopy w wodzie. Miała na sobie bikini, była solidnie nasmarowana kremem i spoglądała w odwieczną tarczę słońca. Na niebie nie było ani jednej chmurki. To był raj. Ale na słońcu była plamka.

Od tego się wszystko zaczęło.

Przyglądała się tej dziwnej plamce i myślała o zaćmieniach słońca. Chyba istnieją różne rodzaje zaćmień? Równi eż małe?

Pl ama na słońcu?

Nagle stanął tuż za nią. Od tak dawna nie słyszała tego opanowanego, lecz dobimego tonu w jego głosie, więc natychmiast nadstawiła uszu, gdy powiedział:

- *Drapieżnik*. Już.

Szybko obejrzała się przez ramię. Przez tę sekundę, zanim dotarł do niej kod, widziała go, jak stał nieruchomo i wpatrywał się w słońce. W chwili gdy zobaczyła jego krzywy uśmiech i kiwnięcie głową na potwierdzenie, rzuciła się do turkusowej wody.

Drapieżnik, pomyślała, płynąc w dół, tam, gdzie było głębiej. Wciąż nie wiedziała, co to oznacza.

Przed nią rozpostarł się widok na rafę koralową, niebieskozielone uniwersum dziwnych palczastych struktur, przecinane od czasu do czasu kolorowymi ławicami ryb, których skokowy wzorzec ruchów podlegał własnym prawom fizyki.

Dobrze się orientowała tu, na dole. Tak jej się przynajmniej wydawało. W chaosie, jaki tworzyły kolorowe ławice ryb, przemieszczała się wzdłuż krawędzi wapiennych formacji. Powinna tutaj być. Grota. Naprawdę powinna tu być. Zaczynało jej się kończyć powietrze.

Nie, to nie tak. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że to musi być głębiej. Rozejrzała się. Wiedziała, że tlenu starczy na dłużej, niż jej się wydaje, to była głównie kwestia psychicznego nastawienia. Zapanowała nad sobą. Uspokoila się najlepiej, jak potrafiła. Spłoszyła machnięciem ręki ławicę wesołych niebiesko- żółtych rybek i popłynęła w dół.

W końcu rozpoznała łukowatą strukturę z koralowca. To powinno być kilka metrów na lewo od niej. Minęła wielki koralowiec i kawałek dalej dostrzegła mroczny otwór grotu. Ryło to takie miejsce, jakiego podczas zwykłego nurkowania unikałaby jak zarazy. Ale to nie było zwykłe nurkowanie.

Gdy wpłynęła do grotu, prawie kończył jej się tlen. Słabe

światło padało na dwie butle z tlenem przymocowane metalową taśmą do koralowca. Dwie maski do nurkowania kotływały się ospale na węzłach niczym poczerńiałe ukwiały.

Gorączkowo naciągnęła maskę na twarz, uniosła jej dolną część ze wzrokiem utkwionym w sklepieniu grotu i nosem wypchnęła powietrze do maski. Opróżnianie maski, pomyślała. Potem docisnęła ją do właściwej pozycji, przekręciła zawór powietrza i wzięła pierwszy oddech.

Uczucie było boskie, jakby ktoś dosłownie tchnął w nią życie. Chwyła latarkę przymocowaną silnymi magnesami na tylnej stronie butli, odczepiła ją i oświetliła grotę. Powoli udało jej się uspokoić oddech.

Drapieżnik, pomyślała. Kod oznaczający szybką ewakuację, nic poza tym. Co takiego zobaczył?

I wtedy nastąpiły eksplozje, zupełnie niespodziewanie. Cała rafa zadrżała. Dwa razy, tuż po sobie. Przejrzysta turkusowa woda nagle nie była ani przejrzysta, ani turkusowa, wzbity się osady z dna, mącąc ją, i nagle ledwie była w stanie widzieć wejście do grotu, jakieś dwa metry dalej. Ogarnięte klaustrofobią małe rybki wirowały wokół niej jak szalone.

Trwała w miejscu. Próbowała zachować absolutny, chłodny spokój. Odczekała do chwili, gdy promień latarki sięgał dalej niż na pół metra. Osad powoli opadał na dno, zaczęła powracać turkusowa przejrzystość. Znowu było widać otwór grotu. W samej grocie nie było już żadnych rybek, wszystkie znalazły wyjście. I znowu widziała konsolę przy butli. Powietrza starczy jej na co najmniej kilka godzin.

Odczekała jeszcze trochę. Potem odczepiła swoją budę i przymocowała ją. Uwolniła drugą budę ze zwisającą maską i mocno ją chwyciła.

Drapieżnik, pomyślała i wstrząsnął nią lodowaty dreszcz. Lodowata fala niepokoju.

A potem odplynęła stamtąd.

Drapieżnik, pomyślał i spojrział w tarczę słońca. Kod oznaczający szybką ewakuację. Ale nie tylko.

Odwrócił się w stronę oceanu. Wszystkim, co po niej pozostało, było kilka bąbelków powietrza. Powinno się udać.

Ta część powinna pojsc dobrze.

Ale pozostawała jeszcze druga.

Znów spojrział w słońce. Plamka na jego tarczy się powiększyła. Wyostrzył zmysły, zmienił swoją świadomość w ostrze determinacji. Gotowości. Przytomności umysłu. Ale nie tylko. Również odliczał. Liczył sekundy.

Ro to musiało być to. *Drapieżnik*. MQ- I Predator.

Musiało chodzić o ten starszy model. O sprawdzonego *drapieżnika*. Nie o *kosiarza*, MQ- 9 Reaper. Wtedy byłiby już martwi.

W chwili gdy plamka oddzieliła się od tarczy słońca, stało się jasne, że to faktycznie *drapieżnik*. A zatem mieli przynajmniej cień szansy. Był to starszy model drona. Starszy model *Remotely piloted aircraft*, RPA. Uzbrojony w dwa pociski piekielnego ognia. AGM- I14 Hellfire.

Czekał. Plamka nie była już plamką, zaczęła przybierać kształty. Kształty samolotu. Czekał, dopóki się nie upewnił, że pilot na drugim końcu świata go zobaczył. Bezzałogowy samolot lekko drgnął w powietrzu. Wrażenie było takie, jakby wbił w niego wzrok. Wtedy rzucił się do ucieczki.

Poruszał się boso po białym koralowym piasku, ale biegł tak szybko, że rozżarzone ziarna nie miały szansy go poparzyć. Wpadł między dwa opuszczone bungalowy i skierował się w stronę kurnika. Był na otwartej przestrzeni. Widoczny. Obejrzał się przez ramię. Dron wyraźnie się powiększał. Czy nie powiększał się trochę za szybko?

Minął kurnik i urządzenie do odsalania wody, zbliżając się do palm i ogródka z panelami słonecznymi. Ale wtedy skręcił w głąb wyspy i rzucił się ku zaroślom. Gdy się obejrzał, zobaczył, że dron też zmienił kurs. Był już bardzo blisko.

Dotarł do zarośli. Mignęły mu dwie postacie skulone za

wysokimi krzewami pandanu. W chwili gdy zanurkował za krzaki i chwycił sterczący z piasku koniec liny, obrócił się i leżąc na brzuchu, spozjrzał w niebo. Drapieżnik był już bardzo blisko. Dostrajał kierunek. Pociski wciąż były podwieszane wzdłuż kadłuba.

Dwie sekundy, pomyślał. Cyfrowy sygnał z bazy do drona jest opóźniony o dwie sekundy.

Potem szarpnął koniec liny, poderwał z piasku ciężką klapę włazu i wtoczył się do otworu. Kłapa zatrzasnęła się nad jego głową i w ostami ej chwili zdążył unieść ręce do uszu. Natychmiast po tym rozległy się dwa ogłuszające wybuchy, które cisnęły nim do przodu. Trochę słabo oświeconego przez słońce piasku zsypało się jak jasny deszcz przy krawędziach pancernego włazu, nic poza tym.

Przeczolgał się w ciemności do panelu kontrolnego, chwycił joystick i złapał w kadr drona, który właśnie zawrócił kilkaset metrów od wyspy. Ustawił celownik i zignorował kropelkę krwi, która spadła na klawisz „S”. Drapieżnik znów się zbliżał. Usłyszał, jak dron przelatuje tuż nad jego głową, i zobaczył go na niewielkiej wysokości, tuż obok kamery na szczycie najwyższej palmy kokosowej. Gdy dron powrócił, leciał znacznie wolniej, jakby przeprowadzał rozpoznanie. Zatoczył kilka kół nad wyspą.

A potem drapieżnik zniknął. Najwyraźniej zadowolony.

W końcu dron był już tylko plamką na słońcu.

Pozostawił po sobie piekielny ogień.

Cofnął film. Kamera skierowana była na zarośla. Nic się nie poruszało. Za wysokimi krzewami pandanu majaczyło coś, co wyglądało jak dwie skulone postacie. Zmienił kamerę. Na tę na szczycie kurnika. Obejmowała te same zarośla, tyle że od tyłu. W tym ujęciu było wyraźniej widać, że obie postacie to kukły.

Skulone kukły naturalnej wielkości.

W chwili gdy sam wbiegł w kadr od strony ogródka, u góry, w lewej części ekranu pojawił się również dron. Kiedy przyglądał się samemu sobie, jak leży za krzakami i czeka *dwie sekundy*, podczas gdy drapieżnik staje się coraz większy, coś go

uderzyło. Po pierwsze to, że manekiny faktycznie wyglądały przekonująco, a po drugie, że w znacznym stopniu wciąż ma to w sobie. To, że zachował przytomność umysłu, by odczekać te dwie sekundy i zobaczyć, czy kierunek pocisków się zmieni, oznaczało, że ta zdolność pozostała w nim nienaruszona, choć miał nadzieję, że wcale się tak nie okaże. Na tym polegał paradoks. Żeby przetrwać, potrzebował całej przytomności umysłu. Ale żeby naprawdę *przetrwać*, musiał sprawić, żeby zniknęła.

Gdy na ekranie chwycił koniec liny, zatrzymał film. Przełączył się na inny. Przewinął go tak, by data u dołu kadru zmieniła się z przedwczorajszej na wczorajszą. Na wczoraj wcześniej rano. Nie chodziło o to, że zapomniał, czy je napełniał, ale mimo wszystko należało to sprawdzić. Słońce właśnie wspięło się ponad horyzont, gdy pojawił się w kadrze od strony ogródka. W ręce niósł białe wiadro. Obszedł zarośla i zbliżył się do pandanów. Chwycił za szyję lewego ze skulonych manekinów i odkręcił mu głowę. Potem zdjął wieko z białego wiadra i wlał do kukły gęstą czerwoną ciecz. Przykręcił z powrotem głowę, poprawił długowłosą perukę, po czym przeprowadził tę samą procedurę na prawym manekinie, tym z krótkowłosą peruką.

Nie lubił jej okłamywać, ale gdyby się zamartwiała, nikomu nie wyszłoby to na dobre. Sądziła, że rzeźbiarstwo to jego hobby i że te wiadra zawierały przynętę na ryby.

Przełączył się z powrotem na najświeższy film. Wciąż był zatrzymany na chwili, gdy chwycił koniec wystającej z piasku liny. Ponownie go uruchomił. Na ekranie podniósł pancerną kłapę i rzucił się do schronu. Dwa wyraźnie widoczne pociski odpalono *prawie* w ten punkt, gdzie znajdował się dwie sekundy wcześniej. Hellfire.

Oba pociski trafiły w kukłę. Oba precyzyjnie. Dron przeleciał obok kamery i zniknął.

Przewinął film do tyłu i odtworzył tę sekwencję w zwolnionym tempie. Teraz mógł prześledzić tor lotu obu piekielnych ogni

prosto w klatki piersiowe obu manekinów. Kukły zmieniły się w mgiełkę. Z krzewów pandanu koszmarnie bezgłośnie uniosły się dwa czerwone obłoczki i utworzyły dwa czerwone kręgi na białym koralowym piasku. W czerwieni było wyraźnie widać fragmenty wnętrza.

Drapieżnik zatoczył koło na niebie i zawrócił. Sprawdził teren. Stwierdził, że jest tak jak należy. Że dwoje ludzi zostało trafionych przez pociski. Wrócił do bazy po wykonanej misji.

Zamknął oczy i w myślach szybko podsumował sytuację. Mogli do niego dotrzeć w niezauważony sposób jedynie z użyciem drona - i jedynie z tego kierunku. Skrupulami się przygotował na taką możliwość. Fakt, że użyli MQ- I Predator zamiast nowocześniejszego MQ- 9 Reaper, oznaczał, że mimo wszystko mieli ograniczone środki. Czyli to nie było wojsko, a więc istniała możliwość, że *nie monitorowali* wyspy drogą satelitarną. To zaś znaczy, że upłynie trochę czasu, zanim przeprowadzą dokładną analizę nagrania z drona.

W tej chwili film powinien pokazywać, że pobiegł w zarośla, żeby się ukryć i że ona już tam była, na próżno skulona za krzewem pandanu. I że oboje zostali wyeliminowani.

Ale zapewne nie zawsze tak to będzie wyglądać. Im szybciej wyruszą w drogę, tym lepiej.

Rozejrzał się po schronie. Wszystkie potajemne, nocne dostawy Teikiego, Broń. Komputery. Systemy alarmowe. Żadnej z tych rzeczy nie będzie potrzebował. I żadna nic nie zdradzi. W każdym razie nie w stanie, w jakim zostaną znalezione.

Wszystko, czego potrzebował, było gdzie indziej. W chmurze. W cyberprzestrzeni. Jedyńm, co zgarnął do ręki, były płetwy, dwie pary, jedna większa i jedna mniejsza, oraz termoizolacyjny koc ratunkowy. Pochylił się nad klawiaturą i zobaczył, że plama krwi na klawiszu „S” rozlewa się na swoich najbliższych sąsiadów, „W” i „X”. Dotknął uszu. Z obu płynęła krew. Nie był pewny, ile słyszy. Ani czy krew nie zwabi rekinów. Podarł ścierkę i wetknął sobie jej kawałki do uszu, a potem znów pochylił się nad klawiaturą. Przywołał zegar cyfrowy, wprowadził

ustawienie 10:00 i uruchomił odliczanie. Teraz już 09:59...

Potem dokładnie owinął się kocem termicznym, pchnął pancerny właz, zatrzaskał go za sobą i zakradł się na plażę po drugiej stronie, w zatoce. Na pierwszych metrach pod stopami pluskała krzepnąca, spalona krew. Dotarł nad wodę. Założył płetwy. Gdy zanurkował, koc termiczny jeszcze przez jakąś minutę kołysał się na powierzchni, zanim zatonął i zniknął.

Spłynął na dół do wielkiego czerwonego koralowca. Kiedy zobaczył, że czeka tam na niego, poczuł, że się uśmiecha. Podał jej mniejsze płetwy, odebrał z jej rąk butlę, przypiął ją, przeprowadził opróżnianie maski, a potem powietrze z węża przyniosło ulgę jego płonącym płucom. Spojrzeli na siebie zza dwóch masek do nurkowania. Kiwnął głową i wskazał w kierunku przeciwnym do wyspy.

Płynęli długo. Szybko. Aż zerknął na zegarek i ją zatrzymał. Wskazał w górę. Wynurzyli się na powierzchnię.

Leżeli tak i unosili się na wodzie, spoglądając w stronę wyspy. Ich wyspy.

A potem wyspa rozbłysła. Bungalowy, kurnik, ogródek, urządzenie do odsalania, palmy kokosowe.

Jej pomodoro.

Wszystko paliło się dziwnie jasnym płomieniem. Zupełnie bezgłośnie.

Spojrzała na niego i spytała:

- Kto?

Pokręcił głową.

- Nie wiem - odparł.

- Możemy go nazwać X - stwierdziła.

Uśmiechnął się ponuro i zobaczył, że znów zanurkowała.

Pomyślał:

X.

Tak po prostu.

X.

Potem zanurkował za nią.

Byli pierwszą parą, która ucieka.

Gustaw Horn

Sztokholm, 20 lipca

MOŻNA BY POMYŚLEĆ, że obrzeża dwóch największych wysp Sztokholmu - Södermalm i Kungsholmen - posiadają jakieś związki historyczno-lingwistyczne, zwłaszcza że najbardziej wysunięta na zachód część Södermalm od średniowiecza nosi nazwę Horn, czyli Róg. Nazwa nawiązuje najprawdopodobniej do spiczastego zachodniego cypla Södermalm, który po prostu przypomina róg. Gdy w połowie siedemnastego wieku postawiono tu miejską rogatkę, nazwa Hornstull nasunęła się sama. Ale czy od tego Rogu wywodzi się również Hornsberg na Kungsholmen?

W rzeczywistości nic bardziej mylnego. Nazwa ta wywodzi się od *niejakiego* Horna, a dokładniej mówiąc Gustawa Horna, najwybitniejszego wodza szwedzkiej armii w czasach wojny trzydziestoletniej. Równocześnie z powstaniem Hornstull pojawił się też Hornsberg, lecz jako zamek, a ściślej mówiąc rezydencja, siedemnastowieczny miejski odpowiednik posiadłości ziemskiej.

Działo się to w czasach, gdy mała Szwecja ubzduriała sobie, że jest wielkim mocarstwem, a Gustaw Horn nie tylko był bohaterem bitwy pod Breitenfeld, która odwróciła losy wojny trzydziestoletniej na korzyść protestantów, lecz również znalazł się pod Lutzen, gdzie króla Gustawa II Adolfa zastrzelono we mgle. Po śmierci króla Horn został głównodowodzącym, ale kilka lat później podczas bitwy pod Nördlingen trafił do niewoli i przesiedział dziesięć lat w Europie jako jeńiec. Kiedy wrócił do Szwecji, krajem od dziesięciu lat rządził żelazną ręką jego teść, Axel Oxenstierna, lecz gdy Gustaw Horn zajął się wojną z Danią - zwaną „wojną Horna” - następcą tronem uzyskał już

pełnoletność. Następcą tym, co wówczas niespotykane, była kobieta, królowa Krystyna Wazów na, która objęcie tronu chciała uczcić, rozdzielając państwowe ziemie między swoich faworytów. Gustawowi Hornowi dostał się smakowity kąsek, najbardziej wysunięte na zachód ziemie na Kungsholmen. Kazał tam wznieść wspaniałą miejską rezydencję, wzorowaną na Domu Rycerstwa i otoczoną pięknym ogrodem. Posiadłość ta na cześć swojego pana została nazwana Hornsberg.

Problem polegał na tym, że Horn miał mnóstwo posiadłości, a poza tym padł trupem wkrótce po ukończeniu Hornsbergu. Zamek popadł w ruinę, ogród wydzierżawiono. Bywał tam Karol Linneusz i to tam studiował różnorodność gatunków, Bellman napisał o Hornsbergu kilka pieśni, ale rezydencja nigdy nie powróciła do dawnej świetności. Tuż obok zbudowano fabrykę tekstyliów, którą przerobiono na rafinerię cukru, a potem, pod koniec dziewiętnastego wieku, cały ten kram wyburzono, niezupełnie po to, by zyskać trochę przestrzeni i światła, raczej by przygotować miejsce pod Wielkie Browary. Piwo stało się głównym napojem mieszkańców miasta i warzono je w imponujących ilościach. Podczas warzenia piwa powstawały produkty uboczne: witamina B, enzymy. Tak wyglądały początki przemiany Hornsbergu w klaster biotechnologiczny.

Biotechnologia to właściwie jedyne, co pozostało po tym, jak dość podupadły rejon przemysłowy zaczęto modernizować jakieś dziesięć lat temu. Obecnie Hornsberg jest elegancką dzielnicą dla młodej miejskiej klasy średniej, a w centrum znajduje się wiele firm biotechnologicznych.

Jedną z nich jest Bionovia AB. W jej niemal opustoszałej w okresie urlopowym siedzibie, z widokiem na zatokę Ulvsundsjön, w pustej serwerowni siedział pewien młody człowiek. Był tutaj on i dwadzieścia komputerów. Ów młody człowiek, który poza tym nie wyróżniał się niczym szczególnym, nazywał się Gustaf Horn.

Z braku jakiegokolwiek zajęcia czytał w internecie o swoim siedemnastowiecznym imienniku. Na ile udało mu się stwierdzić,

ze słynnym wodzem nie łączyło go żadne pokrewieństwo. Kiedy szukał pracy na lato, był przekonany, że nie będzie mógł opędzić się od dowcipów. Ale najdziwniejsze było to, że nikt nie reagował. Żaden z obecnych kolegów z pracy nie miał zielonego pojęcia o Gustawie Hornie ani o czasach, gdy Szwecja była wielkim mocarstwem. I może tak było lepiej. Przynajmniej uniknął całego tego gadania.

Teraz jednak chętnie pogadałby z kimkolwiek, nawet z szefem działu, który chciał mówić wyłącznie o zbliżającym się urlopie na Ibizie, gdzie zamierzał grać w golfa. Gustaf Horn nie wiedział nawet, że na Ibizie jest jakieś pole golfowe. Dla niego Ibiza była jedynie wyspą z największą liczbą chorób wenerycznych przypadających na jednego mieszkańca. Choć golf i choroby weneryczne być może nie musiały stanowić sprzeczności.

W tej chwili choroby weneryczne w jego świecie nie były za bardzo aktualnym tematem. Miał dwadzieścia dwa lata, wakacje po pierwszym roku studiów informatycznych na uniwersytecie i był dość samotny. Zatrudnienie na lato w dziale informatycznym Bionovii wydawało mu się na początku wymarzoną pracą i w pewnym sensie tak też było. Będzie to bardzo dobrze wyglądać w jego CV. Tyle że było tak bezgranicznie *nudno*. Był zupełnie sam i nie miał absolutnie nic do roboty, prócz „monitorowania transmisji danych”, a instrukcje na temat tego, jak to miało wyglądać, bynajmniej nie były wyczerpujące. Zasadniczo musiał się tego dowiedzieć sam.

Bionovia AB była dość nową firmą biotechnologiczną, która rozrosła się w rekordowym tempie i małe wynajmowane biuro na Kungsholmen zamieniła na własny lśniący budynek na Hornsbergs Strand. Specjalizowali się w analizach współoddziaływania różnych molekuł i układów we wnętrzu komórki, w badaniach mikromolekuł i białek oraz produkowali między innymi osoczopochodne leki białkowe. Tyle wiedział Gustaf Horn, ale za każdym razem, gdy to sobie powtarzał, brzmiało to tak, jakby czytał na głos z kartki.

Właściwie nie wiedział, co to znaczy. Był maniakiem komputerowym i był z tego dumny.

W Sztokholmie była pełnia lata. Próbował się nie gapić na lśniące wody jeziora Melar i na mieszkalne łodzie kołyszące się w marinie Pampas, lecz teraz nawet czytanie o przeszłości Hornsbergu, o jego siedemnastowiecznym imienniku Gustawie Hornie i o wierszach Bellmana zaczynało go potwornie nudzić. Próbował czytać pamiętnik córki Horna - znany jako najważniejsze dzieło siedemnastowiecznego szwedzkiego parniemikarstwa o wspaniałym tytule *Opis nędznego i przebrzydłego czasu mej wędrówki oraz wszelkich mych wielkich nieszczęść i trosk trapiących me serce, a także przeciwności, które spadały na mnie gromadnie od pierwszych chwil mego dzieciństwa oraz tego, jak Bóg zawsze mi dopomagał cierpliwie znosić wszystkie te przeciwieństwa* - ale w końcu Agneta Horn także go znudziła. A w grę komputerową nie mógł niestety pograć, bo to by było widać w logu.

Zapatrzył się w monitor. Przesuwał myszką w górę i w dół zakodowanej listy. Transmisję danych z ostatniego tygodnia już przejrzał i naprawdę nie wydarzyło się za wiele nowego. Był koniec lipca i aktywność w branży biotechnologicznej spadła do minimum. Z braku lepszego zajęcia zaczął przeglądać transmisję danych z ostatniego półrocza. Było to bezdennie nudne. Z radością by to zamienił na chorobę weneryczną. Oczywiście pod warunkiem, że miałby porządną okazję, by się nią zarazić.

Zasadniczo chodziło o listę wpisów. Każdy wpis pokazywał aktywność cybernetyczną między Bionovią a zewnętrznym światem. Szeregi liter i cyfr zdradzały, do jakiego poziomu ochrony prywatności dotarł podłączony do sieci komputer, przy czym sprawdzano go - zarówno w czasie rzeczywistym, jak i później - z różnymi listami potwierdzonych i zidentyfikowanych kodów. Im wyższy poziom ochrony prywatności, tym krótsza i lepiej sprawdzona była lista, aby zaś dotrzeć do samego serca - do tak zwanego poziomu ósmego, gdzie przechowywano

wszystkie najtajniejsze tajemnice handlowe Bionovii - wymagana była całkowicie udokumentowana ścieżka dostępu. Już na poziomie piątym przy najmniejszej rozbieżności włączał się alarm, ale wówczas chodziło najczęściej o proste trojany i wirusy, jednak od czasu do czasu pojedyncze bomby logiczne, a nawet keyloggery przedostawały się na poziom szósty i siódmy. Według szefa działu - miłośnika golfa na Ibizie, którego nazwisko jedynie z trudem był w stanie sobie przypomnieć - najpoważniejszym dotąd atakiem był jakiś nowy rodzaj oprogramowania szpiegowskiego, który pół roku temu weszły na poziom ósmym. Tyle że wtedy uruchomiły się wszystkie alarmy w budynku, a intruza zidentyfikowano jako czternastoletniego rosyjskiego hakera, który teraz siedział w więzieniu dla dzieci w Sterlitamaku w Baszkortostanie.

Gustaf Horn skupił się na poziomie ósmym. Lista była wielokrotnie sprawdzana i załączona do dokumentacji. Zupełnie nic nie świadczyło o tym, by ktoś prócz uprawnionych użytkowników wchodził na poziom ósmy. Gustaf śledził szeregi już wielokrotnie przemaglowanych cyfr i liter, przyglądał się każdemu znakowi i nagle jakby coś w nim zaskoczyło.

Horn poświęcił komputerom całe swoje świadome życie. Zaliczał się do tych młodych mężczyzn - głównie mężczyzn - którzy w dzieciństwie bardzo rzadko wychodzili na dwór. Zamiast uczyć się kodów społecznych, został ekspertem od kodów komputerowych. Potrafił posługiwać się tymi kodami co najmniej równie subtelnie i w wyrafinowany sposób, jak inni ludzie radzili sobie z interakcjami społecznymi. Oczywiście doskonale opanował logikę - a wręcz logikę cyfrową, jedyński i zera, włączony- wyłączony - ale mimo to odkrycie *wzorca* wciąż jawiło mu się jako zagadka.

To jednak, co teraz przed sobą widział, było *wzorcem*. Wątpliwości budził w nim jedynie fakt, że wiedział, jak trudno byłoby to sformułować. Nie chciał dzwonić, miał całą listę powodów, które przemawiały przeciwko takiej rozmowie. Ale teraz chyba nie miał wyjścia. Ten wzorec przekraczał granicę

jego społecznej fobii.

Gustaf Horn otworzył okienko Skype'a i wziął głęboki oddech. A potem zadzwonił.

Gdy w miejscu stylizowanego obrazu pojawił się ruch, Horn dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, co takiego trzyma w ręce szef działu. Był to iron numer cztery.

Nad jasnozielonym, krótko przyciętym trawnikiem świeciło słońce. Szef zdjął ciemne okulary i wpatrywał się, zdumiony, w komórkę.

- Horn? - spytał tonem tak sceptycznym, że w normalnych okolicznościach Horna powaliłoby to na deski, kompletnie go unicestwiając.

W tej sprawie nie było jednak nic normalnego. Nic a nic. Gustaf Horn ze zdumiewającą lekkością powiedział:

- Panie Jagerskiöld, możemy spokojnie porozmawiać?

Ciemno opalony mężczyzna mrugnął kilka razy, potem gdzieś poza kadrem padło kilka słów po angielsku, po czym obraz zaczął się gwałtownie kołysać. W końcu znalazł się w cieniu, zapewne pod palmami.

- Byłoby dla ciebie dobrze, żeby to było coś ważnego, Horn - syknął spalony słońcem Jagerskiöld.

- Jestem całkowicie pewny, że w ciągu ostatniego półrocza miały miejsce trzy udane ataki na Bionowę - powiedział Gustaf Horn.

Jagerskiöld zapewne usiadł, bo perspektywa obniżyła się o pół metra.

- Poziom? - spytał, choć nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Nie dzwoniłbym, gdyby nie chodziło o poziom ósmy.

- mówisz, że jesteś „całkowicie pewien”? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Całkowicie.

Jagerskiöld odwrócił telefon i przez pięć sekund Horn widział tylko korzenie palm splątane ze sobą jak kłębowisko węży. Potem szef działu znów pojawił się w kadrze.

- W ciągu ostatniego półrocza? Wybacz mój sceptycyzm, ale w

jaki sposób udało się ominąć nasz system zabezpieczeń?

- To były bardzo dobrze zamaskowane ataki - odparł Gustaf Horn. - ntruz przejmując tożsamość wcześniejszego gościa. Rozbieżności pojawiają się dopiero wtedy, kiedy przeszedł się ścieżkę dostępu kilka etapów wstecz. I te ataki tworzą wzorzec.

- Ale nie ma żadnych śladów pozostawionego programu szpiegowskiego?

- Nie, programy sobie radzą z takimi rzeczami. Wygląda na to, że chodzi o pojedyncze wtargnięcia. Wejście na chroniony poziom, pobranie danych, wylogowanie. Za każdym razem trwa to niecałe pół godziny. Nic, co zwracałoby uwagę.

Jagerskiöld pokiwał głową. Kiwał tak przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

- Jeśli mamy niepokoić dyrektora naczelnego na Orno, musisz mi zagwarantować, że się nie pomyliłeś, Horn. *Zagwarantować.*

- Rozumiem - odparł Gustaf i zdał sobie sprawę, co rozumie.

Że to jest jego być albo nie być.

Pracować jeszcze w życiu w branży komputerowej albo już nie pracować.

- No i?

- Gwarantuję.

- Nie rozłączaj się.

Gustaf Horn czekał na linii. Cisza, jaka nagle zapadła, sprawiła, że powróciły wątpliwości. Czy trochę się nie pośpieszył? Nie powinien był wszystkiego jeszcze parę razy sprawdzić? Ekran zamrugał, a potem pojawiła się przed nim jeszcze jedna twarz.

Gustaf nigdy dotąd nie widział Hannesa Grönlunda, dyrektora naczelnego Bi ono vi i. Uderzyło go, że wydawał się taki młody. Hipsterska broda i pognieciony T- shirt z napisem „My T- shirt is more ironic than yours”. Siedział na pokładzie jachtu, z neonowoniebieskim drinkiem w ręce, a w de widać było gigantyczny czarny silnik zaburtowy o mocy trzystu pięćdziesięciu koni.

- No nie, Peder - powiedział, upijając łyk drinka. - Nie tak się

umawialiśmy.

- *Force majeure* - wyjaśnił Jagerskiöld z sąsiedniego okienka.

Hannes Grönlund odstawił drinka i wykonał gest ręką, jakby coś od siebie odsuwał, a potem zniknął z kadru. Przez chwilę widać było tylko błękitne niebo. Kiedy znów się pojawił, powiedział:

- No to dawaj.

- Co najmniej trzy dotąd niewykryte wtargnięcia na poziom ósmy w ciągu ostatniego półrocza.

- Kto tak twierdzi?

- Stażysta zatrudniony na lato - odparł Jagerskiöld.

- Stażysta z działu bezpieczeństwa danych?

- Tak. Jest z nami na linii.

Gustaf Horn poczuł, jak wbija się w niego spojrzenie z prawego okienka na ekranie.

- Gustaf Horn - przedstawił się.

- co tam znalazłeś? - spytał krótko Hannes Grönlund.

- Wtargnięcia, tak jak mówiłem. Sprytnie zamaskowane.

- Potrafisz stwierdzić skąd?

- Nie i jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Zauważyłem tylko wzorzec. Logowano się z trzech różnych uprawnionych komputerów, normalne kilkugodzinne wejścia, ale potem nastąpiły trzy krótsze wizyty. Pozornie z tych samych komputerów. I jeden z nich, no cóż, jeden należy do pana.

- Do jakiego pana? Do nas?

- Do pana osobiście.

- Do mnie?

- Czwartego marca komputer zarejestrowany na Hannesa Grönlunda był zalogowany na poziomie ósmym przez dwie godziny i czternaście minut. Cztery minuty później ten sam komputer znów się zalogował, tym razem na dwadzieścia dwie minuty. Zupełnie jakby pan o czymś zapomniał i musiał to uzupełnić. Niemal tak samo, również z czterominutowym odstępem, wygląda to w dwóch innych przypadkach.

- Jak to? - zdziwił się Hannes Grönlund. - Ktoś przechwytuje

tożsamość i dane logowania od osoby, która logowała się chwilę wcześniej?

- Tak - potwierdził Gustaf Horn. - Choć wygląda na to, że to się dzieje w czasie, gdy uprawniony użytkownik jest załogowany. Ktoś czeka, aż taka osoba się wyloguje, a potem kradnie jej tożsamość i loguje się jeszcze raz. Cztery minuty później.

- O cholera! - wybuchnął Grönlund. - Peder?

Szef bezpieczeństwa Peder Jagerskiöld odchrząknął w lewym okienku. W wolnej ręce wciąż trzymał kij golfowy, iron numer cztery, i teraz opierał podbródek na jego głowce.

- Wzorze - powiedział w końcu. - Gustaf Horn wykonał kawał dobrej roboty, ale teraz musimy porozmawiać o czymś innym, Hannes.

- Właśnie, to było bardzo spostrzegawcze z twojej strony, Gustaf - odparł Grönlund. - Niedługo się z tobą skontaktujemy. Pod żadnym pozorem nie wolno ci nikomu o tym wspominać. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

- Rozumiem - potwierdził Gustaf Horn.

- To dobrze. Wkrótce się do ciebie odezwiemy w kwestii dalszego postępowania. Możesz odłączyć Gustafa, Peder?

- Oczywiście - powiedział Jagerskiöld.

W obu okienkach obraz zniknął i zastąpiły go stylizowane figury geometryczne. Powinna też zapaść cisza.

Ale nie zapadła...

Jagerskiöld musiał coś pomylić przy odłączaniu. Po pierwszej wymianie zdań Gustaf Horn się zastanawiał, czy powinien wykazać się dyskrecją i sam wyłączyć dźwięk. Nie zrobił tego jednak. Słuchał dalej.

- I to niby odkrył jakiś stażysta? - rozległ się głos Hannesa Gronlunda.

- W pewnym sensie to oczywiście niefortunne - stwierdził Peder Jagerskiöld. - Ale pod innymi względami korzystne.

- Korzystne?

- Bo nigdzie nie wypłynie. I jeśli ten dzieciak chce jeszcze kiedykolwiek pracować w branży, będzie trzymał gębę na

kłódkę. Sam to rozumie.

- Do czego się dobrali?

- Nie mam pojęcia. Natychmiast to sprawdzę.

- Po partii golfa?

- Oczywiście, że nie. Natychmiast nawiążę bezpieczne połączenie.

- Założę się, że to Chińczycy - rzucił Gronlund.

- Pewnie tak - zgodził się z nim Jagerskiöld. - Chyba już z pięćdziesiąta próba. Miejmy nadzieję, że nie chodzi o Projekt Mio.

- Jest na ósmym. Ismieje takie ryzyko. Twierdziłeś, że potrafisz go chronić.

- Niech to szlag! - wybuchną Jagerskiöld. - Musicie lepiej go zabezpieczać. Podzielić na części. Próbowałem wam to przecież wyjaśnić.

- Na twoim miejscu nie robiłbym mi wyrzutów, Peder. To *twój* system bezpieczeństwa się nie sprawdził. To *mój* projekt ukradziono. Masz w ogóle pojęcie, ile zainwestowaliśmy w Projekt Mio?

- Zdaję sobie sprawę, co się stało.

- To jaki będzie kolejny krok?

Szef bezpieczeństwa Peder Jagerskiöld westchnął ciężko.

- No cóż, jeśli to Chińczycy, to nie wiem, jak daleko sięgają moje kontakty.

- Nie mówisz chyba poważnie, że mamy się zwrócić do...

- Nie, nie, do diabła. Aż tak źle nie jest. Ale...

- Ale?

- Ale nasi ludzie nie mogą udzielić nam całkowitej gwarancji w tej części świata.

- W takim razie za co im płacimy?

- Bo są najlepsi. Ale Chińczycy...

- Czyli policja?

- Nie, ja to załatwię. Powinniśmy dość szybko się dowiedzieć, czy to... no cóż, czy to wojsko.

- Dwa dni, Peder. Nie więcej. Potem zgłaszam sprawę na

policję.

- Zrozumiałem - powiedział Peder Jagerskiöld.

Potem na ekranie w Hornsbergu zniknęły oba okienka. Gustaf Horn wpatrywał się w pusty monitor. Wpatrywał się w niego długo, zanim podniósł wzrok. Jego spojrzenie powędrowało w stronę zatoki Ulvsundasjön i nagle znalazł się na zamku Hornsberg. Królowa właśnie nadała mu ziemię, wynajął renomowanego architekta Jeana de la Vallee, by w zachodniej części Kungsholmen wznieść kopię Domu Rycerstwa, siedział na szczycie zamku i spoglądał na połyskujące fale. Przez bardzo krótką chwilę był władcą Sztokholmu.

Hornsberg jest mój, pomyślał Gustaf Horn.

I znów zapatrzył się w monitor.

Los Indignados

Madryt, 23 lipca

NIE POWINIEN BYĆ zdziwiony. Czytał o tym, dokładnie śledził wydarzenia od połowy maja, ale potem jego świat zadrżał w posadach. Wszystko pochłonęła szajka kontrolująca żebraków w całej Europie. Połamał sobie żebra, gdy chwycił lecącą szklaną kulę zawierającą piekło, a jego niewidomy synek ciągle po tych żebrach skakał.

Mówiąc w skrócie, Felipe Navarro był po prostu na chorobowym i wrócił do Madrytu. A teraz,

o zmierzchu - na Puerta del Sol, wielkim placu w sercu Madrytu, w pępku Hiszpanii - zaczęła się przetaczać demonsuacja ludzi z całego kraju.

Nie powinien być zdziwiony, a jednak robiła na nim wrażenie ta siła, determinacja i energia. Poza tym myślami był gdzie indziej. Dzień wcześniej mroczna i wypaczona wersja tej samej siły, determinacji i energii nawiedziła spokojny dotąd kraj w północnej Europie. Opętany ideologią Norweg zabił nieznaną jeszcze liczbę osób, przede wszystkim młodych ludzi, w Oslo i nie tylko. I ta mroczna energia odebrała tej jasnej całą uwagę w mediach.

A ta jasna była tutaj. Była w Hiszpanii.

Ten kraj miał już dość. Bezrobocie było najwyższe w Europie, kryzys finansowy uderzył w niego mocniej niż w większość innych krajów i ciągle ujawniano kolejne przypadki nowej wyrafinowanej korupcji wśród wiodących polityków. Tę listę można by ciągnąć w nieskończoność i Felipe Navarro widział - na odległość - jak jego kraj się rozpada.

Teraz jednak odległość zniknęła. Po raz pierwszy od paru lat wrócił z Hagi i tym, co go uderzyło, był ból. Ból na ulicach. Ból,

bo tak naprawdę nigdy się nie udało uporządkować polityki po dziesięcioleciach dyktatury. Ból, bo ta wrażliwa, wciąż raczkująca demokracja uafiła w ręce ludzi, którzy chcieli tylko wypchać sobie kieszenie.

I ten ból w końcu zawrzał. Inspirowana arabską wiosną (która chyba nigdy nie miała szansy przemienić się w lato), na różnych hiszpańskich portalach społecznościowych powstała internetowa platforma Democracia real YA. Pod hasłem „Prawdziwa demokracja TERAZ” użyto Twittera

i Facebooka, by pięćnastego maja zwołać demonstacje w ponad pięćdziesięciu hiszpańskich miastach. W ten sposób narodził się ruch Movimiento 15- M. Ruch piętnastego maja.

W samym tylko Madrycie uczestniczyło w nich blisko pięćdziesiąt tysięcy demonstrantów i „Oburzeni” - Los Indignados - zebrani na Puerta del Sol postanowili pozostać na placu przez tydzień, dopóki nie odbędą się wybory. Twittera opanował hashtag #spanishrevolution. W całym kraju panował nasuój uniesienia. W kilkunastu miastach wciąż Uwały demonstacje.

W końcu postanowiono stworzyć z tych protestów coś w rodzaju dzieła sztuki, wieloramienną ośmiornicę z ludzi maszerujących z piętnastu miast, którzy przybędą ze wszystkich zakątków kraju i spotkają się w określonym dniu na Puerta del Sol w Madrycie. Tym określonym dniem był dwudziesty trzeci lipca.

Dzisiaj.

Wschodnia trasa biegła z Walencji, północna z Santander, Bilbao i Pampeluny, północno- zachodnia z Santiago de Compostela, Vigo, Ferrol, Aviles i Gijón, południowa z Kadyksu, południowo- wschodnia z Malagi i Motril, północno- wschodnia z Barcelony, tak zwana trasa N- II biegła z Saragossy, a trasa Murcji ze stolicy tej prowincji.

I w tej chwili - kiedy Felipe i Felipa Navarro siedzieli przy Puerta del Sol z Felixem w wózku, w tym szczególnym magicznym świetle tuż przed zmierzchem - właśnie w tej chwili

nadeszli. Powoli, ale pewnie, bardzo pewnie, ośmiornica rozwinęła swoje ramiona. Protest znalazł swoje centrum i było nim miejsce, w którym przecinają się wszystkie drogi Hiszpanii.

Puerta del Sol.

Po trwającej miesiąc wędrówce uczestnicy Marszu Oburzonych, Marcha Popular Indignada, wyglądali na dość obolałych. Mimo to biła od nich taka siła jak od zwycięzcy maratonu. Ciało wykończone, lecz duch niezwyciężony.

Na placu było prawie pusto, kiedy rodzina Navarro rozsiała się w kawiarence. A potem napłynęli ze wszystkich stron i mniej czy bardziej spontanicznie dołączali do nich mieszkańcy Madrytu. Kiedy zapadał zmierzch, ku niebu uniesiono ogromny transparent i ludzie gromadzili się pod hasłem „Bienvenida la dignidad”.

„Czas na godność”.

Felipe i Felipa Navarro popatrzyli po sobie. Siedzieli tam pośrodku placu i poczuli - wspólnie - że oto wracają do Madrytu. Do Hiszpanii. Do domu.

Ich synek Felix po raz pierwszy był w rodzinnym kraju i coś się zmieniło w jego zachowaniu. Felix był całkowicie niewidomy, miał ponad rok i nigdy dotąd nie słyszał, by ktokolwiek prócz rodziców mówił po hiszpańsku. Teraz wszystko się zmieniło. Nagle jego świat wypełniły znajome dźwięki. Nagle wszędzie słyszał swój ojczysty język, którego jeszcze nie opanował. Ciekawie było go obserwować.

Choć „ciekawie” to było chyba niewłaściwe słowo. To raczej chwyciło za serce, było przejmujące, głęboko wzruszające.

Felipe Navarro patrzył, jak jego niewidomy synek wraca do domu.

Nie było sensu nic mówić. Teraz mowa była wszędzie. Skandowanie, z początku słabe i chaotyczne, stawało się coraz silniejsze i coraz bardziej jednogłośnie. Podczas gdy dźwięki przybierały na sile, Felipe obserwował synka. Dźwięki tworzyły słowa i, ot, były słowa, które mówiły o ludzkiej godności, o demokracji, o wspólnocie, o możliwości odbudowy

społeczeństwa.

I te słowa były po hiszpańsku.

Felipe Navarro próbował zrozumieć, co słyszy jego synek. Jak odbiera tę nagłą burzę ojczystej mowy. Otworzył buzię, jakby pozwalał, by ten język przez niego przepływał, swobodnie krążył w jego ciele. I w tej chwili jakby wrócił do domu i został odrzucony przez swój język. Bo teraz dźwięki na Puerta del Sol zaczęły się wznosić ponad granicę bólu. W każdym razie dla niewidomego, rocznego chłopca.

Felipa Navarro wykonała gest, pokazując coś mężowi. Zrozumiał go, ale głos, który miał towarzyszyć dźwiękowi, nie istniał, choć było oczywiste, że krzyczała. Było coś głęboko i egzystencjalnie przerażającego w patrzeniu na krzyczące usta ukochanej osoby, z których nie wydobywa się żaden dźwięk. Mimo to pojął. Musieli stąd odejść, zanim hałas stanie się zbyt głośny dla Felixa. Ale gest Felipy zawierał coś jeszcze. Navarro nie był w stanie go zinterpretować, ale wyglądało to tak, jakby miał tutaj zostać. Że ona zabierze Felixa i pójdzie do babci, gdzie nocowali w coraz bardziej klaustrofobicznych warunkach, a on, Felipe, ma tutaj zostać.

Wykonał gest, który pewnie można by zinterpretować jako pytanie. W każdym razie miał taką nadzieję.

I ona potwierdziła. Nie był w stanie wszystkiego wyczytać z jej twarzy, może chciała mu powiedzieć: tu się tworzy historia, wiem, że chcesz zostać. Lecz, szczerze mówiąc, nie miał pojęcia.

Wstała z krzesła w kawiarni, które nie było już krzesłem w kawiarni, wzięła wózek i odeszła. Patrzył, jak znikają w jednej z bocznych uliczek i oddalają się od tłumu. Byli bezpieczni.

Felipe Navarro sam też nie mógł dłużej siedzieć na krześle. Kawiarenkę pochłonął tłum. Krzesło, na którym dotąd siedział, zostało porwane z prądem w stronę pomnika z godłem Madrytu - niedźwiedziem i drzewem poziomkowym - a sam Navarro nieuchronnie poruszał się w tym samym kierunku. Wsysało go coś, co coraz bardziej przypominało połączone centrum protestów. Trwało tam jakieś spotkanie, osiem ramion

ośmiornicy naradzało się po miesięcznej wędrówce, wymieniano doświadczenia z szesnastu hiszpańskich miast. Navarro widział to z daleka, usłyszał rzucone hasło „El libro del pueblo” i zrozumiał, że demonstranci zamierzają stworzyć coś w rodzaju „księgi ludu”, ale większości ludzi w tym tłumie nie interesowała ani „księga ludu”, ani centrum ośmiornicy, chcieli po prostu usiąść, może nawet położyć się spać, i Felipego pochwyił wir ludzi i pociągnął go na wschód od Puerta del Sol. Dotarł do szerokiej Paseo del Prado, gdzie rozbito prowizoryczne obozy dla tysięcy demonstrantów ze wszystkich zakątków kraju. Ktoś zaproponował mu miejsce na łóżku polowym, ale uprzejmie odmówił. Wreszcie na chwilę zostawiono go w spokoju. Gdy przykucnął przy jednym z obozów niedaleko muzeum Prado i rozejrzał się wśród łóżek polowych i karimat, na które padali wykończeni starsi - ale i młodszy - demonstranci, uderzyła go myśl, że tłum poniósł go ze sobą prawie kilometr. Po raz pierwszy naprawdę - na własnym ciele - poczuł siłę ludu. Siłę mas.

To wtedy zobaczył mężczyznę, który tam nie pasował.

Wprawdzie demonstranci byli zróżnicowaną grupą, przekrojem dotkniętej kryzysem finansowym Hiszpanii, i byli wśród nich zarówno profesorzy uniwersyteccy, jak i uczniowie gimnazjów, lekarze i robotnicy, inżynierowie i pielęgniarki, jednak takiego typu jak ten nie było. Ten mężczyzna, który chodził od karimaty do karimaty, wydawał się tutaj nie na miejscu. W tej chwili kucnął przy łóżku polowym, na którym leżał jakiś młody rudy mężczyzna, i o czymś z nim rozmawiał. Chyba nawet czymś się wymienili, a mężczyzna w garniturze robił notatki w małym notesie.

Pierwsze wrażenie było takie, że to policjant po cywilnemu. Nie było w tym nic niezwykłego podczas demonstracji. Nie wywiadowca, ale policjant próbujący ogarnąć krytyczną sytuację. Tyle tylko, że to się nie zgadzało. Felipe Navarro zrobił już kilka kroków, by zapytać tego kolegę po fachu, kim jest, ale się zatrzymał. Coś było nie tak.

I zupełnie nie potrafił tego określić. Absolutnie nie był to żaden przestępca, żaden ze zwykłych kieszonkowców, którzy korzystali z okazji, gdy tylko zbierał się tłum, i zaczęli przetrząsać kieszenie i torebki. Nie, ten kucający mężczyzna, którego twarz była ledwie widoczna w zapadającym zmroku, nie był drobnym złodziejem. Zdecydowanie nie był demonstrantem, lecz nie był też policjantem. Nie do końca.

Najwyraźniej jednak wymienił się czymś z tym rudym. Coś przeszło z rąk do rąk. Robił notatki. I to wystarczyło.

To było niewłaściwe. Skupiał się na niewłaściwych rzeczach. Felipe Navarro powinien oczywiście podnieść wzrok, spojrzeć na Madryt swojego dzieciństwa, na swój Madryt i wczuwać się w nastroje, których nie czuł od bardzo dawna. W gwałtowną falę optymizmu, w cały niepewny ruch potencjalnych zmian.

Ale nie. To nie obywatel w nim zareagował, tylko policjant. I ten policjant zobaczył kucającego mężczyznę i nie potrafił go w żaden sposób do czegoś przypisać. Policjant powinien stanowić racjonalną połowę Felipego Navarro, optymista - tę nieracjonalną. Nie było jednak nic racjonalnego w tym człowieku, który postanowił śledzić kucającego mężczyznę, który już nie kuczał. Wstał i ruszył ulicą, zanim Navarro zdążył się zastanowić nad swoją decyzją. Poszedł więc za nim.

Garnitur był trochę za elegancki jak na policjanta po cywilu, buty za drogie, tyle było jasne. Kiedy mężczyzna przedzierał się przez tłum na Paseo del Prado, Navarro pomyślał, że przypomina ochroniarza. Amerykańskiego ochroniarza, agenta Secret Service, który strzeże prezydentów i zawsze nosi ciemne okulary. Ten mężczyzna nie miał takich okularów i kiedy przeciskał się przez tłum, było jasne, że nie strzeże niczyjego życia. W każdym razie nie w tej chwili. Wyglądało natomiast na to, że miał w obozie demonstrantów jakąś konkretną sprawę do załatwienia.

Felipe Navarro śledził go na Paseo del Prado, a potem w dość wąskiej uliczce, której mimo wszystko udawało się naśladować długą aleję z jakimiś rzadko spotykanymi drzewami

liściastymi. Przebijając się za tym elegancko ubranym facetem przez rzekę ludzi, zastanawiał się przez chwilę, co będzie, kiedy drzewa liściaste przy Calle de Las Huertas urosną. Nie mógł by tam już stać ani jeden budynek.

Na szczęście tego dobrze ubranego typu łatwo było śledzić. Wystawał na co najmniej dziesięć centymetrów ponad masę ludzi. Prawie łysa głowa poruszała się w tłumie niczym zerwana boja na morzu. W miarę jak oddalali się coraz bardziej od Paseo del Prado, tłum się przeredzał. Łatwiej było się poruszać, ale również zostać wykrytym. Wprawdzie Navarro nie był ubrany jak policjant, bo żaden szanujący się policjant nie włożyłby takich szortów w wielkie kwiaty, przypuszczał jednak, że po jego wyglądzie trochę widać, czym się zajmuje.

Uliczka nieco się poszerzyła, drzewa również jakby się rozstępowały, dalej tworząc symetryczne linie. Znalazł się na Plaža del Angel, a potem dotarł szerszą ulicą aż do dziwnie pustego ogromnego Plaža Mayor. Wokół placu, w zapadającym zmierzchu, w restauracjach i przepelnionych po brzegi kawiarenkach siedzieli ludzie rozmawiający o Democracia real YA, Movimiento 15- M i Los Indignados.

Dobrze ubrany facet przeciął Plaža Mayor niemal idealnie po przekątnej, ale wtedy stało się coś innego. Gdy mężczyzna zniknął za rogiem w uliczkach starówki, Felipe Navarro po raz pierwszy przebiegł kilka kroków. Wciąż nie wiedział, co właściwie robi. Nie był człowiekiem kierującym się intuicją, przecuciami. Wmawiał sobie, że chodzi o racjonalną ocenę sytuacji - jeszcze nie do końca sprecyzowaną, niemniej racjonalną - lecz gdy znalazł się w uliczce i zobaczył, że ten dobrze ubrany typ znika za kolejnym rogiem, poczuł przyływ adrenaliny. Gdzieś w nim buzowało pytanie, pytanie o to, jak to możliwe. *Dlaczego* nagle adrenalina pojawiła się w ciele, skłaniając je do innego zachowania? Gdzie to się działo? W mózgu? W sercu?

W brzuchu.

To w chwili gdy ten elegancko ubrany wyjął kartę magnetyczną

i przeciągnął ją przez czytnik przy bezpretensjonalnym wejściu na klatkę schodową, Felipe Navarro poczuł pierwszą falę adrenaliny. Ale gdy mężczyzna się pochylił i przyjrzał się ścianie, pojawiła się druga fala, o wiele mocniejsza. Jak woń amoniaku dla zamroczonego boksera.

Po wprowadzeniu kodu elegancki typ zniknął w głębi budynku. To był naprawdę stary dom, w tej najstarszej części wyżynnej wioski, która nagle, na początku siedemnastego wieku, ku swemu ogromnemu zdziwieniu stała się centrum największej potęgi kolonialnej na świecie. Felipe Navarro podkraść się bliżej i im mniejsza odległość dzieliła go od bramy, tym bardziej ewidentny stawał się fakt, że ten budynek jest jak twierdza.

Albo może nie jak twierdza, tyle że bardzo starannie strzeżony. Navarro zobaczył w fasadzie nad wejściem otwory, których nie powinno tam być, i kiedy przechodził obok - najswobodniej, jak potrafił - domyślił się, nad czym pochyłał się ten elegancki typ. Wcześniej wyglądało to tak, jakby z bardzo bliska usiłował odczytać napis na tabliczce obok dzwonek, lecz wcale tak nie było. Może i Navarro nie rozpoznał puszki przy drzwiach, ale zrozumiał, z czym ma do czynienia. Jednak nie tylko to zobaczył, gdy z udawaną swobodą zerknął na prawo od wejścia. Dostrzegł też nazwę firmy. Polemos Seguridad S.A. A potem powędrował dalej. Na zdrowy rozum jakiś facet w szortach w wielkie kwiaty nie powinien zwrócić niczyjej uwagi na filmach z kamer.

Bo oczywiście tym były otwory w fasadzie nad wejściem: otworami dla kamer. A pushka przy wejściu, nad którą pochylił się ten mężczyzna, była zapewne czytnikiem tęczówki lub siatkówki.

Kiedy Felipe Navarro wracał na Płaza Mayor, myślał tak: dlaczego dobrze ubrany facet ze świetnie strzeżonej firmy ochroniarskiej o nazwie Polemos Seguridad S.A. miałby coś robić wśród demonstrantów, którzy dopiero co dotarli do Madrytu po miesięcznej wędrówce z różnych hiszpańskich miast?

Przystanął. Oparł się o średniowieczny mur i pomyślał o

łózkach polowych. Przed jego oczami pojawił się młody rudowłosy mężczyzna. I wtedy puścił się biegiem.

Biegł uliczkami w stronę Plaza Mayor, przebił się przez Plaza del Angel i dotarł na bardziej zatłoczoną Calle de Las Huertas. Przy obozie zrobiło się jeszcze tłoczniej. Przedzierał się przez masy ludzi. Trudno było się nie zgubić, ale za punkt orientacyjny służyło mu muzeum Prado. Po dłuższej chwili błądzenia między łózkami polowymi trafił we właściwe miejsce. Na pryczy, przy której wcześniej kuczał ten dobrze ubrany facet, leżał jakiś człowiek w bluzie z kapturem. Navarro podszedł i przykucnął, tak jak wcześniej tamten. Postać w kapturze się odwróciła i Felipe Navarro spojrzał w zdumioną twarz jakiejś starej kobiety. Przeprosił, wstał i zaczął znów błądzić między chaotycznie rozstawionymi łózkami. Dopiero gdy jeden z demonstrantów syknął „pieprzony gliniarz”, Felipe Navarro wreszcie się zatrzymał.

Wciąż nie wiedział, co robi.

Wiedział tylko, że to się wydaje ważne.

Cimitero del Verano

Rzym, 24 lipca

NIE BYŁO NICZEGO, co można by pochować. To, co spoczywało w trumnie, którą z taką czcią wwożono przez majestatyczną bramę Cimitero del Verano, trudno by nawet nazwać szczątkami. Były to raczej pojedyncze komórki, garstka pozbieranych łańcuchów DNA.

W Rzymie był bardzo gorący, letni dzień. W słońcu rzymskie fasady wydawały się świecić własnym światłem, kilka ospałych miejskich gołębi leniwie gruchało, a na karawanie znikającym w ogromnym centralnym łuku tańczyły plamki światła.

Paul Hjelm siedział i pocił się kilka samochodów dalej w procesji. Omiótł spojrzeniem tylne siedzenie. Było ich tu kilkoro. Wydawali się naprawdę pogrążeni w żałobie.

Co pewnie nie mogło się nawet równać z tym, na jak zrozpaczonego on sam wyglądał.

Życie tak bardzo się zmieniło w zaledwie kilka dni. Przez dwa lata sądził, że posłał na śmierć dwoje swoich ludzi. Ale w tej samej chwili, gdy ktoś wysłał mu mailem film - film pokazujący w teraźniejszości oboje uznanych za zamordowanych - inna jego podwładna została wysadzona w powietrze. A więc teraz posłał na śmierć tylko *jedną* osobę. Kogoś zupełnie innego. I to jej szczątki teraz wwożono na największy cmentarz w Rzymie.

Donatella Bruno, piękna i inteligentna rzymianka, którą zwabił z antycznych okolic na barbarzyńską północ i podsunął jako przynętę, by dorwać wysoko postawionego mafiosa. Zginęła właśnie z tego powodu. Z powodu decyzji Paula Hjelma.

Wiele dźwigał na swoich barkach.

Jutta Beyer to widziała. Naprawdę nie chciał dostrzec tego współczucia na twarzy swojej być może najbardziej

utalentowanej podwładnej, ale teraz, gdy ich spojrzenia się spotkały, to było niczym w porównaniu ze spojrzeniami rodziców Donatelli Bruno kilka minut wcześniej w kościele. Nie było w nich oskarżenia, a jeśli tak, to chyba tylko wobec Boga, a jednak coś w ich oczach mówiło, że powinien być ją lepiej chronić. Bądź co bądź był jej szefem

A może tylko to sobie wmówił.

Teraz wiele rzeczy sobie wmawiał. To były ciężkie dni. Czasem żałował, że nie jest prawdziwym szefem, twardelem wychowanym w szkole z internatem, gdzie solidne otrzęsiny skutecznie by go pozbawiły jakichkolwiek skłonności do empatii. Choć tak naprawdę wcale by tego nie chciał. Może wówczas byłoby mu trochę łatwiej przetrwać te dni, tyle że reszta jego życia byłaby piekłem

Nie, musiał to jakoś przetrwać taki, jaki był. I musiał też rozwiązać tę sprawę. Tę, która teraz stała się „sprawą zapomnianą przez Boga”.

Obok Jutty Beyer siedział Arto Soderstedt, stary towarzysz Hjelma z dawnych czasów. Wyraz jego twarzy był jak zwykle nieprzenikniony. Wszystkie te lata spędzone z Söderstedtem powinny były nauczyć Hjelma, jak odczytywać ten lekko zamyślony roztargniony wyraz twarzy przyjaciela, ale tak się nie stało. Przynajmniej nie do końca. I wciąż było coś wyzwalającego w tym, że z Arto Söderstedtem nigdy nie było wiadomo, na czym się stoi.

Kondukt samochodów mijał niezliczone groby, które jakby wspinały się pionowo po ogromnej ścianie. Zwłoki piętrzące się na zwłokach. Teraz ten „mur umarłych” wydawał się niejako obrazem całego życia Paula Hjelma. Zwłoki piętrzące się na zwłokach. I tylko on był temu winien.

Była to naturalnie makabryczna myśl, dwa dni po groteskowym, masowym morderstwie w Norwegii, a jednak powiedział to podczas pierwszego spotkania z psychiatrą. Już dwa dni po zamordowaniu Donatelli Bruno - gdy już ogarnęli sytuację w pracy, na ile to było możliwe, a jego świeżo

poślubiona i jakże zaniedbywana żona Kerstin Holm wciąż była w Hadze - dyrektor Europolu prawie go wypchnął do „jednej z najbardziej doświadczonych psychiatrów policyjnych w Europie”. Była niska, ciemnowłosa i miała na imię Ruth; wciąż miał problemy z zapamiętaniem jej nazwiska. Mimo to jego pierwsze pytanie brzmiało: „Jak się zostaje jednym z najbardziej doświadczonych psychiatrów policyjnych w Europie?”. Ruth odparła: „Ten drań powiedział jednym z najbardziej doświadczonych? Nie jednym z najwybitniejszych?”. Od tego momentu ich współpraca układała się lepiej, niż można by się spodziewać. On gadał, ona od czasu do czasu mu przerywała.

Wiedział od pierwszego dnia, że może opowiedzieć Ruth o wszystkim, że może całkowicie ufać jej dyskrecji. Choć oczywiście bywało, że się wahał.

Spojrzał w bok, by odsunąć wspomnienia o Ruth. Cimitero del Verano był naprawdę niezwykłym cmentarzem Ogromnym barokowym dziełem sztuki, gdzie Włosi zawzięcie ze sobą rywalizowali, by właśnie to ich przodek się wyróżniał. Rzeźby wiły się wokół własnych osi, grobowce tworzyły archaiczne wejścia do grot, postaci z mitologii konkurowały z chrześcijańskimi archetypami, przemijające ciało zamieniało się w kamień w zastygłych chwilach, jakby pragnęło rzucić wyzwanie nieuniknionemu upływowi czasu.

Paul Hjelm żałował, że nie jest w stanie docenić tego widoku. U swego boku widział Marka Kowalewskiego, ciężką chłopską sylwetkę z zabandażowanym nosem. Kowalewski wydawał się bardzo przejęty przepychem katolicyzmu w zupełnie innej części Europy niż jego rodzinna Polska. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. W jego oczach był tylko smutek. Smutek z powodu śmierci nowej koleżanki, którą tak brutalnie zamordowano, smutek, bo nie dało się nawet znaleźć pociechy w tym, że żyją dawni koledzy, Fabio Tebaldi i Lavinia Potorac. Tamten film pokazywał dwoje ledwie żywych ludzi. I tak od dwóch lat. W potwornych warunkach jako zakładnicy 'ndranghety, mafii z

południowych Włoch.

O ile to byli oni.

Dopiero gdy rozwiął się dym po eksplozji w mieszkaniu Donatelli Bruno i wśród spalonych szczątków wykryto obce DNA, Hjelm skojarzył to z *sygnałem*.

To była długa historia.

Pewien włoski mafioso, podający się za niejakiego Antonio Rossiego, spotkał się z Donatellą Bruno, która wrzuciła chip do jego piwa. Przez kilka dni byli w stanie elektronicznie śledzić ruchy Rossiego i jego podróż do Kalabrii, potem sygnał zanikł. Pojawił się wiele dni później, tylko na kilka sekund, według mapy *dokładnie tam, gdzie mieszkała Bruno* - i oczywiście mogła to być jakaś usterka. Dlaczego sygnał z chipa w ciele Antonio Rossiego miałby się nagle pojawić w mieszkaniu Donatelli w Hadze? I dlaczego nagle się uaktywnił? A jeśli to w ogóle był Rossi, to czemu miałby sam wysadzić się w powietrze ze swoją ofiarą? Czy te genetyczne szczątki w ogóle należały do niego? Może to tylko odrobina kwasu dezoksyrybonukleinowego, który przypadkiem tam został, na przykład kiedy hydraulik naprawiał jej kran? Ale gdy porównano DNA z innym, znalezionym w niemal równie spalonym domu w Amsterdamie i stwierdzono zgodność, zaczęło się zarysowywać wyjaśnienie. To był dom, w którym Antonio Rossi mieszkał przez kilka miesięcy. Ślady DNA z tego domu były zgodne ze śladami znalezionymi w mieszkaniu Donatelli Bruno. W połączeniu z nagle uaktywnionym *sygnałem* wskazywało to na scenariusz, który stanowił obecnie hipotezę roboczą A i wyglądał następująco.

Antonio Rossi spotkał się w lokalu w Amsterdamie z Donatellą Bruno. Próbował ją poderwać, ona wrzuciła mu do piwa mikrochip i się ulotniła. Człowiek, który był prawą ręką Rossiego, był przy tym i wszystko wskazywało na to, że wkrótce potem udał się z nim do Kalabrii. Sygnał do pewnej chwili działał, potem prawdopodobnie wykryto chip w ciele Rossiego. Możliwe, że został natychmiast zastrzelony, a chip wyciągnięto z

jego żołądka i unieszkodliwiono. Możliwe, że namówiono jego najbliższego współpracownika, żeby przypomniał sobie, jak chip mógł trafić do żołądka Rossiego. Może wtedy przypominał sobie o tym lokalu w Amsterdamie. Może później przeglądał zdjęcia wszystkich znanych mafii włoskich policjantek i w końcu natrafił na zdjęcie Donatelli Bruno. Może później jakąś część ciała Rossiego - na przykład głowę - wysłano w paczce do Donatelli. Może chip był tak ustawiony, by uaktywnił się w chwili otworzenia paczki. Ale nie tylko on. Może uaktywniła się wtedy również bomba.

A więc to była hipoteza A: że Bruno została zidentyfikowana poprzez ten lokal w Amsterdamie. Ale istniała też hipoteza B, bardziej powikłana. Nie miała nic wspólnego z tamtym lokalem, raczej z nieoficjalnymi teoriami Donatelli Bruno, że Tebaldi i Potorac być może wciąż żyją. Film pokazujący *ledwie żywych* Tebaldiego i Potorac wysłano przecież do Paula Hjelm dokładnie w chwili, gdy nastąpił wybuch. I teraz w głowie dzwoniły mu słowa Donatelli Bruno: „Uważam, że to nie jest ‘ndrangheta”.

Samochód się zatrzymał. Przy świeżo wykopanym grobie w dość bezpretensjonalnym zakątku ogromnego cmentarza stał już ksiądz w pełnym ornacie. Trumna wytoczyła się z karawanu, ci, którzy mieli ją nieść, już czekali. Kiedy drzwi samochodu się otworzyły, Paul Hjelm poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Odwrócił się i spojrzał w oczy Corine Bouhaddi. Miała zabandażowany nos i posiniaczoną twarz. Kiwnęła mu krótko głową, jakby chciała go pocieszyć. I rzeczywiście, dzięki temu trochę łatwiej było mu wysiąść z samochodu.

Niewielka delegacja grupy Opcop zebrała się wokół grobu. Byli to Hjelm, Beyer, Söderstedt, Kowalewski i Bouhaddi i ich spojrzenia powędrowały ku trumnie stojącej obok rozkopanego grobu. Ksiądz zaintonował:

- Panie Jezu Chryste, sam przez trzy dni spoczywałeś w grobie, zanim powstałeś z martwych. Tak uświęciłeś spoczynek w grobie dla tych, którzy w ciebie wierzą. Prosimy ciebie, który

jesteś zmartwychwstaniem i życiem: niech Donatella Bruno spoczywa w spokoju w tym grobie aż do dnia zmartwychwstania i niech wówczas obudzi się w twoim wiekuistym świecie i ujrzy twe oblicze. Ty, który żyjesz i królujesz na wieki wieków.

Wszyscy odpowiedzieli:

- Amen.

Każde słowo przetłumaczył simultanicznie Arto Söderstedt, który całkiem dobrze mówił po włosku. A może dziko improwizował.

Paul Hjelm powiedział do Ruth, psychiatry:

- Zwłoki piętrzą się na zwłokach. I tylko ja jestem temu winny.

- Prawdopodobnie - odparła Ruth. - Ale opowiedz o tym trochę dokładniej.

I opowiedział. Mówił rzeczy, jakich nigdy by się po sobie nie spodziewał. O negatywnych stronach bycia szefem. O tym, że nigdy się nie wie, czy postąpiło się słusznie. O samotności na dobrowolnym wygnaniu. O wszystkich frustracjach, jakie z niej wynikają. O nieustannej i wszechobecnej bliskości śmierci. O przemocy, która jest konieczna, by powstrzymać większą przemoc. O uczuciu, że kula ziemiska jest jak odbezpieczony granat, który w każdej chwili może zostać wypuszczony z ręki. Dopiero wtedy Ruth się odezwała.

- Wypuszczony? - spytała.

Zastanowił się i odparł:

- Tak, jeśli się wypuści z ręki granat, wtedy...

- Banalna metafora. A kto go *trzyma*?

Znów się zastanowił. Zaniemówił. Czy nie do tego się wszystko sprowadzało? Gdzieś na najgłębszym poziomie?

Trumna się poruszyła. Wzdrygnął się. Jakby zbyt wiele myśli zbiegło się równocześnie. Podnieśli ją i zawisła nad świeżo wykopanym dołem, który w południowoeuropejskim upale pachniał intensywnie ziemią. Ksiądz zrobił znak krzyża nad grobem i powiedział:

- Błogosławię ten grób w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

- Pokropił grób wodą święconą i mówił dalej: - Niech Bóg, który

pozwoił ci się narodzić na nowo z wody i Ducha Świętego, dokończ to, co zaczął w tobie w chwili chrztu.

A wszystko to według tłumacza Arto Söderstedta.

Potem trumnę powoli opuszczono do grobu.

Paul Hjelmczuł się nieskończenie mały. Czy mógł zapobiec tej śmierci? Tak, gdyby wybrał kogoś innego do spotkania się z Rossim w tamtym lokalu w Amsterdamie. W każdym razie o ile to hipoteza A była słuszna. Ale jeśli słuszna była hipoteza B, na pewno mógł zrobić jedną rzecz. Lepiej słuchać Donatelli Bruno, poświęcić jeszcze kilka minut, by przedyskutować z nią jej nieoficjalne teorie o Tebaldim, Potorac i 'ndranghecie. Ale czy to by mogło ją uratować? Może gdyby porządnie przejrzał jej materiały, znalazłby jakieś wyraźne zagrożenie. Gdyby naprawdę solidnie z nią porozmawiał. Bo pozostawało faktem, że nie było nawet cienia takiego zagrożenia w materiałach, które pozostawiła w komputerze w pracy. Jej domowy komputer i fizyczne materiały ze śledztwa, o których obszerności nie miał pojęcia, poszły z dymem, choć najprawdopodobniej skopiowała wszystkie materiały elektroniczne na komputer w pracy, do zwykłego folderu oznaczonego „Prywatne”.

Materiał ze śledztwa wykazywał, że Donatella Bruno kontaktowała się z przedstawicielami włoskiego wymiaru sprawiedliwości walczącymi z mafią, a nawet z osobami, które prowadziły śledztwo w sprawie wybuchu w zameczku, w którym rzekomo zginęli Tebaldi i Potorac. Nie ufała wynikom tego śledztwa i pozostawało pytanie, ile z tej nieufności dała po sobie poznać: pytanie, czy ci policjanci zdali sobie sprawę, że sama prowadziła nieoficjalne śledztwo, i czy faktycznie byli skorumpowani. I czy informacja o jej nieoficjalnym śledztwie dotarła do mafii.

Może Bruno była już znana 'ndranghecie, kiedy podrywał ją stosunkowo wysoko postawiony członek tej organizacji, Antonio Rossi. Może nawet ją rozpoznali już w tym lokalu w Amsterdamie.

Z drugiej strony może to nie była 'ndrangheta.

Donatella przecież w to nie wierzyła.

Czy to właśnie ją zabiło?

Trumna stuknęła o suchą, spękaną ziemię. Hjelm spojrział w bezlitosne niebo. Słońce było otwartą raną, pytania bez odpowiedzi - skupiskiem uodpornionych bakterii w tej ranie. I to przez nie słońce było jeszcze bardziej niemiłosiernie.

Słońce jak rozjątrzona rana na niebie.

Spojrzął na swoich ludzi. Przyjęli żałobne pozy i był całkowicie pewien, że wszyscy naprawdę ją oplakują. Domyślał się jednak, że jedna osoba oplakuje ją bardziej niż pozostałe. Ta, która od tak dawna nie miała partnera i odnalazła go w Bruno. Teraz Corine Bouhaddi znów została sama.

Dostrzegł w kącie jej oka łzę, która wsiąkła w bandaż na nosie, pamiątkę z innej części ich poprzedniej sprawy.

Ksiądz wysypał do dołu trzy łopatki ziemi i powiedział glucho:

- Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz. Pan Jezus Chrystus obudzi cię w dniu sądu.

Dzień sądu, pomyślał Paul Hjelm

Może ten dzień już nadszedł. W świecie, w którym policjantka z niezwykle tajnej jednostki Europolu może zostać tak brutalnie zamordowana, a dwoje innych członków tej samej jednostki od dwóch lat jest przetrzymywanych w koszmarnych warunkach jako zakładnicy, dzień sądu być może wcale nie jest aż tak bardzo odległy.

Zrobi jednak wszystko co w jego mocy, żeby powstrzymać dzień sądu.

- Wypuszczony? - powtórzyła z naciskiem Ruth.

- Wydaje mi się, że skupiasz się nie na tym, co trzeba.

- To już nie twoje zadanie, tylko moje. „Uczucie, że kula ziemiska jest granatem, który w każdej chwili może zostać wypuszczony z ręki”. Abstrahując od trochę niezręcznego sformułowania, to kto go trzyma?

- Ale to tylko coś, co powiedziałem. Nieudana metafora.

- Nie sądzę.

- Nie wiem - odparł Paul Hjelm. - Przestępcy? Świat w rękach

przestępców?

- Ale gdyby go wypuścili z ręki, to byłoby chyba *pozytywne*?

- No to powiedzmy, że *my*.

- My?

- My. Policja. Ci, którzy próbują chronić demokrację.

- To właśnie robicie?

- To *powinniśmy* robić. Jeśli...

- Tak...?

- Jeśli to nam się nie wymknie spod kontroli...

- Wam?

- Mnie, do diabła. *Mnie*.

- Czujesz, że wszystko wymyka ci się spod kontroli? I że jeśli to się stanie, świat wybuchnie?

- Nie. Ale czuję się coraz bardziej jak Don Kichot. Walczę z wiatrakami. Wydaje mi się, że to olbrzymy.

- Mów dalej.

- No tak, teraz zrobiło się ciekawie...

- Po prostu kontynuuj.

- Nie wiem, co mam na myśli. Mam tylko wrażenie, że nigdy nie udaje mi się złapać żadnych przestępców. Moje śledztwa są bardziej zaawansowane niż dotąd, robię z moją grupą bardziej skomplikowane rzeczy niż kiedykolwiek wcześniej, żeby złapać wielkich drani. I nigdy nikogo nie zgarniamy. Burzę całą masę wiatraków, ale olbrzymy pozostają. Nikt nie może dorwać olbrzymów.

- Kim są olbrzymy?

- To wszyscy, którzy mogą sobie kupić bezkarność.

- I kim oni są?

- Jest ich zbyt wielu.

Wtedy znów rozległ się głos księdza:

- Panie, okaż miłosierdzie naszej siostrze i nie bądź zbyt surowy wobec swej służebnicy, albowiem mimo swej niedoskonałości pragnęła być posłuszna twjej woli. Pozwól tej, która tu na ziemi była jedną z twych wiernych, połączyć się w niebie z twoimi aniołami i świętymi. Przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego.

A zgromadzeni odpowiedzieli:

- Amen.

Paul Hjelm rozejrzał się po Cimitero del Verano. Gdzie się nie obrócił, świat zamieniał się w jeden wielki cmentarz.

W końcu ich spojrzenia się spotkały. Paula Hjelma, Jutty Beyer, Arto Söderstedta, Marka Kowalewskiego i Corine Bouhaddi. Oczy ich wszystkich mówiły to samo. Pozostali żałobnicy podziękowali księdzu i zaczęli się rozchodzić. Pracownicy cmentarza wbili łopaty w kopce i na niemal pustą trumnę Donatelli Bruno zaczęła rytmicznie spadać ziemia. Odbijała się od niej z głuchym odgłosem.

W końcu przy grobie została tylko grupa Opcop. Paul Hjelm powiedział:

- Obiecujemy ci, Donatello, że złapiemy twojego mordercę. I uratujemy Fabia i Lavinę. Tylko tyle. To szczerą obietnicą.

Na chwilę zapadła cisza. Potem dodał jeszcze:

- Musimy stać się jeszcze tylko trochę lepsi.

A Arto Söderstedt powiedział:

- Amen.

Pierwsza wypowiedź

Aosta, Włochy, 20 września

PONIEWAŻ ISTNIEJĄ bardzo naturalne przyczyny, dla których wypowiadam się pisemnie zamiast ustnie, postanawiam nie interpretować tej pisemnej zgody jako uprzejmego gestu. Niemniej sprawiliście, że tak to odbieram, i to mnie dziwi, z uwagi na wszystko, co poprzedzało moje niniejsze słowa.

Te miesiące, które upłynęły.

Jedynie otrzymane przeze mnie instrukcje brzmiały: „Po prostu zacznij od początku”. Problem polega na tym, że nie wiem, gdzie jest początek. Kiedy się to wszystko zaczęło?

Jedna z odpowiedzi brzmi: „U zarania dziejów”. Kiedy człowiek stał się wystarczająco świadom swojej sytuacji i zaczął się organizować w społeczeństwa, nie istniały żadne wspólne prawa, a jedynie miriady najróżniejszych reguł. Nie było państwa ani przestrzeni publicznej. Obowiązywało prawo silniejszego.

Wtedy pojawił się pewien człowiek i ustanowił pierwsze na świecie prawa. Był pasterzem i niewolnikiem i zadziwił całą nowo założoną kolonię. Szukali przecież rozwiązania problemu bezgranicznego bezprawia panującego w nowym mieście. W panice zwrócili się z pytaniem do wyroczni delfickiej, ale w odpowiedzi usłyszeli jedynie, że muszą sami stworzyć własne prawa. I oto nagle stał przed nimi pasterz z grubym ziołem odręcznie napisanych praw i twierdził, że Atena we własnej osobie objawiła mu się we śnie i prosiła, by te prawa spisał.

Działo się to w połowie siódmego wieku przed naszą erą, w czasach pomiędzy chaosem a cywilizacją antycznej Grecji. Pasterz miał na imię Zaleukos, a nowo założona kolonia nazywała się Lokry Epizefiryjskie i ponieważ mieściła się w najdalej wysuniętym na

południe miejscu Półwyspu Apeniń-skiego, stanowiła całkowite obrzeża greckiej cywilizacji. Było to w miejscu, które kiedyś miało zostać nazwane Włochami, w krainie, którą w przyszłości miano nazwać Kalabrią.

I na tym historia mogłaby się skończyć. Albo przynajmniej rozwijać się dalej tak jak we wszystkich innych miejscach: kosmos zwycięża chaos, okropności pradawnych mroków muszą ustąpić przed światłem cywilizacji. Tak się jednak nie stało. Rozwój Kalabрії wyglądał inaczej.

Starożytność długo się tutaj ociągała i bez tarć przeszła w kulturę bizantyjską, wszystko pozostało pragreckie. Do chwili, gdy przyszli Arabowie. Wtedy ludność uciekła w góry, na niedostępny masyw Aspromonte, i to tam powstały nowe, zupełnie odizolowane wioski. Państwo i cywilizacja już nie istniały, powrócono do pierwotnego stanu. Znowu obowiązywało prawo silniejszego.

Tylko tutaj starożytność trwała dalej w nietkniętej postaci. Istnieją wioski, w których wciąż mówi się antyczną i bizantyjską greką.

Feudalizm - wszechmocne prawo jedynowładcy - trzymał to miejsce w uścisku aż do dziewiętnastego wieku. Ale potem przyszedł Napoleon. Kalabrię okupowali Francuzi i wprowadzono prawo do ziemi dla chłopów. Tyle tylko, że nie istniały żadne prawa dla własności prywatnej. Było jak w Rosji po upadku muru. Otworzył się ogromny rynek dla branży ochrony własności. Wioski dostrzegły w tym swą szansę na nowe źródło utrzymania. Hermetyczne i odizolowane górskie rody stały się klanami - *'ndrina* - i podzieliły między siebie tę działalność.

W latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku nowo powstałe włoskie państwo przyszło do Kalabрії i rościło sobie prawa, by ustanawiać własne zasady. Dla mieszkańców górskich wiosek był to jedynie kolejny okupant, który nie rozumiał, że mają już swoje prawo. Prawo silniejszego.

Zaleukos nie dostał w Kalabрії drugiej szansy.

Chodziło natomiast o to, żeby go wykorzystać, wykorzystać prawo stanowione przez państwo, zagarnąć dla siebie pieniądze intruza.

Odbywało się to stopniowo. Ważnym etapem było powstanie autostrady z Kampanii - A3, nigdy nieukończonego przedłużenia Autostrady Słońca - której naprawy klany podzieliły między siebie. Innym była budowa huty stali i związany z nią ogromny port w Gioia Tauro, największy port przemysłowy w basenie Morza Śródziemnego. Trzecim stadium były porwania.

Włosi z północy przyjechali na wielkie budowy. Wcześniej unikali Kalabrii jak zarazy, ale teraz zjawily się tu wielkie firmy budowlane. Aby móc zapanować nad ogromnymi budowami - autostrady, portu, huty stali - musiały negocjować z wieloma różnymi klanami, z różnymi *'ndrina*. Dogadali się, lecz równocześnie się odstonili. Klany - które wcześniej zwalczały się nawzajem równie mocno, jak zwalczały państwo - dostrzegły swoją szansę na dodatkowe dochody. Widziały przecież, że w północnych Włoszech jest mnóstwo pieniędzy i najprostszym sposobem, by zdobyć jeszcze więcej tych pieniędzy, były porwania. Porywano bogatych Włochów z północy i członków ich rodzin. Teraz jednak klany musiały współpracować. Najlepszymi miejscami do uprowadzeń były najbardziej niedostępne odcinki masywu górskiego Aspromonte. Zadanie ukrywania ofiar porwania powierzono przede wszystkim klanom z Plati, Africo i San Luca. Bliżej wschodniego niż zachodniego wybrzeża Kalabrii, bliżej Morza Jońskiego niż Tyrreńskiego. Bliżej antycznej Grecji.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku siedemdziesiąt pięć osób było przetrzymywanych jako zakładnicy w wioskach i na odludziach masywu Aspromonte. Pieniądze płynęły wartką rzeką. Porwania pozwoliły klanom na pierwszą wielką akumulację kapitału, ale przyniosły im również złą sławę. Kalabria znów zaczęła mieć taką reputację, jak w czasach gdy Goethe ominął ten rejon podczas swojej podróży po Włoszech w tysiąc siedemset osiemdziesiątym siódmym roku. Jeśli klany chciały się rozrastać, nie mogło dalej tak być. Aby się rozrosnąć, potrzebowali trzech rzeczy. Lepszego wizerunku, ściślejszej współpracy między klanami i wejścia w legalną strefę.

Te trzy rzeczy były ze sobą powiązane. By mieć szansę na wejście w

legalną strefę, niezbędny był lepszy wizerunek, konieczna lepsza współpraca. Potrzebny był nawet nowy rodzaj współpracy. W ten sposób powstała La Santa.

Celem tego potężnego stowarzyszenia znacznej większości klanowych bossów było dostanie się do ukrytej strefy, która być może mogła powiązać klany z legalnym biznesem. Mówimy tu o jedynej w swoim rodzaju szarej strefie, którą nazywamy ruchem wolnomularskim. Wielu wysoko postawionych członków klanów zostało dopuszczonych do bractwa i tam zaczęli nawiązywać potrzebne kontakty: z biznesmenami, prawnikami, politykami. Właściwie dopiero dzięki La Sancie 'ndrangheta mogła zacząć nazywać się organizacją.

Nie było to jednak takie proste. Nie tylko porwania rzucały cień na wizerunek 'ndranghety. Były jeszcze konflikty wewnętrzne. Krwawe zemsty, wendety, honor - *omerta* - który za wszelką cenę należało odzyskać. Oczywiście doszło też do waśni o La Santę, choć ta przyjęła formę klasycznej wendety, faidy, czyli, no cóż, wojny. To była pierwsza wojna klanów w 'ndranghecie. Podczas trwających trzy lata rodowych waśni zamordowano wielu z najgroźniejszych bossów i wkrótce zabitych można było liczyć w setkach. Był wśród nich jeden z mózgow stojących za powstaniem La Santy, Giorgio de Stefano; jego głowę przysłano jego bratu, Paolo, po rzekomo pokojowym spotkaniu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku.

Paolo dalej kierował La Santą i dzięki temu większości bossów, *santisti*, udało się dostać do różnych bractw wolnomularskich. To był pierwszy ważny krok w legalną strefę.

Ale 'ndrangheta wciąż była 'ndranghetą. Kilka lat później rozpoczęła się druga wojna, i ta była jeszcze gorsza. Między tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym a tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym rokiem zamordowano co najmniej siedemset osób.

Domyślam się jednak, że to wcale nie ten początek, jakiego się spodziewaliście. Nie po takim człowieku jak ja. Nie rozumiecie

jednak, czym stała się 'ndrangheta po tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym. Cóż za idealne wycucie czasu, by móc się odnaleźć w ciągle rozrastającej się szarej strefie po upadku muru. 'Ndrangheta stała się biznesem, idealnie ukształtowanym według wzorców międzynarodowych spółek i cosa nostry, która akurat wtedy znalazła się w fazie największego zagrożenia, bo włoskie państwo mocno uderzyło w Sycylińczyków. To właśnie wtedy 'ndrangheta stała się 'ndranghetą.

Stałem się mężczyzną podczas drugiej wojny klanów. Zostawiłem za sobą dzieciństwo i wkroczyłem w dorosły świat, kiedy trwały najbardziej krwawe walki.

Domyślałem się, że chcieliście, żebym właśnie od tego zaczął. Czułem jednak, że potrzebujecie tła. Obiecuję, że później opowiem o dorastaniu dwóch chłopców w San Luca w Kalabrii.

Ale teraz potrzebuję przerwy.

Klaster biotechnologiczny

Sztokholm, 30 lipca

FRESCATI NIE WYGLĄDAŁO tak, jak zapamiętała je Sara Svenhagen. Cały rejon uniwersytecki w Sztokholmie przeszedł lifting od czasu tych dwóch dość nieudanych młodzieńczych lat, kiedy robiła wszystko co w jej mocy, żeby nie zostać policjantką. Wtedy bardzo wyraźnie czuło się tam lata siedemdziesiąte. Razem ze swoim ojcem, technikiem kryminalistyki, i z całą rodziną odwiedzała wiele uniwersyteckich miast w Europie i zachwycała się pięknymi, posiadającymi bogate tradycje uniwersytetami. Naprawdę nie mogła się doczekać, kiedy zacznie studia na Uniwersytecie Sztokholmskim. Skrycie była przekonana, że Sztokholm, jedno z najpiękniejszych miast na świecie, musi mieć również piękny uniwersytet.

Kiedy pierwszego dnia na studiach kulturoznawstwa - osiemnastoletnia i dość naiwna - wkroczyła w te zabijające duszę korytarze kompleksu jakby żywcem wziętego z bloku wschodniego, przysło wiele złudzeń. Po dwóch latach pozostały tylko nieliczne.

Nawet Wyższa Szkoła Policyjna była piękniejsza.

Sara Svenhagen wzdygnęła się, dodała gazu i wyjechała z regionu uniwersyteckiego. Przejechała wozem Europolu obok niezmiennego Szwedzkiego Muzeum Historii Naturalnej. Poranne lemie słońce świeciło śmiało, gdy skręcała w Bergiusvagen, i w miarę jak wylaniało się przed nią Lappkarrsberget, emocje opadały. Przynajmniej akademiki - gdzie była na tyłu ubogich imprezach - ani trochę się nie zmieniły. Tutaj latom siedemdziesiątym zupełnie nic nie zagrażało.

- Czyli studiowałaś tutaj? - spytała Kerstin Holm z miejsca

pasażera.

- Trudno by to było nazwać szczęśliwymi czasami - odparła Sara Svenhagen i niedbale zaparkowała przy „profesorskiej podkowie”. Kiedy ta zgrana para wysiadła z samochodu, fasady w kolorze czerwonej cegły rozpostarły się przed nimi jak kiepski pastisz średniowiecznego zamku z lat siedemdziesiątych. Odnalazły właściwy numer, weszły po schodach i znalazły listę nazwisk stanowiących prawdopodobnie dość reprezentatywny przekrój ogółu studiujących. Mimo niedawno wprowadzonej pokaźnej opłaty specjalnej dla studentów z zagranicy azjatycka dominacja bardzo wyraźnie rzucała się w oczy. Ale wśród nich wszystkich widniało zupełnie inne nazwisko.

Bardzo szwedzkie nazwisko.

Weszły jeszcze piętro wyżej i dotarły do wspólnej kuchni, w której porządek pozostawiał sporo do życzenia. Tam zaczynały się korytarze z pokojami studentów. Drzwi - niemal wszystkie pozamykane - były oznaczone numerami, i niewiele poza tym. Podczas wędrówki korytarzem Kerstin i Sara natknęły się na publiczny aparat telefoniczny, który dodał smaku i tak już wybujałym fantazjom o latach siedemdziesiątych. Ale nie tylko to.

Kerstin Holm wskazała na telefon. Sara Svenhagen kiwnęła głową.

A potem były u celu. Niepozorne drzwi podobne były do wielu innych. Widniał na nich niemal niewidoczny numer i po szybkiej wymianie spojrzeń Svenhagen nacisnęła kłamkę. Choć świeciło letnie słońce, w małym studenckim pokoiku zalegała ciemność, która wydawała się mieć swój własny zapach. Sama ciemność pachniała, a jednak to nie było dominujące wrażenie. Bo największe wrażenie robiły komputery. Trudno było pojąć, jak w ogóle udało się upchnąć tyle komputerów, tyle czystego hardware'u na tak niewielkiej powierzchni. Ale nawet gdy ich wzrok przystosował się do ciemności - trochę oporniej, niż można by się spodziewać - nikogo tam nie zobaczyły. Wygaszacze wyświecały spokojnie swoje fantazyjne wzory na

ośmiu monitorach, a na dziewiątym, najjaśniejszym, właśnie też się włączył wygaszacz ekranu. Sara Svenhagen podeszła do niego i szybkim kliknięciem przywołała panel sterowania.

- Dwie minuty - stwierdziła.

Kerstin Holm kiwnęła głową i wyrzała na korytarz. Nic się tam nie poruszało, wilgotne, letnie powietrze wydawało się zupełnie nieruchome. Wyglądało na to, że żadne okno ani żadne drzwi nie były otwierane w ciągu tych maksymalnie dwóch minut, jakie upłynęły od chwili, gdy właściciel komputera od niego odszedł. Holm omiotła wzrokiem korytarz. Zdobiły go identyczne drzwi i samotne brudne okno, które stanowiło jedyne źródło światła. Po tamtej stronie nie było wyjścia. A z tej strony, z której same przyszły, na pewno nikt nie przechodził.

Sara Svenhagen podeszła do miejsca, w którym w zawalonym komputerami studenckim pokoiku powinno być okno, i uchyliła grubą zasłonę. Kiedy ogromny kontrast w oświeceniu przestał wdzierać się w jej korę mózgową, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był ich samochód. Wóz Europolu. Pokręciła głową i mruknęła:

- Niedbale...

- Byłaś myślami gdzie indziej - szepnęła Kerstin Holm i poszła dalej.

Pierwszych sześcioro drzwi po obu stronach korytarza miało kolejne numery z serii, która doprowadziła je do drzwi, za którymi zastały całą masę komputerów. Najciszej, jak się dało, naciskały kolejne kłamki - Sara po prawej, Kerstin po lewej. Wszystkie drzwi były pozamykane na klucz. Nie dobiegały zza nich żadne dźwięki. Siódme drzwi wyglądały inaczej. Nie miały oznaczenia. Svenhagen ostrożnie je otworzyła. Za nimi był prysznic, pusty, a na korytarz wydostawała się słaba woń pleśni. Po przeciwnej stronie, kawałek dalej, znajdowały się drzwi z zamkiem, których kolor przy odrobinie dobrej woli można by uznać za biały. WC. Holm je otworzyła. Muszla klozetowa była brudna, ale w pomieszczeniu nikogo nie zastała.

Sunęły dalej korytarzem. Powietrze było zupełnie nieruchome.

Akademik w Lappkarsberget wydawał się pusty jak po Armagedonie.

Kolejne drzwi z rosnącymi numerami. Za jedynymi, które nie były zamknięte na klucz, siedziała jakaś ciemnowłosa dziewczyna w ogromnych słuchawkach na uszach, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś daleko za oknem. Kerstin Holm zamknęła drzwi. Dziewczyna nawet jej nie zauważyła.

Poza tym było pusto.

Ale tuż obok brudnego okna na samym końcu korytarza znajdowały się drzwi, które wyglądały trochę inaczej, były węższe i nieoznaczone. Zupełnie jakby tu nie pasowały.

Kerstin Holm położyła rękę na klamce, ale gdy Sara Svenhagen wsunęła dłoń pod dżinsową kurtkę, Holm pokręciła tylko głową i zawołała: - Wchodzę teraz do schowka, Gustafie Horn!

Ocena Kerstin Holm okazała się oczywiście jak najbardziej słuszna. Sara Svenhagen spojrzała na szefową, która patrzyła przez jedno z nielicznych weneckich lusterek, jakie się jeszcze ostały na sztokholmskim posterunku, i obracała na palcu swoją nowiutką obrączkę. Svenhagen poczuła coś w rodzaju dziwnego deja vu. Bardzo dawno temu, kiedy Kerstin Holm ostatnio obracała pierścionek na palcu, to był zły znak. Konfrontacja z dawnym narzeczonym prawie doprowadziła ją do śmierci. Choć pewnie to porównanie nie tylko było błędne, ale wręcz szalone. Jej szefowa była po prostu świeżo po ślubie. Z Paulem Hjelmem. Choć to małżeństwo zaczęło się bardzo dziwnie. Od eksplozji. Wybuchu w centrum Hagi, który Hjelm widział z daleka i który stał na pył ich koleżankę. Jego podwładną.

Trudno to nazwać miesiącem miodowym.

Może to dlatego Kerstin obracała na palcu obrączkę?

Sara Svenhagen poczuła, że marszczy brwi, po czym zajrzała przez weneckie lustro do pokoju przesłuchań. Kiedy zobaczyła tego chłopca - nie istniało lepsze słowo, by go określić - jak

tak siedział wpatrzony w stół, przypomniała sobie inną sprawę sprzed lat. Chłopca, który wtedy nazywał się Johannes Stiernmarck, a teraz już się tak nie nazywa. On również przejrzał na wyłot bezgraniczny cynizm starszego pokolenia.

Sara Svenhagen przeżyła już tak wiele, że wszystko jej coś przypominało. Czy to znaczyło, że zaczynała się starzeć? A może nawet mądrzeć? Czy stała się tylko cyniczna?

- To jak, wchodzimy? - spytała Kerstin Holm i przestała kręcić obrączką.

Weszły. Usiadły naprzeciw niego. Nie podniósł wzroku. Utkwił spojrzenie w najładniejszych słojach na blacie. Kerstin Holm przerwała to studiowanie słowami:

- Twoje nazwisko wydaje mi się znajome, Gustaf.

Młodzieniec wciąż wpatrywał się w imitację drewna. Pokręcił tylko lekko głową. I nic więcej.

- Gustaw Horn, władca Hornsbergu - sprecyzowała Kerstin Holm.

- Daj spokój - rzucił młody człowiek i po raz pierwszy podniósł wzrok.

- Władca Hornsbergu ukrywający się za wiadrem z mopem w schowku w akademiku - dodała Sara Svenhagen.

- Wiemy, że to ty dzwoniłeś, Gustaf - powiedziała spokojnie Holm.

- Na tym korytarzu mieszka mnóstwo ludzi - odparł krnąbrnie Gustaf. - Dlaczego akurat ja miałem dzwonić?

- Sprawdzaliśmy w administracji akademika - odparła Holm. - Na twoim piętrze wszyscy z wyjątkiem pięciu osób formalnie zgłosili, że nie będą tam mieszkać latem. Z tej piątki troje to Azjaci, a tylko ty i niejaka Alice Larsson jesteście Szwedami. Ten, kto dzwonił, bez wątpienia był mężczyzną, choć młodym, i bez wątpienia był Szwedem

- Niby dlaczego z naszego wspólnego telefonu musiał zadzwonić akurat ktoś, kto tam mieszka? Nie byłoby inteligentniej skorzystać z telefonu na jakimś innym korytarzu?

- Z przyczyn, które stają się dla mnie coraz bardziej jasne -

odparła tym samym tonem Kerstin Holm

- Coraz bardziej jasne?

- Coraz bardziej jasne po tym, jak cię poznałam i spojrzałam na wszystko z nowej perspektywy. Przecież *chciałeś* zostać zdemaskowany.

- Głupoty gadasz.

- Daj spokój, Gustaf. Dzwonisz anonimowo na policję i mówisz, żeby cię połączyli z... cytuję... „jednostką Europolu”, a gdy na centrali pytają cię, o co chodzi, mówisz... znów cytuję... „że szwedzko- europejska firma z wrażliwej branży” zataiła przypadek szpiegostwa przemysłowego i zwróciła się do jakiejś nieznanej instancji, żeby rozwiązać problem A potem się rozłączasz...

- Nie powiedziałem *zataiła* - rzucił Gustaf Horn i umilkł.

- A teraz znów to robisz - rzekła Kerstin Holm.

- O co ci chodzi?

- Jesteś o wiele za bystry, żeby palnąć coś takiego jak „nie powiedziałem *zataiła*”, a potem ze zdziwienia zasłonić usta ręką. Poza tym prawdziwy maniak komputerowy świetnie wie, że rozmowa z telefonu stacjonarnego w jego najbliższej okolicy zostanie z nim powiązana. Można by to interpretować jako psychologiczne mechanizmy obronne, żebyś samemu sobie nie wydawał się kapusiem. Ale wydaje mi się, że to błędna interpretacja.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy Gustaf Horn wydawał się zaniepokojony. Pochylił się nad stołem i spojrzał wyzywająco na siedzącą przed nim ciemnowłosą kobietę. Kobietę, która miała tyle lat, że mogłaby być jego matką.

Druga, nieco młodsza kobieta śledziła z rosnącym zainteresowaniem tę ich grę, ale zachowywała się pasywnie. Pasywna, lecz gotowa improwizować.

- A jak myślisz? - spytał Gustaf Horn.

- Myślę, że to test - odparła Kerstin Holm

- Co za test?

- Na to, czy jesteśmy wystarczająco bystre i godne zaufania, by

zrealizować *twój plan*. Żeby się nie wydało, że to ty jesteś źródłem przecieku. Bo wtedy do końca życia raczej trudno by ci było znaleźć pracę w branży komputerowej. A mimo to coś w tym przypadku szpiegostwa przemysłowego wymierzonego w „szwedzko- europejską firmę z wrażliwej branży” sprawiło, że nie mogłeś dłużej milczeć. I tu oczywiście nasuwa się na myśl twój letni staż w Bionovii AB na Hornsbergu. Na twoim Hornsbergu.

Gustaf Horn przez chwilę przyglądał się bardzo przytomnie i bystro obu kobietom, najpierw jednej, potem drugiej, i najwyraźniej podjął jakąś decyzję.

- Nie powiem nic więcej, dopóki mi nie obieacie.

- Dopóki czego ci nie obiecamy?

- Że nie będziecie mnie w to wplątywać.

- Jeśli *twój plan* nie będzie miał wpływu na *naszą pracę*, nie mamy najmniejszego zamiaru cię demaskować - zapewniła spokojnie Kerstin Holm. - Możesz nam się nawet przydać - dodała przebiegle i zerknęła na Sarę Svenhagen, która natychmiast zareagowała.

- Opowiedz nam teraz o tym ataku hakerskim, Gustaf - poprosiła.

- Na początek muszę zaznaczyć, że nie mam pojęcia, o co konkretnie chodzi - powiedział z ciężkim westchnieniem Gustaf Horn. - Nie mam wglądu w tajne pliki Bionovii.

- Zajmują się biotechnologią - powiedziała Svenhagen. - Analizują współdziaływanie różnych molekuł i układów we wnętrzu komórek, badają mikromolekuły i białka oraz produkują osoczopochodne leki białkowe.

- Ale nie wiem, o co dokładnie chodzi.

- A mimo to wydało ci się to tak ważne, że byłeś gotów zaryzykować swoją upragnioną karierę?

- System obejmuje osiem poziomów bezpieczeństwa - tłumaczył Horn. - Już na poziomach szóstym i siódmym przechowywane są poważne tajemnice handlowe. A to było wtargnięcie na poziom ósmy, najbardziej tajny.

- I zgłosiłeś to natychmiast po wykryciu?

- Tak. I przypadkiem usłyszałem rozmowę szefa bezpieczeństwa z dyrektorem naczelnym. Szef bezpieczeństwa miał wykorzystać swoje „kontakty”. Dyrektor dał mu dwa dni, potem miał to zgłosić na policję.

- „Przypadkiem” usłyszałeś rozmowę szefa bezpieczeństwa z dyrektorem naczelnym?

- Tak. Właśnie.

- I kiedy to było?

- Dziesięć dni temu.

- Co ci potem powiedzieli?

- Nic. O to właśnie chodzi. Nie rozumiem, dlaczego mieliby to przede mną ukrywać, przecież to ja wszystko wykryłem

- Czyli szefowi bezpieczeństwa pewnie się udało uruchomić swoje „kontakty” - stwierdziła Sara Svenhagen. - Nie ma takiego prawa, które by ich zmuszało do zgłaszania tego na policję.

- Próbowałem to sprawdzić - odparł Gustaf Horn. - W pewnych okolicznościach istnieje obowiązek zgłoszenia ataku hakerskiego. Gdy chodzi o zagrożenie wywołane przez państwowe struktury jakiegoś innego kraju.

- Państwowe?

- Szef bezpieczeństwa i dyrektor zgadywali, że to „Chińczycy” - odparł Horn, przyglądając się uważnie obu kobietom.

- A konkretniej?

- W pewnej chwili szef bezpieczeństwa użył słowa „wojsko”. Potem się czemuś dokładniej przyjrzałem

- A mianowicie?

- Wzorcom - powiedział Gustaf Horn. - Lubię wzorce.

- A jak to zrobiłeś?

- W internecie jest takie forum o bezpieczeństwie danych...

- I domyślam się, że ci, którzy tam przesiadują, to bynajmniej nie eksperci od bezpieczeństwa danych?

- Wręcz przeciwnie - pokręcił głową Horn. - To hakerzy. Pieprzeni mistrzowie. Zapytałem w bardzo zawoalowany sposób, czy ktoś zna taką metodę. Ktoś przechwytuje tożsamość i dane logowania użytkownika, czeka, aż ta osoba się wyloguje, a

potem kradnie jej tożsamość i loguje się na nowo. Przyszło wiele odpowiedzi, ale nic szczególnie przekonującego. Dopóki ktoś nie zapytał: „Cztery minuty?”.

- „Cztery minuty”?

- Tak, ze znakiem zapytania. To było kluczowe pytanie. Ktoś poznał ten sposób postępowania. Bo drugie logowanie zawsze miało miejsce dokładnie cztery minuty po wylogowaniu. W trzech różnych przypadkach z Bionovii, w tym raz z osobistego komputera dyrektora.

- Będziemy musieli to wszystko trochę bardziej szczegółowo omówić - powiedziała Sara

Svenhagen - i to najlepiej w obecności jednego z naszych ekspertów komputerowych. Ale w skrócie: do czego doprowadziła ta wymiana postów na forum?

- Słyszaliście o tak zwanej „jednostce 61398”?

Kerstin Holm i Sara Svenhagen wymieniły spojrzenia.

- Niewiele - odparła Svenhagen. - Chodzi o chińską centralę szpiegowską?

- To dwunastopiętrowy budynek na osiedlu mieszkaniowym w Szanghaju. Wszystko wskazuje na to, że Armia Ludowo-Wyzwoleńcza, czyli chińskie wojsko, ma tam swoją jednostkę szpiegostwa internetowego.

- I osoba z tego forum twierdziła, że ten sposób działania z czterominutowym opóźnieniem i tak dalej wskazuje na „jednostkę 61398”?

- Słyszał o tej metodzie właśnie w tym kontekście, to wszystko. Nie wiem, kim był. Ale to się zgadzało z tym, co mówili szef bezpieczeństwa i dyrektor. A jeśli zhakuje cię chińskie wojsko, to z całą pewnością masz obowiązek to zgłosić.

Znów wymiana spojrzeń między Svenhagen a Holm.

- I naprawdę nie masz pojęcia, czego miałby dotyczyć ten ewentualny atak hakerski? - spytała w końcu Sara Svenhagen.

- Dyrektor parę razy wspomniał o jednej rzeczy...

- A mianowicie?

- Tylko że nie wiem, co to takiego. Nigdy wcześniej nie

słyszałem tej nazwy.

- Czyli to nazwa? Nazwa... projektu?

- Zgadza się - potwierdził Gustaf Horn. - Projekt Mio.

W pokoju przesłuchań na chwilę zapadła cisza. Potem Kerstin Holm pobierała swoje papiery i powiedziała:

- To jak, porozmawiamy teraz o *twoim planie*, Gustaf?

Było sobotnie popołudnie, gdy wóz Europolu przejechał Igeldammsgatan dokładnie w miejscu, gdzie łączyła się z Kungsholms Strand i przechodziła w Hornsbergs Strand. Po chwili przejechały pod trasą Essingeleden, a droga zaczęła odbijać na południowy zachód. Kiedy znalazły się całkiem blisko jeziora Melar i po lewej mignęła im nowo powstała Lars Forssells gata - nazwana tak na cześć członka Akademii Szwedzkiej, który wykazywał też pewne zamiłowanie do popkultury - były już prawie u celu. Zostawiły samochód na wielkim parkingu, którego z całą pewnością tu nie było, kiedy ostatnio odwiedzały Hornsberg, i dalej ruszyły pieszo.

- Tam - powiedziała Kerstin Holm, wskazując na pustkę.

- Co? - zdziwiła się Sara Svenhagen, a Holm kątem oka spostrzegła ruch jej ręki.

- Nie, nie - zaoponowała. - Broń nie będzie ci potrzebna. Tam mieścił się Hornsberg, rezydencja starego Gustawa Horna. Została wyburzona, niezupełnie po to, by zyskać trochę przestrzeni i światła, lecz by przygotować miejsce pod Wielkie Browary. Niektóre części browarów wciąż stoją, o tam A tam mieści się jeszcze większa filia Bionovii. To wciąż samo serce tak zwanego klastra biotechnologicznego.

- Chyba niewiele osób tak to nazywa.

- Z pewnością masz rację. Ale ponieważ ja, twoja szefowa, tak to nazywam, ty też będziesz tak robić, prawda?

- Oczywiście - powiedziała neutralnie Sara Svenhagen.

Po kilkuminutowym spacerze dotarli do celu. Hol był bezpretensjonalny, recepcja jeszcze bardziej, ale recepcjonistka

nie była już na tyle bezpretensjonalna, by wpuścić je bez zgody z góry, którą zresztą szybko otrzymała z piętra wyżej. Zaraz potem znalazły się w korytarzu, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Powietrze było tu równie nieruchome jak w korytarzach akademika, lecz nie było najmniejszych wątpliwości, że to miejsce ma zupełnie inny budżet.

W końcu dotarły do celu. Zapukawszy do drzwi, usłyszały pomruk, który obie zinterpretowały jako zaproszenie. Weszły do środka.

Przy owalnym stole siedziało dwóch mężczyzn. Bardzo się od siebie różnili. Jeden wyglądał jak hipster, miał dużą brodę i T-shirt, który obwieszczał światu, że ten, kto go nosi, jest „Out on bail”, natomiast spalona słońcem twarz drugiego, ponad garniturem od Hugo Bossa, wyglądała, jakby była uszyta ze skóry. To ten drugi wstał i wyszedł im na spotkanie. Miał jasne, stojące dęba włosy, które normalnie pewnie zaczesywał do tyłu. Wyciągnął rękę i przywitał się:

- Peder Jagerskiöld, szef bezpieczeństwa Bionovii. A to nasz dyrektor naczelny, Hannes Grönlund.

- Kerstin Holm - przedstawiła się Kerstin Holm

- Sara Svenhagen - przedstawiła się Sara Svenhagen.

- Nie dość, że jest sobota - zaczął Jagerskiöld, siadając - to ja i Hannes musieliśmy z tego powodu wrócić z urlopów. Mam nadzieję, że było warto.

- Przekonamy się - odparła Holm i usiadła. - W każdym razie jesteście wdzięczne, że mogli się panowie z nami spotkać.

- No to o co chodzi?

- Dostałyśmy pewne wskazówki - powiedziała Kerstin Holm. - Nie możemy zdradzać zbyt wielu szczegółów, ale słyszeliście panowie o FRA?

- O Instytucie Obrony Radiolączności? - spytał Jagerskiöld. - Oczywiście.

- W takim razie pewnie orientujecie się panowie w obecnej sytuacji dotyczącej kontrowersyjnej ustawy o FRA. Została poszerzona i w tej chwili nie możemy na ten temat powiedzieć

nic więcej prócz tego, że przyjrano się bliżej centrali chińskiego szpiegostwa wojskowego w Szanghaju. Nadażacie panowie?

Jagerskiöld i Grönlund wymienili chłodne spojrzenia.

- Oczywiście, że nadażamy - odezwał się Jagerskiöld. - Ale co to ma wspólnego z Bionwią?

- Przecież pan to wie - odparła Kerstin Holm, pochylając się nad stołem. - Inaczej dawno straciłby pan pracę jako szef bezpieczeństwa.

Hannes Grönlund pośpiesznym gestem powstrzymał protesty swojego szefa bezpieczeństwa.

- Zakładam, że chodzi o cyberspiegostwo, tak? - spytał.

- Opowiedzcie nam panowie o tym, co was spotkało, a *może* zapomnimy o waszym niedopełnieniu obowiązku zgłoszenia ataku.

Grönlund westchnął i znów wykonał gest w stronę Jagerskiölda, który powiedział trochę za szybko:

- Mieliśmy atak hackerski, zgadza się, ale nie mamy pojęcia skąd, więc nie mieliśmy obowiązku tego zgłaszać.

- W pańskiej wypowiedzi jest wiele interesujących elementów - stwierdziła Kerstin Holm.

- W tym dwa kłamstwa. Choć tylko jedno oczywiste.

Sara Svenhagen podchwyciła spojrzenie Holm i zdała sobie sprawę, jak wygląda sytuacja. Przede wszystkim wciąż miały asa w rękawie. Z zamyśloną miną powiedziała:

- Zajmujecie się badaniami i rozwojem leków, które według oficjalnego opisu waszej działalności zaliczają się do kategorii „the utmost degree of secrecy”. I co zrobiliście, kiedy odkryliście atak hackerski? Zupełnie nic? Naprawdę?

- Zespół menedżerski dyskutuje o zmianie procedur - odparł sztywno Peder Jagerskiöld.

- Au! - powiedziała Sara Svenhagen i wzdrygnęła się, jakby się oparzyła.

Kolejne oczywiste kłamstwo.

Kerstin Holm ciągnęła:

- Pozwoliłyśmy sobie sprawdzić, *dlatego* postanowiliście nie

zgłaszać tego na policję. Wynajmujecie przecież firmę ochroniarską.

- Chyba byłoby dziwne, gdybyśmy jej nie wynajmowali - zauważył spokojnie Hannes Grönlund.

- Firmy ochroniarskie specjalizujące się w cyberszpiegostwie mają znacznie większe możliwości niż policja. Przede wszystkim jeśli chodzi o środki.

- Także jeśli chodzi o Chiny?

- Wcale nie wiemy, czy chodzi o Chiny - odparł Grönlund. - To panie tak twierdzą. A to znaczy, że wiecie więcej od nas.

- Brzmi to bardzo niepokojąco - podsunął Jagerskiöld.

- Jeśli nasza firma ochroniarska dojdzie do takich samych wniosków jak panie, oczywiście zgłosimy to wydarzenie na policję - zapewnił Grönlund. - Ale wciąż nie widzę żadnego powodu, dla którego obaj musieliśmy wrócić z urlopu.

- To przecież śmieszne - dodał Jagerskiöld.

- Firma ochroniarska, z której usług korzystacie, nazywa się Inveniet Security Group AB, prawda? - spytała Kerstin Holm, z nosem w papierach.

- Tak - potwierdził Jagerskiöld.

- Inveniet ma z kolei podwykonawcę o nazwie Chu- Jung, z siedzibą w Szanghaju.

- Chciałbym zauważyć, że mają co najmniej trzydziestu podwykonawców na całym świecie.

- Ale tylko Chu- Jung otrzymała niedawno pokaźną zaliczkę. Przelewu dokonano z Inveniet Security Group AB.

- Mają wielu klientów. Prowadzą równocześnie wiele interesów.

- Między innymi z chińską mafią, bo to przecież ona stoi za organizacją Chu- Jung. Chińska policja bardzo jasno dała nam to do zrozumienia - powiedziała Kerstin Holm.

- Słyszałem te pogłoski - wzruszył ramionami Jagerskiöld. - Wspomnieliśmy o sprawie Inveniet, ale o ile wiem, niczego nie dało się udowodnić.

- A twardziele czasem się przydają?

- Nie wiem, do czego pani zmierza, pani komisarz. Ale jak widać, niewiele pani wie o branży ochroniarskiej.

- To proszę mi opowiedzieć.

Jagerskiöld zerknął pośpiesznie na swojego hipsterskiego dyrektora, ten jednak utkwił wzrok w suficie i wyglądał, jakby był gdzieś bardzo daleko.

- Wynajmuje się kogoś, żeby rozwiązać problem - wycodził powoli Jagerskiöld. - Ten problem prawie zawsze jest w jakiś sposób niezgodny z prawem. Policja musi zawsze przestrzegać prawa, firmy ochroniarskie mają inne kontakty. Jeszcze żaden dorosły człowiek nie wyszedł dobrze na naiwności i chyba w międzynarodowym biznesie nie znajdzie się nikt, kto nie rozumie, że błyskawiczne niezgodne z prawem działanie jest czasem koniecznością.

- Wie pan, co znaczy Chu- Jung? - spytała Kerstin Holm z dobrze udawaną naiwnością.

- Co takiego?

- Chu- Jung to stary chiński bóg. Bóg ognia i egzekucji, który rządzi sprawiedliwością, zemstą i śmiercią.

- To przecież tylko nazwa.

- Która bynajmniej nie sugeruje „błyskawicznego niezgodnego z prawem działania”. Jak wygląda plan? Frontalny atak na chińskie wojsko, jedną z największych machin wojennych na świecie?

- Do diabła, niech pani da spokój. - Peder Jagerskiöld bezradnie rozłożył ręce.

Wtedy Hannes Grönlund przestał patrzeć w sufit i oświadczył:

- Interesuje nas tylko jedno, zlikwidowanie przecieku. Dopilnowanie, żeby to się nie powtórzyło. Nic poza tym.

Kerstin Holm mu się przyglądała.

- Właściwie to najciekawsze jest to połączenie - stwierdziła w końcu.

- Połączenie? - spytał Grönlund z zaciekawieniem w głosie.

- Jest pan dość niezwykłym dyrektorem naczelnym, prawda?

- Wątpię, żeby chodziło tutaj o mnie.

- „Out on bail”?

- Nie przyjechałem tutaj z Orno, żeby jakaś policjantka oceniała to, jak się ubieram - oświadczył spokojnie Grönlund.

- T- shirty i džinsy Steve’a Jobsa to jedna sprawa - odparła Kerstin Holm - To tylko wariant garnituru i krawata. Na jedno wychodzi. To po prostu uniform Ale z panem tak nie jest, prawda?

- Jeśli chce pani na mnie przeprowadzać psychoanalizę, to spóźniła się pani o dziesięć lat - uśmiechnął się Hannes Grönlund.

- Bo wówczas był pan jeszcze najmłodszym w historii profesorem w IGP, Instytucie Immunologii, Genetyki i Patologii na Uniwersytecie w Uppsali. Ale nie był pan do końca zadowolony ze swojej sytuacji.

- Szwedzkie uniwersytety upadają - odparł Grönlund. - Inwestuje się w administrację, czasem w nauczanie. Lecz nigdy w badania. Tak się nie da. Dziś prawdziwe badania prowadzone są zawsze w sektorze prywatnym.

- Kiedy pan odszedł, kończył pan pisanie książki, prawda?

- Naukowcy nie piszą *książek*. Publikuje się artykuły, często zbiorowo. We współpracy.

- Przepraszam. W dwa tysiące drugim wycofał pan w każdym razie artykuł z „Nature”, chyba najbardziej renomowanego czasopisma naukowego na świecie. Napisał go pan razem z dwoma doktorantami z Uppsali. Obaj są teraz zatrudnieni w Bionovii AB, prawda?

Hannes Grönlund przyjrzał się Kerstin Holm i lekko pokiwał głową.

- W życiu zdarzają się takie chwile, kiedy nawet najbystrzejszy człowiek nie doceni swojego przeciwnika. To są najmniej chwalebne chwile w jego życiu. Ale też najwięcej można się z nich nauczyć.

- Nie doceniliście Chińczyków?

- Nie - odparł Grönlund. - Nie doceniłem *pani*, pani Kerstin Holm.

- Tamtego artykułu nie sposób zdobyć.
- Tak to powinno działać.
- Tyle że tak nie działa. Nie do końca. Zawsze jest jakiś przeciek.
- Nie bez pokaźnej łapówki. Kogo pani przekupiła, pani Kerstin Holm?
- Nigdy nikogo nie przekupiłam i nie zamierzam tego robić. Tym się właśnie różnimy, panie Grönlund.
- Przypuszczam, że mówi pani teraz o pieniądzach, ale istnieją bardzo różne rodzaje przekupstwa. Chyba wiem, kogo pani ma na myśli i o jaki rodzaj łapówki chodziło.
- W takim razie niech mi pan powie.
- O uznanie.
- To nie wystarczy.
- Ależ tak.
- Co pan ma na myśli?
- Zrobiła pani to samo, co teraz ze mną, pani Kerstin Holm. Patrzyła mi pani w oczy i traktowała go poważnie. Gdyby tylko pani wiedziała, ile można w ten sposób osiągnąć...
- W ten sposób traktuję ludzi. Chyba że są skończonymi idiotami.
- Pewnie jest pani świetną policjantką. Mówię o Johanie Bergströmie.
- Ach tak - powiedziała spokojnie Kerstin Holm.
- Wreszcie pani nie wie, co powiedzieć.
- Myśli pan, że rozmawiałam z jakimś Johanem Bergströmem?
- Nie myślę. Ja to *wiem*.
- W takim razie pewnie jest panu znane białko o nazwie miostatyna?
- Oczywiście.
- Ten artykuł w „Nature”, który pan wycofał, dotyczył genu kodującego miostatynę, prawda?
- Wycofałem ten artykuł. Mam nadzieję, że pani o tym pamięta. Już go nie ma.
- Jest pan genetykiem, panie Grönlund. Był pan najmłodszym

szwedzkim profesorem genetyki w historii. A potem, kiedy przyszła pora, żeby postawić kropkę nad i, odszedł pan, bo „dziś prawdziwe badania prowadzone są zawsze w sektorze prywatnym”.

- Wcale nie odszedłem. Wręcz przeciwnie.

- Został pan przedsiębiorcą?

- Przypuszczam, że mimo wszystko pani wie, w jakiej żyjemy epoce, pani Kerstin Holm.

- Świetnie to wiem, panie Grönlund. Gen kodujący miostatynę nazywa się MSTN, prawda?

- Lubię studentów, którzy odrabiają zadania domowe.

- A miogeneza to proces powstawania mięśni.

- Zgadza się.

- A miocyt to komórka mięśniowa, powstająca z mioblastów i zawierająca miofibryle. I to się wiąże z pojęciami takimi jak miokardium i myometrium?

- To też się zgadza.

- Strasznie dużo tego „mio”...

- Obawiam się, że nie rozumiem...

- Projekt Mio - powiedziała Kerstin Holm.

As z rękawa, pomyślała Sara Svenhagen i przyłapała się na tym, że uśmiecha się pod nosem. Spojrzenie Hannęsa Grönlunda powędrowało powoli do Pedera Jagerskiölda, który od dłuższej chwili próbował zwrócić na siebie uwagę szefa. Sara Svenhagen to widziała, ale starała się siedzieć najspokojniej, jak tylko mogła. Teraz zobaczyła, że również na twarzy Grönlunda pojawił się uśmiech.

- Jeszcze raz powtórzę: lubię studentów, którzy odrabiają zadania domowe.

- Czym jest Projekt Mio? - zapytała Kerstin Holm.

- Nie może pani wiedzieć o Projekcie Mio - odparł spokojnie Grönlund. - To niemożliwe.

- Wydaje mi się, że wkrótce się pan przekona, do czego jest zdolna amerykańska National Security Agency...

- W tym miejscu musimy przerwać - odezwał się nagle Peder

Jagerskiöld i wstał. - Dziękujemy, że zechciałyście panie przyjść.

- Już za późno, Peder - powiedział Hannes Grönlund. - I tak jest dobrze.

- Określenie Projekt Mio figurowało w materiałach o ataku hakerskim - powiedziała Kerstin Holm - Ale nic poza tym. Czego to dotyczy?

- Mięśni - odparł Grönlund. - Wszystko, co ma prefiks „mio”, dotyczy mięśni.

- A dokładniej genu MSTN odpowiadającego za miostatynę, która z kolei hamuje przyrost mięśni, tak?

- To podstawowe badania - powiedział Grönlund. - Miostatyna jest białkiem ograniczającym rozwój tkanki mięśniowej. Prawdopodobnie działa na zasadzie blokowania komórek macierzystych w mięśniach, ale dokładnie nie wiemy.

- I tego dotyczył ten wycofany artykuł?

- Machina działa tak bezgranicznie opornie. Przyszło mi do głowy, że będzie mi łatwiej pracować nad tą kwestią na wolnym rynku. A biotechnologia i genetyka okazały się być całkiem na czasie. Inwestorzy kapitału wysokiego ryzyka zlecieli się z całej Europy. Finansowani jesteśmy przez udziałowców z Niemiec, Polski i ze Szwajcarii, pod warunkiem że to ja prowadzę firmę. Ja i moi doktoranci dostaliśmy szansę pracy nad Projektem Mio, kiedy produkowaliśmy tak banalne rzeczy jak osoczopochodne leki białkowe. Komputery całej naszej trójki zostały zhakowane.

- Pana i pańskich dwóch doktorantów?

- Tak. Nasza trójka stanowi trzon zespołu badawczego.

- I na czym polega ten projekt? - spytała Kerstin Holm

- Na kontroli genu MSTN.

- Który z kolei decyduje o produkcji miostatyny?

- Który decyduje, ile mamy mięśni.

Kerstin Holm i Sara Svenhagen szybko, pewnie niedostrzegalnie, wymieniły spojrzenia.

- A jakie miałyby być praktyczne zastosowanie? - spytała Kerstin Holm po chwili milczenia.

Hannes Grönlund wzruszył ramionami.

- Jeśli chodzi o nas, to chcemy opracować preparat, który mógłby leczyć wszystkie formy dystrofii mięśniowych. Wszystkie choroby, które powodują zanik mięśni. Chodzi o wielomiliardowe interesy.

- A pan?

Grönlund się roześmiał.

- No cóż, pani Kerstin Holm, jeśli chodzi o mnie, to chcę zrozumieć, jak działają geny, jak działa samo życie. Jestem podzielony na dwoje. Z jednej strony praktyczny biznesmen, z drugiej badacz teoretyk, który poświęca się czystej wiedzy. Ale ten badacz to moje prawdziwe ja.

- A co z Chińczykami?

- Widzę, że trafiła kosa na kamień. Doceniam to. Ujmę to tak... Jakies piętnaście lat temu, kiedy odkryto miostatynę i gen MSTN, naukowcom udało się wyhodować grupę myszy bez MSTN. Były dwukrotnie silniejsze niż zwykłe myszy.

- Ale teraz już nie chodzi o myszy, prawda?

- Nie - Hannes Grönlund wstał. - Teraz już nie chodzi o myszy.

Gdy Kerstin Holm wyciągnęła rękę na pożegnanie, pochylił się w jej stronę, jakby chciał ją uścisnąć. Sara Svenhagen i Peder Jagerskiöld przyglądali się im sceptycznie.

Kiedy stamtąd wyszły, nad Hornsbergs Strand zdążyły się zebrać chmury. Kerstin Holm uparcie milczała, więc w końcu odezwała się Sara Svenhagen.

- Podsumujmy. Chińczycy chcą mieć większe mięśnie.

- Domyślam się, że nawet nie mamy pojęcia, jakie mogą być konsekwencje - powiedziała cicho Holm

Ale Svenhagen jeszcze nie skończyła.

- Mam dwa pytania.

- Zamieniam się w słuch - odparła Kerstin.

- Pierwsze pytanie: kto to, u diabła, jest Johan Bergström?

Kerstin uśmiechnęła się słabo.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Sara Svenhagen przyglądała jej się, zdumiona.

- Skąd wytrzasnąłeś te wszystkie informacje o MSTN i

miostatynie?

- Praktykantka z „Nature” się wygadała - powiedziała Kerstin. - Nie chciałam, by się wydało, że to ona. A drugie pytanie?

- Drugie pytanie brzmi: co ci szepnął?

- Co?

- Tak słodko to wyglądało, kiedy profesor pochylił się w twoją stronę i cię uściskał... Ale co ci szepnął?

- Dwa słowa - odparła Kerstin i znów się uśmiechnęła, choć tym razem z troską.

- No to dawaj.

A Kerstin Holm powiedziała:

- Gustaf Horn.

Koziół ofiarny

Haga, 31 lipca

CIEMNE OCZY. A w nich spokój. Uśmiech.

- Czujesz się lepiej? - spytała Ruth.
- Nie bardzo - odparł Paul.
- Od pogrzebu minął tydzień.
- Naprawdę?
- Potrafisz oddzielić to, co czujesz, od tego, co robisz?
- Potrafisz zadawać bardziej zrozumiałe pytania?
- To by było poniżej twojej godności.
- Poniżej zera?
- Nawet nie masz *pojęcia*, czym jest zero. Nie bądź taki napuszony.
- Zakładam, że twoje pytanie oznacza, że chcesz wiedzieć, co robię?
- Nie sądzę, żeby twoje uczucia dało się oddzielić od tego, co robisz zawodowo. Na tym może nawet polegać jeden z problemów.
- Przyznaj się, że po prostu jesteś ciekawa. Jak to dobrze, że obowiązuje cię tajemnica. Najwyższe kierownictwo Europolu zagwarantowało mi, że mogę opowiedzieć ci o wszystkim. Ponoć jesteś jedynym psychiatrą w Europie, który ma dostęp do tak wysokiej klauzuli tajności.
- A naprawdę to robisz, Paul? Mówisz mi o wszystkim? Dość już tych murów ochronnych. Co się dzieje w twoim świecie?
- Naprawdę chcesz wiedzieć? Wiem, że oficjalnie mam prawo opowiedzieć ci o wszystkim, ale czy naprawdę tego chcesz? Szczerze?
- To będzie przynajmniej dobry początek.
- No dobra. Pracujemy na trzy fronty, żeby znaleźć mordercę

Donatelli Bruno. Mamy wyniki badania z miejsca zbrodni, wysłany mailem film i materiały z nieoficjalnego śledztwa Donatelli i. W tej chwili żadna z tych rzeczy nie zapowiada się specjalnie obiecująco. A tymczasem Fabio i Lavinia gniją w jakiejś szopie, nie wiadomo gdzie.

- Przez dwa lata myślałeś, że nie żyją...
- Byłem naiwny. Okazałem zaufanie. Muszę z tym skończyć.
- Zaufałeś włoskiej policji?
- Tak. Nie miałem pojęcia, jak bezgraniczny jest protekcjonizm w europejskiej policji.
- Ufasz w ogóle komukolwiek?
- Nie chcę być pesymistą. To mi nigdy nie leżało. Chcę wierzyć, że gdzieś na najgłębszym poziomie człowiek jest może niekoniecznie dobry, ale przynajmniej jest istotą społeczną. Chcemy współżyć, nie chcemy być sami. Chcemy dobrze się czuć wśród ludzi, którzy też dobrze się czują. Jeśli przestanę ufać, to będzie dla mnie koniec.
- To dobry punkt wyjścia. Tyle że w tej chwili jesteś dość samotny.
- Tam na końcu był znak zapytania?
- W ogóle za dużo mówię. Odejmę ci te minuty od rachunku.
- Który i tak pokrywa Europol.
- Europol, twoja rodzina.
- Nie, oni są bardziej jak męczący krewni. Jeśli już ktoś jest moją rodziną, to grupa Opcop.
- Naprawdę łączy cię z nimi silna więź emocjonalna. Jesteś dla nich ojcem?
- Mam własne dzieci. Danne jest policjantem i służy w Tumba, na tych samych przedmieściach, gdzie się wychowałem. Tova studiuje politologię w Cambridge. Dobrze sobie radzą, jestem z nich dumny.
- Dumny, choć nieobecny.
- Wciąż za dużo mówisz.
- Masz rację.
- Tak, jestem trochę nieobecny. Ale są już dorośli, mają własne

życie. Jestem dla nich cieniem z przeszłości i niewiele ponadto.

- Nawet ty sam w to nie wierzysz.

- Nie.

- Wydaje mi się, że próbowałeś tylko wykręcić się od odpowiedzi na moje pytanie o twoją silną więź z grupą Opcop.

- Pewnie masz rację.

- Boli cię to?

- Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak zabolala mnie śmierć Fabia Tebaldiego i Lavinii Potorac. A jednak to było nic w porównaniu z tym, co czułem, kiedy dowiedziałem się, że żyją. I równocześnie zginęła Donatella. To się tak diabolicznie zbiegło w czasie, że trudno mi się w tym połapać.

- Chodzi ci o motyw?

- Tak... albo raczej... sam nie wiem... *cel*?

- Myślisz, że to jest wymierzone w ciebie osobiście?

Po raz pierwszy na dłuższą chwilę zapadła cisza. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy naprawdę zaczynał tracić rozum? Nie było na to czasu, możliwości. Wręcz przeciwnie, powinien przechodzić samego siebie.

- To mnie niespecjalnie interesuje - odparł. - Może raczej jest tak, że ktoś chce, *żebym tak pomyślał*. Żebym odchodził od zmysłów.

- Film wysłano przecież do ciebie.

- Myślę jednak, że raczej do grupy Opcop. Ktoś chce bardzo wyraźnie dać nam do zrozumienia, że wie o naszym istnieniu.

- A coś poza tym?

- Myślę, że zasadniczo chodzi o koncepcję paneuropejskiej policji. Jesteśmy awangardą tej koncepcji. Jeśli nam się nie uda, może upadnie cała idea europejskiego FBI.

- Chcesz powiedzieć, że to może być polityczne?

- A da się jeszcze odróżnić politykę od biznesu?

- Myślisz, że to mafia? Kilka współpracujących ze sobą mafii?

- W pewnym sensie tak. Można sobie wyobrazić wiele scenariuszy. Jeden z nich wygląda tak: ponad dwa lata temu, kiedy Fabio Tebaldi wyjechał do Włoch, być może mafia nie

wiedziała, czym się właściwie zajmował.

- A teraz?

- Po dwóch latach tortur... kto to może wiedzieć?

Ruth powoli pokiwała głową.

- Czyli teraz mafia dowiedziała się wszystkiego o grupie Opcop, dotarła do jej szefa i do nieoficjalnego śledztwa prowadzonego jeszcze bardziej tajnie przez jedną z policjantek z tej grupy, zamordowała tę policjantkę i równocześnie zabiła mafiosa, którego ruchy mogliście śledzić. I ten jeden wielki wybuch miał też poinformować ciebie, właśnie ciebie, Paulu Hjelm, że ktoś wie o *wszystkim*.

- To brzmi zbyt pasywnie.

- Myślisz, że chodzi o bardziej aktywne działania?

- Myślę, że znaleźli sposób, by rozkazać Europie, całej Unii Europejskiej, żeby trzymała się z dala od ich interesów.

- Ale czy to też nie jest zbyt pasywne?

- Wiem, co masz na myśli.

- Chcą dobrać się do *ciebie*, Paulu Hjelm, kimkolwiek są.

- Jak to miło, że jesteś, Ruth, i że mnie pocieszasz.

- Podaj mi szczegóły.

- Czy to nie ma być rozmowa o mojej psychice?

- Tak. Więc podaj mi wszystkie szczegóły. Chcę wiedzieć, jak daleko zaszliście.

- Badanie miejsca zbrodni do niczego nie doprowadziło. Wszystko wskazuje na to, że bomba miała zapalnik czasowy i mechanizm wyzwalający, który został uaktywniony, kiedy otworzono paczkę. Materiał wybuchowy to bardzo silna płynna substancja, dziesięć razy mocniejsza od nitrogliceryny, używa się jej między innymi do wyburzania budynków zabezpieczonych na wypadek trzęsienia ziemi. A wojsko na całym świecie używa jej do wysadzania obiektów opancerzonych. To może, ale nie musi, wskazywać na udział wojska. Choć dziś wojsko nie znaczy już to samo co kiedyś.

- Ale? - spytała Ruth.

- Ale? - powtórzył Holm.

- Miałeś na końcu języka jakieś „ale”.

- No cóż, może to: w wybuchu zginęło osiem osób, w tym dwoje małych dzieci. Trudno znaleźć wojsko, które tak działa. To również wskazuje na mafię.

- Tyle tylko, że to nie to „ale”, o które mi chodziło.

- To może to: materiał wybuchowy przypomina ten znaleziony w szklanej kuli, której niedawno próbowano użyć podczas przemówienia komisarz UE, Mariannę Barriere. Z drugiej strony to dość pospolity materiał wybuchowy, więc to nie musi nic oznaczać.

- Dalej nie jestem przekonana, czy o to „ale” mi chodziło.

- To może o to: bocznym tropem w związku z badaniem miejsca zbrodni jest to, *jak* bomba trafiła do mieszkania Donatelli Bruno. Oczywiście mogła zostać podrzucona, na przykład do jej torebki, tyle że mechanizm wyzwalający musiał zostać uaktywniony przez nacisk lub pociągnięcie, na przykład przy otwieraniu paczki. Nigdy nie otworzyłaby paczki z nieznanego źródła. A więc prawdopodobnie paczkę *dostarczono* tamtego wieczoru w takiej formie, że błędnie uznała, iż może ją bezpiecznie otworzyć. Prawdopodobnie zawierała głowę mafiosa Antonio Rossiego.

- Kto dostarczył tę paczkę?

- Sprawdziliśmy wszelkie możliwe firmy kurierskie i wszelkie możliwe kamery. I nic.

- Czy posłaniec nie *powinien* się nagrać na filmie z którejś z kamer?

- Tak, jest kilka kamer, które powinny były wychwycić posłańca, gdyby zjawił się w normalny sposób. Ta osoba wiedziała, gdzie są kamery, i ich unikała, no i nie działała na zlecenie żadnej firmy kurierskiej.

- Mafia?

- Raczej jacyś ich pomagierzy dwadzieścia sześciu niżej, lecz ten ktoś wykonał swoje zadanie bez zarzutu.

- A co dalej? Co z tym filmem, który ci przysłano?

- Niestety, niewiele z niego wynika. To konto na Hotmailu

zostało użyte tylko jeden jedyny raz. Natomiast komputer, na którym je utworzono, znajduje się w kawiarence internetowej w Rzymie. Więc to chyba przemawia za Włochami.

- Konto utworzono tuż przed wysłaniem maila?

- Nie, dwa tygodnie wcześniej. I nikt z kawiarenki internetowej nie był w stanie powiedzieć, co się wtedy akurat działo. Nie da się ustalić, skąd wysłano maila. Potem jest jeszcze sam film. Został nagrany komórką, według ekspertów najprawdopodobniej iPhone'em 4. Zespół botaników próbował przeanalizować roślinność pojawiającą się na filmie, a zespół specjalistów z zakresu historii architektury i inżynierów analizował budynek, przed którym siedzą Fabio i Lavinia. To drugie nic nie dało; budynek to szopa, która może się znajdować gdziekolwiek na świecie, no może z wyjątkiem Grenlandii i Antarktydy. Botanicy wyłapali dąb w de, a więc prawdopodobnie chodzi o Europę albo Amerykę Północną. I kwiatek o łacińskiej nazwie *Aster alpinus*, przypominający malutkie margaretki, liliowy, z żółtym środkiem. Rośnie dziko właściwie na całej półkuli północnej, zwłaszcza w rejonach górskich. Jako roślina ozdobna może jednak rosnąć wszędzie.

- Czyli filmował to ktoś, kto wie, jak uniknąć wpadki.

- Nie ma żadnych wątpliwości, że Tebaldiego i Potorac posadzono tak, żeby film nie podsunął żadnych tropów. Mamy do czynienia z doświadczonymi przestępcami. Prawdopodobnie europejskimi. Być może z jakiegoś rejonu górskiego.

- A co z dźwiękiem?

- Plik dźwiękowy został poddany starannej analizie. Słychać kroki kamerzysty na trawie i trochę zbyt ciężki oddech, zapewne palacza. Słychać też świerszcze.

- Świerszcze czy koniki polne?

Paul Hjelm się roześmiał.

- Naprawdę jesteś „jedną z najbardziej doświadczonych psychiatrów policyjnych w Europie”.

- Z biegiem lat policyjne śledztwa zaczęły mnie interesować -

odparła Ruth, wydawała się przy tym nawet trochę zakłopotana, choć to pewnie było udawane.

- W tym kontekście to jak najbardziej słuszne pytanie - powiedział Paul Hjelm. - Ściągnęliśmy do tego grupę zoologów, którzy odpowiedzieli na nie. To świerszcze. Na północy Europy mówimy, że „grają świerszcze”, ale to nie prawda. U nas grają szarańczaki i pasikoniki, i robią to trochę inaczej. Świerszcze zaczynają grać gdzieś pośrodku Europy, najczęściej na południe od Alp.

- Co powiesz na domysł: „jakiś rejon górski w południowej Europie”?

- Że to właśnie to, domysł.

- No to przejdźmy do najważniejszej rzeczy - powiedziała Ruth.

- Tebaldi i Potorac są przetrzymywani jako zakładnicy w jakiejś szopie w rejonach górskich na południu Włoch, przetrwali ponad dwa lata w bardzo ciężkich warunkach i w pewnym sensie musieli się cholernie starać, żeby przetrwać. W przeciwnym razie pewnie by się poddali, umarli albo odebrali sobie życie. Prawdopodobnie byli po raz pierwszy filmowani, bo tu nie chodzi o przestępców, którzy chcą pozostawić po sobie ślady, po prostu aż do tej pory nie mieli żadnych powodów, żeby filmować swoich zakładników. To nie ten typ niechlujnych przestępców, którzy nagrywają swoje zbrodnie, a potem je pokazują na firmowych imprezach albo na YouTubie. Jak na razie mam rację?

- Jak najbardziej - potwierdził Paul Hjelm.

- Czy to w takim razie nie znaczy że Tebaldi i Potorac oszczędzali siły właśnie na tę chwilę? Może wymyślili jakiś sposób, by skomunikować się z wami bez słów? Żadne z nich nie daje wam jakiegoś znaku?

- Sama zobacz.

Ruth wzdygnęła się lekko. To znaczy poruszyła się odrobinę do tyłu na fotelu, obok kozetki w dość przestronnym i staromodnym gabinecie na starówce w Hadze. Hjelm wyciągnął z kieszeni telefon, ale nie od razu go jej podał.

- Nie musisz tego oglądać - powiedział.
- Myślę, że będzie lepiej, jeśli skupimy się na tobie.
- Wydawało mi się, że właśnie to robimy.

Ruth się uśmiechnęła i wstała. Hjelm usiadł na kozetce. Przysiadła obok niego.

- Przypuszczam, że to nie jest zwykła komórka - stwierdziła.
- Bądź cicho i patrz.

Paul uruchomił film. Pokazywał on dwoje ludzi siedzących pod ścianą jakiegoś budynku, sfilmowanych z odległości jakichś piętnastu metrów. Na dworze, w dziennym świetle. Kamera podjechała bliżej. Mężczyzna był pokryty bliznami, wyniszczony, brudny, zarośnięty i trzymał w rękach gazetę „La Repubblica”. Kobieta wyglądała na co najmniej równie sponiewieraną. Nie miała zębów. W końcu zaschnięte usta mężczyzny ułożyły się w dwa słowa:

- Pomóż nam.

Potem film się skończył.

Paul Hjelm obserwował Ruth. Powoli pokręciła głowę, jakby chciała się otrząsnąć z ludzkiego okrucieństwa. A może dlatego, że nie zobaczyła tego, co chciała zobaczyć. Dała mu znak ręką i jeszcze raz odtworzył drugą część filmu.

- Sprawdziliście, na jakim fragmencie gazety trzyma ręce?

- Tak - odparł Hjelm. - Tak jak teraz, nie da się nic odczytać, rozdzielczość jest za słaba, poza tym prawą ręką wskazuje w powietrze. Ale faktycznie można sobie wyobrazić, że palcem wskazującym lewej ręki pokazuje na jakiś fragment. Dokładne pomiary wykazały, że wskazuje na ustęp o włoskim futbolu.

- O futbolu? - W głosie Ruth słychać było rozczarowanie.

- Słyszałem kiedyś, jak Fabio Tebaldi mówił, że był obiecującym piłkarzem...

- I teraz ściągnęliście do siedziby Europolu grupę ekspertów od piłki nożnej, żeby to odszyfrowali?

Hjelm długo i głośno się śmiał.

- Mniej więcej - powiedział w końcu. - To artykuł o tak zwanym

„kryzysie” dwóch rzymskich drużyn, Lazio i Romy, które zakończyły sezon w Serie A na piątym i szóstym miejscu, za Napoli, z miasta kryzysów Neapolu, i za Udinese, z małego Udine na północy Włoch. Gdzieś w połowie tej krytycznej analizy znajduje się fragment, na który wskazuje Fabio. Brzmi on: „przyczyn kryzysu doszukać się można przede wszystkim w miernej rekrutacji zagranicznych zawodników”.

- I znasz to na pamięć?

- W ostatnich dniach walczyliśmy to na wszystkie strony, zapewniam cię. Wszyscy z grupy znają to na pamięć.

- Sądzicie, że Tebaldi chciał coś przez to przekazać?

- Poczekaj, mam inny film.

Hjelm znalazł w komórce inny plik. Na wyświetlaczu pojawiła się powiększona twarz Fabia Tebaldiego. Rozdzielczość była kiepska, ale to, co potem nastąpiło, nie wydawało się przez to ani trochę mniej przerażające. Film odtwarzał się niezwykle powoli i kiedy Tebaldi wypowiedział słowa „Pomóż nam”, nie było to już wzruszające, a raczej straszne, taka mroczna, przeciągła, głucha masa dźwięków, która sprawiła, że na zaskakująco owłosionych rękach Ruth pojawiła się gęsia skórka.

- No i? - powiedziała.

- Poczekaj chwilę - odparł Paul.

Wtedy Tebaldi poruszył oczami i nawet w tak skrajnie zwolnionym tempie ten ruch był błyskawiczny; pośpieszne zerknięcie w dół, na lewo.

- Świadome? - spytał Hjelm, odkładając telefon do kieszeni.

Ruth wstała i wzruszyła ramionami. Wydawały się napięte i nienaturalnie uniesione, kiedy wracała na swój fotel. Hjelm znów położył się na kozetce.

- Faktycznie wyglądało to na świadome - mruknęła Ruth i usiadła. - I jak to interpretujecie?

- Tak, że ktoś wcisnął mu w rękę gazetę kilka minut wcześniej i Fabio miał szansę pobieżnie ją przejrzeć. Może znalazł jakieś sformułowanie i faktycznie chciał, żebyśmy je przeczytali. A my nie potrafimy go zinterpretować. Kryzys wywołany „mierną

rekrutacją zagranicznych zawodników”?

- Ale chyba macie jakąś interpretację?

- Chodzi chyba o to, że w sprawę zamieszany jest ktoś z zagranicy, albo o kiepską rekrutację. Ale co chciał przez to powiedzieć? Jasne, nie ma się zbyt dużego wyboru, kiedy ktoś pośpiesznie wciska ci w rękę pierwszą lepszą gazetę, a ty próbujesz w tekście wyszukać jakieś przesłanie, lecz jeśli się przeczyta pierwszą stronę tej „La Repubblica”, a zapewniam cię, że robiliśmy to wiele razy, można znaleźć o wiele jaśniejsze zdania. Ale Fabio chciał nam przekazać *właśnie to* i za cholere nie wiemy, co to znaczy. To nas nie posuwa ani o krok naprzód.

- Może to samokrytyka? Że to on jest efektem tej miernej rekrutacji, miernym zawodnikiem z Włoch?

- Większość osób z grupy chyba tak uważa.

- Ale nie ty?

- Nie zrobiłby czegoś takiego po tych wszystkich latach. Po co marnować czas i siły na coś takiego?

- Inna krytyka? Wymierzona w kogoś innego?

- Jeśli tak, to najprędzej...

- W *ciebie*?

- Cały czas do tego wracasz...

- Obawiam się, że za bardzo się oskarżasz, Paul. To czyni z ciebie nie tylko bardziej nieszczęśliwego człowieka, ale też gorszego policjanta.

- A twoje zadanie polega na tym, żeby zrobić ze mnie lepszego policjanta czy raczej szczęśliwszego człowieka?

- Sam stwierdziłeś, kto pokrywa twoje rachunki. Chodzi mi o to, że oba te cele się pokrywają.

- Tylko czy to nie czyni ze mnie klasycznego pracoholika?

- Wydaje mi się, że to trochę bardziej skomplikowane. Nigdy nie byłeś tak pełny życia jak od chwili, gdy zacząłeś pracować w Opcop. To się ze sobą wiąże. Zaspokajasz tam *prawie* wszystkie swoje potrzeby. Jesteś świeżo po ślubie, prawda?

- I to był popieprzony początek małżeństwa...

- I to też twoja wina, tak?

- Zdecydowanie moja.
- Później do tego wrócimy. Jak wam idzie badanie materiałów z nieoficjalnego śledztwa Donatelli Bruno?
- Naprawdę skaczesz z tematu na temat.
- Przecież to ci właśnie odpowiada, Paul.
- Jak dotąd to trochę rozczarowujące.
- Nasze rozmowy?
- Właśnie.

Paul Hjelm obserwował twarz Ruth i dostrzegł cieniutką zmarszczkę, która podzieliła jej czoło na dwoje.

- Nie - zapewnił wesoło. - Materiały ze śledztwa Bruno. - Zmarszczka znikła, więc ciągnął dalej: - Zaczynamy niestety sądzić, że najważniejsze materiały wyleciały w powietrze razem z Donatellą. Miała na komputerze w pracy katalog oznaczony „Prywatne” i bardzo obiecująco to wyglądało. Zawiera mnóstwo informacji o tym, jak jej śledztwo posuwa się naprzód, tyle że bardzo niewiele źródeł. Próbowaliśmy się połączyć, jak właściwie wyglądało śledztwo włoskiej policji w sprawie wysadzenia tego zameczku w Bazylikacie i kto je prowadził, lecz nawet tak podstawowe fakty trudno ustalić. Mamy nadzieję, że uda nam się znaleźć jakąś tajną kryjówkę. Wiele można powiedzieć o Donatelli Bruno, ale na pewno nie to, że była naiwna. Wiedziała, jakim siłom rzuca wyzwanie. Gorączkowo szukamy wskazówek o jakiejś skrytce bankowej, stronie internetowej albo schowku. Tyle że to obszerny materiał.

- Który mimo wszystko da się jakoś podsumować?
- Od biedy. Imponujące jest to, że nic nie zakładała z góry, tak jak to zwykle robią zwolennicy teorii spiskowych. Nie postanowiła od początku, co znajdzie, bo, jak wiesz, takie nastawienie uniemożliwia jakiegokolwiek śledztwo, tylko grzebała w tym bez żadnych uprzedzeń. Tu i ówdzie zdarzają się jednak przeskoki myślowe, które nie do końca pasują do reszty. W jednym z takich miejsc pisze: „według R”. Ten R to jeden z elementów, w których pokładamy nadzieję. Ale to jak szukanie igły w stogu siana.

- W którym źdźbła mogą być ostrzejsze od samej igły...
- Za dużo rozmawiasz z policjantami, Ruth. Powinnaś poszerzyć działalność.
- Ale przecież to wy jesteście najbardziej chorzy.
- O tym nie pomyślałem
- *Jeden z elementów, w których pokładacie nadzieję? Czyli jest ich więcej?*
- Chyba wiesz, że nadzieja umiera ostatnia?
- Niestety nie sądzę, żeby to była prawda. Choć z drugiej strony studiowałam klasyczną psychoanalizę. Dopiero kiedy człowiek uwolni się od nadziei, zaczyna żyć.
- Chyba nawet ty sama w to nie wierzysz.
- Nie.
- Inną nadzieją jest Fusiarz.
- Jak to cudownie zagadkowo brzmi.
- Tebaldi został skazany na śmierć przez kalabryjską mafię, 'ndranghetę. Mimo to wyjechał do Włoch i zostawił ochroniarzy w Hadze. Wspomniał Donatelli Bruno o pewnej istotnej rzeczy. Jeśli na jakichś ważnych papierach była plama po kawie, potwierdzało to, że są autentyczne, mimo całej atmosfery zdrady. Bruno była przekonana, że Tebaldiego zdradził ten Fusiarz, jedyny człowiek, któremu Fabio ufał. Sądzimy, że to od niego dostał informację, kiedy wyjechał do Włoch i tam zginął. A więc wygląda na to, że Fusiarz brał czynny udział w porwaniu Tebaldiego i Potorac.
- Znaleźliście go?
- Nie. Ale dwie osoby tylko tym się teraz zajmują.
- Ciekawe. Osobiste pytanie: kogo wybrałeś do tego zadania?
- Jorge Chavez jest teraz tu, w Hadze.
- No tak, twój towarzysz od lat. Twój własny „Fusiarz”.
- Z tą różnicą, że mnie nie zdradził ani nie rzucił wilkom na pożarcie. To samo dotyczy Angelosa Sifakisa, mojego zastępcy. Oni wyteżają głowy, kiedy ja tu leżę i marnuję cenny czas.
- Dzisiaj jest niedziela, Paul. A jeśli dzisiaj nie pracują?
- Ty przecież pracujesz. Czy psychiatrzy dostają dodatek za

pracę w nietypowych godzinach?

- Czyli R jest informatorem Bruno, a Fusiarz tym, który zdradził Tebaldiego?

- I być może również Donatellę.

- To prawda. Ekscytujące wyzwanie. Tylko nad tym teraz pracujecie?

- Ogólnie tak - odparł Hjelm, z lekkim wahaniem w głosie.

- Aha, wahanie. Dlaczego?

- Mam niezależnych podwładnych, to jakby wchodzi w zakres ich obowiązków, tyle że czasem potrafią być trochę uparci.

- Aha. Masz na myśli Sadestatta.

- Söderstedta. I nie, dla odmiany nie chodzi o niego. Również ci bardziej przyzwyczajeni do hierarchii zaczynają zbyt dużo sobie pozwalać.

- Pozwalać sobie?

- No cóż, właściwie to nie. Ale Felipe Navarro zajmuje się czymś nieoficjalnie i myśli, że o tym nie wiem.

- Ale ty widzisz wszystko?

- Tylko dlatego, że Navarro *chce*, żebym to widział. Raz zakwestionowałem jego decyzję i wymyślił sobie strategię, by mnie przetrzymać. Widział coś w Madrycie i wbił sobie do głowy, że to ważne. Nie udało mu się mnie przekonać, *jak bardzo* ważne.

- Co takiego zobaczył?

- Jakiś nieoficjalny nadzór nad dużą demonstracją.

- Aha. Los Indignados.

- Masz dużą wiedzę ogólną.

- Dla mnie, tak samo jak dla ciebie i dla twoich ludzi, to „jakby wchodzi w zakres obowiązków”. Nadzór?

- To niejasne. Zbyt niejasne. Ale nie zamierzam go powstrzymywać. Jeśli Navarro coś znajdzie, podejmę nową decyzję. Choć tego mu nie powiedziałem.

- Tylko po prostu *nie*?

- Coś w tym stylu. No i jeszcze dziś rano coś się pojawiło. Ze Sztokholmu.

- Aha. Od żonki?

- Tak, krąg się zamyka. Kerstin Holm, która absolutnie nie chce się nazywać Hjelm, sądzi, że jest na tropie chińskiego szpiegostwa przemysłowego wymierzonego w europejską, międzynarodową firmę biochemiczną. Ale ta sprawa jest jeszcze w powijakach. Nie zapadły żadne decyzje.

- Nie chciała się nazywać Hjelm?

- Uważam, że niezależność „jakby wchodzi w zakres obowiązków” również w małżeństwie.

- W takim razie dlaczego tak powiedziałaś?

- No tak. Też się nad tym zastanawiam. I jeśli jest ktoś, kto zna odpowiedź na to pytanie, to właśnie ty, Ruth.

- Jestem lepsza w pytaniach niż w odpowiedziach, Paul.

- Masz naprawdę głównianą robotę. Po prostu powiedz, co myślisz.

- Myślę, że za nią tęsknisz.

W eleganckim gabinecie na dłuższą chwilę zapadła cisza, która wydawała się uginać pod ciężarem wszystkich wypowiedzianych tu słów.

- Tęsknię za nią od wielu lat - powiedział w końcu Paul Hjelm.

- Wiem - uśmiechnęła się Ruth. - We wszystkim zawsze chodzi o coś innego.

- Kiedy jesteś taka zagadkowa, bije od ciebie szczególny blask.

- Co u niej słychać?

- Zawodowo wszystko w porządku. Według Sary Svenhagen ze Sztokholmu była strasznie przenikliwa podczas przesłuchiwania tych biochemików. Ale sama zrobiła z siebie kozła ofiarnego.

- Kozła ofiarnego?

- Wciąż uważa, że jest współwinna śmierci pewnego chińskiego chłopca. Próbowałem jej wyjaśniać, że nie może tak myśleć. Nikt nie może jej obwiniać o śmierć Lianga Zunronga.

- Powoli kończy nam się czas, Paul. Wiesz, jak zamierzałam zakończyć nasze dzisiejsze spotkanie?

- Nie mam pojęcia.

- Ależ masz. To już nie będzie żadna niespodzianka.

- To coś dobrego czy złego?

Ruth uśmiechnęła się szybko.

- Zamierzałam powiedzieć: nic nie jest łatwiejszą wymówką niż wzięcie na siebie całej winy, napawanie się nią, pławienie się w niej jak w ciepłej, przytulnej kąpieli. Można się z tym poczuć jak w domu. A ty, Paulu Hjelm, z czystej wygody zrobiłeś z siebie kozła ofiarnego.

2

DRUGA PARA UCIEKA

Rejon miejskiej rzeźni

Sztokholm, 2 sierpnia

Z PERSPEKTYWY kilku dni najlepszym określeniem na przesłuchanie kierownictwa Bionovii, przeprowadzone przez Kerstin Elolm i Sarę Svenhagen w ki astrze biotechnologicznym na Elornsbergu w Sztokholmie, byłoby zapewne *pyrrusowe zwycięstwo*.

Tak, bardzo dużo się dowiedziały od dyrektora naczelnego Hannesa Grönlunda. I tak, doprowadziły do tego, że młody człowiek, który to wszystko ujawnił, whistleblower Gustaf Horn, został zwolniony.

Jak to ujął stary Grek Pyrrus: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo i będę zgubiony”.

Wczoraj, w poniedziałek, Gustaf Horn przyszedł do pracy w Bionovii i jego przepustka nie zadziałała. Zadzwoił pod te same numery, co zwykle, lecz zupełnie nic to nie dało. Został po prostu wyrzucony i równocześnie wykluczony. Jego *plan* zupełnie spalił na panewce.

Dobę później siedział na sofie w gabinecie Kerstin Holm na posterunku w Sztokholmie i sprawiał wrażenie kompletnie wypalonego. Wczoraj wyglądał inaczej, zapłakany, zrezygnowany, i wtedy nie potrafiła pocieszyć go choćby słowem

Dziś sytuacja się zmieniła. Ona i Sara miały dobę na znalezienie rozwiązania. Nie mogły przecież zmusić Pedera Jagerskiolda i Hannesa Grönlunda, żeby znów go zatrudnili.

Rozwiązanie - na wielu różnych płaszczyznach - brzmiało: Jon Anderson.

Wczoraj, gdy ich dawny kolega z Drużyny A usiadł na sofie, natychmiast zauważył na niej mokre ślady. Przyjrzał im się i w końcu powiedział:

- Łzy?

- *The tears of a whistleblower* - odparła dramatycznie Kerstin Holm.

- Chodzi o *ten* materiał?

- Tak, Jon. Jak wam idzie?

- Jednostka Cztery pracuje co prawda nieustannie i na zmiany, ale dostali ten materiał dopiero niecałą dobę temu. Choć mamy pewne mocne przesłanki.

- No dobrze. Pomyśleć tylko, że to ty to wszystko zaczęłaś, Jon.

- Jakie *wszystko* masz na myśli?

- Ponad dwa lata temu, kiedy przetestowałaś system monitorujący FRA, puściłaś w ruch śnieżną kulę, która pewnie niedługo wywoła wielką lawinę. Ale nie dlatego tutaj jesteś.

- A jednak mam takie wrażenie.

- Odkryłaś związek pomiędzy pewną małą szwedzką firmą meblarską a włoską mafią, co później doprowadziło do wydarzeń, których żadne z nas nie było w stanie przewidzieć. Jesteśmy ci za to bardzo wdzięczni. A teraz chcemy cię prosić o kolejną przysługę.

To było jakiś czas temu. Teraz to Gustaf Horn siedział na tej samej sofie i wyglądał na wypalonego.

- Mam *plan* - powiedziała Kerstin Holm.

Gustaf Horn teraz nie wyglądał już na wypalonego. Raczej na bardzo sceptycznego.

W garażu na posterunku wyszedł im na spotkanie wysoki szczupły mężczyzna i się przedstawił:

- Jestem Jon Anderson, szef jednostki informatycznej Rikskrimu. A ty jesteś ten whisdeblower. Jednostki informatyczne i kapusie kiepsko do siebie pasują.

Prowadziła Sara Svenhagen. Dopiero gdy wyjechali z policyjnego garażu, Gustaf Horn odpowiedział:

- Jeśli chińskie wojsko szpieguje ważną szwedzką firmę, to uważam, że policja powinna o tym wiedzieć. To wszystko.

- Też tak uważam - powiedział Jon Anderson i dodał, zwracając się do Sary Svenhagen: - Rejon miejskiej rzeźni.

Pojechali Fleminggatan na wschód, pokonali Kungsbron i znaleźli się na trasie Söderleden. Minęli ratusz, Riddarholmen, stare miasto, a potem wjechali do tunelu pod Södermalm i znów znaleźli się w dziennym świetle przy Skanstullsbron.

- Dwie rzeczy - zaczął Jon Anderson, odwracając się na miejscu pasażera.

- Do mnie mówisz? - spytał Gustaf Horn i trudno było powiedzieć, czy w jego głosie słychać było więcej przekory, czy niepewności.

- Tak. I chcę, żebyś uważnie mnie posłuchał. Niewiele jest w Szwecji osób, które wiedzą o tym, co wydarzy się w ciągu najbliższej godziny. Słuchasz mnie?

- Tak.

- No dobra - kontynuował Jon Anderson. - Dwie rzeczy. Po pierwsze, ostatni raz byłeś kapusiem. Żądamy od ciebie absolutnego milczenia. Będziesz musiał nawet podpisać wiążące dokumenty. Na razie nadażasz?

- Tak.

- Świetnie. W takim razie druga sprawa. Musisz zdać sobie sprawę, że dostajesz wyjątkową szansę i że nigdy byś jej nie dostał bez Kerstin Holm. Jest najlepszą szefową, jaką kiedykolwiek miałem.

Potem milczeli aż do chwili, gdy wyrósł przed nimi budynek Globen, niczym miniplaneta, która spadła na ziemię. Wóz Europolu okrążył kulę jak mało precyzyjny satelita i wjechał na gigantyczny plac budowy, który dokładnie od wieku nazywany

był „rejonem miejskiej rzeźni”.

Był to dziwny rejon przemysłowy ulegający wielkim przemianom, chaotyczny i równocześnie bardzo uporządkowany. Trzysta tysięcy metrów kwadratowych, do których wciąż w znacznym stopniu pasowała ta nazwa. Ponad połowę setek przedsiębiorstw mieszczących się obecnie w rejonie miejskiej rzeźni wciąż stanowiły firmy z branży spożywczej, w tym również nie mało rzeźni. Obszar ten jednak stawał się też trendy, trendy jak Berlin, liczne kluby rozrastały się i stawały się coraz bardziej modne, a nocą kolejki do nich ciągnęły się aż do Globen.

Mimo to wciąż pozostało mnóstwo miejsca, gdzie można było wczuć się w klasyczny, opuszczony rejon przemysłowy, i Jon Anderson pokierował Sarę Svenhagen w stronę takiego właśnie, położonego na uboczu miejsca. Za niespodziewanie wysokim płotem otaczającym ruiny jakiegoś budynku poprosił, by zatrzymała samochód, przysunął przepustkę do zakamuflowanego czytnika i wychylił się przez okno od strony pasażera.

To jego powykręcana poza uświadomiła Kerstin Holm, że są takie obszary działalności policji, o których ona nie ma już pojęcia. Bo nie było żadnych wątpliwości, że to, do czego wychylał się Anderson - bez względu na to, jak podniszczona i zamaskowana wydawała się cała instalacja - było czytnikiem tęczówki. To, co wyglądało jak stara obskurna skrzynka elektryczna, właśnie odczytało tęczówkę Jona Andersona.

Na koniec wprowadził długi kod i przed nimi otworzyła się brama - z pewnością znacznie stabilniejsza i lepiej monitorowana, niż mogłoby się na oko wydawać.

Kiedy samochód powoli objeżdżał podupadły budynek dawnej rzeźni, Anderson powiedział:

- Kerstin mi mówiła, że miałeś *plan*. Plan, który najwyraźniej nie zwiódł pewnego bystrego człowieka o nazwisku Hannes Grönlund. Możesz mi wyjaśnić, na czym polegał ten *plan*?

- Miały powiedzieć, że za przeciek odpowiadał FRA.

- Ale nie tylko, prawda?

- Chciałem to trochę udoskonalić - odparł niepewnie Gustaf Horn.

- Za pomocą jakichś informacji, które podłapałeś na tym forum internetowym o bezpieczeństwie danych? A raczej wymierzonym *przeciwko* bezpieczeństwu danych?

- Tak. Po sieci krążą plotki, że szwedzki rząd prowadzi tajną współpracę ze Stanami Zjednoczonymi i z Wielką Brytanią, żeby stworzyć nowe prawa regulujące masowy nadzór sieci. I że siłą napędową jest NSA.

- No dobra - mruknął z namysłem Jon Anderson i wskazał z roztargnieniem na coś, co przy odrobinie dobrej woli można by uznać za bramę garażową w rozpadającej się fasadzie.

Po jej obu stronach stały podobne przypominające skrzynki elektryczne przedmioty i Anderson jeszcze raz przeszedł taką samą procedurę jak przy bramie wjazdowej.

Drzwi garażowe uniosły się. Za nimi było całkowicie ciemno. Do chwili, gdy nie zamknęły się za ich plecami. Wtedy włączyło się oświetlenie stromej, spiralnej drogi w dół i Sara Svenhagen zaczęła powoli zjeżdżać: jeden poziom, dwa, trzy. Pod tym starym budynkiem rzeźni naprawdę nie powinno być tak rozległej piwnicy.

W końcu Jon Anderson pokierował wóz Europolu na parking, na którym stało już co najmniej dziesięć innych samochodów. Wysiedli. Anderson poprowadził ich długim, krętym, bardzo skąpo oświetlonym korytarzem. Kiedy dotarli do metalowych drzwi, które miały sprawiać wrażenie bardzo skromnych, przystanęli i Anderson wyjął z aktówki nie jeden, lecz trzy papiery i odpowiednią liczbę długopisów.

- Jako *plan* to było dość kiepskie. Jako *domysł* aż za dobre. Obawiam się, że wy również musicie się podpisać, moje panie.

I tak się stało. Choć nie bez pewnych obaw.

Jon Anderson przez chwilę trzymał klamkę, po czym dał się słyszeć cichy szum i weszli do środka.

Stali na galerijce z balustradą, która biegła półkolem jakies

pięć metrów nad czymś, co przypominało centrum kryzysowe. Kerstin Holm naliczyła dziewięć osób siedzących przy monitorach różnej wielkości. Na jednym z największych i najwyżej umieszczonych ekranów zobaczyła mapę świata. Między różnymi częściami świata widać było różne strumienie; nieprzerwany, lecz nieustannie zmieniający się przepływ.

Jon Anderson podążył za jej spojrzeniem.

- Obraz w czasie rzeczywistym, strumienie danych związane ze szpiegostwem internetowym.

- A więc to jest... kontrwywiad informatyczny?

Anderson przez chwilę z namysłem kiwał głową, a potem odparł:

- To ty Kerstin powiedziałaś, że ponad dwa lata temu puściłem w ruch śnieżną kulę, która pewnie niedługo wywoła wielką lawinę.

- Nawet co do słowa - mruknęła Kerstin Holm.

- Było to prawdą pod wieloma względami. Kiedy testowałem system monitorujący FRA, testowałem przyszłość. Poszło cholernie szybko. Poszerzenie możliwości Instytutu Obrony Radiołączności zainteresowało amerykańską NSA i brytyjską GCHQ. Już i tak niezłe układającą się współpracę znacząco poszerzono.

- I to jest to... poszerzenie?

- Jak widzicie, są tutaj przedstawiciele z wielu różnych miejsc. Z różnych krajów, z różnych agencji. A propos waszego tajnego projektu w strukturach Europolu, tu widzicie inną działalność, która autentycznie przekracza granice państw. I jest tak samo utajniona.

- Natrafiamy przecież na utajnianą działalność. To zawsze kwestia równowagi. Ale to tutaj...

- Przejdźmy dalej - przerwał jej Jon Anderson.

Ruszyli wzdłuż galerii i skręcili w inny korytarz. Sara Svenhagen zerknęła na Gustafa Horna. Błyszczą mu oczy.

Za następnymi, równie bezpretensjonalnymi drzwiami otworzył się kolejny wszechświat równoległy. Tutaj, w mniejszej wersji

głównej centrali, siedziało sześć osób. Cała szóstka była ciemnowłosa, a gdy równocześnie się odwrócili, nie było żadnych wątpliwości, że wszyscy to Chińczycy. Albo przynajmniej mieli chińskie rysy.

Do grupki podeszła kobieta około trzydziestki, z krótką fryzurą, i kiwnęła głową Andersonowi.

- Nowe wiadomości - rzuciła krótko w idealnym szwedzkim.

- Świetnie, Guang - powiedział Jon Anderson. - Ale na początek... to ten praktykant, o którym wspominałem Sądę, że może wypełnić niektóre luki informacyjne i metodyczne. Gustaf, przez dwa tygodnie będziesz praktykantem. Pokaż, na co cię stać, potem cię ocenimy. Kto się nim zajmie?

- Jinhai - odparła Guang i machnięciem ręki przywołała do siebie młodego Chińczyka ubranego jak hiphopowiec.

Wystawił pięść w stronę Gustafa Horna, Horn przybił, a potem odeszli razem, jak starzy przyjaciele z dzieciństwa.

Anderson odciągnął Guang na stronę i spytał:

- Nowe wiadomości?

Posłała badawcze spojrzenie Holmi Svenhagen, po czym odpowiedziała:

- Organizacja Chu- Jung z Szanghaju faktycznie zwiększyła swoją aktywność w sieci w ciągu ostatniego tygodnia. Mają dobre szyfrowanie, więc do tej pory odczytaliśmy ich komunikację tylko na bardzo podstawowym poziomie. Ale faktycznie wygląda na to, że chodzi o wydobycie informacji o cyberspiegostwie od „jednostki 61398”.

- A to, co ostatnio sugerowałaś? To o outsourcingu?

- Sprawa *trochę* się wyjaśniła - odparła Guang. - Niewielki fragment, jaki udało nam się odszyfrować, potwierdza hipotezę, że chińskie wojsko dzierżawi starannie dobrane siły „jednostki 61398” starannie dobranym firmom. Więcej nie wiemy.

- Ale...?

Guang uśmiechnęła się szybko.

- Zgadza się. Istnieje pewne „ale”. Najciekawsze z tego

wszystkiego jest to, że Chu- Jung sama jest monitorowana.

Wtedy Kerstin Holm wkroczyła między rozmówców.

- I na tym się na chwilę zatrzymamy. Najpierw przejrzystość i ogólny zarys. Dzięki Gustafowi Hornowi Bionovia AB zdała sobie sprawę, że hakerzy ukradli im ważne dokumenty. Wtedy Bionovia zwróciła się do swojej firmy ochroniarskiej Inveniet Security Group AB, która z kolei skontaktowała się ze swoim podwykonawcą, organizacją Chu- Jung, być może związaną z Szanghajskimi triadami. Chu- Jung potwierdziła, że chodzi o „jednostkę 61398”, komórkę chińskiego wojska zajmującą się szpiegostwem internetowym, i najwyraźniej również fakt, że część tej komórki wykorzystywana jest w ramach „outsourcingu”. A teraz mówisz, Guang, że sama Chu- Jung jest monitorowana w sieci. Przez kogo?

- Wszystko wskazuje na to, że przez niezależną i autonomiczną jednostkę chińskiej policji - odparła Guang.

- To takie są? - zdziwiła się Sara Svenhagen.

- Szybki rozwój w Chinach prowadzi do powstawania wielu niespodziewanych nisz - odparła Guang. - Jeśli jakaś jednostka policji jest kierowana porządnie i z przekonaniem, istnieją bardzo duże możliwości niezależnego działania. Już wcześniej widzieliśmy to zjawisko. Nagle tu i ówdzie udaje się rozbić triady, obalić skorumpowanych polityków, naprawdę wymierzać sprawiedliwość. Ale akurat tej jednostki nie znamy.

- A wiecie, kim oni są? - spytała Kerstin Holm

- Wiemy, kim jest ich szef. Nazywa się Wu Wei, ma dopiero trzydzieści sześć lat i nie figuruje w żadnych archiwach. Może to wskazywać na szkolenie w wojsku albo służbach bezpieczeństwa...

- Albo?

- Albo na to, że jest niepopularny, lecz z jakiegoś powodu dają mu spokój. Może zna właściwego polityka, może po prostu osiąga świetne wyniki. Łapie wielu drani. Nie figuruje w archiwach, bo nie jest oficjalnie uznawany.

- Macie powody, by sądzić, że tej jednostce lepiej wychodzi

deszyfrowanie komunikacji Chu- Jung niż wam?

Guang wzruszyła ramionami.

- W każdym razie mieli więcej czasu - stwierdziła w końcu.

- A ty sama co sądzisz, Guang? Czy ta jednostka dowodzona przez Wu Weia faktycznie jest niezależna?

- Zawsze istnieją jakieś granice niezależności...

- Ale...?

Guang się roześmiała.

- Ale to, co widziałam, świadczy o tym, że Wu Wei jest niepopularny, choć jest na tyle dobrym policjantem, że nie można się go tak po prostu pozbyć. To by było straszne marnotrawstwo. A więc zostawiają go w spokoju. I pozwalają mu pracować na tyle niezależnie, na ile to w ogóle w Chinach możliwe.

- To fantastycznie - stwierdziła Kerstin Holm - Biorąc pod uwagę, jak okropnie *nielegalne* jest to, co robicie w tej piwnicy, niesłychanie cieszę mnie takie wnioski.

- Dziękuję? - odparła Guang, z wyraźnym znakiem zapytania na końcu.

- To nie jest nielegalne - odezwał się trochę urażonym tonem Jon Anderson. - Jest całkowicie zgodne z nową ustawą o FRA.

- Mam dwa pytania - powiedziała Kerstin Holm. - Po pierwsze, czy to, czego dowiedziała się grupa Wu Weia za pośrednictwem Chu- Jung i „jednostki 61398”, może nam dostarczyć odpowiedzi na pytanie, kto szpiegował Bionowę AB?

- Tak, jestem o tym przekonana - odparła Guang.

- Dobra - powiedziała Holm. - W takim razie drugie pytanie.

- Strzelaj.

- Czy Wu Wei będzie chciał z nami rozmawiać?

Guang zastanawiała się przez chwilę. A potem odparła:

- Całkiem niewykłuczone.

Druga wypowiedź

Aosta, Włochy, 20 września

DZIĘKUJĘ, potrzebowałem przerwy. Szlag by to trafił, że zrobiłem się taki słaby, nie mogę się do tego przyzwyczaić. Na szczęście dla was nauczyłem się tak dobrze pisać.

Warunków ku temu właściwie nie było. Oboje moi rodzice byli analfabetami. Od niepamiętnych czasów mieszkaliśmy w San Luca, moja babcia mówiła po grecku, przypuszczam, że należała do jakiegoś naprawdę starego rodu. Mówiła o starożytności, jakby była ona częścią rodzinnej historii.

Nie rozumiałem, czym się zajmował mój tata. W domu było dużo broni, ale kiedy byłem mały, zawsze kojarzyłem ją z polowaniem. Nie istniało nic bardziej ekscytującego, jak móc się wybrać z dorosłymi na polowanie na dzika.

A właściwie to istniało coś bardziej ekscytującego. Czytanie. Nowością w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku było to, że uznali, iż powinniśmy pójść do szkoły. Zacząłem się uczyć czytać dopiero, gdy miałem dziesięć lat, choć potem poszło już szybko. Jak to się mówi, „miałem do tego głowę”.

Wtedy znałem już chłopaka sąsiadów. Wychowywaliśmy się razem, razem się bawiliśmy, właściwie to razem nauczyliśmy się chodzić. Z jakiegoś powodu wołali na niego Hodowca Fasoli, a ponieważ ledwie mówiłem, skróciłem to do Fasola. Poza tym to dobrze pasowało do brodawki w kształcie fasolki na jego prawym policzku.

Nie wiem, czy potraficie sobie wyobrazić dorastanie w takim małym, odizolowanym miasteczku w kaiabryjskich górach. Rozdźwięk między przymusem i wolnością był wtedy skrajny. To było w takich czasach i w takim miejscu, gdzie dzieci trzymane krótko, i często dostawałem lanie, choć właściwie nie potrafiłem

wyjaśnić, za co, działa się to właściwie z rozpędu. Z drugiej strony już kilkanaście metrów od drzwi zaczęła się absolutna wolność.

Mieliśmy chyba po sześć lat, kiedy po raz pierwszy zawędrowaliśmy tak wysoko w góry, że nie widzieliśmy już dachów San Luca. Wciąż bardzo żywo pamiętam te zawroty głowy, czuję je za każdym razem, kiedy stoję w obliczu nieznanego, a to co znane pozostawiam za sobą. A, jak wiecie, miało to miejsce wiele razy w moim życiu.

Do ukończenia dziesiątego roku życia w ogóle nie chodziliśmy do szkoły. Zawsze byliśmy w górach, w czasem jałowym, czasem porośniętym bujną roślinnością, lecz zawsze dzikim i stromym świecie masywu Aspromonte. Staliśmy się jak kozice, potem jak orły, jak wielkie sępy płowe, które szybują nad przestworzem gór i znają każdy wąwóz, każdą rozpadlinę, każdą skąpaną w magicznym świetle polanę. Zanim poznaliśmy alfabet, potrafiliśmy czytać z Aspromonte lepiej niż większość dorosłych. Byłem ja, był Fasola, a góry były naszym światem.

Góry i futbol. Kiedy się nie wspinaliśmy, zawsze kopaliśmy piłkę. Muszę ze wstydem przyznać, że Fasola był w tym o wiele lepszy.

Mieszkaliśmy po sąsiedzku, tuż pod miasteczkiem, w dwóch domach, które dzisiaj uznano by raczej za szopy. Stały w odległości stu metrów i wchodziliśmy do siebie, jakbyśmy byli jedną wielką rodziną. Nasi ojcowie razem pracowali, ale nie bardzo rozumieliśmy, czym się właściwie zajmują. Wyczuwaliśmy, że stanowiło to część czegoś większego, lecz nie mieliśmy pojęcia, co to. Wrażenie było takie, jakby istniała jakaś niepisana umowa, by o niczym nam nie mówić, dopóki nie nadejdzie właściwa pora.

Wychowywałem się z dwiema starszymi siostrami, Maurą i Deborą, a Fasola miał starszego brata, Paola. Ciekawie było się przyglądać, co się między nimi dzieje. Często chowaliśmy się w jakiejś kryjówce, kiedy się spotykali, tyle że prawie zawsze nas znajdowali. I mogę spokojnie powiedzieć, że to nie Paolo wymierzał najokrutniejsze kary. Zwłaszcza Maura rozwinęła w sobie dużą zręczność w torturowaniu, pewnie dlatego, że mimo wszystko była bardziej

zakochana.

Paolowi niezbyt jednak imponowało okrucieństwo Maury. Nie był tym typem chłopaka. Urodził się o kilka lat za wcześnie, żeby pozwolili mu pójść do szkoły, i gdy wkroczył w ten wiek, gdy oczekują od Ciebie, żebyś był krnąbrny i uparty i wykazywał się „honorem” - krótko mówiąc, w ten wiek, gdy ma się szansę zostać *contrasto onorato* - wcale nie był tym zainteresowany. Brat Fasoli należał raczej do tego typu, który woli się wycofać i strugać w drewnie. Tak, strugał. Małe, coraz misterniejsze figurki, które przedstawiały wszystkie leśne zwierzęta. A nawet te morskie. Z czasem zaczęły się przeobrażać w coś zupełnie innego, w różne wspaniałe, fantazyjne formy.

Pewnego upalnego dnia pod koniec sierpnia - musieliśmy wtedy mieć po osiem lat - dowiedzieliśmy się, że wybierzemy się z rodzinami do Polski. Nadeszła pora obchodów Dnia Madonny w Santuario della Madonna della Montagna. Mało miejsce co roku, drugiego września: procesja niesie starą i trochę zezowatą Madonnę przez małą wioskę Polski, a w tamtym czasie - to musiało być pod koniec lat osiemdziesiątych - można tam było dotrzeć jedynie pieszo. Pamiętam, jak wyruszyliśmy, obie rodziny razem, i wędrowaliśmy przez kilka godzin. Ja i Fasola, choć byliśmy tacy mali, często musieliśmy wskazywać drogę pozostałym. Pewnie wynikało to głównie z tego, że nasi ojcowie trzymali się przez cały czas co najmniej pięćdziesiąt metrów za nami. Ci surowi, małomówni mężczyźni szli, opierając strzelby na ramionach, i rozmawiali chyba więcej niż kiedykolwiek dotąd.

W tym miejscu muszę na chwilę wykroczyć poza tę dziecinną iluzję i powrócić do doroślejszej i o wiele brudniejszej teraźniejszości. Ta nasza pierwsza pielgrzymka do Polski miała miejsce pod koniec lat osiemdziesiątych. Działo się to podczas drugiej wojny klanów w 'ndranghecie, kiedy toczyła się walka o wielką odnowę. Pociągnęła za sobą siedemset ofiar. Kiedy reformatorzy w końcu wyszli z niej zwycięską ręką, pozwolono nam pójść do szkoły. I dopiero wiele lat później zrozumiałem, że nasi ojcowie stali w tej walce po dwóch

różnych stronach.

Oczywiście, właściwie było to niemożliwe. Należeli do tego samego klanu, tej samej społeczności, stanowili część tej samej *criminy*, organizacji obronnej. *Nie mogli* mieć różnych poglądów na sprawy związane z losami klanu. Jedynym, czego od nich wymagano, była absolutna lojalność. Aw ramach absolutnej lojalności nie ma miejsca na dyskusję. Mimo to rozmawiali: mój ojciec i ojciec Fasoli. Rozmawiali przez całą drogę do Polski.

Dzisiejsze badania zaszły dalej niż te z lat dziewięćdziesiątych. Wtedy wciąż sądzono, że stowarzyszenie o mafijnym charakterze, takie jak japońska jakuza, sycylijska cosa nostra, triady z Flongkongu czy mafia rosyjska, powstają w rejonach zacofanych społecznie i gospodarczo. Teraz wiadomo, że wcale tak nie jest. Wręcz przeciwnie, rozrost mafii stanowi oznakę modernizacji, ekonomicznej ekspansji, za którą nie nadążają znacznie oporniejsze struktury prawne i policyjne. I to właśnie się wtedy działo. Włochy wreszcie na tyle się rozrosły, by osiągnąć Kalabrii. Powstała autostrada A3, wielka huta stali, która co prawda upadła, a przede wszystkim gigantyczny port w Gioia Tauro, największy port przemysłowy w basenie Morza Śródziemnego. Pojawiły się też teraz dalekosiężne plany zbudowania mostu na Sycylię, który miał mieć ponad trzy kilometry długości i rozciągać się nad Cieśniną Mesyńską, Stretto di Messina, bezpośrednio łącząc Sycylię z Kalabrią. I choć włoskie władze mocno wtedy uderzyły w cosa nostrę, współpraca sprzyjałaby interesom.

Tak myśleli zwolennicy zmian. Drugiej frakcji bardziej zależało na tym, by podczas budowy tego mostu wyssać z Włochów z północy jak najwięcej pieniędzy. Reformatorzy wybiegali myślami o krok dalej. Przede wszystkim mieli na uwadze możliwości Gioia Tauro. Gdyby powstał most, cosa nostra i przyszła, bardziej spójna 'ndrangheta mogłyby razem czerpać ogromne korzyści z tego wielkiego portu, zbudowanego z uwagi na gigantyczną hutę stali, której już nie było. Porwania w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stworzyły dobre podstawy ekonomiczne, pojawił

się kapitał, który należało zainwestować, i rozsądek podpowiadał, że najlepszą inwestycją byłby jakiś dochodowy zagraniczny produkt, który można by sprowadzać przez Gioia Tauro.

Zwolennikom zmian chodziło o Amerykę Łacińską.

Chodziło im o kokainę.

Kalabria pod koniec lat osiemdziesiątych była typowym przykładem regionu przeżywającego ekspansję gospodarczą, bez sprawnego nadzoru państwa. Zaledwie kilka lat później to samo miało się wydarzyć w Europie Wschodniej, z tymi samymi skutkami. Wtedy jednak 'ndrangheta dzięki swojemu organowi współpracy, La SANCIE, miała być już w pełni działającą, kapitalistyczną organizacją.

Oczywiście nie mieliśmy o tym wszystkim pojęcia, kiedy pokonywaliśmy niemal dwudziestokilometrową trasę, pnąc się po zboczach Aspromonte. Szliśmy razem, moja rodzina i rodzina Allegrettich. Podzieliliśmy się na małe grupki. Pierwsi szli przewodnicy, przedwcześnie dojrzały ośmiolatek, czyli ja i Fasola. Potem chichocząca grupka: Maura, Debora i Paolo

- Paolo jak żłób z sianem między dwiema oślicami. Potem matki, ciche, pełne godności. I na końcu, pięćdziesiąt metrów za nimi, ojcowie, pochłonięci długą i zaskakującą rozmową.

Kościół i klasztor w Polsi położone są na dnie wąwozu, który i tak znajduje się na wysokości prawie dziewięćset metrów. Na zachód od klasztoru wznosi się najwyższy szczyt masywu Aspromonte, Montalto, o wysokości niemal dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza. Jeszcze nigdy nie dotarliśmy aż tak daleko w naszych wędrówkach i nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego.

Wtedy po raz pierwszy od rozpoczęcia wędrówki zebraliśmy się wszyscy razem, obie rodziny. Grupki się połączyły. Pozostali byli tu już wcześniej, ale to im nie przeszkadzało wpatrywać się w dolinę z taką czcią, jakiej nigdy dotąd nie widziałem, przynajmniej w oczach moich sióstr. Ale gdy spojrzałem w twarz Fasoli Allegrettiego, ta wyrażała coś zupełnie innego. To było tak, jakby zobaczył Boga.

Zatrzymaliśmy się w obozie dla pielgrzymów, a Dzień Madonny i procesja wryły się w moją pamięć na całe życie. Rzeźbę noszono

po wyboistych drózkach wioski Polsi, a potem pod górę, coraz węższymi ścieżkami, a my cały czas przy tym byliśmy, Fasola i ja. Kiedy ten długi dzień zakończył się tańcami - dziką, szaloną tarantelą - tak bardzo rozpałiło to moją wyobraźnię, że przez całą noc nie mogłem spać. Rano nasi ojcowie zniknęli.

Tamtego ranka długo trwało, nim mogłem w końcu zapytać matkę, co się z nimi stało; nigdy wcześniej nie widziałem, żeby tak długo spała. Z drugiej strony nigdy też nie widziałem, by tańczyła tak jak poprzedniego wieczoru. Powiedziała mi tylko jedno słowo i zrobiła to takim tonem, że dalsze dopytywanie nie wchodziło w rachubę. To słowo brzmiało: *spotkanie*.

Już w tysiąc dziewięćset trzecim roku karabinier Giuseppe Petella donosił o spotkaniach przestępczych stowarzyszeń przy sanktuarium w Polsi podczas Dnia Madonny i od tego czasu na ten właśnie dzień zawsze przypadało wielkie spotkanie klanów. Każdy klan musiał wówczas składać sprawozdanie z całorocznej działalności na własnym terenie, podawać liczbę uprowadzeń, morderstw. I oczywiście to na to spotkanie udali się nasi ojcowie.

Następnego dnia, gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną, nasi ojcowie nie rozmawiali już ze sobą. Szli w odległości co najmniej dziesięciu metrów od siebie.

Jakiś tydzień później jak zwykle bawiliśmy się w lesie. Wybraliśmy górską drogę, której wcześniej unikaliśmy, bo biegła tuż nad urwiskiem. Wiele razy staliśmy w miejscu, gdzie ścieżka zaczynała się zwęźać, a urwisko stromo opadało, i wtedy zawracaliśmy i wybieraliśmy jakąś bezpieczniejszą trasę. Gdy zrobiliśmy pierwsze kilka kroków, ciężko oparci o skalną ścianę, to wrażenie, że przepaść nas wciąga, ani trochę nie przypominało tego, co czuliśmy na widok sanktuarium w Polsi. Może z wyjątkiem siły tego doznania. Podczas gdy klasztor na dnie wąwozu i wznoszący się nad nim jak ogromna ojcowska dłoń masyw Montalto wydawały się ze wszech miar urzekające, wrażenie, że przepaść nas wciąga, zupełnie nas przytłaczało. Był to zupełnie inny urok. Urok otchłani. Z głębi urwiska dobiegały uwodzicielskie wołania, wołania, byśmy rzucili się

w dół, całkowicie się zatracili. Dosłownie wczepiłem się w surową górską roślinność przy skalnej ścianie, która oczywiście nie zapewniała żadnego oparcia. Bezpośredni kontakt z ziemią dawał mi jednak jakieś pocieszenie, i tak przedostaliśmy się na drugą stronę. Po dwustu metrach ścieżka stała się szersza, po kolejnych dwudziestu odbiła od skalnej ściany i zniknęła w lesie.

Tam, przy zakręcie, przystanęliśmy. Spojrzałem na Fasolę - strach w jego wytrzeszczonych oczach był odbiciem mojego. Pokonaliśmy jednak otchłań, oparliśmy się jej uwodzicielskim wołaniom. Teraz, gdy minęliśmy zakręt, otworzyła się przed nami duża polana między drzewami. To było jak boska nagroda. Po drugiej stronie łąki - poprzetykanej plamkami światła odbijającego się od skórzastych liści dębów ostrolistnych, jasnej zieleni buków i kasztanowców i ciemnego igliwia sosny czarnej - wznosiła się skalna ściana, wyższa niż szczyty najwyższych drzew. Ruszyliśmy w tamtą stronę. Kiedy się zbliżyliśmy, zobaczyliśmy, że na jej dolną część pada ciemniejszy, niewytłumaczalny cień. A gdy podeszliśmy jeszcze bliżej, zobaczyliśmy inny, który nagle wystrzelił z tego pierwszego. Przez krótką chwilę zataczał kręgi nad naszymi głowami - szybkie, urywane - i dopiero gdy z tego pierwszego cienia wyszła kozica, zdaliśmy sobie sprawę, że ten drugi, rozedrgany, to stado nietoperzy, które teraz, gdy zbłąkana kozica wreszcie opuściła grotę, mogły powrócić do jej ciemnych czeluści.

Bo tym pierwszym cieniem był właśnie otwór grotu.

Spojrzenia, jakie wymieniliśmy, spojrzenia dwóch ośmiolatek, wyraźnie mówiły, że już znaleźliśmy wielkie wyzwanie na ten dzień. I że z głębi grotu dobiega kuszący, syreni śpiew.

Nie musieliśmy jednak podejmować decyzji. Nagle usłyszeliśmy czyjeś kroki dobiegające z drugiego końca polany; to były zręczne kroki człowieka nawykłego do wędrówki po górach. Bez wahania rzuciliśmy się do grotu i przyłgnęliśmy do zimnej ściany jakiś metr od wejścia. Za nami w ciemności słychać było paskudne piski setek nietoperzy, które powoli się uspokajały. Nie tam jednak skierowaliśmy nasze spojrzenia. Patrzyliśmy w stronę wejścia do

groty; w odległości zaledwie kilku metrów minął je mężczyzna ze strzelbą zarzuconą na ramię. To był ojciec Fasoli.

Teobaldo Allegretti nie wyglądał jednak tak jak zwykle. Zmieniło się coś w jego postawie. On, zawsze dumny i wyprostowany, teraz, idąc, dziwnie pochylał się do przodu. Jakby jakiś ogromny ciężar przytłaczał jego barki ku jałowej ziemi.

Bez słowa, nie wymieniając nawet jednego spojrzenia, postanowiliśmy się nie pokazywać. Może to było aż tak banalne, że po prostu baliśmy się kary. A może jednak zwyciężyła ciekawość, bo bardzo rzadko się zdarzało, by Teobaldo wybierał się gdzieś bez mojego ojca. Poszliśmy więc za nim.

Jakieś sto metrów dalej wydawało nam się, że pochłonęła go skalna ściana. Pobiegliśmy tam, bezgłośnie, tak jak nauczyły nas czas spędzony w górach, i zobaczyliśmy, że Teobaldo idzie wąską skalną rozpadliną, a potem rusza dalej ścieżką wijącą się w głąb lasu.

Szliśmy za nim przez jakieś pół godziny. Potem zniknął za zakrętem. Gdy w końcu odważyliśmy się wyrzeć zza niego, zobaczyliśmy małą zieloną szopę, która prawie całkowicie stapiała się z lasem wokół. Przykucnęliśmy za dużym kamieniem i czekaliśmy.

W końcu tata Fasoli wyszedł z szopy. Nie był jednak sam. Zdjął strzelbę z ramienia i mierzył z niej do jakiejś dziwnej postaci. To był mężczyzna, zgarbiony i pochylony, a jego zbyt elegancki garnitur był poplamiony i podarty. Tym, co Teobaldo Allegretti właśnie odsunął od jego twarzy, był bez wątpienia krawat. Wyciągnął go z ust mężczyzny, jakby to był wąż.

Mężczyzna zgiął się wpół. Poruszał zdrętwiałymi dłońmi, podczas gdy Teobaldo coś cicho do niego mówił. W końcu ojciec Fasoli wskazał w głąb lasu po drugiej stronie. Dostrzegliśmy niewyraźnie, że zaczyna się tam jakaś ścieżka. Mężczyzna wpatrywał się w niego dziwnie błyszczącymi oczami, cała jego zgarbiona postać wyrażała ogromne zdumienie.

A potem chwiejnym krokiem ruszył w las i w końcu zniknął z zasięgu wzroku.

Teobaldo Allegretti wciąż stał i długo za nim patrzył. Za długo.

Potem zarzucił strzelbę na ramię i stamtąd odszedł. Dalej wyglądał, jakby coś go przytłaczało.

Kiedy nas mijał w odległości najwyżej pięciu metrów, wstrzymaliśmy oddech. Spojrzałem na Fasolę. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby był tak blady.

Nigdy nie przestałem nazywać go Fasolą, ale w kolejnych, jakże dramatycznych dniach miałem się dowiedzieć, dlaczego nazywali go Flodowcą Fasoli.

Imię Fabio po prostu to oznacza.

Teraz czuję, że znów opuszczają mnie siły. Zastanawiam się, czy odważę się poprosić moich strażników, żeby zwiększyli dopływ morfiny do kroplówki.

Tak czy inaczej, teraz muszę zrobić sobie przerwę.

We wszystkim zawsze chodzi o coś innego

Haga, 2 sierpnia

PAUL HJELM oczywiście skupiał się zupełnie nie na tym, co trzeba, ale myślał o swoich oknach. Kazał specjalnie zaprojektować swój gabinet w nowym budynku Europolu tak, by był jak jego dawny gabinet. Kiedy odwracał głowę w jedną stronę, widział piękną Eiągę w pełni lata, gdy patrzył w drugą, zaglądał prosto do open space'u pracującej na pełnych obrotach grupy Opcop. Zastanawiał się, co to oznacza.

Tak naprawdę to teraz ciągle się zastanawiał, co coś oznacza. Na przykład zagadkowe stwierdzenie Ruth,

We wszystkim zawsze chodzi o coś innego.

Może to dlatego wyszukał w komputerze dawne sprawy grupy Opcop. Czy w nich też chodziło o coś innego?

Nie bardzo dawały się od siebie oddzielić. Przeplatały się w nich rozwiązane i nierozwiązane zagadki, porażki i sukcesy, i to, co nie wiadomo było, jak nazwać.

Ale największą porażką była zapewne sprawa, którą właśnie próbowali rozgryźć wszyscy siedzący po drugiej stronie szyby. Porwanie Fabia Tebaldiego i Lavinii Potorac. I zamordowanie Donatelli Bruno. To wszystko się ze sobą łączyło w bardzo, ale to bardzo przykry i trudny sposób.

Obserwował swoich protegowanych i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Oczywiście, na ile to było możliwe w tak złej sytuacji.

Jorge Chavez i Angelos Sifakis siedzieli w jednym kącie open space'u i utrzymywali stały kontakt z włoską policją z pomocą obecnego na miejscu włoskiego przedstawiciela grupy Opcop, noszącego dostojne nazwisko Salvatore Esposito. Arto Söderstedt i Jutta Beyer na razie zajmowali się

głównie interpretacją przesłania Tebaldiego poprzez gazetę „La Repubblica”, mimo polecenia, by aktywniej się przyłączyli do Felipego Navarro, Adriana Marinescu, Marka Kowalewskiego i Corine Bouhaddi, którzy nie wiadomo który raz z rzędu usiłowali się wczytać w materiały z nieoficjalnego śledztwa Bruno (o ile Navarro faktycznie się tym zajmował). Miriam Hershey i Laima Balodis nadal usiłowały rozpracować firmę kurierską i kamery wokół mieszkania Bruno na haskiej starówce.

Innymi słowy wszyscy pracowali nad tym samym.

A może chodziło w tym o coś innego, pomyślał Paul i pogрузzył się w studiowaniu starych spraw. Czuł, że na przemian to go mrozi i parzy, ale gdyby tak to *uśrednić*, pławił się w wielkim poczuciu winy niczym w ciepłej, przytulnej kąpieli.

Nie wiadomo, ile upłynęło minut, gdy na jego monitorze pojawiła się znajoma twarz, obcesowo przepędzając wszystkie dawne sprawy.

- Witaj, droga żono - powiedział do okienka Skype'a.

- Cześć, drogi mężu - odparło okienko. - Posłuchaj mnie teraz uważnie.

Dokładnie w tej samej chwili Jorge Chavez żałował, że nie może *grzmotnąć słuchawką o widelki*. Już nie dało się tego zrobić, czasy się zmieniły, i jedynym, co można było zrobić, było pasywno- agresywne wciśnięcie przycisku. A on, jak jakiś mięczak, przesuwał tylko palcem po ekranie swojego iPhone'a. Choć w głębi ducha miał ogromną ochotę wyrzucić całe to gówno, z komputerem włącznie, przez idealnie szczelne i kuloodporne okno w siedzibie Europolu.

- Zaraz oszaleję - oświadczył.

- Zaraz? - dociął mu Angelos Sifakis.

- Co to ma być, że tak cholernie trudno jest się połączyć w policyjnym śledztwie? To przecież spójne dokumenty, powinno być tak, że wystarczy całe to gówno przesłać. Jednym małym pasywno- agresywnym kliknięciem.

- Problem polega na tym, że to nie jest *jedno* śledztwo - odparł Sifakis. - To gmatwanina różnych śledztw przeprowadzonych

przez różne tajne organy. Utajnione również przed sobą nawzajem We Włoszech tak wiele organów zajmuje się mafią, że z zewnątrz nie sposób się w tym połapać. Mamy Okręgową Dyрекcję ds. Walki z Mafią, Direzione Distrettuale Antimafia, czyli DDA, utworzoną przez dzielnego Giovanniego Falcone tuż przed tym, jak został zamordowany w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, oraz DIA, Direzione Investigativa Antimafia, Antymafijną Dyрекcję Śledczą, koordynującą działania policji. Bo rzeczywiście istnieje taka potrzeba. Karabinierzy to policja, ale z drugiej strony wcale nie, stanowią raczej element sił zbrojnych, obok wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki wojennej. Potem jest jeszcze druga z dwóch paramilitarnych policji, Guardia di Finanza, czyli policja finansowo- celna. Wszystkie one bardzo się interesują śledztwami dotyczącymi mafii, a nie dotarliśmy jeszcze nawet do najróżniejszych instancji zwyczajnej policji.

- I wygląda na to, że wszystkie są zaangażowane akurat w sprawę wysadzenia tego zameczku w Bazylikacie i wszystkie mają swoje własne klauzule tajności.

- Mimo wszystko chciałbym stanąć w obronie mojego kraju - odezwał się Salvatore Esposito, ubrany w elegancki garnitur męczyzna w średnim wieku, który rzadko podnosił głos.

Można było odnieść wrażenie, że zbyt wiele w życiu widział, by w ogóle się czymkolwiek denerwować.

- Jak to, do cholery, chciałbyś stanąć w obronie swojego kraju?! - wrzasnął Chavez.

- Biorąc pod uwagę niezwykle trudne warunki, system, który wykształcił się na długo przed włoskim państwem, czarny rynek, szarą strefę, podziemną strefę, ukrytą strefę, strefę równoległą, strefę nieformalną, i tak udało nam się bardzo wiele osiągnąć. Ostre prawo wymierzone w organizacje o charakterze mafijnym, artykuł 416 bis, powstało już w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku i od tego czasu ciągle zmierzamy we właściwym kierunku. Powoli, ale we właściwym kierunku. Największą trudnością jest przecież szara strefa, to, że

wszystkie nasze mafie wkroczyły głęboko w legalny sektor, by znaleźć sposób na pranie swoich pieniędzy. Aktualnym problemem jest na przykład to, że mafia jest najważniejszym inwestorem w odnawialne źródła energii, przede wszystkim w elektrownie wiatrowe. W ten sposób mogą korzystać z unijnych dotacji i rozcieńczać brudne pieniądze legalnymi dochodami.

- Czyli, innymi słowy, są teraz wszędzie - powiedział Chavez. - Ale dobra, potrafię zrozumieć, że potrzebujecie mnóstwo różnych służb policyjnych, by sobie jakoś z tym poradzić. Tylko czy one nie mogłyby być trochę bardziej pomocne?

- Przypuszczam, że mój grecki przyjaciel będzie miał trochę więcej zrozumienia dla faktu, że takie sprawy trwają - odparł Esposito. - Cierpliwość nie jest twoją mocną stroną.

- Dlaczego zupełnie się nie da skontaktować ze śledczym, który doszedł do kontrowersyjnego wniosku, że II Sorridente i II Ricurvo zginęli przed Tebaldimi Potorac?

- Dlatego że to wszystko ma bardzo wysoką klauzulę tajności - rzekł Salvatore Esposito - i rozumiem, że Szwedowi, który jest przyzwyczajony do zasady publicznego dostępu do dokumentów urzędowych, trudno jest zadawać właściwe pytania.

- Musimy znaleźć tylko *dwie osoby*. Zaufanych ludzi Donatelli Bruno i Fabia Tebaldiego. Wszystko wskazuje na to, że głównym źródłem Bruno w jej nieoficjalnym śledztwie był jakiś R, a Fusiarz w oczywisty sposób dostarczał Tebaldiemu autoryzowane dokumenty. Obaj byli i prawdopodobnie są policjantami, karabinierami, prokuratorami czy sędziami. A więc dlaczego to jest takie trudne?

- Bo obaj się *ukrywają* - powiedział Esposito. - Bo R wydał tajne materiały gliniarzowi z Europolu. Bo Fusiarz prawdopodobnie zdradził Tebaldiego, wydał go mafii i skazał na dwa lata tortur. Raczej się sami nie zgłoszą. Ale możemy ich znaleźć pośrednimi metodami. Tylko do tego musimy wykazać *cierpliwość*. Jak twój przyjaciel Grek.

Sifakis podniósł głowę znad monitora i powiedział:

- Codziennie o tym dyskutujecie. Akurat *do tego* mam coraz mniej cierpliwości.

- A jak ci idzie? - spytał z nadąsaną miną Chavez.

- Szukam w przeszłości Donatelli Bruno jakiegoś R. Mam wrażenie, że tak ważnych spraw nie powierzyłaby komuś, kto nie był jej bardzo bliski. Ale prywatne życie Donatelli Bruno jest ukryte za szczelnie zamkniętymi drzwiami. Szukam dalej...

- Świetnie - rzucił Chavez. - Salvatore, potrzebuję pomocy tłumacza.

- Gdzie dzwoniemy? - spytał Salvatore Esposito.

- Udało mi się dogrzebać do pierwszej jednostki Fabia Tebaldiego w Turynie. Wygląda na to, że jego dawny dowódca wciąż tam służy. Muszę lepiej poznać przeszłość Fabia.

Przerwał mu absurdalnie donośny, kobiecy głos.

- Nowa kamera! - zawołała Miriam Hershey.

Laima Balodis podjechała do niej na swoim świetnie naoliwionym biurowym krześle.

- Do wybuchu doszło przecież w sobotę wieczorem, szesnastego lipca, o godzinie dwudziestej drugiej zero cztery. Myślałyśmy, że oglądałyśmy już materiały ze wszystkich kamer. Ale znalazłam jeszcze jedną.

- Cholera, jak to? - spytała Balodis.

- Była przecież dziesiąta wieczór, w sobotę. Zaczęłam sprawdzać, czy faktycznie w tej okolicy nie było wtedy żadnej imprezy. Teraz na imprezach przecież wszyscy kręcą filmiki.

- I coś znalazłaś?

- Mieszkania po drugiej stronie ulicy zostały częściowo uszkodzone przez wybuch. Minęły dwa tygodnie, zaczęły się naprawy. W jednym z mieszkań po drugiej stronie, trochę po przekątnej od budynku, w którym mieszkała Bruno, odbywała się impreza. Sprawdzaliśmy, jakie ludzie odnieśli obrażenia, lecz nie wiedzieliśmy, że byli na imprezie. Cztery osoby, które były na balkonie, odniosły rany od odłamków szkła. Kobieta, która odniosła najcięższe obrażenia, udało się przesłuchać dopiero teraz. Powiedziała, że podczas wybuchu straciła

komórkę. Teraz jej telefon się odnalazł w doniczce na balkonie piętro niżej.

- Nie mów, że nagrywała! - zawołała Balodis.

- Owszem - odparła Hershey. - Komórka była zepsuta, ale udało się uratować pamięć. Lada chwila przysłał mi film z laboratorium.

Kiedy pochyliły się nad monitorem Hershey, obie przyjęły identyczną pozę. Jutta Beyer, patrząc na nie z boku, pomyślała: surykatki.

- Już! - zawołała Hershey.

Ciekawość Bayer zwyciężyła przez nokaut z niechęcią; wsunęła głowę między Hershey i Balodis, jako *trzecia surykatka*.

Zaczął się film. Kamera poruszała się przez bogato umeblowane mieszkanie, mijając elegancko ubranych ludzi, którzy na różne sposoby dawali do zrozumienia, że wiedzą, iż są filmowani. Ludzie z wyższych sfer przeżyli się jeden po drugim, a potem w ich miejsce pojawiła się powiewająca biała firanka. Kamera przesunęła się przez nią. Znalazła się na zewnątrz. Na małym balkoniku stały trzy osoby oparte o balustradę; było tu też krzesło. Kamera omiotła całą trójkę, mężczyznę i dwie kobiety. Uśmiechnęli się i unieśli kieliszki. Potem perspektywa podniosła się o pół metra - kręcąca film najwyraźniej wspięła się na krzesło i teraz filmowała tę trójkę z trochę wyższej pozycji. Całkowicie niememu filmowi towarzyszyły gesty w stylu „Uważaj, do cholery. Pamiętaj, że wciągnęłaś parę kresek”. Trzyosobowa grupka przez kilka ciągnących się w nieskończoność minut grała w szarady, a potem mężczyzna powolnymi ruchami zaczął rozpinąć koszulę. Pojawiło się zbliżenie jego niewątpliwie imponującej klatki piersiowej. Kobiety wydały niemy okrzyk.

Ale nie te siedzące przed komputerem Te wymieniły tylko sceptyczne spojrzenia. A potem nastąpił wybuch. Wtedy kamera zdążyła się już odsunąć od nagiego torsu mężczyzny i znów była skierowana na ulicę. Nie dało się dostrzec samej eksplozji, pojawił się tylko dziki chaos pikseli. Białymi firankami szarpnął

podmuchał i zabarwił się na czerwono, przez krótką chwilę widać było duży odłamek szkła sterczący z zakrwawionego torsu mężczyzny, a potem najwyraźniej telefon uderzył o podłogę balkonu, wpadł w szczelinę, odbił się od balustrady piętro niżej i znalazł się w donicy. Na ekranie pojawił się obraz zbyt często podlewanego figusa.

- Według techników telefon nie zepsuł się podczas wybuchu, tylko utopił się w doniczce - wyjaśniła Hershey. - Sąsiedzi piętro niżej wyjechali na urlop, dlatego tak mocno podlali roślinę, i dopiero niedawno znaleźli tę komórkę.

- Cofnij - rzuciła Beyer.

Miriam Hershey posłuchała. Do tego maksymalnie zwolniła odtwarzanie filmu. Kamera sunęła w ślimaczym tempie przez białą firankę i znalazła się w końcu na balkonie. Właścicielka telefonu nieskończenie powoli wspięła się na krzesło, a mężczyzna i obie kobiety zaczęły grać w swoje nieznośnie rozwlekłe szarady.

- Stop - zareagowała Laima Balodis.

Film się zatrzymał. Balodis wskazała na nieruchomy kadr. Za trojgiem imprezowiczów, w dole na ulicy, dało się dostrzec ciemne wejście do budynku, oświedone jedynie przez pobliską latarnię.

- A niech mnie - powiedziała. - To chyba wejście na klatkę Bruno?

- Tak - potwierdziła Hershey. - Ani duże, ani wyraźne, ale z pewnością to jest to wejście. Ile czasu zostało w tej chwili do wybuchu?

- Eksplozja miała miejsce o 09:18 - odrzekła Beyer. - Teraz jesteśmy na 04:41. Zostały cztery minuty i trzydzieści siedem sekund.

Hershey i Balodis równocześnie na nią spojrzały. Jak dwie surykatki.

- O ile pamiętam, filmowała w zbliżeniu jego pierś przez jakieś czterdzieści sekund - ciągnęła Beyer. - Czekaj nas więc teraz mniej więcej czterominutowa przerwa. Na którym piętrze

mieszkała Donatella?

- Na trzecim, bez windy - odparła Hershey.

- Potrzebował najwyżej pół minuty, żeby wejść na górę. Ale ona potrzebowała co najmniej dwóch minut, żeby otworzyć paczkę. Oczywiście pod warunkiem, że nie dostała jej wcześniej tego wieczoru i po prostu gdzieś nie odstawiła.

- Dużo tych „pod warunkiem” - zauważyła Hershey. - Pierwszy raz od bardzo dawna mieliśmy wolną sobotę, nie wiemy, co Bruno robiła w ciągu dnia, nikt z nas się z nią nie kontaktował i nie miała jeszcze w Hadze bliskich przyjaciół. A więc paczka mogła zostać doręczona właściwie o każdej porze, może nawet w ciągu tygodnia.

- Dość rzadko się zdarza, żeby w soboty dostarczano paczki - powiedziała Beyer.

- Wśród wszystkich firm kurierskich w mieście są dwie, które twierdzą, że mają taką usługę, bo to „ich nisza przy ostrej konkurencji”. Przyjrzałyśmy się im bliżej. W sobotę wieczorem nie było żadnych dostaw w tamtej okolicy.

- Tak na zdrowy rozsądek, to on *już tam jest* - Beyer wskazała na monitor. - Bomba wybuchła cztery minuty i trzydzieści siedem sekund później. W tym czasie zdążył wejść, zostawić paczkę i wyjść, a Bruno zdążyła ją otworzyć.

- Cholera, nie wierzę, że to prawda - rzuciła Balodis.

- Co?

- Przestańcie głądzić i *puśćcie film*, do diabła.

Hershey i Beyer roześmiały się i spojrzały po sobie. Dla Beyer to było fascynujące doświadczenie. Naprawdę - choć tylko na chwilę - udało jej się dołączyć do tego hermetycznego duetu.

Hershey uruchomiła film.

Po ciągnącej się w nieskończoność minucie za ludźmi grającymi w szarady coś się wydarzyło. Wyglądało to jak mrugnięcie, krótka zmiana natężenia światła w de.

- Ożeż kurwa - rzuciła Balodis.

- Daj jeszcze raz - powiedziała Beyer.

Hershey ponownie odtworzyła sekwencję, tym razem jeszcze

wolniej. I teraz było wyraźnie widać, że ktoś faktycznie otworzył drzwi. Hershey zatrzymała film.

- Szósta zero dziewięć - rzekła. - Jakies trzy minuty do eksplozji.

- Trzy minuty i dziewięć sekund - sprecyzowała z przejęciem Beyer.

- Czyli jesteśmy zgodne, że teraz otwierają się drzwi? Od środka?

- Tak - odparły chórem Beyer i Balodis.

Film znów się uruchomił. Na ulicę wyszedł mężczyzna w czapce, pośpiesznie, trzymając się tuż przy fasadzie budynku, przemknął przez stożek świadka latarni i zniknął za rogiem. Wszystko zajęło mu niecałe dwie sekundy.

- Wow! - wyrwało się Beyer.

- Gdyby wszedł w krąg świadka, wychwyciłaby go kamera - powiedziała Hershey. - Wiedział o tym.

- *Shit!* - zakląła Balodis. - Czyli mamy na filmie mordercę we własnej osobie?

Hershey cofnęła film, pozwalając, by mężczyzna - idąc do tyłu - wsunął się w kadr, i zatrzymała sekwencję, gdy znajdował się w najjaśniejszym punkcie. Rozkładał ręce na boki i przywierał do ściany. Wyglądał, jakby był ukrzyżowany.

Cała jego postać była jednak zaledwie zamazaną plamką w de, za grającą w szarady trójką na balkonie.

- No cóż, z twarzy w każdym razie nici - stwierdziła Balodis.

- Może technikom uda się coś zrobić z tym obrazem - zasugerowała Hershey.

- Czapka wskazuje, że jednak był z firmy kurierskiej - powiedziała Beyer. - A w każdym razie udawał kuriera.

- Przestań się wreszcie objąć! - zawołał znajomy męski głos.

Wszystkie trzy odwróciły się równocześnie, ale tylko Jutta Beyer westchnęła. Powoli wróciła na swoje miejsce.

- Zagraniczne wpływy - powiedział znacząco Arto Söderstedt.

- Wałkowaliśmy to już na wszystkie strony - westchnęła Jutta Beyer. - Nie dowiemy się, co chciał nam przekazać Fabio

Tebaldi.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Söderstedt. - Ale informuję cię tylko, ku czemu się na tę chwilę skłaniam.

- Ku „zagranicznym wpływom”? Naprawdę, mocna interpretacja...

- Ironia do ciebie nie pasuje, Jutta.

- Kończymy z tym teraz i wracamy do materiału ze śledztwa Donatelli. Już setki razy myśleliśmy o „zagranicznych wpływach”.

- „Przyczyn kryzysu doszukać się można przede wszystkim w miernej rekrutacji zagranicznych zawodników”. Czy to przypadkiem nie potwierdza tezy Donatelli Bruno, że *nie chodzi* o ‘ndranghetę? Tylko o bandę jakichś „zagranicznych zawodników”?

- To już też przerabialiśmy - powiedziała Beyer. - Jakie są przyczyny tego, że Tebaldi i Potorac wyjechali do Włoch? No właśnie, znaleźliśmy bezpośrednie połączenie z ‘ndranghetą, łączy internetowe zlokalizowane w zameczku w Bazylikacie, w regionie położonym bezpośrednio na północ od Kalabrii. To stamtąd potwierdzony członek ‘ndranghety, Il Sorridente, utrzymywał bezpośredni kontakt mailowy ze szwedzkim producentem mebli, który zlecił ‘ndranghecie pozbycie się toksycznych odpadów, a potem sprzedał im udziały w firmie przez konto na Kajmanach. Poza tym to właśnie Il Sorridente wydał wyrok śmierci na Tebaldiego. Kiedy Tebaldi i Potorac zakradli się do zameczku, Il Sorridente i jego ochroniarz, Il Ricurvo, byli już martwi. Prawdopodobnie zamordowano ich, bo pozwolili się zdemaskować, a więc mamy tu bezpośrednią paralelę do Antonio Rossiego. I wtedy wysadzono w powietrze cały ten kram, pozornie razem z Tebaldim i Potorac. A więc wszystko, dosłownie *wszystko* wskazuje na to, że to ‘ndrangheta pozbyła się swoich nieudolnych ludzi i ukartowała to tak, byśmy myśleli, że wyeliminowała również policjantów, których w rzeczywistości porwała i z których próbowała wyciągnąć informacje.

- Tyle tylko, że ten zameczek jest położony w Bazylikacie, nie w Kalabrii - zauważył Söderstedt.

- Drepczemy w miejscu - stwierdziła Beyer i otworzyła inny dokument.

- Wiem - przyznał Söderstedt i nagle podjechał na swoim krześle do Felipego Navarro.

Zanim Navarro zdążył przełączyć się na inny dokument, Söderstedt dostrzegł krzyczący nagłówek: „¡Democracia real YA! No somos mercancías en manos de políticos y banqueros”.

- To przez te połamane żebra tak powoli przełączasz okienka? - spytał Söderstedt.

- Za wcześnie wróciłem - skrzywił się Navarro.

- Jeszcze przez miesiąc miałeś być na zwolnieniu. Dlaczego wróciłeś?

- Mieszkaliśmy w Madrycie u teściowej i było nam strasznie ciasno.

- Wymówki - odparł Söderstedt. - Co takiego widziałeś?

- Właśnie tego próbuję się dowiedzieć.

- Musisz się z tym lepiej ukrywać. Wydaje mi się, że Paul już się domyśla, czym się zajmujesz. Popatrz, jak się sceptycznie przygląda z tej swojej budki. No, powiedz mi. „Prawdziwa demokracja TERAZ! Nie jesteśmy towarem w rękach polityków i bankierów”.

- Los Indignados - powiedział Navarro. - Protesty w Madrycie. Prywatna firma ochroniarska o nazwie Polemos Seguridad S.A. prowadziła jakąś wymianę z demonstrantami, kiedy dotarli do Madrytu po miesięcznej wędrówce. Nie rozumiem dlaczego i próbuję się dowiedzieć jak najwięcej o Polemos. Takie wyjaśnienie ci wystarczy?

- Aż nadto - odparł Söderstedt. - Ciekawe. Zrobiłeś zdjęcie temu szpiegowi?

- Niestety, nie miałem aparatu, ale ten facet był za elegancko ubrany, żeby tam być. Dokonywał jakiejś wymiany z demonstrantami, przekazywali sobie coś z rąk do rąk, i ten dobrze ubrany robił zapiski w notesie. Nie mam pojęcia, o czym.

I to mi nie daje spokoju.

- O ile się nie mylę, Polemos oznacza w klasycznej grece po prostu wojnę, ale był też taki bóg. Wydaje mi się, że według Heraklita Polemos był ojcem wszechrzeczy.

- W każdym razie to z tą wojną wydaje się całkiem dobrze pasować - stwierdził Navarro. - Do tej pory znalazłem wśród pracowników Polemos czterech najemników, Serba, dwóch Hiszpanów i jednego Amerykanina. Wszyscy uczestniczyli w wojnach w różnych miejscach na świecie.

- A może to tylko zaniepokojeni hiszpańscy bankierzy wynajęli Polemos, by obserwować tych, którzy ich krytykują?

- Może tak być, tyle że nie za bardzo rozumiem, co mogliby w ten sposób osiągnąć. W takim wypadku infiltrator byłby chyba dużo lepszy.

- A jak wygląda ich struktura własności? - spytał Söderstedt i błyskawicznie chwycił myszkę. Navarro nie miał żadnych szans, gdy Arto kliknął małą zakładkę wystającą spod aktualnie otwartego dokumentu z folderu „Prywatne” Donatelli Bruno i na wpół ukrytej pod nim strony www.democraciarealya. Tym, co się pojawiło, był katalog o prostej nazwie „Asterion”.

- Aha - mruknął Söderstedt i puścił myszkę.

- Skończ z takimi numerami, Arto - burknął ponuro Navarro i znów przywołał katalog Bruno.

- Szukasz związków? - spytał Söderstedt.

- Pojawiło się parę rzeczy związanych z tym, co nazywasz „strukturą własności” - mruknął Navarro. - Trzeba śledzić dziwne przepływy pieniędzy na świecie, a przecież głównie tym się zajmowałem, kiedy byłem policjantem w Madrycie.

- I co znalazłeś?

- Jeszcze nic, ale jestem blisko. Są przynajmniej trzy konta w bankach typu offshore, łączące Polemos z firmą ochroniarską, którą kiedyś znaliśmy jako Asterion Security Ltd. Ta ostatnia już nie istnieje, ale wiele tropów prowadzi dalej, do spółki patronackiej, która ma pod sobą mnóstwo różnych firm ochroniarskich. Tyle że to wszystko jest jeszcze trochę za bardzo

niejasne.

- Przecież słyszę, że coś sugerujesz, Felipe.

- Do diabła, Arto, wracaj do swojej roboty.

- Nie ma mowy. To przecież coś wspaniałego. Powiedz mi, co *myślisz*.

- Ale to przecież nie ma nic wspólnego z tym facetem w Madrycie.

- Dość tych wykrętów. Powiedz mi, co *myślisz*.

Felipe Navarro westchnął ciężko i na chwilę zapatrzył się w sufit. Potem najwyraźniej podjął decyzję, bo odparł:

- Że Asterion powoli, ale skutecznie wykupywał różne firmy ochroniarskie: amerykańskie, europejskie, rosyjskie, chińskie, i w tym procesie przekształcił się w wielką spółkę patronacką o nazwie Camulus Security Group Inc., która właśnie ma zostać wprowadzona na Wall Street.

Arto Söderstedt naprawdę zaniemówił. A to nieczęsto się zdarzało. Felipe Navarro przyglądał mu się przez chwilę. Potem powiedział:

- Kiedy dostrzegłem związek, nie mogiem tego tak zostawić. Mam wrażenie, że akurat ty rozumiesz, co mam na myśli, Arto.

- Świetnie rozumiem - oświadczył stanowczo Arto Söderstedt. - Ale teraz muszę uporządkować myśli. Asterion Security Ltd. nawiedza nas od lat jako coś w rodzaju równoległej prywatnej policji na usługach tych, którzy gotowi są najwięcej zapłacić. Wszystko wskazuje na to, że kieruje nimi były agent CIA, Amerykanin Christopher James Huntington. Troje z nas, Jorge, Miriam i Laila, widziało go na żywo. Tylko troje. Laima Balodis widziała go dwa razy: raz w banku w Berlinie, drugi raz w szopie w Esteponie, w Hiszpanii. Natrafiłeś na jakieś jego ślady w twoich materiałach, Felipe?

- Bardzo niewyraźne - odparł Navarro. - To bardziej zarysy śladów.

- To, czego udało nam się do tej pory dowiedzieć, sugeruje, że Huntington jest człowiekiem, który woli pracować w terenie i nigdy nie przesiaduje na zebraniach. A jednak jeśli ktoś chce ich

wynając, wygląda na to, że zawsze rozmawia właśnie z nim.

- Nie istnieją żadne zdjęcia nowsze niż te sprzed ośmiu lat. Wtedy wciąż się nazywał Christopher James Huntington. Osoby o takim nazwisku już nie ma. Istnieje za to grupa spółek kapitału podwyższonego ryzyka, która w początkach istnienia Asteriona finansowała start-up. Nie wolno nam zapominać, że Asterion to supernowoczesna zaawansowana organizacja, która jest w stanie dokonywać wstecznych poprawek w historii. To dlatego to jest takie trudne. Muszę znaleźć dokumenty, które przeoczyli, i wcześniejsze wersje wstecznie sfałszowanych dokumentów. A to wymaga dyskrecji.

- Grupa spółek kapitału podwyższonego ryzyka?

- Wielu jest chętnych inwestorów kapitału podwyższonego ryzyka, którzy są gotowi postawić na obecnie najszybciej rozrastającą się branżę, branżę ochroniarską. Jestem gotów się założyć, że jednym z nich jest Christopher James Huntington we własnej osobie. Tyle że z nową, nieznaną nam tożsamością.

- Założyć się? - spytał Söderstedt.

- Założyć się - potwierdził Navarro. - To przecież zupełnie nie to samo co dowody.

Söderstedt potarł czoło i podjął:

- A więc twój hiszpański Polemos Seguridad S.A. podlega spółce patronackiej Camulus Security Group Inc., która jest najnowszą i jak do tej pory największą formą dawnego Asterion Security Ltd. i która w dodatku ma wejść na Wall Street? I doszedłeś do takiego wniosku na podstawie tego, że jakiś ochroniarz naprawdę niezdarnie obserwował radykalną demonstrację w Madrycie?

- Niezbadane są ścieżki Pana - stwierdził Felipe Navarro.

- A zachowanie tego ochroniarza z niczym ci się nie kojarzy?

- Nie. Nie mam pojęcia, o co chodziło. Ale za to natknąłem się na to tutaj.

- To wygląda cholernie obiecująco.

- Co wygląda cholernie obiecująco? - spytał nagle Marek Kowalewski, który niepostrzeżenie podjechał do nich na swoim

krzesła.

To sprawiło, że nawet siedzący tuż obok Adrian Marinescu oderwał wzrok od monitora. Ale Navarro i Söderstedt milczeli.

- Wiesz, o co chodzi, Adrian? - spytał Kowalewski.

Marinescu westchnął ciężko i potarł ogoloną głowę.

- Wiem tylko tyle, że Felipe jest cholernie trudnym partnerem Zamknięty w sobie jak małż. I wiem jedynie, że nie próbuje rozwiązać sprawy morderstwa Donatelli Bruno. W przeciwieństwie do mnie.

Söderstedt odjechał powoli na swoje miejsce, a Navarro pozastaniał cały monitor materiałami z folderu Bruno.

- Felipe Navarro jest bardzo trudnym człowiekiem - stwierdził Kowalewski.

Navarro posłał mu krzywe spojrzenie, Marinescu zaśmiał się cicho, a z góry - co ich trochę bardziej zaskoczyło - rozległ się następujący komentarz:

- Chodzi wam o to, że Felipe po cichu zajmuje się tą sprawą z Madrytu?

Wszyscy trzej podnieśli wzroki spojrzeli w twarz Paula Hjelm.

Ale Hjelm najwyraźniej nie przyszedł po to, by sprawdzić, na czym to skupia się Navarro, bo dodał po prostu:

- Marek i Corine, chodźcie ze mną.

Kowalewski odtoczył się na swoje miejsce, obok Corine Bouhaddi, która półprzytomnie spoglądała znad monitora.

Kowalewski i Bouhaddi ruszyli za Hjelmem do miejsca, które Söderstedt uparcie nazywał „budką”.

Paul Hjelm wcześniej przysunął do biurka dwa dodatkowe krzesła. Pokazując im, żeby usiedli, zerknął szybko do open space'u. Wszystkie pary oczu utkwione były w „budce”. Uśmiechnął się pod nosem i powiedział:

- Wy dwoje będziecie moją nową parą czułków. I nie tylko dlatego, że macie podobne opatrunki na nosach.

Kowalewski i Bouhaddi wymienili szybkie, pełne zdumienia spojrzenia znad opatrunków, ale żadne z nich się nie odezwało. Hjelm usiadł i oświadczył:

- Zamierzam wysłać was do Chin.
- O cholera - mruknął Kowalewski.

- Szybkie wprowadzenie: szwedzko- polsko- niemiecko- szwajcarskiej firmie biotechnologicznej Bionovia AB z siedzibą w Sztokholmie skradziono przez internet ważne dokumenty, formuły preparatu kontrolującego gen o nazwie MSTN, który kieruje produkcją miostatyny, białka decydującego o tym, jak duże mamy mięśnie. Projekt nosi nazwę „Projekt Mio” i wszystko wskazuje na to, że został wykradzony przez komórkę chińskiego wojska zajmującą się cyberspiegostwem, zwaną „jednostką 61398”. Do tej pory nadażacie?

- Z niejakim trudem - odparł Kowalewski.
- Ja nadażam - powiedziała Bouhaddi.

Hjelm kiwnął głową i kontynuował:

- „Jednostka 61398” mieści się w wielkim, dwunastopiętrowym budynku w Szanghaju, więc firma ochroniarska Bionovii, Inyeniet Security Group AB, zleciła swemu podwykonawcy, organizacji Chu- Jung, być może związanej z Szanghajskimi triadami, by ta dokładniej zbadała sprawę. Chu- Jung z kolei potajemnie obserwuje coś, co uważają za wykorzystywaną w ramach „outsourcingu” część „jednostki 61398”, a więc nie tyle Chińską Armię Ludowo- Wyzwoleńczą, ile raczej jakąś firmę czy podobny podmiot, który „wynajął” część „jednostki 61398”. Nadażacie?

- Wykorzystywaną w ramach „outsourcingu”? - spytał Kowalewski.

- Chiny są przecież w tej chwili przedziwnym połączeniem dyktatury i liberalizmu gospodarczego. Właściwie to mokry sen każdej międzynarodowej korporacji. Jeśli nasze informacje okażą się prawdziwe, obejmuje to najbardziej znaną centralę cyberspiegostwa na świecie.

- W takim razie pewnie chodzi o jakąś firmę, która ma siedzibę w Chinach?

- W każdym razie o taką, która działa w Chinach i którą Armia Ludowo- Wyzwoleńcza uważa za dobrą dla Chin.

- Właściwie to nie to miałam na myśli - odezwała się z ociąganiem Corine Bouhaddi.

- A co miałaś na myśli? - spytał Hjelm

- Skąd *ty* możesz wiedzieć, do czego doszła taka organizacja jak Chu- Jung?

- Słuszne pytanie - przyznał Hjelm i z satysfakcją pomyślał, że dobrze wybrał swoją parę czułeków. - Udało nam się nawiązać kontakt z czymś, co wygląda na niezależną jednostkę policji z Szanghaju. Oni z kolei od dawna śledzą przez internet posunięcia Chu- Jung.

- Nie jestem do końca pewna, czy to odpowiada na moje pytanie...

- Ale to jedyna odpowiedź, jaką otrzymasz - odparł Hjelm i szybko zmienił temat. - Dowódcą tej jednostki jest człowiek o nazwisku Wu Wei. Właśnie na nas czeka. Tam, w komputerze. Teraz z nim porozmawiamy.

- O do... - zaczął Kowalewski, ale przerwała mu azjatycka twarz, która pojawiła się na monitorze Hjelma.

- *Good evening, chief inspector Wu Wei* - powiedział Paul Hjelm. - Jesteśmy bardzo wdzięczni, że zechciał pan z nami porozmawiać tak późnym wieczorem

- I tak zawsze zostaję na posterunku znacznie dłużej - odparł elegancki Chińczyk naprawdę dobrą angielszczyzną. - Poza tym dzięki temu mamy większe szanse na to, że nic nie zakłóci naszej rozmowy.

- Czy to bezpieczne połączenie?

- Na tyle bezpieczne, na ile może być połączenie w Chinach - odparł Wu Wei. - O ile dobrze zrozumiałem, chcieliście państwo porozmawiać ze mną o Chu- Jung? Przypuszczam, że wicie państwo, że jesteśmy niechętni zewnętrznym ingerencjom w wewnętrzne śledztwa chińskiej policji?

- Wiemy o tym - zapewnił Hjelm - i w sumie nie chodzi o Chu- Jung, tylko o pewną europejską firmę. A tak w ogóle, to jestem Paul Hjelm, zastępca dyrektora Europolu. Są tu ze mną komisarze Marek Kowalewski i Corine Bouhaddi. Podlegają

bezpośrednio mnie.

- Miło mi państwa poznać - powiedział szarmancko Wu Wei. - A więc to oficjalna rozmowa z Europolu w Hadze?

- A chciałby pan, żeby to była oficjalna rozmowa z Europolu w Hadze?

- Tak, to będzie doskonałe rozwiązanie. Sądzę, że wszyscy skorzystamy na międzynarodowej wymianie, o ile nie będzie ona dotyczyła wewnętrznych spraw Chin.

- Bardzo się cieszę, że rozmawiamy właśnie z panem - powiedział Hjelm. - Słyszałem wiele dobrego o pańskiej jednostce.

- Mocno w to wątpię - uśmiechnął się Wu Wei. - Trudno byłoby o nas powiedzieć, że jesteśmy *poster boys* chińskiej policji.

- Możliwe, że właśnie dlatego - odparł Hjelm z podobnym uśmiechem. - Jak przypuszczam, wie pan, że Chu- Jung pomaga pewnej szwedzkiej firmie ochroniarskiej szpiegować „jednostkę 61398”?

- Nic mi nie wiadomo o żadnej „jednostce 61398” - odparł Wu Wei.

- No tak... - stwierdził Hjelm. - Oczywiście. Najmocniej przepraszam.

- Nie ma za co. Ale zgadza się, że mamy dość dobre rozeznanie w działalności Chu- Jung, zwłaszcza w internecie.

- Wiadomo panu również o szpiegostwie wymierzonym w europejską firmę o nazwie Bionovia AB?

- Powiedzmy, że słyszałem o pewnym projekcie, którym zainteresowały się pewne podmioty.

- Czy ułatwiłoby sprawę, gdybym podał nazwę tego projektu?

- To zależy od pana, dyrektorze Hjelm.

- Jestem jedynie zastępcą dyrektora. No więc nazywa się on Projekt Mio i jest ściśle tajny. Jeśli pan o nim *nie słyszał*, proszę dać nam to do zrozumienia.

Obserwowali twarz Wu Weia na monitorze. Milczał. Po dłuższej chwili Paul Hjelm podjął:

- Jeśli pan nie wie, czego projekt dotyczy, również proszę dać nam to do zrozumienia.

- Nic takiego mi nie wiadomo.

- Ale jeśli Chu- Jung zbliży się do takich informacji, czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, by podzielić się tą wiedzą z Europolem?

- Nie, jeśli nie będzie to dotyczyło wewnętrznych spraw Chin.

- A potrafiłby pan sobie wyobrazić przyjęcie oficjalnej delegacji Europolu, złożonej z tych dwojga bardzo doświadczonych komisarzy? Oczywiście wyłącznie w celu poznania waszych metod.

- Oficjalna delegacja obserwatorów z Europolu została by prawdopodobnie bardzo pozytywnie odebrana przez władze - powiedział powściągliwie Wu Wei.

- Oczywiście zwrócimy się z zapytaniem do odpowiednich władz - odparł równie powściągliwie Hjelm. - Będzie ono dotyczyło obserwacji metod policji przy rozpracowywaniu Szanghajskich triad i poprosimy, żeby to pan, panie Wu Wei, był odpowiedzialnym za podejmowanie naszych funkcjonariuszy. Oczywiście w związku z pana wspaniałą reputacją policjanta. Czy uważa pan, że byłoby to do przyjęcia?

- Zbyt wiele podejrzanych zagranicznych korporacji próbuje czerpać korzyści z rozwoju chińskiej gospodarki - powiedział Wu Wei.

- Interpretuję to jako tak...

- To byłaby całkiem sensowna interpretacja.

- Doskonale - powiedział Hjelm. - Spróbujemy maksymalnie przyspieszyć formalności.

- Komisarze Kowalewski i Bouhaddi będą tu mile widziani.

- Teraz już pan wie, jak wyglądają. To będzie tylko ich dwoje. Proszę nikomu innemu nie ufać. No może z wyjątkiem mnie.

Wu Wei uśmiechnął się słabo i złożył ręce w pożegnalnym geście. A potem zniknął.

Kowalewski i Bouhaddi gapili się na Hjelma.

- No i co sądzicie? - spytał.

- To człowiek, który przywykł do ostrożnych wypowiedzi - zauważył Kowalewski.
- Wydaje się godny zaufania - stwierdziła Bouhaddi. - Ale jeśli rzeczywiście tak jest, to pewnie jest bardzo samotny.
- Ma swoją grupę - odparł Hjelm. - A grupa, która wspólnie pracuje, by zrealizować wspólny cel, może być bardzo silna.
- No to kiedy wyjeżdżamy? - spytał Kowalewski, składając ręce w geście azjatyckiego pozdrowienia.
- Najpierw się pozbadźcie tych opatrunków na nosach - odparł Hjelm.

Dość proste

Haga, 2 sierpnia

KIEDY DOJECHAŁ do Hagi, miasto było skąpane w jaskrawym, pstrokatym oceanie promieni zachodzącego słońca. Pociąg Sprinter wtoczył się w to morze barw od południa, od strony Rotterdamu. Tam z kolei dotarł pociągiem szybkobieżnym z Paryża. Nauczył się już, że podróż z Paryża do Hagi trwa dokładnie trzy godziny.

Dokładnie tyle potrzebował, by się odprężyć. Trzy godziny plus półgodzinny wieczorny spacer. Nie mógł wrócić jak naładowana burzowa chmura.

Wrócić do domu?

Tak, do domu. Naprawdę.

To było takie niespodziewane. W jego życiu nigdy nie było żadnego domu. A raczej w tym, co się z nim działo zamiast życia.

Nigdy.

Ale teraz go miał. Wciąż czuł się tak, jakby to było tylko marzenie z mamra. Jedno z tych złudzeń, które trzeba mieć, żeby być w stanie przetrwać.

Już samo to, że nie siedział w mamrze, było dla niego zagadką. Ale teraz prawie wszystko było zagadką.

Ostatnia odsiadka. Która absolutnie nie miała być ostatnią. To, jak sama z siebie pojawiła się w nim ta *ostateczna* obietnica. Stać się innym człowiekiem albo umrzeć.

I wciąż tak było:

Stać się innym człowiekiem albo umrzeć.

Siedział w Maison d'arret de la Sante w czternastej arrondissement, jednym z najbardziej destrukcyjnych więzień na świecie. Siedział tam w magicznym roku dwa tysiące trzecim,

kiedy stu dwudziestu dwóch więźniów popełniło samobójstwo.

Sam zabił w La Sante trzech, i we wszystkich przypadkach uznano to za samoobronę. Bo to prawda. Ale nie zawsze w jego życiu tak było.

Otrząsnął się z tych myśli. Minęły trzy godziny. Pociąg wtoczył się na Den Haag Centraal. Zapadł zmierzch.

Wysiadł i przez chwilę stał na peronie. Zapach Hagi był bardzo charakterystyczny, ale za nic nie byłby w stanie go opisać. Chyba że opisałby go jednym słowem: życie. To tutaj zaczęło się jego życie. Nareszcie.

To tutaj dostał drugą szansę.

Ruszył. Szedł starą, znajomą trasą. Fasady domów będą promieniować nagromadzonym ciepłem aż do późnej nocy.

Był wtorek wieczorem. Miał weekendową zmianę, i to był burzliwy weekend w Clichy- sous- Bois, na paryskim przedmieściu, gdzie pracował, by próbować uchronić młodych ludzi przed stoczeniem się w świat gangów, prostytutce i narkotyków. Sam stoczył się już jako trzynastolatek. Tak jakby nie miał innej alternatywy.

To właśnie coś takiego spróbował teraz stworzyć. Alternatywę. Uchwycić ogromną skumulowaną energię frustracji i żądzy zemsty i ją przekierować. Gdyby tylko Europa potrafiła zrozumieć, jakie kolosalne siły są w zasięgu ręki na tak zwanych problematycznych przedmieściach. Gdyby tylko zechciano porządnie zainwestować w ich rozwój, miano by do dyspozycji fantastyczne środki.

Sport, dużo sportu - jego specjalnością był boks - ale również niespodziewanie udane kółka edukacyjne, kursy poświęcone temu, jak założyć własną firmę, jak szukać pracy, dowiadywanie się różnych rzeczy o własnym pochodzeniu, o szacunku i demokracji i o prawdziwej sile, nie tej sztucznej. Oczywiście nieustanne komplikacje. Liczne przypadki powrotu do nałogu, również u tych, u których najmniej można by się tego spodziewać. Czasem odbierał to jako kolejną karę, zaostrenie kary, jaką było jego życie; on, Syzyf, któremu

czasami udało się zataszczyć kamień na szczyt, jednak ten kamień zawsze i tak się staczał.

Tyle że nie zawsze tak się czuł. Organizacja działała, kreatywna współpraca pomiędzy Save the Children, Unicefem i kilkoma miejscowymi chrześcijańskimi i muzułmańskimi organizacjami mimo wszystko zmierzała w dobrym kierunku, sto kroków do przodu, dziewięćdziesiąt dziewięć do tyłu, ale w sumie jeden naprzód. Te chwile, kiedy dziewczyna, która ćpała i prostytuowała się, odkąd miała dziesięć lat, nagle uczy się czytać i przeżywa objawienie; kiedy odpowiedzialny za naprawdę wiele przestępstw członek gangu nagle pojmuje, kim się właściwie stał, i rzyga; kiedy miejscowy baron narkotykowy nagle z całą mocą zdaje sobie sprawę z tego, czym jest demokracja; kiedy jedenastoletni, który już ma zacząć rozprowadzać narkotyki, dostrzega w sobie talent do koszykówki i staje się o dziesięć centymetrów wyższy tylko dlatego, że prostuje plecy.

Wolontariusze przyłączali się do nich niemal przez cały czas, na krótsze lub dłuższe okresy, mieli mniej lub więcej cierpliwości. Często byli dawnymi przestępcami, tak jak on sam, ludźmi, którzy w ten czy inny sposób próbowali spłacić choć ułamek swojego długu wobec społeczeństwa, być może w nadziei, że uratują od losu, który spotkał ich samych, choć jedną jedyną osobę. Ludźmi, którzy chcieli być pod ręką w chwili, gdy ktoś podejmuje tę rozstrzygającą i nieodwołalną decyzję.

Tak było z tym brodaczem. Już kiedy zaczynał wolontariat, było wyraźnie widać, że znaczną część dzieciństwa spędził w Clichy-sous-Bois - swojak, cichy, naznaczony życiem, uparty, dawny bokser. Trzy tygodnie namawiania w sekcji boksu, naprawdę chcieli zorganizować walkę dwóch wysokich instruktorów. W ten weekend wreszcie do tego doszło.

Wędrował dalek wzdłuż kanału, w stronę rejonu uniwersytetu w Hadze, De Haagse Hogeschool.

Zapalające się światła miasta i ciemniejące niebo odbijały się w wodzie, zakłócając jej linearność. To było piękne miasto. Wściekłość, jaką czuł w ten weekend, była już tylko

wstydliwym wspomnieniem. Właściwie to nie był już zły, nie tak naprawdę. A jednak brodacz go rozwścieczył. Nie chciał o tym myśleć. Teraz widział już niewyraźne kontury dawnych akademików. Poczłł znajomą falę ciepła, która sprawiała, że stawał się bardziej łagodny, niż kiedykolwiek wydawało mu się to możliwe.

Ujrzał ją w wyobraźni. W kuchni. Naprawdę pragnął wierzyć, że lubiła przygotowywać tę późną kolację za każdym razem, kiedy przyjeżdżał z Paryża. Że nie robiła tego tylko dlatego, że czuła się zmuszona; że naprawdę tego chciała. Już teraz czuł zapach zagłębienia w jej szyi, jej karku, włosów...

Była jego życiem.

I nie wolno mu było tam przychodzić jak naładowana burzowa chmura, a tak się właśnie czuł po swojej zmianie w Clichy-sous-Bois. Zwykle trzy godziny w pociągu i półgodzinny spacer przez Hagę pozwalały mu się z tego wszystkiego oczyścić. Tak, żeby był całkiem rozluźniony, kiedy wtulił twarz w jej kark.

Kiedy dotarł do studenckiego bloku, naprawdę poczuł się odprężony. Irytujące chwile z weekendu nie wniknęły w niego aż tak głęboko. Że też brodacz się *podłożył*. Zauważył to już podczas pierwszych rund, kiedy brodaty robił tylko parszywie zręczne uniki. A w piątej rundzie wysunął ten swój pieprzony zarośnięty podbródek i po prostu poleciał za ciosem. Zatoczył się do tyłu, tak, że wyglądało to jak prawdziwy nokaut. Wszyscy dali się nabrać.

Pewnie sukinsyn był pacyfistą.

On też próbował nim być. Ale mu nie wychodziło.

Stał w windzie i naprawdę ze wszystkich sił próbował przestać być burzową chmurą. Kiedy winda, postępując, powoli sunęła do góry, spróbował oczyścić się ostatnią myślą o tym, że Europa świadomie, przez wiele dziesięcioleci, starała się stworzyć nowy, coraz bardziej bezsilny proletariąt, *prekariat* (wydawało mu się, że ktoś to tak nazwał), klasę mięsa armatniego, która już dawno temu zmieniła się w beczkę prochu. Dokładnie tak jak w Stanach Zjednoczonych.

Winda się zatrzymała. Przez chwilę stał z zamkniętymi oczami. Potem je otworzył i spojrzął na siebie w lustrze.

Nie, właściwie to spojrzął na swoją pierś. Musiał się sporo pochylić, by jego oczy znalazły się na wysokości lustra.

Dawno zrezygnował z prób złagodzenia swojego niuśtępliwego wyrazu twarzy. To już nie było możliwe. Jego doświadczenia wryły się głęboko w rysach, nadały twarzy kamienny wyraz - oczy otoczone gmatwaniną niezbyt dobrze zagojonych blizn i tatuaży spoglądały twardziej, niżby tego chciał.

Potrząsnął głową i wyszedł na korytarz. Po kilkunastu metrach dotarł do drzwi z tabliczką „Balodis”. Tam zawsze na chwilę się zatrzymywał. Jak lodowaty dreszcz przenikało go wrażenie, że najlepsza przyjaciółka jego ukochanej - i jej najbliższa sąsiadka, nie tylko w sensie fizycznym - potrafi go przejrzeć na wylot. Że umie zajrzeć wprost do jego mrocznego wnętrza i że nigdy nic innego tam nie zobaczy.

Wzdrygnął się i przeszedł kolejne kilka kroków. Stał przy drzwiach z tabliczką „Hershey”. Bicie serca się uspokoiło. Napłynęły inne emocje. Poczul, jak łagodnieje.

Ich pierwsze spotkanie. Wypełniony gwarem bar w Cafe Rosso na hipsterskim Oberkampfie w Paryżu. Zobaczył tę dwójkę na urlopie, obserwował, jak ze sobą współgrają. Ciemnowłosa i blondynka, w oczywisty sposób różniące się pochodzeniem, wspólnie stworzyły mur chroniący je przed zewnętrznym światem. Najwyraźniej nieraz doświadczały nachalnych zaczepek. Jego spojrzenie padło na tę ciemnowłosą. Wiedział, że nie powinno go tam być. Popijał swoją colę light i - gdy tylko na niego spojrziała - omiółł wzrokiem butelki whisky za barem. Po co sam tak siebie dręczył? Po co cierpiał piekielne męki w otoczeniu, przed którym wszyscy go ostrzegali? „W lokalach ryzyko powrotu do nałogu wzrasta o dziewięćdziesiąt dwa procent”, mawiał jego dawny kurator, Maurice. Ale gdy ponownie spuścił wzrok, a ona przysunęła się trochę bliżej i uniosła swój kieliszek w jego stronę, świetnie wiedział, dlaczego

się na to wszystko naraża.

Uniósł rękę i zadzwonił do drzwi.

Dom. Czy dzwoni się do własnego domu?

Od kilku miesięcy miał klucz, ale nie mógł się zmusić, żeby go użyć. Nie kiedy była w środku.

Otworzyła. Promienne, brązowe oczy. Fantastyczny uśmiech. Aureola włosów. Wyciągające się do niego dłonie, które z miłością i akceptacją ujmują jego nieustępliwą, pokrytą bliznami twarz. Które dostrzegają coś więcej niż twarz recydywisty. Spoglądają prosto w jego jasne wnętrze.

Przytulił ją. Przytulił całym sobą. Szepnął:

- Miriam.

A ona zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała tylko:

- Nicholas.

I właściwie wszystko było dość proste.

Drapieźnik

II

Clichy- sous- Bois, Paryż, 3 sierpnia

W OBSKURNEJ, zapchlonej klitce brodacz niechętnie przyjrzał się swojej twarzy w brudnym lustrze. Nie lubił luster, ale teraz musiał sprawdzić, czy widać jakieś ślady na jego twarzy po weekendowym nokaucie. Żadnych nie było, potoczył się przecież metr do tyłu wraz z ciosem, zanim runął! jak powalone drzewo.

Skupił się na brodzie. Nie tak łatwo było sprawić, by wyglądała na niechlujną i potarganą jak u kłoszarda. Apatycznie poprzycinał kilka kosmyków i zajął się oczami. Tym razem stosunkowo bezproblemowo udało mu się założyć barwne szkła kontaktowe i kiedy mrugał łzawiącymi oczami, by się ułożyły, mógł po raz enty stwierdzić, że jest dobry w tych przemianach. Z zielonymi tęczęwkami natknął się już na trzech znajomych z dzieciństwa - „przyjaciele” to nie byłoby właściwe słowo - i żaden z nich nie rozpoznał wówczas dość introwertycznego chłopaka z wyższych sfer, który „się zesłamsił” na najobskurniejszym przedmieściu.

Był coraz bardziej przekonany, że to najmądrzejsze posunięcie. Prawdopodobieństwo, że wróci do Clichy- sous- Bois, wydawało się nieskończenie małe. Ale kiedy tak stał, zadowolony z siebie, uderzyła go myśl, że to samozadowolenie to jego najgorszy wróg. Od czasu do czasu czuł je na wyspie. Przede wszystkim kiedy wypływał łodzią rybacką, prostą, własnoręcznie skleconą - jej budowa zapewniła mu fizyczny trening, którego potrzebował - choć właściwie to się w ogóle nie rzucało w oczy. Zwłaszcza rekiny były ekscytujące.

Ale to było kiedyś. Teraz było inaczej. Kiedy on pracował w

terenie, ona siedziała w biurze, z wykształcenia była pracownikiem socjalnym. Było coś dziwnie *właściwego* w wolontariacie na rzecz tej organizacji. Działała *na serio*. Oprócz tego, że ta praca stanowiła idealną przykrywkę, dawała mu właściwą energię na przyszłość.

Jakkolwiek miałyby ona wyglądać.

Jedyną rzeczą, jaką wiedział na pewno, było to, że nie potrafił biernie siedzieć i na nią czekać. Nie było takiej możliwości. To dlatego noce wyglądały tak, jak wyglądały.

Zdołał przemóc swoją niechęć do lustra i przyjrzał się sobie. Zielone oczy przestały łzawić. Spojrzał w nie głęboko i musiał przyznać, że nie stali się wolontariuszami ze strictly altruistycznych powodów. To, że ona zajmowała się księgowością, ułatwiło mu sprawę, gdy po niedługim czasie zaczął odpowiadać za kursy komputerowe prowadzone przez organizację. Mogła anonimowo przelewać pieniądze na rzecz organizacji. A potem on zamawiał za nie komputery, to był sposób na pranie pieniędzy, by zdobyć sprzęt, którego potrzebował do swoich nocnych zajęć. Pocieszał się myślą, że wpłacali znacznie więcej pieniędzy dla organizacji, niż wyciągali z jej kasy.

Poza tym przeznaczal część niepranych pieniędzy na coś tak banalnego jak broń. Nie był z tego dumny.

Nie było łatwo niepostrzeżenie się włamać do harmonogramów różnych *drapieźników*, MQ- I Predator. Nawet w ciągu roku spędzonego na wyspie firewalle stały się znacznie bardziej zaawansowane. Ale mimo wszystko posuwał się naprzód, choć absurdalnie powoli. Jak to mawiali w tej organizacji?

„Sto kroków do przodu, dziewięćdziesiąt dziewięć do tyłu, ale w sumie jeden naprzód”.

Wyszedł z łazienki i ruszył do ich wspólnej sypialni. Siedziała na łóżku i czytała książkę. Nawet nie podniosła wzroku, kiedy podszedł do biurka, na którym stały komputery. Przejrzał ostatnie wyszukiwania, które wczoraj w nocy wciąż jeszcze trwało. Teraz już się zakończyło. Zapisał je i zaczął składać cztery

laptopy i resztę sprzętu.

- Już pora? - spytała.

- Dochodzi wpół do ósmej - odparł.

- Naprawdę musimy...? - Westchnęła.

- Tak, musimy - odpowiedział. - Najniebezpieczniej jest wtedy, kiedy zaczynamy czuć się bezpiecznie.

- „Żadnych śladów w domu, zawsze nowa trasa do pracy i z powrotem” - zacytowała, zamykając książkę.

- Nawet jednej książki - uśmiechnął się.

Również się uśmiechnęła i spakowała książkę do już dość pełnego plecaka.

- Ale to z tą trasą do pracy i z powrotem... - rzekła. - Czy musimy być tacy niesamowicie... no nie wiem... *wyrafinowani*?

- Wiesz, na czym opiera się system - odparł. - To wcale nie takie skomplikowane.

- „Oglądaj wczorajszą trasę z drugiej strony”, wiem, wiem.

- Całe szczęście, że Paryż ma taką zróżnicowaną sieć dróg. W Nowym Jorku byłoby inaczej. Same linie proste.

- Naprawdę nazywasz to Paryżem? Kaliningrad wydaje się przy tym rajem.

- Ale tutaj jesteście bezpieczniejsi.

- A nie było przypadkiem tak, że absolutnie nie wolno nam poczuć się bezpiecznie?

Znów się uśmiechnął i powiedział:

- Chodź już. Masz wszystko?

- Mam - westchnęła i podźwignęła się ciężko.

Na klatce schodowej zajrzał jeszcze raz do śmierdzącego grzybem mieszkania. Nic tam nie zostało. Wyszli na ulicę.

W Clichy- sous- Bois zapowiadał się kolejny przepiękny dzień lata. Nikogo nie było widać, ulica przy bloku była zupełnie opustoszała.

Była to ulica bez kamer; jego jedyny wymóg, kiedy załatwiał to mieszkanie.

Dwudziestego siódmego października dwa tysiące piątego roku w okolicy wybuchły zamieszki. W ciągu trwającego przez trzy

miesiące stanu wyjątkowego poza tym całkiem sympatyczny mer Paryża, Bertrand Delanoë, zadbał o to, by liczba kamer znacznie wzrosła. Teraz były ich legiony.

Oczywiście stanowiły element ryzyka - ale również punkty odniesienia dla ich trasy do pracy i z powrotem. Nie dało się ich całkowicie unikać - a prawdopodobieństwo, że zostaną wykryci za pomocą kamer, było właściwie zaniedbywalne - ale kiedy zarejestrowała ich jakaś kamera, stanowiło to punkt odniesienia dla trasy następnego dnia.

„Tyle że widziany z drugiej strony”.

Dzisiaj wybrali tak zwaną „leśną drogę”, co w praktyce oznaczało ścieżkę między przypadkowo porozrzucanymi drzewami w jednym z dziwnie urządzonych parków, do których *zdecydowanie* nie należało się zapuszczać nocą. Zresztą również w dzień nie stanowiły one widoku, który podnosiłby na duchu.

Wspomniane drzewa miały wyjątkowo niewiele wspólnego z przyrodą. Pokryte osiadającymi na nich spalinami i podlewane moczem przesyconym amfetaminą, prezentowały się dość żałośnie. Kiedy tak szli ścieżką, z wielkimi plecakami, mogli przypominać parę kompletnie zbłąkanych leśnych skrzatów.

Nigdy jej nie powiedział o punktach odniesienia; wtedy by nie uznała, że jego plany są po prostu - no cóż - zbyt *wyrafinowane*. Pomyślałaby po prostu, że jest chory psychicznie. Minęli cztery kamery, znajdowali się mniej więcej w połowie drogi i wspinali się teraz na niewielkie wzniesienie. Dostrzegł piątą, kawałek dalej, przy jezdni. Kilka metrów przed nimi przy ścieżce stała skopana i zabazgrana skrzynka elektryczna. Obserwował ją, kiedy się do niej zbliżali. Nie, nie było w niej nic szczególnego.

Za skrzynką elektryczną pociągnął ją na ziemię. Jego towarzysza nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nauczyła się tego. Zerknął przed siebie.

Nie było zupełnie nic dziwnego w niebieskim fordzie, który stał zaparkowany poniżej kamery. Z wyjątkiem tego, że jego przód był zwrócony w tę samą stronę co kamera i znajdował się

dokładnie poza jej zasięgiem. Takie rzeczy czasem się zdarzały. Ale wtedy w takich wozach nie siedzieli ludzie. W tym siedziało ich dwoje.

Wczoraj wieczorem w drodze do domu mijali tę kamerę. A teraz stał tu samochód, w którym siedziało dwóch facetów.

Mieli wystarczające środki, by nasać na nich MQ- I Predator. Jeśli rutynowo wysyłali zwiadowców, gdy tylko znaleźli jakiś podejrzany filmik, istniała możliwość, że to faktycznie tylko dwóch facetów, wynajęta miejscowa siła robocza, ale wówczas trudno byłoby zapanować nad całym projektem. Istniałyby tysiące lokalnych współpracowników. Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne. A więc faktycznie ich *zidentyfikowali* na podstawie filmu z kamery z wczorajszego wieczoru... diabli wiedzą, w jaki sposób. To zaś oznaczało, że ci dwaj faceci z pewnością nie są sami.

Kiedy wsuwał rękę do jej plecaka, szybko liczył w głowie. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ten pozornie pospolity ford ma kuloodporne szyby? Jakie jest prawdopodobieństwo, że z lasu wypadną ludzie? Ile najprawdopodobniej będzie samochodów i gdzie?

Jego palce musiały wybrać między okrągłym kształtem a kanciastym, ale wtedy zdążył już dokończyć myśl: będziesz musiał rozbić przednią szybę.

- Trzymaj się jak najbliżej mnie - powiedział.

Uniósł pistolet. Szybko ustalił, gdzie kończy się pole widzenia mężczyzn, i skulony pobiegł w stronę samochodu. Strzelił do nich z boku, mniej więcej w połączenie kości skroniowej i kości potylicznej. Posypało się szkło, echo strzału przetoczyło się nad sennym Clichy- sous- Bois. Spojrzenie miał już z powrotem utkwione w skrzynce elektrycznej. Jego towarzyszka się zbliżała, była zaledwie kilka metrów za nim. Wtedy wynurzyli się z lasu. Dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi.

Całe szczęście, że wybrałem oba, zdołał jeszcze pomyśleć. Wtedy wybuchł granat, który zdążył przyczepić do szafki elektrycznej. Obaj faceci z pistoletami maszynowymi zniknęli w

morzu ognia i dymu. Gdy rzucił nią podmuch, chwycił ją, a gdy z przodu i z tyłu rozległ się pisk opon, zwłok obu mężczyzn pozbył się już z samochodu.

Obtłukł pistoletem wystające kawałki szkła, pozostałość po przedniej szybie, i położył swój plecak na jej kolanach. Kiedy uruchamiał silnik i wsłuchiwał się w pisk opon obu pojazdów, powiedział:

- Uzi.

Zamienili się. Ona dostała pistolet, on izraelski pistolet maszynowy. Z przodu słabszy pisk opon, większy pojazd. I jeszcze jeden czynnik, kierunek. Słońce. Zawrócił ciasno wozem, wcisnął pedał gazu i pognął na zachód. Z naprzeciwka zbliżał się identyczny niebieski ford. Nigdy by nie przeoczył dwóch takich samych pojazdów, a więc musiał stać w garażu. W każdym razie możliwe, że oślepiąo ich słońce.

- Schył się - polecił.

Pędził prosto na nich, ze słońcem za plecami, i wystrzelił serię przez otwór, w którym brakowało przedniej szyby. Zbliżający się z naprzeciwka bliźniaczo podobny samochód w chmurze odłamków szkła odbił ostro w prawo i walnął prosto w wysoki słup z kamerą.

Czarny hummer H3 we wstecznym lusterku. Głuchy pomruk niemal czterolitrowego silnika, dwieście czterdzieści koni mechanicznych. Nie da się przed nim uciec. Trzeba było wymyślić coś innego.

Pierwsza seria, zanim policzę do trzech, pomyślał i ostro skręcił w lewo, w stronę jakiegoś terenu przemysłowego. Tam będzie pewnie bardzo niewiele możliwych dróg. Nie było czasu na wyścigi samochodowe.

I faktycznie seria pocisków z jakiegoś pistoletu maszynowego zaświstała tuż obok ostro skręcającego forda. Na pełnym gazie wjechał przez otwartą bramę na teren przemysłowy, skręcił ostro w lewo i powiedział spokojnym, opanowanym glosem:

- Nie podnoś giowy, ale wyjmij „g”.

We wstecznym lusterku zobaczył, że hummer trochę wolniej

skręca za róg. Wpadł w lekki poślizg, MP7A1 podskoczył w rękach Strzelca wychylającego się z okna od strony pasażera. Trochę słaby celownik, ale to nie będzie miało wielkiego znaczenia, kiedy hummer się rozpędzi. I właśnie to się stało. Samochód wyszedł z poślizgu, ciężkie opony chwyciły nawierzchnię. Strzelec ustabilizował pozycję.

Zaledwie na odcinku kilku metrów hummer wyraźnie się zbliżył. Ale wtedy skręcił fordem za następny róg, w prawo. Dwadzieścia pięć metrów dalej gwałtownie wcisnął hamulec.

Zdążył już wyskoczyć z samochodu.

- „G” - powiedziała słabym glosem i podała mu „g”.

Hummer wyjechał zza rogu. Znow ten sam poślizg, strzelec ponownie się zachwiał. Ponad sekundę, zanim wóz wyjdzie z poślizgu. Przestrzelił przednią szybę, cisnął do środka „g” i rzucił się za forda. Wybuch był ogłuszający. Tylne szyby forda popękały na mikroskopijne odłamki i runęły do wnętrza samochodu.

Podniósł się. Hummer stał bez ruchu, dopalał się. Kolosalny, niemal całkowicie zniszczony wrak samochodu. Kierowca płonął w środku, ale strzelec się wydostał. Zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę forda, lufa jego MP7A1 opadła, usiłował ją unieść. Runął na twarz. Z jego pleców sterczała połowa drzwi samochodu.

- „G” - powiedział i podszedł do leżącego Strzelca. - „G” jak granat. Powinniście spróbować się uczyć na własnych błędach.

Wyczołgała się z forda. Mikroskopijne odłamki szkła sterczały z jej ciała jak protuberancje ponad brzegiem tarczy słonecznej.

- Nic ci nie jest? - zawołał.

- Nie - wykaszała i chwiejnie ruszyła w jego stronę. Miała ze sobą oba plecaki.

Kiwnął głową, pośpiesznie ją otrzepał i uściśnął. Była niesamowicie pojętna.

Choć w pewnym sensie byli przecież rodzeństwem.

Poszperał w jej plecaku i wyciągnął wielofunkcyjne narzędzie i worek strunowy. Wpatrywała się w niego.

- Patrz gdzie indziej - polecił i kucnął przy zwłokach Strzelca.

Facet faktycznie miał wbitą w plecy połowę drzwi od samochodu.

Chwycił zabitego za włosy i uniósł mu głowę. Komórką zrobił zdjęcie twarzy. Następnie odpiłował mu prawą dłoń i włożył do woreczka.

Przez cały czas patrzyła.

Gapiała się na niego. Pobladła jak ściana.

- Tutaj jest dużo informacji - powiedział, potrząsając woreczkiem.

Wrzucił go do plecaka i spojrzał na budynek przemysłowy. Tu i ówdzie pootwierały się w nim okna i teraz na różne strony odbijały poranne sierpniowe słońce.

- A teraz chyba powinniśmy już spadać - dodał.

Ogłoszenie

Haga, 4 sierpnia

JUTTA BEYER jechała na rowerze. Był magiczny letni poranek w Hadze, powietrze zdawało się górskie, jakby alpejskie - co wyjątkowo rzadko zdarzało się w Holandii - i opływało jej twarz niczym cudowna, delikata pieszczoła. Było to bardzo romantyczne uczucie, które Beyer natychmiast skojarzyła ze swoim nowym ceryelo R3, rowerem wyścigowym z taką samą ramą, jakiej team Garmin- Sharp- Barracuda używał podczas Tour de France.

Jechała bardzo szybko.

Chciała w ten sposób tchnąć życie w swoje ciało.

Przed nią rósł kwartał Europolu - próbowała nazywać go siedzibą Europolu, ale jakoś się nie dało. Zupełnie nie robiło na niej wrażenia, że te cztery zrosnięte ze sobą asymetryczne budynki wyglądają właściwie odstręczająco. Wyjęła łańcuch, tak jak zwykle, ale zawahała się i stała tak przez chwilę.

Nie chodziło o to, że tęskniła za Markiem Kowalewskim, który w takiej chwili zawsze się pojawiał i proponował, żeby spięli razem rowery - zupełnie jakby kiedykolwiek przyszło jej do głowy, by kalać swego ceryelo R3 towarzystwem brudnego polskiego roweru. Nie, nie to sprawiło, że się zawahała. Przyczyną nie było też wyparte wspomnienie, że Kowalewski znajduje się teraz na drugim końcu świata. Chodziło raczej o przykry fakt, że ten rower kosztował ją prawie całą miesięczną pensję. Skrzywiła się i zaczęła zastanawiać, czy w ogóle istnieje możliwość, żeby zabrać ze sobą rower do siedziby Europolu. Czy nie zostanie obezwładniona przez ochroniarzy i zaciągnięta do celi, w której po chwili zjawi się Paul Hjelms i z bardzo łagodną, ledwie dostrzegalną ironią powie: „Czyli próbowałaś wtaszczyć

isme narzędzie zbrodni do samego serca europejskiej policji?”. A wtedy w głowie Jutty Beyer pojawi się mnóstwo nieprzyzwoitych myśli na temat serca europejskiej policji (a być może i Paula Hjelmna), aż w końcu ją wypuszczą.

Zarzuciła więc na ramię lekki zgrabny rower i ruszyła do środka. Wóz albo przewóz.

Kilka minut później grupa Opcop zebrała się w nieco pompatycznej sali, nieoficjalnie zwanej „Nową Katedrą”. Określenia „Nowa” używano jednak coraz rzadziej. Wkrótce stanie się po prostu „Katedrą”, tak jak w starej siedzibie Europolu.

Grupa właściwie się już zebrała. Angelos Sifakis skutecznie uciszył trochę zbyt żywiołową rozmowę krajowych przedstawicieli Jorge Chaveza i Salvatore Esposito, w której - szczerze mówiąc - za cały ładunek emocjonalny odpowiadał pierwszy z nich. Felipe Navarro siedział i wpatrywał się w dal, a Adrian Marinescu, Miriam Hershey i Laima Balodis sprawiali wrażenie nieco znudzonych. Natomiast Arto Söderstedt wydawał się głównie samotny. Bo brakowało nie tylko Marka Kowalewskiego i Corine Bouhaddi. Paul Hjelm, który siedział na podwyższeniu jak na tronie, zerknął na zegar i stwierdził, że pierwszy raz się zdarza, by Jutta Beyer spóźniła się na ważne spotkanie. No cóż, w sumie to pierwszy raz się zdarzyło, żeby w *ogóle* się spóźniła. Przez chwilę się zastanawiał, czy coś jej się nie stało. Dokładnie w chwili, gdy postanowił zacząć spotkanie bez niej, drzwi się otworzyły i zjawiła się zarumieniona Jutta Beyer, niosąc na ramieniu porozkładany na części rower. Kosmyki włosów sterczały spod jej kasku na wszystkie strony.

- Nawet nie pytaj - rzuciła.

- Przynajmniej zdejmij kask - powiedział Paul Hjelm

Beyer zamrugła, jakby przed chwilą się obudziła, i odstawiła pod ścianę co najmniej dziesięć różnych części roweru. Z nadal skonsternowaną miną powiedziała:

- Ochroniarze tam na dole dostali szau.

- Outsourcing - stwierdził neutralnie Hjelm. - A teraz usiądź.

Zacniemy od Angelosa. Jak tam wasze kontakty z włoską policją?

Sifakis zerknął na monitor i odpowiedział:

- Nie za dobrze. Pracujemy na dwa fronty. Szukamy R, który był najprawdopodobniej głównym informatorem Donatelli Bruno w jej nieoficjalnym śledztwie, oraz tak zwanego Fusiarza, który gwarantował autentyczność materiałów wysyłanych Tebaldiemu, zostawiając na nich po prostu kółko po filiżance z kawą. Obie te osoby pracują zapewne w policji lub w sądownictwie i jedna z nich była prawdopodobnie bliska Bruno, a druga Tebaldiemu. Chodzi o zaufanie w sprawach życia i śmierci.

Sifakis przewinął trochę materiały na monitorze i ciągnął:

- Niestety, Bruno bardzo dbała o swoją prywatność. Przebrnąłem przez cały jej życiorys, ale nie znalazłem właściwie nic, co mogłoby się nam przydać. Rozmawiałem z jej dawnymi przełożonymi i znalazłem trochę kolegów, w tym dwóch wcześniejszych partnerów, lecz nikt nie potrafił powiedzieć nic istotnego. Z wyjątkiem tego, że trzymała się na dystans i nikogo nie wpuszczała do swojego życia. A więc od policyjnej strony wygląda to na razie trochę kiepsko. *Natomiast* dzięki zachowanemu zaszyfrowanemu mailowi z folderu „Prywatne” udało mi się znaleźć osobę, która najprawdopodobniej była jej ostatnim kochankiem, niejakiego profesora Nigela Gadwella z The University of London. Jest żonaty, więc niezbyt chętnie ze mną rozmawiał, i niestety on również nie za bardzo potrafił nam pomóc. Potwierdził tylko, że Bruno otaczała aura tajemniczości. Cytuję: „To właśnie to mnie tak niesamowicie podniecało”. Powiedział jednak coś, co może się okazać interesujące. Twierdził, że ma, cytuję, „skłonność do zaskakujących prezentów”, które czasem jej wysyłał. To mogło być wszystko, od dziwnych pluszaków aż po ekscentryczne ubrania.

- Domyślam się, że będzie jakaś puenta? - spytał Hjelm.

- Raczej hipoteza - odparł Sifakis. - Jeśli faktycznie ten Gadwell

od czasu do czasu wysyłał jej zaskakujące prezenty, to może wyjaśniać, dlaczego policjantka znana z dbałości o swoją prywatność, a ponadto zdająca sobie sprawę, że może jej coś grozić, opuściła gardę na tyle, by otworzyć dostarczoną jej paczkę. Prawdopodobnie ten Gadwell figurował jako nadawca albo przynajmniej był to jakiś londyński adres, co z kolei może wskazywać na to, że mafia znała najintymniejsze szczegóły z życia tej tajemniczej kobiety. A to sugeruje o wiele głębszą inwigilację, niż wcześniej sądziliśmy.

- Dobrze rozmówienie - stwierdził Hjelm. - Co zamierzasz z tym dalej zrobić?

- Ten mail wskazuje na to, że Donatella miała prywatne konto mailowe, z którego prowadziła osobistą korespondencję. Zamierzam teraz dokładnie zbadać, kiedy i w jaki sposób to konto zostało zhakowane. Niestety, nie zostały na nim żadne maile, ani przychodzące, ani wysłane. Znajdowało się tam natomiast sporo zwykłego spamu, to znaczy reklamy, co być może powie nam, jakie strony odwiedzała. To również zamierzam dokładnie zbadać.

- Doskonale - podsumował Hjelm i już chciał kontynuować, ale mu przerwano.

- Przepraszam - odezwała się Jutta Beyer. - Mogłabym tylko coś uściślić? Trochę za dużo mówicie o „aurze tajemniczości otaczającej Bruno” i tak dalej. Sądzę, że jest to o wiele prostsze. I *wiem*, że wszystkie kobiety tutaj tego doświadczyły. Będąc kobietą w męskim świecie, trzeba po prostu być ostrożną. Wy, którzy mieliście przywilej urodzić się jako mężczyźni, nigdy o tym nie myślicie.

- Święta prawda - rzuciła Miriam Hershey.

- Powinniście to sobie zapamiętać - pokiwała głową Laima Balodis.

- No tak - rzekł Sifakis. - Macie całkowitą rację. Nie przyszło mi to do głowy.

- Dziękujemy, Jutto - powiedział Hjelm. - To sensowne zastrzeżenie, zwrócimy na nie uwagę. Ale my tutaj chyba nie

jesteśmy tacy straszni? Przynajmniej teraz?

- Nie - odparła Beyer - ale...

- To zdejmij wreszcie ten kask. Fusiarz?

- No to teraz moja kolej - odezwał się Jorge Chavez. - Tu musimy równie głęboko pogrzebać w przeszłości Fabia Tebaldiego. Interesującym nowym faktem, do jakiego udało mi się dotrzeć, jest to, jak *wcześniej* w policyjnej karierze Tebaldiego mafia po raz pierwszy groziła mu śmiercią. Zagrożenie istniało już wówczas, gdy był aspirantem w Genui, a więc zanim rozpoczął pierwszą służbę w Turynie. Jego szef z Genui sugeruje, że istniało wtedy zagrożenie i w związku z tym wzmocnili ochronę na posterunku. To wskazuje na dwie rzeczy: jedną niezbyt ważną i drugą, która przynajmniej *wydaje się* ważna. Po pierwsze, wygląda na to, że Tebaldi świadomie oddalał się na północ. Może chodziło mu po prostu o to, by znaleźć się jak najdalej od swoich rodzinnych stron. Ale może to być również związane z drugą, ważniejszą sprawą: że w ten czy inny sposób grożono mu śmiercią, jeszcze zanim miał szansę wziąć udział w jakimkolwiek śledztwie związanym z mafią.

Rozsądek podpowiada, że już wtedy w pewnym sensie uciekał.

- Tak, to ciekawe - stwierdził Hjelm. - Czyli wrócił do San Luca i zajął się rozpracowywaniem mafii *już po tym*, jak grożono mu śmiercią?

- Właśnie - potwierdził Chavez. - Niby czemu ktoś miałby grozić zaledwie dwudziestoletniemu aspirantowi z Genui? Proste, ogólne wyjaśnienie brzmi pewnie tak, że jeśli pochodzisz z San Luca, stolicy 'ndranghety, to po prostu *nie zostajesz* policjantem. Nie i już! Jeśli zrobisz coś tak bezdennie głupiego, z definicji grozi ci niebezpieczeństwo.

- I może takie jest wyjaśnienie. Kiedy trochę dojrzał i przestał się tak bać, wkurzył się i postanowił się odegrać, wracając do jaskini lwa i legalnie zwalczając tych, którzy mu grozili?

- Może tak być - uznał Chavez. - Jest jednak pewien szczegół. Kiedy Fabio Tebaldi przyjechał tu ze swoimi ochroniarzami, bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że pochodzi z San Luca,

prawda?

- Tak, figurowało to nawet w jego formalnym wniosku o przydział do grupy Opcop. Wychował się w San Luca.

- Ale w ogóle nie figuruje w tamtejszej ewidencji ludności - powiedział Chavez.

- Co masz na myśli?

- Tebaldi pojawia się dopiero jako piętnastolatek, uczęszczający do gimnazjum w Rzymie. Wcześniej nie ma żadnego śladu, że w ogóle istniał. To dopiero „aura tajemniczości”.

- O cholera.

- W sumie nie wiem, jak mam to interpretować. Muszę znów skupić się na Rzymie. Porozmawiać z pracownikami gimnazjum, odnaleźć dawnych dyrektorów i nauczycieli. Krótko mówiąc, muszę wyjechać do Włoch. I chcę ze sobą zabrać Angelosa i Salvatore. To o to się wcześniej pokłóciliśmy.

- Według mnie brzmi to sensownie - stwierdził Sifakis. - Nie mogę dalej rozpracowywać przeszłości Bruno tutaj w Hadze. Myślę, że Rzym będzie dobrą bazą.

- Nie rozumiem tylko, do czego mnie tam potrzebujecie - powiedział Salvatore Esposito.

- Lokalne wsparcie - odparł Chavez. - Ktoś, kto zna na wylot kulturę i język. Służyłeś przecież w Rzymie.

- Świetnie to wygląda - stwierdził Hjelm. - Wy trzej wyjedziecie jak najszybciej. Napiszcie tylko przedtem porządne raporty. Ja uprzedzę Rzym. No i mamy jeszcze ten filmik z „kurierem”.

- I niestety niewiele więcej - stwierdziła Miriam Hershey, klikając coś na komputerze.

Na opuszczonym za plecami Hjelma ekranie pojawił się obraz. Mężczyzna, który przylgnął do fasady budynku z rękoma wyciągniętymi na boki. Dało się rozróżnić kształt jego twarzy i stwierdzić, że miał żółto-zieloną czapkę, pasującą kolorami do kurtki.

- Biały mężczyzna około dwudziestu pięciu lat - powiedziała Laima Balodis. - Mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć, lekka nadwaga, jakieś osiemdziesiąt pięć kilo, dość okrągła twarz.

Bardzo elegancko unika kamery znajdującej się na pobliskim banku.

- Żółtozielone barwy pasują do jednej z naszych firm kurierskich, które dostarczają przesyłki również w soboty - podjęła Hershey. - Zamieszczam obok zdjęcie czapki i kurtki. Należą do miejscowej firmy kurierskiej działającej na terenie Hagi, Amsterdamu i Rotterdamu i noszącej logiczną nazwę HAR Koeriersdienst N.V.

- Nie jest to jakaś wielka firma - powiedziała Balodis - ale mimo wszystko ma około stu pracowników. Pokazywałyśmy to zdjęcie we wszystkich miejscowych biurach, by zobaczyło je jak najwięcej zatrudnionych. Nikt nie rozpoznał tego mężczyzny.

- HAR Koeriersdienst N.V nie ma też porządnej kontroli nad wydawaniem tak zwanych uniformów - podjęła Hershey. - Zniknięcia czapki i kurtki nikt by nie zauważył. To najtańsze z możliwych ubrań. Strata kilku z nich kosztuje mniej niż zatrudnienie kogoś, kto by pilnował ich wydawania. Znak naszych czasów.

- Sprawdzamy listy zatrudnionych, obecnych i dawnych, ale do tej pory nie znalazłyśmy nic ciekawego.

- Przez jakiś czas obiecująco to wyglądało - podsumowała Hershey.

- W porządku - stwierdził Paul Hjelm. - Poświęćcie temu jeszcze dobrą godzinę, potem to zostawiamy. Pozostali pod różnym kątem pracowali nad nieoficjalnym śledztwem Bruno. Kto chce zacząć?

Najwyraźniej nikt nie chciał zacząć.

- Jutta? - spytał wyzywająco Hjelm.

- Przykro mi - odparła Beyer - ale nie udało nam się do niczego dojść z tym ustępem w „La Repubblica”, na który wskazuje Tebaldi. Nie udało nam się też znaleźć choćby najmniejszej wskazówki, która by nam podpowiedziała, gdzie Bruno mogła ukryć oryginalne materiały, na których opierało się jej śledztwo. Najbardziej prawdopodobne wydaje się to, że zniszczył je wybuch. Oczywiście wciąż szukamy. Nie udało nam

się też niczego ustalić w sprawie tego konta Hotmail utworzonego w kawiarence internetowej w Rzymie. Nie potrafimy też zinterpretować wypowiedzi Donatelli Bruno: „Uważam, że to nie jest ‘ndrangheta’”. W jej śledztwie naprawdę nie ma nic, co by na to wskazywało, a przynajmniej w tych podstawowych materiałach, które są dla nas dostępne. Chodzi przecież o podważenie oryginalnych śledztw, a materiałów z nimi związanych nie udało nam się wydobyć od włoskiej policji. Jeśli takie podważenie można poprzeć oryginalnymi dokumentami, to przykuwa to uwagę. W przeciwnym razie nie jest warte nawet papieru, na którym zostało napisane.

- Na pewno było tak, że została zamordowana, bo za bardzo się do czegoś zbliżyła - stwierdził Adrian Marinescu. - Inaczej by się nie odważyli zabić policjantki z Europolu.

- Chyba że chcieli dać nam coś do zrozumienia - powiedział Paul Hjelm. - Jeśli o mnie chodzi, to nadal jest główny trop. Nie miało aż takiego znaczenia, czy Donatella się do czegoś zbliżyła, czy nie. Głównie chodzi o to, jak to się diabolicznie zbiegło w czasie. Przede wszystkim chcą nam coś przekazać.

- Mówisz to jako szef? - spytał Arto Söderstedt. - Czy to oficjalne stanowisko grupy Opcop?

- Powiedziałem: „Jeśli o mnie chodzi” - odparł Hjelm. - Niczego bardziej nie pragnę, niż dotrzeć do punktu, w którym stanie się jasne, że Donatella do czegoś się zbliżyła. Gdyby to było wymierzone wyłącznie w nią, wszystko byłoby o wiele prostsze. „Jest za blisko, zabijmy ją”. Ale ponieważ morderstwo tak dokładnie zbiegło się w czasie z ponownym pojawieniem się sygnału chipa na moim komputerze i z mailem, do którego załączono film, *wiem*, że to wszystko jest ze sobą powiązane. Chociaż nie mogę tego udowodnić.

- Czyli inne teorie odstawiamy na bok? - dążył bezlitośnie Arto Söderstedt.

- Nie - odparł Hjelm. - Wcale *nie chcę*, żeby było tak, jak to opisałem Bardzo się ucieszę z dowodów, które wskażą na coś innego.

- To jak właściwie wygląda ostateczna interpretacja? - spytał Söderstedt. - Załóżmy wstępnie, że to 'ndrangheta. Wszystko przecież za tym przemawia. W takim razie co się według ciebie stało? Mamy tu przecież dwie sprawy ciągnące się od dłuższego czasu: porwanie Tebaldiego i Potorac oraz niedawno odkryty przez Angelosa mail, czyli śledzenie Bruno w internecie. Ale nagle wydarza się coś innego. Człowiek, którego nazywamy Antonio Rossim, wraca do Kalabrii. Wiemy przecież, że to zrobił, powiedział nam o tym sygnał z chipa. Tam wychodzi na jaw, że go śledzimy. Trzeba podjąć szybką decyzję na samej górze: co robimy z Rossim? Kto mógł wprowadzić do jego ciała zaawansowany elektroniczny chip z mikronadajnikiem? Może dzieje się to na tyle subtelnie, że wydobywają chip z jego ciała *tak, że nie umiera*. Może próbuje sobie nawet przypomnieć, kiedy właściwie połknął ten cholerny nadajnik, i pomaga mu w tym jego najbliższy współpracownik, który również był w tym lokalu w Amsterdamie, kiedy Bruno wrzuciła mu chip do piwa. Dochodzą do wniosku, że to mogło się stać tylko wtedy. Ponieważ w lokalu nie było żadnej kamery, sprawdzaliśmy to, próbując zrekonstruować, jak wyglądała kobieta. Była przecież Włoszką, prawdopodobnie policjantką. Nie jest przecież wykluczone, że można zdobyć coś w rodzaju rejestru, w którym figurowałyby wszystkie wciąż dość nieliczne włoskie policjantki. Znajdują Bruno, dociera do nich, że pracuje teraz w Europolu w Hadze, i wysyłają do niej chip, razem ze sporym pękiem włosów Rossiego, tak żebyśmy znaleźli na miejscu zbrodni jego DNA. W paczce znajduje się również bomba. Jest przeznaczona dla Donatelli Bruno. I tylko dla niej. Nie wiedzą, że Bruno pracuje dla Opcop. Nie wiedzą nawet, że coś takiego istnieje. I nie mają pojęcia o jej nieoficjalnym śledztwie. Chodzi wyłącznie o zemstę. Klasyczną zemstę mafii.

Hjelm westchnął ciężko.

- Czyli wracamy do starej roboczej hipotezy A?

- Ta hipoteza ma jedną wielką zaletę - stwierdził Söderstedt. -

Zgadnicie ją?

- Że Tebaldi i Potorac się *nie wygadali* - powiedziała Laima Balodis. - Mafia wciąż *nie wie*, że istnieje europejska policja.

- Ale ma jeszcze większą wadę - wtrąciła Jutta Beyer. - Skąd wiedzieli, komu przysłać film? Trafił przecież bezpośrednio do Hjelma.

- Jako do zastępcy dyrektora Europolu- odparł Söderstedt. - Bo to przecież oficjalna przykrywka naszego szanownego szefa. I w dodatku bardzo lukratywna przykrywka, pozwolę sobie dodać.

- Chcesz powiedzieć, że ten film mógł zostać wysłany do pierwszego lepszego wyższego rangą urzędnika Europolu? - spytała Beyer.

- Jak najbardziej - potwierdził Söderstedt.

- Jasne, akurat - przerwał mu szorstko Hjelm. - Dostałem ten film dlatego, że jestem ich szefem. Pieprzonym, nieudolnym szefem, który pozwala, żeby jego ludzie przez dwa lata przechodzili piekło, i nawet nie kiwnie palcem, by im pomóc.

W Katedrze na chwilę zapadła cisza. Katedralna cisza, od której aż dzwoniło w uszach. W końcu odezwał się Söderstedt.

- Musiałem cię sprawdzić.

- Do diabła, Arto...

- Jak osobiście to wszystko odebrałeś. Teraz już wiem

- No to przejdźmy do ważniejszych rzeczy - przerwał im litościwie Jorge Chavez. - Gdzie dokładnie straciliśmy kontakt z Rossim? Kiedy to się stało, byłem w Sztokholmie.

- W zachodniej Kalabrii - odpowiedział Angelos Sifakis. - Na autostradzie A3.

- Chodziło mi o dokładne współrzędne GPS - powiedział Chavez. - Wiemy, co tam jest?

- Pod koniec połączenie się rwało - odparł Sifakis. - Nie da się podać precyzyjnych współrzędnych. Sygnał kilka razy zanikał i powracał, zanim ostatecznie się urwał. Nie ma dokładnego punktu końcowego, a raczej są trzy czy cztery takie punkty. Można natomiast wytyczyć potencjalną strefę.

- W takim razie tam pojedziemy, bracie.

- Zrobimy tak - odparł Sifakis i po trochę zbyt długiej chwili dodał: - Bracie.

- Tylko jedna osoba ani razu się nie odezwała - zauważył Hjelm
- Coś ci leży na sercu, Felipe?

- Tak - odparł Navarro, trochę przeciągając to słowo. - Może właśnie to jest samo serce.

- Poproszę skróconą wersję - powiedział Hjelm. - Musimy też wykonać trochę roboty. I nie mam tu na myśli poskładania żaloznie zdemontowanego roweru ani tego, żebyś w końcu zdjęła *ten pieprzony kask*.

- Dobra - powiedział Navarro. - Znalazłem Asteriona.

Tym razem cisza w Katedrze nie dzwoniła w uszach. To nie była katedralna cisza. Przypominała raczej tę w komorze bezodbiciowej przy Orfield Laboratories w Minnesocie, która absorbuje 99,99 procent wszystkich dźwięków i jest znana jako najcichsze miejsce na świecie. Nawet astronauta zaczynają dostawać szału po spędzeniu tam pół godziny.

Chociaż mogło się tak wydawać, w Katedrze w siedzibie Europolu nie upłynęło pół godziny. Po bliżej nieokreślonym czasie odezwał się Paul Hjelm.

- Zakładam, że zamierzasz dokładnie ważyć każde swoje słowo.

- Tak - odparł Felipe Navarro. - Asterion Security Ltd. jest obecnie spółką patronacką, której podlegają co najmniej dwadzieścia trzy firmy ochroniarskie z całego świata, w tym jedna z Madrytu, o nazwie Pemos Seguridad S.A. Spółka patronacka nazywa się Camulus Security Group Inc. i w najbliższych dniach zostanie wprowadzona na nowojorską giełdę.

- Faktycznie bardzo zwięźle - stwierdził Hjelm. - Dowody?

- Bezpośrednich nie ma. Ale poszlaki są silniejsze niż kiedykolwiek dotąd.

Hjelm przez chwilę kiwał głową. Wydawał się trochę znużony. Kropla, która przepelniła czarę?

- Ale to nie wszystko - podjął Navarro. - Camulus właśnie ogłosiła nabór na pewne stanowisko w Nowym Jorku.

- Ogłosiła? Podejrzane firmy ochroniarskie ogłaszają nabór na różne stanowiska?

- Oczywiście nie zwyczajnymi kanałami - odparł Navarro. - Jeśli chcesz, mogę przedstawić szczegóły.

- Co to za stanowisko?

- Dla zwyczajnych ludzi wygląda to tak, jakby szukali ochroniarza. Wtajemniczeni się połapią, że chodzi im o „najemnika”. W tekście pojawiają się wyraźne słowa klucze.

Hjelm przez chwilę milczał i spoglądał na zebranych. Pokręcił szyją, aż strzeliło mu w karku.

- I chcesz przez to powiedzieć, że...

- Że chyba stoimy w obliczu niepowtarzalnej możliwości.

- Możliwości?

- Obudź się w końcu! - wybuchnął Felipe Navarro. - Moglibyśmy raz na zawsze zinfiltrować Asteriona. Właśnie teraz. Okres składania wniosków kończy się w poniedziałek, piętnastego sierpnia.

- O do diabła.

- No właśnie. Trudno sobie wyobrazić cięższą robotę. Mamy wśród nas dwie bardzo doświadczone infiltratorki, ale, niestety, szukają wyłącznie mężczyzn. Podają fizyczne wymogi. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt, sto kilo mięśni. Podają maksymalną ilość tłuszczu podskórnego, trzeba przejść różne testy sprawności fizycznej na superelitarnym poziomie. I zaznaczyli nieprzekraczalną granicę wieku.

Balodis spojrzała na Hershey. Hershey na Balodis. Nikt nie pomyślał: „Surykatki”. Zwłaszcza że te spojrzenia dla odmiany były trochę różne.

- No dobra - powiedział Hjelm. - Dziękuję, Felipe. Zaczynam poszukiwania wśród naszych krajowych przedstawicieli, znajdzie się wśród nich parę osób, które nadałyby się na kandydatów. W najgorszym razie będziemy musieli cholernie szybko zwrócić się do krajowych policji w dwudziestu siedmiu państwach. Ale muszę to sobie porządnie przemyśleć. I to uzasadnić.

- Masz kogoś na myśli? - spytał Söderstedt.

- Nie martw się - odparł Hjelm. - Gunnar i tak jest na to za stary.

Grupa Opcop zaczęła się rozchodzić. Byli trochę nieskoncentrowani. Myślami gdzie indziej.

Ale dwie osoby się ociągały. Utkwiły w sobie spojrzenia. Nawet brzęk części rowerowych nie sprawił, by któraś z nich odwróciła wzrok.

Kiedy Katedra zupełnie opustoszała, Miriam Hershey powiedziała:

- Nie.

- Nic nie mówiłam - odparła Laima Balodis.

- Mówiłaś. Tyle że bez słów.

- Wciąż się nie odzywam.

- On nie ma zupełnie żadnego doświadczenia z pracą w policji ani w wojsku.

- Przecież nic nie mówiłam.

- Jest tylko facetem, który długo siedział w mamrze. I to nie pierwszej młodości facetem

- Umniejszasz go.

- Niech cię szlag, Laima. Ty to zwykle robisz - odparła Miriam Hershey. - Tyle że bez słów.

- Przestań. Ciesz się z twojego szczęścia. Ale Nicholas idealnie by się nadawał. Poza tym niczego bardziej nie pragnie, niż spłacić swój dług wobec społeczeństwa. Ty też poczułabyś się od tego lepiej.

- *Nie poczułabym się lepiej*, wlokąc się do jakiejś kostnicy na Manhattanie, żeby zidentyfikować jego nieidentyfikowalne zwłoki.

- Wiesz, przez co przeszedł, Miriam. I znasz jego ciało lepiej niż ktokolwiek inny.

- Chcę zatrzymać je dla siebie.

- Wiem. Ale jestem pewna, że dostałabyś je z powrotem w podrasowanej formie. On jest wygłodniały. Jego ciało pragnie czegoś innego, niż mu się wydaje. Cały powoli się rozpada.

- Pieprz się, Laima.

Laima Balodis wstała i powoli pogłaskała przyjaciółkę po włosach.

- W każdym razie *ja* nic nie powiem Hjelmowi, obiecuję.

Miriam Hershey powoli pokręciła głowę i położyła rękę na dłoni przyjaciółki.

Potem razem wyszły z Katedry.

Nisza

Szanghaj, 5 sierpnia

KIEDY CORINE BOUHADDI obudziła się drugiego dnia rano po przybyciu do Szanghaju, uderzyła ją myśl, że nawet na sekundę nie przestała się dziwić. Nie przestawała się dziwić nawet we śnie. Nie była typem człowieka o takich skłonnościach - niejedno przeżyła i stała się wręcz cyniczna - ale z drugiej strony należało do rzadkości, by otaczało ją tak wiele zdumiewających rzeczy. Nie chodziło tylko o to, że nagle znów miała partnera i że w dodatku stali się nową „parą czułków” Hjelma. Nie była to również wyłącznie kwestia tego, że zajmowali się czymś tak dziwnym jak współpraca z chińską policją. Nie wynikało to też jedynie z paradoksalnej urody tego gigantycznego miasta, które teraz rozciągało się ponad trzysta metrów pod jej stopami. Najbardziej zdumiewające z tego wszystkiego było wrażenie, że znajdowała się w *przyszłości*.

Przemiany, jakie zaszły w Szanghaju w ciągu zaledwie kilku dekad, nie miały sobie równych na całym świecie; to tak będą wyglądać megamiasta przyszłości. Ten mały fragment kuli ziemskiej już teraz był w innej epoce. Szanghaj posiadał nie tylko najdłuższy system metra na świecie, najszybsze pociągi na świecie, najdłuższy most i największy port na świecie, lecz również rozwijającą się najszybciej na świecie gospodarkę, która już znacznie przyćmiła gospodarkę jego znacznie słynniejszego sąsiada, Hongkongu. Jeśli ten przyrost miałby trwać nadal przez kolejne piętnaście lat, to ówczesne trzydzieści milionów mieszkańców Szanghaju miałoby więcej pieniędzy per capi ta niż nowojorczyki, a co wówczas stałoby się z miastem, które już teraz rosło szybciej w górę niż na boki?

W dniu dzisiejszym Chiny zużywają dwukrotnie więcej stali niż

Stany Zjednoczone, Europa i Japonia razem wzięte. Większość zostaje przeznaczona na samochody i budynki, także w Szanghaju. Co roku w mieście buduje się setki drapaczy chmur, a na przełomie tysiącleci od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego do dwa tysiące czwartego wzniesiono prawie siedem tysięcy budynków mających co najmniej jednaście pięter. Szacuje się, że do roku dwa tysiące dwudziestego powstanie tu osiem tysięcy drapaczy chmur.

Jeden z najwyższych nazywa się Shanghai World Financial Center i wyróżnia się swoim kształtem. Wygląda po prostu jak gigantyczny otwieracz do butelek. Otwieracz do piwa w wersji *grandioso*. I fakt, iż był to jedyny naprawdę wysoki drapacz chmur, którego Corine Bouhaddi *nie widziała* przez panoramiczne okno, miał naturalne wyjaśnienie.

Po prostu się w nim znajdowała.

Shanghai World Financial Center mieści się w sercu centrum biznesowego Lujiazui w hiperekspansywnej dzielnicy Pudong, sam hotel zaś - oczywiście najwyżej położony na świecie - zajmuje około piętmastu pięter. Przypominający penthouse pokój Bouhaddi znajdował się na dziewięćdziesiątym pierwszym. Kiedy podeszła do przeszklonej ściany i spojrzała w dół, zakręciło jej się w głowie.

Ponieważ ona i Marek Kowalewski byli tam pod przykrywką oficjalnych przedstawicieli Europolu, zakwaterowano ich w luksusowym hotelu. Było to trochę niespodziewane. Podobnie jak fakt, że wspomniany hotel znajdował się w budynku wysokim na pół kilometra.

Stała i spoglądała na *supermiasto*, gdy poranne słońce przebijało się przez smog. Zawroty głowy minęły. Wiedziała, że nie może pozwolić im wygrać. Siłą woli sprawiła, że miasto przestało wirować, a potem z czystym sumieniem mogła ruszyć do luksusowej łazienki wyposażonej w tak zwany natrysk z deszczownicą. Przyjrzała się swojej twarzy w powiększającym lustrze.

Wciąż miała siniaki wokół nosa, choć wyraźnie było coraz

lepiej. Oczywiście Hjelm miał rację, twierdząc, że opatrunek na nosie nie robi zbyt dobrego wrażenia przy spotkaniu z przedstawicielami policji innego państwa. A już zwłaszcza opatrunki na nosach dwojga policjantów.

Podczas pewnej imprezy politycznej na sali koncertowej w Brukseli Bouhaddi i Kowalewski zaliczyli po kilka kopniaków w nos od płatnego mordercy, który próbował zastrzelić komisarz Unii Europejskiej. To ich w jakiś sposób ze sobą związało. Ale nie mogli chodzić w opatrunkach zasłaniających całą twarz, to jasne. Tak więc Corine Bouhaddi zastąpiła opatrunek kremem maskującym w kolorze skóry. W jej przypadku był on dość ciemny. W przypadku Kowalewskiego jasny i rumiany.

Protestował. Nie ma mowy, żeby zaczął się malować! Był przecież Polakiem, a nie jakimś Skandynawem czy Europejczykiem z południa. Ale nagle zobaczył swoją twarz w lustrze i po prostu runął do tyłu. Wczoraj rano naprawdę się przewrócił na hotelową podłogę, kiedy u niego była i jadła razem z nim śniadanie w pokoju. Potem pomogła mu zrobić makijaż. Wytrzymał właściwie cały wczorajszy dzień. Dopiero około północy - gdy wciąż siedzieli w ascetycznym pokoju przesłuchań, do którego przeniesiono ich nieoficjalną działalność - krem zaczął się rozmazywać. Wu Wei, który od jakiegoś czasu obserwował Kowalewskiego, oświadczył zagadkowo:

- Znika ci twarz.

Kowalewski zastanawiał się nad tą głęboką uwagą, dopóki wyraźnie nie poczuł dziwnego posmaku w ustach, a wtedy splunął do śmierdzącego krwią kosza na śmieci.

Bouhaddi miała nadzieję, że również dzisiaj zamówił śniadanie do pokoju. Wczorajsze było po prostu magiczne.

Podziękowała jakiemuś bliżej nieokreślonemu kapitalistycznemu bóstwu za to, że istnieją teraz kremy maskujące w choć kilku ciemniejszych odcieniach, poprawiła makijaż i wyszła.

Kowalewski mieszkał w sąsiednim pokoju. Zapukała. Mruknął coś po polsku. Lekko zaniepokojona weszła.

Okazało się jednak, że wcale nie śni mu się jakiś mroczny polski koszmar. Zaczytany, siedział na sofie przy oknie nad grubą stertą papierów. Na niskim stoliku przed nim stały dwie parujące filiżanki i taca z wystawnym chińskim śniadaniem. Wyglądało wyjątkowo kusząco.

- Ach - powiedziała.

- Mmm - mruknął. - Dzień dobry.

- Dzień dobry. Znalazłeś coś nowego?

- Być może. Wygląda mi to trochę na tłumaczenie z Google'a, ale mimo wszystko nie mieści mi się w głowie, ile stron udało im się przetłumaczyć od naszej ostatniej rozmowy w Hadze. Kiedy to było? Trzy dni temu? Czuję się tak, jakby minęły trzy tygodnie...

- Szybkie zmiany w życiu - stwierdziła Corine Bouhaddi, siadając.

- Może i można tak powiedzieć - mruknął Kowalewski.

- Co teraz?

- Dla ciebie też zamówiłem śniadanie - odparł Polak, wskazując na suto zastawiony stół.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - stwierdziła Bouhaddi, zabierając się do jedzenia. - Pierozki na śniadanie! Dlaczego w domu takich nie mamy?

- Wiesz, że są z wieprzowiną, tak? Nikt tak nie kocha wieprzowiny jak Chińczycy i Polacy. Coś nas jednak łączy.

- To prawda, że nie piję alkoholu - odparła Bouhaddi - ale to głównie kwestia nawyku, nie religii. Jestem tak zwaną zsekularyzowaną muzulmanką. Taką, jakie lubicie - oświadczyła mądrze i wsunęła sobie do ust pierożek z wieprzowiną. - Co tam robisz?

- W tej chwili próbuję jakoś ogarnąć triady - odparł Kowalewski, wskazując na skąpany w złocie Szanghaj za oknem.

- Im bardziej poznaję to miasto i im bardziej do mnie dociera, jak niesamowicie szybko je zbudowano, tym lepiej rozumiem, jak silna jest chińska mafia. Zupełnie jakbyśmy zaglądali w przyszłość. W zwycięstwo gospodarki równoległej. W ciągle

poszerzając się szarą przepaść między legalną i nielegalną gospodarką. Niedługo cały biznes będzie szary.

- W nocy wszystkie koty są czarne - stwierdziła Bouhaddi. - Całkowicie szwedzka firma ochroniarska Inveniet Security Group AB, prawdopodobnie biała, wynajmuje organizację Chu-Jung, coraz wyraźniej czarną, i rezultat jest szary. A nie znalazłeś nic, co by dotyczyło Projektu Mio?

- Może - odparł Kowalewski. - Jak wczoraj stwierdziliśmy, nie wystarczy się przebić przez elektroniczne szyfrowanie Chu-Jung, bo to doskonale się udało Wu Weiowi i jego ludziom. Największy problem polega na tym, że rozmawiają szyfrem, jakimś popieprzonym językiem symboli, do którego nie mamy dostępu. Chociaż Wu Wei dał nam całkiem obszerny klucz.

- I mimo to mówisz „może”?

- Tylko dlatego, że całkowicie zgadzam się z Wu Weiem. Z powodów politycznych powinniśmy zignorować wszystko, co pachnie „jednostką 61398”. Zresztą coraz bardziej wygląda na to, że nie jest to istotne dla samego śledztwa. W przypadku Bionovii jednostka szpiegostwa internetowego chińskiej armii jest jedynie hubem. Wynajęto ją jakiemuś podmiotowi, który w symbolicznym języku Chu- Jung nazywa się „Niiwa”.

- Tak, czytałam o tym określeniu - odparła Bouhaddi i w trochę pozbawiony szacunku sposób dodała do swojego sin xi zarówno zha cai, jak i rousong. Czyli do kleiku ryżowego dodała i kiszone łodygi gorczycy sarepskiej, i bardzo rozdrobnione włókienka mięsa.

- To jakaś bogini. Właśnie o niej czytałem, ale zasnąłem i laptop spadł mi na nos - powiedział Kowalewski. - Spójrz tutaj.

Bouhaddi zignorowała nowy siniak na jego rumianej twarzy.

- Przypuszczam, że słyszałeś o terakotowej armii, którą znaleziono w mieście Xi'an w środkowych Chinach. Osiem tysięcy żołnierzy z wypalanej gliny, trochę większych niż naturalnej wielkości. Znaleźli ich jacyś chłopcy w latach siedemdziesiątych. Uważa się to za jedno z największych

znalezisk archeologicznych dwudziestego wieku.

- Tak, słyszałem o nich. Wszystkie twarze mają indywidualne cechy, a wysocy rangą oficerowie są najwięksi.

- Oni naśladowują działanie bogini Nuwy - powiedziała Bouhaddi.

- Cesarz z dynastii Qin kazał ich stworzyć w trzecim wieku przed naszą erą, żeby strzegli go po śmierci. Wzór stanowiło to, co uczyniła Niiwa, tworząc ludzi, kiedy tchnęła życie w glinę. Niiwa jest *boginią stwórczynią* w starożytnej chińskiej mitologii. Wygląda na to, że była czymś w rodzaju sfinksa, z głową kobiety i ciałem smoka. Stworzyła ludzi z gliny, a potem tchnęła w nich swoją magię. Dzięki temu dostali duszę i część mądrości Nuwy. Męczyło ją tylko to, że ciągle umierali. Nieustanne tworzenie nowych stało się dla niej strasznie nużące. Wtedy wpadła na genialny pomysł, że nada glinianym figurkom płęć, żeby same mogły się rozmnażać.

- Bystre - stwierdził Kowalewski. - Tylko co to ma wspólnego z nami?

- Myślę, że nazwa wskazuje, że Chu- Jung wie więcej o naszych cyberspiegach, niż do tej pory udało nam się ustalić. Bogini Niiwa stworzyła ludzkość, tchnęła życie w glinę. Organizacja Niiwa, o ile coś takiego istnieje, robi coś podobnego. Do tej pory byliśmy tylko gliną, a Niiwa wreszcie tchnie w was życie.

- Trochę naciągane wnioski, nie sądzisz?

- Być może - przyznała Bouhaddi. - Ale wątpię, żeby Bionovia zdradziła cokolwiek na temat Projektu Mio swojej firmie ochroniarskiej Inveniet, a już tym bardziej Chu- Jung. Bo ten projekt właśnie na tym polega. Na stworzeniu nowych ludzi. Z mięśniami, które nie podlegają żadnym ograniczeniom. Chu- Jung musiała sama to wywnioskować. Na podstawie czegoś, na co natknęli się w trakcie inwigilacji. To jest w tych materiałach, tylko my tego nie widzimy.

- Hmm - mruknął Kowalewski. - Chcesz powiedzieć, że coś przeoczyliśmy? Coś, co umknęło również Wu Weiowi i jego ludziom?

- Bo oni nie do końca wiedzą, czego powinni szukać. A my nie

za bardzo możemy im to powiedzieć. Ale *tylko my* wiemy, że chodzi o formułę preparatu kontrolującego gen o nazwie MSTN, który kieruje produkcją miostatyny decydującej, jak duże mamy mięśnie.

- Oj, teraz to skomplikowałaś - jęknął Kowalewski. - Właściwie chodzi tylko o dwa podmioty: o tajemniczą Niiwę, która wykraǳła tajne formuły firmie biotechnologicznej Bionovia. To wszystko. Ale ponieważ społeczeństwa są coraz bardziej inwigilowane, zamieszanych jest w to aż sześć podmiotów: Bionovia, Opcop, Inveniet, Chu- Jung, Wu Wei i Niiwa. I spośród tych sześciu tylko Bionovia, Opcop i złodzieje z Niiwy wiedzą, że chodzi o gen MSTN. Ale ty uważasz, że również Chu- Jung się tego domyśla. Na podstawie czegoś, co usłyszeli podczas nasłuchu?

- Inaczej mówiąc, uważam, że Chu- Jung *wie*, kto się kryje pod kryptonimem Niiwa. Ale w takim razie czemu tego nie zgioszą swojemu zleceniodawcy, Inveniet, a tym samym Bionovii? Mogą istnieć trzy interpretacje. Pierwsza: wstrzymują się, dopóki nie dowiedzą się więcej. Druga: czekają na wytyczne, w jaki sposób powstrzymać rozprzestrzenianie się formuły. Trzecia: zdają sobie sprawę z potencjału Projektu Mio i decydują, że *nie skontaktują* się z Inveniet. Ponieważ należą do mafii, do Szanghaj skich triad. Do triad zaś dotarło, że można na tym zarobić grubą kasę; mówimy tu przecież o superpreparacie dopingowym. Genetyczny doping, tego jeszcze nie było.

- Wersja pierwsza wygląda raczej na zachowanie prywatnego detektywa - zauważył Kowalewski. - Wyciągnąć trochę więcej roboczogodzin. Zbyt banalne. Wersja druga brzmi tak, jakby czekali na instrukcje od Bionovii, czy mają się posunąć do jakiegoś przestępstwa. Na przykład czy dyrektor Hannes Grönlund zgodzi się na zamordowanie naukowców, żeby utrzymać tajemnicę? Ale jeśli Niiwa jest inną firmą biotechnologiczną, pewnie włączyli już formułę do własnego projektu badawczego, a powstrzymanie jej rozprzestrzeniania powinno być wręcz niemożliwe. Wersja trzecia brzmi po prostu

jak jakiś koszmar.

- Właściwie to mamy jeszcze jedną możliwość - zauważyła Bouhaddi. - Że Niiwa to wcale nie firma biotechnologiczna i zupełnie się tam nie znają na genetyce. To hakerzy, ni mniej, ni więcej, i być może teraz organizują aukcję, na której sprzedadzą formułę temu, kto zaoferuje najwięcej, nie wiedząc nawet, czego ona dotyczy.

- Ale w takim przypadku Chu- Jung kompletnie to przeoczyła - powiedział Kowalewski, ostentacyjnie przerzucając papiery. - Śledzą Niiwę, i to na ogromną skalę, spójrz tylko na ten plik wydruków, ale nie ma tu ani słowa o żadnej aukcji.

- O ile nam to nie umyka - stwierdziła Bouhaddi. - A ty jak sądzisz?

- No tak, cholera... - mruknął Kowalewski, dotykając świeżo pokierszowanej twarzy. - Po pierwsze, nie jestem do końca pewny, czy można wyciągać aż tak daleko idące wnioski z nazwy Niiwa. To przecież może oznaczać cokolwiek. Po drugie, sam fakt, że Wu Wei zidentyfikował jakąś Niiwę, jest po prostu niesamowity. To oznacza, że Chu- Jung namierzyła konkretny podmiot, który przebił się przez firewalle Bionovii. Według mnie to wiele mówi. To oni to zrobili, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale znalazłem też sformułowanie, które wydaje mi się ważne. Pochodzi z nasłuchu rozmowy dwóch członków Chu- Jung, która miała miejsce tuż przed zmianą warty w jakiejś centrali nasłuchu. Wu Wei bardzo oszczędnie dawkuje nam informacje, więc trudno powiedzieć, w jaki sposób prowadzono nasłuch i gdzie się mieści ich siedziba, ale nasze doświadczenia z inwigilacji podpowiadają mi, że Chu- Jung mieści się w wieżowcu tuż obok „jednostki 61398” i precyzyjnie dostraja jakiś mikrofon kierunkowy.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziała Bouhaddi. - Strona czterysta dwanaście.

- Właśnie - potwierdził Kowalewski. - Też się nad tym zastanawiałś?

- Nie nad jakimś konkretnym sformułowaniem, tyle że to

jedyne miejsce w tekście, które cokolwiek zdradza na temat ich lokalizacji. Myślę tak jak ty. Tyle że to by wymagało kolejnego mikrofonu kierunkowego.

- No dobra - stwierdził Kowalewski, opadając ciężko na oparcie. - Konkrety i podsumowanie. Mamy do czynienia ze znaną centralą szpiegowską chińskiej armii, Amerykanie już od dziesięciu lat donoszą o „jednostce 61398” i nazywają ją bardzo różnie, od biurokratycznego Advanced Persistent Threat 1, czyli APT1, aż po poetyckie Byzantine Candor. Dopiero w późniejszym czasie udało się zlokalizować tę jednostkę w dwunastopiętrowym budynku w dzielnicy Szanghaju Zhabei, przy Datong Road. Najwyraźniej tajemnicza organizacja o nazwie Chu- Jung nie tylko ma możliwość przechwytywania starannie wybranych strumieni transmisji danych „jednostki 61398”, ale też znajduje się fizycznie w pobliżu wieżowca, prawdopodobnie naprzeciw niego. Siedzi tam jakiś członek Chu- Jung i dostraja mikrofon kierunkowy na odpowiedni pokój w dwunastopiętrowym budynku naprzeciwko. Kiedy tę osobę zmienia inna, bo najwyraźniej siedzą tam przez całą dobę na zmiany, dochodzi do rozmowy, którą z kolei udało się przechwycić policjantom dowodzonym przez naszego przyjaciela Wu Weia. A to skłania mnie ku wnioskowi, że Wu Wei też ma pokój w „jednostce 61398”, bo skąd inaczej miałby taki dobry odbiór?

- Oczywiście byłoby dziwaczne, gdyby Wu Wei siedział w „jednostce 61398”...

- ...i podsłuchiwał tych, którzy podsłuchują - dokończył Kowalewski. - Zgadza się. Ale jeśli się przez chwilę zastanowimy nad pozycją Wu Weia, to może wcale nie tak trudno to pojąć. Potrafię sobie na przykład wyobrazić, że może tak swobodnie działać, bo równocześnie jest jak tarcza dla „jednostki 61398”. Część działalności Wu Weia po prostu tam się odbywa.

- Pogubiłam się. Gdyby to była prawda, to po co w ogóle Wu Wei miałby się dzielić z nami informacjami?

- Bo chce z nas wydobyć ważniejsze informacje - odparł

Kowalewski. - Sama zadałaś to pytanie

Hjelmowi, Corine: „Skąd *ty* możesz wiedzieć, do czego doszła taka organizacja jak Chu- Jung?”. Nie odpowiedział ci. Nie odpowiedział też, jak znalazł kogoś tak nieuchwytnego jak Wu Wei. Ale sam Wu Wei chętnie by się tego dowiedział. Zwłaszcza jeśli jego zadanie polega na tym, żeby chronić przed inwigilacją „jednostkę 61398”.

- Zaczyna mi się od tego wszystkiego kręcić w głowie - powiedziała Bouhaddi.

- Coś zdradziło, że Wu Wei inwigiluje Chu- Jung - rzekł Kowalewski. - Jego jedyna szansa, żeby się dowiedzieć, co to takiego było, to...

- Uch!

- No właśnie, nad ranem też się tak czułem: uch! Jedyna szansa Wu Weia, by dowiedzieć się, co zdemaskowało jego inwigilację, to *my*, Corine. Może i mieszkamy we wspaniałym, luksusowym hotelu, lecz zastanawiam się, czy mimo wszystko nie jesteśmy zakładnikami. Chińska armia, jedna z największych potęg militarnych na świecie, chce się dowiedzieć, jak malutki Europol wykrył ich cyberochronę „jednostki 61398”. A *my nie znamy odpowiedzi*.

- Chcesz powiedzieć, że to dlatego Wu Wei jest taki szczodry? Że to dlatego dał nam te siedemset stron wydruków i dostęp do swojego lokalu?

- Do swojego lokalu? Masz na myśli ten obskurny pokój przesłuchań w jakimś budynku na obrzeżach miasta? Ten, w którym wczoraj byliśmy? To miałyby być siedziba Wu Weia? Jakoś mi się nie wydaje...

- Czyli nas oszukał?

- Jest supernowoczesnym policjantem z supernowoczesnego miasta i gwarantuję ci, że jest o kilka kroków przed nami, choć to wcale nie znaczy, że nie uda nam się znaleźć Niiwy. Jeśli Wu Wei sądzi, że jesteśmy kluczem do informacji Europolu na temat jego pozornie niezależnej jednostki, to przypuszczam, że jest gotów poświęcić tych, którzy chwilowo wydzierżawili część

„jednostki 61398”. Nie poświęciłby niczego, co dotyczy „wewnętrznych spraw Chin”, ale gotów jest poświęcić Niiwę, która z całą pewnością nie jest chińska, bez względu na to, ile zapłacili za outsourcing ze strony „jednostki 61398”.

- A co z nami? Jest gotów poświęcić *nas*?

- Jesteśmy zakładnikami - oświadczył ponuro Kowalewski. - Poświęci nas z radością. Na pewno ma w zanadru mnóstwo przekonujących scenariuszy, że porwały nas triady, zginęliśmy w jakiejś strzelaninie albo zostaliśmy uprowadzeni przez nieznaną sprawców. Świetnie zadba o zasłonę dymną, kiedy będzie nas przesłuchiwał.

Bouhaddi poczuła nagle, że opuszczają ją wszystkie siły.

- Hjelm dobrze się zabezpieczył - ciągnął nieubłaganie Kowalewski. - Jeśli Wu Wei się do nas doberman, Hjelm będzie miał pewność, że nic nie wiemy. Poświęci jeszcze jedną tak zwaną „parę czułek” na ołtarzu Europolu. Będziemy drugą parą, która wypadnie z gry. Dlatego wysłałem do niego pismo zabezpieczonym połączeniem i przedstawiłem sytuację. Tak jak ja to wszystko widzę. Nie dostałem żadnej odpowiedzi, ale wysłałem też kopię.

- Do kogo?

- Do Arto Söderstedta. Jego nie da się skorumpować.

- *Tajną* kopię? - spytała Bouhaddi i wstrzymała oddech.

- Tak - potwierdził Kowalewski. - Jeśli coś nam się stanie, Söderstedt zacznie działać, wiem o tym. W mediach będzie aż huczeć. Jestem całkowicie pewny, że to Söderstedt był rok temu źródłem przecieku do „New York Timesa” o tej sekcji NATO. On jest naszą jedyną szansą.

- Uch! - jęknęła Bouhaddi. - Chyba nie jestem już głodna.

- Ale w sumie nie to chciałem powiedzieć.

- I mówisz to poważnie?

- Strona czterysta dwanaście - oświadczył Kowalewski, przerzucając kartki wydruku. - W organizacji Chu- Jung, mieszczącej się najprawdopodobniej naprzeciwko „jednostki 61398”, odbywa się zmiana warty w jakiejś centrali nasłuchu.

Chińscy inwigilatorzy zamieniają ze sobą parę słów. Ponieważ nie posiadamy plików dźwiękowych, a i tak byłyby one dla nas zupełnie niezrozumiałe, musimy się zadowolić wydrukami z tłumaczeniem transkrypcji. A tam padają trzy dziwne słowa: „tipalvovek”, „grybela” i „aripogene”. Dzieje się to jakby mimochodem.

- Też to widziałam. Wrzuciłam to do wyszukiwarki, lecz nic nie znalazłam.

- Muszę się przyznać, że cię okłamałem, mówiąc, że zasnąłem i laptop spadł mi na nos - wyznał Kowalewski.

- Ale przecież masz nowego siniaka - zauważyła Bouhaddi.

- Wiem, to nie od tego. Ale boli. W rzeczywistości nawet nie zmrużyłem oka dziś w nocy. Mamy przecież tę przewagę, że jest tu sześć godzin wcześniej niż w Europie Zachodniej. Wczoraj, kiedy wróciliśmy tuż po północy, w Europie była dopiero szósta wieczorem. Ponieważ cyberszpiegostwo, z którym mamy do czynienia, wydaje się skupiać na biotechnologii i medycynie, wysłałem zapytania do kilku ekspertów z tych dziedzin. Dostali słowa „tipalvovek”, „grybela” i „aripogene” w takiej postaci, w jakiej są na wydruku. W nocy przysły odpowiedzi. Nie poznali ani jednego z tych słów, lecz jeden z nich zapytał: „Czy to możliwe, żeby pomylił pan litery?”. Dopiero wtedy przysły mi do głowy problemy Chińczyków z literami „l” i „r”. Po prostu podmieniłem te litery we wszystkich trzech słowach i dostałem w efekcie „tiparvovek”, „glybera” i „alipogene”. Wysłałem je w nowym zapytaniu i po jakiejś godzinie dostałem odpowiedź ze Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.

- O do diabła.

- Pozwól, że przeczytam ci odpowiedź. „Glybera to proponowana nazwa komercyjna leku *alipogene tiparvovec* (pańskie trzy słowa: «tiparvovek», «glybera», «alipogene»). Wszystko wskazuje na to, że będzie to pierwszy dopuszczony do użytku w Unii Europejskiej lek oparty na terapii genowej. Ma leczyć wadę genetyczną sprawiającą, że organizm nie radzi sobie z rozkładaniem tłuszczów. Badania prowadzi holenderska

firma o nazwie UniQure, a glybera wykorzystuje ponoć wirusa do zainfekowania komórek mięśniowych zdrową kopią wadliwego genu, tak zwanego genu LPL. Lek nie jest jednak jeszcze dopuszczony do obrotu i wszystko ma najwyższą klauzulę tajności. Jeśli dobrze pójdzie, nastąpi przełom w terapii genowej w Unii Europejskiej, nagle zostanie ona dozwolona. Jak pan zdobył te informacje?”. Koniec cytatu. Na to pytanie nie odpowiedziałem.

- Wow! - wyrwało się Bouhaddi. - Czyli mamy udokumentowane zainteresowanie manipulacjami genetycznymi u bogini stworzycielki Niiwy...

- Która jest jakąś niechińską organizacją...

- I wykraďte Bionovii Projekt Mio dotyczący przyrostu mięśni, a UniQure glyberę związaną ze spalaniem tłuszczu. Manipulacje genetyczne mające na celu zmianę ludzkiego ciała. Prawdopodobnie to wcale nie wszystkie supertajne projekty, jakie szpieguje Niiwa.

- A równocześnie jesteśmy zakładnikami chińskiej armii.

- Skąd masz tego siniaka na twarzy?

- Walnąłem głową w ścianę.

Wtedy zadzwoniła komórka Kowalewskiego.

Wpatrywali się w nią przez chwilę. Nieznany numer. W końcu Kowalewski odebrał.

- Tak, tu Kowalewski.

- Mówi Wu Wei - odparł telefon. - Pod hotelem czeka na was cywilny policyjny wóz. Potrzebujemy waszej pomocy.

- Teraz?

- W tej chwili.

Potem Wu Wei się rozłączył. Marek Kowalewski i Corine Bouhaddi spojrzeli po sobie.

- Nie ma już odwrotu - oświadczyła Bouhaddi, wstając.

Ruszyła do drzwi, ale przystanęła i zaprowadziła Kowalewskiego do łazienki. Posmarowała mu siniaki na twarzy kremem maskującym. Nie protestował.

Jak zwykle zatkały im się uszy, kiedy zjeżdżali dziewięćdziesiąt

jeden pięter w dół, do prawdziwego naziemnego Szanghaju.

W windzie Kowalewski odezwał się tylko raz:

- Nie dawałem mu mojego numeru komórki.

Bez trudu dostrzegli policyjny wóz stojący pod Shanghai World Financial Center. Wyglądał jak radiowóz, tyle że był cały czarny. Przewieziono ich przez miasto wciśniętych między dwóch umundurowanych policjantów o kamiennych twarzach. Świeciło słońce, smog przeciskał się przez filtry klimatyzacji i wrażenie było takie, jakby oddychali czystym ołowiem. W płynnej postaci.

Kiedy dotarli na to samo trochę zaniedbane osiedle wieżowców co poprzedniego dnia, oboje odetchnęli z ulgą, wydychając roztopiony ołów, który utworzył fantazyjne wzorki w ciasnym wnętrzu samochodu.

Przeprowadzono ich przez dwa posterunki z uzbrojonymi strażnikami i dwa wykrywacze metalu, a potem jeden z policjantów o kamiennych twarzach wcisnął ten sam przycisk w windzie co poprzedniego dnia rano. Przynajmniej zmierzali w to samo miejsce.

Bouhaddi przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Z rdzawymi plamami, kojarzącymi się z Nową Zelandią, wydawała się silną kobietą o bardzo skupionym spojrzeniu. Nie dało się zaprzeczyć, że przypomina nowozelandzką kulomiotkę Valerie Adams, tyle że o berberyjskim pochodzeniu. Zastanawiała się, jakie właściwie wywarła wrażenie na tak niskim mężczyźnie jak Wu Wei.

Wu Wei, który spotkał się z nimi przy windzie na ósmym piętrze, oczywiście nawet mrugnięciem oka nie zdradził, co o niej sądzi. Kiwnął im tylko głową i dał znak ręką policjantom o kamiennych twarzach, którzy natychmiast się ulotnili. Następnie poprowadził ich tym samym zdającym się nie mieć końca korytarzem co poprzedniego dnia. Zatrzymał się jednak przed drzwiami obskurnego pokoju przesłuchań, w którym spędzili już ponad dwanaście godzin. Wydawało się, że szuka właściwych słów. W końcu je znalazł.

- W nocy zewnętrzne okoliczności zmusiły nas do zatrzymania

jednego z ludzi Chu- Jung.

- I on tam teraz siedzi? - spytał Kowalewski, wskazując na drzwi.

- Przygotowaliśmy dobrą historyjkę, która wyjaśni, dlaczego wspomniana osoba nie stawi się jutro wieczorem, kiedy zacznie się kolejna zmiana. O ile zajdzie taka potrzeba. Ale prawdopodobnie wspomniana osoba już dziś zostanie wypuszczona. Pragnę podkreślić, że nie chodzi o profesjonalistę.

- Nie chodzi o profesjonalistę?

- Nie mamy do czynienia ze specjalistą od inwigilacji - wyjaśnił Wu Wei.

- Tylko z kim? Ze specjalistą od biotechnologii?

- Coś w tym stylu. To jedna z trzech osób wynajętych przez Chu- Jung, by orientować się w treściach naukowych. Pracują na zmiany razem ze specjalistą od nasłuchu.

- Tylko jedno pytanie - odezwała się Bouhaddi.

- Tak? - spytał Wu Wei z uśmiechem, z którego nie dało się nic wyczytać.

- Zewnętrzne okoliczności?

- To wewnętrzna sprawa Chin, pani Bouhaddi - odparł Wu Wei, wciąż się uśmiechając.

- Panno - poprawiła go i również się uśmiechnęła.

- Nie potrzebujecie naszej pomocy? - spytał Kowalewski.

Wu Wei rozłożył ręce.

- Naturalnie poświęciliśmy kilka godzin, by nakłonić wspomnianą osobę do podzielenia się z nami informacjami na temat Niiwy. Ponieważ inwigilujemy ich inwigilację, większość już wiemy. Nie jesteśmy jednak w stanie wychwycić *wszystkiego*, co wychwytuje Chu- Jung przez mikrofon lub przez internet. Dopytywaliśmy właśnie o ten, że się tak wyrażę, *dotatkowy materiał*.

- I istnieje coś, w czym możemy wam pomóc?

- Nie wiemy, o co chodzi. Nie jesteśmy w stanie tego przetłumaczyć.

Wu Wei uchylił drzwi, ale Corine Bouhaddi szybko je domknęła

i spytała:

- Co tam zastaniemy? Ledwie żywego torturowanego chłopaka?

Wu Wei spojrzał na nią ostro, bez cienia uśmiechu.

- Czasem mi się wydaje - odparł - że całkiem na poważnie uważacie nas za barbarzyńców.

Potem otworzył szeroko drzwi.

Przy stole przesłuchań siedziała Chinka, około trzydziestki. Wyglądała na całą i zdrową, a jej bystre oczy patrzyły całkowicie przytomnie. WuWei zwrócił się do niej po angielsku:

- Chuntao, powiedz to samo, co powiedziałeś mi.

Kobieta podniosła wzrok i odparła dobrą angielszczyzną:

- To jedna z wielu rzeczy, jakimi się zajmuję. Jestem wdzięczna, że czasem mogę wykorzystać moją naukową wiedzę do czegoś innego niż uczenie ptasich mózdków.

- Czyli tych, których podsłuchujecie, nazywacie Niiwą? Kto wymyślił to określenie?

- Ja - oświadczyła z dumą Chuntao.

- A dlaczego tak ich nazwałaś?

- Wygląda na to, że próbują od nowa stworzyć człowieka.

Tchnąć w glinę nowe życie.

- Wjaki sposób?

- Szpiegują różne firmy biotechnologiczne, głównie w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Ale również w Chinach i w Japonii.

- Co się potem dzieje z takimi informacjami?

- Nie były dalej przesyłane przez internet.

- Czyli są zgrywane.

- Tak, prawdopodobnie po prostu na pendrive. Takie wątki nie są potem kontynuowane. Zamiast tego często zaczynamy coś nowego.

- Czyli inwigiluje się różne firmy?

- Tak. Ale potem te informacje znikają. Nie wiemy, co się z nimi dzieje. Prawdopodobnie zostają przeniesione z komputera na jakiś nośnik.

- Czy wykorzystuje je sama Niiwa?

- Też się nad tym zastanawiamy. Nie potrafimy jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Ale jako naukowiec przypuszczam, że oni również są naukowcami. Przez cały czas dokładnie wiedzą, czego szukają. Tak jak w przypadku Projektu Mio.

- Zgłosiliście to waszym zleceniodawcom, Inveniet Security Group AB ze Szwecji?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego?

- Bo sądzimy, że jesteście na tropie tych, którzy za tym stoją. Depczemy Niiwie po piętach.

- A dlaczego tak sądzicie?

- Bo słyszeliśmy pewną frazę. I próbujemy się połapać, o co w tym chodzi.

- Frazę?

- Tak. Sądzimy, że to może być nazwisko ich szefa.

- Czy to jest ta fraza, którą zapisałaś w transkrypcji na tej karteczce? - Wu Wei podsunął Chuntao świstek papieru.

- Tak - potwierdziła.

Wu Wei podał karteczkę Kowalewskiemu. Widniało na niej: „Kól. Sd. Ká.”.

Kowalewski zmarszczył brwi i przekazał świstek Bouhaddi. Poczula, że również marszczy czoło. Wyszli z pokoju przesłuchań i zaczęli nerwowo przechadzać się po korytarzu.

- I co sądzicie? - spytał Wu Wei.

- Serum prawdy? - chciał wiedzieć Kowalewski.

- Raczej racjonalne podejście - zaśmiał się Wu Wei. - Chuntao wie, że okłamywanie nas jej się nie opłaci. Poza tym jest bardzo racjonalną osobą. Co z karteczką?

- Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że to nic nie znaczy, ale chętnie nad tym popracuję.

- Doskonale - powiedział Wu Wei. - A panna Bouhaddi?

- „Kól. Sd. Ká.” - powtórzyła panna Bouhaddi. - Powinno się udać jakoś to rozgryźć. Wygląda mi to na jakiś skrót. To jakieś imię? Nazwisko?

- Najwyraźniej pojawiło się to w kontekście, który można by

zinterpretować następująco: „Zastanawiam się, co na to Kól. Sd. Ká.”.

- No dobrze - stwierdziła Bouhaddi. - Gdzie możemy usiąść?

- Ten sam pokój co ostatnio - odparł Wu Wei. - Dajcie mi tylko parę minut. Przydadzą wam się komputery.

- Z internetem?

- Z internetem - potwierdził Wu Wei. - Nieocenzurowanym. Poczekajcie tutaj.

Odwrócił się na pięcie i ruszył korytarzem do drzwi pokoju przesłuchań. Kiedy zniknął w środku,

Bouhaddi i Kowalewski dalej stali, jakby popadli w odrętwienie. Bouhaddi powoli omiotła wzrokiem sufit i ściany. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Wu Wei zaprowadził ich w miejsce, gdzie roilo się od kamer i mikrofonów w ścianach i w suficie. Starła się z całych sił zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Zerknęła z ukosa na Kowalewskiego. I wyglądało na to, że czuje się tak samo jak ona. Pozornie swobodny, choć w środku aż kipiało.

Jak, do diabła, mieli się porozumieć?

Bouhaddi rzuciła się na Kowalewskiego i go pocałowała. W pierwszej chwili zupełnie go zamurowało. Ale zaraz zrozumiał. Wiedział, że Corine Bouhaddi świadomie wzniosła się ponad takie gierki, że coś takiego nie mieściło się po prostu na jej mapie. A więc chodziło jej o coś innego. Polizała go po uchu.

Ożeż kurwa, pomyślał.

Ale wtedy usłyszał krótką frazę.

- L i R.

Wtulił twarz w jej szyję i szepnął.

- Kól. Sd. Ká.

Wsunęła język do jego ucha i szepnęła:

- Korsyka.

Musnął jej szyję i odszepnął:

- Massicotte.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi pokoju przesłuchań. Błyskawicznie wzięli się w garść, poprawili ubrania i bez

pośpiechu ruszyli w stronę Wu Weia.

Pewnie wszystko widział.

Ale mieli nadzieję, że nie to, co trzeba.

3

TRZECIA PARA UCIEKA

Silnie wykształcone poczucie sprawiedliwości

Rzym, 8 sierpnia

SIERPNIOWY SKWAR niemal przestał drżeć i przeszedł w jakiś nowy stan, stan, którego Jorge Chavez jeszcze nigdy nie doświadczył. To było coś poza drzeniem i powoli zaczynały się pojawiać prawdziwe fatamorgany, takie, jakie są ostatnią rzeczą widzianą przez wędrującego przez pustynię.

Chavez nie był wprawdzie wędrującym przez pustynię i najzwyczajniej wędrował przez miasto - co w Rzymie bynajmniej nie było najłatwiejsze - a jego potężnie rozrastająca się fatamorgana nie skończyła się nagłą tragiczną śmiercią, lecz dotarciem do pewnej szkoły. Do gimnazjum. W jego przypadku takie miejsca kojarzyły się bardziej z nagłą tragiczną śmiercią niż z przyjemną oazą, lecz był gotów dać temu jeszcze jedną szansę.

W każdym razie ponoć znajdowało się tu coś, na co przez wszystkie lata spędzone w szkole nie udało mu się natknąć, a mianowicie rozsądny nauczyciel. Podczas gdy fatamorgana bez oporów przekształciła się w okazały budynek szkoły, poczuł, jak *przedsiębiorczości hoża cera blednie pod wpływem wahań*¹, i, wbiegając po schodach, które okazały się dłuższe, niż miał nadzieję, musiał przyznać przed samym sobą, że chyba nie zawsze to jego nauczyciele byli nierozsądni i że pewnie czasami

1 W. Szekspir, *Hamlet*, tłum. J. Paszkowski, 1909, akt III, scena 1, w. 91- 92.

to on taki był. To, że był początek sierpnia i Rzym dosłownie drżał od upału, miało taką zaletę, iż wszyscy pocili się pod pachami. A więc będzie po prostu spocony tak jak inni. Choć jego pot wynikał z czegoś zupełnie innego.

Przedsiębiorczości hoża cera zbladła pod wpływem wahań i to dlatego tak potwornie się pocił.

Gimnazjum nazywało się Liceo scientifico statale Camillo Cavour i było położone przy Via delle Carine w dzielnicy Monti, tam, gdzie znajduje się również Koloseum i część Forum Romanum. Klasyczna dzielnica, ale też straszliwie zabazgrana.

Jorge Chavez nie mówił po włosku, ale czasem udawało mu się sprawić, by jego nienaganny chilijski hiszpański brzmiał jak całkiem przyzwoity włoski. Ale nie tym razem, nie w recepcji Liceo scientifico statale Camillo Cavour. Po kilku daremnych próbach przeszedł na angielski, bo wiedział, że osoba, do której przyszedł, zna ten język. Recepcjonistka w średnim wieku utkwiała w nim tylko krytyczne spojrzenie, które sprawiło, że poczuł się jak gimnazjalista z wadą wymowy.

- *I really need to speak to signore Ferraro* - wydusił z siebie.

Recepcjonistka rozłożyła ręce i odegrała całą pantomimę. Potem się odwróciła i przeszła do swych codziennych zajęć, które w tym przypadku polegały na odrywaniu pasków papieru od arkusza formatu A4.

- *Ferraro* - przeliterował niesłychanie wyraźnie Chavez.

Dama dalej darła arkusz na paski, z czubkiem języka w kąciку ust.

- *Insegnante Ferraro* - nalegał Chavez.

- *Non vi é nessun insegnante Ferraro* - odparła recepcjonistka i rozdarła resztkę arkusza na dwa dość równe paski. Następnie zaczęła je wsuwać między wybrane strony w jakiejś bardzo grubej książce, której tytułu Chavez nie widział. Odezwał się swym zwłoszczonym hiszpańskim

- Ale naprawdę byliśmy umówieni na teraz, na dziesiątą. A na tych naszych dyskusjach minęło już tyle czasu, że zrobiło się dziesięć po.

Dama milczała, skupiona na swoim zadaniu.

- *Dottore Domenico Ferraro* - spróbował Chavez. - *Professore Ferraro.*

- Hm - mruknęła dama i powiedziała po włosku: - Mamy tu *dottore Ferraro*. Czy to może jego pan konstabl ma na myśli?

- *Właśnie jego pan konstabl ma na myśli* - powiedział po angielsku Chavez.

- *Un momento* - powiedziała kobieta i wstuknęła coś do komputera.

Dokładnie trzy minuty później pojawił się chudy jak tyczka starszy pan i poprowadził Chaveza korytarzami do położonego na uboczu pokoju nauczycielskiego. Usiedli na sofie i wtedy szczupły mężczyzna odezwał się:

- Zakładam, że powinienem przeprosić za to, jak pana przyjął Mimi.

- Jestem dość cierpliwym człowiekiem - odparł trochę nadąsany Chavez.

Domenico Ferraro poruszył się na sofie i podjął temat.

- Czytałem, że Fabio Tebaldi zginął na służbie jakiś czas temu. Naprawdę ża zakreśliła mi się wtedy w oku. Wciąż nie rozumiem, dlaczego postanowił zostać policjantem. Był prawdziwym talentem matematycznym. Intuicyjnie rozumiał to, co ja musiałem studiować latami. Ale ja jestem tylko nauczycielem...

- Wspominał pan o tym przez telefon, *dottore Ferraro*, i to mnie zdziwiło. Fabio Tebaldi, którego poznałem, był prawdziwym twardzielem.

- No cóż, matematyka i bycie twardzielem niekoniecznie muszą się wykluczać - odparł Ferraro z lekkim uśmiechem - Ale w czasach gimnazjalnych nie był twardzielem. Z wyjątkiem ostatniej klasy. Wtedy zaczął intensywnie trenować. Kiedy zobaczyłem tatuaż na jego nabrzmiałym bicepsie, dotarło do mnie, że ta bitwa jest już przegrana. Fabio nie zamierzał studiować matematyki, to było jasne.

- Co to był za tatuaż?

- Nosił taką koszulkę bez rękawów, więc to było raczej na ramieniu. Na lewym ramieniu. Płomienie, o ile dobrze pamiętam, a wśród nich mała paląca się postać.

- Hm - mruknął Chavez. - Interesujące.

- Ale dlaczego interesujecie się państwo Fabiem dwa lata po jego śmierci? I dlaczego Europol?

- Tymczasowo służył w Hadze, kiedy to się stało. A śledztwa w sprawie zamordowania policjanta nigdy nie są umarzane.

- Ale Europol nie zajmuje się chyba takimi śledztwami?

- Jesteśmy wdrożeni w pracę policji, dottore Ferraro. To włoska policja zwróciła się do nas ze szczegółowym zapytaniem i poprosiła nas o pomoc. A to szczegółowe zapytanie ma związek z tą szkołą. O ile dobrze rozumiem, był pan wychowawcą Tebaldiego i zapewne to pan był z nim najbliższymi związany?

- Prawdopodobnie tak. Ta szkoła... No cóż, Liceo scientifico statale Camillo Cavour to coś w rodzaju elitarnego szkoły wśród naszych państwowych szkół. Pierwsze gimnazjum w Rzymie, pierwsza szkoła o naukowych profilach we Włoszech. Trafia się tutaj na podstawie zdolności, nie dzięki wpływom bogatych rodziców. To właśnie było takie zabawne z Fabiem. Było oczywiste, że... no cóż... wychował się w prostych warunkach...

- Właśnie te warunki nas interesują. Co pan wie o jego pochodzeniu?

Domenico Ferraro oparł się ciężko na sofie. Wydawało się oczywiste, że siedział na niej wiele razy na przestrzeni wielu lat.

- Był z biednej rodziny - odparł.

- I to wszystko?

- Mówił z wyraźnym południowym dialektem i czuło się w nim Kalabryjczyka. Wydaje mi się, że nawet wspominał o Kalabrii, ale dokładnie nie pamiętam.

- Nie wie pan, gdzie skończył podstawówkę?

- Nie. Ale pewne rzeczy dało się wyczuć. Chyba przede wszystkim w jego zachowaniu. Zwykle potrafię się domyślić, gdzie uczeń zdobył wykształcenie podstawowe, w jakim

otoczeniu.

- I jak było w tym przypadku?

- Nigdy dokładnie tego nie sprawdzałem, jestem przekonany, że gimnazjum powinno być nowym początkiem, a nowy początek zawsze musi być od zera. Ale zapewne Fabio chodził do przyklasztornej szkoły.

- Do przyklasztornej szkoły w Kalabrii?

- Tego nie wiem. Nie potrafię podać żadnych nazwisk ani miejsc, lecz miałem wrażenie, że w ten czy inny sposób wychował się w klasztorze. Pewnie był sierotą.

- Nasz problem - powiedział Chavez - polega na tym, że nie potrafimy znaleźć nic o jego przeszłości z czasów, zanim zaczął uczęszczać do tego gimnazjum.

- No proszę - Ferraro zmarszczył brwi.

- Ale to był *nasz* problem, *dottore*. *Mój* problem jest nieco inny.

- Ach tak.

- *Mój* problem polega na tym, że wydaje mi się, iż nie mówi pan wszystkiego.

Domenico Ferraro przez chwilę przyglądał się policjantowi siedzącemu obok niego na sofie. Zamknął oczy. Milczał.

- Jak sam pan stwierdził, Fabio Tebaldi zginął ponad dwa lata temu - podjął Chavez. - To, co mi pan powie, nie może mu zaszkodzić.

- Zastanawiałem się tylko, jakim pan był uczniem, komisarzu Chavez - powiedział z namysłem Domenico Ferraro.

Pot pod pachami, pomyślał Chavez. Ale już się nie pocił.

- Czy moglibyśmy się skupić na moim pytaniu, *dottore*?

- Wolalbym nie - odparł Ferraro.

- Trudno byłoby mnie nazwać wzorowym uczniem...

- No tak. Ale czy ktoś dostrzegł w panu potencjał? Czy ktoś zrozumiał, co się kryło za tą jakby wymuszoną zadziornością?

- Nie wydaje mi się - odparł zdumiony Chavez.

- Jest pan self-made manem?

Chaveza zatkało. Coś takiego nieczęsto się zdarzało. W końcu

wydusił z siebie:

- Bynajmniej. Ale nie potrafię sobie przypomnieć...
- Po prostu wszystko pan wyparł - uśmiechnął się Ferraro.
- Niby co miałyby się kryć za tą zadziornością?
- Determinacja, której nie chciałbym stanąć na drodze.

Chavez przyłapał się na tym, że się uśmiecha.

- Wie pan, że nie jestem ani trochę zadziorny, prawda?
- Naturalnie - odparł Ferraro, wykonując zamaszysty ruch ręką.
- Żaden człowiek nie jest zadziorny. Nie w giębi serca. Ale jest pan zdeterminowany. I jest pan lepszym psychologiem, niż sam pan sądzi.

- Cholera, jest pan tylko starym nauczycielem od matmy - wybuchnął Chavez. - Co pan może o tym wiedzieć?

- Tylko to, czego nauczył mnie czas.

- Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć.

- To przecież prawda. Jestem nauczycielem od matmy. I jestem stary. I przypominam panu kogoś, kto coś ukrywał.

- Czyli nic pan nie ukrywa?

- Kogo panu przypominam?

Klincz. Klasyczny klincz. A najgorsze było to, że Jorge Chavezowi się to podobało.

- Co pan powie na całą prawdę? - spytał. - Minuta bez żadnych kłamstw i przemilczeń?

- Tylko z jednego powodu: tak. Chętnie.

- Do tego powodu jeszcze wrócimy. Miałem starego nauczyciela od wiedzy o społeczeństwie. Uważał, że posiadam niezwykle i zaskakujący talent. Ale nigdy mi nie powiedział, na czym ten talent polegał. Miał na imię Harry. Uczył w gimnazjum w Farsta.

Domenico Ferraro powoli pokiwał głową. Potem powiedział:

- To była solenna obietnica. Obietnica, która obowiązuje mnie do końca życia.

Chavez się zawahał. Przyjrzał się chudemu staruszkowi.

- Złożył pan świętą obietnicę młodemu, zdolnemu Fabio Tebaldiemu? - spytał.

- Nie świętą. Po prostu obietnicę. Dotrzymuję moich obietnic.
 - Nie było przypadkiem tak, że pan też uczył się w przyklasztornej szkole?
 - Tak. Coś takiego wytwarza szczególną więź...
 - I ta więź odnosi się tylko do dobra tej drugiej osoby, prawda? Nie do pana własnego dobra?
 - Chyba rozumiem, o co panu chodzi...
 - Boi się pan o tym powiedzieć, bo obawia się pan mafii, zgadza się?
 - Nie - odparł Ferraro i spojrzał Chavezowi w oczy. - Nic podobnego. Ale obiecałem.
 - Wciąż nam zostało kilka sekund z tej minuty - powiedział Chavez.
 - Niech mu pan po prostu pozwoli spoczywać w spokoju.
 - On nie spoczywa. I na pewno nie w spokoju.
- Chavez podał staruszkowi swoją komórkę. Ten z niechęcią założył okulary. A potem strasznie pobałdł. Chavez bał się przez chwilę, że *dottore* straci przytomność i może już nigdy się nie ocknie. Domenico Ferraro oddał komórkę Chavezowi. Wyraźnie trzęsła mu się ręka.
- Dwa lata w niewoli... - powiedział.
 - Musimy go odnaleźć - odparł Jorge.
 - Fabio Tebaldi niewiele mi opowiadał, ale mówił, że gdy chodził do przyklasztornej szkoły, nosił inne nazwisko. Prosił mnie, żebym nikomu o tym nie wspominał.
 - Powiedział dlaczego?
 - Bo z jakiegoś powodu musiał się ukrywać przed mafią. Ale nie wiem czemu.
 - Czyli nawet gdy był dzieckiem, musiał być ukrywany przed mafią?
 - Tak to zrozumiałem.
 - A jakie to było nazwisko?
 - Bianchi.
- Milczeli przez chwilę. Obietnica została złamana. W końcu Chavez podsumował:

- W czasach przedgimnazjalnych Fabio Tebaldi uczył się w jakiejś nieznaney przyklasztornej szkole na południu Włoch pod nazwiskiem Fabio Bianchi? I nic więcej pan nie wie?

- Nie, przykro mi.

Chavez wstał i przyjrzał się staremu i wciąż pobladłemu nauczycielowi. Jego czas dobiegał końca.

- Wciąż pan mi nie powiedział, dlaczego się pan zgodził na minutę bez kłamstw i przemilczeń.

Domenico Ferraro uśmiechnął się słabo. Na jego policzki wróciło trochę rumieńców.

- Harry - odpowiedział.

- Harry?

- Pana dawny nauczyciel od wiedzy o społeczeństwie. Zrozumiałem, co zobaczył. Ale powinien był to lepiej wyrazić.

- To znaczy?

- Harry dostrzegł w panu wyjątkowo silnie wykształcone poczucie sprawiedliwości.

- Hmm. A dlaczego...?

- Niech go pan po prostu uratuje - przerwał mu Domenico Ferraro.

Chavez zostawił go siedzącego na sofie. Zupełnie nie zwracał uwagi na to, że na korytarzu otoczyli go rozwrzeszczani gimnazjaliści, którzy wyszli na przerwę. Dopiero wyjątkowo uparty sygnał SMS- a przywołał go do rzeczywistości. Treść brzmiała: „Czekamy na zewnątrz. Angelos”.

U dołu długich schodów Liceo scientifico statale Camillo Cavour faktycznie stała szara, anonimowa, wypożyczona z rzymskiego lotniska mazda. Salvatore Esposito siedział za kierownicą, a Angelos Sifakis na tylnym siedzeniu. Chavez wskoczył do wozu i usiadł obok niego, a Esposito ruszył powoli Via delle Carine.

- Coś nowego? - spytał krótko Sifakis.

- Tak sądzę - odparł również krótko Chavez. - A u was?

- Sprawdziliśmy kilkunastu dawnych kolegów Donatelli. Wciąż nic nie wskazuje na to, kto może być odpowiedzialny za

przecieki. A więc nie znaleźliśmy R. Na posterunku było natomiast dwóch gliniarzy, którzy przy różnych okazjach mieli kontakt z Tebaldim. Odsłużył przecież trochę czasu w Rzymie, zanim wrócił do Kalabrii. Jeden z nich, niejaki Sergio Birarelli, zapamiętał przede wszystkim, jaki, cytuję, „zajębiście dobry” był Fabio na boisku. Kiedyś tak dał mu popalić, że zgięty w pół Birarelli, próbując się nie zrzygać, spytał go, gdzie wcześniej grał. Był przekonany, że Tebaldi musiał być kiedyś zawodowcem

- Hjelm wspominał, że Fabio opowiadał coś kiedyś o tym, że grał w piłkę, ale nie ma żadnych informacji o tym gdzie.

- A w rozmowie z Birarellim temu zaprzeczył. Powiedział, że nigdy nigdzie nie grał. Ale Birarelli w szatni widział logo jakiegoś klubu na wewnętrznej stronie drzwi szafki Tebaldiego. Nie drażył jednak sprawy. Lecz kiedy my zaczęliśmy drażyć, przypomniał sobie, że to logo przypominało, cytuję, „Genuę albo Bolonię, choć w sumie nie”.

- I wtedy dopytaliście o to „choć w sumie nie”?

- Tak, tyle że nie był w stanie sobie nic więcej przypomnieć. Wtedy doszliśmy do tego, że wspólnym mianownikiem dla Genui i Bolonii są koszulki w czerwono- niebieskie paski i te czerwono- niebieskie paski znajdują się też w logo klubów.

- I wtedy znaleźliście inne kluby z czerwono- niebieskimi paskami w logo, tak?

- Właśnie. Natrafiliśmy między innymi na klub, który nazywa się FC Crotone i znajduje się w Kalabrii, jakieś dwieście kilometrów na północ od czuba włoskiego buta. Wróciliśmy do Sergio Birarellego i pokazaliśmy mu logo Crotone. Jest w czerwono- niebieskie paski z czymś w rodzaju olimpijskiego znicza pośrodku i dwoma rekinami po bokach. Nie dostaliśmy ostatecznego potwierdzenia, ale Birarelli powiedział, że coś podobnego widział na drzwiach szafki Tebaldiego.

- I zdążyliście już sprawdzić, czy jakiś Fabio Tebaldi grał dla FC Crotone?

- W każdym razie w Internecie nic o tym nie ma - odparł Sifakis.

- Pewnie dlatego, że wtedy nie nazywał się Fabio Tebaldi - powiedział Chavez. - Pod koniec podstawówki nazywał się Fabio Bianchi.

- O cholera.

- Nie mam pojęcia, jak to wszystko się ze sobą wiąże, ale kiedy przeprowadził się do Rzymu, żeby zacząć uczęszczać do gimnazjum, zmienił nazwisko. A więc musiała zajść taka potrzeba gdzieś pod koniec podstawówki. Według jego nauczyciela było tak dlatego, że w ten czy inny sposób groziła mu mafia. Prawdopodobnie wychowywał się w klasztorze i nie miał rodziców. A więc jeśli grał w piłkę w FC Crotone, to musiało to być wtedy, kiedy był nastolatkiem, na pewno nie później, bo przecież przeprowadził się do Rzymu.

- Musimy znaleźć jakichś trenerów drużyn młodzieżowych - rzucił Esposito z przedniego siedzenia.

- I poszukać klasztorów w okolicach Crotone - dodał Sifakis.

- Krótko mówiąc, pora ruszać do Kalabrii - oświadczył Chavez.

Salyatore Esposito odwrócił się do tyłu i powiedział:

- Muszę tylko najpierw podskoczyć do mojej firmy ubezpieczeniowej i podpisać ubezpieczenie na życie.

W jaskini lwa

Haga, 10 sierpnia

TWARZ. Tak blisko.

Ale siedziała tak jak zwykle, po drugiej stronie przeszklonego stolika.

To musiało być złudzenie optyczne, iluzja.

Mimo to wydało mu się, że zbliżyła się jeszcze bardziej - a jej spojrzenie jeszcze bardziej spoważniało i się wyostrzyło - kiedy powtórzyła pytanie:

- Podziękowałeś swojej żonie za pomoc?
- Co, do diabła? - powiedział i uniósł się z kozetki.

Gest, który wykonała, był godny zaklinacza węży. Kiedy powoli opuściła dłoń, dokładnie w tym samym tempie opadł z powrotem na miejsce.

- Zrobiłeś to? - spytała jeszcze raz.
- Chyba nie - odparł potulnie. - Nie tak porządnie.
- Świadomie jej unikasz?
- Jeśli tak, to ona unika też mnie.
- Tylko że nie o niej teraz mówimy, Paul. Mówimy o tobie.
- Do diabła, Ruth. Kocham Kerstin.
- Nikt tego nie kwestionuje. Ale jest coś dziwnego w tym, że w tej chwili nie macie kontaktu.
- Dołożyła mi jeszcze więcej pracy. Doba ma po prostu za mało godzin. Ciągłe pracuję. Nie mamy czasu na jakieś pogaduszki.
- I to jej wina?
- *Chcę więcej pracy. Potrzebuję więcej pracy.*
- A więc to nie jest aż takie banalne. To miło. Czyli wyczuwasz jakiś ukryty zamysł w tym, że dołożyła ci jeszcze pracy?
- Chyba tego nie powiedziałem?
- W takim razie na czym miałby polegać jej ukryty zamysł?

- Daj sobie wreszcie spokój. Dzięki niej europejska policja, z tego, co wiem, po raz pierwszy w historii, nawiązała współpracę z Chinami. Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, jakie to epokowe wydarzenie.

- I to zasługa Kerstin?

- Tak. Jej i Sary.

- I mimo to porządnie jej nie podziękowałeś?

- Przyjdzie jeszcze na to czas, zapewniam cię. Mamy zaległy miesiąc miodowy. I tym razem, do diabła, to będzie cały miesiąc.

- Kiedy?

- Kiedy to się skończy.

Ruth umilkła. Opadła na oparcie fotela i powoli pokręciła głową. W końcu oświadczyła:

- Nie jestem zadowolona, Paul.

- Ale czego ty ode mnie chcesz?

- Prawdy. Zwykle mówisz prawdę. Zawsze kluczysz i się krygujesz, ale nie masz w zwyczaju kłamać.

- Nie kłamię. W każdym razie nie świadomie.

- Nie chodzi mi o świadome kłamstwa. Przecież widzę, że męczą cię wyrzuty sumienia.

- Chyba dlatego w ogóle tutaj jestem, prawda? Bo... jak to było... z czystej wygody zrobiłem z siebie kozła ofiarnego?

- Zupełnie nie o tym mówię. We wszystkim zawsze chodzi o coś innego.

- Brzmi jak powiedzonko z jakiegoś komiksu.

- Teraz to bardziej z Kerstin zrobiłeś kozła ofiarnego. Kowalewskiemu i Bouhaddi dobrze idzie w Szanghaju?

- Tak! - wrzasnął Paul Hjelm. - Codziennie dostaję raporty od Corine. Wygląda na to, że Wu Wei wpadł na jakiś trop. Organizacja nazywa się Niiwa.

- Dlaczego krzyczysz?

- Nie krzyczę.

- Krzyknąłeś.

- Ruth! Czego ty chcesz?

- Co ci tak nie daje spokoju? Nie jesteś sobą i wydaje mi się, że

to wcale nie ma *bezpośredniego* związku z Kerstin Holm. A mimo to ją oskarżasz. O co? O to, że dostajesz codziennie raporty z Chin?

- Coś z nimi jest nie tak! - krzyknął Paul Hjelm.

- Na czym to polega? - spytała spokojnie Ruth.

- Nie brzmią tak, jakby pisała je Corine.

- A jak?

- Chodzi o ton. Jest zbyt rzeczowy, sprawozdawczy. Jak opis powolnych postępów. Jakby je pisał pierwszy lepszy gliniarz.

- Nie - pokręciła głową Ruth. - To mi nie wystarcza.

- Dostałem maila od Wu Weia. Pyta bardzo ostrożnie o relacje między Corine a Markiem

- Tylko tyle?

- Nie zastanawiałaś się, czy nie zostać psychiatrą?

- Już na to za późno - odparła lodowatym tonem Ruth. - Co napisał?

- Zastanawia się, czy ich intensywne erotyczne zaangażowanie nie wywrze negatywnego wpływu na śledztwo.

Ruth umilkła. Hjelmowi wydawało się, że dostrzega procesy - błyskawicznie szybkie - w jej płacie czołowym.

- Zastanówmy się - odezwała się po chwili. - Czy to przypadkiem nie Bouhaddi określiłeś niedawno jako „aseksualną”?

- Sprawiała takie wrażenie, jakby postanowiła żyć bez tego. Ale oczywiście mogli się po prostu w sobie zakochać. Człowiek się zmienia.

- Tak myślisz?

- Nie. Wcale tak nie myślę.

- To co myślisz?

- Że udają, że ze sobą są.

- Żeby ukryć coś innego?

- Tak! Ale nie mam pojęcia co!

- Znowu krzyczysz.

- Przepraszam. Niepokoję się. Przecież wiedziałem, że istnieje ryzyko.

- Dlaczego istniało ryzyko?
- Bo informacje, które doprowadziły nas do Chin, nie zostały uzyskane z całkowicie oficjalnych źródeł.
- Powiedziałeś Kowalewskiemu i Bouhaddi, w *jaki sposób* zostały uzyskane?
- Nie...
- Na wypadek gdyby z jakiegoś powodu zostali zdemaskowani? Żeby nie mogli powiedzieć, skąd zdobyłeś informacje, które doprowadziły was do Chin?
- Możliwe, że to miało wpływ na moją decyzję...
- Do diabła, Paul, jak sam masz w zwyczaju mówić, wysłałeś *kolejną parę* do jaskini lwa? Teraz rozumiem, dlaczego chcesz zrzucić część poczucia winy na Kerstin.
- Istnieje mikroskopijne ryzyko, że Wu Wei nie jest czysty. Naprawdę mikroskopijne. No i nie da się prowadzić zaawansowanych śledztw, nie podejmując ryzyka.
- Tyle że wtedy o tym ryzyku powinni chyba wiedzieć wszyscy zaangażowani?
- Czasami nie...
- Jak właściwie traktujesz swoją rodzinę, Paulu Hjelm?
- Przestań ich nazywać moją rodziną! To zawodowcy, świetnie zdają sobie sprawę z zawodowego ryzyka!
- Znowu krzyczysz, Paul.
- I jeszcze na dodatek te pieprzone codzienne raporty. Kompletnie beznamiętne. Bezpłciowe.
- W takim razie sprowadź ich do domu.
- Muszę najpierw uzyskać jakieś potwierdzenie. W jedną albo w drugą stronę. Wszystko, byle tylko nie ta potworna, zżerająca mnie niepewność.
- W jakim tonie się z nimi komunikujesz?
- W jakim tonie?
- Przestań. Dokładnie wiesz, o co mi chodzi.
- Utrzymuję ten sam formalny ton. Raporty Corine są wręcz jak *napomnienie*, żeby utrzymywać formalny ton.
- Mądrze.

- Albo w tej chwili są torturowani, a jakiś politruk siedzi i usiłuje nieudolnie naśladować styl Corine!

- Krzyczysz tak głośno, że zagłuszasz sygnał własnej komórki.

Hjelm umilkł. Zastanawiał się przez chwilę, o co jej chodzi, zanim wreszcie zdał sobie sprawę, że jego telefon faktycznie cicho dzwoni w kieszeni.

- Po prostu odbierz - powiedziała Ruth.

- To nie rozmowa - odparł Hjelm. - Przyszedł mail.

- *Gdyby to miało być z Chin* - Ruth wskazała na telefon - byłabym gotowa jeszcze raz przemyśleć mój głęboko zakorzeniony ateizm

- We wszystkim zawsze chodzi o coś innego - powiedział Hjelm, spoglądając na telefon.

- No i? - spytała Ruth.

- Ależ ty jesteś wścibska.

- Daj spokój.

- To od Arto. Może poczekać.

- Przeczytaj.

Paul Hjelm przeczytał po cichu wiadomość i podniósł się z kozetki.

- *Możliwe, Ruth* - powiedział - że w najbliższej przyszłości będziesz musiała jeszcze raz przemyśleć swój głęboko zakorzeniony ateizm.

- No mów.

- Od kilku dni Corine i Marek próbowali wysłać do mnie mail bezpiecznym kanałem. Nie udawało im się. Teraz najwyraźniej znaleźli sposób, żeby obejść inwigilację Wu Weia. I na wszelki wypadek wysłali ten mail na prywatne konto Arto Söderstedta.

- Czyli są zakładnikami?

- W pewnym sensie. To krótka wiadomość, ewidentnie napisana w pośpiechu. Brzmi tak: „W.W.

wisi nad nami jak jastrząb. Niiwa szpieguje wiele zachodnich firm biotechnologicznych i ma związki z Korsyką. Interpretujemy to jako UM”.

- Nic z tego nie rozumiem

- Chodzi o dawną sprawę - wyjaśnił Hjelm. - Istniał kiedyś taki projekt NATO, w którym chodziło o to, by wykorzystując medycynę i chirurgię, stworzyć „doskonałego przywódcę”. Potem projekt został sprywatyzowany przez chirurga plastycznego z tej sekcji, Uda Massicotte, który działał z Korsyki. Samo laboratorium genetyczne mieściło się na wyspie Capraia. Poszło z dymem, a Uda Massicotte udało nam się złapać.

- UM?

- Właśnie. Tyle tylko, że do tej pory nic nie wskazywało na to, że z działalności Massicotte na Korsyce cokolwiek zostało. Całkowicie ją rozbiliśmy.

- Ale laboratorium zniknęło? Co w nim było?

- Wszystko wskazuje na to, że to była raczej Fabryka. Fabryka genetyczna. Produkująca genetycznie zmanipulowane dzieci. Doskonałych przywódców przyszłości.

- O mój Boże.

- Czyżbyś sobie przemyślała twój głęboko zakorzeniony ateizm?

- Czyli chcesz powiedzieć, że ta Fabryka genetyczna znowu istnieje?

- O ile to prawda, to powstała ponownie w Chinach i za pośrednictwem centrali cyberszpiegostwa chińskiej armii szpieguje firmy biotechnologiczne w całym zachodnim świecie. Między innymi Bionię ze Szwecji, która znalazła sposób na kontrolowanie genu hamującego przyrost mięśni. Wygląda na to, że genetyczna produkcja trwa.

- To przecież potworne - powiedziała Ruth.

Wydawała się naprawdę zszokowana. Paul Hjelm jeszcze ni gdy jej takiej nie widział.

- Oczywiście wszystko trzeba bardzo dokładnie sprawdzić, ale zakładam, że przyszła pora, by znów porozmawiać z Udem Massicotte. Przesłuchania trwały wiele miesięcy, zanim się poddaliśmy. Uparł się, żeby nie powiedzieć nic prócz tego, że działalność została zniszczona i gra jest skończona. Jest Belgiem i siedzi w belgijskim więzieniu, między innymi za wielokrotne

podżeganie do morderstwa.

- Tu w okolicy...

Hjelm poczuł, że słabo się uśmiecha.

- Tak, tu w okolicy. I następnym razem, kiedy będę tu siedział, Ruth, otoczony twoją łagodną troską, oskarżysz mnie o to, że wysłałem *kolejną parę* do jaskini lwa.

Ruth powoli pokiwała głową i powiedziała:

- Następna para odpada.

Intimus

Haga, 13 sierpnia

DZIEWIĘTNAŚCIE MINUT po szóstej na Hagę padły pierwsze promienie słońca. Kiedy zaczęły się sączyć przez szpary lekko odchylonych żaluzji, po raz pierwszy od trzech bezsennych godzin ujrzała kontury jego ciała. Było tak bardzo obecne dla czterech z jej zmysłów - słuchu, powonienia, dotyku i smaku - ale dopiero gdy do ogólnego wrażenia dołączyło również to, co mówił jej wzrok, podjęła decyzję.

Rozkopał pościel i leżał wyciągnięty na plecach, wyprostowany, nagi. Jak zwykle podczas snu był bardzo spięty. W świetle świtu, z początku bardzo słabym, jego ciało przypominało księżycowy krajobraz, ale w miarę jak upływały kolejne minuty, letni poranek nasilił wciąż powracające wrażenia: był jak podręcznik zmarnowanego życia, mapa bezsensownego przestępczego krajobrazu.

Powoli głaskała go po pokrytym więziennymi tatuażami torsie i zastanawiała się, co właściwie widziała w Nicholasie. Laima ciągle o to pytała - wprost lub bez słów - a ona nigdy nie odpowiadała. Nie była pewna, czy istnieją słowa, którymi można to opisać.

Miriam Hershey leżała w dusznym wilgotnym pokoju, w którym kiedyś mieszkali studenci, głaskała mężczyznę swojego życia i nie potrafiła do końca odpowiedzieć na pytanie, co w nim widzi. Mimo to była pewna, w stu procentach pewna. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że Laimie Balodis nie chodziło tylko o to, iż Nicholas zakłócił ich bliską przyjaźń, stał się trzecim kołem jadącego bez żadnych tarć roweru, ale także o to, że z wyglądu przypominał też brutalnych litewskich przemytników żywego towaru, wśród których przez

kilka lat musiała się obracać dwadzieścia cztery godziny na dobę. I diabli wiedzą, czy Nicholas faktycznie nie był jednym z nich. Naturalnie nie na Litwie, ale gdzie indziej. W ogóle Miriam wciąż za mało wiedziała o jego dawnych przestępstwach. Wiedziała, że zabijał, wiele razy, ale w sumie nic więcej. Odsuwała to od siebie.

Pieściła jego twarde, pozbawione owłosienia ciało i uświadomiła sobie, że wiele od siebie odsuwała. Na przykład decyzję.

W dusznym pokoju zrobiło się już właściwie całkiem jasno. Jej ciemne godziny minęły. Niespokojne godziny na podjęcie decyzji. A co, jeśli Laima ma rację? Sama od czasu do czasu o tym myślała, choć nigdy nie wyraziła tego tak dobrze jak jej najlepsza przyjaciółka. „On jest wygłodniały. Jego ciało pragnie czegoś innego, niż mu się wydaje. Cały się powoli rozpada”.

To była prawda i równocześnie nieprawda. Kochał ją, była tego całkowicie pewna, lecz może to nie wystarczało? Może nie wystarczała mu też walka, by uratować przed z góry przypieczętowanym losem młodych ludzi z Clichy- sous- Bois, może nie wystarczał nawet boks. Być może naprawdę potrzebował w życiu więcej wrażeń. By poczuć, że żyje.

Ale o ile coś się w nim nie rozpadało, to właśnie ciało. Była to dla niej zagadka - nie tylko to, że przetrwało wszystko, co musiało znieść, lecz że wciąż było w tak dobrej formie.

Jej dłoń dotarła do wielkiego chińskiego smoka, który wił się od jednego biodra do drugiego na jego podbrzuszu. Był to właściwie jego jedyny profesjonalny tatuaż. Resztę zrobili mu koledzy z więzienia atramentem z wkładów od długopisu i odpowiednio do tego się prezentowała. Ale smok był potężny. Niesamowity. Zastanawiała się, skąd go miał. Nigdy nie widziała tak agresywnie wyglądającego smoka.

Powoli muskała palcami jego ogolone podbrzusze. Wydało jej się, że smok poruszył się złowrogo w smugach światła padającego przez żaluzję.

Wtedy się obudził.

Kiedy skończyli, nie zsunęła się z niego. Głaskał ją po twarzy. Próbował się uśmiechnąć, ale to nigdy mu do końca nie wychodziło. Zupełnie jakby sam brutalnie zniszczył mięśnie swojej twarzy, a może zrobił to ktoś inny.

- O co chodzi? - spytał.

- Co masz na myśli?

- Coś jest nie tak - odparł. - Masz tutaj zmarszczkę.

Powoli przesunął środkowym palcem po jej czole, aż do nasady nosa.

- Chyba zaczynam się starzeć - zaśmiała się, lecz musiał właściwie odczytać jej śmiech, bo odparł:

- Wcale nie. Ale coś jest nie tak.

Obserwowała go. Przywierał do niej prawie całym ciałem. Poczula, że na jej czole pojawia się kolejna zmarszczka, i powiedziała:

- Potrzebujesz w życiu więcej wrażeń, Nicholas?

Jedli śniadanie. Obserwował ją tak samo jak wtedy w łóżku. Odgryzł kęs grubej na dziesięć centymetrów, trójwarstwowej kanapki.

- Z tym pytaniem chodziło ci o coś konkretnego? - spytał z pełnymi ustami.

- Odpowiedziałeś mi, że nie. To mi wystarczy.

- Ty jesteś wszystkim, czego mi potrzeba, Miriam. Tak ci odpowiedziałem. Ale teraz dotarło do mnie, że chodziło ci o coś innego. O co?

- Nie, to nic takiego - odparła, upijając gorącą kawę.

- Więc dlaczego mnie o to spytałaś? Tak ci się wydaje, kiedy na mnie patrzysz?

- Po prostu nagle zaczęłam się zastanawiać, czy jesteś szczęśliwy.

- Bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Nauczyłem się czegoś... czego się nie spodziewałem. Kochać. Ale nic nie dzieje się od razu. Jestem na właściwej drodze.

- Jesteś taki spięty, kiedy śpisz, Nicholas.

- Wiem Nie wiem tylko, co mam z tym zrobić. Choć wydaje mi się, że nie o to ci chodziło.

Nie dało się dalej robić uników i udawać, że zajmuje się czymś innym. Musiała chwycić byka za rogi. Dlaczego próbowała się przed tym bronić? Miała trzy godziny ciemności i prawie jedną godzinę przy świede, by podjąć tę decyzję, a kiedy już ją podjęła, doszła do wniosku, że to jest sensowne i konieczne. Ale teraz, w bezlitosnym świetle sobotniego poranka, gdy siedzieli przy stole i jedli śniadanie, nie była już tego taka pewna.

- No dobra - powiedziała, odstawiając filiżankę, i spojrzała prosto w jego dziwne, stalowoszare oczy.

Naprawdę się uśmiechnął. Prawie mu się udało.

- Pytam teraz całkiem poważnie - podjęła. - Potrzebujesz w życiu więcej wrażeń?

- Nie wiem, o co ci chodzi. Przede wszystkim mam ciebie, Miriam. Poza tym codziennie walczę z głodem alkoholowym, objawami odstawienia narkotyków i złymi wspomnieniami. Zmagam się z sumieniem, które próbuje mnie pograżyć. I całą energię, jaka mi pozostaje, zużywam na ratowanie młodych ludzi, by nie musieli dzielić mojego losu. Nie starcza mi energii na „więcej wrażeń w życiu”.

- Wiem - uśmiechnęła się Miriam Hershey. - Sto kroków do przodu, dziewięćdziesiąt dziewięć do tyłu, ale w sumie jeden naprzód.

- To nad czym się tak zastanawiasz?

- Czy pragniesz czegoś więcej.

Coś błysnęło w oczach Nicholasa. Niestety, był to raczej błysk zrozumienia niż tęsknoty. Nagle wstał i podszedł do ekspresu. Stał tak przez dłuższą chwilę, odwrócony do niej plecami. Przyglądała się jego kształtnym pośladkom, jedynemu miejscu na jego ciele, gdzie nie było tatuażu. Czuli się dość nieswojo.

- Czyli chodzi o twoją robotę? - spytał Nicholas, wciąż odwrócony do niej plecami.

- Zapomnijmy o tym - powiedziała Miriam - To było głupie. Naprawdę bardzo podziwiam to, co robisz w Paryżu. Zajmuj się tym dalej.

Odwrócił się i znów podszedł do stołu. Usiadł.

- Uważasz, że to nie jest dla mnie wystarczająco dobre? - spytał.

- To dla ciebie *doskonałe*. I dla tych młodych ludzi też.

- Ale? - pochylił się w jej stronę.

Zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Ale sam przecież mówiłeś, że wychodzisz stamtąd jak burzowa chmura. Że potrzebujesz potem trzech godzin podróży pociągiem, żeby dojść do siebie.

- Muszę to robić - odparł Nicholas i w jego tonie było coś, co sprawiło, że Miriam niemal rozpadła się na kawałki.

- Wiem - powiedziała. - I mój pochopny pomysł niczego nie upraszcza.

- A na czym polega? Dla mnie?

- Rzucasz ci takie wyzwanie, jakim nie było dla ciebie nic, odkąd przestałeś być przestępcą.

Nicholas milczał i wpatrywał się w stół.

- Niczego od ciebie nie żądam - podjęła Miriam. - To tylko nowa możliwość. Wciąż uważam... i proszę, wysłuchaj mnie do końca, zanim zaczniesz protestować... uważam, że wreszcie masz za sobą to, co najgorsze. Przetrwałeś, na jednym poziomie ci się udało. Jestem z ciebie niesamowicie dumna. I jest nam ze sobą tak dobrze. Lecz myślę, że dotarłeś do punktu, w którym zacząłeś potrzebować czegoś nowego. Tej potrzeby wrażeń, i upieram się przy tym, by nazywać to wrażeniami, które utrzymywały cię na powierzchni, kiedy byłeś przestępcą i ćpunem, i których nie zaspokaja już boks.

- Zwłaszcza kiedy jakiś sukinsyn się podkłada - mruknął Nicholas.

Miriam milczała przez chwilę. Uchwyciła się pewnej myśli,

głównie po to, żeby uciec przed sobą.

- Skąd masz tego wytatuowanego smoka? - spytała, pokazując ręką.

- Z Chin - odparł.

- Co tam robiłeś?

- Chciałem ci oszczędzić takich szczegółów.

- Wiem A ja nie chciałam wiedzieć. Nie tak naprawdę. Ale teraz chcę.

- Byłem ochroniarzem jednego gangstera - odparł Nicholas.

- Co za gangstera?

- Z branży nieruchomości w Szanghaju. Brytyjski deweloper. Robienie interesów z triadami nie było zbyt bezpieczne.

- To dlatego tak dobrze mówisz po angielsku?

- Tak. I dzięki Legii Cudzoziemskiej. Po pierwszym poważniejszym przestępstwie miałem wybór: więzienie albo Legia.

- Byłeś w Legii Cudzoziemskiej? Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

- Nie poszło mi za dobrze. Służyłem w 3e Regiment étranger d'infanterie w Gujanie Francuskiej. Nie dałem rady ze strasznie surową dyscypliną. *Esprit de corps*, no wiesz.

- Wiem - potwierdziła Miriam

- Zdezerterowałem i potem się ukrywałem. Ostro trenowałem. Byłem ochroniarzem różnych bandziorów.

- Dobrze sobie radzisz z bronią i walką wręcz?

- Kiedyś tak. Ale kokaina zrobiła swoje. A poza tym trochę za często trafiałem do pierdła.

Miriam Hershey pokiwała głową.

- Potrafiłbyś się odnaleźć w całkowitym spokoju, Nicholas? - spytała. - Mógłbyś dobrze się czuć w ciszy i bezruchu? Czy nasz związek by ci wystarczył, żeby zaspokoić twoją potrzebę wrażeń?

- W bardzo dużym stopniu - odparł Nicholas.

- Przecież wiesz, co robię - powiedziała Miriam. - Trudno to nazwać ciszą i bezruchem.

- W sumie to nie mam pojęcia, co robisz.

- To ściśle tajne. Często narażam życie. A w przeszłości byłam

infiltratorką. Infiltrowałam islamistyczne sekty w Wielkiej Brytanii.

- Spróbujemy omówić to na spokojnie?

- Ja nie chcę spokoju, a ty?

- Nie.

- Myślę, że oboje potrzebujemy w życiu więcej wrażeń niż inni. To pewnie kwestia chemii, endorfin i tym podobnych. I wydaje mi się, że już sobie odpocząłeś. Nie sądzę, żebyś jeszcze długo to wytrzymał. Myle się?

- W co ty mnie chcesz wpakować, Miriam?

- Ostatnią rzeczą, jakiej chcę, to w coś cię wpakować.

- Czyli potrzebujesz wrażeń? - spytał.

- Jeśli kiedyś było się infiltratorem, to coś takiego w człowieku zostaje.

- Tak jak nałóg?

- Prawie. A właściwie tak.

- I teraz chcesz, żebym ja został infiltratorem?

- Tak naprawdę to nie wiem, czy tego chcę.

- Martwiłabyś się o mnie?

- Przez cały czas.

Przyjrzał jej się i pogłaskał ją po policzku.

- Powiedz mi, o co chodzi - poprosił.

Przełknęła z trudem i powiedziała:

- Przez tydzień nie udało nam się znaleźć mężczyzny, który mógłby zinfiltrować pewną firmę ochroniarską w Nowym Jorku. Wiemy, że ta firma jest podejrzana, ale nie mamy żadnych dowodów.

- A dlaczego ja bym się nadawał?

- Szukają kogoś, kto umie się obchodzić z bronią, jest zdyscyplinowany, wysportowany, wysoki i między wierszami da się wyczytać, że chętnie widzieliby jakąś kryminalną przeszłość.

- I ten ktoś ma mówić po angielsku?

- Tak. Zgłoszenie musi wpłynąć do poniedziałku, to za dwa dni, a nam naprawdę nie udało się znaleźć żadnego odpowiedniego kandydata wśród policjantów, których mamy do dyspozycji.

- I wtedy pomyślałaś o mnie.
- Nie. Natychmiast o tobie pomyślałam - Ale?
- Ale zmagalam się ze swoim sumieniem.
- I je pokonałaś?
- Doszłam do wniosku, że tę kwestię zostawię tobie.

Leżeli w łóżku, spleceni ze sobą.

Potem upuściła swoją komórkę na podłogę.

- Ach tak? - powiedział i nagle jakby zapanował nad uszkodzonymi mięśniami twarzy. Naprawdę się uśmiechnął.

- Daj mi swoją - poprosiła i też się uśmiechnęła.

Pocałował ją w nos i sięgnął po telefon.

- Mówisz poważnie? - spytał.

Wybrała jakiś numer i po chwili powiedziała:

- Myślę, że mamy naszego infiltratora.

Upuściła komórkę na podłogę. Spadła na jej własną.

- Za godzinę - powiedziała. - W siedzibie Europolu.

- Czyli uważasz, że się zgodziłem? - spytał Nicholas.

De gevangenis van Mechelen

Mechelen, Belgia, 15 sierpnia

BLASK SŁOŃCA przykuł uwagę bladego mężczyzny na moście przy Vismarkt, skłaniając go, by wyobraził sobie tę rzekę w epoce żelaza, zanim przybyli tam Rzymianie i całą bogatą kulturę lateńską doprowadzili do upadku. W rzece Dijle przestały się odbijać piękne, lecz nieco za bardzo napuszone fasady domów. Blask słońca pozieleniał od koron potężnych drzew rosnących na brzegach, które zakłócały bezkres rozległych dębowych puszc. Połyskujący zielenią odcinek rzeki, obrzeżony bezlikiem wodnego ptactwa, nagle przecięła kanciasta wyżłobiona łódź. Na dziobie stała kobieta odziana w skóry, nad powierzchnią wody unosząc przypominający harpun oszczep. Nagle posłała go z wielką siłą w głąb Dijle i elegancko chwyciła wyskakujące z wody drzewce. Gdy odłożyła oszczep do łodzi, na jego haczykach szarpał się dziko wielki sum. Kobieta chwyciła go, przycisnęła do dna i uderzyła w głowę czymś w rodzaju prymitywnego młotka. Potem oburącz uniosła wysoko wielką rybę i z jej krwią spływającą po białych ramionach wydała z siebie radosny okrzyk, który w końcu utworzył całkowicie zrozumiałe słowa:

- No dalej, Ar to. To kiepski moment, żeby stać i się opalać.

Arto Söderstedt się odwrócił i zobaczył Juttę Beyer wśród licznych na Vismarkt lokali pod gołym niebem. Machała do niego. Właściwie bez przekonania mruknął:

- Nie opalałem się.

Ale czegoś w rodzaju przekonania udało mu się za to nabrać w odniesieniu do fantazji o epoce żelaza. Dlaczego rybak był kobietą? I po co ta brutalność? W sumie jednak interesowało go to równie mało co niewątpliwie przyjemne uliczki Mechelen.

Miasto, które tak długo było religijną stolicą dawnych Wielkich Niderlandów, miało zbyt wiele kościołów, by wyszło mu to na zdrowie. Gdy wznoszono jego największe arcydzieło - gigantyczną katedrę nazwaną od prawdopodobnie irlandzkiego misjonarza Rumolda, człowieka, który ochrzcił Niderlandy - rolę religijnej stolicy przejęła niestety Bruksela. Budowę Sint-Romboutskathedraal nagle przerwano na początku szesnastego wieku i od tego czasu budynkowi, który miał być najwyższym kościołem na świecie, brakuje górnej części wieży.

I właśnie tam się teraz znajdowali, na obrzeżach Grote Markt, i spoglądali na okrojoną katedrę Świętego Rumolda.

- Przypomina Berlin - zauważyła Jutta Beyer.

- To dwa zupełnie różne zabytki - odparł Arto Söderstedt, gdy wędrowali dalej po Frederik de Merodestraat.

Dotarli do skrzyżowania z Sint- Janstraat. Tam się zatrzymali i Söderstedt spojrzął na wieżę.

- Hof van Busleyden - powiedział rozmarzonym głosem.

- Proszę, Arto, skupmy się na tym, co ważne - rzuciła błagalnie Jutta Beyer. - Zostało nam tylko jakieś dwieście metrów. Dasz radę, walczyć.

- To bardzo pobudza wyobraźnię, gdy pomyślisz, że wielki humanista Hieronim van Busleyden doprowadził w tamtej wieży do spotkania dwóch architektów nowoczesnej Europy, Tomasza Morę'a i Erazma z Rotterdamu. Człowiek dałby sobie rękę uciąć, by móc słyszeć ich rozmowy.

Jutta Beyer gapiała się przez chwilę na Arto Söderstedta. Potem bez słowa pociągnęła go za sobą. Przeprowadziła go przez drugą odnogę rzeki Dijle w stronę wielkiej szkaradnej konstrukcji z drutem kolczastym na murach. De gevangenis van Mechelen, miejskie więzienie, nie posiadało zaawansowanych zabezpieczeń i nie było żadnym supernowoczesnym budynkiem, tylko obskurnym zakładem z dziewiętnastego wieku.

Przeszli przez dwa punkty kontrolne i wykrywacz metalu i dotarli do centrum gwiazdy, gdzie mieściła się dyrekcja więzienia, z oknami wychodzącymi na wszystkie strony. Jutta

Beyer zajęła się negocjacjami i dyskusją, a Arto Söderstedt w tym czasie się rozglądał. Od centrum gwiazdy, na której planie zbudowano stare więzienie, odchodziło kilka ramion. Cele mieściły się najwyraźniej na dwóch poziomach wzdłuż jednej ze ścian każdego ramienia, a tu i ówdzie wiły się wąskie spiralne schody prowadzące na drugie piętro. Nie, pomyślał, w tym zakładzie naprawdę nie ma zaawansowanych zabezpieczeń.

Po zakończeniu negocjacji krzepki strażnik wprowadził ich do jednego z ramion gwiazdy. Następnie wspięli się po spieralnych schodach, a potem po jeszcze jednych. Weszli do biblioteki, gdzie dwóch więźniów w jasnoniebieskich koszulkach sortowało filmy DVD. Mężczyźni posłali im krzywe spojrzenia. Potem dotarli do czegoś w rodzaju sali komputerowej. W jednym z kątów siedział starszy mężczyzna, również w jasnoniebieskiej koszuli, i czytał książkę. Podniósł wzrok, uśmiechnął się i powiedział:

- Aha, mister Sadestatt. Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt?

Arto Söderstedt obserwował go przez chwilę. Mężczyzna wyglądał beczelnie świeżo, pewnie głównie dlatego, że od ponad roku nie miał okazji poddać się ani jednej operacji plastycznej.

Od ponad roku profesor Udo Massicotte siedział w więzieniu.

- Profesorze - Söderstedt z rezerwą kiwnął głową na powitanie.

Strażnik poprowadził ich dalej, do innych drzwi na piętrze. Söderstedt szybko wyliczył, że znajdowały się bezpośrednio nad dyрекcją więzienia, w absolutnym centrum gwiazdy. Kiedy strażnik otworzył drzwi, znaleźli się nagle w dużej kaplicy o nieco katolickim wyglądzie. Beyer rozłożyła ręce i już chciała zaprotestować, ale Söderstedt położył jej dłoń na ramieniu. Zapanowała nad sobą i przypomniała sobie to, co dobrze wiedziała.

Nie zaczynaj przesłuchania z niekorzystnej pozycji.

Nie okazuj zdziwienia ani poirytowania.

Absolutnie nie podnoś głosu.

Ta dziwna, okrągła kaplica najwyraźniej była miejscem, w którym mieli przesłuchać Uda Massicotte. Jutta nie mogła dać po sobie poznać, że o tym nie wiedzieli. Musieli utrzymać przewagę.

Wyczytała to z uśmiechu Söderstedta i kiwnęła głową. On również kiwnął głową. Więzienny strażnik stanął przy drzwiach i najwyraźniej wcale nie zamierzał odejść. Również z tym należało się pogodzić i udawać, że nic się nie stało.

Söderstedt wskazał na krzesło przy samym spartańskim ołtarzu i wysunął go, robiąc z niego coś w rodzaju prowizorycznego stołu. Z drugiej strony ołtarza dostawił dwa krzesła i wyjął dwa dyktafony.

- Cieszy mnie, że Hjelm cię wybrał - oświadczył Massicotte. - Zapamiętałem nasze rozmowy jako znacznie bardziej stymulujące intelektualnie niż rozmowy z innymi policjantami.

- Mam przez to rozumieć, że więzienie nie dostarcza ci wystarczającej stymulacji intelektualnej? - spytał Söderstedt, majstrując przy dyktafonach.

Podeszła do nich Beyer i wyjęła swój telefon, by również na nim nagrywało się przesłuchanie. Usiedli naprzeciwko Massicotte, po drugiej stronie ołtarza. Sytuacja wydawała się nieco dziwna.

- Niezupełnie - odparł Massicotte. - Ma się tutaj dużo czasu na myślenie.

- Oczywiście chodzi ci o pełne skruchy myśli.

- Nie mam czego żałować.

- Czyli, jak rozumiem, zrezygnowałaś z prawa do obecności adwokata?

- W obecności adwokata rozmowa nigdy nie jest zbyt stymulująca - uśmiechnął się krzywo Massicotte.

- W takim razie zacznijmy przesłuchanie - powiedział trochę bardziej oficjalnym tonem Söderstedt. - Jest piętnasty sierpnia, godzina jedenasta czterdzieści dwa. Obecni są skazany za morderstwo Udo Massicotte, policjanci Arto Söderstedt i Jutta Beyer oraz strażnik więzienny o nazwisku...? Jak się

nazywasz?

- Lucas Wouters - odparł strażnik, patrząc na nich nieobecny wzrokiem.

- ...oraz strażnik więzienny o nazwisku Lucas Wouters - dokończył Söderstedt. - Teraz komisarz Beyer podsumuje sytuację.

Następnie odchylił się na oparcie, sprawiając, że bardzo niewygodne krzesło wydało się wręcz przytulne.

Beyer położyła na prowizorycznym stole grubą stertę papierów i nabrała powietrza do płuc. Söderstedt był przygotowany na długą tyradę, ale padły tylko dwa słowa:

- Fabryka psychopatów.

Krzesło, na którym Söderstedt tak wygodnie się odchylił, pośliznęło się na podłodze. Udało mu się powstrzymać sromotny upadek i zamaskować to faux pas, pochylając się nad ołtarzem i wbijając wzrok w Massicotte. Jutta Beyer podjęła:

- Nasza ostatnia rozmowa miała miejsce trzy dni przed twoim procesem. To był pierwszy i jedyny raz, gdy przyznałeś, że określenie „fabryka psychopatów” dość adekwatnie opisuje twoją działalność. Za to usilnie podkreślałeś, że działalność została przerwana, zarówno w tak zwanej Fabryce na Caprai, jak i w głównej siedzibie na Korsyce.

- Przerwana? Została unicestwiona. Może sobie przypominać, że do mojego domu na Korsyce przyszedł szalony psychopata, żeby mnie zamordować?

- Nazywał się W i był ukoronowaniem genetycznych, neurologicznych i chirurgicznych prób specjalnej sekcji NATO, by stworzyć pozbawionego empatii nadczłowieka. I mimo to się przemógł. Nie zamordował cię. Wysadził za to w powietrze supertajne laboratorium na wyspie Capraia, które od kilkunastu lat miało komercyjny charakter i należało do ciebie. Wtedy jednak laboratorium było już puste.

- Czyli to ma być tylko powtórka z rozrywki? - westchnął profesor Udo Massicotte. - Przerabialiśmy to już przecież wiele razy. Laboratorium nie było puste i odbywało się tam coś o

wiele mniej spektakularnego, niż sądzicie. Należałoby podziękować bogom, że bomba tego psychopaty nikogo nie zabiła.

- To była gigantyczna placówka w głębi skały na zachodnim wybrzeżu Caprai - ciągnęła Jutta Beyer. - Znacznie ją powiększono od czasów, gdy używała jej sekcja NATO. Nie powinna być pusta. Powinni tam przynajmniej pracować jacyś ludzie.

- Jak już mówiłem, mieliśmy szczęście - odparł znudzonym tonem Massicotte.

- Wiemy, co następuje - powiedziała Beyer. - Kiedy zlikwidowano sekcję NATO na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, zdałeś sobie sprawę, ile zaawansowanych badań w różnych dziedzinach medycyny przepadnie, jeśli sekcji nie uda się przekształcić w prywatny interes. Wcześniej sobie uświadomiłeś, że bezwzględny przywódca, czy to wojskowego, czy biznesowego typu, pozbawiony genu empatii, będzie w przyszłości twardą walutą. W laboratorium w Fabryce w tajemnicy produkowaliście po prostu ludzi. A więc kiedy wybuchła bomba W, powinny się tam znajdować *niemowlęta*, niemowlęta, które po osiągnięciu pewnego wieku zostałyby umieszczone u starannie wybranych rodziców zastępczych. Albo w jakiejś wybranej placówce wychowawczej. Te dzieci przeniesiono dlatego, że znaleźliście bombę. Zdaliście sobie sprawę, że Capraię trzeba ewakuować. Okazało się to nawet doskonałą sposobnością, by upozorować zniszczenie Fabryki. Co się potem stało z niemowlętami i z całym laboratorium?

Massicotte wskazał na Beyer i zwrócił się do Söderstedta.

- To wredne z twojej strony, Arto, że każesz swojej asystentce to wszystko powtarzać. Mam zacząć żałować, że zgodziłem się z wami porozmawiać?

- OXTR - powiedział Söderstedt.

- Że jak? - zdziwił się Massicotte.

- Gen, który koduje receptory oksytocynowe w naszych

ciałach, nazywa się OXTR. Genetycy z sekcji o tym nie wiedzieli, gdy go odkryli, prawdopodobnie za sprawą przypadku, zauważyli natomiast, że to zjawisko wpływa na naszą zdolność empatii. Udało im się stłamsić gen OXTR i tym samym wyeliminować empatię jako element ludzkiego procesu decyzyjnego. Nawet ty, Udo, nie chciałbyś żyć w świecie pełnym takich ludzi. To coś więcej niż faszyzm.

- Jak stwierdziliśmy już rok temu, to prawda, że genetycy z sekcji, Dworzak, Dahlberg, Vacek, van der Sanden, Hays, przeprowadzili coś takiego w latach osiemdziesiątych, ale, co również stwierdziliśmy, nie miało to nic wspólnego z kierunkiem, jaki później obrała moja firma.

- Stwierdziliśmy też, że to było kłamstwo - powiedział Söderstedt.

- Nie ja - odparł Massicotte.

- No to spójrzmy na to hipotetycznie. Czy chciałbyś żyć w świecie, w którym ludzie są pozbawieni zdolności empatii?

- Nie. Ale w tym hipotetycznym przypadku nie chodziłoby przecież o *wszystkich* ludzi, tylko o wybranych, i to na stanowiskach, na których ta cecha już w tej chwili jest promowana. W tym hipotetycznym przypadku chodziłoby jedynie o uproszczenie procesu rekrutacji.

- A więc takie rozumowanie byłoby sposobem na przeżycie odpowiedzialnej za to osoby? Że produkuje się psychopatów, by ułatwić proces selekcji niezbędnych psychopatów?

- Prawdopodobnie odpowiedzialna za to osoba poradziłaby sobie doskonale w ogóle bez żadnego rozumowania.

- Bo sama ta osoba byłaby psychopatką?

Udo Massicotte przyglądał się przez chwilę Söderstedtowi.

- Uważam, że to by wcale nie było konieczne - odparł w końcu.

- Ale przecież to byłby całkowicie nieodzowny warunek wstępny. Nie dość, że ta osoba produkuje ludzi w laboratorium, to skazuje ich też na brak rodziców i decyduje o tym, jacy się staną. Bawi się w boga, bardzo złego boga, którego raz już prawie zglądziła jedna ze stworzonych przez niego istot. Istot,

których życie było piekłem.

- Kiedy opuściliśmy sferę hipotez?

- Kiedy zacząłeś produkować ludzi, Udo. Nie rozumiesz, co robisz?

- Ludzi i tak się produkuje na wszelkie możliwe podejrzane sposoby, Arto. Gwałty, przygody na jedną noc, przymusowe małżeństwa i szybkie pozamałżeńskie numerki. Może pora zyskać trochę kontroli nad ludzką reprodukcją. Powiedziałbym nawet, że ta hipotetyczna odpowiedzialna osoba jest przekonana, że hipotetyczne stworzone przez nią istoty mają lepsze życie niż przeciętny człowiek.

- A więc to tak wygląda rozumowanie, które jest sposobem na przeżycie tej odpowiedzialnej osoby?

- W hipotetycznym świecie? Być może.

- W świecie, w którym zniknęła ludzka godność. Bo to taki świat tworzysz.

- Tak jak uzgodniliśmy, wciąż mówię o hipotetycznym przypadku.

- Jesteś już stary, Udo. Będziesz siedział w tym obskurnym więzieniu aż do śmierci. Naprawdę tak chcesz zostać zapamiętany? Jako jeden z wielkich demonów w historii świata?

Massicotte znów przez chwilę milczał i obserwował Söderstedta. Jego spojrzenie było bystre i całkowicie neutralne. W końcu odparł:

- Z czysto hipotetycznego punktu widzenia to tylko biznes. Nic poza tym.

Söderstedt zerknął na Beyer. Milczała i obserwowała. Być może lekko zachęcała go spojrzeniem Ciągnął dalej:

- To taki dziwny paradoks, że siedzisz akurat tutaj w Mechelen, nie sądzisz, Udo?

- Co masz na myśli? - spytał urażonym tonem Massicotte.

- Mówi się przecież, że rozmowy Tomasza Morę'a i Erazma z Rotterdamu, które odbyły się tuż za rogiem, w Hof van Busleyden, były prawdziwym początkiem humanizmu w Europie. Pierwsze burzliwe lata szesnastego wieku. Świat pogrążony w

wojnie, Machiavelli dopiero co napisał *Księcia*, dzieło o politycznym piekle w ówczesnych okrutnych Włoszech. Erazm napisał *Pochwałę głupoty*, a Morę *Utopię*. To było kilka lat, kiedy świat drżał w posadach. Ostateczny skok, który pozwolił nam się wyrwać ze średniowiecza. Narodził się nowy świat. To tutaj narodził się humanizm, Udo, i tutaj również umiera.

- Jesteś strasznie dramatyczny - powiedział Massicotte, ale urażony ton zniknął.

- Wiesz, że to prawda. Dokładnie pięćset lat, pół tysiąclecia, i teraz kończy się wszystko to, co sprawiało, że zachodni świat był cokolwiek wart. Wtedy wyszliśmy z powijaków, teraz znów do nich wracamy. Wtedy był Bóg, teraz są geny. A za tym wszystkim stoi skorumpowana klasa kapłanów, samozwańcza elita, która dla własnego zysku spycha nas z powrotem w mrok. Mówiłem to już wcześniej i powtórzę jeszcze raz: wróciło średniowiecze.

- Jakkolwiek byś tego nie przedstawił, to nie może być moja wina - odparł głucho Massicotte.

- Ależ tak - powiedział Söderstedt. - *Własny zysk*. Wyobrażasz sobie, że co jeszcze możesz zyskać? Będziesz siedział tutaj w cieniu aż do śmierci. Chyba że postanowisz wyjść na scenę i opowiedzieć swoją historię. Ta historia to przestroga dla naszych czasów. Czasów, które zupełnie pobiły.

- Nie będę tutaj siedział aż do śmierci...

- Kiedyś byłeś mądrym, ważnym człowiekiem - ciągnął Söderstedt, zerkając krzywo na Beyer, która nagle zaczęła się wiercić jak na szpilkach. - Rozumiałeś, jaką przyszłość ma chirurgia plastyczna. Pomogłeś wielu ofiarom pożarów, wypadków drogowych, a także tym, którzy odnieśli rany na wojnie, pomogłeś im odzyskać całkiem znośną twarz. Rozumiałeś *sens*. A potem zaczęła cię kusić mamona. Możliwość zarobienia grubej kasy w Brazylii, Tajlandii, a później na Bałkanach. I to wtedy zwabiło cię NATO. To była przecież szansa na prowadzenie przełomowych badań. Byłeś najwybitniejszym chirurgiem plastycznym na świecie, Udo.

Co się, do diabła, z tobą stało? Co się stało z twoją wielkością?
Kiedy umarła?

- Jesteś bardzo elokwentny, Arto, ale się mylisz.

- W czym się mylę? Byłeś przecież dobrym człowiekiem, Udo, byłeś aniołem, do diabła. Jak mogłeś upaść aż tak nisko? Trafic tak cholernie głęboko pod ziemię?

- Ja tworzę przyszłość, a ty jesteś tylko gliniarzem w ślepej uliczce. To znaczy, czysto hipotetycznie.

- To wszystko jest hipotetyczne. - Söderstedt nonszalancko machnął ręką. - Dłaczego jestem w ślepej uliczce?

- Europa to ślepa uliczka - wzruszył ramionami Massicotte.

- A mimo to twardo się trzymasz głównej siedziby na Korsyce?

Massicotte wgapił się w niego. Wyraz jego twarzy błyskawicznie się zmienił: nieskrywane zdumienie ustąpiło miejsca podejrzliwości.

- Ach tak - stwierdził oschle. - Wydaje ci się, że znalazłeś coś nowego...

- Twoja była żona, Mirella Massicotte, ponad miesiąc temu wyszła z więzienia Berkendael na obrzeżach Brukseli, gdzie odsiedziała karę za „poplecznictwo”, czyli za pomaganie tobie. Wiesz, gdzie teraz przebywa?

Udo Massicotte odchylił się na krześle, utkwił wzrok w punkcie będącym absolutnym środkiem De gevangenissen van Mechelen i powiedział z ociąganiem:

- Rozwiedliśmy się. Siedzę w więzieniu. Mam ograniczony kontakt z zewnętrznym światem

- Chcesz, żebym ci powiedział, gdzie przebywa?

- Poproszę.

- Na Korsyce.

- Niewiele tam pewnie zostało z naszego domu - Massicotte obojętnie machnął ręką. - Przypuszczam, że próbuje odzyskać, co tylko się da. Jak zapewne wiecie, wszystko, co zostało z mojego majątku, przepisałem Mirelli. Na co miałby mi się przydać?

- No tak, będziesz tu przecież siedział aż do śmierci - powiedział

Söderstedt, pośpiesznie zerkając na Beyer.

Wyglądała, jakby jakiś czas temu zapadła się w stan wegetatywny.

- Właśnie - potwierdził głucho Massicotte.

- Czyli nie masz już żadnych udziałów w firmie?

- Nie. Może i moje życie się nie skończyło, kiedy odnalazł mnie W, ale wtedy zamarzło. Wciąż jest głęboko zamrożone.

- Czyli nie kierujesz już z Korsyki działalnością?

- Siedzę tutaj. Mam ograniczony kontakt...

- ...z zewnętrznym światem To już słyszeliśmy. Ale pozostaje fakt, że ponad rok temu przeniesiono z Caprai działalność laboratorium i prawdopodobnie sporą liczbę zmanipulowanych genetycznie niemowląt. Gdzie się to wszystko podziało?

- Nie ma już żadnej działalności laboratorium.

- Wszystkie te literowe skróty - westchnął Söderstedt. - Najpierw było OXTR, teraz jest MSTN i LPL. Jak ty się w tym wszystkim potrafisz połapać?

Zobaczył, jak Beyer ukradkiem opuszcza stan wegetatywny, by czujnie obserwować reakcję Massicotte. Czy zupełnie jej nie było? Czy starcowi udało się zapanować nad twarzą? Söderstedt nie był tego do końca pewny.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Massicotte.

- Rozumiem, że w więzieniu trudno jest trzymać rękę na pulsie, ale chyba ci nie umknęło, że hakerzy z Szanghaju wykradli obie te ważne modyfikacje genetyczne?

Kiedy Udo Massicotte podniósł wzrok, jego spojrzenie było całkowicie neutralne. Söderstedt ciągnął:

- Gen OXTR kontroluje zdolność człowieka do empatii. Gen MSTN kontroluje przyrost mięśni, a gen LPL spalanie tłuszczu. Wreszcie to się robi do czegoś podobne. Wiktor Frankenstein też uważał, że jest wybitnym naukowcem

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, że wiesz. Szwedzka firma biotechnologiczna o nazwie Bionovia pracuje pełną parą nad preparatem

kontrolującym gen MSTN, a holenderska UniQure wkrótce będzie pierwszą firmą w Unii Europejskiej, która dostanie zezwolenie na lek oparty na terapii genowej i kontrolujący gen LPL. Z głównej siedziby na Korsyce, za pośrednictwem chińskiej centrali cyberspiegostwa w Szanghaju, wykradliście formuły obu tych preparatów. Twoja dawna Fabryka przeniosła produkcję do Chin, a my chcemy wiedzieć dokąd.

Massicotte nie patrzył już Söderstedtowi w oczy. Uparcie wpatrywał się w ołtarz. Powoli pokręcił głową.

- Jak to skomentujesz, Udo? - nalegał Söderstedt.

- Kompletnie się mylicie - powiedział Massicotte, po czym wstał i dał znak czekającemu przy drzwiach strażnikowi.

- Wiesz, że tego tak nie zostawimy - ciągnął dalej Söderstedt. - Niemożliwe, byś się domyślał, że tyle wiemy. Teraz pozostaje pytanie, jaki będzie twój następny ruch. To będzie ciekawe. No i oczywiście niedługo wrócimy, żeby kontynuować naszą rozmowę. Nie pozbędziesz się nas, Udo. Nie uda ci się mnie pozbyć. Postrzegam w tobie diabła i nie pozwolę ci się z tego wywinąć.

- Następnym razem będziecie musieli rozmawiać z moim adwokatem - stwierdził Massicotte.

Kiedy wyszli na ulicę, Arto Söderstedt wcisnął przycisk szybkiego wybierania na komórce.

- Hjelm- powiedział telefon.

- Teraz Massicotte wie, że wiemy - poinformował Söderstedt.

- Dobra, w porządku - odrzekł Hjelm. - Piłka w grze. Powiadomię Szanghaj.

- Wciąż nie wiadomo, gdzie przebywa jego była żona?

- Nie - odparł Hjelm. - Ślad urywa się w Nicei, ale to przecież oczywiste, że pojechała na Korsykę.

- Kiedy znajdziemy ją, znajdziemy główną siedzibę.

- Wiem

- Zażadasz natychmiastowego całodobowego nadzoru od dyrekcji więzienia?

- Już trzymam rękę na telefonie - powiedział Hjelm. - A tak w

ogóle, jak wam poszło?

- Lepiej, niż można się było spodziewać - odparł Söderstedt. - Zaraz omówimy wszystko z Juttą i wyślemy ci plik dźwiękowy.

- Doskonale - powiedział Hjelm i się rozłączył.

Blask słońca wciąż się odbijał w wodach rzeki Dijle. Przystanęli na moście i podziwiali ten blask.

- „Lepiej, niż można się było spodziewać”? - spytała Jutta Beyer.

- Chyba można tak powiedzieć - odparł Söderstedt. - Powiedz mi, co słyszałaś.

- Przyszynę, to dobrze, że ty się tym zająłeś, ale i tak nic nie poradzę, że czuję się jak asystentka.

- To ty przeprowadzisz następne przesłuchanie. Poza tym myślę, że dziś twoja rola była niemal ważniejsza od mojej. Słyszałaś wszystkie niuanse, mogłaś się spokojnie skupić, a ja przez cały czas musiałem uważać na to, co mówię. No to do jakich doszłaś wniosków?

Jutta Beyer zamknęła oczy, jakby chciała odciąć się od blasku słońca, i po chwili odparła:

- On wie o Opcop.

- Dobrze - pokiwał głową Söderstedt. - Ja też odniosłem takie wrażenie. „Europa to ślepa uliczka”. Zresztą już wtedy zasugerował działalność poza Europą.

- Ostatnio wynajął przecież Asteriona, by chronili go przed W. Pewnie to Huntington mu o nas powiedział.

- Coś jeszcze?

- Bardzo silnie zareagował na to, co powiedziałaś o Chinach.

- Zareagował, prawda?

- O tak - potwierdziła z naciskiem Beyer. - Wciąż kieruje tą pieprzoną firmą.

- I chyba robi to z Korsyki?

- To również według mnie było jasne. Ale nie jestem tak przekonana jak wy, że Mirella ma z tym coś wspólnego.

- Wskazuje na to sam fakt, że zaginęła - powiedział Söderstedt.

- Ich dawny finansista i sąsiad, były dyrektor banku, Colin B.

Barnworth, również zaginął po tym, jak dzięki świetnym adwokatom uniknął więzienia. Nie dość dobrze ich wszystkich śledziłyśmy. I to mnie irytuje. Coś jeszcze?

- Jeszcze? No cóż... Co to znaczy „zażądaś natychmiastowego całodobowego nadzoru od dyrekcji więzienia”?

- Hjelm załatwia właśnie ciągłą obserwację Massicotte przez kamery. Nie uda mu się skontaktować z zewnętrznym światem tak, żebyśmy o tym nie wiedzieli. Co więcej?

- Jeszcze więcej? No tak, coś jeszcze było.

- Prawie wysłaś tam z siebie.

- Nie pamiętam... A może?

- Możliwe, że to najważniejszy powód „natychmiastowego całodobowego nadzoru”...

- Aha - mruknęła Jutta Beyer i ruszyła dalej mostem.

- Aha - potwierdził Arto Söderstedt, doganiając ją.

- „Nie będę tutaj siedział aż do śmierci” - zacytowała.

Cel

Haga, 15 sierpnia

- TAK - POWIEDZIAŁ Paul Hjelm. - Zgadza się. Natychmiastowy całodobowy nadzór na czas nieokreślony Każda sekunda w ciągu doby.

Następnie się rozłączył, lekko pokręcił głową i odwrócił się z powrotem do swoich gości. Oboje siedzieli po drugiej stronie biurka.

Mężczyzna wydawał się twardy jak skała. Lodowatoszare oczy mogłyby być z krzemienia. Odnosiło się wrażenie, że tylko obcisły czarny T-shirt nie pozwala uciec kiepskim karykaturom najróżniejszych dzikich zwierząt; gdyby nie on, rzuciłyby się na szefa grupy Opcop i pożarły go żywcem w jego gabinecie.

Kobietą była Miriam Hershey.

- Ósma strona - powiedziała.

Hjelm wciągnął powietrze, przewertował leżące przed nim wydruki i spytał:

- Czy Legia Cudzoziemska może to w pełni potwierdzić?

Hershey spojrzała na twarziela. Kiwnął głową.

- Dokument jest przecież autentyczny - rzekła. - Tylko samo zakończenie musieliśmy trochę doszlifować.

- Zakończenie? Nicholas?

Mężczyzna spojrzał Hjelmowi w oczy.

- Zwiąłem - powiedział.

- Z Legii Cudzoziemskiej w Gujanie Francuskiej? Jak to zatuszowano?

- Znam się na infiltracji - powiedziała Miriam.

- Nie o to pytałem - odparł Paul Hjelm - Jak to zatuszowano?

- Drobne poprawki w dokumencie. Odnośniki nie do sprawdzenia. Zwyczajne zwolnienie ze służby. Nic, co mogłoby

się wydać dziwne. I żadnych luk.

- Żaden dawny kumpel z Legii nie zacznie gadać?

Nicholas przez chwilę miał trochę niepewną minę. Spojrzał na Hershey. Pokręciła głową i odparła:

- Zadbaliśmy, żeby z ni kim nie dało się skontaktować.

Paul Hjelm wyprostował plecy i poskładał stertę papierów.

- Chodzi mi po prostu o czas, i ty też o tym wiesz, Miriam Falszywą tożsamość buduje się zwykle przez jakiś miesiąc, gruntownie i szczegółowo, zwłaszcza jeśli... przepraszam za wyrażenie, Nicholas... infiltratorem ma być *amator*. A ty ile miałaś czasu? Pół weekendu? Nie stać nas na żadne błędy. Ciebie na nie nie stać, Nicholas.

- Nie ma żadnych błędów - powiedziała Hershey. - Robiłam to już wiele razy. I Laima Balodis bardzo mi pomogła. Najważniejsze było to, żebyśmy usunęły większość odsiadek, nie wszystkie, ze dwie mogą się przydać, a przede wszystkim żebyśmy zatarły jakiegokolwiek ślady nałogu. To już zrobione. Nie ma żadnych błędów.

- No dobra - stwierdził Hjelm, obracając laptop. - W takim razie pozostaje nam tylko wysłać zgłoszenie. Przypadnie ci zaszczyt zrobienia tego własnoręcznie, Nicholas, żebym wiedział, że faktycznie robisz to całkowicie dobrowolnie.

To ostatnie powiedział, uśmiechając się pod nosem. Na twarzy Nicholasa też pojawił się krzywy, wymuszony uśmiech. Zbliżył palec wskazujący do klawisza „Enter”. I zawisł z nim tak na jakiś czas.

Myśli krążyły mu po głowie. Ujrzał samego siebie, jak wychodzi w wielką pustkę wolności po ostatniej odsiadce w Maison d'arret de la Sante w czternastej arrondissement Paryża. Zobaczył swoje spotkanie z Miriam w Cafe Rosso na hipsterskim Oberkampfie. Ujrzał nieustanne podróże pociągiem Sprinter na trasie Rotterdam- Paryż. Widział, jak smok na jego podbrzuszu się uśmiecha, kiedy wchodził w nią od tyłu. Widział zbuntowanych, z góry skazanych młodych ludzi z Clichy- sous- Bois, widział sto kroków do przodu, dziewięćdziesiąt dziewięć do tyłu, ale w

sumie jeden naprzód. A kiedy zobaczył tego brodatego sukinsyna, który się podłożył na ringu, nacisnął klawisz.

Paul Hjelm podał mu rękę i powiedział.

- W takim razie, Nicholasie Durand, jesteś teraz nieoficjalnym współpracownikiem Europolu. Pewnie rok temu byś w to nie uwierzył.

- Pewnie nie - odparł Nicholas i uściśnął jego dłoń. - Co teraz?

- Jeśli Miriam właściwie rozegrała swoje karty, a jestem o tym przekonany, w ciągu tygodnia zostaniesz wezwany do Nowego Jorku na rozmowę kwalifikacyjną, która prawdopodobnie będzie obejmowała szereg testów sprawności fizycznej, czasu reakcji, posługiwania się bronią i być może jakiś test na inteligencję. Sądząc po ogłoszeniu, rozpocznieś nową pracę w Camulus Security Group Inc. już za jakieś dwa tygodnie. Z początku nie dostaniesz od nas żadnych konkretnych zadań, masz tylko spróbować zdobyć zaufanie swoich pracodawców w Camulus. Gdy już będziemy wiedzieli, na czym dokładnie polega twoja praca, a na pewno będzie chodziło przede wszystkim o robotę ochroniarza, na czym się przecież znasz, zobaczymy również, jakie masz możliwości, by wniknąć głębiej w organizację. Ale na razie masz o nas całkowicie zapomnieć i skupić się na robocie. Z jednym wyjątkiem. Rozglądaj się za *tym* mężczyzną.

Hjelm podsunął mu dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało mężczyznę około trzydziestki, drugie tę samą osobę po czterdziestce. Nicholas wziął je do ręki i im się przyjrzał.

- Starsze zdjęcie jest autentyczne - powiedział Hjelm. - Nazywa się Christopher James Huntington. Nowsze jest przetworzoną komputerowo wersją pierwszego. Miriam, jako jedna z nielicznych, widziała Huntingтона w akcji. Jak rozumiem, uważasz, że zmanipulowane zdjęcie całkiem dobrze odpowiada rzeczywistości?

- Zaskakująco dobrze - potwierdziła Hershey.

- Kim on jest? - zapytał Nicholas.

- Wszystko wskazuje na to, że to szef Camulus Security Group

Inc. Nigdy jednak nie zobaczysz go w żadnej oficjalnej sytuacji, ponieważ jest poszukiwany za wiele ciężkich przestępstw. Jeśli natomiast go zobaczysz, jak ukradkiem wchodzi do biura albo kręci się po okolicy, natychmiast skontaktuj się dyskretnie z Miriam albo z Laimą, twoimi osobami kontaktowymi.

Nicholas pokiwał głową i dokładnie przyjrzał się zdjęciom.

- Mogę je zatrzymać? - spytał.

- Do wyjazdu - odparł Hjelm. - Nie dłużej. Zapamiętaj je i zniszcz.

Nicholas kiwnął głową i schował fotografie.

- Jeszcze jedno - powiedział Hjelm.

- Tak?

- Znasz wielu autorów powieści kryminalnych?

Nicholas gapił się przez chwilę na człowieka, który nagle został jego szefem. W końcu pokręcił głową.

- Wykuj na pamięć jak najwięcej nazwisk - powiedział Hjelm. - Miriam pomoże ci sporządzić listę. Huntington często wykorzystuje nazwiska takich pisarzy jako pseudonimy i lubi mieszać imiona i nazwiska różnych osób, na przykład Ray Hammett, Mr Bagley albo Ellroy Christie. Jeśli natkniesz się na takie nazwisko, sprawdź to. Powodzenia, detektywie Durand.

Miriam i Nicholas wyszli, ten ostatni wyraźnie wyprostowany. Hjelm usiadł przy komputerze i otworzył schemat utworzony we wspaniałym programie Scapple. Była to oś czasu, bardzo wyraźna i przejrzysta linia w gmatwaninie różnych połączeń i pętli. Na początku tej linii wszyscy podstawowi członkowie grupy Opcop znajdowali się na miejscu, w Hadze. Następnie zaczynali odpadać, para za parą. Najpierw zaginieni dawno temu Tebaldi i Potorac, potem Kowalewski i Bouhaddi, którzy wyjechali do Chin, Sifakis i Chavez, którzy wybrali się do Włoch, i Söderstedt z Beyer, którzy udali się do Belgii. Kolejne pary znikwały.

Wezwał do siebie przez interkom Felipego Navarro.

- Jak idzie, Felipe? - spytał, nie zamykając schematu na wyświetlaczu.

Felipe Navarro usiadł. Krzesło było jeszcze ciepłe po tym, jak

siedziała na nim Miriam Hershey. Wzruszył ramionami.

- Zależy, o czym mówimy.

- Możemy zacząć od Marinescu. Uważasz, że się aklimatyzuje?

- Adrian jest naprawdę świetnym gliniarzem - odparł Navarro, znów wzruszając ramionami. - Dlaczego pytasz?

- Jeszcze nie miałem za bardzo okazji zobaczyć go w akcji - odparł Hjelm. - Świetnie się sprawdził miesiąc temu podczas inwigilacji w Amsterdamie, ale poza tym to nie wiem.

- Dobrze mu idzie. Choć zakładam, że zaraz zapytasz, czy doszliśmy do czegoś w sprawie zamordowania Donatelli Bruno. Jeśli tak, to odpowiedź niestety brzmi: njet.

- Po rosyjsku?

- Myślałem, że po rumuńsku.

- Rumuński to język romański. „Nie” to „nu”.

- Żadnych nowych śladów gościa z firmy kurierskiej, nic nowego w sprawie włoskiego adresu mailowego, żadnych nowych śladów DNA, nic, co wskazywałoby na jakąś tajną kryjówkę, żadnych postę-pów, jeśli chodzi o śledzenie prywatnych maili Donatelli przez mafię, właściwie to, niestety, w ogóle nic nowego. I żadnych nowych pomysłów.

- Spodziewałem się tego. A myślałeś, że o czym będziemy rozmawiać?

- Może o Madrycie...? - spytał ostrożnie Navarro.

- Czyli dalej pracujesz nad tą sprawą z Madrytu?

- Zwolnisz mnie, jeśli powiem, że tak?

- Na miejscu.

- To może pójde w jakieś inne miejsce.

- Wtedy będziesz uratowany.

- Skontaktowałem się z mniej więcej setką uczestników Marszu Oburzonych, Marcha Popular Indignada.

- Z setką?

- Mieli listę mailingową. Nie dzwoniłem do wszystkich osobiście. Nie martw się, nie marnowałem cennego czasu. Zajęło mi to coś około kwadransa.

- Cieszy mnie to - powiedział ponuro Paul Hjelm.

- Do tej pory nikt nie potwierdził, że po marszu kontaktował się z nim jakiś dobrze ubrany facet w garniturze za tysiąc funtów z Savile Row. Prowadził z nimi coś w rodzaju wymiany, choć nie mam pojęcia, czego to mogło dotyczyć. Ale rozesłałem zapytanie i cały czas spływają odpowiedzi.

- Na co liczysz, Felipe?

- Tylko na to, że poznam odpowiedź. W tym gościu było coś, co się nie zgadzało. Dostają szalu, kiedy rzeczy się nie zgadzają.

- Ponieważ dzięki tobie natrafiliśmy na nowy ślad Asteriona, nie zamierzam narzekać, jeśli będziesz dalej pracować nad sprawą Madrytu. W wolnym czasie.

- Ech, cały ten wolny czas, z którym człowiek nie wie, co zrobić...

- Szefowie są niewrażliwi na ironię. Ale chciałbym z tobą omówić kilka spraw.

- Ze mną?

- Angelos wyjechał do Włoch, a ty jesteś zastępcą mojego zastępcy. Co myślisz o Chinach?

- Chodzi ci o to, czy Corine i Marek mają realne powody do niepokoju?

- Tak, od tego zaczniemy. Co myślisz o Wu Weiui?

- Że jest policjantem w kraju, w którym przeprowadza się najwięcej egzekucji na całym świecie - odparł Navarro.

- Masz całkowitą rację. Tyle że to mi nie wystarcza. Uważasz, że działa niezależnie czy wręcz przeciwnie, jest kimś w rodzaju żandarma, który ma czuwać nad „jednostką 61398”? Czy Wu Weiuiowi chodzi o to, żeby oczyścić Chiny i, mając ten cel na uwadze, jest gotów nam pomagać, czy może raczej trzyma Corine i Marka jako zakładników, żeby się dowiedzieć, co wiemy o „jednostce 61398”?

- To pilne pytanie?

- Niestety tak - odparł Hjelm. - Udo Massicotte wie, że domyślamy się, iż wciąż kieruje firmą z Korsyki. Z naszej strony danie mu tego do zrozumienia było świadomą strategią. Taka była propozycja Arto i to była jedyna możliwość, żeby przelamać

impas z Massicotte. To zaś oznacza, że wkrótce Massicotte w ten czy inny sposób spróbuje przerwać działalność szpiegowską prowadzoną przez jego ludzi z organizacji posługującej się głupawym kryptonimem Niiwa. Pytanie brzmi, jak powiadomimy Wu Weia, co się szykuje, i czy w ogóle to zrobimy. Czy powiadomimy o tym tylko nieoficjalnie Corine i Marka?

- Uch! Czyli trzeba się śpieszyć?

- Zażądaliśmy całodobowego nadzoru nad Massicotte w więzieniu. Powinno być tak, że będzie przez całą dobę śledzony przez kamery. Niemniej i tak wysłałem polecenie do Niiwy, niepostrzeżenie czy też nie. Ci w Szanghaju powinni być czujni. Coś się szykuje. Nastąpi jakiś kontakt. A to nasza szansa.

- I pytasz, czy powinniśmy o tym poinformować Wu Weia? Rozumiem, na czym polega dylemat. Ma możliwości, ale czy właściwie je wykorzystają. Czy nie spróbuje raczej chronić Niiwę, która dzierżawi wojskowe zasoby. Co właściwie jest jego celem? Europol? Opcop? Bo skąd właściwie pochodziła informacja, że ktoś szpieguje organizację Chu- Jung i że Wu Wei w ogóle istnieje? Jego zadaniem jest się dowiedzieć, jak Corine i Marek tam trafili.

- Czyli *nie* powinienem informować go o Massicotte?

- Z całym szacunkiem, ale czy to nie jest przypadkiem strasznie ważne pytanie? Odważymy się ryzykować życie Bouhaddi i Kowalewskiego, by zdobyć dowody na udział Massicotte w cyberspiegostwie?

Paul Hjelm obserwował Felipego Navarro. Nie dało się zaprzeczyć, że Navarro ma rację. Czy Hjelm w ogóle był upoważniony, by narażać swoich współpracowników na tak wielkie ryzyko? Choć z drugiej strony czy naprawdę było aż tak wielkie?

To było jak spojrzenie w przyszłość. Chińczycy byli silni, może nawet najsilniejsi, ale nigdy się nie wtrącali w wewnętrzne sprawy innych państw, to był ich międzynarodowy *trademark*. Było tak, ponieważ chcieli się upewnić, że działa to na zasadzie wzajemności: najgorszym, co znali Chińczycy, byli cudzoziemcy

mieszający się w ich wewnętrzne sprawy.

Pytanie brzmiało, czy to była wewnętrzna sprawa Chin, czy nie.

Jeśli Nuwa była związana ze sprowadzoną z Europy firmą Massicotte - albo wręcz sama była tą firmą - oznaczało to zagranicznych przestępców nadużywających chińskiej gościnności. Istniała również możliwość, że Nuwa jest chińską firmą, a jej zaawansowane badania genetyczne mogą przynieść korzyści narodowi. W takim wypadku Wu Wei najprawdopodobniej starałby się chronić Nuwę.

Z drugiej strony tajna wiadomość do Bouhaddi i Kowalewskiego niewiele by dała. Mieliby możliwość wykryć związek z Korsyką dopiero w jakimś późniejszym, pisemnym, prawdopodobnie ocenzurowanym tłumaczeniu. To by było na nic. Jedyńm, który miałby możliwość bezpośredniego kontaktu - poprzez inwigilację Chu- Jung - byłby Wu Wei.

- Rozumiem, jak myślisz, szefie - powiedział Navarro. - Nawet abstrahując od ewentualnego zagrożenia dla Corine i Marka, trudno powiedzieć, co by było najskuteczniejsze. To, czego teraz potrzebujemy, to jakaś wskazówka, a w najlepszym przypadku dowód, że związek Mechelen- Korsyka- Szanghaj naprawdę istnieje. W ramach bonusu możemy zdobyć więcej informacji o Korsyce i może zrobić nalot na ich nową siedzibę.

- Tyle że jeszcze bardziej chodzi o firmę w Chinach. Powstrzymanie kompletnie niehumanitarnych manipulacji genetycznych Massicotte byłoby wielkim zwycięstwem.

- Ale działać w Chinach... - skrzywił się Navarro. - Diabli wiedzą. W takim przypadku musiałaby to zrobić chińska policja i chyba nie mamy wyjścia, tylko musimy postawić na Wu Weia.

- To jak wyglądałaby twoja propozycja, Felipe?

- Nie bez powodu nie jestem szefem...

- Jesteś szefem - oświadczył Hjelm - Moim zastępcą.

- No dobra. Powiadomiłbym Wu Weia. Ale wymyśliłbym jakiś sposób, by dać mu do zrozumienia, że to się pojawiło niezależnie od Chin, żeby jeszcze bardziej nie narażać Corine i Marka. Zapropionowałbym im, żeby skupili się na innych

formach komunikacji oprócz samego szpiegostwa przemysłowego. Przede wszystkim na nasłuchu. I może przede wszystkim na precyzyjnym odnotowywaniu anomalii w transferze danych.

- Doskonale - powiedział Hjelms. - Masz godzinę. Zdązysz?

Felipe Navarro uporczywie się w niego wpatrywał przez mniej więcej cztery sekundy. Potem powiedział:

- Tak.

- Nie sądzę, żeby Massicotte wcześniej zaczął działać. Najpierw musi się dobrze zastanowić.

Navarro wyszedł z gabinetu Hjelmsa z głębokimi zmarszczkami na czole. Dobrze, że dostał inne zadanie i nie będzie ciągle myślał o Madrycie.

Hjelms wrócił do komputera. Przesunął palcem po touchpadzie i znów pojawiła się oś czasu. Na jej początku grupa Opcop była zebrana w jednym miejscu. Potem się rozpraszali, para za parą. Zazaczył kursorem grubą linię czasu i wyprowadził od niej dwa nowe okienka. Te jeszcze puste okienka były kolejną parą. Powyżej napisał „Korsyka” i dodał szereg znaków zapytania. Kiedy zabrał się do wypełniania okienek nazwiskami pary, usłyszał, że przyszedł nowy mail. W górnym prawym rogu wyświetacza pojawiło się małe okienko i nim znikło, zdążył dostrzec, że mail był od Arto Söderstedta. Dał radę ignorować to na tyle długo, by w okienka pod nagłówkiem „Korsyka” wpisać: Navarro i Marinescu.

Z wyraźną niechęcią wyprowadził - w jeszcze dalszej przyszłości - kolejne dwa okienka. Wpisał do nich: Hershey i Balodis. A powyżej dodał - z jeszcze dłuższym szeregiem znaków zapytania - nagłówek „Nowy Jork”. Nim otworzył mail, zdążył stwierdzić, że jeśli wszystko to przeprowadzi, zostanie w Hadze zupełnie sam

„Cześć staruszku - napisał szarmancko Söderstedt. - Wysłałam ci nasze przesłuchanie Uda Massicotte. Nie chcę ci nic sugerować, ale sam pewnie wyczujesz, że istnieje spore ryzyko ucieczki. Naprawdę mam nadzieję, że udało ci się załatwić ten

natychmiastowy całodobowy nadzór.

Leżę właśnie w łóżku w naszym dziwnym hotelu i czytam. Dziwnym, bo ten hotel to *kościół*. Mam wrażenie, jakby Matka Boska we własnej osobie spoglądała na mnie z jasnego kościelnego okna nad moim prawym ramieniem.

Czytam na przemian trzy książki, Paul, i właśnie w tych trzech książkach z pierwszych burzliwych dekad szesnastego wieku można wyczytać coś niesłychanie konkretnego właśnie o naszych czasach. Pierwsza to cyniczny i przenikliwy *Księżę Machiavellego*, człowieka, który przejrzał na wylot ówczesne piekło polityki realnej, walkę o władzę i niedostępnych wysoko postawionych przestępców. Druga to satyryczna, wesoła krytyka bezgranicznej korupcji w sferze publicznej, *Pochwała głupoty* Erazma z Rotterdamu. Trzecia zaś to marzenie o sprawiedliwym społeczeństwie połączone z satyrycznym ukazaniem problemów, jakie zawsze musi ze sobą nieść sprawiedliwość absolutna, czyli *Utopia* Tomasza More'a.

Upłynęło dokładnie pół tysiąclecia, Paul, od chwili gdy napisano te trzy książki. Pięćset lat, podczas których wydarzyło się wszystko, co ma związek z nowoczesnością. Ten czas dobiega teraz końca: era humanizmu (jeśli odważymy się użyć tak wyidealizowanego określenia) okazała się krótsza niż czasy Cesarstwa Rzymskiego, krótsza niż średniowiecze. W przyszłości zdominowanej przez manipulacje genetyczne, szarą strefę, ukrytych decydentów, przestępców, którzy zawsze się wymykają, wykładniczo rosnącą korupcję i gospodarkę opartą na łapówkach, przez pozor-nie cywilizowaną mafię i pozornie jeszcze bardziej cywilizowany faszyzm, nieustanne zagrożenie terroryzmem i coraz mocniej inwigilowane społeczeństwo, przez narastającą polaryzację i powoli, lecz nieuchronnie zanikający krytyczny humanizm, przez przeideologizowany klimat prowadzonych rozmów i postdemokra-cję, która zapomniała, na czym polega demokracja, i utrzymuje jedynie jej blaknące zewnętrzne formy, przez system prawny, który się zacina i kieruje się osobistym

prestżem zamiast sprawiedliwością i formą zamiast treścią, w świecie coraz bardziej skupionym na własnym prywatnym portfelu, w tym właśnie świecie mam wrażenie, że jeszcze nigdy nie nauczyłem się aż tyle, co z tych trzech cienkich książek napisanych pięćset lat temu i pełnych mądrości, którą po prostu wyparliśmy. Jeśli uda mi się odzyskać chociaż cień tej mądrości i zrozumieć, co naprawdę widzieli Erazm, Morę i Machiavelli, myślę, że będę w stanie zrozumieć nawet coś tak niepojętego, jak Udo Massicotte i Christopher James Huntington.

Oni wiedzą o naszym istnieniu, Paul, wiedzą o Opcop i jestem coraz bardziej przekonany, że to my jesteśmy ich celem. Jesteśmy symbolem zjednoczonej Europy, Europy zjednoczonej wiarą w demokrację, wolność, humanizm i, miejmy nadzieję, że wkrótce także równość. Jest to, że tak powiem, nasza UPS, nasza *unikatowa propozycja sprzedaży*, posługując się współczesną metaforą. Wszyscy superneoliberalowie, podżegacze wojenni i dyktatorzy wszelakiej maści mimo wszystko nam tego zazdroszczą.

Jesteśmy już w połowie drogi z powrotem do średniowiecza. W epoce superindywidualizmu powraca myślenie grupowe, jak za sprawą ironicznego zwrotu w dziejach. Zamiast dominującego samca alfa, który mocniej ściska portfel niż własnego fiuta, mamy nieobecność jednostki; nikt już nie może być indywidualistą. Wszyscy mają nagle zostać posortowani w grupy: biali i czarni, muzułmanie i chrześcijanie, imigranci i miejscowi, mężczyźni i kobiety; i te grupy zaczynają się nawzajem nienawidzić, wykazując niższą niż u jednostki formę inteligencji.

Ale piszę bzdury, Paul. Posłuchaj przesłuchania Massicotte i sam się przekonaj, czy tak jak ja nie wyczujesz w tym przyszłości, której żaden z nas nie chce. Na tym kończę.

To my jesteśmy ich celem, Paul.

Twój Arto”.

Drapieźnik III

Montevideo, Urugwaj, 16 sierpnia

ŁYSY POTARĘ ogoloną głowę. Wczoraj po raz pierwszy poczuł na niej krople deszczu. W Urugwaju trwała zima, na zewnątrz było najwyżej siedem, osiem stopni i gdy szedł Rambla Gandhi wzdłuż długiej plaży w Montevideo, niebo nagle się otworzyło. Nad Rio de la Plata zgęstniała ciemność i na jego ogoloną głowę zaczęły spadać duże krople deszczu, prawie tak ciężkie jak grad. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zapomni to dziwne wrażenie ciężkich kropli deszczu na szczycie głowy.

Dziś w każdym razie nie zamierzał wychodzić. Na zewnątrz lał zimowy deszcz, a on miał inne plany. Zamrugał, by brązowe szkła kontaktowe dobrze się ułożyły, jeszcze raz zerknął w zniechęcone lustro w łazience i poszedł do swojej pracowni. Ale najpierw musiał minąć sypialnię.

Leżała na łóżku i czytała książkę. Próbował się przemknąć, żeby jej nie przeszkadzać, lecz opuściła książkę, wzdrygnęła się lekko i powiedziała:

- Uch, Watkin, nie mogę się przyzwycząić do tej twojej łysiny.
- Nie używaj tego imienia, Vero - odparł z lekkim uśmiechem. - Oficjalnie nazywamy się Alejandro i Rafaella Hernandez.
- Mówisz poważnie? Mam cię nazywać Alejandro?
- Wyprowadziliśmy się z wielkomiejskiej dżungli Buenos Aires, żeby wspólnie spróbować napisać książkę dla dzieci. Ty byłaś pracownikiem socjalnym, ja nauczycielem ze szkoły plastycznej. Ty piszesz tę książkę dla dzieci, Rafaello, ja ją ilustruję. To dlatego spędzamy tyle czasu w domu.
- Ledwie zdążyłam się przyzwycząić do brody...

W drodze do pracowni zajrzał do kuchni. Otworzył zamrażarkę

i wyjął zamrożony woreczek. Potem ruszył dalej do małego narożnego pomieszczenia w dwupokojowym mieszkaniu, otworzył cztery laptopy. Jeden po drugim budziły się do życia. Włączył stojące za nimi monitory i położył obok zamrożony woreczek. Kiedy sprzęt komputerowy zaśpiewał fałszywym chórem, powoli otworzył woreczek. Gdy wyjął z niego zamrożoną dłoń, najszybszy z komputerów był już gotowy do użytku.

Kiedy komputery znajdowały się w stanie spoczynku, przez cały czas trwały wyszukiwania. Szybko kliknął trwające wyszukiwanie obrazu. Obrazem stanowiącym punkt odniesienia była połowa stylizowanej gwiazdy o specyficznym wyglądzie. Kiedy obrócił sztywną, odciętą dłoń, widać było tę samą połowę gwiazdy na wewnętrznej stronie odciętego nadgarstka. Jeszcze raz przeklął swoją nieczujność; naprawdę nie widział tego tatuażu, kiedy odpiłowywał dłoń martwemu mężczyźnie z połową samochodowych drzwi sterzącą z pleców niczym płetwa rekina.

Płetwa rekina. Naprawdę tęsknił za rekinami.

Wypędziłeś mnie z rajy, pomyślał, kimkolwiek, kurwa, jesteś. Jeśli nie za nic innego, to choćby za to zapłacisz.

Program do wyszukiwania utworzył listę dotychczasowych trafień. Z przepastnych głębi internetu wyłowił dwie nowe propozycje. I pierwsza z nich faktycznie wyglądała obiecująco. Dziwna gwiazda figurowała w skomputeryzowanej postaci u policji stanowej z Missouri. Według tekstu pod obrazem gwiazdę zrekonstruowano z listu znalezionej w spalonej meksykańskiej fabryce kokainy na obrzeżach Saint Louis. Z listu - i zresztą również z fabryki kokainy - nic więcej nie zostało, ale najwyraźniej ten symbol uznano za ważny. Był w przeszklonej ramce, jak jakiś list uwierzytelniający. Policja z Saint Louis prosiła o kontakt i informacje.

Wpatrywał się w tekst i przez chwilę się zastanawiał. Potem uruchomił inne wyszukiwanie w bazie danych na sąsiednim komputerze. Dotyczyło symboliki w meksykańskiej

branży przemytników kokainy.

Omiótl wzrokiem pozostałe komputery, które już się obudziły, i stwierdził, że na wszystkich trwają wyszukiwania. Jedno z nich dotyczyło twarzy Strzelca z Clichy- sous- Bois, tego, który wylądował z drzwiami samochodu w plecach. Przyjrzał się martwej twarzy; mężczyzna z wyglądu trochę przypominał Latynosa. Na razie jednak nie pojawiły się żadne trafienia. Wyszukiwania twarzy zawsze trwały długo, więc jeszcze na jakiś czas postanowił zostawić je w spokoju.

Potem zajął się najważniejszym wyszukiwaniem, to, które dotyczyło harmonogramów różnych *drapieźników* MQ- I Predator. Ich produkcja i obsługa były dość dobrze kontrolowane i w odróżnieniu choćby od broni palnej wciąż dało się je monitorować. Wprawdzie wyszukiwanie było skomplikowane, lecz udało się wykluczyć kolejne trzy znane MQ- I Predator jako te, które drugiego maja odbyły trasę na archipelag Tuamotu w Polinezji. Trwało kilka równoległych wyszukiwań, z różnymi parametrami. Pozwolił komputerom dalej pracować.

Potem na jednym z nich otworzył inny program. Ekran podzielił się na cztery części równej wielkości, ujęcia z czterech różnych kamer. Pierwsza była skierowana z wejścia do budynku na ulicę, druga znad drzwi do piwnicy na opustoszałe tylne podwórze, trzecia w dół zupełnie pustych schodów, a czwarta z sufitu na drzwi na klatce schodowej. Prócz ulewnego zimowego deszczu na dwóch pierwszych ujęciach zupełnie nic się nie poruszało, dopóki obok pierwszej kamery nie przejechała niebiesko- biała furgonetka pocztowa z żółtym wschodzącym słońcem. Wstał i wyjrzał przez okno. Ta sama słoneczna furgonetka jechała dalej zapomnianą uliczką starówki Montevideo i po chwili zniknęła w deszczu.

Usiadł i stwierdził, że miniaturowe kamery działają naprawdę bez zarzutu. Znów zmienił program i wszedł na podejrzaną stronę mailową. Kiedy się logował, u dołu wyświetlały się reklamy porno.

Ze zdziwieniem stwierdził, że dostał aż trzy maile. Jednego się spodziewał i od niego zaczął. Jego kontakt w CIA informował, że DNA ani odciski palców osoby, do której należała odcięta dłoń, nie figurują w żadnych międzynarodowych rejestrach. Zerknął na odciętą rękę i odpisał: „Dzięki za sprawdzenie Meksyku”. Potem kliknął drugi mail. Nie poznawał adresu nadawcy. Z drugiej strony był to całkiem zwyczajny adres Hotmail, co go lekko zaniepokoiło. Natychmiast pomyślał o śladach elektronicznych.

Wiadomość była prawie nieczytelna. Napisana naprawdę kiepskim angielskim. Zaczął już podejrzewać, że to jakaś pomyłka, kiedy zobaczył podpis.

Teiki.

Faktycznie, zgadzało się. W chwili słabości podał Teikiemu ten adres. W chwili poważnej słabości. Ale cóż, zrobił to chyba świadomie. Właśnie po to, żeby dostawać takie maile jak ten. Wiedział, że może ufać Teikiemu, że stary rybak, który kiedyś dostarczał im na wyspę wszystko, co niezbędne, nie zacznie mówić nawet pod wpływem najgorszych tortur. To bezcenne zdumienie w oczach Teikiego, kiedy dostał zamówienie na świńskie wnętrzności i krew, i formy odlewnicze do manekinów...

Nie, nie teraz. Żadnych wspomnień o wyspie, to nie jest ani trochę konstruktywne. Żadnych wspomnień o gładkim jak lustro oceanie. Żadnych wspomnień o tym, jak Teiki natknął się na niego na morzu. Teiki, w swoim udoskonalanym od tysiącleci katamaranie, on sam leżący we własnoręcznie skleconej łodzi rybackiej i wiosłujący rękoma. I to napięcie, kiedy zbliżał się rekin. Forma treningu, którą bardzo niewielu może się pochwalić na blogach o sportach ekstremalnych.

Nie. Dość tego. W tłumaczeniu mail brzmiał następująco: „Byli tu ludzie, trzech mężczyzn. Zawiozłem ich na waszą wyspę. Przechadzali się wśród spalonych szczątków. Smutno było na to patrzeć. Nic nie znaleźli. A ja nic nie powiedziałem. Wyglądali na zadowolonych. Tęsknię za wami”.

Podpisano Teiki.

Ale nie tylko podpisano. Wiadomość była również datowana w samej treści maila. Teiki pod swoim nazwiskiem zamieścił datę siódmego maja. Pięć dni po tym, jak opuścili wyspę. Jednak w nagłówku mail był datowany wczoraj, piętnastego sierpnia. Najwyraźniej przez parę miesięcy kręcił się chaotycznie gdzieś w cyberprzestrzeni, zanim trafił pod właściwy adres.

No dobra, pomyślał. Dzięki, Teiki.

Coś sprawiło, że aż trzech mężczyzn bezzwłocznie udało się na wyspę. Co? Musiał zacząć od początku.

Znowu.

Dlaczego w ogóle chcieli go zlikwidować? Komu mogło zależeć na tym, żeby go znaleźć? Oczywiście policji, tej nieoficjalnej europejskiej policji. Jak się nazywał ten gliniarz, który nawet trochę mu zaimponował tam, na Korsyce? Hjelmm. Paul Hjelmm. Ale nie chodziło o policję, to w ogóle nie była żadna legalna instytucja.

Jedną z możliwości wydawała się zemsta. Dał przecież Hjelmmowi na tacy kilkunastu najemników Huntingtona. Może Huntington chciał się zemścić? Ale nie, był zawodowcem, policjantem przyszłości. *Na sprzedaż*. To się nie zgadzało. Może sam Massicotte? Udo, jedyny z tej przekłętej sekcji NATO, któremu udało się przeżyć. Chciał pomścić zabitych kolegów? Wykluczone. Udo kierował się logiką biznesu, nie logiką emocji. A może chciał go uciszyć? Nie, Udo rozumiał, że nie zamierza gadać. Udo zdawał sobie sprawę, że pragnął tylko trzymać się z boku przez resztę życia. A w każdym razie przez resztę życia Uda. Ale, w porządku, ryzyko wydawało się trochę większe niż w przypadku Hjelma i Huntingtona, choć mimo to niemal zaniechwalne.

A więc ktoś inny. Kto?

Mogło jednak chodzić o Barnwortha, jego dawnego pracodawcę w World Trade Center. Dawnego dyrektora banku inwestycyjnego Antebellum Invest Inc., któremu, w chwili gdy runęły obie wieże, udało się przebywać na Bahamach. Kiedyś

pod nazwiskiem Walter Thomas wkradł się w łaski Colina B. Barnwortha, ponieważ Antebellum należało do zewnętrznych źródeł finansowania sekcji NATO. Znalazł u Barnwortha sporo ważnych informacji, a jedenastego września, gdy wybuchł chaos, przyszła pora, by się zmyć. Jakież to by mogło mieć związku ze sprawą? Może jednak było coś podejrzanego w nagłym urlopie Barnwortha na Bahamach? Jeśli tak, to była to kwestia wielkiej polityki na poziomie, który w chwili obecnej był dla niego niedostępny.

Musiał zatem wychodzić z założenia, że to ktoś inny. Kto? W każdym razie ktoś, kto ma środki. Nie tylko na to, by go odnaleźć i wysłać na niego drona, ale też dość środków na drobiazgową analizę filmu z drona, która pozwoliła dojść do wniosku, że w nalocie na wyspę coś było nie tak. Drapieżnik kilka razy przelatował przecież nad wyspą. To musiało zaowocować kilkoma minutami filmu, które intensywnie analizowano przez kilka dni. Coś było nieprzekonujące. Coś sprawiło, że wysłano trzech mężczyzn, by sprawdzili sytuację na odległej wyspie Polinezji.

„Nic nie znaleźli”, pisał Teiki.

Właśnie to sprawiło, że znów zaczęli go szukać i znaleźli go w Clichy- sous- Bois. Znaleźli spaloną wyspę.

Nie znaleźli zwłok.

Ale kto?

Kiedy pluskali się w Pacyfiku i patrzyli, jak ich ukochana wyspa znika w płomieniach, Vera nazwała go X.

Pieprzony X, pomyślał i spojrział na wyszukiwania trwające na czterech różnych monitorach. Jestem coraz bliżej. Uważaj.

Następnie przeszedł do trzeciego maila; ten również był z adresu Hotmail, ale bardziej znajomego.

A jednak coś się tutaj nie zgadzało. Zwykle apatyczne raporty sływały po zakończeniu każdego tygodnia pracy w piątek po południu. W tej chwili był wtorek rano, w Europie mniej więcej pora lunchu. Mail wysłano z Mechelen w poniedziałek późnym wieczorem.

Jego treść brzmiała:

„M odwiedziło wczoraj dwoje policjantów, którzy wcześniej prowadzili przesłuchania, Arto Söderstedt i Jutta Beyer. Zjawili się pierwszy raz od roku. M zrezygnował z adwokata. Poświęciłem cały wieczór na wyczyszczenie nagrania. Musiałem stać pięć metrów od nich jako strażnik. Załączam plik dźwiękowy”.

Odchylił się do tyłu i poczekał, aż plik się ściągnie. Trochę to trwało, ponieważ musiał przejść przez kilka programów antywirusowych. Wrażenie było takie, jakby jego zwykle przejrzyste myśli też musiały przejść przez kilka filtrów. Na wyspie jakoś zniósł odsłuchanie tych co najmniej stu godzin bezowocnych przesłuchań Massicotte, zawsze z kiepskiej jakości nagrań z komórki, które przysyłał mu skorumpowany więzienny strażnik, Lucas Wouters. Szczerze mówiąc, najczęściej większość z nich przewijał. Miał przecież uciec przed całym tym skorumpowanym światem, który go stworzył. Miał się wyrwać z całego tego gówna, opalać się, kąpać, kochać i tarmosić się z rekinami. Tylko tego pragnął. Nikomu nie zagrażał, ten czas już minął, a teraz jakiś skurwysyn wciągał go z powrotem w to szaleństwo.

Czy to całkowity zbieg okoliczności, że to wszystko działo się akurat teraz? Że policja wróciła do Massicotte w tym samym czasie, kiedy X zaczął go ścigać? Przeczucie mówiło mu, że tak nie jest. Miał wrażenie, jakby wszystko zaczęło się na nowo, na innym poziomie. Pozostawało mu tylko jedno.

Najlepszą obroną jest atak.

Od ponad roku nie był tak naprawdę zły. Nawet gdy przegnali ich z wyspy, nie był zły, już raczej smutny. Nie był zły nawet wówczas, gdy morderczy patrol dogonił ich w Paryżu, kierowała nim raczej determinacja. Ale teraz był wściekły. Dokładnie w chwili, gdy znów zapłonął w nim dawny gniew, komputer zapiszczał.

Obrazy z czterech kamer przysłoniły stronę mailową. Przy wejściu na klatkę schodową stała jakaś zgarbiona postać, mała

skurczona staruszka, której nie kojarzył i która teraz, z twarzą zasłoniętą chustą, mozolnie otwierała drzwi. Spojrzał na drzwi piwnicy na tyłach; ani żywej duszy, żadnego ruchu. Powiększył postać staruszki, gdy ta z trudem pięła się po schodach na obrazie z trzeciej kamery, tej umieszczonej na klatce schodowej. Nawet przez chwilę nie udało mu się dojrzeć jej twarzy. I czy przypadkiem nie poruszała się trochę zręczniejszo, niż powinna? Czy jej ruchy nie były podejrzanie sprężyste?

Po chwili pojawiła się na obrzeżu ujęcia z ostatniej kamery. Gdy zostało jej jakieś kilkanaście kroków do drzwi z tabliczką „Alejandro i Rafaella Hernandez”, zareagował. Błyskawicznie zerwał się z krzesła przy biurku, otworzył szafę i chwycił broń, dwie sztuki. Odbezpieczając uzi, szerokim łukiem rzucił pistolet przez kuchnię. Vera leżąca na łóżku chwyciła go i natychmiast odbezpieczyła. Jej oczy się rozszerzyły. Już był przy drzwiach i ze wzrokiem utkwionym w komputer na biurku przylgnął do ściany.

Staruszka podeszła bliżej. Jeszcze cztery kroki, trzy.

Wtedy podniosła głowę i spojrzała prosto w miniaturową kamerę nad drzwiami.

Musiła mieć co najmniej osiemdziesiąt lat. Jeszcze nigdy nie widział tak pomarszczonej twarzy. Minęła ich drzwi i podeszła do sąsiednich. Kiedy naciskała dzwonek, doszedł do wniosku, że jej ruchy nie były ani trochę sprężyste. Ciężko dyszała. Rzucił uzi na sofę i wrócił do pracowni. Opadł na krzesło przy biurku. Weszła z pytaniem w oczach, z bronią skierowaną w podłogę. Pokręcił głową.

- Pomyłka? - spytała.

Spojrzał na nią i odparł:

- W nie popelnia pomyłek.

Potem usiadł i wsłuchał się w głos Uda Massicotte.

Nie uspokajało go to.

Fiat Fiorino

Kalabria, 18 sierpnia

TO NIE BYŁ RZYM, to było jasne.

Upłynęło dziesięć dni, odkąd opuścili stolicę Włoch, ale choć do Catanzaro, małej stolicy Kalabrii, było najwyżej sześćset kilometrów, wydawało się, że są w innym świecie. Może nie w samym Catanzaro, w którym zrobili sobie bazę, by nie przykuwać uwagi, ale gdy tylko zapuszczali się do mniejszych miejscowości, musieli uważać na każde słowo. A to było dość skomplikowane, ponieważ dwaj z nich byli cudzoziemcami.

Catanzaro nazywano „miastem dwóch mórz”, co w rzeczywistości oznaczało, że miasto było położone daleko w głębi lądu. W najwęźszej części przyszwycy włoskiego buta do Morza Jońskiego było po prostu tak samo daleko jak do Morza Tyrreńskiego. Było to zwyczajne, średnio duże miasto na południu Włoch. Dopiero gdy wyjeżdżali w tereny wiejskie, musieli być ostrożni. Można tu się było spotkać z czujnością i podejrzliwością, która właściwie nie była taka dziwna. Każdy obcy stanowił potencjalne zagrożenie dla biznesu, który wyciągał macki na całą Europę i odpowiadał właściwie za każdy przejaw dobrobytu w całym regionie. Ten, kto zagrażał Tidranghecie, zagrażał całej Kalabrii.

A więc ostrożność. Trzech mężczyzn w średnim wieku podróżujących samochodem, w tym dwóch cudzoziemców, trudno było uznać za zwyczajną turystyczną konstelację. Nie mogli też udawać biznesmenów, co normalnie byłoby logicznym rozwiązaniem, ponieważ wszystkie interesy w tym regionie w ten czy inny sposób dotyczyły mafii. Nie, podawali się za badaczy, geologów, którzy przyjechali badać działalność wulkaniczną. Sifakis opracował wiarygodną historyjkę, której wszyscy się

trzymali, w każdych okolicznościach. Kiedy byli sami, sytuacja się zmieniała.

A tak się zdarzało dość często. Salvatore Esposito towarzyszył temu z nich, kto w danej chwili bardziej potrzebował tłumacza, a w ostatnim czasie potrzebował go bardziej Angelos Sifakis. Jorge Chavez spędzał więcej czasu w samotności na krętych, ledwie przejezdnych górskich drózkach. Jego rozmówcami z reguły byli mnisi, ci zaś, w każdym razie częściej niż trenerzy piłkarscy, bywali dość czytani i znali języki obce.

Rolami zamienili się jednak dopiero po jakimś czasie.

W kalabryjskich górach było zdumiewająco wiele małych klasztorów, a interesujące było to, że dużo z nich było prawosławnych, greckoprawosławnych. Sifakis znalazł się w dość dziwnej sytuacji. Mógł z mnichami rozmawiać po grecku, ale była to prastara, niemal klasyczna greka, którą wcześniej słyszał tylko w szkole, i to kiepsko wymawianą przez skupionego na pisaniu nauczyciela. Tutaj była to żywa greka, wyjątkowo dobrze zachowana, i wrażenie było takie, jakby odwiedzał przodków, twórców Europy, legendarnych starożytnych Greków. Rzuciła się też w oczy wdzięczność i radość mnichów, że mogą spotkać nowoczesnego Greka, brata z pradawnej ojczyzny. Stwierdzali jednak ze smutkiem, smucąc tym samym również Sifakisa, że niestety nie potrafią mu pomóc.

Po wizycie w ostatnim prawosławnym klasztorze - gdy Chavez i Esposito wielokrotnie odbili się od ściany, jeśli chodzi o futbol - przyszła pora, by zamienić się rolami. Teraz to Sifakis musiał się męczyć z wyjątkowo opornymi działaczami piłkarskimi, podczas gdy Chavez oddychał krystalicznie czystym powietrzem na wąskich górskich drózkach prowadzących do bardziej tradycyjnych katolickich klasztorów.

Tego dnia również tak było. Mieli za sobą dziesięć intensywnych dni, ale efekty jak dotąd wydawały się dość przygnębiające. Jednak akurat tego dnia pojawiła się nadzieja. I to na obu frontach.

Rozmowy z działaczami piłkarskimi od początku cechował

nieformalny charakter. Trzeba było sprawić, by spotkania z trenerami młodzieży, dawnymi zawodnikami i działaczami wydawały się zupełnie przypadkowe. W pewnym stopniu im się chyba udało, bo ani Chavez na początku, ani Sifakis później nie natrafili na żaden mur zorganizowanego oporu. Pewnie wynikało to głównie ze swobodnego sposobu bycia Salvatore Esposito. Gawędził z ludźmi w kawiarenkach i barach, nie robiąc wokół siebie zamieszania, i często udawało mu się pokierować rozmowy na właściwe tory, dzięki obopólnemu zainteresowaniu piłką nożną. Pod pozorem zamyślenia do futbolu, które w przypadku Esposito wydawało się całkowicie autentyczne, ciągle wyciągał z ludzi nowe nazwiska. A wczoraj wreszcie poznali tożsamość potencjalnego kolegi z drużyny trzynastoletniego Fabia Bianchiego.

Teraz Sifakis i Esposito siedzieli w kawiarence w małej wiosce o wymownej nazwie Scandale, jakieś dziesięć kilometrów na zachód od nadmorskiego miasta Crotone. Naprzeciw nich siedział drażliwy, podejrzliwy i niemal na pewno nadużywający amfetaminy mężczyzna o imieniu Vincenzo. Był około trzydziestki, ale wydawał się znacznie starszy, sprawiał wrażenie opryskliwego i rozdrażnionego, jednak gdy usłyszał nazwisko Fabio Bianchi, rozpromienił się i powiedział z wyraźnym amfetaminowym drżeniem w głosie:

- O tak, Fabio. Niech mnie diabli. Genialny pomocnik ofensywny już jako trzynastolatek.

- Czyli drużyna młodzieżowa FC Crotone? - zapytał Sifakis za pośrednictwem Esposito.

- To mogio być w dziewięćdziesiątym czwartym... - pokiwał głową Vincenzo.

- Próbowaliśmy znaleźć jakieś zdjęcia całej drużyny z tego okresu.

- Pewnie prawie żadnych nie ma. A na tych, które istnieją, nigdy nie ma Fabia. Mówiliście, że dla jakiej piszecie gazety?

- To taka mała gazetka internetowa - odparł Esposito i przynajmniej według Sifakisa udało mu się sprawić, by

zabrzmiało to całkiem wiarygodnie.

- Internet jest fajny - pokiwał głową Vmcenzo. - Lubię Robbo Tubę. Zaglądaliście na Robbo Tubę?

- Dlaczego Fabia nie ma na zdjęciach?

- Pojawiał się tylko na treningach i na meczach. Wchodził jak samotny bohater i tak samo znikał. Ale decydował o losie każdego meczu.

- Kolegowaliście się prywatnie?

- No cóż, reszta drużyny to byli koledzy z klasy, wszyscy, z wyjątkiem Fabia. Cholera, wydaje mi się, że nawet się z nami nie przebierał.

- Jak to? Przychodził w stroju piłkarskim?

- Tak mi się wydaje. Ta gazetka internetowa coś płaci?

- Możemy to załatwić. Jeśli dostaniemy dobre informacje. Jak docierał na treningi?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- A jak ty docierałeś na treningi?

- Kurwa, no przecież, że na rowerze. Mieszkalem w mieście.

- Fabio też dojeżdżał na rowerze?

- Zaczynacie się robić cholernie upierdliwi... Nie. Nie wydaje mi się, żeby jeździł na rowerze. On się po prostu pojawiał. Jak jakiś Jezus.

Sifakis położył zdjęcie dorosłego Fabia Tebaldiego na stoliku przy filiżance Vincenza.

- Czy to jest Fabio Bianchi? - zapytał za pośrednictwem Esposito.

Vmcenzo wziął zdjęcie i dokładnie mu się przyjrzał. Obracał je na wszystkie strony, z typowym dla biorącego amfetaminę nadmiarem energii. W końcu powiedział:

- Musiał chyba przejść... jak to się nazywa... jakąś operację plazmiczną.

- Plastiką - poprawił go Esposito, choć postanowił sobie, że nie będzie tego robił. - Czyli co? Nie jest do niego podobny? To nie on?

- On, on - potwierdził Vmcenzo, pukając w zdjęcie. - Jasne,

kurwa, że to on. Wyrósł na bardzo przystojnego młodego człowieka. Nie to co ja...

- Ale co miałeś na myśli? Operacja plazmiczna?

Vmcenzo błyskawicznie, jak typowy amfetaminista, wydobył się z otchłani melancholii, błysnął żółtymi zębami i odpowiedział:

- Fabio miał przecież na policzku cholernie wielką brodawkę.

Mniej więcej w tym samym czasie Jorge Chavez dotarł do starego klasztoru, który piął się po zboczach w najbardziej wysuniętej na północ części legendarnego masywu Aspromonte. Szczerze mówiąc, nie był do końca pewien, gdzie się znajduje, bo GPS wypożyczonego samochodu zniknął wkrótce po wyjeździe z hotelu w Catanzaro, ale jakimś niezbadanymi ścieżkami udało mu się jednak dotrzeć na miejsce.

Przez ostatnie kilometry Chavez nie widział ani żywej duszy, a szare kamienne budynki, które wydawały się niemal *przywierać* do zbocza, wyglądały, jakby opuszczono je w średniowieczu. Kiedy minął podniszczoną kamienną bramę i znalazł się na terenie klasztoru, nie był do końca przekonany, czy dobrze trafił. Naprawdę mieszkali tu jacyś ludzie?

Obok głównego budynku stały dwa samochody bardzo przestarzałych modeli i w chwili gdy obok nich zaparkował, wysiadł i zobaczył dwóch dyskutujących mnichów wędrujących po przyklasztornym ogrodzie, przez bramę wjechał bardzo szybko stary beżowy pikap i prawie go potrącił. Wskoczył z niego zgarbiony staruszek w niebieskim kombinezonie i nie zaszczycając Chaveza nawet jednym spojrzeniem, wszedł do budynku bocznymi drzwiami. Mnisi w ogrodzie zniknęli. Znowu było zupełnie pusto.

Jakby przez te ruiny przemknęła nagle iluzja życia, a potem znowu wszystko zamarło.

Jorge Chavez potrząsnął głową i ruszył w stronę schodów do głównego budynku. Świeciło słońce, górskie powietrze było czyste, w ogóle był przepiękny dzień. Chavez czuł się jednak

trochę nieswojo, kiedy wchodził na schody.

Za nieproporcjonalnie wielką bramą znajdowało się duże pomieszczenie, czytelnia, której ściany pokrywały regały, wyglądające, jakby stały tu od zawsze. Ale siedział tu również człowiek, starszy mężczyzna w szarym mnisim kapturze. Odłożył na bok grube tomisko i grzyjącym głosem odezwał się idealnym hiszpańskim:

- Witamy w naszych skromnych progach. Pan musi być Jose Maqueda.

Chavez gorączkowo szukał wśród licznych nazwisk, których używał w ciągu ostatniego tygodnia. Faktycznie był Jose Maqueda z Madrytu i pracował jako wolny strzelec dla hiszpańskie-go czasopisma podróżniczego „Conde Nast Traveler”. Wyciągnął rękę i powiedział:

- A pan musi być ojcem Sebastiano?

Ojciec Sebastiano pokiwał głową, dość dziko uściśnął mu dłoń i rzekł:

- Co za fantastyczny, letni dzień daje nam Bóg.

- Doprawdy fantastyczny - przyznał Jorge Chavez.

- Usiądźmy sobie - zaproponował jowialnie ojciec Sebastiano, wskazując na miejsce naprzeciwko. - No to czego chciałby się pan dowiedzieć o naszym cudownym zakątku wszechświata.

- Na początek trochę o klasztorze - odparł Chavez, wyjmując notes i ołówek. - Ilu was jest?

- To ciężkie czasy dla klasztorów - zmarszczył czoło ojciec Sebastiano. - W tej chwili mamy tylko dwunastu mnichów i trochę innych pracowników.

- Żadnych zakonnic?

- Nie, to zawsze był męski klasztor.

- A uczniów?

- Już nie.

- Ale mieliście kiedyś uczniów?

- Takie klasztory jak ten zawsze były gotowe przyczynić się do kształcenia młodzieży.

- Na przykład na początku lat dziewięćdziesiątych? Możliwe, że

spotkałem człowieka, który wtedy u was się uczył.

- Całkiem niewykluczone. Mieliśmy wtedy trochę uczniów. Uczyło się u nas dwóch naszych obecnych braci.

- To wspaniale, że można utrzymać przy życiu taką tradycję - powiedział Chavez. - Ten człowiek opowiadał o was wiele dobrego. Nazywa się Fabio Bianchi.

W ciągu kolejnych sekund Chavez bardzo uważnie obserwował ojca Sebastiano. Spojrzenie mnicha wyraźnie stwardniało.

- Takiego nazwiska sobie nie przypominam - odparł w końcu.

- Oczywiście mogę się mylić - powiedział przyjaźnie Chavez.

- Tak sądzę. Naprawdę jest pan z czasopisma podróżniczego? Nie takie pytania zwykle słyszę.

- Przykro mi. Po prostu trafiłem tutaj dzięki Fabio. Opisował fantastyczną okolicę, góry, wędrówki.

- Nigdy tu nie było żadnego Fabia Bianchiego.

- Dość wyraźnie dał mi do zrozumienia, że...

- Nie, ta rozmowa jest skończona, señor Maqueda. Przykro mi, że przejechał pan tyle kilometrów.

- Ale...

- Myślę, że w głębi serca rozumie pan, jakie to ważne, by zakony takie jak nasz zachowywały dyskrecję. Obowiązuje nas całkowite milczenie. Trochę za bardzo pan nalegał, señor Maqueda.

Ojciec Sebastiano wstał i wyciągnął rękę. Jej uścisk był zupełnie inny niż poprzednio. Bardziej surowy. Twardszy.

Nie musiało to oznaczać nic prócz tego, że ojciec Sebastiano bardzo poważnie traktował swoje obowiązki opata. Z drugiej strony Chavez nie bez powodu trafił do tego klasztoru. Nie mógł się od razu poddać.

- Przeprowadził się potem do Rzymu. Był zdolnym uczniem, prawda? Mimo wielkich zdolności matematycznych został policjantem.

- Skończyliśmy temat - odparł ojciec Sebastiano. - A teraz pana proszę, by opuścił pan nasz klasztor.

Prawie posuwając się do rękoczynów, wypędził Chaveza na

dziejnec i z głuchym hukiem zatrzasnął ciężką bramę. Dźwięk tak długo odbijał się echem nad okolicą, że Chavez prawie przegapił dzwoniący telefon.

Salvatore Esposito szybko przetłumaczył Angelosowi Sifakisowi. Sifakis zmarszczył brwi.

- Brodawkę? - spytał.

- Według szanownego pana Vincenza wyglądała jak ziarenko fasoli.

- I kiedy zaczynał się trening albo mecz, Fabio po prostu zjawiał się znikąd, jak Jezus?

Po krótkiej chwili na tłumaczenie Vincenzo odparł, podzwaniając filiżanką espresso o zęby.

- Tak, to znaczy, wydaje mi się, że chyba raz podwiózł go jakiś zawodnik, ale diabli go wiedzą...

- Podwiózł? Samochodem?

- Tak. Wysiadł z jakiegoś pieprzonego białego wozu.

- Białego, mówisz?

- Wydaje mi się, że był biały. Wyglądał na dość nowy.

- I widziałeś ten samochód tylko raz?

- Tak. To znaczy nie. To znaczy tak. Wszyscy wiedzieliśmy, że go ktoś podwoził. Ale tak zajebiście dobrze grał, że mieliśmy to w dupie. To znaczy, przy tych jego podaniach nawet ja wyglądałem na pieprzonego boskiego snajpera.

- Widziałeś więcej razy ten biały samochód?

- Może jeszcze z raz...

- Widziałeś, kto prowadził?

- Nie, Fabio po prostu wysiadał. W pełnym stroju piłkarskim. Wystarczyło naciągnąć koszulkę.

- A potem ktoś go od razu zawoził do domu? Bez prysznic?

- Nigdy nie widziałem jego fiuta, jeśli o to pytasz. Co to właściwie za gazetka? Jeśli mnie pytasz o zdanie, to jakieś porno dla pedałów.

- Co to był za samochód?

- Fiat.
- Dziwiło cię to?
- Tak, kurwa, po prostu pojawiał się znikąd. Ale to był fiat. Taka mała półciężarówka, jak to się, kurwa, nazywa...
- Minivan?
- Nie wiem, nie. Bardziej taki z odkrytą dupą. Ale chyba nie powiniennem tak mówić do gości z czasopisma dla pedałów takich jak wy.
- Z odkrytą dupą?
- Tak, kurwa. Jak się na to mówiło? Z otwartą platformą. Taką, na jakiej się zwykle wozi owce.
- Na platformie tego białego wozu stały owce?
- Nie, nie przypominam sobie.
- Chodzi ci o pikapa?
- Tak, kurwa, właśnie tak!

Sifakis siedział i przeglądał coś na komórce, cały czas przysłuchując się rozmowie. W końcu podsunął telefon Vincenzowi.

- Przewijasz, przesuwając palcem po ekranie - wyjaśnił.

Vmcenzo przyjrzał się zdjęciu, przesunął palcem po ekranie, i tak kilka razy, w pięciosekundowych odstępach. W końcu podał Sifakisowi komórkę. Zdjęcie na wyświetlaczu przedstawiało prastarego pikapa. Sifakis podsunął telefon koledze, a ten przeczytał:

- Fiat Fiorino.

Ale wtedy Angelos Sifakis zdążył już wyrwać mu komórkę i wybrać numer.

Jorge Chavez spojrział w błękitne niebo nad wewnętrznym dziedzińcem klasztoru i powiedział do telefonu:

- Brodawkę? Jak ziarenko fasoli? - Potem spuścił wzrok i powtórzył jeszcze raz: - Biały pikap marki Fiat Fiorino? - Ruszył w stronę samochodu i słuchał przez chwilę, po czym oświadczył: - Tyle że to strasznie naciągane. Wątpię, żeby wciąż tu był. To

było przecież w dziewięćdziesiątym czwartym

Otwierając pilotem drzwi wypożyczonego wozu, spojrzął na zaparkowany obok samochód. Ten, który prawie go przejechał. Beżowy pikap.

- Poczekaj chwilę - rzucił.

Chavez przyjrzał się staremu pikapowi i powoli przeszedł na tył. Nie było żadnego oznaczenia modelu, tylko stara beżowa skorupa. Z drugiej strony na tablicy też nie było żadnych numerów.

- Hmm - mruknął do komórki.

- Co? - spytała komórka.

Chavez pochylił się przy tablicy rejestracyjnej i przesunął po niej zwilżonym palcem. Spod grubej warstwy kurzu pojawił się fragment numerów.

- Spytaj, czy ten pikap na pewno był biały - rzucił Chavez do słuchawki. - Możliwe, że był beżowy?

Potem przesunął zwilżony palec do miejsca, gdzie powinno znajdować się logo, oznaczenie modelu, i zaczął pocierać. W końcu pojawił się napis: Fiat Fiorino.

- Ożeż ty - rzucił Chavez do komórki.

- Co jest? - spytała komórka.

Chavez podszedł do boku samochodu i przesunął mokrym palcem po lakierze. Pod beżową warstwą kurzy pojawił się biały pasek. Jorge odślonił jeszcze trochę lakieru. Pikap był faktycznie biały.

Wtedy najzwyczajniej w świecie rozłączył się z Sifakisem i utkwiał wzrok w zamkniętej bramie. Przesunął spojrzenie o sto osiemdziesiąt stopni i jego oczom ukazały się boczne drzwi, w których zniknął zgarbiony kierowca, staruszek w niebieskim kombinezonie.

Chavez podszedł tam i zapukał, głośno i obcesowo. W końcu zza drzwi wyrzwał dziadek. Wyglądał, jakby dopiero co się obudził.

Chavez spróbował trochę podszlifować swój żaloszny włoski. Pokazał palcem na Fiata Fiorino i powiedział:

- Twój samochód?

Starszek wzruszył ramionami i odparł:

- Klasztorny.

- Od kiedy?

- Kupiliśmy go w dziewięćdziesiątym albo w dziewięćdziesiątym pierwszym. Wciąż całkiem ładnie śmiga.

- Wozileś nim uczniów?

- Uczniów?

- Wozileś nim chłopca z brodawką na policzku?

Starszek po prostu się na niego gapił.

- Grał w piłkę w drużynie młodzieżowej FC Crotone. Wozileś go tym samochodem na treningi i na mecze. Na pewno nieraz zostałeś, żeby popatrzeć. Dobry był?

Starszy pan pokiwał głową. A potem się na tym przyłapał i powiedział:

- Nie wolno o tym mówić.

Chavez pociągnął go za sobą. Przeszli schodami do wielkiej bramy, a potem zaczął uparcie się do niej dobijać, póki wreszcie nie wyrzał ojciec Sebastiano.

- Gdybym był z 'ndranghety, już bym was wszystkich wymordował - powiedział Chavez po włosku, co wychodziło mu coraz lepiej, w miarę jak narastała w nim wściekłość.

Ojciec Sebastiano uchylił drzwi i wciągnął do środka Chaveza wlokącego za sobą starszka w niebieskim kombinezonie.

- Usiądźmy - powiedział mnich.

Usiedli.

- Kim pan jest? - spytał ojciec Sebastiano.

- Kolegą Fabia Bianchi z Hagi, z Holandii.

Ojciec Sebastiano utkwiał wzrok w Chavezie.

- Czyli jest pan z policji? - spytał.

- Czyli ojciec wie, że Fabio Bianchi został policjantem?

Po twarzy opata znów przemknęły wątpliwości, choć bardzo się starał tego nie okazywać. Chavez ciągnął:

- Czyli wie ojciec, że Bianchi pod innym nazwiskiem dostał się do prestiżowego Liceo scientifico statale Camillo Cavour w

Rzymie? Pod jakim nazwiskiem go ojciec znał?

- Fabio Tebaldi - odparł ojciec Sebastiano. - Ale on nie żyje. Co nie zwalnia nas z obowiązku milczenia.

- Obaj wiemy, ojczy, przed kim go to miało chronić. Jest ojciec odważnym człowiekiem Przyjęliście dziecko, któremu groziło niebezpieczeństwo. Ile chłopiec mógł mieć wtedy lat, osiem? Wiedział ojciec, że za wszelką cenę trzeba go ukryć przed 'ndranghetą. I tak zrobiliście. Zapewniliście mu opiekę i wychowanie, i odkryliście jego talent do matematyki. A kiedy chłopak za wszelką cenę chciał grać w piłkę, zadbał ojciec, żeby nawet to mu umożliwić.

- To Gianpaolo się uparł z tą piłką - odparł ojciec Sebastiano, pokazując na staruszkę w niebieskim kombinezonie. - Ja uważałem, że to niepotrzebne ryzyko.

- To jego panowanie nad piłką - rozmarzył się Gianpaolo. - Fabio już jako trzynastolatek był genialnym pomocnikiem ofensywnym. Nie czułby się dobrze, gdyby musiał przez całe dzieciństwo siedzieć zamknięty w czterech ścianach.

- Gianpaolo się zaoferował, że będzie go podwoził i czuwał nad nim podczas treningów i meczów.

- To była czysta przyjemność - zapewnił Gianpaolo, lecz nagle posmutniał. - To znaczy, że on nie żyje?

- Tak - potwierdził ojciec Sebastiano. - Nie miałem serca ci o tym powiedzieć.

Jorge Chavez zmagał się ze sobą. Ci ludzie uratowali młodemu Tebaldiemu życie, narażając przy tym własne, czuwali nad nim i zadbali, by zdobył dobre wykształcenie i mógł grać w piłkę, choć wiedzieli, że mafia skazała go na śmierć. Czy nie zasługiwali na to, by wiedzieć?

- Ta brodawka - zaczął ostrożnie. - Czy Fabio nie miał na policzku dużej brodawki?

Ojciec Sebastiano się roześmiał.

- Zaniepokoiłem się, że mogłaby go zdradzić, kiedy zaczął coraz bardziej zwracać na siebie uwagę jako piłkarz. W jego czternaste urodziny zadbaliśmy o to, żeby ją zoperowano.

- A kiedy wyjechał do Rzymu, do gimnazjum, pomogliście mu również zmienić nazwisko?

- Coraz bardziej rzucił się w oczy jako piłkarz i miałem nieprzyjemne wrażenie, że mafia wpadła na jego trop. Musiał skończyć z futbolem, a kiedy przeniósł się do Rzymu, na wszelki wypadek zmienił nazwisko. To Gianpaolo zawiózł go do Rzymu. Uzgodniliśmy, że potem nie będziemy się już kontaktować.

- Też na wszelki wypadek, jak zakładam?

- Okazało się, że moje podejrzenia były uzasadnione - powiedział ojciec Sebastiano. - Jakiś miesiąc po tym, jak przeniósł się do Rzymu, mafia zrobiła nalot na klasztor. Na szczęście pozacieraliśmy wszystkie ślady po Fabiu. Niczego się nie domyślili. Kilka lat później usłyszałem, że został policjantem i wrócił tutaj. I że w końcu jednak go dopadli.

- Tak było - potwierdził Chavez. - Choć może niezupełnie w taki sposób, jak ojciec myśli.

Ojciec Sebastiano i Gianpaolo wymienili spojrzenia, po czym opat oświadczył:

- Proszę nam wyjaśnić, co pan ma na myśli.

Jorge Chavez zebrał się w sobie i odparł:

- Fabio Tebaldi żyje. Jest tutaj.

- Tutaj?

- Od dwóch lat on i jego koleżanka z Rumunii siedzą gdzieś tutaj w lasach jako zakładnicy 'ndranghety. Przyjechałem tu, żeby spróbować go odnaleźć. I mam nadzieję, że również uwolnić.

Starsi panowie siedzieli w milczeniu, zapatrzeni gdzieś w dal.

- Kiedy skończy się to szaleństwo... - odezwał się w końcu ojciec Sebastiano.

- Spory problem polega na tym, że nie wiemy dokładnie, dlaczego skazano go na śmierć - podjął Chavez. - Teraz przynajmniej odtworzyliśmy jego dzieciństwo od ósmego roku życia. Ale nie mamy pojęcia, co się działo wcześniej z Fabiem Tebaldim czy raczej Fabiem Bianchi.

- Nie nazywał się Fabio Bianchi, kiedy tutaj trafił - powiedział

cicho ojciec Sebastiano. - To ja wymyśliłem Bianchiego, bo to jedno z najpopularniejszych nazwisk we Włoszech. Pomyślałem sobie, że dzięki temu trudniej będzie go odnaleźć.

- Musi mi ojciec opowiedzieć, jak dokładnie Fabio tutaj trafił.

- Przyszła tu pewna kobieta i go zostawiła. Tylko tyle wiem. Nie chciała się przedstawić, lecz powiedziała, że ma osiem lat, że szuka go mafia i że jego rodzina nie żyje. Nie wiem, co się stało, a sam Fabio nigdy nie chciał o tym opowiadać.

- Ale wie ojciec, jak się nazywał, kiedy tutaj trafił?

- Tak. Bianchi to był mój wybór, ale Tebaldiego wymyślił sam. I nie ma to nic wspólnego ze światowej sławy sopranistką Renatą Tebaldi. To miał być hołd dla jego nieżyjącego ojca.

- Ale nie mógł przecież wrócić do nazwiska ojca? - zdziwił się Chavez.

- Nie, lecz jego ojciec miał na imię Teobaldo. Tebaldi brzmiało podobnie, jednocześnie go nie narażając.

- Czyli jego ojciec miał na imię Teobaldo. A jak się nazywał?

Ojciec Sebastiano spojrzał na niego smutno i odparł:

- Allegretti. Jego ojciec nazywał się Teobaldo Allegretti.

- Czyli jego syn, kiedy w wieku ośmiu lat trafił do klasztoru, nazywał się Fabio Allegretti?

- Tak - potwierdził ojciec Sebastiano.

Trzecia wypowiedź

Aosta, Włochy, 20 września

W PORZĄDKU, jestem gotów. Myślę, że zwiększona dawka morfiny zaczęła działać. Znowu czuję, że mogę pisać. Choć niemal nie sposób pisać o tym, o czym muszę opowiedzieć.

Kucaliśmy za tym dużym kamieniem, dopóki się nie upewniliśmy, że ojciec Fasoli zniknął z zasięgu wzroku. Gdybyśmy poczekali jeszcze trochę, może na policzki Fasoi powróciłoby choć trochę kolorów. I tak się stało, lecz dopiero po jakimś czasie. Gdzieś głęboko zrozumiał chyba konsekwencje tego, co widzieliśmy.

W całkowitym milczeniu wędrowaliśmy przez las. W połowie drogi do domu Fasola położył mi rękę na ramieniu i poprosił cicho: „Nic nikomu riie mów”. Kiwnąłem głową i mu to obiecałem. Nalegał, żebyśmy przypieczętowali tę obietnicę, więc nacięliśmy sobie kciuki i zmieszaliśmy krew. Za nic na świecie nie powiem, co jego tata robił przy tamtej szopie.

Nigdy do końca tego nie rozumiałem, ale też nigdy nikomu o tym nie wspomniałem.

Bez względu na to, co się potem działo w moim życiu - i w życiu nas obu - muszę powiedzieć *jedno*: nie pisałem o tym nikomu. Ani wtedy, ani później.

Już następnego dnia po wydarzeniach przy szopie zauważyliśmy, że nastrój w wiosce się zmienił. Coś ciężkiego wisiąło w powietrzu. Dorośli przekazywali sobie jakąś wiadomość. W końcu dotarły do nas niejasne plotki. Ponoć po raz pierwszy się zdarzyło, by uciekł więzień. Nie rozumiałem, o co chodzi. Więzień? Mieliśmy jakichś więźniów? I co za „my”? Ale potem znowu przypomniałem sobie tę scenę. Zawsze dumny i wyprostowany Teobaldo Allegretti, który dziwnie pochylony podszedł do zielonej szopy i wyprowadził

zgiętego w pół mężczyzną w brudnym, podartym garniturze. Najbardziej utkwiło mi w pamięci, jak wyciągnął z ust mężczyzny krawat, jakby to był wąż. Potem wskazał w głąb lasu i mężczyzna chwiejnym krokiem ruszył ścieżką. Teobaldo Allegretti wciąż stał i długo za nim patrzył.

Za długo.

Poprzedni dzień przyniósł konsekwencje nazajutrz. To miał być wyjątkowy dzień. Nigdy potem w żadnym dniu mojego życia nie nauczyłem się tyle o świecie.

Właśnie miałem jak zwykle pójść do Fasoli, żeby się pobawić, pograć w piłkę albo powspinać się po górach, kiedy czyjaś silna ręka zatrzymała mnie w drzwiach. Podniosłem głowę i zobaczyłem nad sobą twarz matki. Otarła spływającą po policzku łzę, nim ta zdążyła kapnąć na mnie, po czym wciągnęła mnie z powrotem do domu. Następnie zamknęła drzwi i je zaryglowała.

W środku były moje starsze siostry, Maura i Debora. Siedziały przy oknie. Obie cicho, ale rozdzierająco płakały. Sparaliżowało mnie to połączenie martwej ciszy i śmiertelnego przerażenia. Wyjrzałem przez drugie okno. Matka siedziała przy stole w kuchni. Ojca nigdzie nie było widać. Letnie słońce świeciło jak zwykle, a gdzieś w oddali, strasznie fałszując, śpiewał jakiś ptak, świerszcze coraz intensywniej grały.

Poza tym nie było słycać absolutnie nic.

Teraz, patrząc wstecz, rozumiem, że mógł upłynąć co najwyżej kwadrans. Ale tamtego dnia czas nie miał nic wspólnego z liczbami. Zupełnie jakbym się znalazł we wnętrzu trójwymiarowej fotografii.

W powietrzu zawisła mucha. Coś zatrzymało ją w locie i po prostu znieruchomiła pośrodku izby. Obserwowałem ją. Przez kwadrans. To była dla mnie zagadka. Potem dostrzegłem jakiś drobny ruch pod sufitem, z początku jakby drgnięcie.

I wtedy wszystko się wyjaśniło. Pająk zsunął się po niewidzialnej nici, żeby zabrać swoją ofiarę.

Mężczyźni przybyli z miasta i obiegli nasz dom z obu stron. Widziałem tylko ich plecy, kiedy pokonywali stumetrowy odcinek do

domu Allegrettich.

Najpierw wywlekli Fasolę i jego matkę. Kurczowo go do siebie przyciskała. Potem wyciągnęli jego starszego brata, Paola. A na koniec ojca, Teobalda Allegrettiego. Wymierzyli w nich broń, wołali coś bezgłośnie.

Wciąż nie było słycać żadnych dźwięków.

Jeden z mężczyzn odwrócił się w naszą stronę. Nie poznałem go. Kąciki jego ust unosiły się w dziwnym uśmiechu, wyglądało to sztucznie, jakby miał częściowy paraliż twarzy. Był to straszliwy uśmiech.

To on był ich przywódcą. Pokazał ręką. Ktoś pchnął Teobalda Allegrettiego, żeby upadł na kolana. Nie błagał o życie, wpatrywał się tylko w ziemię, kiedy oblewali go benzyną.

Dwóch mężczyzn zebrało na stertę drewniane figurki Paola, starszego brata Fasoli. Wszystkie jego misterne rzeźby, leśne i morskie zwierzęta. Je również oblali benzyną, na oczach Paola. Ktoś go trzymał, ale nie było takiej potrzeby, bo się nie ruszał. Potem podpalili wszystkie jego dzieła. Płonęły szybko. Paolo miał zamknięte oczy. Z jego twarzy bił jakiś dziwny spokój.

Ten uśmiechnięty powiedział parę słów do Teobalda, zanim go podpalili. Płonął jak pochodnia w całkowitej ciszy, póki nie przewrócił się na bok. Wciąż miał zupełnie proste plecy.

Kiedy ogień przygasł, ten uśmiechnięty odwrócił się do Fasoli i do jego matki. Rozdzielono ich. Jeden z mężczyzn mocno trzymał Fasolę, inny Paola. Stali obok siebie, zwrócenie plecami do nas. Trzeci mężczyzna mocno trzymał ich matkę. Szarpała się jak szalona. Choć głośno i dziko krzyczała, wciąż nie było słycać żadnego dźwięku.

Z naszych okien widzieliśmy jej twarz. Zapłakaną i kompletnie przerażoną. Ten uśmiechnięty podszedł do niej. Wskazał najpierw na Paola, potem na Fasolę. Powiedział parę słów. Dziko potrząsała głową, ale stojący za nią mężczyzna mocno ją trzymał.

Mijał czas. Mężczyźni wymierzyli broń w głowy Paola i Fasoli. W końcu mama Fasoli uniosła trzęsącą się dłoń. I wskazała na Fasolę.

Ten uśmiechnięty dał znak mężczyźnie, który trzymał Fasolę. Ten

puścić go i kopnąć w tyłek. Fasola patrzył przerażony to na matkę, to na Paola. Oboje pokiwali mu głowami.

Wtedy rzucił się biegiem.

Fasola pobiegł prosto do lasu.

Mężczyzna, który mierzył do Paola, strzelił mu w głowę. Nawet upadał spokojnie na spalone resztki swoich figurek.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem jakiś dźwięk. To zatkały moje siostry, obie, jedna po drugiej.

Mężczyzna, który trzymał matkę Fasoli, wyjął z kieszeni pistolet. Wciąż mocno ją trzymając, strzelił jej w skroń. A potem puścił. Kiedy osunęła się zupełnie bezwładnie na ziemię, człowiek, który ją zastrzelił, podniósł wzrok. Z lufy jego pistoletu unosił się dym, a jego plecy były strasznie przygarbione.

Spojrzał w stronę naszego domu, prosto w nasze oczy.

I to był nasz ojciec.

Już nigdy potem nie wyprostował pleców, nie tak naprawdę. W tamtej chwili stał się Il Ricurvo, „Garbatym”.

Zanim mężczyźni się rozeszli, oblali dom Allegrettich benzyną. W migoczącym blasku płomieni zobaczyłem, jak ten uśmiechnięty posyła mi swój krzywy, sztuczny uśmiech.

Ponownie zobaczyłem ten grymas u Il Sorridente ponad pół dekady później. Miałem wtedy czternaście lat i ojciec odebrał mnie ze szkoły. Nie odezwał się ani słowem, ale w połowie drogi przez San Luca zawiązał mi opaskę na oczach. Ja też się nie odzywałem.

Kiedy ściągnięto mi opaskę po kwadransie, który pod pewnymi względami przypominał tamten kwadrans sprzed sześciu lat, znajdowałem się w jakiejś fabryce. Pierwszym, co zobaczyłem, był mój ojciec; wydaje mi się, że ta dziwna mina, jaką zrobił, miała mnie uspokoić. Drugim, co zobaczyłem, był uśmiech Il Sorridente. Z biegiem lat ten jego grymas stał się jeszcze bardziej paskudny.

- Lorenzo - powiedział, i pewnie w tamtej chwili pod sztucznym uśmiechem krył się prawdziwy, choć nie było to ani trochę mniej przerażające. Przez chwilę kiwał głową i mnie obserwował, a potem podjął: - Twój ojciec się o ciebie martwi, Lorenzo. Jesteś w wieku, w

którym młodzi ludzie zwykle pragną pokazać, jacy są silni i honorowi. Wszyscy chcą zostać *contrasto onorato*. Pewnie wiesz, co to oznacza, Lorenzo?

Nie odpowiedziałem. Nie byłem wstanie. Ciągnął więc dalej:

- To znaczy, że zostałeś wybrany, Lorenzo, że cię obserwujemy. Pokazując siłę i honor, pokazujesz, że chcesz przejść „chrzest” i oddać swoją siłę i honor klanowi. Ale wiesz o tym, Lorenzo, masz przecież głowę do nauki. Nie pokazujesz tego jednak. To dlatego twój ojciec się o ciebie martwi, Lorenzo.

Zerknąłem szybko na ojca. Miał taką minę, jakby próbował udawać zmartwionego.

- Chcesz, żebym powiedział ci coś w tajemnicy, Lorenzo? - ciągnął Il Sorridente. - Ja ani trochę się o ciebie nie martwię. Awiesz dlaczego? - Najwyraźniej jednak nie spodziewał się ode mnie odpowiedzi, ja zaś i tak nie byłbym w stanie nic z siebie wydusić, podjął więc: - Czasy się zmieniły, Lorenzo. Wcześniej żyliśmy z porwań. Uważaliśmy, że to najlepszy sposób, by zarobić. Teraz wiemy lepiej. Zorganizowaliśmy się w nowy sposób. Ci, którzy popierali stary sposób myślenia, stoczyli wojnę ze zwolennikami zmian. Walczyły ze sobą wszystkie klany. Twój ojciec i ja wierzyliśmy w stary sposób, Teobaldo Allegretti wierzył w nowy. Złamał zasady honoru, kiedy uwolnił tego dewelopera z Turynu. Chyba rozumiesz, że nie mogliśmy pozwolić, by za to nie zapłacił?

Wbił we mnie wzrok. Nie patrzyłem na niego. Mówił dalej:

- A jednak tamtego dnia okazałem litość, Lorenzo. Pozwoliłem uciec synowi Allegrettiego. W nowych czasach nie ma miejsca na litość. Nie pozwolimy mu dłużej żyć. Wiesz, gdzie on jest, Lorenzo?

Pamiętam, że w tamtej chwili zakręciło mi się w głowie. Jakby fabryczna podłoga zapadła się sto metrów niżej i jakbym wpatrywał się w otchłań.

- Nie - wydusiłem z siebie.

- Nie? Czyli nie masz pojęcia?

- Pobiegł do lasu. Zniknął. Nawet nie wiem, czy żyje.

- Dobrze - stwierdził spokojnie Il Sorridente. - Ale nie dlatego

chciałem się z tobą spotkać, Lorenzo. Właściwie chciałem ci powiedzieć, że w odróżnieniu od twojego ojca ani trochę się o ciebie nie martwię.

Za późno się zorientowałem, że się na niego gapię. Trochę zbyt beczelnie. Spuściłem wzrok i usłyszałem:

- Jak mówiłem, nastaly inne czasy, Lorenzo. Dziś potrzebujemy nie tylko zabijaków. Dziś potrzebujemy również tych, którzy mają głowę do nauki. Wszędzie potrzebujemy naszych ludzi. Chcę przez to powiedzieć, że jednak jesteś *contrasto onorato*. Obserwujemy cię. Rób dalej to, co robisz.

Niemo pokiwałem głową. Nawet gdybym był w stanie mówić, nie istniało nic, co mógłbym powiedzieć. Od dawna się tego domyślałem, ale dopiero teraz naprawdę to do mnie dotarło. Zostałem wybrany. Na zawsze będę w rękach mafii. Nie było innej drogi.

- Jeszcze jedno - dodał Il Sorridente. - Twój ojciec jest z ciebie bardzo dumny. Nie ma tylko odwagi sam ci tego powiedzieć.

Pospiesznie zerknąłem na ojca. Od wielu lat - dokładnie od sześciu - nie czułem z nim żadnej specjalnej więzi. Był twardzielem, Il Ricurvo, „Garbatym”, i nic ponadto. Nie wyglądał na specjalnie dumnego. Budził we mnie prawie taki lęk jak Il Sorridente.

Kiedy znów z opaską na oczach stamtąd wyszedłem, trzęsły mi się nogi. Wtedy po raz pierwszy okłamałem Il Sorridente. Ale nie ostatni.

Pewnego dnia kilka tygodni wcześniej w szkole odwołali zajęcia z powodu groźby podłożenia bomby i z kilkoma kolegami z klasy wsiadłem do autobusu jadącego na północ. To nie było w moim stylu, ale chciałem się wyrwać, naprawdę coraz bardziej za tym tęskniłem. Wolę myśleć, że to za sprawą zbiegu okoliczności trafiliśmy wtedy do Crotone na mecz drużyny młodzieżowej. Chłopaki w koszulkach w czerwono- niebieskie pasy grali z czarno-żółtymi - kiepsko się orientowałem w piłce, nie znałem nawet drużyn. Ale natychmiast poznałem jednego z zawodników, głównie po stylu gry, po tych dryblingach, którymi tyle razy mnie

przechytrył, zanim skończyliśmy osiem lat, a potem nigdy więcej. Najbardziej się bałem, że poznają go też moi dwaj koledzy ze szkoły w San Luca, zmienił się jednak na tyle, że tak się nie stało. Przede wszystkim Fasola nie miał już na policzku brodawki.

Po meczu powiedziałem kolegom, że muszę iść się załatwić, co było prawdą. Trochę nadąsani, poszli beze mnie na przystanek. I tak byliśmy już spóźnieni. Ale zamiast pójść do łazienki, ruszyłem za Fabiem. Jego drużyna wysoko wygrała i kiedy już się nacieszyli, odłączył się od reszty chłopaków, którzy poszli pod prysznic. Dogoniłem go. Spojrzał na mnie z przerażeniem w oczach. Zbliżyłem się, on się cofnął.

- Twój tata zamordował moją rodzinę - powiedział.

Instynktownie szukałem nienawiści w jego głosie. Nie znalazłem jej. Do dziś jestem pewien, że w jego głosie nie było ani śladu nienawiści.

Mimo to zapewniłem:

- Nic nie powiedziałem.

- Wiem o tym - odparł.

A potem pokazał mi uniesiony kciuk. Wciąż widniała na nim wyraźna blizna, tak jak na moim. Na chwilę zetknęliśmy kciuki. Potem skrzył za róg i sobie poszedł.

Strasznie chciało mi się sikać przez całą drogę do domu.

Później poszedłem do gimnazjum. W San Luca nie było takiego, które byłoby wystarczająco dobre, i byłem naprawdę szczęśliwy, że mogę się wyprowadzić do Reggio di Calabria. Mieszkałem w akademiku z widokiem na Cieśniną Mesyńską, dokładnie tam, gdzie miał powstać most na Sycylię, a w szkole nadal dobrze mi szło. Najbardziej lubiłem czytać powieści, ale rozumiałem, że nic, co się wiąże z literaturą, nie jest poważnym zawodem. Zacząłem nastawiać się na to, że zostanę prawnikiem. Poza tym ostro trenowałem. Pod koniec gimnazjum, gdy przyszła pora na wybór studiów, ojciec znów odebrał mnie ze szkoły. Jeszcze raz założył mi opaskę na oczy i przewiózł przez miasto, tym razem Reggio di Calabria. Tym razem pierwszym, co zobaczyłem, kiedy ojciec ściągnął mi opaskę, był

krzywy grymas Il Sorridente. Znajdowaliśmy się w jakiejś piwnicy.

- Wyrosteś, Lorenzo - powiedział. - Zmężniałeś.

- Dziękuję, *capobastone* - odparłem.

- Zastanawiałeś się nad swoją przyszłością? - spytał Il Sorridente. - Słyszałem, że wciąż dobrze się uczysz, i widzę przecież, że trenujesz.

- Zastanawiałem się nad prawem - odparłem. - Może zostanę adwokatem.

Il Sorridente przez chwilę kiwał głową, ale wyczytałem z jego miny, że nie jest do końca zadowolony.

- To dobrze - powiedział. - Dobrze jest się znać na prawie. Ale mamy już tylu adwokatów. Wiedzą, że u nas można dobrze zarobić, i przybiegają pędem zaraz po skończeniu studiów. Ale jednej rzeczy nam brakuje, Lorenzo. Jednej rzeczy naprawdę nam brakuje. A to się wiąże z twoim zainteresowaniem prawem i sportem, więc świetnie byś się do tego nadawał.

Wbiłem wzrok w podłogę, by okazać mu szacunek. Już się domyślałem, w jakim kierunku to zmierza. Ujrzałem przed sobą bardzo trudną przyszłość.

Il Sorridente poczekał, aż znów podniosę wzrok. Spojrzał mi w oczy i powiedział:

- Tak naprawdę to nam brakuje naszego człowieka w policji.

4

CZWARTA PARA UCIEKA

Mucha

Mechelen, 20 sierpnia

KIEDY WRESZCIE zrobiła sobie chwilę przerwy, padło na nią łagodne światło z postaci świętego. Święty miał uniesioną dłoń i jego blask przebijał się przez ciemność nocy.

Choć w Jucie Beyer nie było ani cienia czegokolwiek, co choć trochę przypominałoby religijność, przeniknęło ją uczucie świętości. Może chodziło o nienaruszalną świętość ludzkiego życia, niemającą nic wspólnego z żadną religią, bo mimo wszystko takie było sedno tego, czemu poświęciła tyle czasu. Nawet nie zauważyła, ki edy zapadł zmrok.

Choć była to już piąta noc spędzona w Martin's Patershof, neogotyckim franciszkańskim kościele, który zamieniono w hotel, nigdy dotąd nie widziała, by kościelne okno lśniło w taki sposób. Pewnie wynikało to z faktu, że wkrótce po zmroku zasypiała. Po prostu bezgranicznie się nudziła.

Za pośrednictwem brukselskiego adwokata z górnej półki cenowej przesłuchali Uda Massicotte jeszcze dwa razy i zupełnie nic to nie dało. Massicotte zamilkł i zamknął się w sobie, nic też nie wskazywało na to, by próbował się kontaktować z zewnętrznym światem. Najwyraźniej dyrekcja De gevangenis van Mechelen bardzo poważnie potraktowała swoje zadanie. Codziennie dostarczano im dwudziestoczerogodzinne filmy przedstawiające Massicotte i jego nieskończenie letargiczne

doby spędzane w więzieniu. Dużo czytał, jeszcze więcej jadł, a najwięcej spał.

Gdyby postanowili, że będą oglądać całe filmy, sama logika wskazywałaby na to, że nigdy nie będą na bieżąco. To było przecież *całe życie* Massicotte. Nawet gdyby poświęcili pełną dobę, by je oglądać, i tak zawsze byłiby co najmniej dobę do tyłu. A nie zamierzali poświęcać na to całej doby.

Do tej pory przejrzeni tylko wybrane urywki i stwierdzili, że każdy film ma dokładnie dwadzieścia cztery godziny. Pierwszy z nich dostali półtora dnia po pierwszym przesłuchaniu.

Nagrywanie rozpoczęło już dwie godziny po telefonie od Hjelma. Wszędzie w więzieniu były kamery. Mogli śledzić każdy krok Uda, gdy opuszczał celę, wspinał się po schodach i przez bibliotekę wchodził na salę komputerową, gdzie siadał w kącie i czytał książkę. Mogli prześledzić jego drogę do więziennej świdnicy i do kuchni, gdzie pracował dwie godziny dziennie przy wykładaniu lunchów na tacę i zmywaniu talerzy oraz sztućców.

Arto Söderstedta najbardziej interesowało, co takiego Massicotte czytał. Trudno było to dostrzec i nie całkiem zgodnie z regulaminem poprosił o pomoc jednostkę informatyczną Europo!u, żeby ustalili tytuł. Kiedy zobaczył, że to *Książę Machiavellego*, a dwa dni później się przekonał, że Udo czyta *Pochwałę głupoty* Erazma z Rotterdamu, łagodnie polował głową. Jutta Beyer najzwyczajniej na świecie zignorowała kolegę i stwierdziła, że Massicotte chyba faktycznie przeszedł na emeryturę.

Usiłowała spędzać dni na tym, co najistotniejsze. Wzięła ze sobą folder z komputera Donatelli

Bruno z materiałami z nieoficjalnego śledztwa, ten oznaczony „Prywatne”, i dokładniej niż ktokolwiek inny przetrząsała jego zawartość. Doszło nawet do tego, że zaczęła szukać jakichś ukrytych wiadomości, tajnych sygnałów. Poznała Donatellę Brimo jako bardzo mądrą osobę i wydawało jej się bardzo mało prawdopodobne, by Bruno zostawiła te jakże

ważne materiały bez porządnego podania źródeł, z wyjątkiem nic memowiącego R, który pojawiał się tylko raz. Donatella musiała zdawać sobie sprawę, że materiały, które przechowuje w domu, są o wiele bardziej zagrożone niż te na komputerze grupy Opcop. A więc musiała zostawić jakąś ukrytą wiadomość na swoim koncie na komputerze w pracy. Jutta Beyer walczyła, jak mogła, z materiałami Bruno, lecz wczoraj po południu dopadła ją nuda i postanowiła na trochę zająć się czymś innym.

A więc zaczęła przyglądać się dokładniej filmom z więziennych kamer. Sen, jedzenie, czytanie, przerwa, zmywanie, sen, jedzenie, czytanie, przerwa, zmywanie, sen, jedzenie, czytanie, przerwa, zmywanie. Przy dłuższym oglądaniu filmy te działały wręcz hipnotycznie i czuła się trochę tak jak wówczas, gdy oglądała *Sen* Andy'ego Warhola. Bezgraniczna nuda w końcu przeszła w stan medytacyjny i była w tym nawet jakaś dziwna logika, że święty akurat teraz rzucał na nią swój łagodny blask.

Popatrzyła na kościelne okno i zastanowiła się, jak to możliwe, że ten bezimienny święty tak łśni. Na zewnątrz było przecież zupełnie ciemno. Sierpień się kończył, coraz wcześniej zapadał zmrok, a mimo to ten poważny franciszkański święty promieniował blaskiem.

Jej spojrzenie padło na budzik, jaki wszystkie hotele - również te będące kiedyś kościołami - uparcie oferowały w erze telefonów komórkowych. Pokazywał trzecią. Właśnie zaczynała się wilcza godzina, godzina tuż przed świtem, kiedy najwięcej ludzi umiera, aktywność organizmu jest najniższa, a temperatura ciała i ciśnienie krwi spadają do najniższego poziomu w ciągu doby. A jednak wcale się tak nie czuła. Właśnie rozpromienił nad nią swoje oblicze jakiś święty.

I choć prawdopodobnie wynikało to po prostu z faktu, że w pobliżu hotelu stała uliczna latarnia, w jej głowie pojawiły się słowa: „Niech cię Pan błogosławi i strzeże. Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą, niech cię obdarzy swą łaską. Niech zwróci ku tobie oblicze swoje i niech cię obdarzy

pokojem”² .

Jutta Beyer dorastała w NRD, jej rodzice należeli do partii komunistycznej i w dzieciństwie nigdy nie natknęła się na religię, chyba że jako „opium dla ludu”. Mimo to w jej uszach brzmiały słowa błogosławieństwa kapłańskiego, gdy z nowymi siłami w tej wilczej godzinie znów zabrała się do oglądania filmów z kamer.

Wszystkie miały dokładnie dwadzieścia cztery godziny. Obejmowały czas od trzeciej po południu każdego dnia do trzeciej po południu dnia następnego. Nie było żadnych luk, na których Udo Massicotte znikał z pola widzenia. Przewinęła ostatni film i zobaczyła go, jak śpi, spokojnie, bez cienia niepokoju. Powoli zaczęła znów popadać w medytacyjny stan.

I wtedy zobaczyła muchę.

Arto Söderstedt nie spał. Czytał.

To były takie dziwne dni. Nagle miał do dyspozycji mnóstwo wolnego czasu. To mu przypominało stare dobre dni, gdy obserwował podejrzanych, przesiadując w samochodzie. Długie czekanie, a jednak nigdy nie można było się do końca odprężyć. Musieli być gotowi natychmiast działać, jeśli Udo wytnie jakiś numer. Na przykład spróbuje uciec.

Söderstedt poprawił okulary do czytania i postanowił, że to będą na dziś ostatnie zdania. „Nie widać tam ani biednych, ani żebraków i choć nikt nie nazywa niczego swoją własnością, każdy jest bogaty. Czy jest bowiem jakieś miłsze bogactwo niż to, które pozwala nam żyć wesoło i spokojnie bez żadnych trosk?”³ .

Tomasz More, *Utopia*, tysiąc pięćset szesnasty. Słowa, które dały początek nie tylko marzeniom o tym, co możliwe, lecz również przerażającemu ustrojowi. A jednak były to słowa, do których warto było co jakiś czas powracać.

Pomyślał o marzeniach ludzi w Madrycie, o których opowiadał

2 Lb 6,24- 26, Biblia Tysiąclecia

3 T. More, *Utopia*, tłum. K. Abgarowicz, PAX, Warszawa 1954, str. 179.

Felipe. Marzenia, które mimo wszystko wciąż dawało się na nowo rozbudzić. Marzenia o równości i o czasach bez biednych czy żebraków. Marzenia o czasach, w których wszyscy są bogaci duchem

Wtedy rozległ się wyraźny, głośny sygnał. Podchodząc do komórki, był przekonany, że coś mu się pomyliło, kiedy ustawiał budzenie; okulary nie były już tak dobre jak kiedyś. Kiedy spróbował wyłączyć alarm, telefon odezwał się kobiecym głosem:

- Halo, Arto. Chodź tutaj, ale już!

Nie mógł sobie przypomnieć, żeby miał taki dzwonek w komórce.

Cztery minuty później Arto Söderstedt przyszedł do pokoju Jutty Beyer. Nigdy wcześniej tam nie był. Owinął się szczelnie szlafrokiem i zobaczył, że siedzi na łóżku z laptopem na kolanach. Nie był pewny, czy w ogóle miała coś na sobie.

- Spójrz na to - powiedziała tylko.

Najlepiej, jak umiał, poprawił okulary do czytania i skupił się na ekranie.

Udo Massicotte spał w swojej ascetycznej celi. Pozornie nie przeszkadzało mu dość silne światło sącące się przez kratę od strony spacerniaka. Nic się nie poruszało z wyjątkiem cyfrowego zegara przy dolnej krawędzi ekranu; w chwili gdy zaczęła się sekwencja, wskazywał 04:32:25. Kiedy ten sam zegar pokazał 04:35:03, Arto Söderstedt powiedział:

- Zegar chodzi normalnie, prawda? - spytała Beyer.

- Tego nie wiemy - odparł Söderstedt. - Ale wygląda na to, że sekunda to sekunda.

- O to mi chodziło - powiedziała Beyer. - Poczekaj chwilę.

Kiedy zegar pokazał 04:37:42, Jutta podjęła:

- Jest tam jedyną żywą istotą, prawda?

- Jeśli tak określić Uda, to tak.

- Błąd - powiedziała Beyer. - Patrz teraz.

Arto Söderstedt, który miał niejaki problemy w ogóle z zobaczeniem laptopa, zmrużył oczy. Zauważył małą czarną plamkę, która wleciała w kadr od prawej strony. Wtedy Beyer zatrzymała film.

- To mucha - powiedziała. - Uważaj teraz na jej lot.

- Na jej *lot*? - spytał Söderstedt, ale się przygotował.

Jutta uruchomiła film. Mucha przeleciała z prawej strony na lewą. Leciąca jednak niesamowicie powoli.

- Żadna mucha nie potrafi tak latać - stwierdziła Jutta Beyer.

Söderstedt podrapał się po głowie. Skrzywił się.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Jutta?

- Dwa inne miejsca - odparła Beyer i przewinęła film do tyłu, na 04:22:10. W kadrze znów pojawiła się mucha. Teraz jednak leciała szybko, jak to zwykle muchy. Beyer przewinęła film do 04:51:22. Mucha znów pojawiła się w celi i przeleciała jak normalna mucha.

- Jestem zmęczony - powiedział Söderstedt. - Dopiero co czytałem Tomasza More'a. Jestem u zarania szesnastego wieku. Wyjaśnij mi, o co chodzi.

Jutta Beyer wyprostowała się na łóżku. Pościel zsunęła się trochę z jej ramion. Faktycznie nic na sobie nie miała. Odparła:

- Przez niecałe pół godziny wczoraj nad ranem, od czwartej dwadzieścia dwa do za dziewięć piąta, film został spowolniony.

- Ale zegar...

- Właśnie - zawołała Beyer. - Zegar chodzi tak, jak trzeba. Dlatego film ma jak zwykle dokładnie dwadzieścia cztery godziny.

- A to oznacza...

- Właśnie - powtórzyła Beyer. - To oznacza, że ktoś spowolnił film tak, żeby jedna sekwencja była dłuższa niż w rzeczywistości.

- Żeby...

- Żeby zatuszować, że wycięto inną sekwencję.

- I w tym czasie...

- Dokładnie. W tym czasie Udo mógł zrobić właściwie wszystko. Pewnie wykonał kilka rozmów telefonicznych.

- O do diabła! - wybuchnął Söderstedt i chyba wreszcie na dobre się obudził. - To było prawie dobę temu.

- A poza tym to piąty film - dodała Beyer. - Jeśli ten zmanipulowano, to skąd wiadomo, że nie zmanipulowano też wcześniejszych?

- A my siedzimy tu dzień po dniu i zbijamy baki. Co teraz zrobimy?

- Natychmiast powiadomimy Hjelma. Sprawdzimy, kto wtedy pracował w więzieniu na nocną zmianę. Sprawdzimy, kto montuje filmy. Sprawdzimy, czy były jakieś rozmowy wychodzące z więzienia około wpół do piątej wczoraj nad ranem

- Czyli będziemy budzić ludzi - stwierdził Arto Söderstedt.

- Massicotte użył pewnie telefonu, którego nie da się namierzyć, a kartę SIM już zniszczył, ale myślę, że uda się dotrzeć do *wszystkich* rozmów, które o tej porze przeprowadzono w najbliższej okolicy. Wszystko zostawia jakieś ślady.

- Sprawdź tę możliwość, a ja się zajmę telefonami. Najpierw trzeba poinformować tych w Szanghaju, że coś się szykuje. O ile już nie jest na to za późno.

Paula Hjelma też nie obudziło dzwonienie telefonu. Przez dwie godziny próbował zasnąć, ale mu się nie udało. Za dużo rzeczy kotłowało mu się w głowie. Działo się zbyt wiele i wszystko wymykało mu się spod kontroli.

Kontrola, pomyślał. Cholerna, pieprzona *kontrola*.

- Tak - powiedział do telefonu.

- Tu Arto. Mniej więcej o wpół do piątej wczoraj rano Udo Massicotte wykonał rozmowę, prawdopodobnie na Korsykę. Poza tym nie wiadomo, czy to była pierwsza.

- Okoliczności? - spytał Hjelm, siadając na łóżku.

- Jutta wykrzyła, że ktoś majstrował przy filmie z kamer w więzieniu. Mucha za wolno leciała.

- Nawet nie mam siły pytać.

- Później o tym pogadamy. Za chwilę czeka mnie ciężki bój z dyrekcją więzienia. Nie będę za wolno leciał.

- Dobra, dzięki - westchnął Hjelm i się rozłączył.

Siedział z komórką w ręce, porządkując myśli.

Wczoraj o wpół do piątej rano w Szanghaju było już wpół do jedenastej. Już wtedy istniała możliwość telefonu od Mirelli Massicotte lub Colina B. Barnwortha z nieznannej głównej siedziby na Korsyce. Najwyraźniej nie nastąpiło to natychmiast, bo wtedy Wu Wei powinien albo przechwycić tę rozmowę - choć pewnie nie, bo teraz wiedzieli, że są inwigilowani - albo, co bardziej prawdopodobne, odnotować zmiany w transferze danych Niiwy. Ponieważ Hjelm o niczym takim nie słyszał, *prawdopodobnie* nie miało to miejsca. A więc Korsyka potrzebowała czasu na inne działania, które były ważniejsze niż wstrzymanie szpiegostwa. Minęła już prawie doba. Albo dwie, albo trzy, albo cztery. Do diabła, albo pięć. Mirella i Barnworth zdobyli sporą przewagę.

Nie miał czasu, by się zezłościć z powodu uwolnienia winnego ciężkich przestępstw bankiera Barnwortha, co regularnie mu się zdarzało, teraz bowiem musiał natychmiast poinformować o stanie rzeczy Wu Weia. Już to zrobił za pomocą sprytnie sformułowanego przez Navarro maila, ale sytuacja się skomplikowała. W Szanghaju było w tej chwili wpół do dziesiątej rano i zdecydował, że po prostu zadzwoni.

Wu Wei odebrał zaskakująco szybko i Hjelm nie zdążył nawet odchrząknąć, zanim powiedział:

- Dzień dobry, komisarzu.

- Dzień dobry - odparł spokojnie Wu Wei. - Coś nowego?

Inaczej bym nie dzwonił, pomyślał nadąsany Hjelm i zdał sobie sprawę, że nie może nawet tego zrzucić na karb porannej chandry. Może już prędzej nocnej chandry. Albo chandry z niewyspania. Powiedział więc:

- Inaczej bym nie dzwonił. - Zrobił to jednak wesóło i dziarsko.

A potem podjął: - Zauważyliście jakąś różnicę w transferze danych w ciągu ostatniej doby?

- Lekko się zmniejszył - odrzekł Wu Wei - ale w granicach błędu. Z tego, co widzimy, Niiwa pracuje jak dotąd.

- Możliwe, że już niedługo - zawyrokował Hjelm - Mamy przesłanki, by sądzić, że wkrótce mogą całkiem zwinąć działalność.

- Zwiększymy czujność - powiedział Wu Wei. - Ale zawsze jesteśmy czujni.

- Tyle tylko, że prawdopodobnie stanie się to dzisiaj. Przyda się dodatkowa czujność.

- Dziękuję za ostrzeżenie - rzekł Wu Wei.

- Jak tam moi bohaterowie?

- Tak... no cóż...

- Za dużo miłości?

Wu Wei naprawdę się roześmiał.

- Gdzie tam - odparł. - To ożywia umysł. A tak nawiasem mówiąc, słyszał pan o HOX i HoxA9?

- Nie...

- To ostatnie, co przechwyciła Niiwa z kliniki w Cincinnati. HOX to grupa genów kontrolująca powstawanie białek nowotworowych przy ostrej białaczce występującej u dzieci. Konkretnym genem jest HoxA9.

- Korzysta pan z okazji, by dowiedzieć się nowych rzeczy - zauważył Hjelm. - To dobrze.

- Wie pan, u jakich zwierząt badano HoxA9?

- Nie.

- U much.

- Za wolno latały? - spytał Hjelm i poczuł, że pora się przespać.

Dwie doby

Nowy Jork, 19 sierpnia

KIEDY PAUL HJELM zasypiał w Eladze, „detektyw Durand” wciąż siedział w dużej hali targowej na obrzeżach Nowego Jorku i pocił się po ostamich przejściach. Cierpliwie czekał. Było wpół do dziesiątej poprzedniego dnia, a czekających było mnóstwo.

Gdyby Nicholas nie był sobą, ostatnia doba postawiłaby wszystko na głowie. Odpowiedź Camulus Security Group Inc. przyszła niecałe dwa dni po wysłaniu podania i oczekiwano od niego, by już za czterdzieści osiem godzin stawił się w Nowym Jorku na rozmowę kwalifikacyjną. Mimo zdziwienia, że wszystko poszło tak szybko, czuł pewną dumę, iż został wybrany, choć na podstawie fałszywych przesłanek.

To poczucie, że jest wybranym, do którego nie za bardzo miał ochotę się przed sobą przyznać, utrzymywało się przez cały lot z Schiphol na lotnisko JFK i, siedząc w taksówce jadącej przez legendarne miasto, w którym nigdy dotąd nie był, wciąż zauważał jego pozostałości. Dopiero gdy dotarł pod nieznaną adres w Queens, znikły wszelkie ślady poczucia, że jest wybranym. Pod wielką halą targową stała kolejka, która przy samym budynku nie przypominała nawet kolejki, lecz raczej zgromadzenie. Zobaczył ją z daleka, kiedy taksówka podjeżdżała do budki ochrony sprawiającej niemal wojskowe wrażenie. Tam taksówka musiała zawrócić; nieupoważnieni nie mieli wstępu nawet na parking przy hali, gdzie ludzie zebrali się jak na przesłuchanie do *American Idol* - z tą różnicą, że były to wyłącznie twarde dryblasy takie jak on, najwyraźniej pochodzące ze wszystkich zakątków świata. Posyłali sobie podejrzliwe, choć pełne szacunku spojrzenia i wyglądało na to, że zdążono się już pozbyć najgorszych zgniłych jaj (nie mógł zaprzeczyć, że w jego

kategorii było takich sporo). Dostrzegł wokół siebie nie więcej niż kilkanaście rozszerzonych lub zbyt zwężonych źrenic. Nie wejda nawet do hali, zrozumiał to, gdy tylko zobaczył ochroniarzy przepuszczających po kilkunastu mężczyzn naraz. Wiedzieli, co robią, co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Minęła ponad godzina, zanim wszedł do ogromnej hali targowej. Tam dostał numer, formularz i miejsce do siedzenia. Kiedy wypełniał nie do końca zgodne z prawdą zapamiętane dane osobowe, zaczęto wywoływać numery. Zapowiadało się długie czekanie.

Bardzo niewielu spośród czekających miało z tym jakkolwiek problem. Najwyraźniej czekanie było częścią ich życia. Wojskowi czekający na misję, gliniarze czekający w wozach albo więźniowie, którzy czekali na zwolnienie. Albo wszystko naraz.

Nicholas przesiedział ponad dziesięć godzin, najpierw w samolocie, potem w taksówce, a teraz dwie godziny w hali, i ani przez chwilę mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, czerpał dziwną przyjemność z samego faktu, że żyje i ma kontrolę nad swoim życiem.

Mimo kilku prób nawiązania kontaktu wzrokowego z nikim nie rozmawiał. W końcu wywołano jego numer. Przeszedł za ochroniarzem prawie przez całą halę i dotarł do kąta z biurkiem. Po drugiej stronie siedział wysoki mężczyzna w garniturze. Nie odrywając wzroku od swoich papierów, machnął lekko ręką. Nicholas podał mu wypełniony formularz i poczekał, aż mężczyzna go przeczyta.

- Durand? - odezwał się w końcu.

- Zgadza się - potwierdził Nicholas.

- Przejdiesz teraz serię testów, Durand. Na początek proste testy na narkotyki i próbki krwi, potem coraz bardziej wymagające testy sprawności fizycznej, a kiedy będziesz najbardziej wykończony, seria testów na czas reakcji, strzelanie, walka w zwarcu, a na koniec test na inteligencję wypełniany na czas. Jesteś gotów?

- Tak - potwierdził Nicholas.

- Idź za Steve'em i trzymaj pod ręką swój numer - poinstruował mężczyznę w garniturze.

Nicholas odszedł za Steve'em. Przez całą rozmowę ten w garniturze nie poświęcił mu nawet jednego spojrzenia.

Przeszli przez skromne drzwi i znaleźli się w jeszcze większej hali z porozstawianymi stanowiskami, których pilnowali ubrani w dresy mężczyźni (i kilka kobiet) wyglądający na wojskowych.

Jeśli chodzi o testy, obejmowały różne rzeczy, od próbek krwi i moczu aż po wojskowy tor przeszkód, który nie przypominał niczego, z czym Nicholas dotąd się zetknął. Faktycznie był kompletnie wykończony, kiedy przyszła pora testów na czas reakcji. Niektóre polegały na wykonywaniu prostych uników, nic trudnego dla boksera, w innych trzeba było szybko podejmować decyzje i dokonywać właściwych wyborów. Ale dopiero w ostatnim Nicholas poczuł, że naprawdę dobrze wypadnie. Chodziło o znoszenie bólu. Na obrzeżach wielkiej hali za czterema mobilnymi ścianami, które zsunięto, by stworzyć wrażenie celi, mieściła się po prostu sala tortur. Nicholas ją poznał; została bardzo precyzyjnie zaprojektowana do zadawania maksymalnego bólu bez trwałego uszczerbku na zdrowiu. A więc chodziło głównie o to, by to znieść, a on był dobry w znoszeniu porażania zwojów nerwowych prądem, szczypania i naciągania skóry oraz ciągnięcia za włosy. Problem polegał raczej na tym, że zaraz po torturach dostał do ręki ołówek i gruby plik papierów z tak zwanym testem na inteligencję. Rozumiał, o co chodzi. Inteligencja pod presją. Trzeźwe myślenie na skraju załamania. Nie czuł się jednak zbyt komfortowo, kiedy zegar zaczął tykać. Nie chodziło o to, że wątpił w swoją inteligencję - szczerze mówiąc, było na odwrót - chodziło raczej o pisanie. I czytanie. Po prostu dopiero po odwyku nauczył się czytać. Wcześniej jakoś się nie złożyło. Ale pod koniec odsiadki w La Sante, kiedy podjął już decyzję, zebrał swoje całe rozwalone na kawałki życie w jedną wielką determinację, która do dziś go zaskakiwała. Wystarczyło mu

jej nawet na to, by nauczyć się czytać i nadrobić choć część tego, co stracił, nie chodząc do szkoły. Choć diabli wiedzą, czy dzisiaj pod presją czasu to wystarczy. Zdażył przejrzeć swoje odpowiedzi, lecz nie miał pojęcia, jak mu poszło.

Potem nadszedł czas na bardzo mile widziany prysznic, tyle że pomieszczenie z prysznicami zbyt mu przypominało to w La Sante, by mógł się tam odprężyć. Obficie się pocił. Tak zostało już przez resztę wieczoru, a nawet teraz, na tym samym cholernym krześle w pierwszej hali targowej, na którym już siedział, kiedy tu przybył. Zegar wskazywał wpół do dziesiątej i pozostała najwyżej jedna trzecia z początkowych kandydatów, reszta odpadła po drodze. Ta jedna trzecia też się obficie pociła.

Tyle tylko, że ten pot niepostrzeżenie stał się zimnym potem, bo teraz nadeszła rozstrzygająca chwila. Kiedy wywoływano kolejne numery, nie za bardzo wiedział, co to oznacza. Że zostali przyjęci? Potem znikali, nie wiedział gdzie, pewnie wychodzili bocznymi drzwiami, by nie mogli powiedzieć innym, jak im poszło. Ci, którzy wciąż czekali, mieli być najwyraźniej za wszelką cenę utrzymywani w niepewności.

Przyjęty miał zostać najwyżej co dziesiąty kandydat, od początku dawano im to do zrozumienia, ale i tak wciąż ich było wielu. Przytłaczająco wielu. Nicholas mimo woli się zastanawiał, po co Camulus potrzebuje tylu ludzi. Może i branża ochroniarska się świetnie rozwijała, lecz to był przecież jakiś absurd.

Nie był to jednak właściwy czas ani miejsce, by głośno o to pytać.

Usłyszał swój numer.

Wstał. Albo mu podziękują za zainteresowanie, albo zaczniesz drugi etap. Musiał przyznać, że jest podenerwowany.

Wrócił do siedzącego w kącie faceta w garniturze. Gość znów wpatrywał się w stertę papierów.

- Durand? - spytał w końcu.

- Zgadza się - potwierdził Nicholas.

To było jak jakaś dziwaczna powtórka z rozrywki.

Ale wtedy wysoki mężczyzna w szarym na miarę garniturze

podniósł wzrok i wyciągnął do niego rękę. Nicholas ją uściskał, nie bardzo wiedząc, co to oznacza.

- Witaj w Camulus Security Group - powiedział mężczyzna. - Naprawdę świetne wyniki, Durand.

- Dziękuję - odparł Nicholas.

Nie bardzo potrafił powiedzieć, co czuje. Wszystko, co miało związek z prawdziwymi uczuciami, wciąż było dla niego nowe. Ale zaryzykowałby stwierdzenie, że to była radość.

Naiwna radość.

- Skontaktujemy się z tobą w ciągu czterdziestu ośmiu godzin - dodał facet w garniturze.

I to by było na tyle.

Zawsze te dwie doby, pomyślał Nicholas, wychodząc w ciepły letni wieczór. Nie miał pojęcia, jak się stamtąd wydostać.

Siła życiowa

Szanghaj, 20 sierpnia

CORINE BOUHADDI słyszała zakończenie rozmowy Paula Hjelma z Wu Weiem. Najpierw zaczęła się zastanawiać, co miała znaczyć uwaga Wu Weia o tym, że „to ożywia umysł”, a potem dłaczego w tak wesołym tonie opowiedział o grupie genów HOX i o Cincinnati.

Siedziała przy podniszczonym biurku na ósmym piętrze obskurnego wieżowca. W ciągu dwóch długich tygodni ani razu nie pracowali w żadnym innym miejscu. Wciąż nie wiedzieli, gdzie się mieści prawdziwe biuro Wu Weia, gdzie są jego współpracownicy ani nawet co to właściwie za budynek. Jedynym, co robili - z wyjątkiem kilku oficjalnych wydarzeń, w których wzięli udział jako przedstawiciele Europolu - było siedzenie tutaj i przebijanie się przez wydruki z działalności szpiegowskiej Nuwy, czyli materiały z trzeciej ręki. Bardzo wiele z nich było zupełnie niezrozumiałych i dotyczyło biotechnologii i genetyki na zaawansowanym poziomie. Ale były także inne rzeczy. Pogawędki szpiegów, rozmowy telefoniczne, ustne tłumaczenia, które Uzeba było przewalkować, wszystko już w przekładzie na fatalny angielski i być może częściowo ocenzone. Bouhaddi i Kowalewski siedzieli tam - zaskakująco często w towarzystwie Wu Weia, jakby sam nie miał nic lepszego do roboty - i wertowali wydruki. Nawet gdy byli sami, nie mieli odwagi na swobodną dyskusję, chyba że taką, którą maskowali pieszczotami.

Bouhaddi zerknęła nad biurkiem. Kowalewski siedział zaczytany w ostatniej stercie wydruków. Ich relacje stały się bardzo dziwne. Nie bała się fizycznego kontaktu, jej decyzja, by żyć samotnie, nie miała z tym nic wspólnego. Ale udawanie

zakochania budziło w niej zaskakujące i bardzo ambiwalentne uczucia. Zupełnie jakby niespodziewanie oboje stali się infiltratorami; ich pieśzcoty musiały wyglądać przekonująco. Właśnie to, że w pośpiechu wymyśliła akurat taką metodę, trochę ją niepokoiło. Nie jakoś bardzo, ale trochę. Nie była to przecież ta część życia, która wydawała jej się najbliższa.

Kowalewski również zdawał się całkowicie zaskoczony i to, że natychmiast zaczął nadawać na tych samych falach, przypisywała raczej jego szybkim reakcjom niż perwersyjnym fantazjom. Wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że zaczął ją jeszcze bardziej szanować, co mogła stwierdzić przy tych nielicznych okazjach, gdy naprawdę byli sami i przynajmniej z pozoru nieinwigilowani. Kiedy nie musieli się ukrywać pod płaszczkiem pieśzcot.

Ogólnie rzecz biorąc, była to absolutnie paradoksalna sytuacja.

Ale pewnie wyglądało to przekonująco, bo chyba tego dotyczyła uwaga Wu Weia, że „to ożywia umysł”. Może nawet powiedział Hjelmmowi prawdę, że czuje się ożywiony, patrząc na ich niewinne pieśzcoty.

Niemniej jeszcze bardziej interesujący był jego dobroduszny ton, kiedy opowiadał Hjelmmowi o grupie genów HOX. Nagle w jego zachowaniu pojawiła się jakaś lekkość, z którą Corine dotąd się nie spotkała. Po raz pierwszy bez oporów podzielił się z Hjelmem ich ostatnim odkryciem. Może chodziło o to, że zbliżyli się do celu, że Niiwa naprawdę była bliska wpadki i sprawa zapowiadała się perspektywicznie. Może działał po prostu jak każdy policjant na świecie, kiedy uda mu się coś wywęszyć.

Wu Wei pochylał się nad stołem i ze zdumieniem wpatrywał się w komórkę.

- Wiecie coś o muchach, które za wolno latają? - spytał.

Bouhaddi i Kowalewski wymienili szybkie zdumione spojrzenia. Ale wtedy Wu Wei znów zupełnie zmienił ton, klasnął i oświadczył:

- A teraz, moje gołąbeczki, pojedziecie ze mną do domu.

Wyszli. Zjechali brudną windą, znaleźli się na ulicy w okropnie

obskurnej dzielnicy, zeszli do garażu opatrzonego czterema zamkami, a potem wsiedli do eleganckiego samochodu, który tak się różnił od wożącego ich dotychczas czarnego radiowozu, że dzieliły je od siebie całe światy. Wjechali w surrealistyczną sieć autostrad absurdałnego supermiasta w dzielnicy Zhabei i dalej Datong Road.

Bouhaddi i Kowalewski stracili poczucie prędkości. Kiedy Corine położyła rękę na udzie Kowalewskiego, ten instynktownie odpowiedział tym samym gestem. Siedzieli tak, dopóki Wu Wei nagle nie wcisnął hamulca, w tej samej chwili dusząc silnik. Przekrzywił głowę, aż chrupnęło mu w karku. Wskazał przez przednią szybę i powiedział:

- Dwanaście pięter. Gdybyście byli Amerykanami, znalazłbyście ten budynek jako Advanced Persistent Threat 1, w skrócie APT1, albo Byzantine Candor. Ale ponieważ jesteście Europejczykami i nie macie amerykańskiej skłonności do majestatycznych nazw, znacie go pewnie jako „jednostkę 61398”.

Pochylili się trochę do przodu i wyrzegli przez szybę, wciąż trzymając dłonie na swoich udach, niczym dwa fragmenty Europy, które desperacko muszą trzymać się razem. Budynek wznoszący się przed nimi ku niebu był szerszy niż wyższy. Otaczał go monumentalny mur z drutem kolczastym, który mimo wszystko starał się, jak mógł, stopić z ponurym otoczeniem. W pobliżu stało kilka wieżowców i Wu Wei wskazał na nie zamasztyłym gestem.

- W jednym z tych budynków mieści się nieuchwytna organizacja detektywistyczna Chu- Jung - powiedział. - Tyle zdołałście się domyślić. Wasz problem polega na tym, że myślicie, że ja siedzę w „jednostce 61398”.

Bouhaddi i Kowalewski trochę mocniej wczepili się w swoje uda; już nikt, nawet z zupełnie innej kultury, nie mógłby sądzić, że wynika to z zupełnie bezwarunkowej miłości.

- Tak nie jest - ciągnął Wu Wei. - Zajmuję się zupełnie czymś innym. Ale do tego jeszcze wrócimy. W każdym razie moja

jednostka mieści się w tym budynku.

Podążyli spojrzzeniami za jego palcem do najbliższego, żółtawego i trochę zaniedbanego wieżowca.

- Niech was nie zwiedzie wygląd. Wiem, że z wami, ludźmi Zachodu, często tak bywa. Mamy tam piętro z najnowocześniejszym sprzętem, bez dostępu do zewnętrznej sieci. Z kolei Chu- Jung mieści się *tam*.

Wskazał na około piętnastopiętrowy, na oko zupełnie nowy wieżowiec kilkaset metrów w przeciwną stronę - trzy wymienione budynki tworzyły trójkąt.

- Wszyscy wszystkich szpiegują - powiedziała Corine Bouhaddi z zapartym tchem

- Żyjemy w przełomowych czasach - skwitował Wu Wei, wysiadając z samochodu.

Czuli się tak, jakby szli po zaminowanym terenie. Potem weszli do żółtawego wieżowca. Wejście składało się z trzech osobnych drzwi, przez które trzeba było kolejno przejść.

- Według oficjalnej wersji ten układ drzwi ma oszczędzać energię - wyjaśnił Wu Wei, gdy czekali między pierwszymi a drugimi.

Spojrzał w górny narożnik kolejnych drzwi. Rozsunęły się. Przeszli do drugiej śluzy, między drugimi a trzecimi drzwiami. Wu Wei wyjął identyfikator, przeciągnął go przez czytnik i przytrzymał lekko palce na kłamce. Drzwi się rozsunęły i znaleźli się w środku.

Hol wyglądał na naprawdę zapuszczony. Nie było tu nic, nawet recepcji, tylko jakieś stare zakurzone materiały budowlane, które wyglądały, jakby przytaszczono je tu z ulicy. Wu Wei podszedł do windy i wcisnął przycisk.

- A wy myśleliście, że tam, gdzie siedzicie, jest obskurnie - stwierdził neutralnie i wszedł do windy, która akurat przyjechała.

Wsiadli za nim. Znów spojrzał w górny narożnik drzwi, tym razem drzwi windy. Następnie wcisnął dziesiątkę.

- Wśród bardzo wtajemniczonych jesteśmy znani jako „dziesiąte piętro” - wyjaśnił.

Winda ruszyła jak szalona. Na górę dotarli w pięć sekund, z bólem uszu. Gdy jej drzwi się rozsunęły, zobaczyli równie paskudne otoczenie, a przy tym powietrze wydawało się przesycone kurzem z budowy. Podeszli do kolejnych drzwi. Wu Wei spojrzął w górę i powiedział coś po chińsku. Drzwi się rozsunęły. Przeszli przez nie.

I nagle wszystko się zmieniło. W korytarzu, na którym się znaleźli, nie było ani śladu kurzu. Powietrze wydawało się klinicznie czyste, jakby pracowała tutaj cała bateria filtrów. W małych open space'ach wzdłuż całego korytarza siedzieli dobrze ubrani ludzie. Kiedy Bouhaddi, Kowalewski i Wu Wei dotarli na jego koniec, skręcili w bok i weszli do dużego narożnego pomieszczenia z oknami na obie strony. Gabinet był urządzony w japońskim stylu, prosto i minimalistycznie. Wu Wei usiadł przy komputerze i wskazał miejsca dwójce kolegów z drugiego końca świata. Usiedli na grubym futonie, skąd rozciągał się widok na Zhabei. Przy oknie, w miejscu, gdzie stykały się dwie szyby, stało coś, co wyglądało jak teleskop.

Wu Wei spojrzął na ekran swojego laptopa i powiedział po chwili:

- Tendencja została potwierdzona statystycznie.
- Tendencja? - spytała Bouhaddi.
- Zauważyliśmy niewielkie zmniejszenie cyberaktywności Niiwy.

Teraz to już potwierdzone statystycznie. I aktywność spada jeszcze bardziej. Hjelmmiał rację, już pora.

- Możesz dokładniej wyjaśnić, o co chodzi? - spytał Kowalewski.

Wu Wei wstał i wskazał za okno, gdzie miasto rozciągało się niczym gigantyczny organizm

- Dwa kierunki - powiedział. - Tam, w wieżowcu „jednostki 61398”, nie wiemy dokładnie, w którym miejscu, siedzą najemcy z Niiwy. A tam, z drugiej strony, w tym wyższym wieżowcu, siedzą szpiedzy z Chu- Jung i inwigilują ich transfer danych. A my z kolei siedzimy tutaj i śledzimy komunikację Chu- Jung, również w sieci. Nie wiadomo, ile naprawdę nawzajem

wiemy o swojej działalności.

Bouhaddi pokiwała głową i powiedziała:

- Chu- Jung to triady, „jednostka 61398” to wojsko, a „dziesiąte piętro” to... No właśnie, co?

- Policja - odparł Wu Wei, posyłając jej znaczące spojrzenie. - Jesteśmy prawdziwą policją.

- I szpiegujecie Chu- Jung, żeby dorwać triady - rzekł Kowalewski. - Czy tamten budynek jest w jakiś sposób związany z triadami?

- Większość tego miasta jest w ten czy inny sposób związana z triadami - wzruszył ramionami Wu Wei.

- W każdym razie strategicznie jesteście bardzo blisko „jednostki 61398”.

- To nam da przewagę, jeśli Niiwa zwinie działalność. Siedzą przecież tam, po trzech na każdej zmianie, jak sami mogliście się przekonać na podstawie wydruków z nasłuchu. Wygląda na to, że z tej trójki dwoje to biotechnolodzy lub genetycy, być może po jednym z każdej dziedziny, a trzeci to cyberszpieg. Ale nie wiemy, gdzie dokładnie siedzą, a codziennie wchodzi i wychodzi mnóstwo ludzi, i nie mamy pojęcia, którzy z nich to oni.

- A więc jeśli dostaniecie wyraźne dowody na to, że Niiwa zwija działalność, będziecie w stanie fizycznie namierzyć te osoby i zacząć je śledzić? - spytała Bouhaddi.

- Aż takie proste to nie jest - odparł Wu Wei, wstając.

Podszedł do teleskopu i go ustawił. Dał znak Europejczykom, żeby się zbliżyli. Bouhaddi przykucnęła i spojrzała przez teleskop na „jednostkę 61398”. Zobaczyła coś, co wyglądało jak główna brama, doskonale strzeżone przejście przez metalowe ogrodzenie. Choć było przedpołudnie i wszyscy powinni być już w pracy, przy bramie panował ożywiony ruch. Wchodzili i wychodzili ludzie, wjeżdżały pojazdy.

- Rozumiesz już? - spytał Wu Wei.

- Tak mi się wydaje - odparła Bouhaddi. - Za duży ruch.

- Powiedzmy, że Niiwa nagle zwija działalność. Nawet gdyby natychmiast opuścili budynek, co wcale nie jest takie pewne, nie

wiemy, ile im zajmie czasu dotarcie na wewnętrzny dziedziniec. Poza tym nie jesteśmy pewni, czy nie ma jakichś tuneli prowadzących do innych wyjść.

- Ale znaleźliście rozwiązanie?

- Pamiętacie Chuntao? - spytał Wu Wei.

Bouhaddi i Kowalewski spojrzeli po sobie.

- Tę biotechnolog z Chu- Jung? - spytał Kowalewski. - Do której zatrzymania zmusiły was zewnętrzne okoliczności?

- Tak, tę nauczycielkę - potwierdziła Bouhaddi. - Co z nią?

- Wypuściliśmy ją. Dalej pracuje dla Chu- Jung.

- Ale teraz składa wam raporty?

- Tak. Chuntao nie jest zamieszana w samą inwigilację, analizuje tylko treści naukowe. A więc sama nie wie, gdzie w budynku siedzi Niiwa i kim są te osoby. Pomogła nam za to zidentyfikować wszystkich szpiegów z Chu- Jung. I obserwatorów.

Wu Wei przesunął teleskop z „jednostki 61398” na wyższy wieżowiec i dostroił widoczność.

- Spójrz teraz - powiedział.

Bouhaddi znów się schyliła. Teleskop został ustawiony tak, by wskazywał szereg jednakowych grafitowych wozów na parkingu przed wieżowcem. Wydało jej się, że w dwóch z nich na przednich siedzeniach dostrzega ludzi, po dwóch w każdym samochodzie.

- Obserwatorzy - wyjaśnił Wu Wei. - Od wczoraj zmieniają się w tych dwóch samochodach, ktoś tam siedzi przez całą dobę. Najwyraźniej w Chu- Jung też zauważyli, że transfer danych w Niiwie się zmniejszył. Są gotowi.

- Tendencja, którą dopiero co udało się statystycznie potwierdzić - rzekł Kowalewski. - I która, jak mówiłeś Hjelmowi, mieściła się „w granicach błędu”.

- Nie chciałem, żeby robił sobie zbyt wielkie nadzieje. Interpretuję to tak, że Niiwa dostała ostrzeżenie, że *być może* coś się szykuje. Dostali polecenie, żeby trochę zwolnić. Ale mimo to niedawno wykradli ten materiał z Cincinnati.

Bouhaddi się wyprostowała i wzięła głęboki oddech. Wu Wei znowu podszedł do teleskopu i ostrożnie poruszył jednym z pokręteł. Potem znów zaprosił gestem Bouhaddi, by podeszła. Schyliła się. Zobaczyła przez teleskop kolejne dwa samochody, jeden niebieski, drugi zielony. Stały na ulicy niedaleko wyjazdu z wieżowca i w każdym z nich również było po dwóch ludzi.

- Obserwatorzy z „dziesiątego piętra”? - spytała Bouhaddi.

- Jeden z wozów prowadzi Bojing, drugi Dingxiang. - Wu Wei pokiwał głową. - Moi najlepsi kierowcy. Oprócz Lian, oczywiście.

Bouhaddi znów się wyprostowała i powiedziała:

- No to zobaczymy, czy rozumiem waszą strategię. Jeśli dzięki inwigilacji Chu- Jung zdobędziecie wskazówki, że Niiwa w budynku „jednostki 61398” zamierza opuścić posterunek, to sądzicie, że wtedy Chu- Jung będzie chciała ich śledzić, bo przypuszczacie... albo może wiecie... że Chu- Jung w odróżnieniu od was zna tożsamość szpiegów z Niiwy.

- Tak, według Chuntao znają ich tożsamość.

- Dwa wozy - podjęła Bouhaddi. - To znaczy, że ich celem będzie dwoje z trójki szpiegów.

- Interpretuję to tak, że zawodowego szpiega zignorują. Po pierwsze, nie ma on nic wspólnego z ich zleceniem od waszej Bionovii AB, a po drugie, prawdopodobnie należy do personelu „jednostki 61398” i w takim wypadku *nie opuści* budynku. Myślę, że zawodowy szpieg jest po prostu wynajęty od wojska, ale jakby co nie słyszeliście tego ode mnie.

- Zamierzają śledzić biotechnologów?

- Mamy nadzieję, że tak będzie - odparł Wu Wei, znów lekko wzruszając ramionami. - Bo kiedy będą śledzić biotechnologów z Niiwy, my zamierzamy śledzić ich. A wam przypadnie zaszczyt, by wziąć w tym udział. Jeśli dopisze nam szczęście, nie pojedą po prostu do domu.

- Tylko do swojej... Fabryki...

Corine Bouhaddi miała nadzieję, że Wu Wei nie dosłyszał, iż pierwsza litera w tym słowie była wielka.

- Trochę dziwne określenie - stwierdził - ale tak. Więc teraz musimy po prostu czekać...

I tak się stało. Minęła jedenasta, potem dwunasta, i choć Wu Wei bez wątplenia stał się bardziej otwarty, Bouhaddi i Kowalewski nie mogli przy nim otwarcie rozmawiać. Nie mogli też się obściskać i szeptać sobie do ucha, trochę dlatego, że siedzieli w gabinecie Wu Weia, a on sam wciąż był przy komputerze, po części zaś dlatego, że skomplikowanych ciągów myślowych, które układały się w ich mózgach, nie sposób byłoby streścić w pośpiesznych szepciach.

Przeglądali najświeższe wydruki i próbowali zrozumieć, co się wydarzyło. Najwyraźniej Hjelm przekazał Wu Weiowi, że dziś coś się szykuje w Niiwie. Skąd to wiedział? Sami nie mogli przecież na razie utrzymywać kontaktów z Hagą, ale sądząc po wydrukach, wczoraj - mniej więcej w porze lunchu - aktywność Niiwy znacznie się zmniejszyła. Według wcześniejszych informacji od Hjelma, które otrzymywali w nieoficjalnych mailach - mieli do nich dostęp tylko wówczas, gdy sami wychodzili na miasto - Uda Massicotte poinformowano, że Opcop wie o działalności szpiegowskiej Niiwy, i poddano go całodobowej obserwacji. Stało się to pięć dni temu. Potem najwyraźniej niewiele się działo i wszystko wskazywało na to, że Udo nie podjął żadnych działań. Ale wczoraj w porze lunchu, czasu chińskiego, zmniejszył się transfer danych u Chu- Jung. Zapewne należało to tłumaczyć w taki sposób, że w nocy czasu europejskiego Udo przekazał informację na Korsykę - bo wyglądało na to, że Korsyka się zgadza - ta zaś niezwłocznie poinformowała Niiwę przez jakiś telefon nieobjęty nasłuchem. Jak wtedy zareagowała Niiwa i jakie dostali polecenia? Sądząc z wydruków, najwyraźniej *nie chodziło* o to, by ograniczyli działalność szpiegowską czy natychmiast ją zakończyli, bo w tym „potwierdzonym statystycznie” ograniczeniu cyberaktywności chodziło bardziej o nasłuch, czyli to, co wychwytywały mikrofony kierunkowe Chu- Jung. Działalność szpiegowska trwała jak dotychczas, tyle że rozmowy pracowników Niiwy na tę chwilę

właściwie całkowicie ustały.

Przestali ze sobą rozmawiać.

Jak należało to rozumieć? Mniej więcej od doby pracownicy Niiwy nie rozmawiali ze sobą albo przynajmniej ich rozmowy dotyczyły bardzo podstawowych rzeczy. Wcześniej dość swobodnie dyskutowali o tym, co udało im się znaleźć. Dalej jednak kontynuowano działalność cyberszpiegowską. Co to miało znaczyć?

Wyglądało na to, że Kowalewski i Bouhaddi dotarli do tej kwestii mniej więcej równocześnie - stali się ekspertami w komunikacji bez słów. Spoglądali po sobie z pytającymi minami, ale niewiele mogli na to wszystko poradzić. Nie w tej chwili.

Przyniesiono im lunch i zjedli na miejscu. Żadne z nich nie poczuło smaku wspaniałych pierożków z krewetkami. Bouhaddi musiała wyjść do toalety, Wu Wei powiedział jej, jak tam trafić, Kowalewski powiódł za nią wzrokiem, gdy wychodziła z pokoju. Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. Nie zrozumiał go. Ale gdy wróciła, znów posłała mu takie samo spojrzenie. I wtedy pojął.

Pół godziny później - dochodziło wpół do drugiej - Kowalewski też poszedł do toalety. Bouhaddi lakonicznie wyjaśniła mu, jak tam trafić, przez cały czas patrząc mu w oczy. Szybko odnalazł właściwe drzwi na korytarzu. Pomieszczenie było bardzo ciasne i rozsądek podpowiadał, że Wu Wei nie kazał zamontować tam kamer, by obserwować poczynania swoich ludzi w łazience. A więc Kowalewski mógł ją swobodnie przeszukać. Wśród papierowych ręczniczków znalazł jeden złożony na pół i akurat w chwili, gdy miał go rozwinąć, ktoś zaczął się strasznie dobijać do drzwi.

- Natychmiast wychodź! - zawołał Wu Wei. - Zaczęło się.

Kowalewski schował złożony ręczniczek do marynarki i wyszedł. Korytarzem biegli ludzie. Pięciu czy sześciu mężczyzn kierowało się do drzwi, z bronią w rękach. Krzyczeli coś do siebie po chińsku. Wu Wei właśnie wsuwał pistolet do kabury pod pachą, Bouhaddi stała obok, trzymając jego laptop. Posłała

Kowalewskiemu ostre spojrzenie. Wskazał dyskretnie na swoją kieszeń i lekko pokręcił głową. Nie był pewny, czy zrozumiała.

- Nie spuszczać mnie z oczu - rzucił Wu Wei i puścił się biegiem.

Pobiegli za nim. Jego ludzie pędzili już na dół po brudnych schodach. Na Wu Weia czekała winda, drzwi były otwarte. Wsiedli do niej, tylko oni troje. Kiedy winda zjechała na parter, pierwsza z osób zbiegających po schodach właśnie dotarła na miejsce. Była to lekka, zwinna kobieta, która po przebiegnięciu dziesięciu pięter oddychała zupełnie normalnie. Wu Wei rzucił jej kilka rozkazów i wyszedł na ulicę. Popędzili do jego samochodu. Wskazał na tylne siedzenie, a sam wsiadł na miejsce pasażera. Po dwudziestu sekundach policjantka, która przed chwilą zbiegła po schodach, wskoczyła na miejsce kierowcy i ostro ruszyła z miejsca. Kowalewski obejrzał się przez ramię i stwierdził, że jadą za nimi dwa wozy.

- Laptop - rzucił niecierpliwie Wu Wei.

Bouhaddi mu go podała. Włączył go, otworzył plan Szanghaju, po czym zbliżył dzielnicę Zhabei tak, że nawet z tylnego siedzenia widzieli, jak przebiega Datong Road. Oraz dwa mrugające punkty, które powoli poruszały się po mapie trochę przed nimi.

Wu Wei wykrzyczał rozkaz przez radio.

- Co się, do diabła, stało, kiedy byłem w toalecie? - spytał Kowalewski, czując się zupełnie *lost in translation*.

- Nagle ustała jakakolwiek komunikacja w Niiwie - wyjaśniła Bouhaddi. - *Fuli action* u Chu- Jung. Nie wiemy, czy zdążyli. Mrugające punkty to wozy ludzi Wu Weia, którzy śledzili dwa wozy Chu- Jung spod wieżowca. Ale Wu Wei nie wie, czy nie pobłądzili ani czy Chu- Jung nie zgubiła dwóch biotechnologów, którzy opuścili teren „jednostki 61398”.

Mrugające punkty na ekranie Wu Weia zaczęły się od siebie oddalać. Oba opuściły Datong Road, kierując się w mniejsze, boczne ulice. Wu Wei wskazał na jeden z punktów i krzyknął coś do kobiety, która za kierownicą robiła, co mogła.

Ciskało ich na wszystkie strony na tylnym siedzeniu, póki w końcu nie udało im się zapiąć pasów. Samochód skręcił za róg, drugi wóz jechał tuż za nim, trzeci zniknął. Wszystko wskazywało na to, że pojechał za mrugającym punktem numer dwa. A potem ich dogonili. Zobaczyli tył niebieskiego wozu.

- Bojing - powiedział Wu Wei, wskazując na niego.

Przed niebieskim wozem prowadzonym przez Bojinga mignął im grafitowoszary samochód Chu- Jung, który właśnie skręcał za róg. I gdy sami skręcili za ten róg i znaleźli się na dłuższym prostym odcinku, prowadząca samochód policjantka znacznie zwolniła. Zresztą ani niebieski wóz, ani grafitowoszary też nie jechały zbyt szybko. Jakieś pięćdziesiąt metrów przed tym grafitowym znajdowała się różowa taksówka. Po mniej więcej minucie stało się jasne, że grafitowoszary samochód śledzi taksówkę.

Wyglądało to jak konwój. Z przodu różowa taksówka wioząca biotechnologa z Niiwy, za nią grafitowoszary wóz Chu- Jung, potem Bojing, człowiek Wu Weia w niebieskim samochodzie, a na końcu oni.

Wu Wei odetchnął i położył rękę na ramieniu prowadzącej kobiety.

- Dzięki, Lian - powiedział po angielsku, po czym odwrócił się do tyłu i dodał: - Wszystko w porządku tam z tyłu?

- Jak najbardziej - potwierdziła Bouhaddi.

- Dobra - stwierdził Wu Wei. - Teraz zobaczymy, dokąd ten typ się wybiera.

Krzyknął kilka komend do Lian za kierownicą, która odłączyła się od konwoju. Samochód jadący za nimi zrobił to samo. Kilka ulic dalej oddzielił się również od samochodu Wu Weia.

- Nie może nas być aż tyle - wyjaśnił, odwracając się. - Pojedziemy równoległymi ulicami i w razie potrzeby będziemy gotowi reagować. Bojing będzie im siedział na ogonie.

Z radia rozległ się głos. Wu Wei jęknął, powiedział coś po chińsku i odpowiedziało mu coś, co brzmiało jak szybkie potwierdzenie. Znów się odwrócił i wyjaśnił po angielsku:

- Drugi biotechnolog pojechał prosto do hotelu w centrum Szanghaju. Moi ludzie stoją pod hotelem i go pilnują, ale biotechnolog pewnie zatrzyma się tam na noc. Został nam tylko ten facet w taksówce.

- O ile to facet - odezwała się Lian nienaganną angielszczyzną. Wu Wei przyjrzał jej się i z lekkim uśmiechem opadł na oparcie.

- Żyjemy w przełomowych czasach - oświadczył i odetchnął.

Podczas gdy drugi mrugający punkt się zatrzymał, ich własny poruszał się coraz szybciej. Różowa taksówka przebijała się przez Szanghaj i gdy po raz trzeci minęli skrzyżowanie przy bardzo dziwnym tworze o nazwie Oriental Pearl Tower, Wu Wei powiedział:

- Próbuje zmylić ewentualny pościg. Albo chodzi o manewr opóźniający.

- Cała ostatnia doba była manewrem opóźniającym - powiedziała Corine Bouhaddi.

- Co masz na myśli?

Ale zanim zdążyła zareagować na to pytanie, Lian coś powiedziała. Wu Wei ostro jej odpowiedział. Lian dodała gazu i samochód wypełnił się smrodem palonej gumy.

- Taksówka wyjeżdża z miasta - tłumaczył Wu Wei. - Bardzo przyspieszyła i kieruje się na zachód.

- Na zachód? - spytał Kowalewski. - Co tam jest?

- To Szanghaj - wruszył ramionami Wu Wei. - *Wszystko* tam jest. Ale między innymi dość duży rejon przemysłowy, a nawet tereny wiejskie.

Lian była niesamowitą kierowcą. Wybrała drogę równoległą do autostrady, na której znajdował się mrugający punkt, i gdy drogi spotkały się w wielopoziomowej plątaninie jakiegoś dwadzieścia kilometrów za miastem, wszystko tak idealnie zgrało, że znaleźli się tuż za niebieskim samochodem prowadzonym przez Bojinga. Kilka samochodów dalej wciąż jechał grafitowoszary samochód Chu- Jung, a taksówka była tak daleko z przodu, że nie było jej widać. Z tyłu

za nimi Kowalewski znów dostrzegł drugi wóz Wu Weia. Wszyscy jechali szybko. Cały konwój poruszał się z prędkością około stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Autostrada powoli opuszczała miejską zabudowę, tereny wokół się zazieleniły. Po kolejnych dwudziestu kilometrach mrugający punkt zjechał nagle z autostrady i skierował się na południe, w pobliże miejscowości o trudnej nazwie Zhujiajiaozhen. Bouhaddi zobaczyła, jak grafitowoszary wóz przecina kilka pasów, zjeżdżając na prawo. Niebieski samochód zmienił kierunek trochę spokojniej, a oni znajdowali się już na właściwym pasie. Zjechali z głównej drogi i ruszyli na południe. Znów zebrał się prawie cały konwój. I wciąż wszystko toczyło się bardzo szybko.

Pokonali jeszcze jakieś dziesięć kilometrów bez żadnych incydentów. Potem mrugający punkt zjechał z drogi. Bouhaddi i Kowalewski ujrzeni z daleka, jak różowa taksówka ostro skręca w prawo, w jakiś zagajnik. Po chwili skręcili w tym samym miejscu i nagle otoczył ich las. Droga była wąska i wyboista, odnosiło się wrażenie, że lada chwila może się skończyć.

Ale wtedy las się rozstał i ich oczom ukazał się niewielki kompleks przemysłowy. Budynki, na oko z prefabrykowanych modułów, wydawały się porozrzucane chaotycznie i stały za grubym wysokim murem. Na beżowej fasadzie na tablicy z logo zobaczyli jakąś chińską nazwę.

- Shengji - przeczytał Wu Wei. - To znaczy „siła życiowa”.

- No proszę - mruknął Marek Kowalewski.

Różowa taksówka zdążyła przejechać cały parking i zatrzymała się w poprzek drogi, tuż przy bramie w grubym murze. Taksówkarz stał przy samochodzie z rękoma nad głową. Dwóch mężczyzn z grafitowoszarego samochodu zdążyło już wysiąść i teraz mierzyli do niego z pistoletów.

Wtedy na parking wpadł niebieski wóz. Lian też dodała gazu. Z niebieskiego samochodu wyskoczyli dwaj mężczyźni i ukryli się za otwartymi drzwiami wozu. Ci z grafitowoszarego auta odwrócili się tyłem do taksówki, patrząc na niebieski pojazd. Potem zauważyli dwa inne samochody zbliżające się do

nich z dużą prędkością. Rzucili się za swój wóz.

Samochód Wu Weia prawie już zrównał się z niebieskim. Tuż za nim nadjeżdżał trzeci policyjny samochód. Wu Wei wyskoczył i krzyknął coś z taką siłą, że Bouhaddi i Kowalewski jeszcze nigdy czegoś takiego nie słyszeli. Jego głos uniósł się echem nad okolicą. Mężczyźni za grafitowoszarzym wozem przykucnęli i wyglądali zza niego co chwilę. Wu Wei ponownie krzyknął, jeszcze głębszym barytonem niż wcześniej. Zza samochodu pokazały się uniesione w górę ręce. Cztery ręce i dwa pistolety luźno wiszące na prawych kciukach. Mężczyźni wstali. Ludzie Wu Weia dopadli do nich, rozbroili i przycisnęli do asfaltu. Wu Wei ich zignorował i podbiegł do bladego jak trup taksówkarza, który wciąż stał z uniesionymi rękoma. Wu Wei krzyknął coś do niego. Taksówkarz drżącą ręką wskazał za bramę.

Była uchylona.

W budce ochrony przy bramie nie było nikogo. W ogóle panowała dziwna cisza. Aresztowani ludzie z Chu- Jung milczeli, ludzie z oddziału Wu Weia również. Liśćmi drzew nie poruszał najmniejszy podmuch wiatru, nie śpiewał żaden ptak, nie grały nawet cykady.

Wu Wei i Lian ruszyli pierwsi, z bronią w rękach. Kolejna dwójka ruszyła za Bouhaddi i Kowalewskim. Zupełnie jakby nieuzbrojonych Europejczyków otoczyła grupa ochroniarzy.

Za bramą znajdował się wewnętrzny dziedziniec między prowizorycznie porostawianymi modułami budowlanymi. Drzwi najbliższego były uchylone. Składał się tylko z jednego pomieszczenia, które było całkowicie puste. Drobnie kawałki papieru i jasne kłaczki, jakby kłębki kurzu, wirowały przez krótką chwilę w podmuchu od strony drzwi, ale zaraz opadły na podłogę.

W środku dziwnie pachniało, jak po czyszczeniu chemicznym. W pewnym sensie przeczyły temu kawałki papieru i kłębki kurzu.

Gdy reszta grupy wyszła na wewnętrzny dziedziniec, Bouhaddi zatrzymała się jeszcze na chwilę w opuszczonym pomieszczeniu. Schyliła się i podniosła jeden z jasnych kłębków kurzu. Przez

chwilę go oglądała, po czym wsunęła go do kieszeni i ruszyła za pozostałymi. Dogoniła ich na dziedzińcu, kierowali się do następnego „klocka”. Okazało się, że jest pusty, podobnie jak trzeci, czwarty, piąty i szósty.

Stanęli przed największym budynkiem. To również był moduł z prefabrykatów, ale znacznie większy, jak pomieszczenie magazynowe. Otworzyli drzwi. Te również były uchylone. I w środku też było pusto. Kawałki papieru i jasne kłębki kurzu leżały nieruchomo na podłodze z laminatu. Przy ścianach znajdowało się kilkanaście struktur przypominających boksy, jakieś przegrody, a w głębi, przy przeciwległej ścianie, stało puste biurko. Przy pustym biurku stało samotne krzesło. Na samotnym krześle siedział samotny Chińczyk. Trzymał ręce wyciągnięte nad głową. W jednej miał karteczkę.

Nagle Corine Bouhaddi ogarnął strach. Kompletna cisza wydawała się złowróżbna.

Nie chodziło tylko o manewr opóźniający. Kryło się za tym coś jeszcze. Jakiś wyraźniejszy zamiar. *Jakby ich tutaj zwabiono.*

Nagle Bouhaddi była pewna, że zginie. Że zginie tu i teraz.

Zamachowiec samobójca.

Wu Wei i Lian zbliżali się do siedzącego mężczyzny z bronią w rękach. Nie padło jeszcze ani jedno słowo.

Gdy znaleźli się jakieś pięć metrów od mężczyzny na krześle, Wu Wei krzyknął coś po chińsku. Mężczyzna odparł mu krótko po angielsku:

- Tak, to ja przyjechałem taksówką. Nikogo innego tu nie ma.

- Co trzymasz w ręce?! - krzyknął po angielsku Wu Wei.

- Kartkę, którą mam dostarczyć Europejczykom - odparł mężczyzna.

- Wstań i uklęknij.

Mężczyzna zrobił tak, jak kazał mu Wu Wei. Lian podeszła do niego i szybko go obszukała. Zmusiła go, by położył się na podłodze twarzą w dół, i skuliła mu ręce.

Bouhaddi odetchnęła. Przez chwilę ten mężczyzna naprawdę przypominał jej zamachowca samobójcę. Ale najwyraźniej

poświęcił siebie w jakiś inny sposób. Oddał swoją wolność za... No właśnie, za co? Żeby przekazać jakąś karteczkę... Corine Bouhaddi i Markowi Kowalewskiemu?

Wu Wei chwycił karteczkę, przeczytał ją i pokręcił głową.

- Co to znaczy? - Podał ją Markowi Kowalewskiemu, który stwierdził, że patrzy na jakiś wydruk komputerowy. Przeczytał najpierw po cichu, marszcząc czoło, a potem na głos:

- „Ta dla wszystkich ludzi w ogóle byłaby nie do zniesienia, gdybym znowu ja, ulitowawszy się nad taką biedą, przy niej nie stanęła”.

Wszyscy obecni gapili się na niego. Wu Wei zwrócił się po chińsku do leżącego na podłodze mężczyzny. Usłyszał krótką odpowiedź. Wu Wei pokręcił głową i oświadczył:

- On twierdzi, że nic o tym nie wie. Dostał tylko rozkaz, żeby przekazać karteczkę Europejczykom. Kowalewski oddał karteczkę Wu Weiowi, który wsunął ją do kieszeni i wykrzyczał kilka rozkazów po chińsku. Lian gdzieś zadzwoniła. Reszta jednostki wyszła z budynku i zaczęła przeszukiwać pozostałe moduły. W sumie było ich około dwudziestu, chaotycznie porzrzucanych.

Kowalewski wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął złożony papierowy ręczniczek. Rozwinął go i przeczytał wiadomość od Bouhaddi: „Skurwiel Massicotte ewakuował Fabrykę. Znowu!”. Uśmiechnął się i wytarł w ręczniczek nos. Bouhaddi podeszła do niego.

- Skąd wiedziałaś? - szepnęła.

- Ty też wiedziałaś - odszepnęła. - Ja byłam tylko trochę szybsza.

Uśmiechnęli się do siebie i pozwolili, by Wu Wei wyprowadził ich na wewnętrzny dziedziniec.

- Musimy zrobić miejsce technikom - usprawiedliwił się Wu Wei.

Technicy przylecieli helikopterem. Wylądował kilka minut później na parkingu przed bramą. Cała grupa ludzi w pełnej odzieży ochronnej przebiegła truchtem przez dziedziniec, nawet

nie patrząc na policjantów.

Wu Wei zaśmiał się i powiedział:

- Relikt przeszłości.

Spojrzeni na niego i się uśmiechnęli. Bouhaddi pochyliła się i pocałowała Kowalewskiego w usta. Ten roześmiał się głośno i odwzajemnił pocałunek.

- Macie w ogóle pojęcie, o co w tym chodzi? - spytał Wu Wei. - Okazało się, że ci, których nazywaliśmy Niiwą, to Shengji, „Siła Życiowa”. Dziwna nazwa dla firmy.

Pokręcili głowami.

- To jakieś laboratorium - powiedziała Bouhaddi. - Przeniesione w wielkim pośpiechu.

- I *zbudowane* w wielkim pośpiechu - zauważył Wu Wei. - To nie wygląda jak miejsce, w którym przeprowadza się bardzo zaawansowane badania biotechnologiczne.

- Dziwne...

- „Cała ostatnia doba była manewrem opóźniającym” - zacytował nagle Wu Wei, wbijając wzrok w Bouhaddi.

- Domyślałam się, że o tym nie zapomnisz - odparła. - Uderzyło mnie to, gdy siedzieliśmy w samochodzie. Przestali rozmawiać, ale nie przerwali działalności szpiegowskiej. Mieli ją kontynuować jeszcze przez jedną dobę, żeby mogli zdążyć przenieść laboratorium. I nawet gdybyśmy wcześniej na to wpadli, nic nie moglibyśmy na to poradzić.

- Pewnie nie - zgodził się z nią Wu Wei i przeszedł kilka kroków po dziedzińcu w stronę bramy. - Zwłaszcza ze względu na to.

Wskazał na piaszczystą ziemię, na dwa wyraźne ślady opon.

- Wojsko - mruknął cicho. - Typowy jiefang CA- 30. Zobaczymy, czy technicy dojdą do tych samych wniosków.

Przez chwilę milczeli. Spojrzenia, jakie wymieniali Bouhaddi i Kowalewski, były pytające i pełne zaskoczenia.

- Widzieliście te boksy? - podjął Wu Wei. - Przy ścianach w głównym budynku?

- Tak - potwierdził Kowalewski. - Trzymali tam zwierzęta?

Wu Wei kiwnął głową i, jak to miał w zwyczaju, wzruszył

ramionami.

- Może - odparł. - Zwierzęta doświadczalne?

Jeden z ubranych w ochronny kombinezon techników pojawił się na progu największego budynku i gestem przywołał Wu Weia. Patrzyli za nim, gdy zniknął w module.

- Uch, bystry jest - mruknął Kowalewski. - Potrafi nas przejrzeć na wylot. Może będziemy musieli więcej się całować...

Corine Bouhaddi wybuchnęła głośnym śmiechem i wyjęła z kieszeni jasny kłaczek. Powąchała go i ostrożnie podsunęła Kowalewskiemu. Dotknął go i pokręcił głową.

- Myślę, że to puch z pieluchy - powiedziała Bouhaddi. - Pewnie podczas przeprowadzki podarło się parę pieluch.

Wtedy na progu znów pojawił się Wu Wei i machnął do nich, żeby podeszli. Wrócili do głównego budynku. Technicy kręcili się w boksach pod ścianą i pobierali różne próbki.

Przeszli przez wielką salę aż do biurka z krzesłem. Schwytyany biotechnolog już zniknął. Biurko było przysunięte do ściany, a w jej zagłębieniu znajdował się kaloryfer za osłoną naścienną. Zaglądało tam dwóch techników. Wu Wei wskazał na szczelinę między biurkiem a ścianą. Kaloryfer zaczynał się dopiero dziesięć centymetrów w głąb wnęki i nie zajmował jej całej. Po obu stronach grzejnika widoczne były dwie wąskie szczeliny. Główny technik poświecił w jedną z nich latarką i wewnątrz mignęło coś czarnego. Drugi technik wyjął długie szczypce, wsunął je w szparę i chwycił czarny przedmiot. Powoli, przy niestabilnym świedle latarki, wydobyl go na światło.

Przedmiot był co prawda popsuty, może nawet całkiem zniszczony, ale było widać, co to takiego.

To był twardy dysk.

Ta dla wszystkich ludzi

Mechelen- Haga, 20 sierpnia

TECHNIK FILMOWY się pocił. Podniósł wzrok znad komputera i powiedział;

- Musi pan zrozumieć, że nie miałem pojęcia, co to było.

Nie doczekał się odpowiedzi. Pochylił się nad klawiaturą i spróbował wrócić do pracy. Nie udało mu się. Znow podniósł głowę i rzekł:

- Dostałem tylko plik wideo i zadanie.

Wciąż żadnej reakcji. Z lekko rozbieganym spojrzeniem znow skupił się na klawiaturze. Zmarszczka na jego czole była widoczna coraz bardziej. W końcu znow musiał podnieść głowę.

- Film miał mieć dokładnie dwadzieścia cztery godziny. Najprościej było spowolnić jakąś sekwencję i wyciąć to, co miało zniknąć. Ale tak, żeby zegar normalnie chodził.

Ponieważ znow był zmuszony wrócić do pracy, nie doczekawszy się odpowiedzi, pod jego pachami pojawiły się wyraźne plamy potu.

Można by pomyśleć, że te kolejne wyznania belgijskiego technika filmowego zawdzięczać można było jakiejś wyrafinowanej grze psychologicznej, genialnej technice prowadzenia przesłuchań, polegającej na ciężkim i trudnym do zniesienia milczeniu. Tymczasem wcale tak nie było. Arto Söderstedt po prostu dostał mail i w skupieniu czytał go na komórce. Treść brzmiała:

Ta dla wszystkich ludzi w ogóle byłaby nie do zniesienia, gdybym znowu ja, ulitowawszy się nad taką biedą, przy niej nie stanęła⁴.

⁴ Erazm z Rotterdamu, *Pochwała głupoty*, tłum. E. Jędrkiewicz, Zakład im.

Arto Söderstedt rzadko słuchał instynktów. Nie dowierzał przeczuciom. Uważał, że najpierw należy ochłonąć i je przeanalizować, zanim uzyskają prawo uczestniczenia w racjonalnym procesie podejmowania decyzji. To nie oznaczało, że ich nie słuchał - instynkt był ważnym narzędziem pracy - ale dopiero w przetworzonej formie.

Teraz jednak był naprawdę bliski tego, by stłuc szybkę przy drzwiach wejściowych studia obróbki filmowej, chwycić strażacki toporek i z obnażonymi zębami rzucić się na De gevangenissen van Mechelen.

Próbując trochę ochłonąć i spokojnie przeanalizować wspomniane przeczucia, przypomniał sobie dwie sekwencje z nagrań. Udo Massicotte siedzący w sali komputerowej za więzienną biblioteką i czytający książkę. Najpierw czytał *Księcia Machiavellego*, a później *Pochwałę głupoty* Erazma z Rotterdamu.

Cytat przekazany Bouhaddi i Kowalewskiemu w opuszczonej fabryce genetycznej pod Szanghajem bez wątplenia pochodził z *Pochwały głupoty*.

Był skierowany do niego.

Do Arto Söderstedta.

I mówił mniej więcej: „Pieprz się, prostaku”.

To właśnie w tej chwili - gdy coraz bledszy technik głądził coś w de - Söderstedt postanowił, że w niemal alchemiczny sposób przemieni instynkt każący mu chwycić toporek w determinację. W twarde jak diament wierdo czystej determinacji. Na tych cholernych nagraniach było coś więcej.

Podniósł wzrok. Spanikowany technik wpatrywał się w niego. Znów zaczął paplać.

- Zlecenie obejmowało zniszczenie wyciętej sekwencji.

Söderstedt uniósł tylko brew. Technik był na skraju załamania. Obrócił monitor i niezgrabnie obiegł biurko. Na ekranie widniał zatrzymany film. Zegar pokazywał 04:22:10.

- To tutaj pierwszy raz zobaczył pan muchę, prawda? Kiedy leci z normalną prędkością.

Söderstedt po prostu mu się przyglądał.

- No dobra - męczył się dalej technik. - Dobra. Chyba udało mi się teraz zrekonstruować plik na podstawie tego, co miałem w koszu. Niech pan spojrzy.

Film ruszył. Czas mijał.

- Musimy trochę przewinąć do przodu - powiedział roztrzęsiony mężczyzna.

Kiedy sięgnął po myszkę, Söderstedt położył mu rękę na nadgarstku i tylko pokręcił głową. W chwili słabości pomyślał, że mógłby być świetnym zawodowym mordercą. Gdyby tylko nie musiał mordować.

Technik szybko cofnął rękę. Znowu minęło trochę czasu.

Gdy zegar na filmie wskazał 04:33:18, technik powiedział:

- W tym miejscu zacząłem spowalniać film. Ale nie tu. To oryginał.

O 04:34:42 Udo Massicotte wstał z łóżka. Gdy zsunął kołdrę, okazało się, że jest ubrany. Przez chwilę kręcił się po celi i się przeciągał. Dokładnie o 04:35:00 pchnął drzwi i wyszedł na korytarz. Zmieniła się kamera i teraz na ujęciu z góry, po skosie, widać było, jak Massicotte wykrada się na korytarz. Oświecenie było dość mocne. Podszedł do przeciwległej ściany korytarza, tej, gdzie były tylko wysoko umieszczone okna oraz budki telefoniczne. I kaloryfer. Wsunął rękę za najbliższy grzejnik i wyjął komórkę. Następnie wybrał jakiś numer i bezgłośnie coś wykrzyczał, wyraźnie wzburzony. Pokręcił głową, rozłączył się i wybrał kolejny numer. Rozmowa trwała nieco dłużej i nie bez coraz silniejszych emocji. W końcu się rozłączył, wsunął telefon z powrotem za grzejnik i wrócił do swojej celi. Zegar wskazywał wtedy 04:43:12.

- O 04:48:10 film wraca do normalnej prędkości - powiedział gorączkowo technik.

Söderstedt zastanawiał się nad tym, co właśnie obejrzał. Udo zdawał sobie sprawę, że to zostanie wycięte. Nie starał się nawet

ukryć tego, co robi. Kamera znajdowała się blisko niego, a rozdzielczość wydawała się nie najgorsza. Może mieli szansę.

- I to na pewno był jedyny film, przy którym majstrowałeś? - spytał w końcu Söderstedt.

- Na pewno - potwierdził technik z takim spojrzeniem, jakby właśnie dotarł do źródła na pustyni.

- Możesz zbliżyć jego ręce?

- Czyli komórkę? Mogę spróbować.

Najwyraźniej w jakiś sposób Söderstedtowi udało się sprawić, by technik wykazywał chęci do całkowitej współpracy. Nie za bardzo rozumiał, jak tego dokonał, ale nie zamierzał protestować.

Wstał i podszedł do okna. Przy małym studiu w centrum Mechelen spokojnie i powoli przepływała Dijle. Rzeka lśniła tak jak zwykle.

Poza tym nic nie było tak jak zwykle. Wybrał numer i powiedział:

- Jutta?

- Tak - odparł telefon.

- Gdzie jesteś?

- Wciąż u dyrektora więzienia. Próbuje namierzyć strażnika, który odpowiadał za nocną zmianę. Najwyraźniej jest nieosiągalny. Pracują na zmiany, a wczorajsza noc była jego ostatnią w tym tygodniu. Myślę, że pojedę do niego do domu.

- Nie rób tego sama. Dostałaś maila od Hjelma?

- Nie miałam jeszcze czasu zajrzeć.

- Udo ewakuował Fabrykę w Szanghaju.

- Co ty mówisz? Wiedziałaś, że powiedzenie mu było błędem.

- Jeszcze do tego wrócimy. Corine i Marek przy tym byli. Było pusto.

- Co za porażka...

- Nie jestem tego taki pewny - odparł Söderstedt. - Zrobiliśmy co w naszej mocy, żeby przerwać poważne szpiegostwo przemysłowe. I to była też dla nas jedyna szansa, żeby dotrzeć do Korsyki. Gdybyśmy tylko trochę szybciej się zorientowali, że

film był zmanipulowany, może Chińczykom udałoby się zlikwidować Fabrykę. Ale to nie koniec. Wiesz już coś w sprawie komórki?

- Jeśli Massicotte dzwonił z telefonu na kartę na inny telefon na kartę, a my nie znamy operatorów ani numerów, to wygląda na to, że niestety to będzie bardzo trudne.

- A gdybyśmy *znali* ich numery?

- Wtedy oczywiście sytuacja by się zmieniła.

- Poczekaj chwilę - powiedział Söderstedt i z pytającą miną odwrócił się do technika.

- Na tę chwilę lepiej nie da rady - powiedział technik, wskazując na ekran.

Söderstedt pochylił się nad monitorem Słyszając oddech Jutty Beyer przy uchu, zobaczył całkiem przyzwoite powiększenie dłoni Uda Massicotte. Zatrzymany kadr drżał lekko, ale telefon w jego ręce był wyraźnie widoczny. Była to stara tania komórka z dość dużymi przyciskami, takimi dla emerytów. A niech mnie, pomyślał Arto Söderstedt i rozłączył się z Beyer.

- Puszczę to najwolniej, jak się da - powiedział technik i uruchomił film.

Było wyraźnie widać, że palec Massicotte najpierw wcisnął zero, potem jeszcze jedno zero. Technik zatrzymał film.

- Dwa zera - oświadczył, wybałuszając oczy. - To rozmowa międzynarodowa.

- Zapisz to - polecił Söderstedt. - I puść dalej.

- Trzy - powiedział technik. - I jeszcze raz trzy.

Znów zatrzymał film i otworzył usta, ale Söderstedt go ubiegł:

- Zero zero trzydzieści trzy. Francja.

- Tak - potwierdził technik. - Jeśli następna będzie szóstka, to jest to numer na komórkę.

Następną cyfrą faktycznie okazała się szóstka. A potem nastąpiło jeszcze osiem cyfr i wszystkie dało się odczytać. Mieli numer telefonu. Francuski numer komórkowy. Niesamowite.

- Chyba już tak nie trzyma telefonu przy następnej rozmowie - zauważył Söderstedt.

- W międzyczasie mówi - odparł technik. - To niedługa rozmowa, ale obraca się i ustawia pod innym kątem.

Uruchomił następną sekwencję. Massicotte był teraz zwrócony w drugą stronę. Wprawdzie było widać jego dłonie, ale przycisków już nie. I gdy uruchomił się film - niesamowicie powoli - widać było, jak rusza palcem.

- Pierwsze było chyba zero, co? - spytał Söderstedt.

- Na to wygląda. A potem czwórka, no nie?

- Chyba tak. Co to za numer na zero cztery?

- Belgijska komórka. Zawsze mają zero cztery na początku. A potem chyba jest siódemka.

I udało im się poskładać sekwencję dziesięciu cyfr. Wprawdzie nie byli jej tak pewni jak pierwszej, ale chyba dobrze im poszło.

Arto Söderstedt wyrwał technikowi karteczkę. Ten spojrział na niego błagalnie.

- Dziękuję - powiedział Arto. - A teraz zapomnij te numery. I wyślij mi mailem wszystkie pliki. Kiedy będziesz to robił, ja będę tutaj stał. Zgraj je też na pendrive i mi je daj.

Technik wysłał pliki i skopiował je na pendrive, który lekko drżącą ręką podał Söderstedtowi.

- A teraz wszystko skasuj. Całkowicie i ostatecznie, rozumiesz?

I tak się stało. W końcu technik spytał:

- Co teraz ze mną będzie?

- Wrócisz do normalnej pracy i w przyszłości nie będziesz się pakował w nic nielegalnego. I nikomu nie wspomnisz o tym ani słowem.

- Czy... coś mi grozi?

- Tylko ze strony wyrzutów sumienia - odparł Söderstedt i wyszedł ze studia.

Gdy znalazł się na ulicy biegnącej wzdłuż brzegu Dijle, wybrał numer.

- Hjelm- odezwał się telefon.

- Zrekonstruowałem numer, pod który Udo dzwonił z więzienia - powiedział Söderstedt.

- O do diabła - zdziwił się Hjelm. - Jak to?

- Później ci opowiem Musimy się dowiedzieć wszystkiego, co się da, o następujących numerach. Pierwszy to francuska komórka, drugi belgijska.

I przeczytał je z karteczki.

- Wszyscy od razu się do tego zabrają - zapewnił Hjelm. - Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Pierwsza rozmowa, ta na francuski numer, była krótka i zaczęła się dokładnie o 04:35:26. Pewnie tylko szybko poinformował Korsykę, jak strategicznie rozwiązać problem w Szanghaju.

Rozmowa nie trwała dłużej niż jakieś dwie minuty i podczas niej był dość wzburzony. Można się było tego spodziewać. Teraz trzeba tylko powiązać numer z Korsyki z czymś konkretnym. Druga rozmowa rozpoczęła się o 04:38:51 i w pewnym sensie jest bardziej interesująca. Możesz szybko sprawdzić, dokąd dzwonił?

- Właśnie to robię. Wygląda na to, że ten numer jest zarejestrowany. To belgijska firma o nazwie Heerlijk N.V., która prowadzi restauracje i catering.

- Hmm - mruknął Söderstedt. - Jakaś restauracja? Muszę się nad tym zastanowić.

- Sam?

- No cóż. Czy krajowi przedstawiciele Opcop w Belgii są w tej chwili w Brukseli?

- Powinni być. Chcesz, żeby ci ich tam przysłać?

- Chyba tak. Każ im się ze mną skontaktować.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Dobra. Zrobione. Nad czym się zastanawiasz, Arto?

- Muszę obejrzeć film. Jeszcze raz. Niedługo się odezwę.

Na tym rozmowa się skończyła. Paul Hjelm poczuł słabiotką nadzieję; od dawna czegoś takiego nie czuł. Wiadomości z Szanghaju niezbyt podnosiły go na duchu. Znaleźli nową Fabrykę i okazało się, że jest pusta. Resztki pieluch i boksy wskazywały na to, że przetrzymywano tam niemowlęta, ale poza tym bardzo dokładnie zatarto wszelkie ślady, również ślady

DNA. Z drugiej strony DNA było przecież specjalnością Fabryki. Wiele rzeczy wydawało się niepokojących - między innymi ta karteczka z cytatem, którego Hjelm nie potrafił z niczym skojarzyć - ale przede wszystkim to, że przy przewodźce pomagało najwyraźniej chińskie wojsko. Oczywiście w wielu kwestiach mogli się mylić, ale tendencja nie wyglądała za dobrze.

Zniszczony twardy dysk znaleziony obok grzejnika w Fabryce mógł być kijem o dwóch końcach albo obosiecznym mieczem Ludzie Wu Weia robili wszystko co w ich mocy aby uratować z niego dane, ale jako przedmiot znaleziony w miejscu popełnienia przestępstwa ten dysk sprawiał, że w głowie Hjelma zapalały się wszystkie lampki alarmowe. Dlaczego w tym tak klinicznie czystym lokalu pozostało coś tak ważnego jak twardy dysk - w dodatku zniszczony, prawdopodobnie młotkiem?

Hjelm wyobraził sobie pozytywną interpretację. Ludzie Massicotte mieli dobrą, by dokładnie posprzątać teren Fabryki obejmującej około dwudziestu budynków. Czas naglił. Najpierw trzeba było przenieść to, co najważniejsze, przede wszystkim zmanipulowane genetycznie niemowlęta, ale też kluczowe pliki z danymi, chemikalia, mnóstwo drogiego sprzętu laboratoryjnego. Wszystko co niepotrzebne trzeba było zniszczyć i wyrzucić gdzieś po drodze. Podczas takiej akcji, na przykład gdy niszczone nadliczbowe dyski z backupem, jeden z nich odskakuje po uderzeniu i zaklinowuje się za kaloryferem. A facet z młotkiem, kompletnie pochłonięty swoim dziełem zniszczenia, po prostu tego nie zauważa. I tak podczas dokładnego sprzątnięcia lokalu twardy dysk zaklinowany za grzejnikiem zostaje przeoczony.

To było możliwe. Naprawdę możliwe. Tyle że negatywna interpretacja wydawała się bardziej prawdopodobna. Gruntownie posprzątnięto teren i tuż przed opuszczeniem lokalu podrzucono twardy dysk z danymi, które miały trafić do Wu Weia i grupy Opcop. Zapewne były to sfalszowane informacje, tropy mające zmylić policję, kłamstwa i wymysły.

Ale w takim razie po co uszkadzać dysk? Żeby negatywny

scenariusz wydawał się pozytywnym?

W każdym razie od Wu Weia zaczęły spływać dokumenty. To również było trochę zaskakujące. Czy *naprawdę* coś się zmieniło w ich relacjach, czy może Wu Wei dostał nowe rozkazy? Pozostawało jednak faktem, że pojawiła się jakaś nowa otwartość. Potwierdzały to także nieoficjalne maile od Corine i Marka. Nie czuli się już tacy zagrożeni. Niemniej sytuacja wciąż była trudna.

Minęło trochę czasu, odkąd Paul Hjelm ostatnio był u Ruth. Dzwoniła, żeby zapytać, co się z nim dzieje, lecz był po prostu zbyt zajęty. Nie miał w tej chwili możliwości się do niej wybrać. Często jednak słyszał w głowie echo jej słów. W tym przypadku chodziło o *zaufanie*.

Nie było szans, żeby zaufał Wu Weiowi. Było w tych relacjach zbyt wiele niepewnych elementów. Mimo to musiał kazać Corine i Markowi zostać tam *to the bitter end*.

„Ufasz w ogóle komukolwiek?”

Tak, Ruth, pomyślał. Ufam Arto.

A potem wezwał do siebie resztę grupy Opcop. Te kilka osób, jakie mu pozostały. Wszedł Navarro, Marinescu, Hershey i na koniec Balodis.

- Mam nadzieję, że widzieliście wiadomość? - spytał.

- Oczywiście - potwierdziła Hershey. - Jak zdobyliśmy te numery?

- Arto jest w tej sprawie bardzo tajemniczy - odparł Hjelm. - Ale pozostaje faktem, że teraz mamy numer telefonu, najprawdopodobniej z Korsyki, z którym możemy pracować. Kto się tym zajął?

- Ja - powiedział Adrian Marinescu, głaszcząc się po огоłonej głowie. - To francuski numer, niezarejestrowany, a więc to *burner*, telefon na kartę. Znalazłem operatora, to francuskie SFR. Prowadzą już wyszukiwanie tego numeru. A dzięki temu, że mamy dokładną porę, 04:35:26, o ile dobrze pamiętam, coś powinno się zarejestrować, choć diabli wiedzą co. Może dostaniemy jakąś pozycję geograficzną... Ale mało

prawdopodobne, żeby SFR było w stanie to załatwić. Wtedy pewnie będziemy musieli przejść do innej inwigilacji...

- Słyszę coś między wierszami, Adrian.

- No tak, cóż... Jak dowiedzieliśmy się o Wu Weiu?

Hjelm obserwował swojego rumuńskiego podwładnego. Pokiwał głową.

- Ach - odparł. - Dobrze. Wyślę zapytanie.

- Ale... - zająknął się Marinescu. - To znaczy...

- Tak?

- Jak dowiedzieliśmy się o Wu Weiu?

- To na razie zachowam dla siebie.

- Czyli Sztokholm - palnął Marinescu, chyba głównie dlatego, że nie zdążył wyhamować.

- Zostawmy to - zlitował się nad nim Hjelm. - Coś jeszcze?

- Było coś ciekawego na twardym dysku? - spytała Balodis.

- Na tę chwilę trudno powiedzieć, tak daleko jeszcze nie zaszli.

A w ogóle ktoś ma jakieś przemyślenia w związku z tym twardym dyskiem?

- Podłożony - stwierdziła Hershey.

- Niekoniecznie - powiedział Marinescu.

- Zgadam się z obojgiem - powiedział Hjelm. - Potraktujemy dane z tego dysku z należyтым sceptycyzmem. Coś jeszcze?

- Przyjęli Nicholasa - powiedziała Hershey.

- Yes! - wybuchnął spontanicznie Hjelm - Teraz się dowiedziałaś?

- Zasnął w taksówce, wracając z Queens. Wysłał mi zaspanego, niedokończonego SMS- a. Przez pół nocy leżał wykończony w hotelu na Manhattanie i chciał dokończyć po powrocie z toalety. Mają się z nim skontaktować w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Dlaczego wykończony?

- Testy kwalifikacyjne były najwyraźniej bardzo ciężkie. Tak jak można się było spodziewać.

- Dobra. Natychmiast daj mi znać, kiedy nawiąże kolejny kontakt.

- Powiedział coś jeszcze. Było bardzo wielu kandydatów.

Ogromna hala targowa pełna podejrzanych typów ubiegających się o przyjęcie. Zatrudnili tylko jedną dziesiątą, a i tak to był spory tłum.

- Interesujące - stwierdził Hjelm - Coś nowego o Donatelli?

- Niestety nie - odparła Balodis. - Do niczego więcej nie doszliśmy z tą firmą kurierską HAR Koeriersdienst N.Y Nasuwa się wniosek, że głowa Antonio Rossiego, razem z chipem i bombą, została dostarczona przez faceta, który niepostrzeżenie ukradł uniform z firmy kurierskiej. Nie mamy nic nowego o koncie Hotmail założonym we Włoszech ani o ewentualnej inwigilacji prywatnych maili Bruno. Wydaje mi się, że tu, w Hadze, dotarliśmy do końca drogi.

- Obawiam się, że masz rację - powiedział Hjelm. - Dziękuję wszystkim. Navarro i Marinescu zostają.

Hershey i Balodis wyszły z gabinetu Hjelma, podejrzliwie oglądając się przez ramię.

- Chcę, żebyście wy dwaj pojechali na Korsykę - powiedział Hjelm.

Navarro i Marinescu ze zdumieniem spoglądali po sobie.

- Współpraca w Amsterdamie dobrze wam się układała - wyjaśnił Hjelm. - Będzie z was dobra para. I *uda nam się* namierzyć ten telefon z Korsyki.

- Przez Sztokholm? - spytał Marinescu.

- Wynocha - powiedział Hjelm.

Wyszli.

Czwarta para odpadła.

Hjelm sięgnął po telefon i wybrał numer.

- Oj - usłyszał w słuchawce. - Kopę lat.

- Kerstin, przepraszani Zasypała mnie robota.

- Wiem - odparła Kerstin Holm - Sara mi to przekazała.

- Jorge ma w Kalabrii trochę więcej czasu.

- Słyszałam, że udało mu się ustalić prawdziwą tożsamość Tebaldiego.

- Tak, nazywał się Fabio Allegretti. Pracują nad tym. Z tego, co słyszałem, na razie bez większych sukcesów.

- Nie udawaj, że nie masz pełnej kontroli nad tym, co się dzieje. A propos, jak ci idzie u Ruth?

- Chyba bardziej ją interesują moje sprawy niż psychika...

- Tak ci się wydaje.

- Nie dokładaj mi kolejnych zagadek do rozwiązania. To znaczy, że rozmawiałaś z Ruth?

- Dlaczego o to pytasz?

- Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, to zostawmy to. A jeśli chcesz rozmawiać z Ruth, to oczywiście nie mam nic przeciwko temu. Dzwonię z innego powodu.

- Ona się o ciebie niepokoi. Albo raczej o nas. Z jakiego powodu?

- Rejon miejskiej rzeźni - odparł Paul.

- Na co to ma być odpowiedź? - spytała skonsternowana Kerstin.

- Niepokoi się o nas?

- Rejon miejskiej rzeźni to ma być odpowiedź na pytanie o nas?

- Chyba wciąż umiemy odbijać kilka piłeczek naraz? Masz nadal dojście do rejonu miejskiej rzeźni?

- To zależy, o czym mówimy - odparła Kerstin. - I tak, niepokoi się, bo się ode mnie odsuwasz.

- Ale czy naprawdę to robię? Raczej się oszczędzam Dopóki nie będziemy mieli możliwości, by naprawdę wziąć wolne.

- Ruth mówi, że oboje zrobiliśmy z siebie kozły ofiarne. Jak brzmi twoje pytanie?

- Mam nie zarejestrowany belgijski numer na kartę, który dzwoni na zarejestrowany francuski numer na kartę o dokładnie znanej porze. Czy rejon miejskiej rzeźni może się czegoś dowiedzieć o tym francuskim numerze? A najlepiej ustalić dokładną pozycję geograficzną?

- Przekażę twoje pytanie.

- Dzięki - odparł Paul. - A ta analiza z kozłami ofiarnymi się chyba zgadza. Ale nie martwiłbym się jakoś specjalnie o nas. „My” nie mamy z tym nic wspólnego. Jesteśmy dwoma zupełnie

osobnymi kozłami ofiarnymi.

- Mam nadzieję, że masz rację - odparła Kerstin Holm. -
Całusy.

- Całusy - odparł Paul Hjelm, ale Kerstin już się rozłączyła.

Przez chwilę wpatrywał się w słuchawkę. Potem wziął się w garść i zauważył skrzynkę odbiorczą swojego programu mailowego. Z Szanghaju spływały dane. Z jakiegoś nieznanego powodu Wu Wei nagle zdecydował się na absolutną otwartość (albo na pełne fałszerstwo) i właściwie w czasie rzeczywistym przesyłał odtworzone dokumenty z twardego dysku Niiwy vel Shengji vel Fabryki.

Bo chyba mieli do czynienia z nową postacią Fabryki z Caprai?

Paul Hjelm obserwował rosnącą na ekranie stertę dokumentów, westchnął ciężko i udał się do równoległego wszechświata, aby ją posegregować. Tymczasem ta ciągle rosła.

Dość szybko stało się jasne, że całokształt jest jednak fragmentaryczny. Hjelm przyłapał się na tym, że śledzi długie wpisy dotyczące księgowości, które rozplływały się w nicość. Natrafił na formuły i teksty naukowe, do których sprawdzenia i wyjaśnienia - nawet gdyby były kompletne - i tak potrzebowałby specjalisty. Znalazł rysunki, których nie rozumiał, ale które mimo to pobudziły jego wyobraźnię, znalazł szybko rosnącą stertę wysyłanych i odbieranych faktur, które w tej chwili były już nieistotne, i w końcu dotarł do dokumentu zawierającego trochę prozy. Wreszcie coś czytelnego, pomyślał, lecz zaraz się przekonał, że ten tekst również jest uszkodzony, niektóre fragmenty były poprzestawiane, innych brakowało. Sprawy stanęły na ostrzu noża, kiedy w tym zagmatwanym tekście pojawiły się dwa nazwiska. Pierwsze należało do autora tekstu, osoby, która się pod nim podpisała. To wówczas Paul Hjelm zrozumiał, że dobrze trafili, że całe to ryzykowne posunięcie z Chinami jednak służyło jakiemuś celowi, bez względu na to, czy dokument był autentyczny, czy sfalszowany. Tekst wymagający niemal naukowej analizy podpisany został przez profesora Michaela Dworzaka.

Był to człowiek, który uformował sekcję NATO i otrzymał kiedyś zadanie stworzenia „doskonałego przywódcy”. Kierował tą sekcją i za nią zginął.

Ale to drugie nazwisko naprawdę popędziło zmęczone konie ciągnące sulki będące życiem Paula Hjelma. I to nie było nawet prawdziwe nazwisko. To była litera.

Litera W.

Dokładnie o tej samej porze co zwykle sprowadzono więźniów, którzy mieli pomagać w wydawaniu lunchu. Było ich trzech i tak jak zawsze dwóm młodszym działała na nerwy powolność starszego. W porządku, że był profesorem, w porządku, że miał w więzieniu status, który czynił go nietykalnym, w porządku, że był wyjątkowo rozkojarzony. Ale *nie było w porządku*, że spowalniał pracę, przez co młodszy mogli zostać przydzieleni do znacznie mniej przyjemnych zadań. No więc musieli go poganiać, podtrzymywać, prowadzić długimi korytarzami gwiaździstego budynku więzienia, a właściwie ciągnąć go za sobą.

Natomiast kiedy dotarli do kuchni, starszy mężczyzna się ożywił. Pozostawało faktem, że to on ratował większość dań, dodając do nich przyprawę, którą brał nie wiadomo skąd.

Zaczęli przygotowania. Jak zwykle wzięli tace i rozstawili je na blatach. Profesor wyjął bezpieczne sztucce, takie, których nie można spalić i zrobić z nich broni, i równie bezpieczne nietłukące się kubki. Wprawdzie trochę za często zerkał na zegar, ale młodszy więźniowie jakoś głębiej się nad tym nie zastanawiali.

Zadzwoił dzwonek i włączyło się pomarańczowe światło ostrzegawcze. Szef straży więziennej przegonił trzech więźniów na drugi koniec kuchni i wtedy zaczęły się podnosić kolejne aluminiowe segmenty drzwi garażu. Jak zwykle ukazał się tył ciężarówki przywożącej posiłki, na której widniał napis Heerlijk N.Y, a w najdalszej części kuchni powoli, z szumem, opuszczono

windę ładunkową. Dwóch uzbrojonych ochroniarzy wysiadło z ciężarówki i jak zwykle ustawiło się w bezpiecznej odległości od opuszczonej platformy wozu. Szef straży więziennej przywołał do siebie więźniów, którzy natychmiast zaczęli rozładowywać gotowe do spożycia posiłki. Gdy skończyli, dwóch młodszych, odwróconych plecami do ciężarówki, zaczęło ustawiać talerze na tacach. Nie zauważyli, że szefa straży więziennej nie było już w kuchni.

Starszy więzień podszedł do opuszczonej platformy. Uzbrojeni ochroniarze kiwnęli mu głowami i wspiął się do ładowni ciężarówki. W głębi, tuż za kabiną kierowcy, znajdowały się dwie sporej wielkości białe plastikowe beczki wciśnięte przed palety pełne konserw; jedna stała po prawej stronie, druga po lewej. Starszy więzień wybrał tę po lewej, obejrzał się szybko na ochroniarzy i na plecy swych młodszych towarzyszy niedoli, po czym zsunął wieko i schował się do beczki. Potem zasunął wieko i znieruchomiał.

Czekał na dźwięk wciąganej platformy i uruchamianego silnika. Czekał na odgłosy wolności, za którą drogę zapłacił.

Zamiast tego usłyszał lekkie pukanie w wieko beczki.

Jutta Beyer wyszła rozwścieczona od dyrektora więzienia. Zmarnowała u niego dwie godziny.

Tak, strażnik z nocnej zmiany najwyraźniej schował komórkę za grzejnikiem w korytarzu przy celi Uda Massicotte, ale mimo starań nie udało mu się z nim skontaktować.

Beyer upierała się jednak, że w tym łańcuchu istnieje ważniejsze ogniwo. Kto odpowiadał za całodobowy monitoring? Kto oddał jeden z gotowych filmów do obróbki w studiu nad Dijle?

Kto miał możliwość to wszystko zrobić?

Dyrektor więzienia nie wiedział. Przekazał to zadanie swojemu zastępcy, który w tej chwili był na tygodniowym urlopie i według niepotwierdzonych informacji spędzał go w górach Szwabii.

Zastępca nie miał rodziny ani bliskich znajomych wśród personelu więzienia. Beyer zauważyła natomiast, że przeniósł się do więzienia w Mechelen z więzienia w Lantin, pod Liege, w tym samym okresie, kiedy trafił tu Udo Massicotte. Czy może dyrektor więzienia dokładniej sprawdził ten zbieg okoliczności?

Dyrektor więzienia tego nie zrobił.

Ale Jutta Beyer tak. Nieobecny zastępca dyrektora był kiedyś kierownikiem finansowym w jednej z klinik chirurgii plastycznej należących do Massicotte i dowiedzenie się tego zajęło jej pół przedpołudnia. Jak to możliwe, że dyrekcja więzienia w ogóle nie sprawdziła przeszłości tego człowieka, zanim powierzyła mu tak uprzywilejowane stanowisko?

Ogólnie Jutta Beyer błysnęła retoryką.

Ale dyrektora więzienia to zdziwiło i najzwyczajniej w świecie ją wyprosił. Powiedział, że się z nią skontaktuje, kiedy się już czegoś dowie.

Wściekła, wyszła dumnym krokiem z jego gabinetu i zdążyła dotrzeć do ostatniego wykrywacza metalu, kiedy zadzwoniła jej komórka.

To był Paul Hjelm, Powiedział jej:

- Chyba powinnaś natychmiast udać się do kuchni.
- Jak to? - wybuchnęła Beyer.
- Do więziennej kuchni. Już!

Beyer i strażnik, który odprowadzał ją z gabinetu dyrektora, pobiegli w stronę kuchni. Strażnik otworzył drzwi i zobaczył dwóch młodszych więźniów, którzy rozstawiali na tacach zafoliowane talerze z jedzeniem. Za nimi stało dwóch uzbrojonych ochroniarzy wpatrujących się we wnętrze ciężarówki. Jutta zwolniła kroku, gdy zobaczyła, że w ciężarówce zsuwa się wieko jednej z białych beczek. Z beczki wyczołgał się mężczyzna, a ochroniarze po prostu mu się przyglądali.

Jutta Beyer minęła obu zdziwionych więźniów przy tacach i spojrzała zaskoczona na zachowujących się biernie ochroniarzy. Skądś kojarzyła ich twarze.

Ale nie tak dobrze jak twarz mężczyzny, który wygramolił się z beczki i rozprostował plecy. Spojrzał na nią i pomachał jej ręką.

A potem podszedł do takiej samej białej beczki i ostrożnie zapukał w wieko.

- „Ta dla wszystkich ludzi - zagrział Arto Söderstedt - w ogóle byłaby nie do zniesienia, gdybym znowu ją, ulitowawszy się nad taką biedą, przy niej nie stanęła”. A teraz wyłaż, Udo.

The Red Serge

Kalabria, 24 sierpnia

CIERPLIWOŚĆ DOPRAWDY nie była mocną stroną Jorge Chaveza. Uplłynął już prawie tydzień, odkąd odwiedził klasztor na północnym stoku masywu Aspromonte, a jeszcze nie udało im się zdobyć żadnych informacji prócz tego, że Fabio Allegretti nie żyje. Zmarł we wrześniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, w wieku ośmiu lat.

Spodziewali się tego. W trakcie przemiany z Fabia Allegrettiego w Fabia Bianchiego ten pierwszy musiał umrzeć. Znacznie więcej czasu zajęło im ustalenie, że w tym samym czasie zmarła cała jego rodzina, ojciec Teobaldo, matka Fabrizia i starszy brat, Paolo. Według bardzo trudno dostępnych archiwów ewidencji ludności wszyscy zmarli tego samego dnia, nie było jednak żadnych wskazówek co do przyczyny śmierci.

Postanowili nie utrzymywać żadnych kontaktów z miejscową policją z uwagi na ryzyko przecieku. To jednak komplikowało im pracę. Musieli kluczyć okrężnymi drogami i znaleźli się w sytuacji, która wymagała ogromnej cierpliwości.

Również od Jorge Chaveza. Teraz siedział na tylnym siedzeniu umyślnie skromnego samochodu z wypożyczalni - jako jeden z trzech geologów badających aktywność wulkaniczną w okolicy - i czuł się monumentalnie sfrustrowany.

Wczoraj całą trójką wypożyczyli samochód z Catanzaro i pojechali na południe, wzdłuż podeszwy włoskiego buta. Mieli odwiedzić pewną kobietę w Palizzi Marina, najdalej wysuniętym na południe punkcie na stałym lądzie. Kobieta ta była ponoć pierwszą dziewczyną Teobalda Allegrettiego. Okazało się to jednak kompletną porażką, kobieta w ogóle nie stawiała się na spotkanie i teraz pozwolili sobie na małą wycieczkę po czubku

włoskiego buta. Kiedy jechali na północ, mijając największe miasto Kalabrii, Reggio di Calabria, Chavez nie mógł się dłużej powstrzymać. Znów rozpoczął tę samą dyskusję.

- No dobra - powiedział - spróbujmy jeszcze raz. Co to znaczy, że cała rodzina Allegrettich umarła tego samego dnia? I co to znaczy, że Fabio jest również uważany za zmarłego?

W jakiejś bliżej nieokreślonej chwili w przeszłości Angelos Sifakis przejął na stałe miejsce pasażera z przodu. Po prostu przestał siadać na tylne siedzenie. Chavez nie za bardzo wiedział, jak powinien to sobie tłumaczyć. Że Sifakisa uspokaja obracanie się za każdym razem, kiedy ze sobą rozmawiają? Bo to przecież niemożliwe, żeby znudziło go gędzenie Chaveza.

Sifakis odwrócił się do tyłu i odparł:

- Racjonalne wyjaśnienie, które już wykluczaliśmy, to wypadek samochodowy; w ten sposób najczęściej giną całe rodziny.

- A dlaczego wykluczaliśmy to wyjaśnienie? - spytał Chavez.

- Bo żadne z rodziców nie miało prawa jazdy. A brat Fabia, Paolo, miał dopiero trzynaście lat.

- To może wypadek lotniczy?

- Z tego, co udało nam się ustalić, byli biedni. Wybranie się całą rodziną w podróż samolotem byłoby dla nich finansowo niewykonalne.

- A dlaczego nigdzie nie ma informacji o przyczynie śmierci?

- Lokalna policja na pewno ma takie dane, tyle że postanowiliśmy się do nich nie zwracać. Wtedy cała nasza działalność tu na południu radykalnie by się zmieniła.

Chavez umilkł. To podsumowanie na chwilę go uspokoiło, ale zaraz potem zniecierpliwienie powróciło ze zdwojoną siłą. Powinien się czegoś nauczyć na własnych błędach. Mimo to drażył dalej:

- Dlaczego Fabio Allegretti jest uważany za zmarłego?

- To nasze wielkie pytanie - odpowiedział Angelos Sifakis z przedniego siedzenia.

- A nasza hipoteza brzmi...?

- Że mafia zamordowała całą rodzinę, ale Fabio w jakiś sposób

się wydostał. Potem mafia zadbała o to, żeby jego również uznano za zmarłego. I wydała na niego wyrok śmierci. Może uznano, że tym samym już jest martwy.

- Dlaczego?

- Jeśli uciekł, to sprawa jest oczywista. Uciekł przed mafią, czegoś takiego nie robi się bezkarnie.

- Ale czy to prawdopodobne, żeby ośmiolatek dał radę uciec przed mafijną bandą, która wymordowała całą jego rodzinę?

- Może się gdzieś schował albo wymknął.

- Tyle że nie sądzę, żeby to było nasze wielkie pytanie.

Sifakis jęknął. Natomiast Salvatore Esposito wybuchnął śmiechem.

- Co jest takiego śmiesznego w zamordowaniu całej rodziny? - oburzył się Chavez.

- Nie o to chodzi - odparł ze stoickim spokojem Esposito. - To ty jesteś zabawny.

- Niby dlaczego?

- Bo nigdy nie dajesz za wygraną. A tak w ogóle, to właśnie jedziemy słynną A3, Autostradą Słońca.

- I naprawdę to jest autostrada słońca - zauważył Sifakis, spoglądając na lśniące wody Cieśniny Mesyńskiej.

Po drugiej stronie słonecznego blasku majaczyły lekko drżące zarysy Sycylii.

- Tam dalej zamierzali zbudować most. - Esposito wskazał przez przednią szybę. - O, dokładnie tam Most łączący stały ląd z Sycylią.

- I co się właściwie stało z tym pomysłem? - chciał wiedzieć Sifakis.

- Nie wiem dokładnie, jak w tej chwili wygląda sytuacja - odparł Esposito - ale pierwszy raz poważnie się do tego przymierzano w latach siedemdziesiątych. W związku z hutą stali i portem w Gioia Tauro. Zaraz tam dojedziemy. Próbowano rozkręcić kalabryjską gospodarkę, lecz 'ndrangheta na wszystkim położyła łapę i nastąpiła eskalacja przemocy. W dwa tysiące szóstym premier Romano Prodi wstrzymał projekt mostu,

Berlusconi jednak znów do tego wrócił. Teraz sytuacja jest niejasna.

Przez chwilę milczeli. Najdalej wysunięty na północny wschód punkt Sycylii zniknął na południu.

- Wiem, że aż się w tobie gotuje na tym tylnym siedzeniu - odezwał się w końcu Sifakis. - No to *jakie* jest to nasze wielkie pytanie?

- Kim, do diabła, była ta kobieta, która zostawiła Fabia w klasztorze? - zapytał z emfazą Chavez.

- Naprawdę uważasz, że to nasze wielkie pytanie? - rzucił Sifakis.

- Myślę, że to jest klucz - odparł Chavez.

Potem przez chwilę milczeli. Mimo klimatyzacji było gorąco jak w obskurnej saunie. Śmierdziało potem, silnik monotonnie warczał i ogólnie w samochodzie geologów panowała bida z nędzą.

Chavez otworzył laptop i zaczął przeglądać listę rozmów przeprowadzonych na Skypie. Były to głównie wywiady z dawnymi kolegami Fabia Tebaldiego, z północnych Włoch, Genui i Turynu. Chavez miał akurat uruchomić wybrany plik, kiedy Esposito zapytał:

- Kiedy w końcu mieliśmy się spotkać z tym Corrado?

- Dopiero dziś wieczorem - odparł Sifakis.

- Ale o której? - nie dawał za wygraną Esposito.

- Moglibyście choć na chwilę się zamknąć?! - wrzasnął Chavez z tylnego siedzenia.

- O siódmej przy przełęczy w górach - odpowiedział Sifakis. - Mamy współrzędne GPS.

- GPS w tym wozie jest cholernie oporny - zauważył Chavez.

- Bo wciskałeś zupełnie nie te przyciski, co trzeba - odparł Esposito. - Poza tym był do góry nogami.

- Spróbujcie być przez chwilę cicho - powiedział Chavez. - Niektórzy próbują tutaj pracować. A kim w ogóle jest ten Corrado?

- Już ci mówiliśmy - odrzekł Sifakis. - Niektórzy z nas

naprawdę próbowali tutaj pracować.

- No to pieprzyć to - nadął się Chavez.

- To było kilka wieczorów temu, w tamtym barze przy Via Kennedy - wyjaśnił Esposito. - Kiedy nie miałeś siły się z nami wybrać.

- Siedzieliśmy z grupką ptasiarzy - relacjonował Sifakis. - Rozmawiali o jakimś starszym panu, któremu udało się zaobserwować zagrożonego wyginięciem kulika cienkodziobego, i do tego miał jeszcze zdjęcia jako dowód. Nazywali go „Imigrantem”. Ale potem wspomnieli, że wychował się w tych okolicach.

- To była tylko rozmowa - powiedział Esposito. - Odkąd tu przyjechaliśmy, przeprowadziliśmy takich setki. Lecz wyglądało na to, że ten Imigrant wychował się w San Luca, a potem jako osiemnasto- czy dziewiętnastolatek wyjechał do Ameryki. I ponoć świetnie zna tutejsze góry.

- Okazało się, że ten Imigrant nazywa się Corrado i jest całkiem rozmowny - dodał Sifakis.

- Wprowadzi nas do miasta tylnym wejściem, że tak powiem. Oczywiście jesteście geologami, których interesują rodzaje skał występujących w tej części Aspromonte.

- Naprawdę nie ma żadnych powiązań z mafią - zapewnił Esposito. - Przez całe dorosłe życie mieszkał w Ameryce. Nada się na przewodnika.

- Przestańcie już gadać - zażądał Chavez i znów uruchomił przeprowadzony przez Skype'a wywiad z księgowym z Turynu. Nazywał się Nestore Maga. Mężczyzna był około trzydziestki i z przesadnie amerykańskim akcentem powiedział z ekranu:

- Tak, zgadza się. Znałem dość dobrze Fabia Tebaldiego jakieś sześć czy siedem lat temu. Może trochę więcej.

- Byliście sąsiadami? - spytał głos Chaveza.

- Zgadza się. Wciąż wtedy studiowałem. On dopiero co skończył akademię policyjną. Imprezowaliśmy razem i graliśmy w pokera. *Stud poker, you know.*

- W pokera?

- Tak. Nie o jakieś duże sumy, już wtedy zwracałem uwagę na finanse.

- Ale to przecież nie wnosi nic nowego - odezwał się Salvatore Esposito z przedniego siedzenia.

- Popatrz lepiej na port. Wystaje o tam.

- Port wystaje? - zdziwił się Chavez i z ciężkim westchnieniem zatrzymał wywiad. - To porty wystają?

- Dźwigi wystają - wyjaśnił spokojnie Esposito. - To Gioia Tauro, największy port przemysłowy w basenie Morza Śródziemnego. To tędy wwozi się do Europy co najmniej osiemdziesiąt procent całej kokainy. Miasto jest całkiem zdominowane przez 'ndranghetę, nie wspominając już o samym porcie. Chcecie mu się dokładniej przyjrzeć?

- Możemy tam zajrzeć - zdecydował Sifakis.

Pierwszą rzeczą, która ich uderzyła, gdy zjechali w dół w stronę Gioia Tauro, był kształt portu. Wyglądał jak gigantyczna dziurka od klucza. Przy brzegu zbudowano ogromny falochron, a wejście do portu było wielkim okręgiem, który potem gwałtownie się zwężał, tworząc sztuczną zatokę. Tym, co uderzyło ich jako drugie, była liczba kontenerów.

- Trzy i pół miliona kontenerów rocznie - wyjaśnił Esposito. - Świetna okazja, żeby niektóre napełnić kokainą.

- Pomyśleć tylko, że kiedyś kokaina była narkotykiem dla bogatych - powiedział Chavez.

- 'Ndrangheta ją spopularyzowała - rzucił Sifakis. - O ile mnie pamięć nie myli, wcześniej nawiązali dobre kontakty z Kolumbijczykami.

- Tak, w czasach kiedy Kolumbijczycy dominowali w handlu kokainą - zauważył Esposito. - Bo przecież już tak nie jest.

- Meksykańcy - rzucił Chavez, wpatrując się z fascynacją w pstrokaty las kontenerów.

- Meksykanie przejęli ten biznes - powiedział Sifakis. - Czasy Pabla Escobara się skończyły. Meksykanom znudziło się tylko dostarczać Amerykanom kolumbijski towar i przejęli cały ten bajzel.

- *Don 't get me started* o meksykańskich kartelach narkotykowych - wtrącił się Chavez. - Ale chyba też udowodniono powiązania między Los Zetas i 'ndranghetą.

- Heroina ze wschodu, kokaina z zachodu i miejscowa amfetamina - powiedział Sifakis. - Nie wspominając o dopalaczach.

- Osiemdziesiąt procent europejskiej kokainy - mruknął Chavez. - A niech mnie.

Pojeździli trochę i się rozejrzeli. Port pracował pełną parą, wpływało i wypływało mnóstwo statków. Dźwigi przenosiły kontenery, ciężarówki jeździły tam i z powrotem. Pozostawało im tylko popatrzeć sobie na to wszystko i widzieć oczami wyobraźni, jak kokaina wwożona jest przez to wąskie gardło, a potem rozprowadzana po całej butelce, czyli po Europie.

Pojechali dalej A3. Chavez znów uruchomił wywiad przeprowadzony na Skypie.

- W jakim towarzystwie graliście w pokera? - spytał jego głos z niewidocznego głośniczka laptopa.

- Głównie moi koledzy ze studiów i ja - odparł księgowy Nestore Maga. - *Buddies, you know*. Czasem Fabio się do nas przyłączał, potrzebowaliśmy jego ochrony...

- Śmieje się pan?

- Tak. Jasne, że *nie potrzebowaliśmy* jego ochrony, ale tak gadaliśmy, kiedy jeździliśmy do tej chaty. *The hut, you know*. Ciemno tam było.

- Do chaty?

- Ech, tak ją nazywaliśmy. Niech pan o tym zapomni. Rodzice kolegi mieli domek w górach, ciągle stał pusty, po prostu pieprzona inwestycja i tyle. To tam się odbywały nasze pokerowe noce. *The poker nights that God forgot*.

- Rozumiem. I Fabio jeździł z wami?

- Czasem tak, jak mówiłem. Szczerze mówiąc, nie umiał przegrywać. Ale był twardzielem Kiedyś w środku nocy przyplątał się jakiś włóczęga. *A hobo, you know*. Fabio strasznie przesadził. Posunął się do rękoczynów, żeby go przegonić.

Zupełnie niepotrzebnie.

- Tak jakby spodziewał się... kogoś innego?

- Może i tak. W każdym razie strasznie przesadził.

- Czy Fabio zabierał kiedyś własnych kumpli na te pokerowe nocki?

- Nie, zabierał się z nami... Chociaż raz...

- Raz...?

- Tak, zabrał kumpla, kolegę z pracy. *A partner slash buddy*. Chavez zatrzymał wywiad.

- No dobra - odezwał się. - Rozumiecie, że to jedyny raz, kiedy ktoś wspomina o kumplu Fabia Tebaldiego?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Sifakis, nie mając już siły się odwracać.

- Ile przeprowadziliśmy takich wywiadów? Osiemdziesiąt? Sto? Czy któryś z was słyszał, by ktoś wspominał o jakimś jego przyjacielu? O koledze policjancie?

- Nie - odparł Sifakis. - Choć zadawaliśmy to pytanie mnóstwo razy.

- Pewnie wynikało to z tego, że nie chciał nikogo narażać. Już jako dwudziestoparoletni żóltodziób w Turynie unikał bliskich przyjacieli z kolegami z pracy.

- Wydaje mi się, że celowo stronił od kontaktów - odezwał się Esposito. - Wie, co się może stać z bliskimi mu osobami, przekonał się o tym w najgorszy możliwy sposób. A więc nigdy nie będzie żadnych postronnych osób, na które może spaść zemsta mafii. To z troski o to nigdy nie założył rodziny ani nie miał bliskich przyjaciół.

- Ale tutaj na początku kariery zabiera ze sobą kolegę z pracy na pokerowy wieczór z tym przyszłym księgowym i *American Wannabe*, Nestorem Magą.

- Zakładam, że go o to dopytałeś? - odezwał się Sifakis.

Chavez znów włączył odtwarzanie. Laptop zapytał jego głosem:

- Kumpla z pracy? Wie pan, kto to był?

- Nie pamiętam nazwiska - odparł Maga - i niestety wyglądu też

nie. *No looks whatsoever*. Po prostu jakiś facet. Dość zamknięty w sobie.

- Niech pan spróbuje przypomnieć sobie całą sytuację. Kim on był? Jak się przedstawił? Jak się zachowywał? Co mówił?

Nestore Maga wyraźnie się zamyślił. Po chwili odparł:

- Był w naszym wieku, *you know*, jakieś dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Ciemne włosy. Chyba miał akcent z południa Włoch. Ale nie pamiętam, co mówił.

- A jakie zrobił na panu wrażenie?

- Niestety, to jedyne wrażenie, jakie zapamiętałem. Że nie zrobił żadnego wrażenia. *Sorry, my man*.

I na tym wywiad się skończył.

- No tak - stwierdził Sifakis. - Staraleś się, jak mogłeś.

- Oczywiście nie wiemy, czy to był bliski przyjaciel, choć mimo wszystko mam takie wrażenie - powiedział Chavez. - Inaczej nie ciągnąłby go ze sobą do tej położonej na uboczu *chaty* na pokerową nockę z paczką studentów z Turynu.

- Jestem skłonny się z tym zgodzić - oświadczył Esposito. - Zrobił wyjątek od swojej złotej reguły.

- A tego nie robi się dla byle kogo - pokiwał głową Chavez. - Uznał, że ci studenci byli nieszkodliwi. Ale przez cały czas miał się na baczności. Inaczej by tak ostro nie potraktował tego „włóczęgi”.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Sifakis.

Chavez pochylił się między przednie siedzenia i odparł:

- Myślę, że to był nasz jedyny trop faceta, który później został Fusiarzem. Gość, który nie robił żadnego wrażenia.

- Hmm - mruknął Sifakis.

- A teraz jesteśmy na tropie innego cienia - odezwał się Salvatore Esposito, zwolnił i zjechał na pobocze A3. - Tutaj znajduje się jeden z trzech punktów, gdzie grupa Opcop odnotowała ostatni sygnał naszego zachipowanego mafiosa Antonio Rossiego.

- No dobra - powiedział Sifakis. - Gdzieś tutaj nie więcej niż miesiąc temu ktoś odciął głowę Rossiemu.

I zaczął rozkładać mapę. Prawdziwą, staromodną, papierową mapę. Chaveza uderzyło, że już dawno takiej nie widział.

- To ta strefa - pokazał palcem Sifakis. - Tu jest najbardziej wysunięty na południe punkt. Dokładnie w miejscu, gdzie teraz stoimy, sygnał zniknął po raz ostatni z naszej mapy. Ale wcześniej dwa razy zanikał i powracał, raz na autostradzie, dalej na północ, i raz kawałek od drogi, gdzieś wśród pól. Wydaje się jednak, że najprawdopodobniej to tutaj zginął.

Rozejrzeli się. Wprawdzie A3 znajdowała się na wyżynnym terenie, lecz na wschodzie wznosił się niczym poszarpany mur potężny łańcuch Aspromonte. Były tam tereny rolnicze, pola uprawne i klasyczne gaje oliwne, skąd brała się ponoć najlepsza oliwa na świecie, choć Sifakis jako Grek tę ostatnią informację traktował dość sceptycznie. Poza tym w sumie nic tu nie było. Zabudowa była bardzo skąpa.

Dobre miejsce, żeby kogoś zamordować.

Samochód z wypożyczalni stał na poboczu, z włączonymi światłami awaryjnymi. Spojrzeli po sobie.

- No cóż - stwierdził Chavez. - Prawie nic tu nie ma.

- No to scenariusz - odezwał się Sifakis. - Ostatnie ruchy blipa wskazywały że Rossi jechał na południe autostradą A3. Od dwóch dni kręcił się po Kalabrii, trochę tu, trochę tam Gdzieś tu, na autostradzie, dziesięć kilometrów na północ stąd, sprawdzają go wykrywaczem elektroniki. Gdy wynik okazuje się pozytywny, zaczynają go bić tak brutalnie, że ma to wpływ na działanie chipa w jego ciele. Nadajnik zadziała jeszcze dwa razy, na chwilę, ostatni raz dokładnie w miejscu, w którym stoimy. Rossi przez dziesięć kilometrów dostaje lanie, z przerwą w połowie drogi, kiedy skręcili w jakąś polną dróżkę. Wtedy chip znów zaczyna nadawać, zapewne podczas przerwy w przesłuchaniu polegającym na brutalnym biciu. To punkt numer dwa, gdzieś wśród pól. Może też być tak, że to tam go zabijają. Kiedy docierają tutaj, przychodzi im do głowy, że muszą go wybebeszyć i wyjąć chip. Dzieje się to dokładnie tutaj, może nawet na tym poboczu. Rozcinają mu żołądek, wyciągają chip i

przydeptują go butem.

- Bardzo barwny opis - stwierdził Chavez. - Ale nie do końca zgodny z prawdą. Chip przecież przetrwał. Wysłali go w paczce do Hagi, razem z głową Antonio Rossiego.

- W takim razie go wyjmują i tymczasowo unieszkodliwiają - odparł Sifakis. - Poza tym teoria się zgadza. Może dokładnie tutaj, gdzie teraz siedzimy, odcięli głowę Rossiemu.

- W takim razie co to był za samochód? - spytał Chavez. - Dlaczego nagle w tym samochodzie przychodzi im do głowy, żeby sprawdzić Rossiego wykrywaczem elektroniki? Musiało przecież wydarzyć się coś szczególnego.

- Najbliższe miasto jest dość daleko na północ - powiedział Sifakis, wpatrując się w mapę. - Sygnał wskazuje, że Rossi spędza noc w mieście Pizzo na wybrzeżu, i, sądząc po prędkości, z jaką się porusza, następnego ranka zostaje wywieziony samochodem na południe, autostradą A3. Po jakichś czterdziestu kilometrach jazdy sprawdzają go wykrywaczem elektroniki. Po kolejnych dziesięciu kilometrach Rossi nie żyje, ma rozplątany brzuch i odciętą głowę. Co to za samochód? Co się właściwie dzieje?

- Tak - powiedział Chavez. - Tutaj przecież prawie nic nie ma. Wszystko dzieje się w samochodzie. Musiało być tak, że w Pizzo zgarnęła go jakaś gruba ryba, jakiś boss, i podczas jazdy zauważono, że Rossi zakłócał w jakiś sposób inny nadajnik albo coś w tym stylu. Sprawdzają go, biją, wywożą w pola, przesłuchują, mordują, a tutaj, gdy przychodzi im na myśl, że być może nadajnik dalej działa, rozcinają mu brzuch, choć Rossi już wtedy nie żyje. Musimy znaleźć drugi punkt, ten wśród pól.

- To tutaj - wskazał na mapie Sifakis.

Esposito kiwnął głową i ruszył. Po pięciu kilometrach skręcił w prawo w małą bitą drogę. Gdy przejechali jeszcze jakiś kilometr, Sifakis powiedział:

- Za następnym wzgórzem

Za następnym wzgórzem pojawiła się rozwalona stodoła. Stała pięćdziesiąt metrów od bitej drogi i wyglądała, jakby od

dwudziestu lat nikt jej nie używał. Zatrzymali się. Sifakis jeszcze raz sprawdził na mapie i rzekł:

- Myślę, że Antonio Rossi został zamordowany w tej stodole.

Wysiedli na bezlitosne światło upalnego sierpniowego dnia. Świerszcze grały historycznie, kalabryjskie powietrze wisało nieruchomo. Trawa była tak wyschnięta, że szeleściła im pod butami, gdy szli do starej zapuszczonej stodoły. Sifakis pchnął krzywe drzwi i zajrzał do środka. Ostre promienie słońca wpadające przez szczeliny między starymi deskami tworzyły plamy światła, które sprawiały, że ciemne kąty wydawały się jeszcze ciemniejsze. Rozdzielili się, żeby się rozejrzeć, i już po chwili z ciemnego kąta usłyszeli głos Chaveza:

- Tutaj.

Stał przy przymocowanej do ściany drewnianej ławie. Wydawało się, że na zniszczone drewno pada jakiś ciemny cień. Esposito wylał deskę ze ściany i światło padło bezpośrednio na ławę. To nie był żaden cień, tylko duża ciemna plama. Chavez wskazał na ścianę powyżej.

- Trudno byłoby nazwać to plamą. To była raczej powódź - powiedział.

- Na wysokości głowy - zauważył Sifakis. - Pomyliliśmy się.

- Jak to się pomyliliśmy?

- Nie odcięli mu głowy na autostradzie, tylko tutaj.

- Musimy zadbać o to, żeby zakradł się tutaj zespół techników z Europolu - oświadczył Chavez. - Ale już teraz możemy zabezpieczyć DNA.

Wyjął scyzoryk z kieszeni i zeskrobał z ławy trochę krwi. Zawinął ją w jakiś paragon.

- Sam wybulę za tę kolację - powiedział.

- Bardzo profesjonalnie to wygląda - zauważył Sifakis, wskazując na małą kopertę z poskładanego paragonu.

- To się bierze, co się ma - odparł Chavez.

Ruszyli dalej. Jechali wąskimi drózkami na wschód, w góry. Słońce sięgnęło zenitu i zaczęło powoli się chylić ku przepięknym, surowym zboczom Aspromonte. Od czasu do

czasu zatrzymywali się i przechadzali chwilę po lesie. W tym wszystkim było coś magicznego. Pierwotne tereny 'ndranghety, gdzie siedzieli wszyscy porwani w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy 'ndrangheta zbijała kapitał, porywając Włochów z północy. I gdzieś tutaj od dwóch lat siedzieli najprawdopodobniej Fabio Tebaldi i Lavinia Potorac.

Jechali dalej ledwie przejezdnymi górskimi drózkami i rzadko kogokolwiek spotykali. Od dłuższego czasu zmierzali na południe, po wschodniej stronie Aspromonte. Dochodziła siódma, GPS wskazywał, że został im jeszcze kilometr. Góry po obu stronach drogi zaczęły się wokół nich zamykać, zbliżali się do przełęczy.

- Jesteście całkowicie pewni tego Corrado? - spytał Chavez.

- To stary ptasiarz - odparł Esposito. - Zna te góry jak własną kieszeń.

- I mamy gwarancję, że nic go nie łączy z 'ndranghetą?

- Nie jesteśmy w miejscu, gdzie możemy mieć jakąkolwiek gwarancję. Urodził się i wychował w San Luca, ale jako młody człowiek opuścił Kalabrię i wyemigrował do Ameryki Północnej. Po przejściu na emeryturę wrócił w rodzinne strony. I z naszych rozmów z ludźmi wynikało, że jest niezależny. Choć gwarancji żadnej nie mamy.

- Dobra - powiedział Chavez. - W każdym razie biorę spluwę.

- Jasne, że powinniśmy wziąć broń - odparł Sifakis. - Ale nikt nas nie zobaczy.

Esposito zatrzymał wóz i zerknął na GPS. Potem skręcił w małą boczną drózkę i po chwili zobaczyli zaparkowanego przy drodze dżipa w kolorze khaki. Starszy pan w odzieży myśliwskiej stał oparty o maskę i pykał fajkę. Uniósł rękę na powitanie.

Wysiedli i ruszyli mu na spotkanie.

- Corrado? - spytał Esposito.

- Mhm - mruknął mężczyzna i dodał po amerykańsku, z angielskim akcentem: - Ruszamy? Do zmierzchu zostały niecałe dwie godziny.

Poszli. Ścieżki stały się strome i zdradzieckie, a miejscami w

ogóle ich nie było. Od czasu do czasu mijali opuszczone, dobrze zakamuflowane szopy.

- Tutaj siedzieli - wskazał Corrado, nieustannie pykając fajkę.

- Porwani? - spytał Esposito.

- Mhm - kiwnął głową Corrado. - W górach pełno było takich szop. I wtedy nie były opuszczone.

Wędrowali dalej ledwie widoczną ścieżką przez las składający się głównie z dębów ostrolistnych. Dotarli do skalnego masywu, który wznosił się dwadzieścia metrów pionowo w górę i wydawał się ciągnąć w nieskończoność w obie strony, jak miniaturowy łańcuch górski. Corrado podszedł do skały i oparł się o nią ręką. Potem ruszył w lewo i wrażenie było takie, jakby zniknął w skalnej ścianie. Trzej policjanci ze zdumieniem popatrzyli po sobie. Dogonili go i zobaczyli, że w skalnym masywie otwiera się szczelina przypominająca wąski korytarz. Gdy po dwudziestu metrach klaustrofobicznej wędrówki wyszli po drugiej stronie, zobaczyli Corrado sto metrów dalej, schodzącego po łagodnym zboczu. Przywołał ich gestem, a gdy się zbliżyli, drzewa rozstały się, otwierając się na szeroką polanę. Migotało tu magiczne zielone światło, jakby odbite od skórzastych liści dębów ostrolistnych, jasnej zieleni buków i kasztanów i ciemnego igliwia sosny czarnej. Wyszli na polanę. Chavez zerknął w stronę skalnego masywu i zobaczył u jego podnóża otwór dużej groty. Podszedł tam i zajrzał w mrok. Nic nie było tam widać, ale usłyszał jakieś dziwne piski. W końcu dotarło do niego, że muszą one pochodzić od setek nietoperzy wiszących na ścianie groty.

- Niech ich pan nie budzi - powiedział spokojnie Corrado, przecinając polanę.

Już po drugiej stronie przystanął i spytał:

- Krótszą drogą czy dłuższą?

- Prosiłiśmy o najkrótszą - odparł Chavez. - A więc jest jakiś szczególny powód, dla którego pan o to pyta. Co to za powód?

Corrado uśmiechnął się pod nosem, pykając fajkę.

- Jako geolodzy przywykliście pewnie do przepaści - odparł. -

Ale to nie były słowa geologa. A więc dobrze zrobiłem, zadając to pytanie. Krótszą drogą czy dłuższą?

Chavezowi coś kołatało się po głowie.

- Mogę zgadnąć, czym się pan zajmował w Stanach Zjednoczonych, Corrado? - spytał.

Corrado zaśmiał się cicho i wzruszył ramionami.

- Był pan gliniarzem, prawda? - spytał Chavez.

- Nie w Stanach Zjednoczonych - odparł Corrado. - W Kanadzie.

- Ach, Royal Canadian Mounted Police, RCMP? Policja konna. Nosił pan czerwony mundur?

- Nie na co dzień - odparł Corrado. - *The Red Serge* używa się tylko podczas ceremonii.

- Dużo czasu spędzaliście na pustkowiach, prawda? To tam zaczął pan obserwować ptaki?

- Kiedy tylko was zobaczyłem, domyśliłem się, że nie jesteście geologami. Ale trzy różne narodowości?

- Pewnie był pan świetnym policjantem - powiedział Chavez. - Mimo wszystko wolimy krótszą drogę.

- Wy też na pewno jesteście świetnymi policjantami - odparł Corrado. - Choć prawdopodobnie głównie w miejskim środowisku. Jesteście pewni?

Chavez spojrział na kolegów. Pokiwali głowami. Corrado wzruszył ramionami i poszedł dalej, pykając fajkę. Skręcili za róg i spojrzeli w pustkę.

Ziemia jakby po prostu zniknęła, skała nagle opadała pionowo w dół. A wzdłuż jej krawędzi ciągnęła się półka szeroka na niecały metr i biegnąca na odcinku jakichś dwudziestu metrów do zakrętu, za którym nie wiadomo co było. Corrado wszedł na skalną półkę z fajką w zębach. Spokojnie wędrował wąską ścieżką z przepaścią po prawej stronie. Co chwilę nad jego wysoką postacią unosiły się obłoczki dymu.

Chavez, Sifakis i Esposito spojrzeli po sobie. Sifakis ruszył pierwszy, przywierając do skalnej ściany, powoli, powolutku. Za nim podążał Esposito, bez przerwy czepiając się drobnych

górkich roślin wyrastających ze skał. Potem przysła kolej na Jorge Chaveza. Nogi trzęsy mu się tak jak prawie nigdy w życiu. Przywarł mocno do skalnej ściany. Gorąco bijące od nasłonecznionego w ciągu dnia kamienia odpychało go w stronę przepaści. Lecz nie był w stanie iść prosto, tak jak

Corrado. Kiedy po jakichś dwustu metrach akrofobicznej wędrówki dotarł na drugą stronę, miał na dłoniach pęcherze od poparzeń.

- No i proszę - powiedział wesóło Corrado. - Chyba świetnie nam poszło?

Nikt się nie odezwał. Ruszyli przez las. Wkrótce teren zaczął opadać i ich oczom ukazało się małe miasteczko uczipione podnóża skały. Widać było właściwie tylko dachy. Corrado pyknął fajkę, wskazał na nie i powiedział:

- San Luca.

Spojrzeli w dół na legendarne miasto. Na stolicę 'ndranghety. Wydawała się taka spokojna. Taka malutka. Taka... malownicza.

- Nie chcemy, żeby nas widziano - powiedział Chavez.

- Dlatego przyszlśmy tą drogą - odparł Corrado, schodząc po zbocz.

W pewnej odległości od pierwszych zabudowań przystanął. Wskazał na miejsce, gdzie leżało na stercie trochę starego drewna. Tu i ówdzie widać było ślady pożaru, przede wszystkim na zapadniętym, osmalonym kominie. Jakies sto metrów od tego miejsca stał opuszczony dom, a właściwie to bardziej szopa. Nic więcej nie było widać.

Corrado wskazał na resztki osmalonego komina i powiedział:

- Tu mieszkał Teobaldo. Był o kilka lat młodszy ode mnie, ale bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy mali. Włóczyliśmy się po górach i tak dalej. To był rodzinny dom Teobalda Allegrettiego.

- I potem zamieszkał tu, kiedy dorósł? - spytał Sifakis.

- Tak słyszałem - odparł Corrado. - Mieszkał tutaj z rodziną tego feralnego dnia, we wrześniu osiemdziesiątego dziewiątego.

- Co się stało?

- Byłem wtedy w Kanadzie, ale słyszałem, że Teobalda spalili

żywcem. Jego żonę i dzieci zastrzelili. Dom spłonął do fundamentów. Straszny dzień.

- Wie pan dlaczego? - spytał Chavez.

- Słyszałem tylko plotki - odparł Corrado.

Przez chwilę milczeli. Chavez próbował to sobie wyobrazić. Zbiera się mafia. Trzymają żonę i dwóch synów i zmuszają ich, by patrzyli, jak oblewają ojca benzyną. A potem go podpalają. Teobaldo Allegretti zmienia się w żywą pochodnię na oczach swojej żony i dzieci. Młodszemu synowi udaje się przeżyć i w końcu zostaje policjantem, Fabio Tebaldim, niez mordowanie ścigającym winnych, 'ndranghetę.

A dom zostaje spalony.

- Ponoć Teobaldo miał już dość porwań - ciągnął Corrado. - Trwała wojna klanów, a on wierzył w nową zjednoczoną 'ndranghetę, która nie zajmuje się już porwaniami, tylko mierzy wyżej.

- I co zrobił, żeby sobie zasłużyć na spalenie żywcem? - spytał Chavez.

- To też tylko informacje z drugiej ręki - powiedział Corrado - ale *mówi się*, że uwolnił zakładnika, dewelopera z Turynu. Coś takiego nie mogło ujdź bezkarnie.

- A to tam? - spytał Chavez, wskazując na opuszczony dom kawałek dalej.

- Tam mieszkał Riccardo - powiedział Corrado, marszcząc brwi.

- A kim był Riccardo?

- To też mój przyjaciel z dzieciństwa, Riccardo Ragusa. Był o dwa lata starszy od Teobalda, ale bawiliśmy się razem. Ponoć on też zamieszkał w domu rodziców. Mieszkał tam z żoną, dwoma córkami i synem. Potem Ricardo awansował w 'ndranghecie i zasłynął jako płatny morderca, Il Ricurvo.

Chavez i Sifakis pośpiesznie wymienili spojrzenia.

- Prawa ręka Il Sorridente - stwierdził Sifakis.

Tym razem to Corrado przez chwilę im się przyglądał.

- Wiecie więcej, niż można by pomyśleć. Zgadza się. II

Sorridente był *capobastone*, szefem ochrony jednego z miejscowych klanów, i prawdopodobnie to on spalił dom Allegettich i wymordował całą rodzinę. I są powody, by sądzić, że Riccardo mu w tym pomagał.

- II Sorridente i II Ricurvo - powiedział Chavez.

- Chyba powinniśmy już wracać - stwierdził Corrado. - Ktoś się może pojawić, a wy, moi panowie, nie wyglądacie na geologów.

Ruszyli pod górę, w stronę lasu.

- Tamten dom od dawna stoi opuszczony - zauważył Chavez. - Czyli Ragusa przeprowadził się z rodziną?

- Tak - potwierdził Corrado. - Kiedy Riccardo awansował, dostali ładny dom bliżej centrum miasteczka.

- Co się stało z dziećmi?

- O ile dobrze pamiętam, córki miały na imię Maura i Debora. Z tego, co wiem, wciąż mieszkają w San Luca. Ale syn został gliniarzem.

Chavez, Sifakis i Esposito równocześnie przystanęli. Stali bez ruchu na skraju lasu. Corrado przyjrzał im się i pyknął fajkę.

- Czyli powiedziałem coś ciekawego? - spytał z rozbawioną miną.

- Jak miał na imię ten syn? - spytał Chavez.

- Lorenzo - odparł Corrado. - Lorenzo Ragusa.

Pokiwali głowami i znów ruszyli. A kiedy weszli kawałek w las, Jorge Chavez spytał:

- Moglibyśmy wrócić dłuższą drogą?

Czwarta wypowiedź

Aosta, Włochy, 20 września

ZACZĘLIŚCIE ZAGLĄDAĆ mi przez ramię i czytać, więc równie dobrze mogę od razu powiedzieć, czego sobie życzę. Naprawdę bym chciał, żebyście mi jeszcze trochę zwiększyli dawkę morfiny. Zaczyna się robić naprawdę ciężko. Również kiedy zdaję sobie sprawę z konsekwencji. Czy kiedykolwiek jeszcze będę mówić?

Ale macie rację. Muszę kontynuować. Tylko przekręćcie trochę to pokrętko. Tak, to. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jeszcze trochę.

Dziękuję.

Zaraz po gimnazjum poszedłem do akademii policyjnej i zdobyłem wykształcenie w Scuola Allievi Agenti w Campobasso z zamiarem, że potem wyspecjalizuję się jako policjant do walki z mafią w Polizia di Stato, Policji Państwowej. Od czasu do czasu przyjeżdżał mój ojciec, zakładał mi na głowę kaptur i zabierał mnie na spotkanie z Il Sorridente w różnych lokalach przemysłowych w okolicy Campobasso. Pytał, jak mi idzie.

A szło mi dobrze. Uwielbiałem akademię policyjną. Stawałem się coraz lepszy. Ostro trenowałem. I potem zostałem dobrym policjantem, a przynajmniej chcę tak myśleć. Zdałem egzamin z najlepszym możliwym wynikiem i przyszła pora na służbę przygotowawczą.

Nie było wtedy możliwości, żeby wybrać sobie miejsce. Zostawało się po prostu przydzielonym. Z południa przyszło życzenie, żeby przydzielono mnie tam, lecz nie było takiej możliwości i uważałem, że to po prostu wspaniale. Dzięki temu mogłem jeszcze trochę odwlec nieuniknioną konfrontację. Trafiłem do Genui.

Wielu aspirantów miało odbywać tam służbę przygotowawczą

równolegle ze mrią. Dostałem listę nazwisk i rozpoznałem tylko jedno, kolegi z akademii policyjnej w Campobasso. Trafiłem na wielki posterunek w Genui z ogromnymi oczekiwaniami.

Pogubiłem się na posterunku i prawie się spóźniłem. W ostatniej chwili, kiedy komendant akurat podchodził do podwyższenia, wszedłem do sali. Nie było wiele osób, może siedem czy osiem, i domyśliłem się, że wszyscy są aspirantami. Widziałem ich tylko od tyłu, były wśród nich dwie kobiety.

Komendant zaczął mówić i nagle nastąpiła chwila, którą miałem pamiętać do końca życia. Nie wydarzyło się nic dramatycznego, tylko jeden z aspirantów, siedzący kilka rzędów przede mną, nagle odwrócił głowę. Chciał coś szepnąć jednej z aspirantek tuż za nim. Zobaczyłem go z profilu, a potem znów odwrócił się do mnie plecami. Ale moje serce było już jak szalone. Czy to możliwe, że mi się przewidziało? To było tak bezgranicznie nieprawdopodobne, że nie mogłem w to uwierzyć. Bo ten człowiek, który siedział z przodu i dalej wygłupiał się z dziewczynami, był bez wątpienia ponaddwudziestoletnią napakowaną wersją roztrzęsionego ośmiolatka, który kiedyś nazywał się Fabio Allegretti. To było po prostu niemożliwe.

Powitalny wykład komendanta się skończył. Aspiranci uprzejmie bili mu brawo, a potem przyszła pora na apel. Jakiś znudzony policjant wyczytywał nasze nazwiska i gdy dotarł do Fabia Tebaldiego, Fasola podniósł rękę. Czyli zmienił nazwisko. Z Teobaldo, imienia ojca, zrobił nazwisko Tebaldi. Patrząc wstecz, może się wydawać, że łatwo to było przejrzeć, ale w tamtej chwili nic z tego nie rozumiałem. Ze mną jednak było zupełnie inaczej. Policjant, który wyglądał, jakby za chwilę miał zasnąć, wyczytał:

- Lorenzo Ragusa.

Choć widziałem tylko kark Fabia, wyraźnie dostrzegłem jego reakcję. Cały się najeżył, a gdy w końcu się odwrócił, był blady jak ściana. Podczas apelu posyłał mi pełne przerażenia spojrzenia. Najwyraźniej był wtedy przekonany, że przyszedłem tam, żeby go zamordować. Zrobiłem jedyną rzecz, jaką w pośpiechu udało mi się

wymyślić, uniosłem w jego stronę kciuk, na którym wciąż była blizna po tym, jak zmieszaliśmy krew w lesie. W końcu Fabio również uniosł swój.

Dogonił mnie na korytarzu, gdy już wyszliśmy z sali wykładowej. Wepchnął mnie do toalety i dokładnie zamknął drzwi.

- Co, u diabła, tutaj robisz, Enzo? - wysyczał.

- Mam zostać policjantem - odparłem. - I kto to jest, u diabła, Fabio Tebaldi, Fasola?

- To moje nowe ja - warknął. - I nie pozwolę, żebyście wszystko zjebali, ty i ten chory sukinsyn, twój ojciec. A teraz gadaj!

- Ja też uciekłem - powiedziałem, bo tylko tyle udało mi się z siebie wydusić.

- Jesteś tu, żeby mnie zabić?

- Kurwa, co ty pleciesz? Oczywiście, że nie.

- Oczywiście, że tak. Jak wpadłeś na mój trop? Gdzie popełniłem błąd?

- Nie wiem, o czym mówisz. Zerwałem z tym gównem.

- Jasne, akurat - powątpiewał Fabio. - Nosisz prawdziwe nazwisko. Gdyby wiedzieli, że chcesz zostać gliniarzem, od razu by cię zabili. A więc masz od nich zgodę. Kazali ci zostać gliniarzem. Żeby mieć swojego człowieka w policji. Jakby jeszcze im było takich mało. Ale pewnie, jest różnica między kupionym informatorem a jednym z was, własnym człowiekiem. A ty, Enzo, jesteś jednym z nich.

- Zamierzam zostać naprawdę dobrym policjantem - odparłem ze złością. - I mam gdzieś, co o tym myślisz!

- Czyli nie przyjechałeś, żeby mnie zabić?

- Nikt nie wie, że tu jesteś. Nie miałem pojęcia, że cię tu zobaczą. To był dla mnie cholerny szok.

Fabio cofnął się w głąb wąskiej kabiny i wyglądał, jakby się zastanawiał.

- Aco, jeśli to zgłoszę? - powiedział. - Co, jeśli zgłoszę, że jesteś synem notorycznego płatnego mordercy, Il Ricurvo. Myślisz, że wtedy pozwolą ci tu zostać?

- Nie rób tego - poprosiłem. - Muszę tylko znaleźć sposób, żeby

uciec przed mafią. Utknąłem tam, masz całkowitą rację, lecz nikt nie wie, że tu jesteś. Szukają cię, na pewno o tym wiesz, ale ode mnie niczego się nie dowiedzą. Przysięga wciąż obowiązuje.

I z braku lepszych argumentów znów uniosłem kciuk. Wciąż widniała na nim ledwie widoczna biała blizna.

Fabio też uniół swój. Jego blizna wyglądała dokładnie tak samo. Pokręcił jednak głową.

- Akurat - rzekł. - Jeśli przeszedłeś „chrzest”, to jesteś lojalny tylko wobec nich. Reszta nic nie znaczy. Należysz do nich.

- Nie zaprzysięgli mnie - powiedziałem. - Zgadza się, że chcą mieć swojego człowieka w policji, lecz jeśli zostanę dostatecznie dobrym gliniarzem, będę mógł im się postawić. I w końcu to się obróci przeciwko nim.

- Aco z twoim ojcem? Z tym pieprzonym ścierwem, które zamordowało moją matkę? Teraz jest przecież grubą rybą. Nigdy się nie odważysz go zdradzić.

- Nienawidzę go - odparowałem z przekonaniem w głosie. - Jest skończonym skurwielem. Nie zawahałbym się go zabić. Niech myślą, że jestem po ich stronie.

- Do diabła, Enzo - powiedział Fabio i usiadł na klapie. - Nie mogę ci ufać. Tak się nie da. Jesteś z 'ndranghety. Nie wyrwiesz im się, jeśli wyraźnie się od nich nie odetniesz. A wtedy na ciebie też wydadzą wyrok.

- Nie wiem, jak to w przyszłości rozwiązę - odrzekł. - Tak daleko jeszcze nie dotarłem w moich planach. Teraz chcę przejść ten rok służby przygotowawczej i wszystko sobie przemyśleć. Znajdę jakieś rozwiązanie. I cię nie zdradzę. Jak mogę sprawić, żebyś mi zaufał?

Wstał, westchnął ciężko i spojrzał na nasze odbicia w lustrze.

- Możemy zacząć od tego - powiedział i wyjął z kieszeni scyzoryk.

Naciął sobie głęboko kciuk w miejscu, gdzie już miał bliznę. Trysnęła krew. Potem podał mi scyzoryk. I ja też naciąłem sobie palec. Jeszcze głębiej. Poczutem, jak ostrze ześlizguje się po kości palca, choć nie mogę powiedzieć, żebym czuł wtedy jakiś ból. W każdym razie nie w kciuku, który przycisnąłem do kciuka Fabia.

Fabio podniósł klapę i kiedy krew kapłała z jego palca do muszli, pochylił się i szepnął:

- Ona musiała wybrać.

- O czym ty mówisz?

- Moja matka musiała wybrać, który syn ma przeżyć. Inaczej zginęlibyśmy obaj.

- Widziałem to, ale nie rozumiałem, co się dzieje.

- Wybrała mnie, rozumiesz, Enzo? Wybrała mnie zamiast Paola. To ja ponoszę odpowiedzialność, podwójnie, potrójnie. Muszę to zrobić również dla Paola. To się musi skończyć. Rozumiesz, Enzo?

Kiwnąłem głową, ale, szczerze mówiąc, nie za bardzo wiedziałem, o czym mówił.

Fabio się wyprostował i sięgnął po dwa papierowe ręczniki.

- Nie będziemy się spotykać - zawyrokował, kiedy tak staliśmy, ściskając papierowe ręczniki między kciukiem i palcem wskazującym. - Nie będziemy się spotykać, nie będziemy ze sobą gadać, nikt nie może się nawet domyślać, że mamy wspólną przeszłość. Dobra?

- Dobra- zgodziłem się.

Potem wyszliśmy z toalety.

Ten rok w Genui to był dobry rok. Nauczyłem się mnóstwa rzeczy o pracy w policji, mieliśmy kilka pasjonujących wyzwań i udało nam się naprawdę w spektakularny sposób wsadzić za kratki gang napadający na banki. Nie spotykałem się z Fabiem, nie rozmawiałem z nim. Nikt się nawet nie domyślał, że łączy nas wspólna przeszłość.

Ale równocześnie czułem, że piasek w mojej klepsydrze się przesypuje. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że mój ojciec nie znajdzie się zbyt blisko Fabia ani nie pozna go, kiedy przyjedzie, żeby znów założyć mi kaptur na głowę. Bo wiedziałem, że prędzej czy później tak będzie.

Myliłem się. Il Ricurvo się nie zjawił. Przyjechał jakiś facet, którego nie znałem. Góra mięśni. Ale zachowywał się dokładnie tak samo. Do końca służby przygotowawczej w Genui został mi ponad miesiąc, kiedy zdjął mi kaptur i po drugiej stronie stołu warsztatowego w

jakimś nieczynnym warsztacie stolarskim zobaczyłem parę obcych zielonych oczu, które krytycznie mi się przyglądały.

- Jestem Bonavita- powiedział mężczyzna. - Od teraz będziesz rozmawiał ze mną.

Rozejrzałem się. Obok zupełnie neutralnego i bardzo rzeczowego Bonavity stała góra mięśni, która przywozła mnie ze stacji na starówce w Genui.

- Il Sorridente i Il Ricurvo dostali inne zadania - podjął Bonavita.

- Co to znaczy? - wydusiłem z siebie. - Zabiliście mojego ojca?

- Nie - odparł spokojnie Bonavita. - Inne zadania to po prostu inne zadania. Nasza praca wkracza teraz w nową fazę. Od teraz interesy będą na pierwszym miejscu.

Przez chwilę panowało milczenie. Nie miałem nic do powiedzenia. Wolałem już usłyszeć to, czego się spodziewałem. I tak się stało.

- Za miesiąc będziesz już mianowanym policjantem, Lorenzo. Będziesz się wtedy ubiegał o przydział do Reggio di Calabria i zostaniesz przyjęty. W ciągu roku poznasz całą organizację kalabryjskiej policji. Później będziesz miał możliwość przejść szkolenie na policjanta do walki z przestępczością zorganizowaną. Zrobisz to. Mamy gotową całą historyjkę o tym, jak zerwałeś z rodziną i ze swoją przeszłością i jak teraz chcesz nas zwalczać. To ci da dodatkowe punkty u glińiarzy. I nikt nie wie, że jesteś synem Il Ricurvo. Zrozumiałeś?

Kiwnąłem głową.

- Potrzebujemy naszego człowieka w wydziale do walki z mafią - ciągnął Bonavita. - I potrzebujemy jeszcze jednej rzeczy, a ty wiesz, o co chodzi, prawda, Lorenzo?

Potrząsnąłem głową.

- Powodem, dla którego Il Sorridente dostał nowe zadania, jest Fabio Allegretti.

Nadal kręciłem głową.

- Il Sorridente okazał słabość, na którą w nowej organizacji już nas nie stać. Fabio Allegretti nadal jest dla nas cierniem w oku. Jest oznaką tego, że organizacja nie jest w pełni zabezpieczona. Od tej

pory chcemy być w pełni zabezpieczoną organizacją. Rozumiesz, co mam namyśli, Lorenzo?

- Rozumiem - odparłem. - Czyli Fabio Allegretti wciąż jest na wolności?

- Tak - potwierdził Bonavita. - Robi z nas pośmiewisko. Musimy go odnaleźć. Nie wiesz przypadkiem, gdzie przebywa, Lorenzo?

- Nie - odparłem. - Ale chętnie pomogę wam szukać.

- Przyjdzie na to czas, Lorenzo. A teraz wracaj do swojego mieszkania. Za miesiąc będziesz z powrotem u nas.

Kiwnąłem głową i powiedziałem:

- Tak, *capobastone*.

Ostatni miesiąc w Genui minął o wiele za szybko. Czułem grudę w gardle, która rozrastała się jak rak, i gdy w końcu wróciłem do Reggio di Calabria, miasta, w którym skończyłem gimnazjum, naprawdę ciężko mi było oddychać.

Fabio dostał się na służbę w Turynie i rozstaliśmy się bez żadnych ceregieli. Powiedział mi tylko jedno:

- Niedługo do ciebie przyjadę.

Mogłem to zrozumieć tylko w jeden sposób. Że po Turynie będzie się ubiegać o przeniesienie do Kalabrii. A wtedy naprawdę rozpęta się piekło.

Praca w policji w Reggio di Calabria całkiem przyzwoicie się układała. Jasne, że zdarzały się zgnite jajka, jasne, że o własnym bezpieczeństwie myślano tak jak nigdzie indziej, a policja trochę częściej na różne sprawy patrzyła przez palce, ale ogólnie robota nie różniła się tak bardzo od tej w Genui. Mafia przeszła do podziemia, działała w niewidoczny sposób, zmieniała się w nierzucających się w oczy biznesmenów, zapewne w typie Bonavity.

W ciągu tamtego roku dostałem zaproszenie od Fabia. Chciał się ze mną spotkać. Wziąłem dwa dni wolnego, tłumacząc, że przez internet poznałem dziewczynę w Turynie. Wyjechałem, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, i spotkałem się z nim. Wreszcie było tak jak za starych dobrych czasów i nawet przez całą noc graliśmy w pokera z jego kumplami. To był dziwny wieczór,

pamiętam, że byłem wtedy strasznie niespokojny i ostrożny. Resztę czasu przegadaliśmy. Dużo rozmawialiśmy. Wkrótce miał pojechać na szkolenie pod Turynem, przygotowywać się do zwalczania przestępczości zorganizowanej.

- A potem się, kurwa, rozprawię z tymi idiotami - powiedział.

Rok później znów przenieśliśmy się na północ, ale daleko od Turynu. Zgodnie z planem przeszedłem szkolenie związane ze zwalczaniem przestępczości zorganizowanej i po kolejnym roku przyjęto mnie do lokalnej jednostki wydziału do walki z mafią w Catanzaro, stolicy regionu. Prowadziliśmy obserwacje, robiliśmy drobne naloty, rozpracowywaliśmy struktury, próbowaliśmy wyrobić sobie jakiś ogólny obraz, jak jest zorganizowana nowoczesna 'ndrangheta. Lecz, szczerze mówiąc, niewiele udało nam się dokonać. Mafia uszczelniła wszystkie luki. Liczba „skruszonych”, bo tak eufemistycznie nazywano informatorów, drastycznie zmalała, a ci nieliczni, których udało nam się dorwać, nigdy nie mieli żadnego wglądu w organizację ani finanse. Najwyżsi szefowie pozostali dla nas jedynie cieniami.

Z wyjątkiem Bonavity. Nasze kontakty stawały się coraz intensywniejsze. Chciał wiedzieć o wszystkim, co się działo w jednostce do walki z mafią. Czasem musiałem mu rzucić jakąś kość, by myślał, że wiemy i robimy więcej niż w rzeczywistości. Pozostaje jednak faktem, że nasza praca niemal całkiem stanęła w miejscu, kiedy na scenie pojawiła się nowa gwiazda z północy.

Fabio Tebaldi.

X

Haga, 2 września

PAUL HJELM patrzył na ekran laptopa i myślał o czasie. Czasie, który nieubłaganie upływał. Zaczął się już wrzesień. I jaką właściwie sprawą się zajmowali? Wciąż się coś działo, nowe rozwiązania, nowe pomysły, ale *co to była za sprawa?* Do czego to wszystko zmierzało?

Musiał odłożyć te pytania, bo ekran nie był już pusty. Na tle ściany pojawiły się dwie osoby. Pierwszą z nich była Jutta Beyer, drugą - Arto Söderstedt. Powoli usiedli.

Czas, pomyślał Paul Hjelm Czas.

Tęsknił za Ruth.

- Halo - powiedziała Beyer.

- Halo - odparł Hjelm. - Jak wygląda sytuacja?

- Niestety, bez zmian - odparła Beyer. - Jak wiesz, Udo Massicotte dostał zawału, kiedy pewien finoszwedzki detektyw zapukał w beczkę, w której tak elegancko zaplanował swoją ucieczkę.

- Ten zawał jest porządnie potwierdzony?

- Nie ufam temu lekarzowi - odezwał się Söderstedt. - Jest w nim coś podejrzanego.

- Mamy na to tylko słowo lekarza - powiedziała Beyer.

- Potrzebujemy *second opinion* - dodał Söderstedt. - Ten diabeł kupił sobie człowieka z dyrekcji więzienia, dwóch więziennych strażników, firmę cateringową i firmę ochroniarską. I to wszystko siedząc w mamrze. Dlaczego nie miałby sobie też kupić lekarza więziennego i kardiologa? Albo całej ekipy techników, którzy tak dostroją jego pieprzoną aparaturę, żeby to wyglądało na zawał?

- Diabeł? - spytał Hjelm

- Mówiłem to już wcześniej i jeszcze raz powtórzę: Udo Massicotte może się wydawać dobroduszy, ale to diabeł. Tworzy ludzkie potwory. Małych drani, którzy stają się wielkimi draniami i sterują naszym światem A teraz przeszedł do Planu B. Zostać przeniesionym do szpitala i stamtąd uciec.

- Lecz do tej pory mu się nie udało?

- No nie - odparł Söderstedt. - Jeśli wyjdzie z tego więzienia, to tylko po moim trupie.

- Ale trup Uda nic nam nie pomoże, Arto.

- Przyznaję, że prawdopodobnie był trochę wstrząśnięty, kiedy jego wyrafinowany plan ucieczki wziął w łeb, lecz zawału to z tego powodu nie dostał.

- To na twój widok dostał zawału - powiedziała Jutta Beyer.

- Jestem archaniołem - odparł Söderstedt. - Przybyłem, żeby wezwać Lucyfera z powrotem do nieba. Cholernie kiepsko to idzie.

- Może spróbujemy trochę profesjonalizmu - powiedział Hjelm. - Tylko trochę, tak na próbę.

Beyer pochyliła się w stronę kamery, tak że jej twarz stała się ogromna. Powiedziała:

- Myślę, że mimo wszystko rozumiesz, że to, co zrobił Arto, było... no nie wiem... Kiedy zaczną pisać podręczniki o wielkich sprawach rozwiązanych przez policję... no cóż, kiedy będę już stara i zaczną się pojawiać dziennikarze... pewnie na Capri, gdzie będę siedzieć jako podstarzała policyjna matrona, *ikona feminizmu*, i delectować się śródziemnomorską bryzą... wtedy, w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat, wciąż będę bardzo dumna, opowiadając o tym, co kiedyś zrobił w Mechelen mój dawno zmarły kolega, tak, mój partner, mój *przyjaciel*...

- Te banialuki mają wyrażać coś w rodzaju podziwu, dobrze rozumiem? - spytał chłodno Paul Hjelm.

- Jutta, o rany! - zawołał Söderstedt. - Strasznie się wzruszyłem.

- Dobra, Arto, nie znam szczegółów - westchnął Hjelm - Załatwmy to od razu.

- Za bardzo się rozkuliłem - odparł Söderstedt, trochę jak operowa diwa.

- Ja mogę złożyć raport - powiedziała Beyer. - Kiedy Arto udało się ustalić oba numery telefonu, pod które Massicotte dzwonił z więzienia, i dowiedzieć się, że jeden z nich to numer restauracji o nazwie Heerlijk N.Y, usiadł w kawiarence, żeby się zastanowić, i jeszcze raz obejrzał filmy z więziennych kamer. Podczas gdy ja siedziałam u dyrektora więzienia i walczyłam z wewnętrzną korupcją, Arto wezwał do siebie dwóch belgijskich przedstawicieli grupy Opcop. Obejrzał te fragmenty filmów, które rozgrywały się w więziennej kuchni, gdzie Udo codziennie pomagał w wydawaniu lunchu, a następnie zmywał; na tym polegała jego praca w więzieniu. Oglądając taki fragment rozgrywający się w kuchni, Arto zobaczył tył podjeżdżającej ciężarówki z jedzeniem Widniał na niej napis „Heerlijk N.Y”. Sprawdził wówczas, kto dostarcza posiłki do więzienia, i ustalił, że zajmuje się tym firma restauracyjno- cateringowa o tej nazwie, we współpracy z prywatną firmą ochroniarską odpowiadającą za bezpieczeństwo, to znaczy dostarczającą dwóch uzbrojonych ochroniarzy w ciężarówce. Wtedy Arto wziął ze sobą nowo przybyłych belgijskich kolegów i udał się przechwycić ciężarówkę. Udało mu się dowiedzieć od firmy ochroniarskiej, gdzie dokładnie się znajdowała, a następnie zatrzymał samochód wraz z kierowcą i ochroniarzami. Kierowcy kazał jechać dalej, ochroniarzom zaś polecił się rozebrać i przekazać ubrania belgijskim członkom grupy Opcop. Następnie Arto wyciągnął od ochroniarzy informację, w jaki sposób dokładnie ma przebiegać ucieczka i do której beczki ma się schować Udo. Potem sam schował się do prawej beczki. Krajowi przedstawiciele grupy Opcop udawali przekupionych ochroniarzy. Reszta to historia. Ni mniej, ni więcej, tylko historia.

Söderstedt westchnął i stwierdził:

- A teraz Udo leży i udaje nieprzytomnego. Demokracja ma swoje minusy.

- Erazm z Rotterdamu też tak twierdził? - spytał łagodnie Hjelm.

- Czyli w końcu znalazłeś ten cytat? Opornie ci to szło.

- Miałem inne rzeczy na głowie - odparł Paul Hjelm. - I wciąż mam. Jest ich coraz więcej.

- Twardy dysk? - spytał Söderstedt.

- Tak, ciągle spływają informacje z Szanghaju. Uszkodzone informacje z twardego dysku rozwalonego młotkiem. Teksty są dziwacznie poprzestawiane.

- Mogę jeszcze dodać - odezwała się Jutta Beyer - że na dnie beczki pod stopami Uda leżał komplet cywilnych ubrań, sfalszowany paszport oraz bilet lotniczy na przelot z Brukseli do Bastii na Korsyce.

- Co, jak wiemy, potwierdza tylko nasze podejrzenia - odparł Hjelm - Niestety, mimo ponagieł nie udało nam się jeszcze nic ustalić w sprawie korsykańskiego numeru na kartę. To wymaga specyficznych kontaktów. Pracuję nad tym.

- Zajmujesz się czymś, o czym nie mam ochoty nic wiedzieć - powiedział Söderstedt. - Zachowaj to dla siebie.

- Navarro i Marinescu od kilku dni są na Korsyce. Jeździli po głównych miejscowościach, Ajaccio, Bastia, Bonifacio, Calvi, Corte, Figari, L'île-Rousse, Porto, Porto-Vecchio, Propriano, Saint- Florent i Solenzara, ale nic nie znaleźli.

- Jak to elegancko, że wymienilesz je w porządku alfabetycznym - zauważył Söderstedt.

- Czytałem z broszurki turystycznej - odparł Hjelm. - Odezwanie się, kiedy Massicotte się ocknie?

- W pewnym sensie nie mam jeszcze ochoty przesłuchiwać Uda - powiedział Söderstedt. - Tym razem to on wygrał. Udało mu się przenieść Fabrykę z Szanghaju i wciąż nie dobraliśmy się do głównej siedziby na Korsyce. Chcę mieć coś, co go zszokuje. Coś, od czego *naprawdę* dostanie zawału.

- Popracuję nad tym - odparł Hjelm i rozłączył się z Mechelen.

Przez chwilę siedział i mimowolnie myślał o hubach. Na przykład w sieci komputerowej hub jest jednostką, która łączy ze

sobą różne segmenty w jeden wielki segment, choć nie wноси nic własnego. Dokładnie tym stał się Paul Hjelm Hubem Albo, używając mniej technicznej terminologii, urzędnikiem. Nie był już szefem, jego jedyne zadanie polegało na wysyłaniu w świat kolejnych par, a potem na łączeniu dostarczanych przez nie segmentów w jeden wielki segment. Fecz jak, u diabła, wyglądał ten wielki segment? Zaczęli od tego, co oczywiste, od zamordowania Donatelli Bruno i od informacji, że Fabio Tebaldi i Favinia Potorac zostali porwani i wciąż żyją. Ale potem? Co się z tym wszystkim porobiło? Co się w ogóle działo? Kogo ścigali?

W Chinach, a pośrednio na Korsyce, chodziło o genetyczną Fabrykę Uda Massicotte. W Stanach

Zjednoczonych, bardzo pośrednio, o Asteriona i Christophera Jamesa Huntingtona. We Włoszech chodziło o 'ndranghetę, a w każdym razie o tych, którzy porwali Tebaldiego i Potorac.

Massicotte i 'ndrangheta nigdy nie mieli ze sobą nic wspólnego, ale *i ten pierwszy, i ci drudzy* mieli coś wspólnego z Asterionem Nagle Paul Hjelm poczuł, że się o coś otarł, coś wyczuł, tyle że jeszcze nie wiedział, co to takiego.

Dawno temu, u zarania dziejów, 'ndrangheta przejęła dwanaście europejskich firm meblarskich, by nasączać tapicerowane meble importowane z Chin środkiem zmniejszającym palność, który przy okazji tłumił woń heroiny. Zamierzali wypychać meble heroiną i przerzucać je nową trasą, która wiodła z Korei Północnej - przez Tybet - do Rygi, i z tą północnokoreańską heroiną zamierzali przebić się również na europejskie rynki heroiny, bo rynek kokainy był już przez nich zdominowany. Kontakty między firmami meblarskimi a 'ndranghetą odbywały się za pośrednictwem Asterion Security Ltd., a dokładniej za pośrednictwem osoby posługującej się pseudonimem Fioletowy, „The Purple”, lub „Mr Bagley”. Jego właściwe nazwisko brzmiało Christopher James Huntington.

Później Asterion zajmował się również tropieniem młodego mężczyzny, który zamierzał zniszczyć sekcję NATO przejętą następnie prywatnie przez Uda Massicotte. Stanowiła ona

podstawę jego Fabryki, przeniesionej z toskańskiej wyspy Capraia do Szanghaju i teraz ponownie do jakiegoś nieznanego miejsca w Chinach.

Te dwie rzeczy nie miały ze sobą nic wspólnego. Ale w obu sprawach Christopher James Huntington odgrywał ważną rolę drugoplanową.

Opcop natykała się na niego we wszelkich możliwych kontekstach. Jego Asterion zadreńczył na śmierć w Londynie amerykańską pracownicę banku, zamordował kilku brytyjskich policjantów, zajmował się szpiegostwem w łotewskim ministerstwie, chronił posiadłość Massicotte na Korsyce, zamordował brytyjsko-słowackiego genetyka z tytułem szlacheckim w górach Andaluzji, odstrzelił spory kawałek czaszki Miriam Hershey, szpiegował Opcop w ich własnym lokalu, poderżnął gardło duńskiemu profesorowi w Sztokholmie oraz - na zlecenie koncernów naftowych - przygotował próbę zamachu na francuską komisarz Unii Europejskiej w Brukseli. I przez cały ten czas uchodziło mu to na sucho.

Christopher James Huntington w ogóle wskazywał na przyszłość, w której wielkie międzynarodowe firmy ochroniarskie stawały się coraz silniejsze i coraz bardziej bezwzględne.

Dopiero co dokonali kolejnego kroku. Wykupili około dwudziestu międzynarodowych firm ochroniarskich, z których nie wszystkie były czyste, wyprali cały ten kram i wprowadzili na nowojorską giełdę jako spółkę patronacką Camulus Security Group Inc. Następnie rozpoczęli ekspansję w Nowym Jorku od rekrutacji mnóstwa nowych ludzi.

Hala targowa? Hangar pełen kandydatów.

W tym równaniu brakowało kilku składników, ale teraz przynajmniej Paul Hjelm dostrzegł cień jakiegoś równania.

Co, u diabła, kombinował Christopher James Huntington?

Był przeciwieństwem huba.

Hjelm mocno potrząsnął głową, żeby mu się w niej przejaśniło. Tęsknił za Ruth. I tęsknił za Kerstin Holm. Zadzwoił do niej na Skypie.

Pojawiała się. Przyglądał jej się przez chwilę, ona wydawała się robić to samo.

- Musimy szybko zrobić sobie ten miesiąc miodowy - powiedział.

- Wygląda na to, że masz inne rzeczy na głowie - odparła.

- Zgadza się. No to przejdźmy do sedna. Jak idzie?

- Nie chodzi tylko o to, żeby dostać się do tego schronu, zapewniam cię. Zapytanie musi przejść przez więcej instancji, niż sobie wyobrażasz. Ale chyba teraz się udało. Za chwilę mam się spotkać z Jonem Andersonem i pojechać do rejonu miejskiej rzeźni.

- Teraz?

- Tak, czekam na Jona. W moim pokoju. Będziemy tam za jakieś pół godziny. Zadzwoń do ciebie.

A potem zniknęła. Hokus- pokus. W miejscu, gdzie przed chwilą była, pojawił się raport od Angelosa Sifakisa, podsumowanie sytuacji w Kalabrii. Sifakis, Chavez i Esposito wreszcie zbliżali się do przełomu. Wszystko wskazywało na to, że młody Fabio Tebaldi, wówczas noszący nazwisko Fabio Allegretti, miał w San Fuca przyjaciela z dzieciństwa, niejakiego Forenza Ragusę, który być może był świadkiem wymordowania rodziny Fabia. A ponieważ ojciec Ragusy, bardziej znany jako Il Ricurvo, jeden z najsłynniejszych płatnych morderców na usługach mafii, był najprawdopodobniej zamieszany w to morderstwo, tym bardziej zaskakujący wydawał się fakt, że syn Ragusy również został policjantem Klub dla panów z południowych Włoch poświęcił już tydzień hipotezie, że ów Ragusa był Fusiarzem we własnej osobie, zaufanym człowiekiem Tebaldiego, który być może zdradził go podczas misji w zameczku w Bazylikacie. Jednak według raportu Ragusa zaginął bez śladu kilka miesięcy później i w chwili obecnej nikt nie wie, co się z nim stało. Według hipotezy najprawdopodobniej nie żył, w końcu dorwała go mafia. I wygląda na to, że w tej chwili śledztwo stanęło w miejscu.

Hjelm potrzęsnał głową i otworzył inny dokument. Ten nowy

wydawał się nie mieć końca.

Fudzie Wu Weia w Szanghaju wciąż rekonstruowali kolejne sekcje z dysku. Hjelm wolałby co prawda dostać ten zniszczony twardy dysk w nienaruszonej postaci i przekazać go własnym informatykom, ale nic nie świadczyło o tym, by Wu Wei obchodził się z dyskiem nieumiejętnie albo manipulował danymi. Wręcz przeciwnie, Kowalewski i Bouhaddi przekazali Hjelmowi nieoficjalnym kanałem, że rekonstrukcja na „dziesiątym piętrze” wydaje się przebiegać zupełnie otwarcie i zgodnie z zasadami. Poza tym trwało śledztwo, a Corine i Markowi pozwolono nawet brać udział w przesłuchaniach aresztowanych, to znaczy czterech członków triady z Chu-Jung oraz obu biotechnologów z Niiwy/Shengji. Przesłuchania przebiegały spokojnie, choć żaden z zatrzymanych się nie przyznał i zupełnie nic nie zdradził.

Wcześniej twardy dysk wydawał się kijem o dwóch końcach. Balansował na ostrzu noża między pozytywną a negatywną interpretacją. Teraz wyglądało na to, że słuszny był jednak scenariusz pozytywny. Na twardym dysku znajdowało się wystarczająco dużo sprawdzalnych informacji, by sądzić, że naprawdę go *zapomniano*, a nie *umyślnie podrzucono*.

Odtworzony materiał z Szanghaju nie był zrekonstruowany, jeśli chodzi o tekst; w zamian za swoje nieustanne dostawy Wu Wei zapewne liczył na to, że dostanie teksty odtworzone przez ludzi z Zachodu. Materiał spływał nieustannie do jednostki informatycznej Europolu, w której wrywano sobie z głowy szybko siwiejące włosy, a następnie powracał do Hjelm w całkiem znośnie odtworzonej postaci. Hjelm sukcesywnie odsyłał te dokumenty z powrotem do Szanghaju. Przysługa za przysługę, *you scratch my back, I'll scratch yours*. Taka wymiana była do przyjęcia.

Do tej pory chodziło głównie o księgowość oraz o naukowy bełkot, który być może - choć zapewne nie - mógł zostać zinterpretowany przez specjalistów. Poza tym w materiale było mnóstwo luk, również po przetworzeniu przez informatyków, i

ogólnie niewiele z niego wynikało.

To by było na tyle, jeśli chodzi o narzekanie. Istniał jednak również inny aspekt. Zdarzało się również, że przedstawiano istotne fakty. Niedawno Hjelm natrafił na rysunek starej Fabryki na Caprai, wyjaśniający sposób postępowania. Po raz pierwszy powiedziano wprost, że chodziło o manipulacje genetyczne na nienarodzonych dzieciach, na zapłodnionych komórkach jajowych oraz płodach, i wyraźnie napisano, w jaki sposób przemieszczano różne grupy dzieci między sekcjami Fabryki w miarę ich wzrostu. Już samo to było na tyle wyraźnym dowodem, by Massicotte dostał przynajmniej migotania przedsionków. Ale materiału na porządny zawał serca wciąż brakowało.

Wśród wszystkich faktur i dokumentów z księgowości pojawiła się nagle lista nazwisk. Wprawdzie nie znał ani jednego z nich, lecz w najlepszym przypadku chodziło o wypłatę wynagrodzeń. Jeśli tak, to być może ci ludzie rzeczywiście byli zatrudniani przez Massicotte, niektórzy nawet pracują do dziś. Wynotował wszystkie nazwiska. Fista brzmiała następująco:

Aigner, Jurgen
Bogdani, Afrim
Davis, William
Haugen, Martę
Koskinen, Tuukka
Fefebvre, Clement
Fu, Donghai
Meng, Huidai
Saitou, Yamato
Smith, Carlos
Watanabe, Tsubasa

Odłożył listę na bok i natrafił na inną.

Ponieważ po interwencji informatyków dokument nadal był uszkodzony, Hjelmowi dopiero po dłuższej chwili zaświtało, że to

w ogóle jakaś lista. W pierwszej chwili miał wrażenie, że to tylko kolejny z szeregu tekstów naukowych. Przeczytał po angielsku:

.. już w dwudziestym drugim tygodniu D został odrzucony przez surogatkę i zaczynamy przypuszczać, że ma to związek z alternatywnymi genami płodu w kompleksie MHC, co ponownie sprowadza nas do pytania, dlaczego w innych przypadkach zapłodniona komórka jajowa nie została odrzucona jako obca tkanka. Możliwe, że w układzie krwionośnym surogatki wykształcił się specjalny system białek blokujący możliwość zaatakowania płodu przez system immunologiczny. W przypadku E, w odniesieniu do wspomnianego systemu białek, należy uwzględnić, iż nie pracujemy tu na zasadzie pięćdziesięcioprocentowej zgodności genetycznej...

To w tej chwili Paul Hjelm zrozumiał, co czyta. Nie rozumiał wyводу o systemie białek ani kompleksie MHC, lecz rozumiał dwie rzeczy.

Rozumiał D i E.

Czytał jakiś dziennik z eksperymentów. I był on nie tylko uszkodzony i ogólnie w kiepskim stanie, ale też stary. Wprowadzono do niego w porządku chronologicznym wszystkie próby, które kiedyś przeprowadziła dawna sekcja NATO na Caprai. To był wpis D.

Komputer wydał z siebie dźwięk. Paul zobaczył, że to Kerstin Holm dzwoni do niego na Skypie. Tyle że nie było jej widać, a w miejscu, gdzie powinna być, pojawił się jakiś dziwny, stylizowany symbol.

- Nie będziesz miał stąd obrazu - wyjaśniła. - To zakazane.
- Jakoś to przeżyję - odparł. - Czyli jesteś teraz na dole?
- To ponoć najbezpieczniejsze połączenie, jakiego kiedykolwiek używałam. Tym razem miałam problem z uzyskaniem dostępu. Jon dostał reprimendę za to, że ostatnio był trochę

lekkomyślny.

- Mogę spytać, *od kogo* dostał reprimendę?

- Jeśli chcesz, żeby ta rozmowa została natychmiast rozłączona, to jasne.

- No to przejdźmy do Korsyki. Udało się?

- Tak.

- Tak?

- Owszem, to był telefon na kartę, ale udało się zrekonstruować pozycję geograficzną miejsca, w którym odebrano rozmowę.

- O cholera. No to mów.

- Propriano, na południu Korsyki.

- Z tego, co pamiętam, to niewielka miejscowość - odparł Hjelm. - Ale mimo wszystko ma jakieś trzy tysiące mieszkańców. Da się to ustalić dokładniej?

- Właściwie *post factum* to nie. To ma jakiś związek z masztami telefonii komórkowej i z warunkami odbioru. I gdyby tej karty SIM użyto jako burnera, jednorazowego telefonu, nie dałoby się nic więcej ustalić.

- To znaczy, gdyby zaraz potem wyrzucili kartę SIM?

- I zrobili tak - odparła Kerstin Holm. - Byli na tyle mądrzy. Wszystko wskazuje na to, że w tej chwili pływa gdzieś w Morzu Śródziemnym. Ale użyli jej wcześniej. Czterokrotnie, do rozmów miejscowych. Dzięki tym rozmowom udało nam się ustalić adres. Wygląda na to, że to jedna z centralnych ulic niedaleko morza, Rue du 9 Septembre, mieszkanie należące do firmy o nazwie EuroVie S.A. Dwie z tych rozmów przeprowadzono ponoć z balkonu. Powinno dać się uzyskać obraz satelitarny z tamtej chwili. Chcesz wiedzieć, ile kosztuje takie zdjęcie satelitarne?

- Przede wszystkim chcę wiedzieć, *komu* mam zapłacić.

- Zaraz zostaniesz rozłączony. Chcesz to zdjęcie satelitarne?

- Tak.

- Zaraz je dostaniesz. Razem z fakturą.

- Dzięki, Kerstin. Który dom przy Rue du 9 Septembre?

- Numer piętnaście. Ostatnie piętro. Czteropokojowe

mieszkanie.

- Wyjeżdżasz teraz stamtąd? Może będę potrzebował kolejnego kontaktu. Z wewnątrz.

- Zostaję. Idę na kawę z Gustafem Hornem. Zatrudnili go na stałe. I zapuścił sobie brodę.

- Mam nadzieję, że kozią bródkę, tak jak oryginał - odparł Hjelm. - Jeśli się z tobą nie skontaktuję w ciągu godziny, to znaczy, że wszystko pod kontrolą.

Rozłączył się i poczuł, że powinien zastanowić się nad tym, jak daleko się posunęła inwigilacja społeczeństwa. Ale w tej chwili nie miał na to siły. Wpatrywał się w ekran laptopa. Spojrzał na dokument z wpisami o D i E i niechętnie powstrzymał się od tego, by wrócić do czytania. Tymczasem sprawdził maile. Otrzymał zdjęcie zrobione z bardzo wysoka i przedstawiające jakiegoś człowieka na balkonie. Na leżaku, z drinkiem w ręce, siedział jakiś starszy mężczyzna z białą bródką i w żeglarskim stroju. Hjelm natychmiast go rozpoznał.

To był dawny bankier Colin B. Barnworth.

Natychmiast wybrał numer na Skypie. Dość szybko odebrano i Hjelm zobaczył błękitne niebo. W końcu w kadrze pojawił się Adrian Marinescu. Miał na ogolonej głowie żółty kapelusz przeciwsłoneczny i Hjelm zwrócił uwagę, że Marinescu filmuje się tylko od podbródka wzwyż.

- Opalamy się? - spytał.

- Gdzie tam - zapewnił pośpiesznie Marinescu. - Jemy lunch.

- A na której to korsykańskiej plaży jest spożywany ten lunch?

- Nie jesteśmy na żadnej plaży. Stolica Ajaccio na zachodnim wybrzeżu.

- Mogę zobaczyć, co jecie? Owoce morza?

- Już zamówiliśmy, ale nie dostaliśmy jeszcze jedzenia.

- Pietra, co? - spytał Hjelm. - Doskonale korsykańskie piwo. Jesteście na tyle trzeźwi, żeby prowadzić?

- Oczywiście - wydyszał Marinescu. - Dokąd mamy jechać?

- Jak daleko jesteście od Propriano? Pięćdziesiąt kilometrów?

- Coś koło tego. Może sześćdziesiąt. Ale górkami drogami.

- No to chować te butelki. I do wozu. Gaz do dechy. Rue du 9 Septembre, lokal numer piętnaście, ostatnie piętro, firma o nazwie EuroVie S.A. Zrozumiano?

- Broń?

- Nie wiadomo. Niewielkie mieszkanie, cztery pokoje. Colin B. Barnworth z białą bródką. Prawdopodobnie również Mirella Massicotte. Nie wiadomo, co z ochroną. Zalecana ostrożność.

- Już jedziemy - powiedział Marinescu i rozłączył rozmowę, nawet na chwilę nie opuszczając kadru poniżej podbródka. Miał nad tym doskonałą kontrolę.

Hjelm powrócił do dokumentu. Na początku ciągłego tekstu, w którym wymieniano osobnika D i E, nie było żadnej wyraźnej listy. Początek pliku był uszkodzony. Jednak gdy przeszedł długi dokument, natrafił na coś w rodzaju listy. Były tam wpisy J, K i L, wszystkie opatrzone dość lakonicznym komentarzem: „śmierć płodu wskutek niedorozwoju mózgu”. W dalszej partii tekstu brakowało wielu słów, co sprawiało, że cały długi ustęp był zupełnie nieczytelny. Przy S tekst znów stał się w miarę zrozumiały. Brzmiał: „obserwacje postnatalne, wyraźna wola życia, głośny krzyk, mocny chwyt, mimo to w trzeciej dobie SIDS post mortem wskazuje na wysoki poziom...”. A potem jeszcze wyrwana z kontekstu łacińska fraza *mortui vivos docent*.

Paul Hjelm się zastanowił. Rozpoznał skrót SIDS, *Sudden Infant Death Syndrome*, czyli nagłą śmierć łóżeczkową, ale musiał zajrzeć do internetu, by się dowiedzieć, co znaczy *mortui vivos docent*. Oznaczało to „umarli uczą żywych” i najwyraźniej używano tego zwrotu od renesansu, by usprawiedliwić sekcję zwłok, czyli *post mortem*.

Natomiast osobnik T przeżył sześć miesięcy. Silny chłopiec, ale z jakąś wadą, której sekcja NATO nie potrafiła określić. Przyszła pora na U.

O U napisano: „dylemat ciągłego braku kontroli nad komórkami haploidalnymi, gametami, schodzi na razie na dalszy plan wobec faktu, że stan zdrowia U jest stabilny, na chwilę

obecną ma pół roku i jest najzdrowszym osobnikiem, z jakim dotychczas mieliśmy do czynienia. Dopytyw... wydaje się gwarantować..Na tym tekst się urywał.

Najwyraźniej osobnik U okazał się sukcesem mimo „braku kontroli nad komórkami haploidalnymi, gametami”. Gamety były komórkami płciowymi, tyle Paul Hjelm wiedział.

O ile to faktycznie był dziennik przebiegu eksperymentów nad stworzeniem „doskonałego przywódcy” - co było głównym celem sekcji NATO - to osobnik U był udany pod każdym względem, z wyjątkiem swojej płci. A więc osobnik U najprawdopodobniej był dziewczynką i na początku lat osiemdziesiątych nie mógł zostać uznany za materiał na potencjalnego „doskonałego przywódcę”. Pozostawało pytanie, jakby było dzisiaj.

Zakończenie kolumny poświęconej U było uszkodzone, nic więcej nie dało się przeczytać. Ale również o V zachowało się kilka słów: „uderzający krok naprzód w zakresie aktywności mózgowej, w związku z czym odtąd osobnik V powinien stanowić co najmniej równie cenny obiekt badań jak U, choć rezultat połączenia gamet ponownie należałoby uznać za przeszkodę...”.

Paul Hjelm był wstrząśnięty. U i V Nic nie świadczyło o tym, by U zmarła w laboratorium, z drugiej strony zakończenie wpisu było uszkodzone, nie miał więc na to rozstrzygających dowodów. W każdym razie było jasne, że U i V były dziewczynkami. I że obie przeżyły. Nie bez lęku przeszedł do W.

Linijki poświęcone W były właściwie zupełnie nieczytelne. To było niezwykle irytujące. Fragment ledwie trzymał się kupy i dotyczył „siły życiowej” w różnych wariantach. Kiedy Hjelm dotarł do dużej luki w ciągłym tekście, wydało mu się, że poznaje sam ton. Przypominał mu słowa, które Hershey i Balodis usłyszały w górach Andaluzji. Hiperboliczne słowa, jakie wyrzucił z siebie zastrzelony kilka sekund później sir Michael Dworzak, szef sekcji NATO. Można je było podsumować mniej więcej tak: „Watkin, mój syn”.

Choć tekst był tak fragmentaryczny, nie było żadnych wątpliwości, iż jego autorem był sir Michael Dworzak.

Komputer wydał z siebie sygnał, w ten bardzo nieprzyjemny skype'owy sposób. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył Paul Hjelm, bez żadnego komentarza, był widok z dość wysoko położonego punktu na Morze Śródziemne. Ktoś filmował komórką panoramiczne ujęcie wzdłuż linii horyzontu i na koniec pojawiła się balustrada balkonu. Następnie komórka odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. W kadrze ukazała się łysa głowa Adriana Marinescu na de lazurowych wód Morza Śródziemnego. Żółty kapelusik przeciwsłoneczny zniknął bez śladu, a Paul Hjelm jeszcze nigdy nie widział na twarzy Marinescu tak szerokiego uśmiechu.

- Gdzie butelka z piwem? - spytał surowo Hjelm.

Marinescu faktycznie uniósł małą butelkę Pietry i stuknął nią o komórkę.

- Zakładam, że to ma ilustrować udaną interwencję, a nie szczyt dekadencji - powiedział neutralnie Hjelm.

- Zgadza się - odparł Marinescu i ruszył w stronę balkonowych drzwi. - Był jeden ochroniarz, szybko go unieszkodliwiliśmy. Są tutaj oboje.

Nagle ekran zrobił się zupełnie czarny, ale komórka Marinescu szybko przystosowała się do silnej zmiany oświetlenia i w kadrze pojawiły się dwie osoby, przykute nadgarstkami do sofy, która składała się głównie z metalowych rurek. Choć minął ponad rok, Hjelm natychmiast rozpoznał Colina B. Barnwortha i Mirellę Massicotte. Mieli ponure miny.

- Elegancko - powiedział Hjelm. - Przeszukajcie mieszkanie i skonfiskujcie wszystko, co wyda wam się interesujące. I spytajcie, czy mają coś do powiedzenia.

- Macie coś do powiedzenia naszemu szefowi? - spytał głos Marinescu.

- Żądam adwokata - powiedziała Mirella Massicotte.

- Nie chcesz skomentować nieudanej ucieczki Uda z Mechelen?
- nalegał Marinescu.

- W sumie poczekaj. Chcę coś powiedzieć.
- Ach tak?
- Nażryj się gówna - powiedziała Mirella Massicotte.
- No dobra - stwierdził Hjelm. - Niech miejscowa policja zajmie się tą dwójką. A potem wybebeszcie całe mieszkanie.
- Poczekaj - powiedział Marinescu. - Felipe coś chce.

Odwrócił komórkę w stronę otwartej kuchni z wysepką i wszystkimi bajerami. Stał tam Felipe Navarro i przyglądał się czemuś obok staromodnego, naściennego telefonu stacjonarnego.

- Może to to - stwierdził Navarro, unosząc coś. Marinescu podszedł bliżej z komórką. W końcu Hjelm dostrzegł w ręce Navarro mały notesik. Był pusty. Na stronach w linie nie było widać żadnych notatek.

- Aha - powiedział Hjelm. - Co to?

- Książeczka telefoniczna - odparł Navarro. - Nasi przyjaciele na sofie są przecież ze starej szkoły. Ktoś stał tutaj przy telefonie i pisał coś na tym bloczku, bardzo mocno dociskając długopis. Nie potrafię nic odczytać, widzę tylko, że niektóre słowa są co najmniej pięć razy podkreślone, a na końcu jest sześć wykrzykników. Ale samych wyrazów nie potrafię odczytać.

- Masz moją zgodę na użycie ołówka - oświadczył Hjelm

Navarro położył notesik na blacie kuchennej wysepki, a Marinescu zrobił zbliżenie. Navarro zaczął pokrywać pochylonym ołówkiem niewidoczne słowa. Pojawiały się jedno po drugim i nie było ich zbyt wiele. W końcu można było odczytać:

„Pierwsze gotowe na dwudziestego siódmego!!!!!!”.

Podkreślone pięć razy.

- No dobra - stwierdził Hjelm. - Na razie to nie ma żadnego sensu, ale zgadzam się, że te podkreślenia i wykrzykniki na coś wskazują. Wstrzymajcie się z tym do przesłuchania, póki nie zjawią się ich adwokaci.

- Jasne - odparł Navarro i szybko odwrócił głowę. - Chyba właśnie wchodzi miejscowa policja. Jak tylko zabiorą stąd tych

emerytów, wywrócimy mieszkanie do góry nogami.

- Dobra robota - pochwalił Hjelm i rozłączył się z Korsyką.

Równanie, pomyślał. Pochylił się do przodu i potarł czoło. Czy teraz dostrzegął równanie? Nie. Raczej doszedł tylko kolejny nieznanany element. Jeszcze jedna zmienna.

Wybrał numer, nie przez Skype'a, na to nie miał już siły. Zadzwoił po prostu ze swojej komórki.

- Tak, tu Arto - odezwał się telefon.

- Co powiesz na trochę dobrych wieści? - spytał Hjelm.

- Powiedz, że chodzi o Korsykę.

- Tak, Felipe i Adrian interweniowali. W mieszkaniu byli Mirella i Barnworth. Zostali zatrzymani.

- Cudownie - ucieszył się Arto Söderstedt. - Dzięki. Dobiorę się do Uda, jak tylko... tu wstaw sobie ironiczny cudzysłów... się ocknie. Znaleźli coś?

- Notatkę - odparł Hjelm. - „Pierwsze gotowe na dwudziestego siódmego”, podkreślone pięć razy i z sześcioma wykrzyknikami. A może na odwrót.

- „Pierwsze gotowe na dwudziestego siódmego”?

- Zastanów się nad tym. Może warto mieć takiego asa w rękawie podczas konfrontacji z Udem?

- Dwudziesty siódmy to musi być data - stwierdził Söderstedt. - Jakaś ważna data. „Pierwsze gotowe” jest już bardziej niejasne. Muszę nad tym pomyśleć.

- Jeśli Jutta w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat zamierza być ikoną feminizmu, to nie może tylko stać z rozdziawionymi ustami i podziwiać, jak myślisz. Zapędź ją też do roboty.

- Ona już kieruje robotą - odparł Söderstedt i się rozłączył.

Było słyhać, że myślami jest gdzie indziej.

Paul Hjelm wziął głęboki oddech i powrócił do ziejącej dziury w tekście na temat W. Zupełnie jakby młotek w Szanghaju trafił akurat w to miejsce. Ale gdy przewinął w dół spory kawałek dokumentu, jednak coś znalazł. W kolumnie, która do tej pory - od A do V - była pusta lub zawierała uszkodzone teksty, nagle pojawiło się coś czytelnego. A mianowicie: „W,

Watkin Berner- Marenzi, kilka możliwych pseudonimów. Wrogi!!”.

Naprawdę było tak napisane. „Wrogi”, a potem dwa wykrzykniki. Zapewne była to notatka sir Michaela Dworzaka, gdy pojął, że W nie chce dalej grać w jego grę. Albo wręcz że zaczął na niego polować.

Dalej widniał tekst: „Umieszczony razem z U, Uną Berner- Marenzi, i V, Verą Berner- Marenzi”.

Paul Hjelm przerwał czytanie. Jeszcze raz przyjrzał się lakonicznemu sformułowaniu i w jego mózgu zakotłowało się od myśli. U i V były siostrami W. Nie biologicznymi - urodziły ich przecież w sekcji NATO różne „surogatki” i najprawdopodobniej nie byli spokrewnieni - ale ta trójka razem się wychowała.

A teraz W uciekł razem z V.

Watkin i Vera zniknęli razem po dramatycznej ucieczce helikopterem z Korsyki ponad rok temu. Nikt nie miał pojęcia, co się z nimi później stało.

W był arcydziełem sir Michaela Dworzaka. Dworzak nazwał go Watkinem, „dowódcą wszystkich armii”, i uważał za syna, swoją radość, swoje zwycięstwo. Potem sekcję zamknięto i Massicotte zrobił z niej komercyjną Fabrykę dla organizacji przestępczych i nieliczących się z innymi państw. Ale W był arcydziełem A więc na tym dokument powinien się kończyć.

Było jednak inaczej.

Hjelm przewiął tekst i dotarł do następnej litery alfabetu. Do X.

Naprawdę istniał jakiś X, ostatnia istota stworzona przed zlikwidowaniem sekcji NATO na początku lat dziewięćdziesiątych. Tekst na temat owego X zdewastował właściwie całkowicie chiński młotek, ale kilka ustępów zdawało się świecić własnym światłem: „jest na pewnej płaszczyźnie bez wątpienia naszym największym sukcesem, ale interwencja H III w ostatnich fazach...” oraz „co być może już w tej chwili można wyczytać z jego lodowatofioletowych oczu..

Hjelm jeszcze raz przeczytał te fragmenty. „H III” oznaczało

prawdopodobnie Andrew Hamiltona III, prawdopodobnie najzręczniejszego neurochirurga z sekcji NATO. A więc X był największym sukcesem, tyle że coś w zabiegu przeprowadzonym przez Hamiltona może nie tyle poszło nie tak, ile doprowadziło do jakiegoś niepożądanego rezultatu, który w jakiś sposób można było wyczytać z „lodowatofioletowych oczu” X. Czy to była właściwa interpretacja? Coś sprawiło, że X - choć właściwie był chwalebny ukoronowaniem całej długiej działalności sekcji NATO - nie przypadł tak do serca Dworzakowi jak W.

Co to oznaczało?

W tekście było jeszcze kilka czytelnych sformułowań: „umieszczony w rodzinie zastępczej w Teksasie...” oraz, w ostatniej kolumnie, tam gdzie wcześniej znajdował się tekst „W, Watkin Berner- Marenzi, kilka możliwych pseudonimów. Wrogii!”, tym razem wpis brzmiał: „X, Xavier Montoya”. Dalej znajdował się szereg cyfr zaczynający się od dwóch zer i jedynki, potem było osiem, trzy, dwa i jeszcze siedem cyfr.

Czy to naprawdę był amerykański numer na komórkę?

Czując, jak przyspiesza mu puls, Hjelm zaczął stukać w klawiaturę i usłyszał irytujący sygnał wybierania Skype’a.

W końcu pojawiła się stylizowana figura i komputer spytał:

- Tak?

- Kerstin, jesteś tam jeszcze?

- Wciąż jestem w rejonie miejskiej rzeźni, jeśli o to pytasz.

- Będę cię tam jeszcze przez jakiś czas potrzebował. Mam numer na komórkę. Muszę się o nim dowiedzieć absolutnie *wszystkiego*. Historia, geografia, rozmowy przychodzące i wychodzące, i co tam jeszcze.

Kerstin Holm milczała. Milczała zbyt długo. W końcu odezwał się męski głos.

- Paul - powiedział. - Tu Jon Anderson.

- Cześć, Jon. Gdzie Kerstin?

- Stoi obok mnie. Możesz liczyć na tę przysługę, ale potem już na nic.

- Kto tak mówi?

- Ci, którzy uważają, że są ci winni przysługę. Ale tylko jedną.
- Cieszy mnie to - odparł Hjelm, marszcząc brwi. Pomiął najbardziej oczywiste pytanie, ale nie mógi się powstrzymać, by nie zadać innego, niemal równie oczywistego: - Dlaczego są mi winni przysługę?

- Za wszystkie informacje o działalności Wu Weia - odparł Jon Anderson. - Wkrótce się z tobą skontaktujemy.

Stylizowana figura zniknęła z ekranu.

Paul Hjelm zamknął oczy. Myślał tylko o jednym

Myślał:

X.

Drapieżnik

IV

Nuevo Laredo, Meksyk, 7 września

ZANURKOWAŁ w Rio Grandę i dwie minuty później wypłynął w Rio Bravo. Brudne, lecz wartko płynące masy wody lśniły dziwnym brązowym odcieniem w promieniach zachodzącego, choć wciąż palącego słońca. Rozejrzał się i wyciągnął na powierzchnię wodoszczelne worki przywiązane liną do jego ciała. Potem wczółgał się w cień pod starannie wybranymi kaktusami i czekając, aż wyschnie, zastanawiał się nad tym, jaką drogą trafił do koryta Rio Bravo.

W małym mieszkanku w Montevideo życie biegło swoim torem. Po wynikającym z ogromnego napięcia błędzie z drobną staruszką na klatce schodowej postanowił świadomie obniżyć poziom stresu. Vera zaczęła naprawdę wczuwać się w rolę autorki książek dla dzieci, Rafaelli Hernandez, i teraz siedziała całkowicie pochłonięta pisaniem. Przyłączył się do niej jako ilustrator Alejandro Hernandez i zaczął się bawić w programie graficznym na komputerze. Okazało się, że naprawdę go to bawi.

I być może mogliby tam zostać, w spokojnym Urugwaju, przeczekać deszczową zimę i zmienić się w autorów książek dla dzieci. To naprawdę nie byłoby najgorsze rozwiązanie.

Prawie przez tydzień ignorował trwające wyszukiwania i swoje tajne maile. Gdy uporczywy deszcz na chwilę przestawał lać, co zdarzało się rzadko, wychodzili na spacer po mieście niemal jak zwyczajna para. Widok Rio de la Plata z restauracji położonych nad oceanem zapierał dech w piersiach. Tak, jak najbardziej mogliby tam osiąść. Odnaleźć spokój, pisać i ilustrować książki dla dzieci - z braku własnych - i oszczędnie żyć z kapitału, który

wciąż mieli dobrze ukryty na koncie w Panamie. To by było możliwe.

Tak jak kiedyś było możli we na wyspie.

Nie okazałby nawet lekceważenia, gdyby znów poruszyła kwestię dziecka. Nie zrobiła tego jednak. Sparzyła się. A on sam, szczerze mówiąc, nie wiedział, czy w ogóle uwzględniono zdolność do reprodukcji w jego doskonale zaprojektowanym ciele. Nienawidził tej myśli od zbyt dawna, by w ogóle się nad tym zastanawiać. I gdy kiedyś w Stanach Zjednoczonych Vera poruszyła kwestię dziecka, natychmiast od niej odszedł.

Gdy tak spoczywał w tym stanie relatywnego spokoju, ocknął się na dźwięk sygnału jednego z czterech komputerów. Na zewnątrz wciąż było ciemno, strugi deszczu spływające po szybie w pracowni podświetlała z dołu słaba uliczna latarnia. Podeszedł do komputera, wciąż nagi, i usiadł.

Chodziło o tę dziwną gwiazdę na nadgarstku zabójcy z Clichy-sous- Bois. Pojawiło się lepsze trafienie. Wyglądało na to, że gwiazda była związana z przestępczym gangiem z San Jose w Kalifornii, który ponoć niedawno stał się największym dystrybutorem kokainy w mieście. Wiele przemawiało za bezpośrednimi kontaktami z którymś z dużych karteli kokainowych z Meksyku, prawdopodobnie z bezwzględnyymi Los Zetas.

Amerykanin, pomyślał. Amerykanin, który ma bliskie kontakty z meksykańskimi kartelami narkotykowymi.

Po raz pierwszy od tygodnia otworzył swój podejrzany program mailowy, pełen przesuwających się reklam porno. Przyszedł mail od Lucasa Woutersa, strażnika więzienia w Mechelen. Wouters informował, że Udo Massicotte próbował uciec, ale został spektakularnie zatrzymany przez policjanta Arto Söderstedta. Nie za bardzo wiedział, co począć z tą informacją, więc otworzył następnego maila. Wiadomość była od jego kontaktu w CIA i brzmiała:

Niespodziewane trafienie, jeśli chodzi o odciski palców,

faktycznie z Meksyku, z miejscowego rejestru młodocianych przestępców, który nie był objęty szerszym wyszukiwaniem CIA. Twój facet został zatrzymany jako jedenastolatek za kradzież sklepową w meksykańskim mieście Monterrey. Potem nie pojawia się w żadnych rejestrach. Nazywa się, albo przynajmniej nazywał, kiedy miał jedenaście lat, Jesus Gerardo Murciano.

Przerwał przeglądanie poczty i się zastanowił. Meksykanin z Monterrey należący do gangu z San Jose, przy granicy z Meksykiem. Z daleka śmierdziało to kartelem. Kartel z dostępem do dronów? Jak najbardziej możliwe - ale skąd tyle zachodu ze strony meksykańskiego kartelu kokainowego, by odnaleźć akurat jego po tym, jak przeszedł na emeryturę na polinezyjskiej wyspie?

To się nie zgadzało. Kartele były bezwzględne, ale nie polowały na byle kogo. Zawsze chodziło wyłącznie o interesy. A on nigdy się nie zetknął z żadnym meksykańskim kartelem kokainowym

Dlaczego w takim razie Jesus Gerardo Murciano próbował go zamordować w Clichy- sous- Bois? Amerykanin meksykańskiego pochodzenia wybrał się do Europy, by załatwić właśnie jego. Niby czemu, do cholery?

Wszedł w wyszukiwanie dronów. Dzięki starannie wybranym parametrom udało mu się wykluczyć kolejnych potencjalnych kandydatów. Zostało już tylko sześć maszyn, które mogły być w powietrzu drugiego maja. Przejrzał wszystkie pozostałe możliwości, wszystkie maszyny niebędące w posiadaniu amerykańskiego wojska czy CIA. Jeden MQ- I Predator należał do California Air National Guard i był wykorzystywany do wykrywania pożarów lasów. Wziął go w nawias. Trzy były w posiadaniu prywatnych firm ochroniarskich i były używane do „zwiadu lotniczego”, zbyt niejasne określenie, by je również można było wziąć w nawias. Jeden należał do osoby prywatnej w Japonii, a jeden do konsorcjum w Arabii Saudyjskiej. Przyjrzał się dokładniej temu Japończykowi, ale doszedł do wniosku, że

chodzi o niesamowicie bogatego spadkobiercę Yamahy, który nie tylko cierpi na autyzm, lecz ma też obsesję na punkcie wszystkiego, co lata. Konsorcjum z Arabii Saudyjskiej wydawało się bardziej interesujące, lecz wszystko wskazywało na to, że ich drapieźnik MQ- I Predator wykorzystywany jest głównie do nadzoru szybów naftowych z powietrza.

Pozostawały trzy firmy ochroniarskie. Jedna była rosyjska. Naprawdę rosyjska. Czy to znaczy, że producent drapieźników, General Atomics, miał mandat na sprzedawanie ich do Rosji? W pewnym sensie najwyraźniej tak. Bo firma ochroniarska z siedzibą w Nowokuźniecku na Syberii pilnie wykorzystywała swojego drapieźnika do nadzoru prywatnych lasów, ogromnego obszaru, gdzie dron bez wątplenia był przydatny. Nie było jednak logów z dni od pierwszego do szóstego maja. Warunkowy nawias.

Druga firma ochroniarska była ze Stanów Zjednoczonych, a dokładniej z Chicago, i według swojej strony internetowej specjalizowała się w „zbrodni niewierności”. Choć wątpił, czy faktycznie niewierność można by sklasyfikować jako zbrodnię, stwierdził, że firma świadomie stara się zaprezentować jako klasyczne biuro detektywistyczne z cytataми reklamowymi Sama Spade’a i Philipa Marlowe’a. I jasne, że można było sobie wyobrazić zdumienie na twarzy dyrektora działu informatycznego, gdy nagi wstaje z łóżka kochanki, mruga krótkowzrocznymi oczkami i widzi za oknem MQ- I Predator unoszące się nad ulicznymi lataniami. Z drugiej strony można było wyraźnie wyczytać, że firma wynajmowała swojego drapieźnika i w Chicago prawdopodobnie można było skopiować niecyfrową listę takich transakcji. Bez nawiasu.

I wreszcie firma ochroniarska numer trzy, również amerykańska. Nazywała się Xenolith Security Inc. i mieściła się w Laredo w Teksasie. Gdy wrzucił do Google’a hasło „Xenolith”, natychmiast został przekierowany na stronę innej firmy ochroniarskiej o nazwie Camulus Security Group Inc. Było to trochę dziwne. Surfował dalej i trafił na stronę domową

„Laredo Morning Times”, lokalnej gazety, która informowała lakonicznie, że Xenolith Security Inc., podpora miejscowej społeczności, została wykupiona przez Camulus Security Group Inc. i że ta ostatnia ma wkrótce zostać wprowadzona na nowojorską giełdę. Miał gdzieś ich interesy, chciał się tylko dowiedzieć, co to za firma ten Xenolith i czym się właściwie zajmuje. Jednak w internecie nie było nic na ten temat; może przyszła pora na kolejne, obszerniejsze i długotrwałe wyszukiwania. W każdym razie nie znalazł ani słowa o tym, do czego wykorzystywali swojego MQ- I Predator.

Dalej wyszukiwał „Xenolith” i dowiedział się, co oznacza ta nazwa. Ksenolit to po prostu obcy kamień otoczony skałą wulkaniczną, coś obcego w bardzo homogenicznym otoczeniu. Niewiele mu to mówiło. Ale gdy zabrał się do wyszukiwania struktury własności Xenolith Security Inc., nagle coś zaskoczyło.

Do chwili, gdy niecałe pół roku temu Xenolith została przejęta przez Camulus, jedynym właścicielem firmy był niejaki Xavier Montoya.

Coś w nim rozpoznało to nazwisko. Słyszał je kiedyś? Nie, raczej gdzieś czytał. Dawno temu, kiedy opracowywał listę wszystkich, którzy aktywnie działali w sekcji NATO, od Michaela Dworzaka aż do Uda Massicotte. To było wtedy. W jakimś kontekście.

Dworzaka aż do Uda Massicotte. To było wtedy. W jakimś kontekście.

Wrzucił hasło Xavier Montoya do wyszukiwania grafiki. Facet był ogromny ale mimo nazwiska nie wyglądał na Latynosa. Powiększył zdjęcie w wysokiej rozdzielczości, na którym Montoya ścisnął dłoń burmistrza Laredo. Jego oczy były dziwne. Bardzo jasne, zdecydowanie nie brązowe, jak u Meksykanów. Ale też nie nordycko błękitne. Już raczej fioletowe.

Lodowato fioletowe.

Je również rozpoznał.

Xavier, pomyślał.

Xenolith, pomyślał.

Ksenolit był obcym kamieniem w homogenicznym otoczeniu.

Sztucznie stworzonym człowiekiem otoczonym przez

normalnych ludzi.

Wszystkie elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsca, z wyjątkiem podłogi pod nim. Jakby nagle się zapadła.

Pomyślał:

X.

Zawsze krążyły plotki. O tym, że istniał jeszcze jeden. Ktoś po W. Następna litera alfabetu.

Mimowolnie wybuchnął śmiechem na myśl o tym, jaką intuicją wykazała się Vera. Gdy unosiła się w wodach oceanu w Polinezji, nazwała tego nieznanego sprawcę „X”.

Naprawdę nazywał się X.

Xavier fucking Montoya, dyrektor Xenolith Security Inc.

X chciał zniszczyć W. Dlaczego?

Jesteśmy przecież prawie braćmi.

Spróbował znaleźć więcej informacji. Xavier Montoya wychował się w rodzinie zastępczej w przygranicznym mieście Laredo w Teksasie. Rodzina Montoyów miała meksykańskie pochodzenie. W żartobliwym wywiadzie zamieszczonym w sieci Montoya twierdził, że zawsze był obcym ptakiem w rodzinie, w której „nikt nie miał więcej niż metr siedemdziesiąt”. „Jak kukułcze piskłę?” - podsunął brawurowo prowadzący wywiad. Na co ponoć odpowiedziało mu tylko „lodowatofioletowe spojrzenie”.

W próbował stać się człowiekiem. X nawet nie próbował, otoczył się tylko lawą.

Szukał dalej i udało mu się znaleźć dwa telefony komórkowe. W tym miejscu przerwał i się zastanowił.

Najwyraźniej bardzo duża firma ochroniarska o nazwie Camulus wykupiła Xenolith w tym samym okresie, gdy ten wysłał swojego drona, swojego drapieźnika, na archipeląg Tuamotu. Dwa miesiące później grupa zawodowców, w tym również członek gangu Jesus Gerardo Murciano, odnalazła uciekinierów z Polinezji za pośrednictwem kamery w Clichy- sous- Bois w Paryżu i ponownie próbowała ich zamordować. To, że Murciano należał do ludzi Montoi,

wydawało się jasne. Pozostawało pytanie, czy istniały jakieś inne związki z Los Zetas, kartelem kokainowym, który całkowicie zdominował bliźniacze miasto Laredo, Nuevo Laredo po drugiej stronie granicznej rzeki, w Stanach Zjednoczonych noszącej nazwę Rio Grande, w Meksyku zaś Rio Bravo.

Podjął decyzję. Mogło się wydawać, iż zrobił to pod wpływem impulsu, ale w rzeczywistości była bardzo dobrze przemyślana. To, że dobrze się przy tym poczuł, to już była zupełnie inna historia.

Uruchomił dwa z urządzeń peryferyjnych i rozpoczął wyszukiwania na trzech niezależnych od siebie komputerach. Na ich ekranach obracały się z powagą mapy świata.

Sięgnął po telefon i podłączył do niego u dołu małą puszczkę. Wybrał pierwszy numer na komórkę i uaktywnił programy na trzech komputerach. Po pięciu sygnałach ktoś odebrał.

- Tak? - usłyszał po angielsku.

Głos był dobitny, wyrazisty, energiczny. To dobrze.

- Xavier Montoya? - spytał, spoglądając na ekrany.

- A kto pyta?

- Mamy wspólne interesy, przyjacielu.

- Z wieloma mam wspólne interesy, „przyjacielu” - odparł Montoya. - Kto mówi?

Zerknął na mapy świata. Zawęziły się do kontynentu amerykańskiego. Jeden z komputerów był trochę szybszy, już pokazywał tylko Teksas. Południowy Teksas.

- Jestem twoim bratem - powiedział.

- Jose? Nie wydaje mi się. Odkładam słuchawkę.

- Twoim prawdziwym bratem, Xavier. Nazywam się Watkin Berner- Marenzi. Teraz pobawimy się inaczej, X.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. Mapy pokazały pełne zbliżenie.

- W - odezwał się w końcu Montoya.

- Dlaczego próbujesz mnie zabić, Xavier?

- To nic osobistego.

- Dla mnie morderstwa zawsze były osobiste, Xavier. Wszystkie

moje dziesięć morderstw. A teraz idę po ciebie, Xavier.

Znów przez chwilę było cicho.

Nie rozłączaj się jeszcze. Jeszcze tylko chwilę.

- Zawsze możesz próbować, Watkin - odparł X.

Wystarczyły te dwie sekundy wahania - być może, oby - zanim się rozłączył. Jeden z komputerów zatrzymał się nad bliźniaczym miastem. Drugi pokazywał zbliżenie zachodniej części Nuevo Laredo. Ale trzeci wyszukał już dokładny adres. Pokazywał zbliżenie budynku. Niski dom w dłuższym szeregu przy stosunkowo dużej ulicy, jakieś pięćset metrów od Rio Bravo.

Być może, oby, te ostatnie słowa „Zawsze możesz próbować, Watkin” oznaczały, że dom był świetnie strzeżony. Że X nie zamierzał uciekać. To był teren Los Zetas. X nie mógł mieć w Nuevo Laredo domu przypominającego fortecę, jeśli w ten czy inny sposób nie należał do Los Zetas.

Usłyszał jakiś dźwięk za swoimi plecami. Obrócił się i zobaczył Verę. Była naga, tak jak on, ale twarz wyraźnie różniła się barwą od reszty ciała. Była tak blada, że aż biała.

Wykonał drobny gest i powiedział:

- Wróćmy tutaj, Vero, obiecuję.

Wstał i otworzył drzwi szafy. Kolejno wypakował broń i zawinął ją starannie w materiał zabezpieczający przed promieniowaniem rentgenowskim. Następnie wyciągnął trochę ubrań i zaczął pakować komputery.

- Lepiej, żebyś zaczęła się pakować - powiedział. - Łódź odpływa za godzinę.

Przeprawili się katamaranem przez Rio de la Plata i cztery godziny później siedzieli w samolocie lecącym z Buenos Aires do Houston w Teksasie. Na pokładzie był internet, dzięki czemu te jedenaście godzin upłynęło stosunkowo szybko. Doczytał wszystko to, co musiał doczytać.

Lotem krajowym przedostali się z Houston na Laredo International Airport. Potem zabarykadowali się w obskurnym hotelu. Nadeszła noc. Skrupulatnie się przygotował. Włożył broń - wszystko, co miał - do wodoszczelnych worków. O świcie udał

się nad Rio Grandę z mocną wojskową lornetką. Nad rzeką kręciło się niewiele osób, choć było to jedno z najbardziej krytycznych przejść granicznych między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi. Był jednak przekonany, że to miejsce jest świetnie strzeżone. Że na szczycie każdego drzewa znajdują się kamery. Czuł się tak, jakby stąpał po zaminowanym terenie. Musiał to zrobić niepostrzeżenie. Znalazł idealne miejsce do przeprawy, bez żadnych drzew, z kaktusami zapewniającymi cień i osłonę po drugiej stronie. Jediną szansą, by pozostać całkowicie niewidocznym, było zanurzyć się w wodzie w niewielkim zagłębieniu po amerykańskiej stronie i przepłynąć pod powierzchnią cały odcinek, aż na meksykańską stronę. Do miejsca, gdzie Rio Grandę nie nazywała się już Rio Grandę.

Już wysechł, szybko to poszło. Choć zbliżał się wieczór, wciąż panował ten dziwny, suchy upał. Zaczął rozpakowywać wodoszczelne worki. Proste, niekrępujące ruchów, świadomie obszarpane ubranie, dobre buty, dwa pistolety w odpowiednich kaburach, resztę chwilowo zostawił w plecaku, który wyciągnął z drugiego worka.

Pięćset metrów przez miasto oblężone przez Los Zetas; było jasne, że na tym półkilometrowym odcinku zostanie wykryty i prześwietlony. Wybrał trasę przez ogrody i parki, ale i tak było sporo miejsc, w których będzie go widać. Chodziło o to, by wyglądać niegroźnie. Założył okulary oklejone taśmą izolacyjną, chciał wyglądać jak wrak człowieka. Wepchnął wodoszczelne worki pod kaktusy i ruszył.

Pokonał kilka podwórzny na tyłach jakichś budynków, a potem był zmuszony przejść kilkanaście metrów drogą. Nuevo Laredo było dziwnie puste, atmosfera w mieście napięta, jakby było nawiedzone. Nieliczni ludzie, których widział, wyglądali na wystraszonych.

A potem dotarł do nowej dzielnicy willowej - o ile tym słowem można było określić zaniedbane, zaśmiecone tylne podwórka, przez które przechodził. W końcu przykucnął za krzakiem w ogrodzie za jednym z domów.

Wyjął z plecaka lornetkę i omiółł nią podwórze aż do wejścia do kuchni. Tylne ściana budynku lśniła pomarańczowo w ostrym świetle zachodzącego słońca. Patrząc z wewnątrz, pod światło - to dobrze. Dwa poziomy, dom o szerokości najwyżej dwudziestu metrów, między dwoma innymi, pozornie identycznymi budynkami. Wyglądał tak zwyczajnie, a jednak pewne rzeczy świadczyły o tym, że to faktycznie ksenolit tkwiący w zwyczajnej skale wulkanicznej. Przede wszystkim kamery, pięć widocznych i z pewnością inne, niewidoczne.

Dom wyglądał na całkowicie opuszczony. Tylne podwórze było zaśmiecone, tak jak u sąsiadów, a firanki w oknach pozasuwane. Musiał to zrobić szybko. I gdy tylko ruszy, przekonać się natychmiast, czy kamery go śledzą.

Otworzył plecak, schował do niego lornetkę i wyjął pistolety maszynowe. Naciągnął kamizelkę kuloodporną i w obie ręce chwycił broń. Następnie wziął głęboki oddech i ruszył. Kamery go nie śledziły.

Kiedy dostrzegł, że kuchenne drzwi są uchylone, przykucnął za zniszczonym starym hamakiem. Kamery wciąż się nie poruszały.

Naprawdę opuścili budynek? Jeśli tak, to w całym domu były podłożone bomby pułapki. Miał jednak środki, żeby sobie z tym poradzić.

Kiedy wstał, całe jego ciało było czystą koncentracją. Gdyby coś się stało, zareagowałby szybciej niż ktokolwiek inny, był do tego zaprogramowany.

Kuchenne drzwi, szpara, w środku firanka, lekko drżąca w przeciagu. Głębiej ciemność.

Szybki odczyt, spojrzenie na przedmiot, który wyglądał jak zegarek. Żadnych bomb, w każdym razie nie tutaj. Przywarł do ściany i lekko pchnął kuchenne drzwi.

Kuchnia była zaskakująco wysprzątana. Śmietnik na tylnym podwórzu nie pasował do wnętrza domu. To miejsce kiedyś było *centralą*. Drzwi z kuchni na korytarz. Gdy znalazł się tuż przy nich, zobaczył jakieś dwa metry korytarza. Wszędzie dalej pusto.

W powietrzu unosiły się pyłki kurzu. Lśniły w ulotnym,

pomarańczowym świedze zmierzchu. Dwa bezgłośnie kroki w głąb korytarza. Trochę dalej pokazał się otwór bez szyby, może coś w rodzaju lady barowej w ścianie. Wisiały w nim ciężkie, ciemne zasłony. Po kolejnych, całkowicie bezgłośnych krokach dostrzegł szparę między nimi. Przez nią widział coraz więcej salonu. Po kolejnych krokach pojawiła się sofa, a po jeszcze jednym dostrzegł na niej mężczyznę.

Cofnął się szybko, acz cicho. Zamknął oczy. Samotny mężczyzna na sofie. Szybko przywołał obraz. Żywy człowiek, nie Meksykanin, trzymający w ręce coś, co nie było bronią. W każdym razie nie zwyczajną bronią. Mógł zastrzelić go od razu, w tej chwili, przez zasłonę. Ale czym był ten przedmiot w ręce mężczyzny. Bombą? Detonatorem?

I czy go przypadkiem nie rozpoznał. Było jasne, że to nie Xavier Montoya, ten facet był od niego o połowę mniejszy. Musiał zerknąć jeszcze raz.

Poznał tego mężczyznę, ale nie potrafił go skojarzyć. A to, co trzymał - unosił - w ręce, wyglądało jak telefon komórkowy. Co nie wykluczało, że telefon był detonatorem

Znow się trochę cofnął. I usłyszał:

- Wylaż już, Watkin. Wiem, że tam jesteś.

Błyskawicznie zrobił ostatnie kroki, wyskoczył z korytarza, rzucił się na podłogę i przejechał po niej ślizgiem, mierząc oburącz w mężczyznę. W jego serce.

Ale nie strzelił.

- Spotkaliśmy się już, Watkin - powiedział mężczyzna. - Nie wiem, czy mnie pamiętasz.

Podźwignął się powoli, wciąż celując w jego pierś.

- Owszem - odparł W. - Pamiętam Jesteś Paul Hjelm.

Przysunął krzesło i opuścił broń, tylko trochę. Usiadł naprzeciw sofy. Odczekał chwilę, a potem spytał:

- Jesteś sam?

Paul Hjelm uśmiechnął się słabo i odparł:

- Zupełnie sam.

Przycisnął coś na telefonie. Głos powiedział:

- „A teraz idę po ciebie, Xavier”.

- „Zawsze możesz próbować, Watkin” - odrzekł inny głos.

A Paul Hjelm powiedział:

- Potrzebuję twojej pomocy.

Po raz pierwszy od chwili, gdy na klatce schodowej w Montevideo pojawiła się tamta staruszka, W poczuł, że traci kontrolę. Nie rozumiał, co się działo. Nie było to uczucie, za którym przepadał.

- Mojej pomocy? - spytał. - Dlaczego miałbym ci pomóc?

- Wiesz dlaczego - odparł Hjelm. - Możesz odzyskać swoje życie. Swoje i Very.

- Zamordowałem dziesięć osób. Nigdy byś mnie nie wypuścił.

- Wypuściłbym - odparł Hjelm - Wyjątkowe okoliczności. Pomógłbyś mnie i tylko mnie. Nikt nie wie, że tu jestem.

- W takim razie mógłbym cię uciszyć i nikt by się o tym nie dowiedział.

- Tak. Ale nie zrobisz tego.

- Dlaczego?

- Camulus to Asterion - odparł Hjelm. - Christopher James Huntington. On coś planuje. Coś dużego. I to ma coś wspólnego z tym - Pokazał ręką wokół siebie.

- Mam gdzieś baronów narkotykowych i Huntingtona - odparł z naciskiem Watkin. - W ogóle mam gdzieś ten świat. Chcę tylko mieć spokój.

- Nie zostawią cię teraz, wiesz o tym Twoją jedyną szansą jest unieszkodliwić X. Mogę ci w tym pomóc.

- Pomożesz mi unieszkodliwić X i oddasz mi moje życie. Czy to nie *ty* mnie miałeś prosić o pomoc?

- I jeszcze jedno - powiedział Hjelm z tym samym przelotnym uśmiechem. - Zlikwidujemy Fabrykę, która teraz znajduje się w Chinach. Raz na zawsze przerwiemy wszystkie manipulacje gene-tyczne.

- Massicotte - kiwnął głową Watkin. - To dlatego próbował

uciec?

- Dużo wiesz - powiedział Hjelm. - To dlatego potrzebuję twojej pomocy. Chcę wiedzieć to co ty. Razem możemy to powstrzymać. Cokolwiek to, kurwa, jest.

Przyjrżeli się sobie. Dokładnie.

Potem Watkin wstał i powiedział:

- No to spadajmy.

5

PIĄTA PARA UCIEKA

Zawał

Mechelen- Haga, 8 września

STARZEC WZDRYGNĄŁ SIĘ i usiadł na łóżku. Węzyki i kable szeleściły w nierównym tempie jego świszczącego oddechu. A potem zamarł. Jakby zmienił się w lód.

- Spojrzenie - powiedział Arto Söderstedt i zrobił zbliżenie oczu Massicotte.

- Nie widzę tego co ty. - Jutta Reyer wzruszyła ramionami. - Ocknął się i tyle. Koniec, kropka.

- Tak, Udo Massicotte wzdrygnął się i ocknął, ale popatrz na jego oczy. To *nie jest* spojrzenie kogoś, kto budzi się po dwutygodniowej śpiączce.

- Faktycznie wydają się dość przytomne - odparła Reyer - ale z drugiej strony mamy to.

Popukała palcem w pięciusetstronicową stertę papierów leżącą przy komputerze. Znajdowali się w pokoju hotelowym przerobionym na biuro, w kościele przerobionym na hotel Martin's Patershof. Oczywiście w pokoju Jutty Reyer. Święty znów opromienił ją swym łagodnym światłem, ale Jutta miała go gdzieś. Powiedziała:

- To jest wyczerpująca ocena aktualnego stanu Massicotte, jaką otrzymaliśmy od trzech różnych zespołów lekarzy. *Dostał zawału, leżał nieprzytomny. A potem się ocknął.*

Söderstedt zmarszczył nos i uruchomił kolejny film. Teraz przy łóżku Massicotte siedzieli Söderstedt i Reyer. Aparaturę trochę odsunięto, kilka wężyków niebezpiecznie się napięło i wyglądały jak sznury na pranie rozwieszono nad łóżkiem Massicotte.

- Albo raczej jak pajęczyna - rzekł Arto Söderstedt na filmie.

- To ty jesteś muchą, która tam utknęła, Udo? - spytała Jutta Reyer. - Muchą, która za wolno latała. Ciekawe, czy wciąż tu jest. Chciałabym jej podziękować.

- Jak się czujesz? - spytał Söderstedt.

Massicotte nie odpowiedział. Utkwił natomiast absurdalnie bystre spojrzenie w bladym Finoszwedzie.

- Zaskakujące. Po raz pierwszy od dawna zrezygnowałeś z adwokata - stwierdził Söderstedt.

- A co mam do stracenia? - syknął Massicotte.

- Fabrykę? Niezwykle udane i nad podziw mobilne przedsięwzięcie komercyjne, firmę, w której eksperymentujesz z ludzkimi genami w Chinach i składasz oferty organizacjom przestępczym i paramilitarnym?

- A co by mi dał adwokat? Do diabła, leżę na łożu śmierci.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego według mnie jesteś taki uparty również w obliczu tak zwanej śmierci? - spytał Söderstedt. - Właściwie to odpowiedź składa się z trzech części, a ponieważ tę pierwszą możemy sobie darować, to może od razu przejdę do drugiej, co?

- Nie mam na to siły - powiedział słabym głosem Massicotte. - Czyli co było tą pierwszą częścią?

- Byłeś taki niezłomny bo zamierzałeś uciec. Mimo zaawansowanego wieku podjąłeś całkiem niezłą próbę, żeby wydostać się z pudła. Szanuję cię za to, ale za nic innego. W becze był bilet lotniczy na przelot z Brukseli do Bastii, drugiego co do wielkości miasta na Korsyce. A więc to tam jest teraz twoja główna siedziba? Chciałeś wykorzystać ostatnią szansę, by spędzić jesień życia w cudownym śródziemnomorskim klimacie. Potrafię to zrozumieć. Bastia to przepiękne miasto, zwłaszcza o tej porze, we wrześniu, kiedy nie ma już takich tłumów turystów.

Söderstedt zerknął na Juttę Beyer. Zmarszczyła brwi. Było wyraźnie widać, że nie chciała, by Udo Massicotte dostał prawdziwego zawatu.

- Tak - potwierdził Massicotte. - Chciałem zmienić tożsamość, uciec i osiąść w jakimś ciepłym miejscu.

- Brzmi wspaniale - stwierdził Söderstedt.

I wtedy Beyer nie potrafiła się dłużej powstrzymać. Otworzyła usta. Kiedy skupiła na sobie uwagę obu mężczyzn, zamknęła je i pokręciła głową.

- Moja koleżanka się denerwuje - rzekł Söderstedt. -
Przepraszani

Massicotte spojrział na niego, sceptycznie i pytająco jednocześnie.

- Wiesz, dlaczego moja koleżanka się denerwuje?

- Pewnie ma moralne wątpliwości - odparł Massicotte. -
Pamiętasz, co Nietzsche powiedział o moralności?

- Bardzo dużo o niej mówił - odparł Söderstedt. - I wszystko zależy od tego, jak bardzo ironiczny był w danej chwili.

- Istnieje moralność panów i moralność niewolników. Moralność panów zakłada, że istnieją ponadprzeciętni ludzie, którzy powinni rządzić. Szlachetni, wspaniałomyślni, wybitni. Siła i niezależność mają wielką wartość. Ale istnieje też moralność niewolników. Ta, którą wprowadzono razem z chrześcijaństwem. Twój ulubieniec, Erazm z Rotterdamu i Moreę, byli gotowi za nią umrzeć. To znaczy, że jesteś chrześcijaninem, Arto? Wierzysz w niewolników, którzy próbują ujarzmić swojego pana, udając, że wartości moralne mas są ważniejsze?

- Z tym cytatem ci się nie udało, Udo.

- Co masz na myśli?

- „Ta dla wszystkich ludzi w ogóle byłaby nie do zniesienia, gdybym znowu ja, ulitowawszy się nad taką biedą, przy niej nie stanęła”. Zakładam, że wiesz, w jakim kontekście Erazm z Rotterdamu to napisał?

Udo Massicotte wbił bardzo bystre spojrzenie w Arto Söderstedta.

Arto zatrzymał teraz film, siedząc na brzegu łóżka w pokoju hotelowym Jutty. Za oknem zapadał zmierzch. Święty świecił coraz słabiej. Wkrótce miały się zapalić uliczne latarnie. Ale akurat na tę porę przejściową święty zawieszał swoją działalność.

- Widzisz? - spytał Söderstedt. - To samo spojrzenie. Zdeterminowane.

- Może ma niewielki repertuar spojrzeń - odparła Beyer. - Wiesz, że bardzo cię cenię jako policjanta i jako człowieka, tyle że czasem za bardzo wykorzystujesz sytuację, Arto.

- Przekonamy się - odparł Arto Söderstedt i znów uruchomił film.

Udo Massicotte powiedział:

- Po pierwsze, nie wiem, o jakim cytacie mówisz. Po drugie, kontekst nie ma tu nic do rzeczy. Erazm wczuwa się w rolę i twierdzi, że przybył, żeby uratować ludzkość od starości i nieszczęść.

- Powinienem być się spodziewać, że źle to odczytasz.

- Źle? Tak jest przecież napisane.

- Oczywiście rozumiem, że ten cytat z Szanghaju przede wszystkim miał mnie rozzłościć. I tak się stało, udało ci się. Byłem tak wściekły, jak od dawna mi się nie zdarzyło. Ale pewnie można powiedzieć, że cytat nie spełnił swojego zadania. Gdybyś nie kazał temu biednemu chińskiemu biotechnologowi przekazać tej karteczki, pewnie opalałbyś się teraz na Korsyce. Ale ty pomogłeś mi się skupić.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie. Oczywiście, że nie. Wydawało ci się, że poprzez ten cytat mówisz, że uratujesz ludzkość. Lecz nie to ma na myśli Erazm z Rotterdamu w trzynastym rozdziale *Pochwały głupoty*. W twojej książce wciela się w rolę Głupoty. To sama Głupota przemawia. A dalej jest tak: „A przy tym kto by chciał mieć coś do czynienia albo w ogóle mógł wytrzymać z takim staruchem, co z tak ogromnym doświadczeniem swego wieku łączyłby równie wielkie siły umysłowe i bystrość sądu?”. Mogłeś stać się takim starcem, Udo, gdyby zachłanność nie zrobiła z ciebie

głupca. Ale głupota zawsze się pojawia w jesieni życia, by nie pozwolić, aby doświadczenie i bystrość umysłu osiągnęły wówczas swój szczyt, tak jak powinny. W chwili gdy doświadczenia życiowe i mądrość są największe, pojawia się głupota. „Moim to więc jest darem, że starzy bredzą”. Rozumiesz, co właściwie zacytowałeś? Powiedziałeś, że stałeś się już na to za stary. A ja ci odpowiedziałem: zgadza się. Ty, profesor Udo Massicotte, zrobiłeś się na to za stary.

- Próbujesz tylko uciec od tematu - burknął nadąsany Massicotte.

- Od jakiego tematu?

- Od trzyczęściowej odpowiedzi. Podałeś mi najwyżej *jedną* część.

- Chyba chodzi ci o to: jednym z powodów, dla których tak uparcie wszystkiemu zaprzeczasz, jest to, że zamierzasz uciec i dołączyć na Korsyce do swojego partnera w interesach i do byłej żony. Tak, w porządku, ale teraz, kiedy już wpadłeś i *nie dostałeś* żadnego zawatu, chodzi raczej o to, żeby ich chronić. Natomiast druga część odpowiedzi jest trochę bardziej metafizyczna i o wiele bardziej megalomańska. Ty naprawdę wierzysz, że zapiszesz się w podręcznikach historii. Ponieważ urodziłeś się jakieś pięć pokoleń za wcześnie, by w czysto fizycznym i genetycznym sensie osiągnąć wieczne życie, możesz przynajmniej zagwarantować sobie miejsce w przyszłym panteonie moralności panów, tworząc pierwsze działające egzemplarze „doskonałych przywódców”. Wierzysz z całego serca, że ci „doskonali przywódcy” wykorzenią moralność niewolników, to przewrażliwione podejście, według którego empatia, stosunek do ludzi i pokora są ważniejsze niż siła i niezależność, i tym samym zapiszesz się na zawsze w podręcznikach historii pisanych przez zwycięzców. Jako ten, który *metodami genetycznymi ponownie wprowadził moralność panów*. Myślisz, że będą pamiętać o tobie tak, jak zwolennicy moralności niewolników pamiętają o Chrystusie i Marksie.

- Gadasz bzdury.

- W drugiej części odpowiedzi - ciągnął Arto Söderstedt - chodzi wyłącznie o twoją próżność. A to jest zupełnie nieciekawe. Ale teraz dochodzimy do trzeciej części. Ta jest bardziej interesująca. Chodzi o coś, *co się dopiero wydarzy*. Co ma się stać dwudziestego siódmego, Udo?

Massicotte gapił się na niego wyraźnie rozszerzonymi oczami, nawet Jutta Beyer to widziała.

- O czym ty mówisz? - spytał.

- Dokładnie wiesz, o czym mówię, Udo. Sam mówisz, że leżysz na łożu śmierci, choć nawet na chwilę nie uwierzyłem w twój zawał, ale tak czy inaczej zaczynasz się naprawdę starzeć. Rozumiem, że pokusa, by wnieść wkład w historię ludzkości, jest banalnym sposobem przeciwdziałania starości. To znaczy, gdybyś naprawdę był na tyle stuknięty, by wierzyć w te brednie o moralności panów. *Ale tak cholernie by ci pomogło*, gdybyś nam powiedział, co to za „pierwsze” mają być „gotowe na dwudziestego siódmego”. Byłbyś wolny. Naprawdę mógłbyś przeżyć te dziesięć lat razem z Mirellą, na przykład w pięknej malutkiej miejscowości Propriano na południu Korsyki. Może nawet w czteropokojowym mieszkaniu przy Rue du 9 Septembre, ze wspaniałym balkonem, z którego rozciąga się widok na Morze Śródziemne. To tak tytułem propozycji.

Teraz Udo Massicotte naprawdę miał zawał. Jutta Beyer była o tym przekonana. Jego ciało wygięło się w łukna łóżku, wężyki i kable znów zaszeleściły w nierównym rytmie jego świszczącego oddechu. Widok był straszny.

- Możesz to sobie robić, ile razy zechcesz - oświadczył lodowatym tonem Arto Söderstedt. - To twoja absolutnie ostatnia szansa, żeby ze mną porozmawiać. Ale zanim znów zaczniesz udawać, może chociaż pomyśl życzliwie o Mirelli w areście na Korsyce. Za minutę ja i Jutta wyjdziemy z tej celi i już nie wrócimy. Potem będziesz rozmawiał z urzędnikami, którzy nie będą ci mieli do zaoferowania nic ciekawego.

Napad minął. Minął szybko. Z punktu widzenia medycyny -

niewytłumaczalnie szybko.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Udo, oddychając zupełnie normalnie.

- Takie sformułowania to zawsze jakiś sposób, by powstrzymać rozmowę, nic konkretnego przy tym nie mówiąc. To nie moja bajka. Masz minutę od teraz, potem nie dostaniesz kolejnej szansy.

- Czego ty, kurwa, chcesz?

- Napisała to Mirella albo Barnworth. Notatka brzmi: „Pierwsze gotowe na dwudziestego siódmego”. Sześć wykrzykników. Podkreślone pięć razy. To coś ważnego.

- O do diabła - powiedział Massicotte.

- Nie, nie, dosyć tego. Zostało ci już tylko pół minuty. Dwudziesty siódmy to oczywiście data, pewnie teraz, we wrześniu, ale co znaczy „pierwsze gotowe”?

- Nie wiem! Nie mam zielonego pojęcia. Sami wiecie, jak mi było trudno utrzymywać stąd kontakty z zewnętrznym światem. Wiecie, ile musiałem wybulić staremu kumplowi, żeby został zastępcą dyrektora więzienia?

- To dlaczego sobie tak skomplikowałeś życie? Dlaczego nie posłużyłeś się po prostu swoim adwokatem?

- Nie wtajemniczam mojego adwokata w pewne obszary mojej działalności. Dla niego nie ma żadnych Chin. I nic nie wiem o żadnym pieprzonym dwudziestym siódmym. Naprawdę nic. Tamtej nocy udało się przekazać mi komórkę, ale nic poza tym

- Co dokładnie powiedziałeś tej nocy tym na Korsyce?

- Przez dobę ograniczcie działalność, a potem się zwijajcie. Niech to wygląda tak, jakbyście dalej działali. A później natychmiast uciekajcie. Tych dwóch biotechnologów wpadnie, ale dobrze im wynagrodzimy ich milczenie. A potem podałem ten cytat z Erazma. Domyślnym adresatem miałeś być ty, Arto. Miałeś to dostać, kiedy ja będę już w drodze na Korsykę.

- Kazałeś Korsyce dopilnować, żeby Shengji się ewakuowało?

- Coś w tym stylu. To był przecież prowizoryczny obiekt. Opuszczenie go powinno przebiegać szybko. I nie mogły zostać

żadne ślady DNA.

- Wciąż zostało ci kilka kroków do cudownej emerytury na Korsyce. Kto wymyślił nazwę Shengji, „siła życiowa”? Ty to zrobisz? Z więzienia?

- Nie, zrobił to ktoś inny.

- Pozwól, że zgadnę. Lokalny szef z Szanghaju to wymyślił. Jak się nazywa?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Udało ci się zatrzymać zegar - powiedział Söderstedt. - Ale teraz mija ci ostatnie pół minuty, Udo. Jaka szkoda. Podaj nam nazwiska ludzi z Chin odpowiedzialnych za Fabrykę. Daj nam nowy adres Fabryki. Gdzie jest ostatnia partia zmanipulowanych genetycznie niemowląt?

W tym miejscu Jutta Beyer zatrzymała film. Arto Söderstedt zmarł w niezbyt twarzowym ujęciu z profilu, z lekko otwartymi ustami.

- Nie tutaj mieliśmy zatrzymać - zaprotestował Söderstedt, zerkając z zaciekawieniem na Beyer.

W dole na ulicy zapaliła się latarnia. Święty znów zaczął świecić. Rzucił blask na Juttę Beyer, która faktycznie wyglądała, jakby wpadła na jakiś pomysł.

- To sformułowanie - powiedziała z rozszerzonymi oczami.

- Które? - spytał Söderstedt, patrząc z lekkim zdziwieniem na własny profil na ekranie.

- To znaczy, tak mi to nagle przyszło do głowy - powiedziała. - „Gdzie jest ostatnia partia zmanipulowanych genetycznie niemowląt?”

- No i? - spytał z wyczekiwaniem w głosie.

- Słowo „ostatnia” - wyjaśniła Jutta Beyer. - Czy może mieć jakiś związek ze słowem „pierwsze”?

- Jak w...

- Właśnie. Jak w „Pierwsze gotowe na dwudziestego siódmego!!!!!!”.

- Czyli „Pierwsza partia zmanipulowanych genetycznie niemowląt gotowa na dwudziestego siódmego”? A niech to,

Jutta! Tak myślisz?

- Tak mi tylko przyszło do głowy. Z tego, co wiemy, w sekcji NATO nie odbywała się produkcja masowa. Sir Michael Dworzak prowadził badania podstawowe, oczywiście groteskowe z etycznego punktu widzenia, ale podstawowe, natomiast Massicotte dostrzegł komercyjny potencjał. Z tego, co pamiętam, sekcję NATO zamknięto w styczniu dziewięćdziesiątego drugiego. Przy założeniu, że już w dziewięćdziesiątym drugim albo, powiedzmy, w dziewięćdziesiątym trzecim uruchomiono masową produkcję, to pierwsza partia miałaby w tej chwili ile? Osiemnaście lat? *Gotowe na dwudziestego siódmego*. Żeby... no nie wiem... pokazać je potencjalnym klientom? Pierwszy liczący się zwrot z zainwestowanego kapitału? To przecież dlatego Udo milczy i zdradza tylko to, co nie pomoże nam odnaleźć Fabryki. Teraz zaczyna się, że tak powiem, zwrot nadpłaconego podatku.

- Chwalmy Pana, zbliża się zwrot nadpłaconego podatku!

- Właśnie.

- A ponieważ wciąż kontynuują produkcję i dostrajają metody dzięki nowym genom, takim jak MSTN, LPL czy HOX, ten zwrot będzie trwał jeszcze przez co najmniej osiemnaście lat. Cholera, tak, to się może naprawdę zgadzać, jakkolwiek naciągane by to się w tej chwili wydawało.

- Musimy jeszcze raz pogadać z Udem - powiedziała Beyer.

- Niestety, nie skończyło się to za dobrze - stwierdził Söderstedt. - Obejrzymy do końca film, zanim poinformujemy Hagę?

- Tak - odparła Beyer i wcisnęła klawisz.

- Masz papier i ołówek? - spytał Söderstedt. - Analiza, a potem porównanie. Dobra?

Beyer kiwnęła głową. Film ruszył, usta Söderstedta się zamknęły, a Udo Massicotte powiedział:

- Nie wiem, gdzie jest ta wasza tak zwana Fabryka. Znów się przenieśli w trybie alarmowym. Nie mam pojęcia. I nie wiem, kto kieruje działalnością w Chinach.

- Czyli chcesz przez to powiedzieć, że ci, którzy to wiedzą, są na Korsyce? Że to Mirella i Barnworth. Zadbam o to, żeby zaczęto ich o wiele intensywniej przesłuchiwać. Przyszła pora, żeby dać korsykańskiej policji wolną rękę. Dość tych bzdur o humanitarnych granicach podczas przesłuchań. Teraz przyszedł czas na przemoc, Udo.

Massicotte wpatrywał się w niego, ale się nie odzywał. Zaciął usta.

Arto Söderstedt wyjął z kieszeni karteczkę i podał ją Beyer.

- Teraz przeczytamy ci serię nazwisk i chcemy, żebyś to skomentował, Udo.

- Zrób teraz zbliżenie jego twarzy - odezwał się Söderstedt w pokoju hotelowym

I tak się stało. Podczas wyczytywania nazwisk widzieli tylko twarz Massicotte. Beyer zaczęła:

- Jurgen Aigner.

Uważnie obserwowali reakcję Massicotte. Jutta czytała dalej:

- Afrim Bogdani.

W ten sposób przeczytała całą listę z wielkiego dokumentu na twardym dysku, którą dostali od Paula Hjelma: William Davis, Martę Haugen, Tuukka Koskinen, Clement Lefebvre, Lu Donghai, Meng Huidai, Yamato Saitou, Carlos Smith, Tsubasa Watanabe.

Potem Massicotte powiedział tylko:

- Następnym razem będziecie gadać z moim adwokatem.

Na tym film się skończył. Spojrzeli po sobie. Każde z nich zrobiło notatki na osobnej karteczce. Teraz porównali je bez słowa. Na obu widniały trzy nazwiska: Martę Haugen, Clement Lefebvre, Lu Donghai.

- No dobra - powiedziała Jutta Beyer. - Mam zadzwonić?

- *Be my guest* - odparł Arto Söderstedt ze wspaniałomyślnym gestem.

Beyer zadzwoniła. Nikt nie odebrał. Odezwał się tylko znajomy głos:

- Skrzynka głosowa Paula Hjelma. Zostaw wiadomość po

sygnale.

Jutta pokręciła głową i wybrała inny numer. Tym razem dodzwoniła się po dwóch sygnałach.

- Balodis - usłyszała.

- Cześć, Laima - powiedziała Beyer. - Tu Jutta. Wciąż go nie ma?

- Tak - westchnęła Laima Balodis. - Siedzimy tu same, ja i Miriam. Ostatnia para, która została na miejscu. Jak szef może po prostu zniknąć? Niedługo miną trzy doby.

- Może pora poinformować dyrekcję Europolu? - spytała Beyer.

- Zastanawiamy się nad tym - odparła Balodis. - Ale powiedział przecież: „Zniknę teraz na parę dni. Po prostu pracujcie dalej”. Uważam, że powinniśmy się wstrzymać. On zwykle wie, co robi. Co u was?

- Massicotte się ocknął, przesłuchaliśmy go. Uznaliśmy, że powinniśmy złożyć raport zastępcy szefa Opcop, a przecież ty nim jesteś, Laima.

- Przeszkadza ci to? Wołałabyś Miriam?

- Jedna surykotka warta drugiej - odparła Jutta Beyer. - Gotowa?

- Tak, tak, jedź. Wszystko nagram.

- Raport z Mechelen. Przesłuchanie profesora Uda Massicotte, dnia ósmego września. Dwa potencjalne rezultaty. Pierwszy. Zauważyliśmy wyraźną reakcję Massicotte na następujące nazwiska z listy: Martę Haugen, Clement Lefebvre, Lu Donghai. Jedna lub więcej z tych osób prawdopodobnie działa w tej chwili w Fabryce w Chinach. Drugi. Niniejszym wysuwamy hipotezę, że notatkę z Korsyki - „Pierwsze gotowe na dwudziestego siódmego” - należy odczytać jako: „Pierwsze pokolenie zmanipulowanych genetycznie dzieci zostanie przygotowane na dwudziestego siódmego września, by pokazać je potencjalnym klientom”.

- Dzięki. Wszystko się nagrało. A niech mnie! Jakies dowody?

- Żadnych. To hipoteza.

- Okej, dzięki.

Laima Balodis się rozłączyła i spojrzała na Miriam Hershey w dziwnie pustym open spacie grupy Opcop siedziby Europolu w Hadze.

- Te pieprzone brednie o surykatkach - powiedziała.

- Opuść sobie - odparła Hershey. - Zazdrości nam naszej przyjaźni, to wszystko. Ale bardzo możliwe, że ma rację.

- Z „pierwszymi”? Tak, to sensowna interpretacja. Wyślę to Hjelmowi. Gdziekolwiek się, kurwa, podziewa.

- Dobra. Dochodzi dziewiąta. Kończymy na dziś? Siedzimy tu przecież same.

- Wydaje mi się, że wpadłam na jakiś trop - odparła Balodis, znów pochylając się nad komputerem. - Wiem, że Donatella coś ukryła w swoim materiale ze śledztwa. W tej chwili sprawdzam częstodiwość występowania wyrazów.

- Częstodiwość występowania wyrazów?

- Bruno nieproporcjonalnie często używa kilku słów. Wiem, że już to przerabialiśmy, ale chcę to zestawić z jej wszystkimi wcześniejszymi raportami. Przeprowadzam coś w rodzaju porównania. To trochę skomplikowane, aż tak dużo raportów nie napisała przecież po angielsku, więc dorzuciłam te po włosku z ostatnich pięciu lat. Próbuję to porównać. Coś w stylu Google Translate. Prymitywne tłumaczenie. Metoda pradziadka.

- Upierdliwa robota - stwierdziła Hershey, zamykając swój komputer. - W każdym razie ja się zwijam.

Zadzwoiła jej komórka. Balodis zobaczyła, jak jej przyjaciółka sztywnieje i łagodnieje równocześnie. Zrozumiała, o co chodzi.

Hershey niewiele mówiła. Przez większość czasu słuchała. Co jakiś czas rzucała pojedyncze „tak” albo „nie” i dopiero pod koniec trwającej niecałe dwie minuty rozmowy sformułowała dwa pełne zdania.

- Bardzo uważasz z tą komórką, tak? I poza tym też jesteś ostrożny?

A potem rozmowa się skończyła. Balodis spojrzała na nią. Miriam wydawała się smutna. Jakby miała wyrzuty sumienia.

Miriam Hershey, podobnie jak Balodis, nie była kobietą, która nadużywa słowa „ostrożny”.

- Nicholas? - spytała Balodis.

- Mhm - mruknęła Hershey. - Pierwszy kontakt od dwóch tygodni. Widać pierwszy raz miał szansę użyć komórki. Pierwsza przepustka podczas obozu treningowego na pustkowiach Alabamy. Dają im potworny wycisk.

- Żadnych problemów?

- Nie wygląda na to. Wydawał się... sama nie wiem... szczęśliwy?

- Sam o tym nie wiedział, ale to właśnie za czymś takim tęsknił. Mówiłam ci przecież.

- Wiem Ale nieustannie ryzykuje życie.

- Ty też.

- No tak...

- Co to za szkolenie?

- Wojskowe. Ostry wycisk, jak mówiłam Dużo ćwiczeń w szturmowaniu budynków i przeprowadzaniu ataków. Mówił coś o „blitzatakach”, w sumie sama nie wiem, co to dokładnie znaczy.

- Pewnie jakieś błyskawiczne ataki - odparła Balodis. - W każdym razie brzmi to jak podstawowe szkolenie wojskowe. Tyle że bardziej atak niż obrona. A co ze szkoleniem dla ochroniarzy?

- Nic takiego nie robią. Mieszkają w wojskowym obozie w namiotach na pustkowiach. Noszą wojskowe ciuchy.

- Hmm - mruknęła Balodis. - Spróbuję jeszcze raz się dodzwonić do Hjelma. Co on, kurwa, wyprawia? Odbił się od ściany i teraz próbuje się zachlać w jakimś obskurnym motelu? A może miał tego dość i wybył z kochanką na Bahamy?

- Albo robi coś nieoficjalnego, tak jak wtedy latem, razem z tobą...? Nigdy się nie połąpałam, o co w tym chodziło. Mielicie jakiś potajemny romans?

- Nie - odparła Balodis. - Wykorzystał mnie do brudnej roboty.

- To się dopiero nazywa świadomość gender.

- Przez wiele tygodni go nienawidziłam A potem go kochałam

Kiedy już zrozumiałam, o co chodzi.

- Kochałaś?

- Ech, nie wygłupiaj się. Ja tak nie robię. To ty i Nicholas tak robicie. U nas w domu dźwięk dobrze się niesie.

- Słyszałaś nas?

- To mało powiedziane... Wydaje się... taki witalny...

- Ups. Ale co z tobą? Co za „ja tak nie robię”?

- Nie mogę. To... zbyt blisko...

- Zbyt blisko Kłajpedy? Chcesz o tym porozmawiać? Nigdy dotąd nie chciałaś...

- Wiesz, co myślę? Myślę, że Hjelm niedługo wróci i wyśle nas do Nowego Jorku. Żebyśmy czuwały nad Nicholasem i pilnowały Camulus. Wtedy będziemy mogły poważnie porozmawiać.

- Jestem przy tobie. Zawsze kiedy tylko zechcesz. Ale tak myślisz? Nowy Jork?

- Dzwonię do niego.

Laima Balodis zadzwoniła. W ciągu ostatnich trzech dni robiła to wiele razy. Nikt wtedy nie odbierał.

- Tak, Laima? - powiedział telefon.

- Co? Halo? Do diabła, gdzie jesteś, Paul?

- Tu, w Hadze. Wszystko w porządku.

- Ale...

- Nie. Wszystko dobrze. Co powiesz na wyjazd do Nowego Jorku?

Ruth patrzyła na zdjęcie swojego zmarłego męża; wydawał się na nim taki pełen życia. Ten widok zawsze sprawiał, że zaczynała się zastanawiać nad ludzką egzystencją. Uczucia z różnych etapów życia przepływały przez nią niczym rzeka czasu. Wszystkie te drobne wybory, pozornie banalne codzienne chwile, które o wszystkim decydują. O tym, czego chcemy, za czym tęsknimy, czego pożądamy. Kim się stajemy.

Życie było walką, walką o to, by stać się całością. Nie spotkała jeszcze nikogo, komu by się to udało. Nie wspominając już

nawet o samej sobie.

Samotność. Tak, była samotna. Potem chciała, żeby tak było. Kto mógłby dzielić walkę innego człowieka o to, by stać się całością? A mimo to przez cały czas udzielała rad ludziom szukającym innych ludzi, by odnaleźć tę całość. To był paradoks. Dobrze sobie z nim radziła. W sumie to bardzo dobrze.

Ruth uśmiechnęła się i odłożyła zdjęcie męża. Prawda była taka, że nigdy nie byli bardzo blisko. A mimo to bez wątpienia był człowiekiem, do którego najbardziej zbliżyła się w życiu. Zmarł młodo, a ona wcześniej została sama. I wybrała, by tak pozostało.

Ale zdarzało się, że pragnęła, by w jej życiu wydarzyło się coś nowego. Coś burzliwego.

Jej myśli powędrowały do Paula Hjelma. Tęskniła za nim. Zastanawiała się, co się z nim działo. Właściwie nie dlatego, że był bystrzejszy i bardziej przenikliwy od wszystkich innych jej pacjentów, ale z dwóch całkiem racjonalnych powodów. Po trochu dlatego, że tak świetnie ze sobą współgrali, a po części bo opowiadał takie ciekawe historie. I dlatego, że lepiej niż większość ludzi rozumiał, iż psychika niewiele znaczy bez swojej zewnętrznej aktywności.

Poza tym jego historie były przerażające. Dawały jej wgląd w przyszłość, której częścią nie chciała być.

Europa. Zastanawiała się nad tym przez jakiś czas. Nad powracającym marzeniem o państwach narodowych, o prakolebce, prawdziwej ojczyźnie sprzed globalizacji. Ta idea na przestrzeni dziejów wyrządziła tyle zła. Gdyby jednak to było możliwe, by nagle istnieli jacyś *my*. Jacyś *my* bez *my przeciwko nim*.

To, że i tak pozostałaby egzystencjalna samotność, to już zupełnie inna historia.

Ruth właśnie nalała sobie spory kieliszek czerwonego wina i miała usiąść w ulubionym fotelu, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Tak późno wieczorem nigdy się to nie zdarzało. Właściwie to w ogóle się nie zdarzało. Wyprostowała się, poprawiła bluzkę i

spódnicę i poszła otworzyć.

Na progu stał Paul Hjelm. Ruth poczuła, że wbrew wszelkim zasadom szeroko się uśmiecha i ten uśmiech nie znikł, gdy dostrzegła jego towarzyszy. Bo nie przyszedł sam. Za nim stali mężczyzna i kobieta. Nim zdążyła racjonalnie pomyśleć, uderzyło ją, jacy byli piękni.

- Paul? - Zaczynało do niej docierać, jak bardzo nie na miejscu była ta wieczorna wizyta.

- Ruth - odparł i uśmiechnął się przelotnie. - Sama rozumiesz, że w tej chwili łamię kilkanaście reguł z wielu różnych regulaminów. Jeśli nie chcesz nas wpuścić, natychmiast odejdziemy.

Ruth spojrzała mu w oczy, szybko pokręciła głową i szeroko otworzyła drzwi.

Zatrzymali się w przedpokoju. Ruth zamknęła drzwi i przekręciła zamek.

- To jest Vera - powiedział Hjelm. - A to jest Watkin.

Przywitali się. Gdy spojrzała w oczy mężczyzny, zobaczyła w nich, że zabijał. Prawdopodobnie wiele razy.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, że nigdy bym nie przyszedł do twojego domu, gdyby sytuacja nie była krytyczna - powiedział Hjelm.

- Mój adres jest bardzo tajny - odparła Ruth.

- Nic już nie jest tajne - rzucił.

- Czego chcesz? Czego chcecie?

- Muszę pomóc tym dwojgu na jakiś czas się ukryć. Mogliby zatrzymać się u ciebie na kilka dni. Wiem, że masz osobną część mieszkania, którą wynajmujesz...

- Pewnie nawet wiesz dokładnie, ile mam metrów kwadratowych...

- Tak. Możesz mi wierzyć, *światnie* wiem, jak bardzo to wszystko jest nie na miejscu. Ale to *force majeure*.

- Chodźcie za mną - powiedziała spokojnie Ruth, przechodząc przez okazały salon.

Poprowadziła ich przez wielkie przesuwane drzwi do

posprzątanego, ale wyraźnie nieużywanego pomieszczenia. Było tam kolejnych dwoje drzwi. Otworzyła najpierw jedno, potem drugie, a na koniec niezbyt entuzjastycznie, jak agentka z biura nieruchomości, rzekła:

- Toaleta, osobny aneks kuchenny. Od kilku miesięcy nie udało mi się tego wynająć. Jedyłą wadą jest brak osobnych drzwi wejściowych.

- I tak nie będziemy wychodzić - odparła kobieta o imieniu Vera.

- Dziękujemy - powiedział mężczyzna o imieniu Watkin.

- Macie przecież niewiele bagażu - stwierdziła Ruth, wskazując na dwa podniszczone plecaki. - Może doprowadźcie się trochę do porządku, a ja zamienię parę słów z waszym... przewodnikiem...

Wyciągnęła Paula Hjelmą przez przesuwane drzwi i zamknęła je.

- Dawno się nie widzieliśmy, Paul.

Spojrzał w jej bystre brązowe oczy i odparł:

- Naprawdę przepraszam...

- Czy to ma związek z tym, o czym rozmawialiśmy wcześniej?

- Pośrednio. Albo w sumie bezpośrednio. Będziemy musieli kiedy indziej o tym pomówić.

- O tak, będziemy musieli - odparła Ruth. - Ceną za to będzie co najmniej pięć sesji. Pierwsza jutro. Mam czas o pierwszej.

Hjelm zaśmiał się.

- Spróbuję przyjść.

- „Spróbuję” nie wystarczy.

- Ale to nie dlatego mnie tu wyciągnęłaś.

- To było jeszcze bardziej banalne. Zastanawiam się, jak bardzo to wszystko jest *niebezpieczne*. Hjelm milczał przez chwilę. Spojrzał Ruth w oczy. Naprawdę w nie spojrzał, po raz pierwszy od dawna. W końcu odparł:

- Skłamałbym, twierdząc, że nie ma żadnego ryzyka. Ale nikt nie wie, że oni tutaj są. I tak powinno pozostać.

- Z drugiej strony niedawno powiedziałaś, że nic już nie jest

tajne.

Hjelm powoli pokiwał głową.

- Dlatego istnieje pewne ryzyko. Ale bardzo niewielkie.

Ruth wciągnęła głęboko powietrze.

- To jest W, prawda? - spytała.

- IV.

I to w tym momencie zadzwoniła komórka Hjelm. Ruth wskazała na przesuwane drzwi, wycofała się do pokoju gościnnego i zamknęła za sobą.

- Tak, Laima? - odebrał Hjelm

- Co? - wybuchnęła Laima Balodis. - Halo? Do diabła, gdzie jesteś, Paul?

- Tu, w Hadze. Wszystko w porządku.

- Ale...

- Nie. Wszystko dobrze. Co powiesz na wyjazd do Nowego Jorku?

- Domyślałam się, że to powiesz. Nicholasa już tam nie ma.

- Obóz treningowy?

- Najwyraźniej jakieś wojskowe szkolenie. Pustkowiec w Alabamie. Głównie blitzataki.

- O do diabła. Chcę, żebyście miały na oku Camulus. I żebyście były trochę bliżej Nicholasa. Coś się szykuje.

- Dobra - powiedziała Balodis. - Podczas twojej zagadkowej nieobecności, z której pewnie nie zamierzasz się tłumaczyć, przegapiłeś między innymi, że Massicotte się obudził. Jutta i Arto go przesłuchali. Jutta nagrała raport. Chcesz posłuchać?

- Pewnie.

Po kilku sekundach w telefonie rozległ się głos Jutty Beyer.

- Raport z Mechelen. Przesłuchanie profesora Uda Massicotte, dnia ósmego września. Dwa potencjalne rezultaty. Pierwszy. Zauważyliśmy wyraźną reakcję Massicotte na następujące nazwiska z listy: Martę Haugen, Clement Lefebvre, Lu Donghai. Jedna lub więcej z tych osób prawdopodobnie działa w tej chwili w Fabryce w Chinach. Drugi. Niniejszym wysuwamy hipotezę, że notatkę z Korsyki - „Pierwsze gotowe na dwudziestego

siódmego” - należy odczytać jako: „Pierwsze pokolenie zmanipulowanych genetycznie dzieci zostanie przygotowane na dwudziestego siódmego września, by pokazać je potencjalnym klientom”.

- Dziękuję, Laima - powiedział Hjelm. - Bardzo interesujące. A teraz jedź do domu i się prześpij.

- Jeszcze nie - odparła Balodis. - Zostało mi jeszcze kilka słów do sprawdzenia.

- Mnie też - odrzekł Hjelm i wygrzebał z kieszeni karteczkę.

Ale Laima Balodis zdążyła się już rozłączyć.

Otworzył przesuwane drzwi i wszedł do środka. Ruth i Vera rozmawiały o lodówce w małym aneksie kuchennym. Watkin zdążył już wypakować cztery laptopy na o wiele za małą toaletkę i był zajęty podłączaniem jakichś przewodów. Hjelm podszedł do niego i podał mu karteczkę z jedenastoma napisanymi odręcznie nazwiskami.

- Poznajesz któreś z tych nazwisk?

W przejrzał listę i bez słowa wskazał dwa. Yamato Saitou i Martę Haugen.

- No i? - spytał Hjelm.

- Oboje byli na Caprai - odparł W. - Przekupiłem Saitou, wpuścił mnie, żebym mógł uzbroić bombę. Potem zniknął bez śladu. Haugen była jedną z trzech osób ponoszących odpowiedzialność naukową za projekt, pozostałej dwójki nie ma na liście.

Hjelm kiwnął głową.

- Żadne z pozostałych nic ci nie mówi?

- Nie - odparł W i wrócił do podłączania kabli.

Ponownie przechodząc przez rozsuwane drzwi, Paul Hjelm znów pomyślał o czasie. Która była teraz godzina w Szanghaju? Pewnie dochodziła czwarta rano. Następnego dnia. Mimo wszystko zadzwonił.

Wu Wei miał trochę zaspany głos, kiedy odebrał.

- Jest bardzo późno.

- Albo wcześniej - odparł Hjelm. - Zależy, jak na to spojrzeć.

Przepraszam, ale wydaje mi się, że to ważne.

- Późno - odparł Wu Wei. - Zamieniam się w słuch.

- Dostałeś listę nazwisk, prawda?

- Aigner, Bogdani, Davis, Haugen, Koskinen, Lefebvre, Lu, Meng, Saitou, Smith, Watanabe - wyrecytował płynnie Wu Wei.

- Teraz wszystkich sprawdzamy. To dość skomplikowane.

- Naprawdę spałeś?

- Czego chcesz?

- Są powody, by skupić się na Martę Haugen - odparł Hjelm

- Dobrze - odpowiedział Wu Wei. - Prześlij mi mailem dokładniejsze informacje.

- Śpij dobrze - odrzekł Hjelm i się rozłączył.

Telefon natychmiast ponownie zadzwonił. Hjelm zaczął się na poważnie zastanawiać, czy go nie wyłączyć. To było parę przyjemnych dni. Pod tym względem. I pod żadnym innym.

Nuevo Laredo, pomyślał, odbierając.

- Aha - powiedział telefon. - No to teraz wszystko gra.

- Mam j et lag - odparł Hjelm. - Czego chcesz, Arto?

- Po podróży na wschód zawsze trudniej jest dojść do siebie niż po podróży na zachód - odparł Arto Söderstedt. - Stany Zjednoczone?

- Później o tym pomówimy. Dostałem raport o przebudzeniu Massicotte. Dobra myśl z tym „Pierwsze pokolenie zmanipulowanych genetycznie dzieci zostanie przygotowane na dwudziestego siódmego września, by pokazać je potencjalnym klientom”.

- Jutta na to wpadła - odparł Söderstedt. - Poza tym zauważyliśmy wyraźną reakcję na akurat te trzy nazwiska. Pewnie pamiętasz je równie dobrze jak to, co przed chwilą zacytowałeś.

- O tak. A czemu teraz dzwonisz?

- Znow jesteśmy w De gevangenis van Mechelen. Musimy złożyć dodatkowy raport.

- Dobra - powiedział Hjelm. - Słucham

- Dziesięć minut temu Udo miał prawdziwy zawał.

- Uch! Co go spowodowało?
- Kolejne przesłuchanie. Trochę mocniej naciskaliśmy na trzy nazwiska.
- Domyślam się, na jakie. Kiedy dokładnie nastąpił zawal?
- Kiedy próbowałem wyciągnąć z niego coś więcej o Martę Haugen - odparł Söderstedt.

Tear down the wall

Ajaccio, Korsyka, 10 września

WRZEŚNIOWE SŁOŃCE nie przestało się odbijać w wodach Morza Śródziemnego, gdy Adrian Marinescu z Felipem Navarro na miejscu pasażera skręcili na zachód w Avenue du Colonel Colonna d'Orna no. Ale oni już go nie dostrzegali . Po jakimś czasie Avenue du Colonel Colonna d'Ornano przeszła w Route du Vitullo, przy której mieściła się główna siedziba Gendarmerie Nationale w stolicy Korsyki, Ajaccio.

W areszcie Gendarmerie Nationale od ponad tygodnia siedzieli Mirella Massicotte i Colin B. Barnworth. Gdy znajdowali się po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań, wydawało się, że są od nich oddaleni nie więcej niż metr. Ale to były jedynie pozory. Między nimi wznosił się mur, i ten mur składał się z adwokatów. Adwokaci, adwokaci, wszędzie adwokaci.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Felipe Navarro nie siedział nadąsany na tylnym siedzeniu. Jednak wciąż nie rozumiał, jak jego życie mogło się w taki sposób potoczyć. Spędził ponad tydzień na w sumie fantastycznej górzystej wyspie na Morzu Śródziemnym, ale w Fladze została nie tylko jego rodzina, żona Felipa, na którą nagle spadła ogromna odpowiedzialność za syna Felixa, ale też grupa Opcop. Fljelm Przegląd sytuacji. Absurdalnie było nie mieć jakiegokolwiek przeglądu. Felipe Navarro od dłuższego czasu był mrówką, która nie potrafiła znaleźć drogi powroUiej do mrowiska.

Ale dziś miało być inaczej. Musieli wrócić do mrowiska, do domu.

Sztuka postawienia wszystkiego na jedną kartę.

Naprawdę wszystkiego.

Marinescu zahamował przed posterunkiem policji. Navarro

westchnął ciężko. Wymienili szybkie, znaczące spojrzenia i wysiedli z samochodu. Marinescu aktywował małe urządzenie, które zaczęło mrugać na czerwono, umieścił je w donicy przed siedzibą Gendarmerie Nationale i kiwnął głową do Navarro. Potem poddali się normalnym procedurom sprawdzania tożsamości, zeszli po schodach do piwnicy, przystanęli pod światłem strzeżonymi drzwiami i zapukali.

- Za chwilę - odezwał się głos adwokata.

Akurat, pomyślał Felipe Navarro i dał znak strażnikowi, by ten otworzył drzwi. Navarro i Marinescu ramię w ramię weszli do środka. Czterej adwokaci zerwali się równocześnie i rozpoczęli chóralny lament. Navarro zbył ich machnięciem ręki i usiadł. Marinescu natychmiast zrobił to samo. Obaj wyłożyli na stół teczki i otworzyli je z synchronizacją godną skoczków do wody. Otoczyła ich paplanina adwokatów.

Mirella Massicotte i Colin B. Barnworth patrzyli wszędzie, byle tylko nie na policjantów. Starali się z całych sił wyglądać na obojętnych i zmęczonych.

- Udo Massicotte nie żyje - powiedział Felipe Navarro.

To uciszyło paplaninę adwokatów i skierowało spojrzenia Mirelli i Barnwortha we właściwe miejsce.

- Wczoraj w nocy miał zawał - ciągnął Navarro. - Zmarł godzinę temu, nie odzyskawszy przytomności.

Mirella wstała, zasłaniając usta dłonią. Bardzo pobladła. Barnworth również wyglądał na wstrząśniętego.

- Moglibyśmy choć raz porozmawiać bez adwokatów? - spytał Navarro, z rezygnacją wskazując na nich ręką.

- Oczywiście, że nie - odezwał się główny adwokat Barnwortha, ten sam, który wcześniej doprowadził do jego uniewinnienia z kilku nieistotnych względów formalnych.

- Dobrze - powiedziała Mirella. - W porządku.

Jej adwokaci rozmawiali między sobą. Prawnicy Barnwortha też zaczęli się wtrącać, coraz intensywniej. W końcu paplanina osiągnęła ten sam poziom co poprzednio.

- Dość! - krzyknęła Mirella z paniką w głosie. - Wynoście się!

Adwokaci wyszli, zabierając ze sobą Barnwortha. Navarro i Marinescu synchronicznie spojrzeli na zegarki. Prawdopodobnie mieli około dziesięciu minut.

- Jak to się stało? - spytała Mirella, zasłaniając twarz dłońmi. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Wiesz, że jego pierwszy zawał był udawany, prawda? - spytał Marinescu.

Pokręciła tylko głową i odparła:

- Miał serce ze stali.

- Powiedziałbym raczej, że z ołowiu - stwierdził Navarro - ale teraz przestało bić. Niestety, to pytanie zadane przez naszych kolegów zakończyło jego żywot.

- Co za pytanie?

- O interpretację twojej notatki „Pierwsze gotowe na dwudziestego siódmego!!!!!!”. Nasi grafolodzy ustalili, że ty to napisałaś.

- Jaką znowu interpretację? - zawyła Mirella Massicotte.

- Nie jestem pewny, czy twoi adwokaci by chcieli, żebyś o tym z nami rozmawiała - wtrącił Marinescu.

- Czyli on nie żyje? Mój Udo! Dobry Boże! Pieprzyć adwokatów, powiedzcie mi, jak to się stało.

- Nasz kolega zapytał Uda w Mechelen, czy „Pierwsze gotowe na dwudziestego siódmego”, czyli twoja notatka, Mirello, oznacza: „Pierwsze pokolenie zmanipulowanych genetycznie dzieci zostanie przygotowane na dwudziestego siódmego września, by pokazać je potencjalnym klientom”.

- Chwycił się za serce i po prostu zasłabł - dodał Navarro.

- Dlaczego tak mocno to przeżył, Mirello? - spytał Marinescu.

Mirella Massicotte usiadła i odsłoniła twarz. Z jej oczu wciąż płynęły łzy, ale wyraz twarzy się zmienił. Policzki, które przeszły niejedną operację plastyczną, były popielatoszare.

- To pierwsze pokolenie miało być puszczone do obrotu, prawda? - spytał Navarro. - Są w Chinach?

Mirella potrząsnęła tylko głową. Łzy nie przestawały płynąć.

- Co się ma stać dwudziestego siódmego, Mirello? - spytał

Marinescu.

Wciąż tylko kręciła głową. O ile to możliwe, jej twarz jeszcze bardziej pobladła.

- Nie mogę tego powiedzieć - odparła zduszonym głosem

- Czemu, Mirello? - spytał Navarro swoim najłagodniejszym, najbardziej pocieszającym tonem.

- Mam krewnych - powiedziała. - Mam sześciu bratanków.

W jej oczach widać było strach. Czekali. Marinescu pośpiesznie zerknął na zegarek. Zaczynali już wyczuwać pierwsze oznaki zamieszania gdzieś daleko za drzwiami. Jej odpowiedź miała zadecydować o wszystkim. A potem gra będzie skończona.

Mirella Massicotte spojrzała prosto w oczy Felipego Navarro i powiedziała:

- Naprawdę bym chciała o wszystkim opowiedzieć, chciałabym, żeby cały ten koszmar wreszcie się skończył. Ale nie mogę. Tak się nie da.

W tym samym momencie otworzyły się z impetem drzwi i do środka wpadło czterech rozjuszonych adwokatów.

- Ani słowa więcej! - ryknął ten z nich, który poczuwał się do roli samca alfa. - Okłamali cię. Udo żyje.

Mirella spoglądała to na Navarro, to na Marinescu.

- Przykro mi, Mirello - powiedział Navarro, wstając. - To była nasza jedyna szansa.

- Wynocha! - wrzasnął jeden z adwokatów i wspólnymi siłami wypchnęli obu policjantów z pokoju przesłuchań.

Na korytarzu, między dwoma potężnymi korsykańskimi policjantami, stał Colin B. Barnworth. Wyglądał potulnie.

- Ty też jesteś taki przerażony jak Mirella? - spytał Marinescu. - Twoja rodzina też ma zginąć?

Barnworth śledził ich błagalnym spojrzeniem, gdy się oddalali. Wspięli się po schodach, minęli budkę strażników i wyszli na wrześnie słońce. Marinescu sięgnął po małe urządzonek leżące w donicy, a potem wsiedli do samochodu i zapatrzyli się gdzieś w dal.

- W każdym razie zagłuszcacz zadziałał - stwierdził Marinescu, spoglądając na zegarek. - Przez dwanaście minut komórki nie miały zasięgu. Któryś z adwokatów musiał wbiec wyżej i złapać sygnał. Policjanci zrobili chyba tak, jak z nimi uzgodniliśmy, i nie pozwolili im skorzystać ze stacjonarnego.

- Wszystko na jedną kartę - stwierdził Navarro. - Czego się dowiedzieliśmy?

- Że układ sił nie wygląda tak, jak to sobie wyobrażaliśmy - odparł Marinescu. - Udo, Mirella i Barnworth niczym nie kierują. Są w rękach kogoś silniejszego.

- Kogoś silniejszego, kto za wszelką cenę chce mieć pierwsze pokolenie „doskonałych przywódców” w akcji na dwudziestego siódmego.

- Chyba to wygląda na mafię - zastanowił się Marinescu. - Wyrok śmierci nawet na dalekich krewnych...

- Tak - zgodził się z nim Navarro. - Jeśli kiedyś widziałem prawdziwy strach, to właśnie u niej. I u Barnwortha.

Marinescu uruchomił silniki zaczął zjeżdżać w stronę Morza Śródziemnego.

- Chyba postąpiliśmy słusznie? - rzucił. - I tak byśmy nic więcej z nich nie wyciągnęli. Nie mogliśmy przecież dalej walić głowami w mur adwokatów.

- Tak - potwierdził Navarro i rozłożył laptop na miejscu pasażera. - Postąpiliśmy słusznie. Może z moralnego punktu widzenia było to trochę wątpliwe, ale etycznie właściwe. O ile łapiesz, na czym polega różnica.

Adrian Marinescu spojrział na niego krzywo, zebrał się w sobie i odparł:

- Spędziliśmy tu razem coś około dwóch tygodni, Felipe. Zbliżyliśmy się do siebie. Lubię cię. Dobrze nam się pije razem piwo. Pietrę. Ale czasem mi się wydaje, że uważasz mnie za trochę gorszego od siebie. Za pajaca z bloku wschodniego, który próbuje być Europejczykiem.

Felipe Navarro podniósł głowę znad laptopa, który zaczął się właśnie uruchamiać, i przez dłuższą chwilę przyglądał się

partnerowi. W końcu powiedział:

- Przepraszam.

- Co?

- Bez żadnych co. Przepraszam. Nigdy mi to nawet do głowy nie przyszło. Pajac z bloku wschodniego? Nie jestem nawet pewien, czy sam rozumiem różnicę między moralnością i etyką. Myślę, że to, co zrobiliśmy Mirelli Massicotte, było niemoralne, ale służyło wyższemu celowi. Więc może było etycznie usprawiedliwione.

- Dobra - rzucił Marinescu. - W takim razie to ja przepraszani

- Musieliśmy zburzyć mur adwokatów i znaleźliśmy sposób. Nie ma o czym gadać. Choć zburzyliśmy go brutalnie.

- Tak - zgodził się z nim Marinescu.

Potem przez jakiś czas w samochodzie panowało milczenie. Marinescu prowadził, Navarro zajął się laptopem. Zjechali nad morze i ruszyli wzdłuż Quai de la République, minęli terminal promowy, a potem Marinescu dojechał tą trasą do samego końca, aż do Port Tino Rossi. Na końcu falochronu, gdzie nie było już możliwości zawrócić, Marinescu po prostu zatrzymał wóz i wysiadł. Zapalił papierosa, spoglądając na port jachtowy, w którym właściwie nie było łodzi tańszych niż takie za milion euro. To była ta jedna część Morza Śródziemnego, raj dla przestępców. Druga znajdowała się po drugiej stronie, rozległe, wolne, otwarte morze ciągnące się aż do Algierii, do Afryki. To stamtąd przybywali uchodźcy, ci, którzy nieustannie tonęli w tych wodach, bo Unia Europejska zamknęła się przed nimi, a pazerność przemysłowców żywego towaru nie znała granic.

Dwie interpretacje wolności, pomyślał Adrian Marinescu. Zaciągnął się głęboko i przypomniał sobie z udręką i nostalgią te tygodnie spędzone w mieszkaniu w Amsterdamie na inwigilacji żebrackiej szajki. Przez cały ten czas nie mógł opuścić mieszkania i nie wolno mu było palić. Na początku używał plastrów nikotynowych, potem dzięki żonie szefa dostał te dziwne szwedzkie woreczki z tytoniem, które wsuwało się pod wargę. Jak się to gównem nazywało? Snus?

Zanim zdążył się pogрузić w głębszych refleksjach, usłyszał głos Navarro dobiegający z samochodu. Ostatni raz głęboko się zaciągnął, chłonąc urzekające piękno Morza Śródziemnego. Potem pochylił się przy otwartych drzwiach od strony kierowcy i spytał:

- Co jest?

- Cóż - mruknął Navarro. - Sam nie wiem Zakląłem na głos.

- No i? - spytał Marinescu, wsiadając z powrotem do wozu. - Zakląłeś pozytywnie czy negatywnie?

- Wiesz, że wrzuciłem zapytanie na stronę Los Indignados. O tego faceta z firmy ochroniarskiej, którego widziałem szmat czasu temu, jak zagadywał demonstrantów.

- O tego gościa w garniturze? Pewnie, wszyscy o tym wiemy.

- Jacy my?

- Cały Opcop i kto tam jeszcze. A co się stało?

- Nie wiem Ale wygląda na to, że facet, którego próbowałem wtedy znaleźć, właśnie mi odpisał.

- Jak to? Ten koleś w garniturze?

- Nie, ten rudy. To z nim pierwszy raz zobaczyłem tego w garniturze. Właśnie wrzuciłem do wyszukiwania grafiki jego nazwisko. Wydaje mi się, że to on.

- Poczekaj chwilę. Kto?

- Może się wydawać, że to było wieki temu, ale minęły niecałe dwa miesiące. Rudy właśnie skończył miesięczną wędrówkę przez zrujnowaną Hiszpanię i leżał na łóżku polowym Ten w garniturze pochylił się nad nim, rozmawiał z nim, coś notował i przeprowadzili jakąś wymianę. A teraz odezwał się rudy. Píše, że ten facet w garniturze był „aniołem, który nad nim czuwał przez całą pieprzoną wędrówkę z Saragossy”.

- I co to znaczy? - spytał Marinescu, czując ze zdumieniem, że zapaliłby jeszcze jednego papierosa.

- Nie wiem - odparł Navarro. - Ale podał mi numer na komórkę. Właśnie do niego dzwonię.

Marinescu oparł się głodowi nikotyny i, niewiele rozumiejąc, przysłuchiwał się dość jednostronnej rozmowie po hiszpańsku.

- Halo, Arturo - powiedział Navarro. - Dzwonię w związku z twoją wędrówką do Madrytu. Tak, Los Indignados, zgadza się. Dokładnie. Leżałeś na łóżku polowym niedaleko Prado. Tak, w obozie. Facet w garniturze... Właśnie. Tak, drogi garnitur, pewnie z Londynu. Nie, nazywa się Savile Row. Tak. Wymieniliście się czymś? Co miałeś na myśli, pisząc o tym „aniele”? I że „czuwał”...? Nie, no tak. Dobra. Jak to „przez całą drogę”? Ach! Dobra. Rozumiem. Moglibyśmy, no nie wiem, spotkać się? W Saragossie? Okej, dobra. Gdzie w Madrycie? Yes. Łapię. Będziesz w domu przez najbliższą dobę? Na ten numer? Dobra. Odezwe się.

Felipe Navarro zapatrzył się na Morze Śródziemne. Wydawał się zamyślony.

- To było to, co myślę? - spytał Marinescu.

- Pewnie nie.

- Czyli *nie pojedziemy* do Madrytu?

- Nie. Ja pojadę.

- Przyda ci się ochrona prawdziwego Europejczyka ze Wschodu. Ale czemu „pewnie nie”?

- A myślałeś, że co to było?

- Ktoś, z kim, jak czujesz, powinieneś się spotkać.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem To twoja sprawa.

- *Była* moja. Teraz jest nasza.

- Jak to?

- Ten „anioł” pojawiał się od czasu do czasu podczas długiej wędrówki z Saragossy do Madrytu. To trzysta kilometrów.

- Pojawiał się?

- Posłuchaj, Adrian. Mój policyjny instynkt pozapalał wszystkie lampki alarmowe, kiedy zobaczyłem, jak ten gość w garniturze schyla się nad demonstrantami w Madrycie. To się po prostu nie zgadzało. A teraz się okazało, że rudy Arturo jest ćpunem. Ale nie wyruszył na tę wędrówkę jako ćpun, tylko jako zwyczajny, cholernie wkurzony młody człowiek, którego drapieżny kapitalizm pozbawił jakichkolwiek szans na godne życie. Tyle że

w trakcie uzależnił się od narkotyku, który ten „anioł” dawał mu za darmo przez całą trasę z Saragossy. To, co widziałem w Madrycie, to była ocena towaru.

- Czyli teraz próbujesz zinterpretować to, co ci powiedział ten ćpun?

- To było okropnie zawile - przyznał Navarro. - „Pył zsyłany przez anioła, który dotknął skrzydłami najwyższych sfer niebieskich”.

- Ożeż kurwa.

- Ale wielkie, niemożliwe do ogarnięcia tłumy to oczywiście idealna okazja, by przetestować nowe narkotyki. Może warto to sprawdzić. Zrobiliśmy już swoje na Korsyce. Co powiesz na wypad do Madrytu?

- Nie powinniśmy tego uzgodnić? Jakoś zakotwiczyć?

- Można się zakotwiczyć, kiedy już wpłyniesz do portu - odparł Navarro. - Najpierw trzeba podnieść kotwicę.

Płonący ptak

Szanghaj- Sztokholm- Haga- Gaoyou, 11 września

GDY TYLKO się obudziła, dotarło do niej, że jest dziesiąta rocznica 11 września. W dole pod nią rozciągało się niesamowite miasto. Gdy chwiejnym krokiem podeszła do okna, znajdowała się na mniej więcej takiej samej wysokości jak ci w najgorszej sytuacji w World Trade Center. Niezbyt daleko dostrzegła samolot i nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by zobaczyć, jak odrobinę zmienia kierunek, a potem powoli, niemal surrealistycznie zbliża się do gigantycznego otwieracza do butelek.

Kiedy wróciła do wielkiego łóżka w tę dość spokojną niedzielę, widok cyfrowego budzika obok głowy, wskazującego 08:46:30, czyli dokładną porę uderzenia pierwszego samolotu w północną wieżę, wcale nie był dla niej największym szokiem. Największy szok polegał na czymś zupełnie innym.

A mianowicie na tym, że w łóżku Corine Bouhaddi leżał mężczyzna.

Znów spojrzała na Szanghaj. Niebo było błękitne, pewnie dlatego, że w niedzielny poranek stosunkowo niewiele osób używało samochodów. Samolot powoli zmierzał swym wytyczonym kursem. Wydawało się, że nad gigantycznym miastem panuje jakiś dziwny spokój, spokój, który czuła również w sobie. Mimo mężczyzny w łóżku.

Ostrożnie zsunęła pościel z ciała mężczyzny. Leżał na plecach, zasłaniając ramieniem oczy, jakby chciał się odciąć od rzeczywistości, i gdy ściągnęła kołdrę, stwierdziła, że był równie nagi jak ona.

Wspomnienia z wczorajszego wieczoru były bardzo mgliste. Sobomi wieczór. Miała wolne, jasne. Czy Wu Wei też z nimi był?

Nie, ale w jakiś sposób był w to zamieszany.

No dobra, pomyślała, obserwując nagiego mężczyznę. Zaczęło się w piątek rano. Licząca jedenaście nazwisk lista, nad którą „dziesiąte piętro” wyrywało sobie włosy z głów, oznaczała zakrojone na ogromną skalę poszukiwania w ponadmiliardowym narodzie. Ale potem drastycznie je zawężono i skupiono się tylko na jednym nazwisku: Martę Haugen.

W końcu znaleziono to nazwisko. Była zarejestrowana jako imigrantka i najprawdopodobniej mieszkała w drapaczu chmur na obrzeżach Szanghaju. Szturm był dramatyczny - Bouhaddi i Kowalewski przyglądali mu się z dystansu przez lornetki - ale jak dotąd niewiele dał. Mieszkanie było puste i nie znaleziono ani jednego dokumentu, który mógłby potwierdzić lub wykluczyć, że chodziło o *właściwą* Martę Haugen. Według danych z ewidencji ludności i paszportowych była obywatelką Norwegii, z wykształcenia biologiem, i urodziła się w sześćdziesiątym szóstym w Trondheim. Więcej na razie nie udało się ustalić.

Ponieważ inwigilacja organizacji Chu- Jung została przerwana, a tym samym Bouhaddi i Kowalewski nie mogli już czynnie pomagać w śledztwie, dostali wolny weekend. Wu Wei bardzo dyskretnie i nieoficjalnie zaopatrzył ich w listę dobrych i nieodwiedzanych przez turystów barów i klubów w mieście. Kiedy Bouhaddi nieśmiało napomknęła, że nie pije alkoholu, Wu Wei jeszcze bardziej nieśmiało zapytał, czy może interesowałyby ją „jakieś inne używki”. Może i Bouhaddi tego wprost nie potwierdziła, lecz przynajmniej udało jej się nie zaprzeczyć. Tak więc w sobotni wieczór o jedenastej Corine Bouhaddi i Marek Kowalewski - po wysmienitej kolacji w Di Shui Dong, pozornie skromnej restauracji w stylu prowincji Hunan, w dzielnicy Luwan - znaleźli się w klubie w centrum Pudong, który przypominał klasyczną palarnię opium, z tym wyjątkiem, że znajdował się na czterdziestym trzecim piętrze i na dachu miał taras z wyjątkowo wysokim ochronnym ogrodzeniem. Leżąc na sąsiednich pryczach, tuż obok siebie, otrzymali „menu” w dwóch

dialektach chińskiego, zapewne po mandaryńsku i po kantońsku. Gdy Kowalewski leżał tak, niczym zdumiony polski chłop, Bouhaddi udało się na migi złożyć zamówienie, które, *jak sądziła*, nie obejmowało opium, a przynajmniej nie w najcięższej postaci. Kowalewski, i tak już lekko wstawiony po piwach do kolacji, które wlewał w siebie w polskich ilościach, wyciągnął do niej rękę, choć bardziej jak chłopiec, który boi się zastrzyków, niż jak płomienny kochanek, i coś w niej sprawiło, że przyjęła tę znajomą wielką dłoń, jakby to był dar. A gdy palili swoje fajki, nie wiedząc nawet, co zawierały, pocałowała tę rękę.

Nie dlatego, że byli inwigilowani.

Nie dlatego, że musiała grać w jakąś grę.

Nie dlatego, że musiała czuwać nad swoimi włościami.

I mimo że wciąż mocno wierzyła w swoją starą dewizę, że „samotność to siła”.

Nie miała pojęcia, która była godzina, gdy taksówka zawiozła ich z powrotem do hotelu w Shanghai World Financial Center. Jadąc windą na dziewięćdziesiąte pierwsze piętro, przyglądali się sobie. To już nie była żadna gra. Żadne udawanie. Oczywiście możliwe, że pokoje hotelowe były na podsłuchu i na podglądzie, ale gdyby tak było w istocie, już dawno by ich zdemaskowano, bo ich miłosna gra odbywała się wyłącznie w pracy, obecnie na „dziesiątym piętrze” w dzielnicy Zhabei, i nigdy nie przeniosła się do hotelu. Naturalnie wyglądało to podejrzanie, lecz w tym miejscu wytyczyli ostateczną granicę.

Nie można powiedzieć, że idąc przez korytarz, się zataczali, ale nie trzymali się też całkiem prosto. Przystanęli tak jak zwykle przy drzwiach do swoich pokoi. Dzielił je od siebie zaledwie metr.

Tyle pamiętała: Marek zerknął na nią szybko i zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu swojej karty. Potem wszystko stawało się trochę mgliste. Teraz, gdy zbliżała się za dziesięć dziesiąta w niedzielny poranek, Corine zdecydowanie wołała pamiętać, że to jednak ona zaprosiła go do swojego pokoju.

Leżał na plecach, mocno przyciskając ramię do oczu. Łokieć sterczał w górę. Możliwe, że teraz, gdy ukradkiem odsłoniła jego ciało, trochę wykorzystała sytuację.

Nic nie zrobili. Gdyby tak było, czułaby to. Wyraźnie zdała sobie z tego sprawę, patrząc na jego nagie ciało.

Oczywiście wiedziała, tak jak pozostali w grupie, że o Marku Kowalewskim krążą plotki. Nikt dokładnie nie wiedział, jak to się zaczęło - nie był przecież jakimś casanovą, przynajmniej nie w pracy - lecz plotka, jak to plotka, rozeszła się i stała się prawdą. I podczas tych wszystkich odegranych miłosnych scenek Corine wyczuwała czasami jego męskość. Ale nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała.

A teraz patrzyła na nią. Prawdopodobnie to jednak dlatego zsunęła z niego pościel. Bo coś w niej było równie banalne jak we wszystkich innych.

Zasnęli obok siebie jak niewinne jagniątko. On wciąż nim był. Ona już nie.

Dokładnie w tej chwili zadzwoniła komórka. Corine oderwała od niego wzrok, szybko go przykryła i odebrała, zanim zdążył odsunąć rękę od oczu.

Jak można się było spodziewać, dzwonił Wu Wei. Powiedział:

- Wiem, że jest niedziela i pewnie nie spaliście wczoraj do późna, ale coś się dzieje.

- Nie śpimy - odparła Bouhaddi, spoglądając pośpiesznie na powoli budzącego się Kowalewskiego. - A co się dzieje?

- Dwie rzeczy - odparł Wu Wei - Po pierwsze, wczoraj użyto karty kredytowej Martę Haugen. Ktoś wypłacił nią pieniądze w bankomacie w małym miasteczku o nazwie Gaoyou. To trzysta kilometrów na północ, na równinie Jianghuai. A po drugie, dzięki sąsiadce, która podlewa jej kwiaty, zdobyliśmy numer jej komórki.

Dziwnie się to zbiegło w czasie, pomyślała Corine Bouhaddi, nastawiając uszu.

Czekał na nią przy niespodziewanie wysokim płocie otaczającym ruiny budynku. Stał oparty o swój samochód tuż przy starej, obskurnej skrzynce elektrycznej, która za chwilę miała odczytać jego tęczę.

Wysiadła z samochodu w chłodną szwedzką noc. Była czwarta nad ranem i w de słycać było sdumiony gwar z kilku hipsterskich klubów, które nie zamierzały jeszcze zakończyć soboty. Ku jej niezbyt wielkiemu zdziwieniu spojrzął na nią surowo i powiedział:

- Co mówiliśmy o przysługach, Kerstin?
- To nie jest przysługa, Jon. To jest możliwość.
- Uważali, że byli ci winni przysługę. Ale tylko jedną.
- Nie zjawiłbyś się w niecałą godzinę w niedzielę nad ranem, gdyby tak samo jak ty nie dostrzegli tej możliwości.
- To znaczy pomoc Wu Weiowi?
- Pomóc mu, żeby on mógł pomóc Europolowi. I tym samym skorzystać z okazji, by śledzić cały transfer Wu Weia aż do chwili, gdy rozbije działalność godzącą w podstawy wszystkiego co ludzkie. Gdyby istniała choć jedna rzecz na świecie, której miałyby służyć ta wasza dziwaczna piwnica, to powinno to być właśnie to. Dziś jest dziesiąta rocznica jedenastego września, Jon. Choć raz dla odmiany naprawdę wykorzystajmy w dobrym celu ten groteskowy świat, jaki stworzyła ostatnia dekada.

Jon Anderson patrzył z góry na Kerstin Holm. Zmarszczył brwi. Wyglądał, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Czyli on o to poprosił? - zapytał.
- W świecie, w którym wszyscy szpiegują wszystkich, Wu Wei oczywiście doskonale zdaje sobie sprawę, że jego też ktoś szpieguje. Wciąż się zastanawia, jak znaleźliśmy jego „dziesiąte piętro”, ale pewnie już zrozumiał, że lepszej odpowiedzi nie dostanie. Że mu pomagamy. To jego sposób, by powiedzieć, że jeśli to zrobimy, on wypuści naszych policjantów z Szanghaju.
- Czyli niedopowiedziana groźba?
- Tak - potwierdziła Kerstin Holm - Uratuj ich, Jon. I równocześnie skorzystaj z okazji, by po raz pierwszy nawiązać

naprawdę międzynarodową współpracę z Chinami. To *win-win situation*.

Jon Anderson westchnął ciężko.

- Czyli komórka - stwierdził. - Co o niej wiemy?

- Telefon na kartę. Z tego, co nam wiadomo, użyty tylko raz do rozmowy z sąsiadką, która chciała się dowiedzieć, jak mocno podlać kwiatki. To było miesiąc temu. Wu Wei nie wykrył na niej żadnej obecnej aktywności i żadnych innych rozmów w przeszłości.

- Dobra - powiedział Jon Anderson. - Wskakuj do mojego wozu.

Paul Hjelm drzemał w swojej tak zwanej kawalerce w Hadze, kiedy zadzwonił telefon. Było wpół do szóstej, a on wciąż się zmagał z jet lagiem.

Wszystko potoczyło się tak szybko. Gdy tylko dostał z rejonu miejskiej rzeźni informację o rozmowie z komórki X, podjął decyzję. Nie chciał już być hubem, koordynującym urzędnikiem. Zdażył wylądować w Houston, gdy dotarło do niego nagranie pewnej rozmowy - połączenie wychodzące z jakiegoś nieznanego miejsca do Nuevo Laredo. Tej rozmowy, w której padły słowa: „A teraz idę po ciebie, Xavier”. I odpowiedź: „Zawsze możesz próbować, Watkin”. Szybko wypożyczył samochód na lotnisku w Houston, udał się do Laredo w Teksasie i poczekał na fałszywe dokumenty, które bez problemu pozwoliły mu się przedostać do jednego z najniebezpieczniejszych miast na świecie.

Dopiero idąc ulicami Nuevo Laredo, uświadomił sobie, co zrobił. Postawił wszystko na jedną kartę, na to, że X ucieknie i że zjawi się W. I na to, że W zechce go wysłuchać. Wystarczy jeden niewłaściwy wniosek, a za godzinę będzie martwy.

W mieście panowała atmosfera strachu, ale mimo to nie miał żadnych problemów z dostaniem się do budynku, w którym z całą pewnością nie przebywał już X.

Zanim miał szansę odczuć jakiś jet lag, przedostali się z powrotem przez granicę, każdy ze sfalszowanymi dokumentami, według których obaj byli obywatelami Stanów Zjednoczonych. Odebrali Verę z obskurnego motelu i pojechali do Houston. Nawet gdy wylądowali na Schiphol, Paul nie odczuwał skutków jet lagu. Zmęczenie dopadło go dopiero po tym, jak odstawił V i W do Ruth. I dopadło go bezlitośnie.

Innymi słowy, nie był do końca sobą, gdy odebrał:

- Tak?

- Paul, tu Kerstin. Komórka tej Martę Haugen była używana więcej razy, ale miała zabezpieczenie przed podsłuchem i trochę to potrwało, zanim podziemne ludki się przez nie przebiły.

Paul Hjelm próbował się połapać, o co chodzi.

- Aha - powiedział w końcu.

- A w ogóle to Gustaf Horn znalazł na to sposób.

- Nie mogą twierdzić, że dostają od nas tylko gówno...

- Wysłałam ci maila z danymi o rozmowach. Ostatnie cztery wykonano z tego samego miejsca, w pobliżu chińskiego miasta o nazwie Gaoyou. Ostatnia jest z wczoraj.

- Dzięki, Kerstin. Dzielnie się spisałaś. A teraz wracaj do łóżka.

- Obawiam się, że się całkiem rozbudziłam I ty chyba też powinieneś wstać.

- Zaczynam niechętnie zdawać sobie z tego sprawę - odparł Paul Hjelm

Corine Bouhaddi odebrała telefon w gabinecie Wu Weia na „dziesiątym piętrze”. Ze wzrokiem utkwionym w nieco zapuszczonej dzielnicy Zhabei wysłuchiwała rozstrzygającej wiadomości od Paula Hjelma. Westchnęła ciężko i powiedziała:

- Dziękuję.

Pragnęła wierzyć, że Hjelm zrozumiał, ile giębi miało w sobie to proste podziękowanie. Odwróciła się i spojrzała na obu mężczyzn. Wu Wei siedział przy biurku z komputerem stacjonarnym, Kowalewski, który nadal wydawał

się zmieszany, gnieździł się z laptopem na sofie.

Obaj na nią spojrzeli. Kiwnęła głową.

Wu Wei wystrzelił w górę. Uniósł się na pół metra i wykonał w powietrzu taki gest jak piłkarz, który właśnie zdobył bramkę i nie zamierza nigdy opaść na ziemię. Kowalewski zamknął oczy i w tej chwili Bouhaddi *dokładnie* wiedziała, o czym myślał. Jeszcze nigdy dotąd nie potrafiła tak *dokładnie* czytać w myślach. Zrozumiał, że mimo wszystko pewnie wyjadą z Szanghaju żywi.

- Współrzędne przysłyły mailem - oświadczyła Bouhaddi. - To faktycznie gdzieś na wsi, pod Gaoyou.

Wu Wei opadł z powrotem na swoje krzesło i zaczął gorączkowo stukać w klawiaturę. Oboje do niego podeszli. Dostrajał zdjęcie satelitarne obiektu, który radykalnie się różnił od poprzedniej Fabryki. Wokół wielkiego, przypominającego więzienie budynku biegi gruby mur. Najwyraźniej to była prawdziwa siedziba Shengji, prócz mieszkania w Propriano na Korsyce.

Budynki poprzedniej Fabryki - z prefabrykowanych modułów - musiały być prowizorycznym rozwiązaniem w oczekiwaniu na ukończenie właściwego obiektu pod Gaoyou. Jedyne zmiany polegały na tym, że „siła życiowa” musiała się przeprowadzić wcześniej, niż pierwotnie zamierzano.

I że zapomniano twardego dysku.

Bez niego nie zebraliby się teraz w sali odpraw przed ogromną projekcją obiektu; bez niego Wu Wei nie stałby teraz, krzycząc coś po chińsku i pokazując wskaźnikiem pozycje kamer w murze wokół Fabryki. Bez twardego dysku Corine Bouhaddi nie myślałby teraz, że każda organizacja jest tak silna jak jej najsłabsze ogniwo.

Nawet „siła życiowa”.

Ruszyli. Tym razem *nie w dół* po schodach, *nie w* gorączkowym tłumie *dziesięć pięter w dół*, gdy Wu Wei z gośćmi powoli sunęli jedyną windą. Tym razem winda zabrała ich w górę, na dach. Przy jej szybie odbijały się echem trochę cięższe niż poprzednio kroki dziesięciu, może piętnastu ludzi Wu

Weia.

Na dachu budynku stał śmigłowiec z powoli obracającymi się wirnikami; najwyraźniej dopiero co wylądował. W ciągu minuty cała grupa znalazła się w jego przestronnym wnętrzu. Nie dało się zaprzeczyć, że byli zgrani. Gdy helikopter wznosił się nad megamiastem, Bouhaddi zastanawiała się, czy to zgranie było takie jak w Opcop. Czy ludzie Wu Weia też łączyli grupową współpracę z indywidualizmem? A może stanowili kolektyw z bardzo niewielką przestrzenią na indywidualną inicjatywę? Rozejrzała się i po raz pierwszy udało jej się naprawdę zobaczyć członków tej grupy jako jednostki. Dlaczego dotąd tego nie potrafiła? Bo tkwiła w tych samych uprzedzeniach co reszta świata? Do Kowalewskiego też była przecież uprzedzona tylko dlatego, że był mężczyzną i miał wielkiego fiuta. Powróciło słabe wspomnienie dotyku po wewnętrznej stronie dłoni. Dziwny dotyk wiotkiego członka.

Ktoś dotknął jej ramienia. Spojrzała w uśmiechniętą twarz kobiety i poczuła wdzięczność, że - jeszcze - nie potrafimy czytać sobie nawzajem w myślach. Że jeszcze przez chwilę mogła zachować prywatność. Że transparentność nie dotarła wszędzie. Jeszcze.

Kobietą była Lian, zaufany szofer Wu Weia, i minęła trochę zbyt długa chwila, nim Bouhaddi ją poznała. Przejęła się tym, że było jej tak trudno traktować Chińczyków jako jednostki. Do diabła, była co najmniej równie uprzedzona jak oni.

W końcu jednak odpowiedziała Lian uśmiechem. Chinka wskazała w dół i krzyknęła:

- Jinghu Expressway!

Bouhaddi spojrzała przez okno trzęsącego się helikoptera i ujrzała niesamowicie szeroką autostradę wijącą się z Szanghaju na północ.

- Nasza największa autostrada! - wrzasnęła Lian. - Z Szanghaju do Pekinu! Przebiega przez Gaoyou.

- Łatwo trafić! - odkrzyknęła Bouhaddi.

Lian uśmiechnęła się uprzejmie.

Śmigłowiec leciał dalej. Szybko i z rykiem silników. Bouhaddi poczuła lekkie mdłości i po raz pierwszy odwróciła się do Kowalewskiego, który siedział wciśnięty po jej drugiej stronie. Pierwszy raz poczuła, że ma odwagę podchwycić jego spojrzenie.

Ale Marek gapił się uparcie przed siebie, a jego twarz przybrała zielonkawy odcień. Corine się domyśliła, że był skupiony tylko na jednym - żeby nie zwymiotować. Taki incydent mógłby całkowicie zmienić podejście Wu Weia do zagranicznych gości.

Bouhaddi zamknęła oczy i próbowała o niczym nie myśleć. Udało jej się to nad podziw dobrze.

Po czasie, którego nie potrafiła określić, śmigłowiec zatoczył szeroki łuk w prawo. Bouhaddi zobaczyła, że odbijają od nieustannie im dotąd towarzyszącej Jinghu Expressway.

Byli już blisko.

Blisko Fabryki.

Prawdziwej Fabryki.

Wylądowali na parkingu w pozornie opustoszałym regionie przemysłowym. Czekali tam dwa kruczoczarne radiowozy i dwie karetki. Otoczył ich półmrok, gdy w wozach naciągali kamizelki kuloodporne. Zostawili za sobą wszystko, co przypominało miejską zabudowę. Wyjeżdżali na wieś, za małymi okienkami radiowozu było coraz więcej zieleni. Samochody skręciły w jakąś boczną dróżkę, zatrzymały się. Wysypali się z nich policjanci i gęsiego pobiegli przez zagajnik. Zatrzymali się po drugiej stronie i przyczaili. Kiedy Bouhaddi i Kowalewski tam dotarli, Chińczycy siedzieli w szeregu, jak sznur paciorków, a kilkanaście metrów przed nimi znajdował się mur. Mur wokół Fabryki.

Wu Wei chodził przed nimi skulony i wydawał rozkazy. Gdy grupkami podbiegli do wybranych fragmentów muru, przywołał do siebie gestem Europejczyków. Dał im lornetki i szepnął:

- Nie wychodźcie, póki nie zawołam.

Niewiele widzieli. Ostatnia grupka trzech policjantów znikła z

pola widzenia po prawej stronie przy murze. Potem zapadła kompletna cisza. Bouhaddi i Kowalewski omiędli mur lornetkami, lecz nic nie było widać.

Czas mijał. Zbyt dużo czasu.

Jakiś ptak śpiewał serenadę, jakiej nigdy dotąd nie słyszeli.

Kowalewski objął ramieniem Bouhaddi. Pozwoliła mu na to. To było dobre uczucie.

Potem rozległy się zduszone okrzyki, jakieś szuranie. I krzyk. Ostrzegawczy.

Ptak śpiewał dalej, tylko trochę bardziej histerycznie.

Kiedy umilkł, cisza wydała się absolutna.

Potem zerwał się do lotu. Przeleciał nad murem na teren Fabryki.

I spłonął.

Stanął w ogniu na ułamek sekundy przed tym, nim w niebo trysnęła kaskada płomieni. Dopiero potem nastąpiła eksplozja, huk, który cisnął ich do tyłu.

Kowalewski patrzył w niebo, z karkiem wciśniętym głęboko w mech. W jego polu widzenia pojawiła się Bouhaddi. Szeptala coś, lecz nie słyszał co. Słyszał tylko wycie w swojej głowie.

Usiadł. Coś przebiło się przez zatyczki w uszach i bał się, że to krew. Dźwięk krwi płynącej z ucha.

Rozległy się krzyki i nawoływania. Co za ulga, słyszał, tyle że dźwięk dobiegał tylko z jednej strony. Wrzaski, komendy. W oddali z piskiem opon ruszył jakiś samochód, pierwsza seria strzałów wyrwała dziury w ciszy. Pojedyncze strzały, kolejne wrzaski. Pierwszy płacz. Wznoszące się do nieba wycie.

Bouhaddi zniknęła, Kowalewski, zataczając się, ruszył skrajem lasu. Obmacał uszy, wydawały się dziwne, nieregularne. Zza muru wzniósł się dym.

Postać Bouhaddi. Machała do niego. Chwiejnie ruszył w jej stronę. Kolejne strzały. Bouhaddi runęła do przodu, na kolana. Nadbiegał jakiś mężczyzna w ubraniu w kolorze khaki. Strzelił Bouhaddi w plecy. Runęła na ziemię, jak żaba, która spadła z nieba. Kowalewski usłyszał własny ryk. Potem Strzelca

zarzuciło wokół własnej osi, jego ręka przecięła powietrze, poleciała jak z klatki młociarza.

Kowalewski próbował dopaść do leżącej Bouhaddi, ale nie mógł się ruszyć. Wrażenie było takie, jakby nogi wrosły mu w asfalt aż do kolan. Nie mógł nawet przewrócić się na twarz.

Pojawił się Wu Wei i strzelił do mężczyzny bez ręki, wijącego się tuż przy nieruchomym ciele Bouhaddi. Dwa strzały, prosto w głowę. Bouhaddi się poruszyła.

Czas się dziwnie odkształcił. Jakby stał się kubiczny. Kowalewski tylko patrzył. Obmacał uszy.

Prawe było jakieś dziwne. Zobaczył krew na dłoniach. Śledził wzrokiem gęstą kroplę; powoli spłynęła po jego ręce, po kciuku, oderwała się od niego, zmieniła się w kulkę i opadła na asfalt. Wu Wei rzucił się na niego, powalił go na mech, drzewa za ich plecami smagnęła seria pocisków. Z kilkusekundowym opóźnieniem posypały się gałęzie.

Wu Wei popatrzył mu w oczy i znowu odszedł. Nagle znów zjawiała się Bouhaddi, z grymasem na ustach dotykała pleców. Chwyła Kowalewskiego w ramiona i krzyknęła:

- Połóż się, Marek! Nie ruszaj się!

- Byłaś ranna - powiedział Kowalewski, czując, że świat jakby zaczynał unosić się nad nim.

Po chwili on leżał na dole, świat szybował w górze. Bouhaddi frunęła.

- Corine - wyszeptał.

- Mamy kamizelki kuloodporne, Marek - powiedziała, głaszcząc go po czole. Wyjęła jakąś chustkę i przycisnęła do jego prawego ucha. Wrzasnęła: - Potrzebujemy tu pomocy!

Kowalewski słyszał głośnie gulgotanie w uchu.

- Trafił cię odłamek, Marek - tłumaczyła Bouhaddi, mocniej przyciskając opatrunek. - Masz go w uchu.

- Nie rozumiem - odparł Kowalewski. - Ty nie żyłaś, Corine.

- Nic mi nie jest. Uspokój się teraz.

Pod bramę zajechały karetki i wybiegli z nich ratownicy. Kowalewski po raz pierwszy zobaczył bramę za zastrzelonym

jednorękim mężczyzną. Nie mógł oderwać wzroku od ręki, która leżała na ziemi jakieś dwa metry od niego.

- Widziałaś ptaka, Corine? - spytał. - On spłonął.

- Widziałam ptaka, Marek - potwierdziła Bouhaddi.

Łzy kapwały na niego z jej policzków. Widział, jak stawały się coraz większe. Jedna trafiła go w oko.

To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył.

Bouhaddi wstała. Patrzyła, jak personel karetki zabiera Kowalewskiego na noszach. Opatrunek na jego uchu był cały czerwony. Karetka odjechała na sygnale.

Pojawił się Wu Wei i machnął na Bouhaddi, by do niego podeszła.

- Wyjdzie z tego - powiedział. - Chodź.

Minęli bramę. Musieli przestąpić nad zwłokami dwóch zastrzelonych ochroniarzy w strojach koloru khaki.

- Wojskowi? - spytała Bouhaddi.

- Jeszcze nie wiemy - odparł Wu Wei. - Ale nie spodziewaliśmy się tak silnego oporu.

Znaleźli się na dziedzińcu. Mały domek stojący pośrodku spalił się aż do samej ziemi.

Prawdopodobnie to stamtąd trysnęła pierwsza kaskada ognia, która wyrzuciła za mur odłamek. Ten, który trafił Kowalewskiego w ucho.

- Nie wiemy, co wysadzili - powiedział Wu Wei.

Na dziedzińcu leżało jeszcze kilku zabitych. Do uszu Bouhaddi doleciał narastający jęk.

U szczytu schodów prowadzących do głównego budynku siedziała jasnowłosa kobieta. Na oko miała jakieś czterdzieści pięć lat. Zaciskała rękę na swoim ramieniu i potwornie się trzęsła. Spod jej palców sączyła się krew. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się przed siebie i powtarzała rwącym się głosem:

- Ja nic nie wiem. Ja nic nie wiem.

Gdy weszli na schody, Wu Wei wskazał na nią głową.

- Martę Haugen - powiedział. - Przerażona.

- Przerazona?

- I nie nas się tak boi. Spójrz na nią.

Bouhaddi spojrzała na roztrzęsioną postać.

- Postrzeliliście ją?

- Chcesz zobaczyć, co próbowała zrobić?

Weszli po schodach do dużej hali. Skręcili w lewo i znaleźli się w sali z wyposażeniem medycznym. Wzdłuż ściany ciągnęły się boksy, podobne do tych w prowizorycznej Fabryce. Kojce. Pośrodku podłogi stała duża beczka. Sterczało z niej coś, co przypominało trzon kija hokejowego. Unosiło się nad nią trochę dymu. W pomieszczeniu potwornie śmierdziało, niby spaloną gumą, a jednak nie.

Lian właśnie otworzyła okno, zasłaniając ręką nos. Wyszła im na spotkanie. Kiwnęła głową, poprawiła pistolet maszynowy na ramieniu i powiedziała:

- Chodźcie ze mną.

Podeszli do boksów. Zajrzeli do środka i ruszyli wzdłuż wielkiej sali.

W każdym z nich, z wyjątkiem ostatniego, znajdowało się około półtoraroczne dziecko. Niektóre leżały, inne siedziały, ale większość stała, uczepona krawędzi boksu. Wszystkie miały pieluchy, lecz nic poza tym. Gdy tak szli, Corine Bouhaddi próbowała podchwycić spojrzenia tych dzieci. Wszystkie były niebieskookie i wszystkie były chłopcami.

Przystanęli przy przedostatnim boksie. Lian wskazała na chłopca, który wspinał się na palce i próbował wyrzeć, tyle że był na to za mały.

- To był *on* - powiedziała.

- *On?* - Bouhaddi poczuła, że przenika ją jakaś bezimienna groza.

- Haugen stała z nim tam. - Lian wskazała w stronę beczki. - Postrzeliłam ją w drugą rękę.

- Nie rozumiem - odparła Bouhaddi niemal z rozpaczą. - Nie rozumiem, o co wam chodzi.

- Martę Haugen wzięła dziecko na ręce i niosła je w stronę tej

beczki - powiedziała Lian. - Chciała je tam wrzucić.

- W beczce się paliło - powiedział Wu Wei, podchodząc w tamtą stronę. - Jakies chemikalia. Udało nam się je ugasić.

Z beczki wciąż unosiła się strużka śmierdzącego dymu. Wu Wei chwycił za trzonek sterczącego z niej kija hokejowego i zamieszał w resztkach na dnie.

Bouhaddi zajrzała do środka.

W popiele dostrzegła wyraźnie kość miedniczną.

Bardzo malutką.

- Allah Akbar - jęknęła, czując, że zaraz się wyrzyga.

Chwiejnym krokiem wróciła do boksów. Ostatni był pusty. O wiele bardziej pusty niż przed chwilą. Podeszła do przedostatniego. Pochyliła się i wzięła na ręce dziecko, które stało tam tylko w pielusze. Spojrzała w jego przenikliwe niebieskie oczy i przytuliła chłopca do policzka. Jego małe ciało wydawało się dziwnie masywne.

- To ten, którego uratowałaś, Lian? - spytała Bouhaddi.

Lian stała przy niej. Kiwnęła głową. Przyglądała się.

Dziecko nie protestowało. Dwa przytulone policzki, i tak było dobrze. Bouhaddi włożyła je z powrotem do kojca. Kiedy się odwróciła, chłopczyk jeszcze przez chwilę za nią patrzył. To było neutralne spojrzenie.

- Boże, dobry Boże - jęknęła i zamknęła oczy.

- Wiem - powiedziała Lian. - Wiem, co czujesz.

Wzrok Bouhaddi padł na kartki przypięte do ściany boks. Jakies wartości, niezrozumiałe liczby, ale też trzy wyraźne określenia, każde obok innego diagramu:

OXTR.

MSTN.

LPL.

- Musimy iść dalej - powiedział Wu Wei. - Do następnych pomieszczeń.

Opuścili wielką salę i przeszli do mniejszego pomieszczenia biurowego, w którym stało kilkanaście biur. W głębi pod ścianą na podłodze siedział mężczyzna.

Był martwy. Zastrzelony. W pionie trzymało go tylko to, że jego ręka tkwiła głęboko w niszczarce.

Strużka krwi sącząca się z urządzenia zaczynała krzepnąć i było widać, że pojemnik z paskami papieru wyszarpięto w dużym pośpiechu. Na paskach były plamy krwi, ale w sumie niewiele. W drugiej dłoni mężczyzny, jak w imadle, tkwił gruby plik dokumentów.

- Uznaliśmy, że to konieczne - stwierdził Wu Wei.

- Niszczył ważne dokumenty - dodała Lian.

Wu Wei nie bez trudu wyszarpnął plik papieru ze sztywnej dłoni mężczyzny i położył go na biurku.

- Cokolwiek dziś przeżyłaś, Corine - powiedział - muszę cię prosić, żebyś wstrzymała się z uczuciami. To były najważniejsze dokumenty, jakie mieli, to od nich zaczęli niszczenie. Są po angielsku. Chcę, żebyś je natychmiast przejrzała. Lian posiedzi z tobą. Potem będziemy mogli razem się wypłakać. Kiedy skończymy robotę.

Bouhaddi skinęła głową. Wu Wei jeszcze nigdy dotąd nie zwrócił się do niej po imieniu.

- Możesz mi tylko dać znać, gdy dowiesz się czegoś o Marku? - poprosiła.

Wu Wei kiwnął głową i odszedł.

Bouhaddi i Lian przysunęły sobie dwa krzesła i usiadły przy biurku. Bouhaddi zdawała sobie sprawę, że Lian towarzyszy jej po to, by ją pilnować, ale mimo to uśmiechnęła się do niej. To był jeden z najdziwniejszych uśmiechów w jej życiu. Pocieszyła się myślą - nie, to było niewłaściwe słowo, nie istniało przecież żadne pocieszenie - a raczej *uspokoila* się myślą, że uśmiech Lian wyglądał niemal równie krzywo.

Obecność Chinki dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Zabrały się do pracy.

W tych okolicznościach trudno było tak od razu powiedzieć, co to były za dokumenty. Na pierwszy rzut oka: sprawozdania finansowe i raporty naukowe. Jedne i drugie wymagały ekspertyzy, i to bardzo pilnie.

Przerzucała kolejne kartki ze sterty. W końcu pojawiła się taka, która wyglądała trochę inaczej. Była opatrzona nagłówkiem „Umowa” i z początku wydawała się czymś stosunkowo prostym, jakby była jakąś umową z miejscowymi hydraulikami. Ale zaraz do Corine dotarło więcej szczegółów.

Nagle.

Najwyraźniej była to ostatnia strona jakiegoś dłuższego dokumentu - u góry po prawej stronie widniało „6(6)”, strona szósta z sześciu - ale przed jej oczami przemknęło dość sformułowań w stylu „dostawa po uzyskaniu pełnoletności” i „konieczne w tym względzie wychowanie”, by wszystko stało się jasne.

- O co w tym chodzi? - spytała Lian.

- Trudno mi podać dokładny kontekst - odparła Bouhaddi. - Jak widzisz, to ostatnia strona jakiejś umowy. Potrzebujemy pięciu poprzednich i oby były w tej stercie, a nie wśród już zniszczonych dokumentów. Zapowiada się niezłe układanie puzzli.

- Ale co to za dokument?

- Myślę, że to umowa zakupu ludzi.

- Zakupu ludzi?

- Wygląda na to, że po prostu rezerwowano całe pokolenie - powiedziała Bouhaddi. - Prawdopodobnie miało miejsce coś w rodzaju aukcji. Wygrać mógł tylko jeden. Nie rozdzielali pokoleń.

- „Pokoleń”? - spytała Lian. - Tak jak to „pokolenie” tam?

Bouhaddi kiwnęła głową.

- To najmłodsze pokolenie - powiedziała. - Albo *jedno* z najmłodszych, w zależności od tego, czy gdzieś tutaj znajdziecie niemowlęta. Chyba że to, co wybuchło na samym początku, to były właśnie one...

- Niestety, mogło tak być - zgodziła się ze smutkiem Lian.

- Przypuszczam, że ceny są zróżnicowane - ciągnęła Bouhaddi.

- Wprawdzie pierwsze pokolenia zaczynają dorastać, co dla nabywcy jest bardzo dużą zaletą, ale późniejsze pokolenia są za to bardziej udoskonalone genetycznie. Wszystko zależy od tego,

ile kto może czekać. I ile ma pieniędzy.

Lian patrzyła na nią ze zdumieniem.

- I dlatego - powiedziała w końcu - próbowali zniszczyć ślady genetyczne, pałac dzieci...

- Niosłaś przecież tego chłopca, kiedy go uratowałaś. Zwróciłaś uwagę na coś szczególnego?

- Szczególnego? Był... ciężki.

- Dzięki cyberszpiegostwu wymierzonemu w szwedzką firmę Bionovia AB Shengji zdobyła między innymi formułę preparatu sterującego genem MSTN, który kontroluje przyrost mięśni. Te diagramy na ścianie sugerują, że zaczęli już używać tego preparatu na wcześniej urodzonych niemowlętach. Manipulacja genetyczna postępuje też dalej przez kilka lat po urodzeniu. Mają o wiele więcej mięśni niż zwyczajne dzieci.

- Cholera - zaklęła Lian, słuchając tego z zapartym tchem. - Ale nie mogą przecież przez całe życie mieszkać w tych boksach.

- Pewnie wkrótce miały zostać wysłane dalej. Myślę, że wszystkie te dzieci trafiają w to samo miejsce. Że wychowywane są razem. Myślę, że gdzieś, może w Chinach, a może w jakimś innym miejscu na świecie, jest jakiś wielki obóz treningowy i musimy dobrze się przyłożyć do tych dokumentów, żeby znaleźć jakiś trop.

Lian wpatrywała się w nią tylko.

- Nic się nigdy nie kończy - stwierdziła Corine Bouhaddi, wzruszając ramionami.

Lian wskazała na leżący przed nimi dokument.

- I co to w końcu jest?

- Sądzę, że umowa zakupu. Ktoś kupił całe pokolenie.

- Ale... - Lian nie dokończyła.

- Tak jak mówiłam, potrzebujemy wcześniejszych stron tej umowy, by ustalić, o które pokolenie chodzi. Kontrakt był podpisany sześć lat temu, więc to nie te małeństwa. To musiał być jakiś starszy rocznik.

Być może *pierwszy*, pomyślała Corine Bouhaddi. Bo o jednej rzeczy nie wspomniała. Musiała najpierw to sobie przemyśleć.

Rozpoznała podpisy sprzedającego i kupującego.
Sprzedającym był Udo Massicotte.
A nabywca nazywał się Christopher James Huntington.

Kryjówka

Haga- Amsterdam, 13 września

PAUL HJELM szybkim krokiem szedł przez miasto. Chodziło o wielozadaniowość. Równocześnie przeprowadzał trening, przemyślenie pewnych spraw, załatwienie rozmów i transport. No i oczywiście chodziło też o psychologiczną racjonalizację, bo najzwyczajniej w świecie uciekł z biura.

To było tak, jakby popychało go naprzód jakieś niesformułowane przeczucie. Równanie stawało się coraz bardziej widoczne, brakowało coraz mniej parametrów. A jednak wciąż nie było najważniejszego. Potem pozostawało oczywiście obliczenie samego wyniku.

Lecz przez cały czas coś się działo, a on *prawie* rozumiał co. To właśnie to *prawie* utrzymywało go w ruchu.

W tej chwili rozmawiał z Mechelen.

- Udo wciąż leży w śpiączce - powiedział Söderstedt do słuchawki. - Tym razem w *prawdziwej* śpiączce.

- Niestety, musicie tam jeszcze trochę zostać - odparł Hjelm. - Nowe informacje z Chin wskazują na dużo wcześniejsze związki Massicotte i Huntingtona. To *wieloletnia współpraca*. Musimy się dowiedzieć więcej na ten temat.

- Z Huntingtonem jako klientem. Ro to *on* kupił od Uda *pierwsze* pokolenie, tak? I pewnie gdzieś czeka mała armia dziewiętnastolemic „doskonałych przywódców”, gotowa coś zrobić dwudziestego siódmego...

- Brzmi to jak jakieś szaleństwo, ale wiele za tym przemawia. Co mają zrobić dwudziestego siódmego?

- Nie wiem Co z Markiem?

- W porządku. Przeszedł operację. Chińscy lekarze twierdzą, że powinien słyszeć na prawe ucho.

- Przedziwne wydarzenie.

- Delikatnie mówiąc - odparł Hjelm, przechodząc przez dziedziniec Noordeinde Pałace. - Kawał metalu przeleciał nad murem. Najwyraźniej udało się dokładnie zidentyfikować, co to było. Fragment inkubatora. Inkubatora dla wcześniaków.

- Cholera, Chińczycy sporo nas wyprzedzili - powiedział Söderstedt. - W każdym razie miło słyszeć, że nic mu nie będzie. Odezwiemy się.

Czekając, aż czerwone światło zmieni się na zielone, Paul Hjelm wybrał inny numer. Prawie natychmiast usłyszał przy uchu głos Chaveza.

- Czego chcesz, Paul?

- Ciebie też miło słyszeć - odparł Hjelm. - Nic nowego?

- O ile Lorenzo Ragusa, syn Il Ricurvo, faktycznie jest naszym Fusiarem, to przez ponad rok pracowali razem w Catanzaro w jednostce do walki z przestępczością zorganizowaną. Ragusa tam został, kiedy Fabio przeniósł się do Hagi. Ale zniknął pół roku po porwaniu Tebaldiego i Potorac.

- Co mówią jego koledzy?

- Pracujemy nad tym od ponad tygodnia. To okropnie frustrujące. Większość jest przekonana, że Lorenzo Ragusa nie żyje, że mafia w końcu dorwała odszczepieńca, tak jak w końcu dorwali Tebaldiego. W tej chwili mam wrażenie, że drepczemy w miejscu.

- W każdym razie wydaje się prawdopodobne, że jego zniknięcie i porwanie Lavinii i Fabia są w jakiś sposób powiązane. Powalczcie jeszcze trochę. Cierpliwości.

- *Fuck off.*

Hjelm znalazł się na haskiej starówce i wybrał kolejny numer.

- Tak, tu Felipe - powiedział telefon.

- Czyli jesteście w Madrycie? - spytał Hjelm.

- Na Korsyce wyciągnęliśmy już, co się dało - odparł Navarro. - Mirella i Barnworth są przerażeni. Ewidentnie szykuje się coś wielkiego.

- Przekaż Adrianowi, że podjęliście dobrą decyzję. Ale teraz

musisz mi powiedzieć, co robicie w Madrycie.

- Próbujemy znaleźć rudego młodzieńca o imieniu Arturo, który miał już dość tego, że osiemdziesiąt pięć najbogatszych osób na świecie ma w sumie więcej pieniędzy niż najuboższa połowa mieszkańców Ziemi, czyli trzy i pół miliarda ludzi. Miał dość nieustannej, groteskowej, niszczącej naszą cywilizację nierówności i bezgranicznej pazerności. Miał dość skorumpowanych polityków, zachłannych bankierów i drapieżnego kapitalizmu, który zżera nasz świat. I dlatego wziął udział w Marszu Oburzonych z Saragossy do Madrytu. Podczas tego marszu facet w eleganckim garniturze, pracujący dla Polesmos Seguridad S.A., należącej do spółki patronackiej Camulus Security Group Inc., zaopatrywał go w darmowe narkotyki.

Paul Hjelm postanowił sobie, że wszystkie rozmowy przeprowadzi, idąc. Ale teraz się zatrzymał. Na środku przejścia dla pieszych na haskiej starówce. Kierowcy zaczęli trąbić.

- Darmowe narkotyki? - spytał.

- To, co widziałem w Madrycie, to była ocena towaru. Wielkie, niemożliwe do ogarnięcia tłumy to dobra okazja, by przetestować nowe narkotyki.

- Chodziło o nowe narkotyki?

- Nie wiem Arturo gdzie zniknął. Szukamy go.

- Ale dlaczego powiedziałeś *nowe narkotyki*?

- Ten towar bardzo szybko Artura uzależnił. I wskazuje na to jego liryczny opis.

- Dobra - powiedział Hjelm. - Świetna robota, Felipe. Szukajcie dalej.

Dotarł do celu. Stał przy wejściu do starego okazałego budynku. Szukał w myślach.

Jeśli to była prawda, to bez wątpienia pojawił się nowy parametr w jego równaniu, zmienna, a może nawet stała.

Narkotyki.

Asterion i Huntington nagle zaczęli zajmować się narkotykami? Pracowali dla jakiegoś narkotykowego barona? A może znów

dla 'ndranghety?

Wszedł po schodach pięknej starej siedemnastowiecznej kamienicy i zadzwonił do drzwi Ruth. Pewnie już wcześniej widział jej nazwisko, ale teraz, gdy tak stał, przyglądając się ozdobnej, wykaligrafowanej tabliczce na dębowych drzwiach, po raz pierwszy to naprawdę do niego dotarło.

Otworzyła Vera. Watkina nie było widać. Broni też nie.

- Założyliście kamery? - spytał Hjelm.

Vera tylko się uśmiechnęła. Poprowadziła go przez salon Ruth, gdzie czas stanął w miejscu w latach pięćdziesiątych, do pokoju, w którym z lat pięćdziesiątych bardzo niewiele zostało. W siedział przy toalecie, na której rozstawione były wszystkie komputery, i wyglądał, jakby był czymś bardzo zajęty. Ekran jednego z laptopów podzielony był na cztery prostokąty, z widokiem na najbliższą okolicę, ulicę i klatkę schodową.

Watkin spojrział na Hjelma i kiwnął mu głową.

- Mam go - powiedział.

Hjelm przysunął sobie krzesło i usiadł obok niego.

- Kogo masz? - spytał.

- X - odparł W. - O tam.

Hjelm zmrużył oczy i przyjrzał się jakiejś mapie, z której trudno było cokolwiek wyczytać.

- Frankfurt? - spytał.

- Nad Menem - potwierdził W. - X przyjechał do Europy.

- O cholera. Ale jak go znalazłeś?

- Tę komórkę, przez którą ty znalazłeś nas, oczywiście wyrzucił od razu już w Nuevo Laredo. Ale domyślałem się, że jest na tyle pewny siebie, żeby zachować tę drugą. To znaczy, że jest na tyle głupi.

- Czyli miałeś jeszcze jeden numer na komórkę?

- Tak. Ten telefon jest w tej chwili włączony. Miejmy nadzieję, że tak pozostanie.

Hjelm obserwował mrugający punkt w dzielnicy biznesowej Frankfurtu.

- Zgarniemy go? - spytał W.

Hjelm milczał przez chwilę. Rozważał za i przeciw. Potem potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Chcę zobaczyć, co on kombinuje.

- Nie martwi cię, że mogę sam zmyć się do Frankfurtu?

- Wygląda na to, że zainteresowała cię sprawa - odparł Hjelm, wskazując na pozostałe komputery. - Wydobyłeś coś jeszcze z tego twardego dysku?

- Większość tego, co na nim jest, to stare dzieje - odparł W, wykonując podobny gest. - Muszę przyznać, że to odważne z twojej strony przekazywać mi materiał ze śledztwa. A co, jeśli poszedłbym z nim do Huntingtona? Sporo by wybulił, żeby dowiedzieć się, co wiesz.

- Nie sądzę, żeby chodziło ci o pieniądze - odparł Hjelm. - Masz ich dość na koncie w Panamie.

- Aha - stwierdził W - taka mała pasywno- agresywna groźba.

- Ani pasywna, ani agresywna - powiedział spokojnie Hjelm - Mogę zablokować to konto w ciągu godziny, a w przypadku mojej śmierci zostanie zablokowane automatycznie. Będziesz musiał zadbać o to, żebym nie zginął.

W się roześmiał.

- Dobra - powiedział. - Będę twoim ochroniarzem. No to o co mi według ciebie chodzi?

- O sprawiedliwość.

- Żartujesz sobie?

- Nie. Znalazłeś coś jeszcze.

- Nie chodzi im o was.

- No i...?

- Wspominałeś, że się domyślacie, że wasza grupa, czymkolwiek jest, stanowi dla nich cel. Ale jesteście tylko muchą, od której się opędzają. Irytującą, ale niewartą tego, żeby ją odnaleźć i zabić.

- Kim są ci „oni”?

- Nie wiem. Ale widzę jakiś trójkąt, trzy duże organizacje. Firmę ochroniarską Camulus, jakiś meksykański kartel, być może Los Zetas, i 'ndranghetę.

- A więc narkotyki?

- Tak. Ale w ostatecznym rozrachunku pieniądze i władza. Cóż by innego.

- Co ma się stać dwudziestego siódmego?

- Nie wiem - odparł W. - Ale X weźmie w tym udział. I jeśli nie wyłączy komórki, będziemy mogli go śledzić. Tyle że on jest mój.

- Jesteś przecież moim ochroniarzem...

Spojrzeli po sobie. Wybuchnęli śmiechem. Wszystko było absurdalne.

Dobro i zło. Czerń i biel. To, jak jaśniejsza szarość musiała natrafić na coś ciemniejszego.

- Jedno pytanie - powiedział Hjelm. - Właściwie nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Tak?

- Czy nie mieszkaliście na tamtej wyspie razem z twoim starym towarzyszem o imieniu Jacques i z waszą siostrą Uną?

- Ty też sporo wiesz, Hjelm - IW się uśmiechnął. - Czyli wiesz, że Una była U?

- Tak. I nie wierzę, żeby zginęła w Rosji.

- Luigi, ojciec mój i Very, zginął w Moskwie w wypadku samochodowym. Moja przyrodnia siostra Una wypadła z samochodu i przez parę dni leżała u jakichś kloszardów. Potem przez długi czas była w ciężkim stanie. Umieściłem Jacques'a na wyspie i gdy tylko Una odzyskała przytomność, niezidentyfikowana, w szpitalu na najgorszych przedmieściach Moskwy, zawiozłem ją tam. Potem przenieśliśmy się tam z Verą. Jacques był wrakiem człowieka, umarł po kilku miesiącach, a potem zmarła też Una. Sądzymy, że miała zakrzep w mózgu. W każdym razie to było wskutek tego wypadku.

Zadzwonila komórka Hjelma. Kiwnął głową do W i V, przeszedł przez rozsuwane drzwi Ruth i odebrał.

- Tes?

- Tu Laima. Jesteśmy w drodze do Nowego Jorku.

- Dobrze. Tak jak uzgodniliśmy. Ale...?

- Ale?

- Słyszałem jakieś „ale”.

- Cóż, w sumie to nie żadne „ale”. Raczej „i”. I w drodze na Schiphol zaglądamy do banku.

- Do banku? - spytał Hjelm. - Chodzi o tę twoją „częstodiwość występowania wyrazów”?

- To długa historia - odparła Balodis. - Jeśli wszystko się potwierdzi, w samolocie napiszę pełny raport. To taka stara metoda szyfrowania z czasów pierwszej wojny światowej. Bardzo subtelna. Używasz synonimów, które normalnie nie należą do twojego zasobu słownictwa. Potem system opiera się właśnie na częstodiwości występowania wyrazów. Najczęściej używane słowo to miejsce, drugie najczęściej używane to pora albo numer, coś z cyframi, trzecie najczęściej używane jest w razie potrzeby uzupełnieniem.

- Coś czuję, że teraz dostałem długą wersję.

- Skrytka bankowa. Teraz jedziemy ją sprawdzić.

- I o to chodzi. Daj mi znać, jak poszło.

- *Fuckface* - powiedziała Laima Balodis.

Ale najpierw się upewniła, że połączenie zostało już przerwane.

- *Fuckface*? - spytała Miriam Hershey siedząca obok niej w taksówce.

- *Wydaje mi się, że wcześniej zdążyłam wcisnąć właściwy przycisk* - odparła Laima. - Sukinsyn nie chciał posłuchać, jak znalazłam bank.

- Ja też nie chcę tego słuchać - powiedziała Hershey. - Jeśli w tej skrytce naprawdę coś jest i jeśli dostaniemy się do niej, zanim odleci samolot, i tak będę pod wrażeniem. Pewnie przez resztę życia.

- Mój pradziadek zajmował się szyframi - nadąsała się Balodis.

Zatrzymały się przed jednym z największych banków w Hadze. Taksówka czekała na nie, nie wyłączając silnika, ze wszystkimi ich rzeczami w bagażniku. Weszły imponującymi drzwiami. Ponieważ skrytka była zarejestrowana na osobę o nazwisku P. Eculiar, nadzieje Balodis gwałtownie wzrosły.

Hershey stała obok i obserwowała jej zapał ze sceptyczną miną niemającą nic wspólnego z partnerstwem i współpracą. A urzędnik bankowy miał wiele wątpliwości.

- P. Eculiar! - wrzasnęła Balodis prosto w twarz Hershey.

- Tak - odparła chłodno Hershey. - Samolot zaraz odlatuje.

- *Peculiar* to najczęściej występujące niecodzienne słowo w materiałach z nieoficjalnego śledztwa Donatelli Bruno. Przestań mi wreszcie przeszkadzać.

Hershey dopadły wyrzuty sumienia. Spojrzała na pracownika banku i powiedziała spokojnie:

- Widzisz nasze legitymacje. Widzisz zarządzenie szefa Europolu. Czeka cię co najmniej pięć dni w areszcie. Co najmniej tyle. Pięć dni, a potem będziemy musieli cię wypuścić albo cię zatrzymać. Na podstawie dotychczasowych dowodów zatrzymujemy cię.

Oczywiście to było wierutne kłamstwo. Te pięć dni wzięła z kapelusza. A za sfalszowanie podpisu szefa Europolu Hershey i Balodis posiedziałyby w areszcie znacznie dłużej niż pięć dni. Pewnie wyleciałyby z roboty, a potem przesiedziały ze trzy lata w więzieniu. Nauczyły się jednak na przykrych doświadczeniach, że ton absolutnego przekonania najlepiej otwiera drzwi.

Również tutaj, w tym banku z tradycjami. Pracownik bankowy o twarzy sfinksa sprowadził je na dół do skarbcza. Uzyskały dostęp do skrytki. Potem zaprowadzono je do małego, osobnego pokoju na dole. Stały tam z nieotwartą szufladką i gapiły się na nią.

- Jeśli to jest ta kryjówka, to niech mnie diabli. Donatella przemówiła do ciebie z za grobu - powiedziała Miriam Hershey.

- W dodatku przez mojego pradziadka - odparła Laima Balodis i otworzyła szufladkę.

W środku leżała teczka. Mniej więcej trzycentymetrowej grubości.

- O do diabła - zaklęła Hershey.

- Dokładnie tak - powiedziała Balodis.

Samolot zdążył się wytoczyć na pas startowy, kiedy wreszcie udało jej się połączyć. Silniki zaczęły już przyśpieszać, gdy w końcu usłyszała:

- Tak?

- Jorge? Dobrze mnie słyszysz? Muszę się śpieszyć. Zaraz znikam na siedem godzin w ciszy radiowej.

- Laima? Słyszę cię. Startujący samolot?

- Mam nazwisko informatora Donatelli Bruno, tego, którego nazwaliśmy R.

- Zamieniam się w słuch - powiedział Jorge Chavez.

- Bez przerwy zaopatrywał Donatellę w materiały ze śledztwa w sprawie śmierci Tebaldiego i Potorac. Niemal codziennie przez pięć tygodni, ale dopiero pół roku po wybuchu.

- Dobra, zanotowałem. A nazwisko?

- R nazywa się Lorenzo Ragusa.

- O do diabła! - zaklął Chavez.

- No właśnie - powiedziała Balodis.

Potem samolot wystartował.

Z ostatnią parą na pokładzie.

Give thy thoughts no tongue

Catanzaro- Aosta, Włochy, 13 września

NA OBRZEŻACH Catanzaro, stolicy Kalabrii, w restauracji z jedną gwiazdką od Michelina spożywano prawdziwy włoski lunch. Sezon dobiegał końca i w doskonałym lokalu Antonio Abbruzzino na górzystych stokach miasta było niewiele ludzi. W kącie siedziała para Amerykanów, mężczyzna bardzo głośno mówił, nie zwracając uwagi na innych gości. Przy środkowych stolikach siedziało dwóch mężczyzn wyglądających na lokalnych biznesmenów oraz większa grupka emerytów. A przy stoliku przy oknie zasiadło trzech mężczyzn, którzy ani trochę nie przypominali geologów. Byli tam już od dwóch godzin i jeszcze nie dotarli do legendarnego *secondo piatto*. Pili nawet wino - choć stały szofer tylko mikroskopijnymi łyżkami - i tylko czasem z jakichś ciemnych zakamarków dopadała ich rozmowa o pracy. A wtedy mówili szeptem. I bardzo rzadko chodziło o geologię.

- Jak długo właściwie już tu jesteśmy? - spytał Jorge Chavez. - Ponad miesiąc, co?

- Tak - odparł Esposito. - I ani ty, ani ja nie należymy do zasadniczego składu Opcop. Czyli właściwie powinniśmy być na dwutygodniowej zmianie w Hadze. Mnie to nie przeszkadza, bo jestem kawalerem, ale co na to twoja żona, Jorge?

- Dostałem specjalne pozwolenie - odparł Chavez, - Nie bez narzekania, ale dostałem. Myślę, że sprawę ułatwia nasz nowy domek letniskowy pod Gnesta...

- Wydaje mi się, że kiedyś przyjadę tutaj na urlop - powiedział Angelos Si fałd s. - Kalabria jest wspaniała. A ta greka, którą mówią tu w górach, jest po prostu boska. Jak bezpośredni kontakt z Olimpem.

- Dlaczego Lorenzo Ragusa zaginął? - spytał Chavez.

- Wiem, że lubisz podsumowania - odparł Sifakis - lecz czy starczy nam sił na jeszcze jedno? I to akurat teraz?

- Oto moja rekonstrukcja. Fabio Allegretti i Lorenzo Ragusa są przyjaciółmi z dzieciństwa. Ich rodziny mieszkają po sąsiedzku w dwóch domach na obrzeżach San Luca. Kiedy chłopcy mają po osiem lat, rodzina Allegrettich zostaje wymordowana przez mafię, z wyjątkiem Fabia, któremu w jakiś sposób udaje się uratować i który dorasta pod nazwiskiem Fabio Bianchi w klasztorze, tutaj w Kalabrii. Kiedy ma pójść do gimnazjum w Rzymie, ponownie zmienia nazwisko i staje się Fabiem Tebaldim, w hołdzie swemu zmarłemu ojcu, Teobaldowi. Postanawia zignorować swój matematyczny talent i zostaje policjantem. W tym czasie rodzina Ragusów pnie się w mafijnej hierarchii, ojciec zostaje płatnym mordercą, znanym jako Il Ricurvo. Jego syn Lorenzo uczęszcza do gimnazjum w Reggio di Calabria. Nie wiadomo, czy wie o tym, że jego przyjaciel z dzieciństwa żyje, i czy już teraz nie znajduje się w rękach mafii. W każdym razie pozornie Lorenzo zrywa ze swoją mafijną rodziną i również zostaje policjantem, zupełnie niezależnie od decyzji Fabia. Fabio Tebaldi kończy akademię policyjną w Mediolanie, Lorenzo w Campobasso, i nic w tamtym czasie nie świadczy o tym, by mieli ze sobą kontakt. Ale potem coś się dzieje. Jako aspiranci trafiają na służbę przygotowawczą w to samo miejsce. Do Genui. Co się właściwie wtedy wydarza?

- Rozmawialiśmy przecież z trzema innymi aspirantami z Genui - odparł Sifakis. - Według nich Fabio i Lorenzo wcale nie mieli kontaktu. A co to z kolei oznacza?

- Nie poznali się - odparł Esposito. - Nieprawdopodobne, co?

- Rozstali się jako ośmiolatkowie - powiedział Sifakis. - Nie wiemy dokładnie, jak bliscy byli sobie w dzieciństwie, ale te dwa domy stały trochę na uboczu. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w dzieciństwie się przyjaźnili. Nawet jeśli Fabio zmienił nazwisko i został przez Lorenza uznany

za zabitego, musiał przynajmniej zareagować, słysząc nazwisko Ragusy. A ponieważ Fabio został w Genui przez cały okres służby przygotowawczej, Lorenzo nie mógł wydać go mafii.

- W ten sposób dochodzimy do pytania o status Lorenza - stwierdził Chavez. - Czy naprawdę zerwał ze swoją rodziną i z mafią? Czy może mafia podstawiała go jako swojego człowieka w policji?

- Pozostał przy swoim prawdziwym nazwisku - stwierdził Esposito. - Nic nie świadczy o tym, żeby coś mu groziło. Według mnie był podstawiony.

- Po Genui się rozstają - ciągnął Chavez. - Fabio rozpoczął służbę w Turynie, Lorenzo wrócił do Kalabrii i służył w Reggio di Calabria. Czy miejscowa policja wiedziała, że był synem II Ricurvo?

- Staraliśmy się przecież nie rzucać w oczy miejscowej policji - odparł Sifakis. - Jednak z tego, co udało nam się mimo wszystko dowiedzieć, wynika, że nie. II Ricurvo był znany policji tylko jako II Ricurvo. Bardzo niewiele osób znało jego prawdziwe nazwisko, Riccardo Ragusa.

- Potem Fabio i Lorenzo szkolą się dalej na policjantów do walki z przestępczością zorganizowaną - podjął Chavez. - Ale w dwóch różnych miejscach: Fabio pod Turynem, Lorenzo pod Rzymem Lorenzo szybko rozpoczyna służbę w jednostce do walki z mafią, tu w Catanzaro, Fabio przez jakiś rok walczy z kamorrą w Neapolu, a potem służy w Rzymie, nim wraca do Catanzaro. Ale wtedy zaczynają się dziać różne rzeczy.

- No właśnie, co zaczyna się dziać? - spytał Sifakis. - Musiał wiedzieć, że jeśli wróci i zostanie zdemaskowany, to wtedy wyznaczają cenę za głowę nie tylko Fabia Allegrettiego, ale też Fabia Tebaldiego. Mimo to wyrusza do jaskini lwa i zabiera się do sprzątnięcia. Według kolegów z Catanzaro nawiązuje kontakt z większą liczbą „skruszonych”, czyli informatorów, niż im się kiedykolwiek dotąd udało. Zostaje dowódcą jednostki do walki z mafią, wcześniej nieodnoszącej właściwie żadnych sukcesów, i zaczyna wsadzać za kratki kolejnych mafiosów.

- W tej jednostce do walki z mafią służy też Lorenzo Ragusa - dodał Esposito.

- Ich grupa i cały wydział są, jak można się było spodziewać, dość mocno zinfiltrowani - podjął

Chavez. - Nie można ufać właściwie żadnym informacjom. Istnieje tylko jeden człowiek, któremu Fabio ślepo ufa, i jest nim Lorenzo Ragusa. Kiedy informacje w jakimś dokumencie są na pewno autentyczne, Lorenzo zostawia na nim kółko po filiżance z kawą.

- Mają układ? - spytał Esposito. - Czy Fabio może wykorzystywać mafijne kontakty Lorenza dlatego, że Lorenzo sam chce rozbić mafię? Czy może chodzi o równowagę sił? „Ja nie ujawnię, że jesteś synem Il Ricurvo, jeśli ty nie wydasz mnie w ręce mafii”.

- Trzecia możliwość jest oczywiście taka, że Lorenzo od początku jest kupiony - zauważył Chavez. - Czeka tylko na właściwą okazję, żeby dorwać Fabia. Może sam się nawet przyczynia do dwóch zamachów na jego życie, do których w końcu dochodzi. Fabio Tebaldi jest oczywiście doskonałym *antimafioso*. Nie ma ani jednego żyjącego krewnego i ani jednego prawdziwego przyjaciela, nikogo, komu można zagrozić. Niemniej ostatni zamach na jego życie to dla niego zbyt wiele. W strzelaninie, z której Tebaldiemu udaje się ująć z życiem z czterema ranami postrzałowymi, ginie trzech innych policjantów. Fabio zgłasza się do Hagi, do nowo utworzonej grupy Opcop, i przyjeżdża tam ze swoimi ochroniarzami. To było dwa i pół roku temu.

- W tym czasie Lorenzo dalej pracuje w Catanzaro - podjął Sifakis. - Po jakimś czasie Opcop dostaje sprawę, w której pojawia się 'ndrangheta. Szwedzki przedsiębiorca z branży meblarskiej nawiązuje kontakt z Il Ricurvo i z jego szefem, Il Sorridente. Zostają zlokalizowani w zameczku w Bazylikacie, na północ od Kalabrii. Koleżanka z Opcop, Lavinia Potorac, wyjeżdża z Tebaldim do Bazylikaty. Wsiadają w samolot do Rzymu i tam spotykają się z ówczesną szefową włoskiej

grupy Opcop, Donatellą Bruno. Donatella zawozi ich na tajny policyjny parking w lasach na południe od Rzymu, gdzie dostają inny samochód i wyruszają na południe, do Bazylikaty. Wtedy nawiązują kontakt po raz ostatni. Dwa dni później okazuje się, że zameczek spłonął; odnaleziono w nim DNA Tebaldiego, Potorac, Il Ricurvo i Il Sorridente. Uznaje się, że cała czwórka zginęła wskutek wybuchu.

W tym miejscu rozpoczął Jorge Chavez:

- Według materiałów z nieoficjalnego śledztwa Bruno, rozpoczętego pół roku po wybuchu, Tebaldi został zdradzony przez swojego przyjaciela, Fusiarza. Fusiarz informuje 'ndranghetę o przyjeździe Tebaldiego i Potorac i mafia podkłada materiały wybuchowe w całym zameczku. Ale zamiast zginąć w eksplozji, Fabio i Lavinia zostają porwani i wywiezieni w jakieś nieznanne miejsce, gdzie siedzą od dwóch lat. Dlaczego?

Sifakis potrząsnął głową i rzekł:

- Bruno rozpoczyna nieoficjalne śledztwo, ponieważ dostaje utajnione informacje od jakiegoś śledczego, którego nazywa R. A do niego ani trochę nie udało nam się zbliżyć.

W tym momencie przybyło ich *secondo piatto*. Niestety, nie samo. Towarzyszył mu sygnał

komórki. W końcu lekko wstawiony Chavez zorientował się, że to jego telefon.

- Tak? - odebrał. Zmarszczył brwi i dodał: - Laima? Słyszę cię. Startujący samolot?

Nagle zaczął wymachiwać ręką, żeby ktoś podał mu coś do pisania. Dostał długopis od Esposita i zbliżył go do eleganckiej płóciennej serwetki. Sifakis skrzywił się z niesmakiem.

- Zamieniam się w słuch - powiedział Jorge Chavez.

Następnie zaczął energicznie bazgrać na serwetce.

- Dobra, zanotowałem. A nazwisko?

I w tym momencie przestał pisać. Upuścił długopis na podłogę i zaklął:

- O do diabła!

Odłożył komórkę i zapatrzył się pustym wzrokiem przed siebie.

Sifakis odwrócił serwetkę i spróbował odczytać notatki. Tekst, zapisany dość rozchwianym charakterem pisma, brzmiał: „R, codz. info, 5 t, pół roku po wyb.”.

- R codziennie dostarczał Donatelli materiały ze śledztwa przez okres pięciu tygodni, pół roku po wybuchu? - spytał Sifakis. - Dobrze rozumiem? To znaczy, że udało im się zbliżyć do R?

- Można tak to ująć - odparł lekko wstrząśnięty Chavez. - I sami też dawno powinniśmy do tego dojść. Bo co oznacza „R”, jeśli nie „Ragusa”?

Sifakis i Esposito wymienili szybkie spojrzenie.

- Czyli R i Fusiarz to ta sama osoba? - spytał ten pierwszy. - Jeden i drugi to Lorenzo Ragusa?

- Tak - potwierdził Chavez. - Co to oznacza dla naszej rekonstrukcji?

- Wyrzuty sumienia - podsunął Esposito. - Lorenzo zdradza Fabia i sam jest zaangażowany w śledztwo. Dostrzega potężną korupcję albo może tylko to, że śledztwo jest niekompetentnie prowadzone. Wtedy zaczynają go dręczyć wyrzuty sumienia. Najpierw zdradził najlepszego przyjaciela, a teraz widzi, że śledztwo schodzi na psy. Zwraca się do Bruno, bo to ona przyczyniła się do tego, żeby Fabio został przyjęty w Hadze.

- Dlaczego tylko pięć tygodni, a potem cisza? - spytał Sifakis.

- To się przecież zgadza z naszym wcześniejszym rozumowaniem - zauważył Chavez. - Mniej więcej wtedy Lorenzo Ragusa zapadł się pod ziemię.

- ‘Ndrangheta się dowiedziała, że zaczął puszczać farbę - powiedział Sifakis. - Zabili go. I teraz Bruno i Ragusa nie żyją.

End of story.

- Nie - zaprotestował Chavez. - Coś tu jest nie tak.

- Co?

- Dlaczego Lorenzo Ragusa powiedział Donatelli Bruno, że to nie była ‘ndrangheta?

Na chwilę zapadło milczenie. Nagle do ich nozdrzy dotarły zapachy stojącej przed nimi cielęciny, wyśmienitego *vitello*.

Zabrali się do jedzenia. Ale czy którykolwiek z nich naprawdę czuł smak tego nagrodzonego gwiazdką dania? Czy ich myśli nie były skupione na czymś innym?

- Dezinformacja? - zastanawiał się na głos Esposito. - Ragusa nadal był człowiekiem 'ndranghety, nigdy nie był nikim innym. Dostarczył Bruno fałszywych informacji, a potem zniknął. Teraz ma nie najgorszą pozycję w europejskim handlu kokainą i powoli pnie się po szczeblach hierarchii.

- Całkiem możliwe - przyznał Sifakis. - R od początku do końca był fejkkiem.

- I całe nieoficjalne śledztwo Donatelli to brednie? - spytał Chavez. - Po co w takim razie ją zabijać? Po co przykuwać uwagę do czegoś, co inaczej zostałyby potraktowane jako zwykła teoria spiskowa? Albo w ogóle nie wyszłoby na jaw?

- I po co w ogóle kontaktować się z Bruno? - zapytał Esposito. - Po co *tworzyć* jakąś teorię spiskową. Dla 'ndranghety byłoby przecież najlepiej, gdyby o całym tym śledztwie zapomniano.

- Coś tu się nie zgadza - stwierdził Chavez i przestał przeżuwać. - Właśnie się dowiedzieliśmy, że R i Fusiarcz to jedna i ta sama osoba. Coś w tym zmienia wszystkie wstępne założenia. Ale nie mogą wpaść na to jakie.

- Masz rację - powiedział Sifakis. - Spróbujmy pomyśleć racjonalnie. *Wersja pierwsza*: do chwili wyjazdu Fabia do Hagi Lorenzo z nim współpracował, ale gdy Tebaldi wrócił, zdradził go. Potem dopadły go wyrzuty sumienia, wygadał się Donatelli, został zdemaskowany i ukarany przez 'ndranghetę.

- W wersji pierwszej trzy rzeczy się nie zgadzają - powiedział Chavez. - Pierwsza rzecz: dlaczego w takim razie Lorenzo miałby przekazać Donatelli, że nie chodzi o 'ndranghetę? Druga rzecz: dlaczego 'ndrangheta miałaby porwać Fabia, a Lorenza zamordować? I trzecia rzecz, która się nie zgadza: dlaczego w ogóle 'ndrangheta przez dwa lata miałaby przetrzymywać znieawidzonego wroga, zamiast po prostu go zabić? Na co im coś tak skomplikowanego *jak upozorowanie jego śmierci*?

- A jaka jest w ogóle wersja druga? - spytał Esposito. - Mamy jakąś drugą wersję?

- *Wersja druga* - zaczął dzielnie Sifakis. - 'Ndrangheta dopada Fabia po tym, jak skorumpowany Lorenzo wreszcie po wielu próbach doszedł do tego, jak go dorwać. Może Donatella Bruno zaczęła już grzebać w tej sprawie i wtedy postanowiono ją zmylić, wprowadzić w błąd, przede wszystkim informując, że *nie chodzi o 'ndranghetę*. Ale, cholera, to się nie zgadza. Bo w takim razie po co ją zabijać... Żywa znacznie bardziej by się im przydała.

- Czegoś tu brakuje - oświadczył Esposito. - Niech mnie diabli, o czymś nie wiemy. Brakuje czegoś wielkiego.

- Cytat! - zawołał Chavez i zerwał się z miejsca.

Sifakis i Esposito gapili się na niego. Jorge przez dłuższą chwilę po prostu stał, skupiając na sobie wiele spojrzeń - nienagannie ubranych kelnerów, amerykańskiej pary, dwóch miejscowych biznesmenów i całej grupki emerytów. W końcu znów opadł na swoje miejsce. Nie krzyczał już, teraz mówił szeptem:

- Fabio dostał szansę. Był półżywy po dwóch latach piekła. Ale dostał *jedną* szansę. Porywacze wetknęli mu do rąk gazetę i postanowili go sfilmować. Miał najwyżej jakąś minutę, by znaleźć w tekście cytat, który mógłby nam podsunąć jakiś trop. I co wybrał? Pokazał palcem lewej ręki na kompletnie nic niewnoszący artykuł o włoskiej piłce. Cytat, na który wskazał, brzmi: „Przyczyn kryzysu doszukać się można przede wszystkim w miernej rekrutacji zagranicznych zawodników”.

Sifakis spojrział na Esposito. Esposito na Sifakisa. Potem obaj spojrzeli na Chaveza. Ich oczy stały się szkliste.

- Są w to zamieszani *zagraniczni zawodnicy* - powiedział Chavez. - Tebaldiego i Potorac *nie porwała* 'ndrangheta. Czy to nie to, czego nam brakuje?

- Słodki Jezus- jęknął Esposito, pocierając czoło.

- To mamy jakąś trzecią wersję? - spytał Sifakis.

- To przecież dla nas kompletna nowość - odparł Chavez. -

Spróbuję improwizować. *Wersja trzecia*: Lorenzo nie sprzedaje Fabia 'ndranghecie, naprawdę przeciął wszystkie więzy łączące go z ojcem Fabia zgarniają natomiast jacyś zagraniczni gracze, którzy *nie chcą* go zamordować, w każdym razie nie od razu. Yyy... a potem... yyy... potem Lorenzo prowadzi śledztwo w sprawie wybuchu i dochodzi do wniosku... że to właśnie zagraniczni gracze dorwali Fabia. Dochodzi też do wniosku, że... policja chce to wyciszyć... bo...

- Coraz wolniej mówisz - zauważył łagodnie Sifakis.

- Cholera, nie mogę tego pozbiierać do kupy - zdenerwował się Chavez i rąbnął ręką w stół, a potem podjął: - Lorenzo to twardy orzech do zgryzienia, prowadzi jakąś własną grę. Pochodzi z 'ndranghety, z samego serca San Luca, przyjaźni się z Fabiem Tebaldim, przez wiele lat nie wydaje go mafii i poprzez Donatellę Bruno próbuje nam zwrócić uwagę, że Tebaldiego i Potorac nie dopadła 'ndrangheta. Że zrobili to jacyś „zagraniczni zawodnicy”. Nie rozumiem, co on wyprawia, ale im dłużej się temu wszystkiemu przyglądam, tym bardziej jestem przekonany, że on żyje. I nie jest z mafii, nie wierzę w to.

- No to gdzie jest? - spytał Sifakis. - Na jakiej polinezyjskiej wyspie?

- Niech mnie diabli, może i tak! - wybuchnął Chavez. - Musimy jeszcze raz wrócić do motywacji. Co według nas kieruje Lorenzem Ragusą? Widzimy w ogóle jakieś motywy?

- Może jednak lojalność - podsunął Sifakis. - Czemu nie zdradził Fabia, kiedy nagle znów go zobaczył w Genui?

- Są przyjaciółmi - pokiwał głową Esposito.

- To *jedna* z motywacji - odparł Chavez - ale nie ta najważniejsza. Fabio nie jest aż taki ważny w życiu Lorenza. Nie. Co kieruje *samym* Ragusą w jego własnym życiu?

- Rozmawialiśmy przecież z wieloma osobami, które go znały - wtrącił się Esposito. - Wygląda na to, że z nikim nie był naprawdę blisko. Żadnej rodziny, żadnych przyjaciół. Dość anonimowa postać.

- Paradoksalnie wydaje mi się, że *właśnie teraz* się do czegoś

zbliżamy - powiedział Sifakis. - Choć właściwie do niczego nie możemy dojść. Ludzie, z którymi gadaliśmy, byli przecież tego samego zdania co my. Lorenzo Ragusa nie robił żadnego wrażenia.

- No to co nim kieruje? - zapytał Chavez z nowym entuzjazmem. - Bo nagle to się dla mnie stało całkowicie jasne. Powiedźcie to jednym słowem. Salvatore?

- Aaaa - jęknął sfrustrowany Esposito. - Nie wiem Lojalność?

- W pewnym sensie tak. Angelos?

- Wolność - wyrzucił z siebie na wydechu Sifakis. - Przez całe życie coś go ogranicza. Jest związany z mafią. Niczego bardziej nie pragnie, niż się wyrwać.

- Bingo! - zawołał Chavez. - Racja! Tak mi się wydaje. To, czym się zajmuje, to szukanie sposobu, żeby wyrwać się mafii. I właśnie to teraz robi. Do diabła, wychodziliśmy z założenia, że nie żyje. Ale on uciekł. Nie wiem, jak do tego pasuje jego działalność jako R, informatora Donatelli, ani co z tym mają wspólnego „zagraniczni zawodnicy”, ale musiał znaleźć jakiś sposób, by uciec ‘ndranghecie, pozbyć się swego nieodłącznego mrocznego towarzysza. *Wolność*, Angelos. Tego właśnie chciał. Od początku. Za wszelką cenę wyrwać się mafii.

- Czyli uciekł? - spytał Esposito.

- Ale dokąd? - zastanowił się Sifakis.

Obok nich zjawiał się sprzedawca kwiatów. Odwrócił się na pięcie, gdy dotarło do niego, że przy tym stoliku nikt nie zechce obdarzyć żadnego z pozostałych bukietem czerwonych róż. Chavez śledził go rozkojarzonym spojrzeniem. Sprzedawca chodził od stolika do stolika. W końcu zbliżył się do pary Amerykanów w kącie. Mężczyzna, który dalej komunikował się ze swoją damą grzmiącym głosem, przepędził go równie empatycznymi, co głośnymi słowami:

- *Piss off, you fucking hobo!*

Wtedy w głowie Chaveza coś zaskoczyło. Wydało mu się, że dostrzeżę coś z bardzo daleka.

- Miły gość - skrzywił się Esposito.

- *Hobo* - powiedział Chavez.

- Co? - spytał Sifakis, rzucając mu krzywe spojrzenie.

- *Hobo* - powtórzył Chavez. - Włóczęga.

Tym razem obaj koledzy nieufnie mu się przyjrzeni.

- Jak on się nazywał - ciągnął Chavez. - Ten księgowy z Turynu. Nestore Maga? Gość, który mówił z przesadnym amerykańskim akcentem?

- Tak - potwierdził Sifakis. - Ale przecież to już sprawdzaliśmy. Nie rozpoznał Lorenza Ragusy na zdjęciu sprzed sześciu czy siedmiu lat. Tak mu się przynajmniej *wydawało*. I to by było na tyle.

- Opowiadał o jakimś włóczędze, któremu Fabio spuścił lanie - powiedział Chavez. - Rękoczynny. *Hobo*.

- No i?

- Pokerowe nocki. Gdzie one się odbywały?

- Nie pamiętam - powiedział Esposito z udręczoną miną. - W Turynie? Byli przecież studentami...

- Nie, to było gdzie indziej - wtrącił Sifakis. - W jakimś domku w górach?

- Tak - powiedział Chavez. - W „chacie”. Domek w górach, który stał pusty, inwestycja, nikt tam nie bywał. Tylko paczka od pokera. I raz Lorenzo Ragusa tam z nimi pojechał.

- Niech mnie diabli - powiedział Sifakis. - Naprawdę tak myślisz? Góry na północy Włoch? Jakie góry?

- Gdzieś blisko Turynu - odparł Chavez. - Dawajcie laptop! Ma ktoś numer Nestore Magi wpisany w komórkę?

Salvatore Esposito zaczął przeglądać kontakty. Angelos Sifakis wyciągnął laptop. Jorge Chavez im pomagał, intensywnie tupiąc nogą.

- Mam go - oświadczył Esposito. - Dzwonię.

- Na północ i na zachód od Turynu jest sporo gór - stwierdził Sifakis, patrząc na mapę na ekranie.

- Nie odbiera - poinformował Esposito.

- Sprawdź przeloty - powiedział Chavez. - Z Lamezia Terme do Turynu.

- Mamy samolot za dwie godziny - poinformował Sifakis.
- Możesz prowadzić, Salvatore? I dalej próbuj się dodzwonić.
- Jeśli ja prowadzę, to może ty zadzwonisz? - spytał Esposito, wkładając marynarkę.

Gdy wczesnym popołudniem wylądowali na Torino Caselle pod Turynem, nie udało im się jeszcze skontaktować z Nestore Magą. Esposito ukradkiem próbował się dodzwonić, gdy samolot schodził do lądowania, ale Maga wciąż nie odbierał. Również wówczas, gdy stali w kolejce do wypożyczalni samochodów. Ale gdy szybkim krokiem szli przez wielki parking, wreszcie się udało.

- Maga.
 - Tu policja - powiedział spokojnie Esposito. - Kontaktowaliśmy się z panem wcześniej w sprawie Fabia Tebaldiego, policjanta, z którym się pan przyjaźnił w studenckich czasach.
 - Pamiętam - powiedział księgowy Nestore Maga. - Tylko że wtedy rozmawialiśmy po angielsku. Komisarz... Castro?
 - Chavez - sprostował Esposito. - Wspominał pan o domku w górach, w którym grywaliście w pokera.
 - Zgadza się - potwierdził Maga. - Nasza chata. Tak ją nazywaliśmy...
 - Gdzie jest ta chata? - wszedł mu w słowo Esposito.
 - Macie szczęście. Mam akurat pod ręką współrzędne GPS.
- Salvatore Esposito stanął jak wryty. Kilka metrów przed nim przystanęli również Chavez i Sifakis. Odwrócili się i zobaczyli, że Esposito mocno zmarszczył brwi.
- Chwileczkę - powiedział z naciskiem. - Dlaczego *tak* się składa, że ma pan akurat pod ręką współrzędne GPS chaty?
 - Po lunchu miałem ważne spotkanie - wyjaśnił Nestore Maga.
 - To dlatego, niestety, nie mogłem odebrać telefonu. Ale tuż przed spotkaniem zadzwonili do mnie wasi koledzy.
 - Moment - powiedział Esposito, spoglądając na Chaveza, który niecierpliwie pokazywał na zegarek. - Kiedy dokładnie to

było?

- Cóż, gdzieś koło jedenastej...

- Niech pan przejrzy odebrane połączenia na komórce i poda mi dokładną porę.

Po chwili Maga powiedział:

- Dziesiąta czterdzieści trzy. Chce pan te współrzędne?

- Niech mi je pan przyśle SMS- em, kiedy będziemy dalej rozmawiać. Może być?

- Tak, spróbuję. Prześlę je *as we speak, man*.

- Proszę mi wyjaśnić własnymi słowami, gdzie jest położona chata.

- Pod Aostą - odparł Maga. - Prawie w linii prostej na północ od Turynu, jakieś sto dziesięć, sto dwadzieścia kilometrów. W górach. Niedaleko tunelu Mont Blanc.

- Dziękuję, właśnie dostałem współrzędne.

Esposito dał znak ręką. Ruszyli.

- Co mówili ci nasi koledzy? - spytał.

- No cóż... Też chcieli wiedzieć, gdzie dokładnie jest ta chata.

Czy ta wasza policja w ogóle się ze sobą nie komunikuje?

- Nazwisko? Głos? Jakies inne wrażenia?

- Zastanawiam się, czy w ogóle podał jakieś nazwisko... Natomiast zwróciłem uwagę, że mówił po angielsku ze świetnym amerykańskim akcentem. Mniej więcej jak Bruce Willis w *Szklanej pułapce*. *Wonderful English!*

- Czyli mówił po angielsku? Policjant, który się nie przedstawia i mówi z amerykańskim akcentem?

- Pan też się nie przedstawił. A ten poprzedni, ten Castro, też mówił po angielsku.

- W sumie racja - przyznał Esposito. - Pamięta pan coś jeszcze?

- Nie. Nie za bardzo.

- Dobra. Niech pan będzie w najbliższych godzinach dostępny pod tym numerem. Absolutnie żadnych ważnych spotkań z wyłączonym telefonem.

Odjechali. Przenośny GPS, który dostali w wypożyczalni, działał bez zarzutu, co wynikało głównie z faktu, że nie

obsługiwał go Chavez. Siedział z tyłu z laptopem i wyszukiwał lokalizację. Uzyskał zdjęcie satelitarne, które po zbliżeniu na samą chatę było dość nieostre. Niemniej stało się jasne, że chodzi o klasyczny alpejski domek położony obok stoku narciarskiego. Był jakby wciśnięty w skalną ścianę, więc istniało tylko jedno wejście krótkimi schodami prowadzącymi na taras.

Wspólnie przyjrzeni się zdjęciu, jadąc na północ. Po jakimś czasie znaleźli się na A5, całkiem znośnej autostradzie, która powoli zaczęła się piąć i mocno odbijać na zachód. Esposito jechał bardzo szybko. Przez większość czasu milczeli. Przeprowadzili tylko jedną rozmowę.

- Mają nad nami pięć godzin przewagi - powiedział Chavez.

- Kimkolwiek są - dodał Esposito.

- Jeśli nie chodzi ci o to, żeby kogoś zabić, to w pięć godzin możesz bardzo wiele zdziałać - zauważył Sifakis, dotykając broni w kaburze.

- Dlaczego akurat teraz? - spytał Chavez. - Mieli znacznie więcej czasu niż my, żeby go znaleźć. Musieli w ostatnich dniach zacząć się bardziej starać.

- Chcą wszystko dopiąć na ostatni guzik - stwierdził Sifakis. - I pewnie chcą się dowiedzieć tego samego co my. Możliwe, że Ragusa wciąż żyje.

- Co to za jedni? - spytał Esposito.

- Jak ich podejmiemy? - zastanawiał się Chavez. - Zwłaszcza że w bocznych ścianach są okna. Od tyłu nie da się wejść, tam jest tylko skała. A od przodu też nie da rady, mają widoczność na jakieś sto metrów.

- Z boku - zaproponował Sifakis. - Znalazłem plan z biura architektonicznego. Wygląda na to, że to typowy alpejski domek, wszędzie niemal taka sama konstrukcja, różnice wynikają tylko z nachylenia stoku i tak dalej.

- Ale co to za jedni? - upierał się Esposito.

- To musi być to, czego nam brakowało - oświadczył Sifakis. - To, co sprawiało, że nasze hipotezy nie trzymały się kupy.

- I powinniśmy byli wcześniej na to wpaść - dodał Chavez. -

Jasne, że to Asterion. Amerykanie, ludzie Huntingtona. Tyle że wciąż mi się to wszystko nie zgadza.

- W tej chwili nie musi się zgadzać - odparł Esposito. - Nie wiemy, ilu ich jest, prawda? Ani jaką mają broń. Naprawdę mamy to zrobić sami?

- A kogo proponujesz sprowadzić? - spytał Chavez. - I za ile mogą być na miejscu?

- Mogę pogadać z moim dawnym dowódcą z Mediolanu - zaproponował Esposito.

- Masz pojęcie, w jaką się wtedy wpakujemy biurokrację? - spytał Chavez. - Zapomnij o tym. Zrobimy to sami. Albo po prostu damy sobie spokój, pojedziemy dalej do tunelu Mont Blanc i za kilka godzin będziemy w Hadze.

- Nie o to mi chodziło - odparł Esposito.

- W sumie tylko okna od przodu się nadadzą - zauważył Sifakis.

- Jeśli ten plan jest dobry, to okno na prawo od nas, to wychodzące na las, jest w małej garderobie. W garderobie pewnie nikt nie przesiaduje. To tamtędy musimy wejść. Mamy nad nimi taką przewagę, że nikt się nas nie spodziewa.

Aosta była przepięknym miastem. Rzymska kolonia *Augusta Praetoria Salassorum*, pełna starożytnych ruin i położona w alpejskiej dolinie. Ale nie mieli okazji podziwiać miasta, bo kilka kilometrów wcześniej skręcili w las. Leśna droga szybko zmieniła się w górską. Gdy wyjechali z zakrętu, na zboczu ukazał się stok narciarski, który wydawał się wyjątkowo stromy. Gdzieś przy nim, na uboczu, musiała się znajdować chata.

Droga wiła się powoli pod górę.

- Zostało pięćset metrów - powiedział Sifakis, wpatrzony w GPS. - Zaraz będzie zjazd na prywatną posesję. Dwieście metrów dalej stoi chata. I tylko ona.

W miejscu gdzie zaczynał się zjazd do posesji, stał duży samochód. Esposito zwolnił. Chavez zidentyfikował wóz jako czarnego hummera H3. Mieściło się w nim pięć osób, nie więcej, resztę zajmował potężny czterolitrowy silnik.

Pięciu ludzi. Kiepsko. Samochód wskazywał na to, że mieli

środku. Mogło zrobić się paskudnie.

Zaparkowali tuż za hummerem i spojrzeli sobie w oczy.

- Nikt się nas nie spodziewa - powiedział Chavez. - Masz rację, że to nam daje przewagę, Angelos. Wszystko w porządku, Salvatore?

- Nie powinniśmy chociaż poinformować Hagi? - spytał Esposito, wyciągając dodatkowe pistolety.

- Tak - zgodził się Sifakis. - Wyślę SMS- a ze współrzędnymi. Ale teraz to nam już nie robi różnicy.

Żaden z nich nie powiedział: „A potem będzie już za późno”.

Weszli w las. Teren wznosił się stromo. Sifakis nie odrywał wzroku od przenośnego GPS- u i od czasu do czasu wskazywał im kierunek. Przedzierali się przez gałęzie. Powietrze było zupełnie inne niż w Kalabrii. Alpejskie powietrze, drugie oblicze Włoch. Właściwie bardziej od Kalabrii oddalić się nie dało.

Poszli okrężną drogą, za wszelką cenę chcąc uniknąć ryzyka, że będzie ich widać od frontu.

Dotarli do skalnej ściany i skręcili wzdłuż niej w lewo. Przez jakieś iglaste drzewa - nawet nie chciało im się zastanawiać jakie - zobaczyli typowy alpejski domek. Biała przybrudzona ściana wciśnięta w skałę jak tchórzliwy alpinista.

I faktycznie było tylko jedno małe okienko z boku, do tego zasłonięte roletą. Raczej nikt ich nie zobaczy, ale usłyszeć już może. Nie było możliwości stwierdzić, ilu ludzi jest w środku i jaką mają broń. Z jaką siłą tak naprawdę przyjdzie im się zmierzyć.

- Dwa poziomy - szepnął Sifakis. - Na dole otwarta kuchnia, jedno duże pomieszczenie. Łazienka na górze i na dole. Piętro to coś w rodzaju poddasza do spania. Pewnie nikogo tam nie będzie. Wątpię, żeby mieli snajpera.

- Raczej nie... - przyznał Esposito, ściskając pistolet.

Chavez obserwował lufę. Spojrzał na Esposita.

- Będziesz nas kryć, Salvatore - powiedział. - Zostań tutaj. Poczekaj, aż damy ci znak. Jeśli wyjdzie ktoś inny prócz nas, strzelaj.

Odwrócił się do Sifakisa. Jemu też się przyjrzał.

- Idziemy, Angelos? Klasyczne wejście. Kryjemy się nawzajem. Żadnych uduziwnień. Jedno duże pomieszczenie na dole. Tamtędy wchodzimy.

Sifakis wyjął broń, odbezpieczył ją i kiwnął głową.

Chavez wziął głęboki oddech.

- Jeśli mamy rację, że to Asterion, to schwytani nic nie powiedzą. To zmienia naszą strategię ataku. Rozumiesz, co mówię, Angelos?

Sifakis podchwycił jego spojrzenie i kiwnął głową. Chavez zrobił to samo. I ruszył.

Sifakis oddał GPS i poszedł za nim

Esposito odłożył GPS na ziemię i oburącz chwycił broń. Widział, jak Sifakis przyczajony idzie za Chavezem przez prosty, naturalny ogród. Przyłgnęli do ściany budynku i kiwnęli sobie głowami.

Esposito zobaczył, jak Chavez szybko wygląda zza rogu, jak się przyczajają, a potem powoli, z uniesioną bronią, zaczyna skradać się po schodach. Sifakis go krył. Zmieniając się, weszli na taras. Zobaczył, jak przyglądają się drzwiom wejściowym. Nic nie było słychać. Byli tak daleko, a mimo to wyraźnie zobaczył, jak Chavez wyciąga szyję, i był *niemal* pewny, że chrupnęło mu w karku, nim usłyszał dźwięk wyważanych kopniakiem drzwi.

A potem rozpętało się piekło.

Kiedy Salvatore Esposito kulił się na skraju lasu i patrzył na trzęsącą się lufę swojego pistoletu, musiał przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie użył służbowej broni.

Natomiast w chacie z broni jak najbardziej robiono użytek. Najpierw trzy pojedyncze strzały, potem czwarty, piąty. I seria, jak z karabinu maszynowego. To wtedy się rozplakał. Potem kolejne serie. Najpierw stłukło się okno wychodzące na taras. A potem także małe okienko z roletą od jego strony. Rzucił się na trawę. Czuł smak własnych łez i ziemi. Czystej, jałowej ziemi. Mchu. Leżał z policzkiem wciśniętym w GPS. Wydawało mu się, że ziemia otwiera się pod nim jak grób.

Dźwięki ucichły. Wstał. Skulił się.

Zupełnie jakby potężna chmura hałasu zebrała się przed chatą i pożeglowała w dół, w stronę Aosty. Zapadła absolutna cisza.

Absolutna.

Czekał. Czas mijał. Esposito znów uniósł pistolet. Był na nim mech. Lufa absurdalnie się trzęsła. Drobne kawałki mchu odpadły.

Drzwi się otworzyły. Spróbował zapanować nad ręką, rękoma trzymającymi broń. Nie dało się. Lufa podskakiwała jeszcze bardziej.

Na taras wyszła jakaś postać. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Esposito uniósł broń jeszcze trochę wyżej. Jej drżenie było teraz groteskowe. Postać zamachała do niego. Krótkie machnięcie.

Sifakis. To musiał być Sifakis.

Salvatore Esposito się wyrzygał. Kiedy znów podniósł głowę, postać zniknęła. Siedział. Panowała absolutna, niczym niezakłócona cisza.

Drzwi wejściowe znów się otworzyły, gwałtownie i szeroko. Dwóch mężczyzn taszczyło trzeciego. I wreszcie powrócił dźwięk.

Krzyki i wołanie z tarasu. Esposito, zataczając się, ruszył w ich stronę. Dotarł. Zobaczył, jak Chavez i Sifakis znoszą po schodach jakiegoś mężczyznę. Był nagi, blady. Całe ciało pokryte było ranami. Krew płynęła z nich jak u Chrystusa zdjętego z krzyża.

Zobaczył twarz mężczyzny. To była jedna krwawa masa. Oczy pewnie były zamknięte, nie dało się tego powiedzieć, a z ust sterczała duża szmata, jakiś kuchenny ręcznik. Na oczach Salvatore zabarwiła się na czerwono.

Minęli go. Chavez odwrócił się do Esposito i coś wrzasnął. Ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, znów zrobiło się całkiem cicho. Chavez wrzasnął jeszcze raz, głośniej. I wtedy dźwięk przebił się przez mur otaczający Esposito. Wreszcie usłyszał:

- Do diabła, Salvatore, podprowadź tu samochód! Leć po jebany wóz!

Esposito ruszył, zataczając się, a potem zaczął biec, coraz bardziej rytmicznie. Ostatnim, co usłyszał, był zduszony krzyk Chaveza:

- Te skurwysyny obcięły mu język!

Zuccotti Park

Haga- Nowy Jork, 17 września

TO BYŁO PRZEDZIWNE uczucie, wędrować po lokalach grupy Opcop w siedzibie Europolu w Hadze. W open spacie było pusto. Paul Hjelm wysłał w świat ostatnią parę. I co jeszcze można było o tym powiedzieć? Potrzebował ich wszystkich gdzieś w świecie.

Na miejscu zostało oczywiście wielu krajowych przedstawicieli i to oni przejęli obowiązki, ale tych prawdziwych luk wypełnić nie mogli.

Kiedy tam wszedł, drapiąc się po głowie, zastanawiał się, w jakich miejscach na świecie teraz wszyscy przebywali.

W Chinach, które nagle się otworzyły i okazały swoją słabość i siłę, pozwalając na zniszczenie przełomowych badań genetycznych, być może wspieranych przez ich własne wojsko.

W Mechelen, gdzie jedyny człowiek, który mógł opowiedzieć wszystko o tych badaniach, wciąż leżał w śpiączce po zawale, do którego zdecydowanie przyczyniła się policja.

W Nowym Jorku, gdzie gigantyczna tak zwana firma ochroniarska zbierała siły i się rozrastała, stając się potężniejsza niż narody. I jak dotąd pokazała się jedynie w mglistych zarysach.

W Madrycie, gdzie wciąż szukano aktywisty i świeżo upieczonego narkomana, który być może mógł im powiedzieć, co się właściwie dzieje.

I we Włoszech, w górach na północy, gdzie wciąż czekano, aż człowiek, który urodził się w mafii i właściwie chciał tylko wydostać się na wolność, ocknie się po ciężkich torturach.

A tutaj w Hadze siedział hub. Jednostka, która ma łączyć ze sobą różne segmenty w jeden wielki segment, ale nie wnosi nic

własnego.

Choć był jeszcze W. Jego własny dzoker w tej grze. Jego sposób, by nie stać się zwykłym urzędnikiem. Hubem.

W open spasio było bardzo pusto.

I w tym momencie zadzwonił telefon.

- Wreszcie znaleźliśmy Artura - usłyszał w słuchawce Paul Hjelm.

- Felipe. Świetnie. I co mówi nasz rudy przyjaciel?

- Potwierdza to, co opowiedział w skrócie przez telefon. Chodzi o jakiś syntetyczny narkotyk, dopalacz, który wysłał go do nieba. I do piekła, bo wygląda na to, że jest strasznie uzależniający, nawet mierząc narkomańską miarką. Ar turo kontaktował się też z innymi uczestnikami marszu z różnych miast i z wszystkich ośmiu demonstracji. I wygląda na to, że wszędzie wyglądało to podobnie.

- A potem w Madrycie oceniali towar?

- Tak. Trochę bardziej doświadczeni ćpuni potwierdzają słowa Artura. Ten towar jest wyjątkowy. Ktoś mu nawet powiedział, że *teraz zaczyna się nowa era*.

- Też czuję coś podobnego - odparł Hjelm. - Przyjrzałeś się dokładniej Polemos Securidad S.A.?

- Właśnie zmienili szyld - odparł Navarro. - Teraz na tej ich twierdzy w domu na starówce wiszą tabliczki z napisem Camulus Security Group Inc. I, czekając na Artura, zrobiliśmy coś jeszcze. Obserwowaliśmy ich siedzibę. Zrobił się tam teraz spory ruch. Ciągłe ktoś wchodzi albo wychodzi.

- Rozumiem - powiedział Hjelm. - Obserwujcie dalej. Coś jeszcze?

- Najlepsze zostawiłem na sam koniec. Arturo wciąż miał woreczek z towarem. Ukrył go u rodziców. To tam go zgarnęliśmy. Nie mógł się dłużej powstrzymać.

- Ach, doskonale. Natychmiast jedźcie do miejscowego biura Opcop w Madrycie i oddajcie ten narkotyk do analizy.

- A jak myślisz, gdzie jesteśmy? - spytał Navarro i się rozłączył.

Hjelm wrócił do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Było

popołudnie. Słońce jakiś czas temu zaczęło wędrować w dół po niebie i przez chwilę je obserwował.

Co się działo?

Nowy dopalacz testowany przez Camulus na trudnym do opanowania tłumie. W czyim imieniu? Czy zza kulis kierowali tym Meksykanie, czy 'ndrangheta? Kto wynalazł ten nowy narkotyk, który potrzebował szlaków dystrybucji w Europie?

A jednak to się do końca nie zgadzało.

Stanęli w obliczu czegoś naprawdę wielkiego. Czternastego lipca DDA, Direzione Distrettuale Antimafia z Reggio di Calabria, przedstawiła wyniki trzyletniej operacji o nazwie Crimine 3 i stwierdziła dwie rzeczy. Po pierwsze, że 'ndrangheta faktycznie ma pełną kontrolę nad handlem kokainą w Europie. Po drugie, że kokaina przybywała do Europy przez port Gioia Tauro w Kalabrii głównie z Nowego Jorku i że sprowadzają ją Meksykanie, przede wszystkim Los Zetas.

W świecie handlu narkotykami pojawiła się nowa równowaga sił. 'Ndrangheta, która wciąż była pewnie największą organizacją przestępczą na świecie, zbudowała swoją pozycję na wczesnych kontaktach z kolumbijskimi baronami narkotykowymi. Gdy Kolumbijczycy zniknęli, a ich miejsce zajęli Meksykanie, trzeba było nawiązać nowe kontakty. Meksykanów interesowały jako rynek głównie Stany Zjednoczone, lecz wkrótce zdali sobie sprawę, że Europa wciąż jest mimo wszystko od nich dwukrotnie większa. I prawdopodobnie w sumie bogatsza. 'Ndrangheta potrzebowała nowej kokainy, Los Zetas i im podobni - działającej dystrybucji w Europie. Potrzebowali siebie nawzajem.

Gdyby poza tym pojawił się jakiś nowy chemicznie produkowany narkotyk, nieoparty na liściach koki ani na maku lekarskim, to co by się wówczas stało z równowagą sił? Oczywiście syntetyczne narko-tyki istniały od dawna, przede wszystkim amfetamina, a w ostatnim czasie głównie metamfetarnina, crystal meth, i nimi również handlowano na gigantyczną skalę. Ale jeśli ten nowy towar

faktycznie był jeszcze... no cóż, jeszcze lepszy - i bardziej uzależniający - to może to również miało wpływ na stosunek sił.

Czyj był ten nowy narkotyk?

I dlaczego żyjemy w świecie, w którym potrzeba, by przed nim uciec, jest tak wielka?

Zadzwoiła komórka, którą wciąż trzymał w ręce.

Tak, tu hub, pomyślał i odebrał.

- Tu Laima - powiedział telefon. - Szybki raport z Nowego Jorku. Stoimy pod wejściem do Camulus Security Group Inc. Główna siedziba wcale nie jest taka wielka, zajmuje ze dwa piętra w budynku przy Pine Street, ulicy biegnącej równoległe do Wall Street. Dziś jest sobota, ale spory tu ruch.

- Co takiego słyhać w de?

- W sumie to nie wiem - odparła Balodis. - To jakaś ogromna demonstracja. Tysiące ludzi idzie Broadwayem. Poczekaj, Miriam coś mówi. Dobra, najwyraźniej to coś, co się nazywa Occupy Wall Street. Ludzie, którzy mają dość podziału bogactw polegającego na tym, że zabiera się biednym, a daje bogatym. To pierwszy dzień czegoś, co według nich będzie długo trwało.

- No proszę - stwierdził Hjelm - Nawet tam. Może zainspirowali się Los Indignados w Madrycie? Nawiązał kontakt?

- Tak. Teraz tu w Nowym Jorku jest przedpołudnie, wczoraj wieczorem kontaktował się z Miriam, dla ciebie to było w środku nocy, nie mogliśmy przecież dzwonić o tej porze. Bardzo krótka rozmowa z Alabamy, niedługo mieli wracać. Sądzymy, że Nicholas jest już w Nowym Jorku, lecz w tej chwili nie odbiera.

- Dobra - powiedział Hjelm. - Poobserwujcie trochę dokładniej siedzibę Camulus i poróbcie dla mnie zdjęcia ludzi, którzy wchodzi i wychodzą. I dzwońcie do mnie, jak tylko coś się będzie dziać.

Laima Balodis się rozłączyła. Stały na Pine Street, niedaleko Broadwayu. Wszędzie roiło się od demonstrantów.

- To ciekawe - stwierdziła Miriam Hershey. - Chodźmy za nimi. Camulus może poczekać.

Wyszły na Broadway i ruszyły za tłumem na północ. Już w

następnym kwartale demonstracja rozlała się po małym parku, który według tabliczki nosił nazwę Zuccotti Park. Przestrzeń szybko się zapełniła, ludzie skandowali, widać było plakaty z hasłami: „We are the ninety-nine percent”, „OUT\$OURCED”, „USA = United Shareholders Association”, „Save the American Dream”, „One Day the Poor Will Have Nothing to Eat but the Rich”. Manifestanci wyglądali na zwykłych ludzi, głównie młodych, ale starszych też było sporo. Hershey zaczęła jakiegoś młodego mężczyznę i spytała:

- Czym właściwie jest Occupy Wall Street?

- To ludzie, którzy mają dość władzy Wall Street. Jesteśmy niewolnikami tych, którzy myślą tylko o pieniądzach. Nie może tak dłużej być, coś się musi zmienić. Musimy zacząć myśleć o innych rzeczach. Lepiej rozdzielać pieniądze. Cały zysk, jaki produkujemy, trafia do jednego procenta ludności. My jesteśmy pozostałymi dziewięćdziesięcioma dziewięćdziesięcioma procentami.

- Ale czego chcecie? Jaki jest cel?

- Wall Street jest tuż za rogiem. Zostaniemy tu, dopóki nie pojmą, że nie żartujemy.

Hershey i Balodis dały mu spokój. Przyglądały się coraz większym tłumom. Hershey wyjęła z kieszeni komórkę i ponieważ coraz trudniej było rozmawiać, podsunęła ją Balodis. Na wyświetlaczu widniała wiadomość:

„Jestem w Nowym Jorku. Jakiś hangar. Wielkie spotkanie. Wkrótce podział zadań. Zadzwoń później”.

Nicholas wyłączył telefon, kartę SIM wsunął do buta, aparat umieścił głęboko w pojemniku na papierowe ręczniczki i ruszył do wejścia czegoś, co musiało być hangarem lotniczym. Znak z przekreślonym telefonem komórkowym był duży i bardzo wyraźny.

Przeszedł przez skaner, a potem odczekał, aż dwóch ochroniarzy omówi jego trójwymiarowy obraz rentgenowski. Gdy palec jednego z nich znalazł się przy jego bucie na zdjęciu, po raz pierwszy od dawna naprawdę ogarnął go niepokój. Ale potem otworzyły się kolejne drzwi.

Jak można się było spodziewać, była tam wielka sala z mnóstwem miejsc siedzących i mównicą na przedzie. Nicholas usiadł i czekał, podczas gdy hangar wypełniał się ludźmi w takich samych ubraniach jak on. To znaczy w mundurach maskujących.

Był w Stanach Zjednoczonych od prawie miesiąca. Przeszedł najintensywniejszy trening wojskowy, jaki można sobie wyobrazić, i to w przyśpieszonej wersji. Przez cały czas był oceniany. Oceny notowano, mierzono wartości, ale nie miał pojęcia, co się z nimi działo i do czego to wszystko miało doprowadzić. W ogóle nie wiedział, dlaczego tutaj był. Nie dostawali zbyt wielu instrukcji, raczej przenoszono ich, o niczym nie informując, i jednym z najważniejszych kryteriów oceny wydawało się być to, jak radzą sobie z niepewnością wobec tego, co może ich czekać za chwilę.

Akurat w tym był dobry. Okazał się też dobry w czymś, co określano jako „blitzataki”. Ogólnie to było jak obóz treningowy dla sportowców i to mu się podobało. Aż do chwili, gdy zaczęli używać ostrej amunicji. Wtedy wszystko się zmieniło. Przerażające było tylko to, że wciąż mu się podobało.

Hangar prawie się zappełnił. Pachniało testosteronem.

W końcu wszystkie miejsca były zajęte, co do jednego. Oczywiście tak to obliczono. Na scenie pojawił się mężczyzna. Nicholas świetnie go znał, to był głównodowodzący z Alabamy. Wygłosił długie i w sumie nic niemówiące przemówienie o tym, jak dobrze poradzili sobie podczas szkolenia. Potem poprosił obecnych o uwagę. Na dużym monitorze nad jego głową miały się sukcesywnie pojawiać numery i nazwiska. Każdy kto zobaczy swoje nazwisko i numer, ma po prostu wstać i udać się do wskazanego wyjścia. Było ich w hangarze sześć.

Nicholas Durand się rozejrzył. Ludzie znikali, rzędy krzesel się przeredzały, mężczyźni w mundurach maskujących ustawiali się w kolejkach do sześciu wyjść. Woń testosteronu powoli zaczynała się rozwiewać.

W końcu w wielkim hangarze zostało najwyżej kilkanaście osób. Nicholas zauważył, że jest sam w całym rzędzie krzesel.

Dowódca stojący na mównicy odczekał, aż ostatni maruderzy znajdą właściwe wyjście. Gdy za ostatnim zamknęły się drzwi, oświadczył:

- Ci, którzy tu zostali, to elita.

Spojrzeli po sobie, na ile to było możliwe, biorąc pod uwagę dzielące ich odległości. Z drugiej strony wszyscy mieli na pewno sokoli wzrok. Inaczej nie należeliby do elity, z całą pewnością wynikało to z dokonanych *pomiarów*.

Dowódca przyjrzał się im i podjął:

- Chciałbym powitać przyjaciela. Możecie go nazywać Chandler.

Chandler, pomyślał Nicholas. Czy to nie był przypadkiem...?

Ale nie musiał się wysilać. Mimo odległości był całkowicie pewien, kim jest ten „przyjaciel”, który wszedł na scenę i zbliżał się do mównicy. Czasem posługiwał się nazwiskami autorów powieści kryminalnych.

Ale w rzeczywistości nazywał się Christopher James Huntington.

Chandler podszedł do mikrofonu i powiedział:

- Przyjaciele, jesteście wojownikami. Prawdziwymi wojownikami. Dziękuję za to, co zrobiliście w Alabamie. Jak sami rozumiecie, chodziło o szkolenie, trening, ale w równym stopniu o serię testów. Wypadliście w nich najlepiej. Reszta tych gamoni pojedzie do Meksyku, ale wy, przyjaciele, ruszycie ze mną do Europy. Zrozumiano?

Krzyk, który ćwiczyli na bagnach Alabamy, wznosił się pod dach hangaru. Nicholas też krzyczał. To było tak, jakby wszystkie wątpliwości, całe wahanie, po prostu zniknęły w powodzi dźwięków.

- Wyjeżdżamy za dwie doby - powiedział Chandler. - Ale najpierw mam dla was równie ważne zadanie.

Hotel mieścił się przy Broadwayu. Zapadał zmierzch. Okrzyki przebijały się przez okna, choć te były hermetycznie zamknięte,

tak jak we wszystkich hotelach na Manhattanie. A to ze względu na ludzi, którzy zechcieliby odebrać sobie życie.

Nicholas Durand przyjrzał się swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze. Pokryta bliznami twarz trochę się zmieniła podczas tygodni spędzonych w Alabamie. Stała się bardziej kanciasta, może jeszcze twardsza. Ale to nie twarzy się przyglądał. Jego spojrzenie powędrowało do garnituru uszytego dziś na miarę. Niesamowicie dobrze leżał. Nicholas jeszcze nigdy nie miał na sobie czegoś takiego. „Savile Row”, powiedział krawiec takim głosem, jakby chodziło o jakąś świętość. Nicholas kiwnął tylko głową i lekko pociągnął kłapy. Przemiana była fantastyczna. I teraz, wieczorem, gdy przeglądał się w lustrze w łazience sąsiadującej z mikroskopijnym pokojem w drogim hotelu, za który sam nie płacił, garnitur wciąż dobrze na nim leżał. Choć na niego też nie patrzył.

Jego spojrzenie cały czas uciekało w dół, na krawędź umywalki, tam, gdzie leżało mydło. Obok niego znajdował się przezroczysty plastikowy woreczek. Zawierał około pięćdziesięciu mniejszych woreczków. A w nich znajdował się biały proszek.

Kiedy się zebrali, by pobrać miarę do garniturów, plotka rozeszła się błyskawicznie. Zajebicie wspaniały narkotyk. Nie przypominał niczego innego. I nie był też za bardzo niebezpieczny. Długi, intensywny odjazd. Potem było się przytomnymi całkowicie trzeźwym. Trzeba go było przetestować. Ostateczny test. Niesamowicie ważny.

Nicholas otworzył duży woreczek i wyjął z niego jeden mniejszy. Zważył go w dłoni. Był bardzo lekki.

Nikt nie zauważy, jeśli zabraknie jednego. Albo dwóch.

Jeśli ten towar był taki zajebisty, to czy nie należało go najpierw samemu przetestować? Tylko po to, by wiedzieć, co się robi? A poza tym czy nie zasłużył sobie na to po tym piekle w Alabamie?

Zawsze tak było, najpierw zadanie, ryzykowanie życia, a potem nagroda, odjazd. I czy przed kolejnym zadaniem nie potrzebował

takiego odjazdu? Instynktownie wyczuwał, że „Europa”, cokolwiek to, kurwa, oznaczało, będzie prawdziwym piekłem.

Ale teraz miał inne życie. Z Miriam. Był czysty. Kochał. Pracował dla Europolu.

Zupełnie jakby gliniarze czasem przed misją nie wciągali sobie ścieżki. Albo jakby potem nie palili hery, żeby wrzucić na luz.

Zsunął kciuk z palcem wskazującym, chwycił mały woreczek. Wystarczy lekko szarpnąć i wciągnie to legendarne gównno. To by w niczym nie przeszkadzało. Wszystko byłoby dalej tak jak dotąd. Tylko jeden kop, nagroda za Ala- fucking- bamę.

Merde.

Znów spojrział w lustro. Rok temu nie byłby w stanie sobie czegoś takiego wyobrazić. Krawat, koszula, czarny garnitur. Wyglądał *wytwornie*. *Twardziel goes business*. Do diabła.

Otworzył mały woreczek. Szybkim szarpnięciem Uniosła się z niego leciutka mgiełka. Wciągnął ją.

Tak.

Tak, rozumiał. To było coś innego. Nie metamfetamina, nie hera, nie crank, nie GHB i absolutnie nie trawka. Nie, to było coś zupełnie innego. A wciągnął tylko trochę oparów.

Wystarczyło przysunąć palec do dziąsła. Wtedy by się dowiedział. Naprawdę dowiedział.

Musi przecież wiedzieć, co będzie robił, do diabła.

Na czym polega jego zadanie.

Woreczek był rozerwany, biały proszek leżał na jego dłoni.

Wszystko przewinęło mu się przed oczami. Życie. Jego zasrane życie. Walka, żeby się wyrwać. Odwyk.

Potworny odwyk.

Wsypał całe to gównno do umywalki i splukał gorącą wodą. Małymi plastikowymi woreczkami nappełnił kieszenie, przy których najpierw musiał odpruć nitki. Potem wyszedł z łazienki.

Podszedł do okna. Na stoliku leżał świeżo kupiony zafoliowany telefon komórkowy. Rozdarł folię i sięgnął po swój wojskowy but. Wyjął kartę SIM, wsunął ją do komórki i, spoglądając na

kipiący Zuccotti Park, wysłał SMS- a: „Za dwie doby wyjazd do Europy. Piętnastu wybranych i CJH. Dziś krótko do nas przemawiał. Teraz idę rozdawać młodym narkotyki w Zuccotti Park. Daleko odszedłem od Clichy- sous- Bois. Jutro proponuję wymianę: wy dostaniecie woreczek z towarem, ja nadajnik. Całuję”.

Potem Nicholas wyjął kartę SIM z telefonu, zmiażdżył ją i splukał w toalecie.

I wyszedł w noc.

Cierpliwość

Aosta, Włochy, 20 września

POWIETRZE W AOŚCIE było niezrównane. Górskie, bogate w tlen, orzeźwiająca i świeża. I było to chyba najpiękniejsze miasto, w jakim kiedykolwiek w życiu był Jorge Chavez.

Zupełnie jakby go to obchodziło.

Zbiegały się tam dwie rzeki i w niektórych miejscach Aosta wyglądała jak jakaś starożytna alpejska Wenecja. Głęboki i cudowny paradoks. Miasto stanowiło kiedyś centralną siedzibę Salassów, niewielkiego celtyckiego plemienia, które na długo przed naszą erą specjalizowało się w obróbce złota. Ale potem zjawili się Rzymianie, Salassowie zniknęli z kart historii i dwadzieścia pięć lat przed naszą erą Aosta stała się rzymską prowincją, gdzie mogli się w spokoju osiedlać weterani z armii. I tak się dokładnie czuła trójka emerytowanych geologów spędzających leniwie dni na wędrownkach wzdłuż doskonale zachowanych rzymskich murów miejskich. Istniało jednak absolutne centrum, od którego nigdy zbyt daleko nie odchodzili. Zawsze ich przyciągało, jeśli zabłąkali się gdzieś dalej. Był nim Ospedale Regionale.

Szpital.

Było przedpołudnie. Popijali kawę w kawiarence z widokiem na klasztor SantOrso, kiedy Salvatore Esposito po raz pierwszy poruszył ostanie wydarzenia. Powiedział tylko:

- Przepraszam.

A Chavez i Sifalds zrozumieli, co miał na myśli.

- Stałeś na straży - powiedział Chavez. - To nam wystarczy. A potem bardzo szybko zwiozłeś nas na dół. Możliwe, że to mu uratowało życie.

- Nigdy wcześniej...

- Nie! - powiedział z naciskiem Sifakis. - Zrobiliśmy to razem. Zostaw to, Salvatore, Żadnego obrzydzenia do samego siebie, żadnych wyrzutów sumienia. Już po wszystkim. Rozwiązaliśmy to. A, szczerze mówiąc, w sumie głównie Jorge.

Przez chwilę milczeli.

- Cierpliwość naprawdę nie należy do moich mocnych stron - odezwał się w końcu Chavez, wyjął komórkę i zaczął przy niej grzebać.

- To mi nie daje spokoju - powiedział Esposito. - Że nie wiem. Nie wiem, co się wydarzyło tam w środku.

- Jest raport - odparł Chavez. - Złożyliśmy go do Europolu. Czytałeś go.

- Ale tam przecież nic nie ma. Oni strzelali, wy odpowiedzieliście ogniem. Zginęli.

- I nie możemy na tym poprzestać? - spytał Chavez.

- To się nie zgadza - odparł Esposito. - Seria z pistoletu maszynowego była później. Najpierw pojedyncze strzały, potem pistolet maszynowy, później jeszcze kilka pojedynczych strzałów. Nie zamierzam podważać raportu, chcę tylko wiedzieć.

- Weszliśmy do środka - powiedział Sifakis. - Lorenzo Ragusa siedział przywiązany do krzesła, niewiele z niego zostało. Było ich trzech. Nieprofesjonalnie wyluzowanych. Jeden siedział na krześle z pistoletem w ręce, dwaj inni torturowali Ragusę, jeden z nożem. Jorge od razu zastrzelił tego na krześle. Potem faceta z nożem Obaj zginęli. Później ten trzeci rzucił się po swój pistolet maszynowy, który leżał bliżej, niż sądziliśmy. Puścił serię, zdążyliśmy się rzucić na podłogę. Udało mi się do niego podczołgać. Puścił kolejną serię, na ślepo, przez okna. Chwyćmy jego broń i przytrzymałem. Wtedy Jorge strzelił mu w głowę.

- Ani trochę nie wyglądali na Włochów - powiedział Chavez. Zadzwoiła komórka, którą trzymał w ręce.

Wbiegli do Ospedale Regionale i pomknęli przez ponure

korytarze. Dotarli do drzwi strzeżonych przez dwóch policjantów w mundurach. Weszli do środka. I stanęli jak wryci.

Lorenzo Ragusa obudził się ze śpiączki. Był na łóżku, w półsiedzącej pozycji. Jego twarz znów zaczynała nabierać ludzkich proporcji, ale wciąż była bardzo opuchnięta. Z ust sterczało mu coś, co wyglądało jak zwinięte opatrunki z gazy, co najmniej trzy. Zabarwiły się na różowo. Do nosa doprowadzono mu den, a na statywie na kroplówki wisały trzy różne woreczki, z których podawano mu płyny. Chavez rozpoznał woreczek z roztworem morfiny.

- Wszystko w porządku, Lorenzo? - spytał po angielsku.

Odpowiedziało mu słabe kiwnięcie głową. Ragusa nakreślił coś w powietrzu. Sifakis szybko wyjął papier i długopis i położył je na rozłożonym przed chorym stoliku. Ragusa napisał:

„Język??”.

Chavez kiwnął głową.

- Zabraliśmy go. Leży w jakiejś lodówce. Pewnie uda go się z powrotem przyszyć.

„Zabraliście go??” - napisał Ragusa.

- Lubisz podwójne znaki zapytania - stwierdził Chavez. - Twój język leżał na podłodze, włożyłem go do kieszeni kurtki. Ponoć jest już zdezynfekowany. A kurtka jest po praniu chemicznym.

Lorenzo Ragusa przyjrzał się trzem mężczyznom i po chwili napisał:

„Dziękuję!!”.

- I podwójne wykrzykniki też lubisz - zauważył Chavez. - Czujesz się na siłach złożyć pisemne wyjaśnienia? Im szybciej, tym lepiej.

Ragusa kiwnął głową.

- No to pisz - powiedział Sifakis. - Wyjdziemy na ten czas z pokoju, ale będziemy siedzieć tuż pod drzwiami. Zadzwoń dzwonkiem, jeśli się zmęczysz, wtedy zrobimy przerwę. I naprawdę chcemy wiedzieć wszystko. Od samego początku. Rozumiesz, Lorenzo? Opowiedz nam o wszystkim.

Ragusa znów kiwnął głową.

- Specjalne pozwolenie - powiedział Chavez i dodał: - Pomyśleć tylko, że to ty jesteś Fusiarzem...
A potem wyszli z pokoju.

Piąta wypowiedź

Aosta, Włochy, 20 września

NO TO PRZECHODZIMY do ostatniej fazy. Miło, że wszyscy trzej jesteście w pokoju. Choć z drugiej strony nie. Bo teraz zbliża się czas wyznań. Bolesnych wyznań. Spowiedzi.

Zmniejszcie, proszę, trochę dopływ morfiny. Dzięki. To musi boleć.

Kiedy Fabio Tebaldi zjawił się jak burza w Catanzaro w jednostce do walki z mafią, nikt nie wiedział, kim jest. Nikt z wyjątkiem mnie. To mu dało kilka miesięcy przewagi, gdy odnosząc tak zdumiewające sukcesy, zaczął zgarniać „skruszonych”. Ale to również sprawiło, że moje życie było coraz bardziej zagrożone. Wiedziałem, że prędzej czy później Bonavita się dowie, że teri irytująco energiczny Fabio Tebaldi z Turynu to w rzeczywistości Fabio Allegretti z San Luca, będący „oznaką tego, że organizacja nie jest w pełni zabezpieczona”. Teraz Fabio był zarówno oznaką zaniedbań w przeszłości, jak i realnym zagrożeniem w teraźniejszości.

Moja sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Z każdym dniem, gdy nie donosiłem Bonavicie na Fabia, słabła moja pozycja w mafii. Istniało spore ryzyko, że również za moją głowę wyznaczona zostanie cena.

Było to jednak wkalkulowane ryzyko. Rozmawialiśmy o tym z Fabiem już tego samego dnia, gdy przyjechał. Wiedziałem przecież, że prędzej czy później się zjawi, a jednak było dla mnie ogromnym szokiem znów zobaczyć go w rodzinnych stronach. Już w Genui zdał sobie sprawę, jak wyglądają moje stosunki z mafią, że w sumie kazano mi zostać policjantem, żeby mafia miała kogoś wewnątrz. Uważał, że możemy to wykorzystać. Gdybym tylko pozwolił mu działać przez jakiś czas - by z moją pomocą zdążył nawiązać niezbędne kontakty - to potem mógłbym na niego donieść Bonavicie

i zdobyć tak pożądane punkty u mafii.

Czas mijał. Fabio dalej przeprowadzał swoje naloty, ja dalej weryfikowałem najwrażliwsze informacje w materiale ze śledztw, a Bonavita się ze mną nie kontaktował. Nie wiedziałem, na czym stoję. Z każdym dniem coraz bardziej. Po której właściwie byłem stronie?

Pewnego dnia późnym wieczorem Fabio złapał mnie w szatni na posterunku i powiedział:

- Już pora, Enzo. Musisz się skontaktować z Bonavitą. Dziś go wkurzyłem, zgarnąłem tę jego górę mięśni. Jest naprawdę wściekły, ale dalej nie wie, kim jestem. Za kilka dni zrzuć bombę.

- Co wtedy będzie? - spytałem.

- Dostaniesz zadanie, żeby mnie zabić - odparł Fabio, uśmiechając się pod nosem. - Na przykład tutaj, w szatni. Ale mam plan.

Mijały dni. Wciąż na podstawie insiderskiej wiedzy potwierdzałem autentyczne informacje tym pieprzonym kółkiem po filiżance z kawą. To miała być filiżanka do espresso, żadna inna.

Potem, jakiś tydzień po mojej rozmowie z Fabiem, nawiązałem kontakt w zwyczajny sposób. Kiedy jakiś nowy osiłek ściągnął mi kaptur z głowy, Bonavita znajdował się na sali sportowej. Siedział na skrzyni gimnastycznej i nie był taki chłodny i opanowany jak zazwyczaj.

- Ponoć pojawił się jakiś nowy gliniarz - powiedział. - Jakiś Fabio Tebaldi. Słyszałeś może o nim?

- Tak - potwierdziłem. - Nie należy do mojej grupy, ale słyszałem, że odnosi pewne sukcesy.

- Powinieneś być się odezwać i to zgłosić - odparł Bonavita, nadal spokojnie, choć pod tym spokojem kryło się coś jeszcze.

- Nie wiedziałem, jak daleko zajdzie - odpowiedziałem. - A poza tym musiałem sprawdzić pewną rzecz, a to nie było takie proste.

- Co za „rzecz”?

- Fabio Tebaldi to Fabio Allegretti.

Wtedy po raz pierwszy widziałem, jak Bonavicie spada maska. Spod twarzy obytego biznesmena ukazało się oblicze diabła. Zeskoczył ze skrzyni gimnastycznej i zbliżył wykrzywioną twarz do

mojej, tak że dzieliło je może jakieś pięć centymetrów. Jego osiłek zbliżył się o kilka kroków i zatrzymał się zaledwie metr ode mnie.

- Co ty, u diabła, gadasz?! - krzyknął. - Przyjaciele z dzieciństwa znów się odnaleźli. Dlaczego nie miałbym cię od razu zastrzelić, Lorenzo? Co właściwie nam dałeś przez te lata?

- Wcześniej go nie poznałem - odparłem najspokojniej, jak potrafiłem. - Mieliśmy wtedy po osiem lat, przez tyle czasu ludzie bardzo się zmieniają. Ale dziś dostałem potwierdzenie, to dlatego nawiązałem kontakt.

- Do diabła, on zgarnął Giuseppe! - ryknął Bonavita. - Zrobił „skruszonego” z mojego osobistego ochroniarza! A ty mi teraz mówisz, że to on jest tym małym ścierwem, którego szukaliśmy przez wszystkie te lata. On musi zniknąć! Natychmiast, zanim narobi większych szkód.

W tamtej chwili zrozumiałem, jaką ogromną nienawiścią pała Bonavita do Fabia, do *obu* Fabiów. Każdego z nich nienawidził inaczej. Oba te uczucia połączyły się w płonącą jak lawa nienawiść, tak wielką i żarliwą, z jaką nigdy dotąd się nie spotkałem. Nagle spojrzałem nienawiści prosto w oczy.

Bonavita nigdy nie pozwoli Fabiowi żyć.

Potem się uspokoił. Znów stał się biznesmenem i z powrotem wskoczył na skrzynię gimnastyczną. Usiadł i powiedział spokojnie:

- Musisz nam pomóc go dorwać.

Kolejne dni były piekłem. Oczywiście nie mogłem skontaktować się z Fabiem, nie mogłem nawet go zapytać, na czym polegał jego plan. Nowy osiłek Bonavity jeszcze raz mnie zgarnął. Tym razem Bonavita nawet nie próbował udawać biznesmena. Ział lawą i siarką. Jeśli nie załatwię Fabia w ciągu najbliższego tygodnia, to on załatwi mnie, i tak nie mieli ze mnie żadnego pożytku.

Tamtego wieczoru udało mi się wreszcie skontaktować z Fabiem. Znajdowaliśmy się w pokoju przesłuchań na posterunku. Uważnie słuchał i kiwał głową.

- No dobra - powiedział. - Mój plan wygląda tak: potrzebuję jeszcze około miesiąca, żeby pootwierać sobie dojścia w kilku klanach. Teraz

wszystko się rozstrzygnie. Potem muszę wiać. Zaczynam skupiać na sobie za dużo uwagi, coraz trudniej jest mi dyskretnie działać. Zgłosiłem się na służbę w międzynarodowej jednostce, ale mam dwóch ludzi, którzy znacznie mniej niż ja rzucają się w oczy i są gotowi zająć moje miejsce. Chyba udało nam się dobrać do aorty 'ndranghety.

- Ale co to oznacza dla mnie? - spytałem, zrozpaczony.

- Musisz spróbować mnie zabić - odparł.

Stało się to cztery dni później. Przygotowaliśmy cały dramat. Całkowicie rozpracowaliśmy pewną małą uliczkę. W pobliżu była dobrze ukryta kamera należąca do skorumpowanego wydziału drogówki. Wieczorem Fabio wyszedł na ulicę, ja zjawiłem się zamaskowany, ale rozpoznawalny dla wtajemniczonych. Strzeliłem do niego, było widać, że trafiłem, upadł, nadbiegli jego ludzie, ja uciekłem.

Film z kamery drogówki trafił do Bonavity już następnego dnia. Kiedy ściągnięto mi z głowy kaptur, znajdowaliśmy się w piwnicy. Za plecami Bonavity, znowu w masce biznesmena, syczał jakiś kociół olejowy.

- Co wiemy? - spytał. - Zginął?

- Nie ma żadnych informacji - odparłem. - Wszyscy z jego grupy milczą. Żadnych przecieków. Ale, do diabła, trzy razy trafiłem go w pierś.

- Wiem - odparł Bonavita. - Nam też nie udało się niczego dowiedzieć. To bardzo irytujące.

Dopiero jakiś tydzień później Fabio wypuścił informację, że przeżył, miał na sobie kamizelkę kuloodporną, choć zwykle w takich sytuacjach jej nie używał. Zyskaliśmy trochę na czasie. Równocześnie wszystko wskazywało na to, że planowany jest jakiś większy zamach. Ale Fabio nie był jeszcze gotów, musiał dokończyć sprawę z kilkoma „skruszonymi”. Zobaczył aortę, rzucił się na nią, lecz nie udało mu się naprawdę wgrzyźć.

Kolejne tygodnie były jeszcze gorszym piekłem. Fabio wiedział, że spróbują go dopaść przy pierwszej nadarzającej się okazji. Starał się

żadnej nie stworzyć. A ja coraz bardziej popadałem w niełaszkę. Spotkałem się z Bonavitą jeszcze dwa razy. Był teraz wściekły, on też zobaczył, że aorta została odsłonięta. Chciał, żebym coś mu dał, cokolwiek, byle natychmiast!

Udało mi się zyskać jeszcze parę dni, miałem poszukać informacji, obiecałem Bonavicie, że stworzę taką okazję. Ale choć pracowaliśmy nad tym z Fabiem, nie udało nam się wymyślić wystarczająco przekonującego scenariusza. Dopadli go, sami znaleźli tę jedną, jedyną okazję. I wytoczyli armaty.

Fabio i jego ludzie byli w swoim kuloodpornym radiowozie, pojechali w góry w okolicę Mammoli, by pogadać z potencjalnym „skruszonym”. Trzy inne kulo odporne wozy zablokowały im drogę. Wywiązała się regularna strzelanina, dopóki nie pojawił się śmigłowiec *carabinieri*, który zdjął pięciu zabójców z mafii. Ale przedtem mafii udało się trafić radiowóz bombą zapalającą, całkowicie go niszcząc. Chwilę wcześniej Fabio, z czterema postrzałami, zdążył wyczołgać się i przetoczyć do lasu. Trzech jego ludzi zginęło. Sam też prawie zginął.

Przez pół roku leżał w szpitalu, a potem w towarzystwie ochroniarzy uciekł do Flagi i przyłączył się do jakiegoś europejskiego oddziału policji, do którego, jak sądzę, wy, moi panowie, również należycie. Naprawdę w tej grupie są *tylko mężczyźni*?

Nie. Przecież wiem, że tak nie jest.

Fabio był bezpieczny - w każdym razie *stosunkowo* bezpieczny - ale ja miałem teraz przechłapanie. Była wiosna dwa tysiące dziewiątego, a nienawiść Bonavity do Fabia stała się wprost bezgraniczna. Wyglądało jednak na to, że inni bossowie starali się przemówić mu do rozsądku. Wszystko wskazywało na to, że dostał rozkaz, by nie polować na Tebaldiego za granicą, nie ściągać na siebie aż tyle uwagi. Zauważyłem, że część tej nienawiści do Fabia Bonavita przeniósł na mnie. Kilka razy czułem, że ktoś mnie śledzi. Coraz bardziej się utwierdzałem w przekonaniu, że moje dni są policzone. Nieustannie towarzyszyła mi śmierć.

Okazało się, że nie tylko ja sam zdałem sobie z tego sprawę.

Pewnego wieczoru, kilka miesięcy po tym, jak Fabio przeniósł się do Flagi, a ja do piekła, zadzwonił telefon. Wydaje mi się, że wciąż pamiętam tę rozmowę, słowo w słowo.

- Czy to Lorenzo Ragusa? - spytał jakiś głos po angielsku.

- To zależy, kto pyta - odparłem i dodałem, czując, że śmierć depta mi po piętach: - To zastrzeżony numer.

- Po prostu mnie posłuchaj, Lorenzo. Znasz statek, który regularnie wypływa z Gioia Tauro, a potem odbiera toksyczne odpady wzdłuż całego wybrzeża Europy aż po Bałtyk?

- A kto o to pyta?

- Ktoś, kto chce cię uratować przed Bonavitą.

Nie chciałem, ale nie miałem wyjścia. Wiedziałem, że moja egzekucja jest bardzo blisko, a jedynym, kto miałby szansę mnie uratować, był Fabio. Ale on uciekł z pola bitwy, był na północy Europy i siedział sobie spokojnie w jakiejś nieoficjalnej europejskiej jednostce policji. W podziękowaniu za moje długie milczenie i nieustanne zatwierdzanie dokumentów rzucił mnie wilkom na pożarcie. Fabio poświęcił mnie, jakbym był zwykłym pionkiem.

Wydawało się bardzo prawdopodobne, że ta rozmowa była częścią planu Bonavity, żeby się mnie pozbyć, ale czy miałem coś do stracenia? W sumie stałem już jedną nogą w grobie, gdy przyznałem:

- Tak, znam statek widmo. Zbierają chemikalia z różnych fabryk wzdłuż wybrzeża i chyba zrzucają je potem gdzieś na łotewskich wodach.

- Zgadza się - potwierdził głos.

- A wiesz, kto załatwia im klientów?

- Słyszałem tylko pseudonim. Jakiś Il Porpore. Czasem nazywają go też po angielsku, The Purple.

- Jesteś bystrym człowiekiem, Lorenzo. Zbyt bystrym, żeby pozwolić 'ndranghecie cię zamordować. Możesz mnie nazywać Mr Bagley.

Mimo sytuacji, w jakiej się znalazłem, nie mogłem się powstrzymać od odrobiny ironii:

- I teraz ty, Mr Purple, chcesz mi złożyć propozycję nie do odrzucenia?

- Tak. Natychmiast dostaniesz *safe house*, jeszcze dziś wieczorem. Tam omówimy resztę. Możesz na tyle wziąć się w garść, żeby posłuchać, jaki jest plan?

- Tak.

- Prawdopodobnie nie wiesz, że statek widmo jest kontrolowany z opuszczonego zameczku w Bazylikacie. Zajmuje się tym dwóch zdegradowanych mafiosów, Il Sorridente i Il Ricurvo.

Milczałem. Od bardzo dawna nie słyszałem nic o ojcu. Mr Bagley ciągnął łagodnym głosem:

- Plan obejmuje pozbycie się Il Sorridente i Il Ricurvo. Zdaję sobie sprawę z łączącego was pokrewieństwa. Czy to by stanowiło dla ciebie problem?

W wyobraźni ujrzałem tę scenę. Człowiek płonący żywcem. Przewraca się na bok. Matka musi wybierać między dwoma synami. Młodszego wypuszczają. Starszy zostaje zastrzelony. Matka również. Przez mojego ojca.

- Nie - odparłem. - To żaden problem.

- Domyślałem się tego - odparł Mr Bagley. - Sytuacja wygląda tak: przechwycono wymianę maili między Il Sorridente a właścicielem szwedzkiej firmy meblarskiej o nazwie Endymion móbelsystem AB. Najprawdopodobniej zrobiła to policja, a moja firma wykorzystała tę możliwość na dwa sposoby. Po pierwsze, wykonamy nasze zadanie i pomożemy 'ndranghecie, wysyłając mail sugerujący, że pewien łotewski sekretarz stanu i działacz na rzecz środowiska ma bezpośrednie związki z Il Sorridente i z 'ndranghetą. Łotwa upadnie, co pomoże mafii uzyskać dostęp do ważnego portu w Rydze, skąd będzie mogła wysyłać heroinę sprowadzaną nową trasą z Korei Północnej przez Chiny. Statek widmo zabiera toksyczne odpady na Łotwę, zrzuca je na Bałtyku, a z powrotem zabiera do Gioia Tauro północnokoreańską heroinę ukrytą w tapicerowanych meblach.

- Heroinę? - zdziwiłem się.

- Poszerzenie asortymentu. Wchodzisz w to?

- Wchodzę. Cholera, to coś nowego. 'Ndrangheta i heroina? Ale mówię o *dwóch* sposobach.

- Właśnie - potwierdził Mr Bagley. - *Z jednej strony* zdradzimy w ten sposób policji, gdzie przebywają Il Sorridente i Il Ricurvo. Policja, która przechwyciła te maile, to dziwnym trafem Europol, choć oni nie prowadzą przecież śledztw. W każdym razie dowiedzą się, że 'ndrangheta ma siedzibę w zameczku w Bazylikacie. Atak się przecież składa, że Fabio Tebaldi, twój przyjaciel, niedawno zaczął pracować dla Europolu, co skłania mnie ku temu, by sądzić, że Europol dopiero co utworzył próbną jednostkę prowadzącą działalność operacyjną. Kiedy Tebaldi zauważy ten związek, potajemnie wróci do Włoch. Ale tylko pod warunkiem, że będzie miał bezpośredni kontakt z tobą, Lorenzo. Chcę, żebyś wtedy zastawił na niego pułapkę. Nie zginie, ale ma to wyglądać tak, jakby zginął. Rozumiesz? Chcę, żebyś ty, Lorenzo Ragusa, zorganizował tę operację w Bazylikacie.

Wziąłem głęboki oddech i powiedziałem:

- Ale wielce szanowny Il Porpore, wspaniały The Purple, prześwietny Mr Bagley, czy nie rozumiesz, że znalazłem się w tej sytuacji, bo zawsze wspierałem Fabia Tebaldiego? Zawsze! Dlaczego teraz nagle miałbym ci go sprzedać?

- Żeby ratować życie - odparł Mr Bagley. - I chcemy tylko przetrzymać przez parę miesięcy jego i ewentualnego kolegę, który z nim przyjedzie. *Kidnapping old 'ndrangheta style*. Potem odeślemy ich, przerażonych, ale całych i zdrowych, z powrotem do Europolu z wiadomością w stylu: „Nie wtrącajcie się w nasze sprawy, *bitches!*”.

Pomyślałem o Fabiu, który się zmył i rzucił mnie wilkom na pożarcie. Spojrzałem nawet na mój kciuk, na opuszkę, którą wciąż przecinała poprzeczna blizna. Pomyślałem: może to cię nauczy, że nie zostawia się na łodzie *brata krwi*, Fabio. I powiedziałem:

- On nie może zginąć.

- Nie zginie - odparł Mr Bagley. - Potrzebujemy go żywego.

- A kim jesteście?

- Organizacją, która pracuje dla 'ndranghety, ale ma równoległe

plany na przyszłość. Jeśli się zgodzisz, zostaniesz jednym z nas.

Westchnąłem ciężko. To było trochę zbyt wyrafinowane, by stał za tym Bonavita. Aż taki cholernie ważny nie byłem. To faktycznie byli jacyś *zagraniczni gracze*. W samym środku Kalabrii.

Przynajmniej odwagi im nie brakowało.

- Muszę wziąć urlop - powiedziałem. - Inaczej zwrócą uwagę, że nie ma mnie w pracy.

- Weź dwa tygodnie - odparł Mr Bagley. - Zadzwoń jutro i weź chorobowe, potem urlop. Wrócisz później na służbę, ale będziesz się trzymał na dystans. Wtedy twoje stosunki z Bonavitą będą już unormowane. Obiecuję ci to.

- Dobra - powiedziałem. - Zawieźcie mnie do tego waszego bezpiecznego domu.

- W porządku - odparł Mr Bagley. - Za kwadrans będziemy u ciebie.

Ich bezpieczny dom położony był w Bazylikacie, na północ od Kalabrii. Z okna widać było zameczek, daleko w dolinie. To tam „wygnano” II Sorridente i II Ricurvo. Był tam mój ojciec, a ode mnie oczekiwano, że go zamorduję. Ojcobójstwo. Równie przerażająca, co kusząca myśl. W mojej głowie zaczynał się rysować plan.

Często kontaktowałem się z Mr Bagleyem przez telefon, ale nigdy nie spotkałem go osobiście. Razem opracowaliśmy plan tego, co miało się wydarzyć w zamczku. Wiedziałem, że Fabio wybierał się do Włoch, ale szczegóły do mnie nie dotarły. Miałem je gdzieś.

Jeśli miałem się wywinąć Bonavicie, musiałem przeprowadzić ten plan. I jeśli wszystko by się udało, Mr Bagley miał za jakiś czas wsadzić mnie do samolotu lecącego do Stanów Zjednoczonych, z przywoitą sumą na koncie i starannie dopracowaną amerykańską tożsamością. W Stanach miałem szansę na nowe życie.

W bezpiecznym domu było na miejscu wszystko, czego potrzebowałem do tej akcji. Dostałem do dyspozycji czterech ludzi, z których żaden nie był Włochem. Plan był gotów, wystarczyło tylko go przeprowadzić. Czekałem na zielone światło.

Najpierw przyszedł mail od Fabia. Chciał, żebym dla niego zdobył plany i zdjęcia zamczku. I chciał jakiś dom w bezpośrednim jego

sąsiedztwie. Poza tym potrzebował, żeby do tego domu dostarczyć mu sprzęt - broń, kamizelki kuloodporne, noktowizory, a nawet butelkę wina - żeby wszystko było na miejscu, kiedy się zjawi.

Mr Bagley pomógł mi zorganizować broń i chatę, resztą musiałem zająć się sam. Moi „współpracownicy” umieścili klucz do chaty w schowku czternaście desek nad ziemią, a pod siedzeniem sofy w kuchni ukryli broń. Zanim wysłałem teczkę z planami i zdjęciami na poste restante w Fladze, starannie opatrzyłem ją kółkiem po filiżance od espresso.

Potem dostałem zielone światło z Rzymu. Ludzie Mr Bagleya obserwowali najwyraźniej wszystkie pobliskie lotniska. Śledzili samochód, który zamieniono na inny przy potrójnym garażu w lasach na południe od Rzymu.

Byli w drodze.

Przyszła pora, żeby udać się do zameczku i zamordować ojca.

Brzmi to tak obojętnie. Ale okoliczności sprawiły, że właśnie taką obojętność wtedy czułem.

Il Sorridente i Il Ricurvo siedzieli sobie spokojnie w zameczku w pomieszczeniu na tyłach, za wielką pustą salą. Zakradliśmy się przez nią. Nic nie usłyszeli. Weszliśmy do pokoju na tyłach.

Il Sorridente był przy komputerze, a Il Ricurvo siedział okrakiem na krześle, pochylony nad gazetką porno. To był stosowny koniec dla Riccarda Ragusy. Ostatnim, co zobaczył Il Ricurvo, było obciążanie druta przez dwie laski, a potem własny syn unoszący pistolet. To był stylowy koniec. Strzeliłem mu prosto w twarz, opróżniając cały magazynek. Kiedy obwił na oparciu krzesła, z jego głowy niewiele zostało. Z kolei Il Sorridente niespodziewanie szybko sięgnął po pistolet i moi współpracownicy też musieli opróżnić magazynki. Z jego głowy zostało jeszcze mniej.

- Przynieście sprzęt - powiedziałem do moich współpracowników.

Poszli po wszystko, czego potrzebowaliśmy. Było tego sporo. Najróżniejsze rzeczy. Zaczęliśmy od umocowania zwłok na łańcuchach. Wciągnęliśmy je pod sklepienie, a potem rozpoczęliśmy przygotowania. Wymagało to pewnej precyzji.

Nad wielką salą bieżyły dwie galerie. Tylko tą na lewo od wejścia dało się przejść; ta po prawej była w ruinie i w każdej chwili mogła się zawalić. A więc jeśli zjawilyby się dwie osoby, które chciałyby zaskoczyć ewentualnych wrogów w pomieszczeniu na tyłach, istniała tylko jedna możliwość, by się rozdzielić: jedna osoba musiała pójść lewą galerią, a druga przez wielką salę. Zakładałem, że będą się przemieszczać w miarę równolegle, jeden gliniarz w górze na galerii, a drugi przez salę na parterze. Będą utrzymywać kontakt wzrokowy, choć w zameczku było ciemno, nawet przy dziennym świetle. Fabio zamówił noktowizory, te w formie gogli. Będą się zbliżać równolegle, ciężko uzbrojeni, w najwyższej gotowości. To oznaczało, że ten w górze na galerii prawdopodobnie zobaczy pomieszczenie na tyłach trochę wcześniej niż ten, który przejdzie portalem na parterze. A więc potrzebny był ktoś zaczajony przy samym końcu galerii - było tam idealnie nadające się do tego miejsce - oraz mechanizm, który w chwili symulowanego wybuchu na górze pośle zwierzęce wnętrzości na podłogę w dole. To miało sparaliżować osobę na parterze, która właściwie w tej samej chwili nadeprnie na płytkę pokrytą specjalnym klejem i uruchomi mechanizm łańcuchów, tak by oba trupy opuściły się spod sufitu, w najlepszym razie unieruchamiając między sobą osobę na dole. I musieliśmy jeszcze przymocować do zwłok jednego z mafiosów lipne urządzenie zegarowe, odliczające od dziesięciu w dół. Od 00:10.

Zabraliśmy się do roboty. Na górze: mechanizm z dźwignią do zrzucenia zwierzęcych wnętrzości, kryjówka dla człowieka, który miał go uruchomić i unieszkodliwić osobę na galerii. Na dole: pokryta klejem płytką uruchamiająca mechanizm łańcuchów, który aktywował równocześnie lipne urządzenie zegarowe przyklejone do rąk martwego Il Sorridente. Na górze i na dole: sporo światłoczułych kamer, by mieć ogłąd sytuacji na odległość.

Dwa lata temu, jedenastego kwietnia, gdy zapadł zmierzch, przestawiliśmy samochód. Fabio i jego koleżanka przybyli do chaty.

Widzieliśmy przez noktowizory, jak oświetlają jej fasadę światłami przeciwmgielnymi ich wozu. Widzieliśmy, jak

Fabio odlicza czternastą deskę, wciskają do środka i wyjmują klucz. Jak na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Spędziliśmy tę noc w zameczku. Rano ten, który miał wartę, zobaczył, że się zbliżają. Jeden z ludzi wczołgał się na swoje miejsce na galerii. My, pozostała trójka, wymknęliśmy się oknem w pomieszczeniu na tyłach i czekaliśmy tuż nad urwiskiem za zameczkiem. Otworzyłem laptop i zobaczyłem obraz z czterech miniaturowych światłoczułych kamer.

Teraz wiem, że nazywa się Lavinia Potorac i jest Rumunką. Naprawdę nie zasłużyła sobie na taki los. Fabio też nie, ale o tym nie wiedziałem jeszcze przez prawie pół roku. Choć może jednak to mu się należało.

Weszli równocześnie przez wypaczone starością dębowe wrota. Zsunęli na oczy noktowizory i się rozdzielili. Potorac skręciła w lewo i weszła schodami na galerię. Tebaldi skradał się przez wielką salę, pośrodku której stał ogromny dębowy stół. Przemieszczał się wzdłuż prawej ściany, z pistoletem maszynowym w ręce. Ja kuciałem za oknem i na ekranie laptopa wyraźnie widziałem strach na twarzy Tebaldiego. Inna z miniaturowych kamer wychwytywała obraz przyuczajonej Potorac, skradającej się wzdłuż galerii.

Tebaldi zbliżył się do ciasnego, zwieńczonego tukiem przejścia do pomieszczenia na tyłach, gdy nagle spłoszony gołąb wyfrunął stamtąd i przeleciał przez salę. Był już tuż przy przejściu. Z kolei Potorac dotarła prawie do końca galerii, skąd mogła zajrzeć do pomieszczenia na tyłach. Popatrzyła w dół, uniosła pistolet maszynowy nad balustradę, zobaczyła biurko Il Sorridente i komputer. Widziała, jak Tebaldi wchodzi do pomieszczenia na tyłach. Jak zbliża się do powleczonej klejem płytki.

Cała jej postawa wyrażała, iż nagle pojęła, że to pułapka. Ale wtedy było już za późno. Mój człowiek na gorze szybko zakrył jej twarz chustką nasączoną chloroformem i położył ją na podłodze. Następnie uruchomił dźwięk naśladujący eksplozję i mechanizm z

dźwignią, który posłał zwierzęce wnętrze pod nogi Tebaldiego. Ten właśnie przykleił się do płytki. Wpatrywał się we wnętrze, gdy klej chwycił. Il Ricurvo z głośnym zgrzytem zjechał spod sufitu na łańcuchu. Po drugiej stronie Tebaldiego zjechał Il Sorridente. Fabio był zakleszczony między nimi, próbował się oswobodzić, ale nie mógł oderwać stóp od płytki. Wtedy zobaczył diody, cyfry na wyświetlaczu w rękach Il Sorridente. Odliczały wstecz. 00:10. Tebaldi szarpał mechanizm w rękach gangstera, ale nic nie mógł poradzić. Spróbował odkleić się od płytki. 00:06. Zaczął szarpać sznurowadła, ściągnął pierwszy but, chciał wysunąć stopę. 00:04. I wtedy się poddał. Jego ramiona się rozluźniły, ręce przestały się trząść. Spojrzał na okaleczone zwłoki Il Sorridente. 00:01.

Mechanizm zadziałał. Ale to nie był ładunek wybuchowy. To był gaz. Fabio natychmiast stracił przytomność. Weszliśmy przez okno, rozbroiliśmy go i związaliśmy, założyliśmy mu kaptur na głowę. Mój współpracownik szedł z galerii, niosąc nieprzytomną Potorac. Ją też związaliśmy i założyliśmy jej kaptur. Postałem jednego z moich ludzi po samochod.

Kiedy przenosili pojmanych do samochodu, rozlałem we wnętrzu zameczku łatwopalną substancję wybuchową i uzbroiłem ostatni ładunek. Odjechaliśmy jakieś sto metrów dalej. Wtedy wcisnąłem detonator. Zameczek stanął w płomieniach, to był szybki pożar chemikaliów produkujących niesamowicie wysoką temperaturę. W zameczku było niewiele rzeczy, które mogły spłonąć, więc ogień dość szybko przygasł. Pojechaliśmy z powrotem i w wypalonych ruinach podłożyliśmy spore ilości DNA Tebaldiego i Potorac. Skorzystałem też z okazji, by wrzucić do tylnej kieszeni jednego z moich współpracowników mikronadajnik.

Potem odjechaliśmy. Moi ludzie zostawili mnie w bezpiecznym domu. Po kilku dniach dostałem od Mr Bagleya wiadomość, że mogę wracać do siebie. Twierdził stanowczo, że przekonał szefów Bonavity, by zadbali, żeby ten dał mi spokój. Wiem natomiast, że Bonavita jeszcze bardziej znenawidził Fabia, zwłaszcza kiedy sam zaczął piąć się coraz wyżej w hierarchii. Ostatnio słyszałem, że

Bonavita jest w tej chwili prawdopodobnie szefem całej 'ndranghety. *Supercapocale*.

Nie do końca ufałem informacjom Mr Bagleya, zachowywałem dużą ostrożność, ale w ciągu kolejnych sześciu miesięcy Bonavita się do mnie nie odezwał.

I Mr Bagley też nie. Miał przecież po jakimś miesiącu wypuścić Tebaldiego i Potorac z wiadomością dla Europolu. Ale to nigdy nie nastąpiło. Nie dotarli do mnie żadne wieści, zniknął jak kamień w wodę. A śledztwo było świadomie bardzo nieudolnie prowadzone przez dwóch gliniarzy, o których wiedziałem, że są skorumpowani.

Miałem już tego dość. Odezwałem się do osoby kontaktowej Tebaldiego, Donatelli Bruno. Zacząłem jej dostarczać materiały ze śledztwa, wskazywać na słabe punkty. Zasugerowałem, że Potorac i Tebaldi żyją. Zasugerowałem, że to nie 'ndrangheta za tym stała. Ale asa w rękawie zostawiłem dla siebie. Zamierzałem dać Mr Bagleyowi ostatnią szansę, by poinformował mnie, że Tebaldi i Potorac są wolni.

Zamiast tego przyszli po mnie. Czekali w moim mieszkaniu. Na szczęście zastawiłem w nim mnóstwo pułapek. Nie będę was zanudzać szczegółami, lecz dwóch płatnych morderców Mr Bagleya zginęło wskutek zatrucia gazem. A ja zrozumiałem, że to koniec. Musiałem szybko się ukryć i już nigdy nie zostawiać po sobie śladów. Naprawdę nigdy więcej.

Od jakiegoś czasu chodził mi po głowie pewien domek alpejski pod Aostą. Wiedziałem, że nikt tam nigdy nie bywa, że to była wyłącznie inwestycja. W absolutnej tajemnicy przemieszkałem tam półtora roku. Polowałem, żeby mieć co jeść, znalazłem w lesie źródło wody, bardzo rzadko schodziłem do Aosty. Zadomowiłem się. I, niestety, byłem kompletnie nieprzygotowany, kiedy w końcu się zjawili.

Chcieli, żebym powiedział im wszystko. Próbowali wyciągnąć ode mnie kontakty. Powiedzieli, że już się zajęli Bruno, i upewnili się, że jej śledztwo do niczego nie doprowadzi. Ale czy rozmawiałem z kimś jeszcze? Czy miałem jakichś współpracowników, kontakty? Czy ukryłem gdzieś jakieś tajne materiały?

To nie były przyjemne godziny. Cieszę się, że się zjawiliście, moi panowie.

Zaczynam być strasznie zmęczony. Od ilu godzin już piszę? Nawet wy zaczynacie mieć trochę podkrążone oczy.

Zwiększcie mi, proszę, znowu dopływ morfiny. To bolało. M/a/o boleć. Ale teraz mam już dość. Chcę tylko spać.

Zapomniałem o czymś? Potrząsacie mną. Dajcie mi już spać.

As w rękawie? Ach, właśnie.

Chodzi wam o ten mikronadajnik, który w zameczku umieściłem w tylnej kieszeni jednego z moich współpracowników?

Tak, sygnał zatrzymał się w jednym miejscu w górach Bazylikaty. Potem zanikł. Pewnie facet po jakimś czasie po prostu wyprał spodnie.

Tak, znam pozycję. Współrzędne GPS, tak. Znam je na pamięć. Dajcie mi inny kawałek papieru, to wam je zapiszę.

Tak. Pewnie to tam siedzą Fabio Tebaldi i Lavinia Potorac.

Teraz dajcie mi już spać.

Direzione Distrettuale Antimafia

Catanzaro, Włochy, 22 września

BIURO DDA, Direzione Distrettuale Antimafia, w Catanzaro było bardzo bezpretensjonalne. Po prostu wykonywano tu robotę, a nie pławiono się w blasku chwały. A od sędziego śledczego Morettiiego tym bardziej nie bił żaden blask. Za to komendant policji De Luca, siedzący obok sędziego po drugiej stronie zavalonego papierami stołu, wydawał się nim promieniować. O ile Moretti był pod każdym względem szarym urzędnikiem, De Luca wydawał się wyjątkowo barwny, wręcz pstrokaty. Prawdopodobnie dobrze się uzupełniali. I na szczęście obaj dobrze mówili po angielsku.

- Niecałe dwie doby temu, kiedy dotarli do nas pańskie informacje, byliśmy nie tylko sceptyczni, lecz wręcz pozwoliliśmy sobie na kpiny - powiedział Moretti. - Przepraszamy za to. Znaczną część tego, co nam pan przekazał, udało się potwierdzić.

- W tym znaczny napływ meksykańskich obywateli do Europy w ciągu ostatniego tygodnia - dodał De Luca. - Meksykanów, z których tylko bardzo nieliczni mają całkowicie czyste konto. Oczywiście przedostają się tutaj z fałszywymi dokumentami, ale okazało się, że nowy program wykorzystywany na loUiskach do rozpoznawania twarzy działa lepiej, niż przypuszczaliśmy.

- Zestawiliśmy też pojedyncze raporty o nowym typie syntetycznego narkotyku - powiedział Moretti. - Było ich więcej, niż mogliśmy sądzić, w różnych miejscach we Włoszech i w całej Europie.

- Dostał pan już potwierdzenie, o jaką substancję może chodzić? - spytał De Luca.

Paul Hjelm odchrząknął i odparł:

- Dostałem jedno, z Madrytu. Wbrew temu, czego można się było spodziewać, tamtejsze laboratoria pracują szybciej niż podobne w Nowym Jorku. Wciąż czekam na wiadomość ze Stanów i jeśli oba raporty z laboratoriów okażą się zbieżne, myślę, że będziemy to mogli potraktować jako coś w rodzaju potwierdzenia.

- I ci, którzy rozprowadzają ten narkotyk, to ta międzynarodowa firma ochroniarska o nazwie Camulus? - spytał Moretti.

- Tak, wszystko na to wskazuje.

- Zanim spróbujemy podsumować sytuację, może zechciałby nam pan przedstawić swojego towarzysza? - De Luca wskazał na mężczyznę stojącego obok Hjelma.

- Tak, przepraszam - odparł Hjelm - To Mr Watkin, mój tłumacz i ochroniarz.

Mr Watkin sztywno kiwnął głową i dodał po włosku:

- Mój ojciec był Włochem.

- Na wypadek gdybyśmy się natknęli na trudności językowe - powiedział Hjelm

- Ochroniarz bez broni? - spytał z uśmiechem De Luca.

- Mr Watkin *jest* bronią - odparł Hjelm z identycznym uśmiechem

- To jak, zabieramy się do podsumowania? - spytał Moretti, który wydawał się zupełnie niezainteresowany jakimikolwiek gierkami.

- W oczekiwaniu na *action* - powiedział De Luca i zerknął w stronę pustego okienka Skype'a na komputerze.

- Przedstawię skróconą wersję - odrzekł Hjelm. - Wy, moi panowie, wiecie o wiele lepiej ode mnie, jaki panował ruch na rynku kokainy od czasu, gdy Kolumbijczycy zniknęli, a Meksykanie przejęli ich rolę dostawców na Europę. Kokaina wciąż pozostaje głównym narkotykiem na naszym kontynencie, choć zaostrzyła się konkurencja ze strony syntetycznych narkotyków, takich jak amfetamina, metamfetamina czy ecstasy. 'Ndrangheta ma niesłychanie precyzyjną sieć dystrybucji w

Europie. Z pomocą przede wszystkim Los Zetas stworzyli idealną trasę przerzutu z Nowego Jorku do gigantycznego portu Gioia Tauro. Zarówno Kalabryjczycy, jak i Meksykanie byłiby oczywiście zainteresowani wykorzystaniem tej gładko działającej maszyny do rozprowadzania czegoś jeszcze prócz kokainy. Najchętniej jakiegoś syntetycznego narkotyku, takiego jak te, które ukradły im część rynku, ale wówczas musiałoby to być coś, co naprawdę mogłoby konkurować z amfetaminą i metamfetaminą. I wygląda na to, że ten narkotyk już istnieje, właśnie został przetestowany i oceniony podczas niemożliwych do ogarnięcia zgromadzeń ludzi, takich jak Los Indignados w Madrycie i Occupy Wall Street w Stanach Zjednoczonych. Wiele wskazuje na to, że ten narkotyk jest produkowany w jednym lub kilku tajnych laboratoriach w Stanach i że to Camulus kontroluje produkcję. Dlatego dla Los Zetas i dla 'ndranghety idealnym rozwiązaniem byłoby uzupełnienie kokainy tym nowym towarem. Co za tym idzie, narkotyk bardzo szybko trafiłby do tych samych kanałów dystrybucji co kokaina w Europie. To *win-win-situation*. Camulus sprzedaje towar Los Zetas, którzy sprzedają go dalej 'ndranghecie. Wszyscy na tym zyskują. Z wyjątkiem obecnych i przyszłych europejskich narkomanów.

- Ale to przecież nowe, wciąż niezorganizowane - pokiwał głową Moretti. - Wszystko muszą więc uzgodnić podczas spotkania na szczycie.

- Spotkania na szczycie, które odbędzie się dwudziestego siódmego września - powiedział Hjelm. - I musi się ono odbyć na dość neutralnym gruncie. Jak już wspominałem, wiemy, że Meksykanie z podejrzaną przeszłością sukcesywnie przedostają się do Europy przez różne lotniska. Wiemy też, że szef Camulus, Christopher James Huntington, przebywa w tej chwili z oddziałem świeżo zrekrutowanych świetnie wyszkolonych ochroniarzy w Bari, na wschodnim wybrzeżu Włoch.

- Skąd to wiecie? - spytał De Luca, przyglądając mu się bystro.

- Mamy tam swojego człowieka - odparł krótko Hjelm. - Do

tego wiemy że pewien twarziel o nazwisku Xavier Montoya przemieścił się ostatnio z Frankfurtu na południe, do miasta Potenza w Bazylikacie.

- A skąd to wiecie? - powtórzył De Luca.

- Śledzimy go - odparł spokojnie Hjelm. - Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, doprowadzi nas na miejsce spotkania.

- Bazylikata - mruknął z namysłem Moretti. - Jeden z najstabiliej rozwiniętych regionów Włoch. Z nowym odłamek mafii, basilischi, w tej chwili piątym co do wielkości. Mają bliskie związki z 'ndranghetą.

- Mimo wszystko 'ndrangheta może być gospodarzem tego spotkania na szczycie - powiedział Hjelm - ale nie mogli go zorganizować u siebie. A więc wybrali Bazylikatę, najrzadziej zaludniony region Włoch, z ludźmi z basilischi w charakterze ekspertów od znajomości terenu. Bazylikata w połowie składa się z odludnych gór, południowych Apeninów. Myślę, że to gdzieś tam odbędzie się spotkanie na szczycie. Tam nikt nie będzie im przeszkadzał.

- Zaczęliśmy już badać teren - powiedział De Luca. - Kilka lat temu mieliśmy człowieka, któremu niemal udało się sztuka otwarcia drogi do aorty 'ndranghety.

- Ale tylko niemal - dodał Moretti. - Nasz dylemat cały czas polegał na tym, że nie wiemy, jak wygląda boss. Wiadomo tylko, że posługuje się pseudonimem Bonavita. Trzy lata temu mieliśmy przez jakiś czas w naszych rękach jednego z ochroniarzy Bonavity, karczycho o imieniu Giuseppe. Zaczął tworzyć portret pamięciowy Bonavity, ale zamordowano go w areszcie, zanim dokończył rysy twarzy. Bardziej nie udało nam się zbliżyć.

Paul Hjelm zmarszczył brwi i powiedział:

- Mamy człowieka, który się tym zajmie.

- Cholernie dużo macie tych ludzi, którzy się czymś zajmą - zdziwił się De Luca. - O kim teraz mówimy?

- O Lorenzo Ragusie - odparł Hjelm.

Moretti i De Luca popatrzyli po sobie.

- A niech mnie - rzucił De Luca. - Byliśmy pewni, że on nie żyje. Świetny, choć trochę anonimowy policjant. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że ma dojścia w mafii, lecz w jego przypadku uważaliśmy to za coś pozytywnego.

- Mniej więcej tydzień temu był torturowany - odparł Hjelm - ale udało nam się go uratować. Wczoraj przyszyto mu z powrotem język. Mimo kiepskiego stanu właśnie jest w drodze z północnych Włoch, żeby zidentyfikować Bonavitę.

- To jego koneksje sięgały aż tak wysoko? - spytał Moretti.

- Jego ojcem był Il Ricurvo - wyjaśnił Hjelm.

Moretti i De Luca znów wymienili spojrzenia.

- O Bonavicie wiemy tylko tyle - podjął Moretti - że w swoim czasie strasznie nienawidził Fabia Tebaldiego. Kiedy Fabio zginął jakieś dwa lata temu, byliśmy pewni, że to Bonavita w końcu go dopadł. A teraz pan twierdzi, że *Tibaldi żyje*?

Moretti wskazał na komputer, na którego monitorze wciąż wyświetlało się puste okienko Skype'a. De Luca zerknął na zegarek i stwierdził:

- Już prawie pora.

- W każdym razie żył dwa miesiące temu - odparł Hjelm. - To Camulus i Huntington przetrzymują jego i jego koleżankę, Lavinę Potorac. Od chwili gdy się o tym dowiedzieliśmy, próbujemy zrozumić, *dlaczego żyje*. Sądziliśmy, że celem jest dobranie się do nas.

- Ale już tak nie uważacie? - spytał De Luca.

- Nie - odparł Hjelm - To ma jakiś związek z tym wielkim spotkaniem. Ale nie mamy pojęcia, jaki i dlaczego. Miejmy nadzieję, że wkrótce się tego dowiemy.

- Transmisja powinna się zacząć osiem minut temu - powiedział De Luca, znów zerkając na zegarek. - Dzwonię tam.

Gdy De Luca wybierał numer, rozległ się sygnał komórki Hjelm. Ten wskazał na nią pytająco. Moretti kiwnął głową. Hjelm odebrał.

- Tu Nowy Jork - powiedziała Laima Balodis.

- Jaknajmniej słów, Laimo.

- Tak przypuszczałam Dwie rzeczy: po pierwsze, mamy wzór chemiczny narkotyku, który przekazał nam Nicholas. Całkowicie się zgadza z tym z Madrytu. Narkotyk zaczął się rozprzestrzeniać po Stanach Zjednoczonych i dostał obiegową nazwę Avalanche.

- Avalanche? - spytał Hjelm. - Doskonale. A ta druga rzecz?

- Sądzimy, że Camulus została wprowadzona na nowojorską giełdę po to, żeby szybko zbić kapitał. Jednorazowo wpłynęła ogromna masa pieniędzy, którą wykorzystano na rekrutację nowych ludzi. A teraz znów zniknęli. Właśnie stoimy w siedzibie Camulus przy Pine Street. Lokale są zupełnie puste. Nie zostało nic, z wyjątkiem biurek i tym podobnych. I śladów DNA też pewnie nie ma. Zmywamy się stąd.

- Tak - powiedział Hjelm. - Zmywacie się *tutaj*. Pierwszy lepszy lot do Rzymu. Tam wypożyczcie samochód. Dostaniecie współrzędne GPS. Potrzebuję was tutaj.

- Z powrotem zbierasz swoje pary?

Hjelm się rozłączył. Uśmiechnął się. Miał naprawdę świetnych współpracowników.

- Odpowiedź z lasów Bazylikaty - oświadczył De Luca, klikając coś na komórce. - Były jakieś problemy z połączeniem, niespodziewany cień radiowy. Zaraz pojawi się obraz.

- Znamy nazwę narkotyku - powiedział Hjelm. - Avalanche.

- Avalanche - kiwnął głową Moretti. - Lawina. Czyli to prawda, co mówią.

W tym momencie z dużego monitora na stole obok rozległy się trzaski i skupiły się na nim wszystkie spojrzenia. Z początku kiepski obraz pokazywał ludzi przedzierających się przez gęsty las. Przed trzęsącą się kamerą biegło co najmniej sześciu mężczyzn w mundurach.

- *Carabinieri* - rzekł De Luca z krzywym uśmiechem.

- Gdzie byśmy byli bez nich - dodał Moretti, też krzywo się uśmiechając. Po raz pierwszy.

Ale wśród bohaterskich *carabinieri* w lesie pojawiło się też coś zupełnie innego. Kurtka bejsbolowa? Mężczyzna ubrany w ten imponujący strój odwrócił się i uniósł kciuk do kamery. Hjelm się

skrzywił.

Obok mężczyzny w kurtce bejsbolowej biegi szczupły pan w eleganckim garniturze, który jeszcze gorzej pasował do leśnego otoczenia.

- Co, do diabła?! - wybuchnął De Luca.

- Przepraszam - odparł Hjelm. - To moi ludzie. Chavez i Sifakis.

- *Carabinieri* właśnie bardzo zyskali w moich oczach - oświadczył De Luca.

Nagle wszyscy biegnący zatrzymali się i przyczaili. Dalej między drzewami jeden z mężczyzn w mundurach koloru khaki uniósł rękę, jakby chciał zatrzymać pozostałych. Przyczaił się i przywołał ich do siebie gestem. Kamera się z nim zrównała. Wskazał coś ręką. Między pniami dębów ostrolistnych pojawiły się zarysy polany. Po jej drugiej stronie bardzo niewyraźnie majaczyła tylna ściana jakiejś szopy. Znow ruszyli, znacznie wolniej, i zatoczyli koło wokół polany. Od czasu do czasu w kadrze pojawiał się mężczyzna w garniturze i ten w kurtce bejsbolowej. Czas mijał. Byli coraz bliżej szopy.

W końcu Hjelm ją poznał. Z innego filmu.

Tego, który przesłano mu mailem dwa miesiące temu. Przestał oddychać.

W końcu kamera znieruchomiła. Drżała tylko lekko, skupiając się na mężczyznach w mundurach koloru khaki. Naradzali się. Facet w kurtce bejsbolowej wtrącił się i na coś pokazał.

Potem ruszyli.

Ci w mundurach popędzili w stronę szopy. Skręcili za róg budynku i zniknęli. Nie było ich o wiele za długo.

Obraz z kamery drżał.

To w tamtej chwili Jorge Chavez postanowił dłużej nie czekać. Odwrócił się do Angelosa Sifakisa, który kiwnął tylko głową. Wyjęli broń i ruszyli. Dotarli do narożnika chaty i w drodze do drzwi dokładnie rozpoznali miejsce, gdzie sfilmowano

Tebaldiego i Potorac. Tam, gdzie Tebaldi próbował im pokazać „zagranicznych zawodników” w „La Repubblica”. Dwóch karabinierów stało przy drzwiach i pokazywali w głąb szopy.

W miejscu gdzie Tebaldi i Potorac spędzili ponad dwa lata życia, było całkiem ciemno. I okropnie śmierdziało. Nie słychać było żadnego dźwięku. Może tylko cichy jęk.

Przeszli przez pierwsze pomieszczenie. Nie było tu żadnej podłogi, tylko klepisko. To naprawdę była szopa. Zimy musiały być tu potworne.

Zbliżali się do większego pomieszczenia w głębi. Padało tam światło latarek widoczne przez uchylone drzwi. Smród się nasilił. I panowała przedziwna cisza. Chavez tego nie rozumiał. To był przecież nalot, powinni krzyczeć, wrzeszczeć, strzelać. Porywacze powinni leżeć martwi na ziemi, Tebaldi i Potorac powinni tam być, udupieni, ale uratowani.

Wyciągnął własną latarkę i oświecił nią drogę. Przejście w drzwiach było wąskie, w środku wciąż było widać tylko światła latarek.

Chavez wziął głęboki oddech. Czy to zapach śmierci? Wszedł do drugiego pomieszczenia.

Pod dwoma karabinierami leżał powalony mężczyzna w garniturze, jego ramiona były pod dziwnym kątem wykręcone na plecy. Twarz była odwrócona i wciśnięta w klepisko, Chavez jej nie widział.

Potem zobaczył dwa pośłania, dwa śpiwory leżące na gołej ziemi. Smród stał się jeszcze silniejszy.

Jeden śpiwór był pusty. Przy drugim stał stojak do kroplówki. I widać było za nim zarysy postaci. Jeden z karabinierów pochylał się nad nią, mówił coś cicho, wyprostował się na widok Chaveza i Sifakisa. Ustąpił im miejsca.

Sifakis podszedł, pochylił się, zaczął mówić. Chavez usłyszał jego słowa:

- Lavinio, tu Angelos. Angelos Sifakis. Spokojnie. Pomoc jest w drodze.

Chavez zobaczył zapadniętą twarz Lavinii Potorac wyglądającą

ze śpiwora. Była chuda jak patyk, widać jej było chyba wszystkie kości twarzy. Ale żyła. Udało jej się unieść rękę i przywołać do siebie również Chaveza. Usiadł tuż obok Sifakisa. Obaj ujęli jej lodowate dłonie i je ścisnęli. Potorac próbowała coś powiedzieć. Przychodziło jej to z trudem, z jej ust wydobył się tylko świst. W końcu wydusiła z siebie:

- Zabrali Fabia.

- Kiedy? - pytał Sifakis. - I masz jakieś pojęcie dokąd?

Potorac oddychała, głośno rżężąc. Oparła ręce na kościstych kolanach i powiedziała:

- Osobista wiadomość dla Paula Hjelma.

- Tak? - spytał Sifakis.

- „Do zobaczenia w Kalabrii”.

Przez jakiś czas niewyraźny obraz z kamery się trząsł, szumy znacznie przybrały na sile i gdy mężczyzna w bejsbolowej kurtce pojawił się w kadrze, bardzo blady, ze jego plecami na polanie lądował akurat śmigłowiec ratunkowy.

- Tu Chavez. Słyszysz mnie, Paul?

- Ja i dwóch ludzi z DDA - odparł słabym głosem Hjelm.

- Potorac żyje - powiedział Chavez. - Był tu lekarz i zmienił jej kroplówkę. Został zatrzymany.

Hjelm mocno zacisnął powieki.

- Dzięki, Jorge - powiedział. - A Tebaldi?

- Zniknął. Zabrali go.

- Do diabła - zaklął Hjelm bardzo cienkim głosem.

- Wiem - odparł Chavez. - I jeszcze tak zwana „osobista wiadomość dla Paula Hjelma”. Brzmi: „Do zobaczenia w Kalabrii”.

- Dziękuję - rzekł Hjelm, ale obraz już zniknął.

- Hmm - mruknął Moretti. - Wysłali lekarza, żeby zmienił kroplówkę tylko po to, żeby przeżyła i podsunęła nam błędny trop: „Do zobaczenia w Kalabrii”.

- Najwyraźniej co do Tebaldiego mają jakieś inne plany -

stwierdził De Luca. - O co może chodzić, Hjelm?

Ale Paul Hjelm zupełnie nie kontaktował. Siedział pochylony do przodu i zasłaniał twarz rękoma.

- Nie wydaje się pan tak przejęty, Mr Watkin, jak pański szef - zauważył Moretti. - Co pan o tym sądzi?

- Za mało parametrów - odparł spokojnie Mr Watkin. - Ale to w tym celu nie zabili go przez dwa lata. Dowiemy się dwudziestego siódmego.

- Hjelm? - odezwał się De Luca, pochylając się w jego stronę. - W sumie ośmiu moich ludzi siedziało w górach jako zakładnicy. Dwaj wrócili do domu. Jeden nawet wrócił na służbę, na pół etatu. Może mi pan wierzyć, że wiem, jakie to uczucie. Tyle że musimy powrócić do rzeczywistości. Potem będziemy mogli razem się wyplakać.

Hjelm spojrział na niego i powoli kiwnął głową.

- On żyje - powiedział.

- Oczywiście, że tak - zgodził się z nim De Luca. - Mamy kilka dni, żeby uratować Tebaldiego. I zająć się ważniejszą kwestią.

- Chińczycy - powiedział Moretti. - Wspominał pan o jakichś Chińczykach...?

- Nie o Chińczykach - westchnął ciężko Hjelm. - O grupie młodych elitarnych żołnierzy którzy *być może* zostali wyszkoleni w Chinach.

- No to naliczyłem co najmniej *trzy* sposoby ochrony dla tego pańskiego Christophera Jamesa Huntingtona - stwierdził Moretti. - Spory oddział ochroniarzy gdzie ma pan „swojego człowieka”, grupa młodych elitarnych żołnierzy z Chin i jeszcze „twardziel” Xavier Montoya. Wygląda mi to na niesamowicie silną ochronę podczas spotkania, na szczycie czynie.

Na twarzy Hjelma pojawił się jakiś nowy wyraz, znacznie bardziej skupiony. Spojrział w przenikliwe oczy Morettiego i powiedział:

- Zgadzam się z panem Jak by pan to wyjaśnił?

- Oczywiście nie da się tego wyjaśnić - odparł Moretti. - Ale kiedy przejdziemy do planowania *naszej* operacji, to czy nie

powinniśmy uwzględnić, że może wcale nie chodzi po prostu o spotkanie trzech organizacji?

- Tak - przyznał Hjelm. - Huntington wysłał niedawno główne siły swoich świeżo zrekrutowanych najemników do Meksyku.

- Wall Street - podjął sędzia śledczy Moretti. - Słyszałem pańską wcześniejszą rozmowę. W Stanach Zjednoczonych wpłynęły pieniądze od pozbawionych zahamowań inwestorów kapitału wysokiego ryzyka. Dokonano rekrutacji na gigantyczną skalę. Pozwoli pan, że coś panu powiem, na podstawie mojego trzydziestoletniego doświadczenia w walce z mafią w Kalabrii?

- Niczego innego nie oczekuję - odparł Hjelm.

- Oczywiście *może być* tak, że ten Huntington śpieszy się powoli. Rozpoczął produkcję narkotyków na najwyższym poziomie. Chce je sprzedawać tym, którzy dobrze płacą i mogą je rozprowadzać po całym narkomańskim świecie: Los Zetas w Stanach Zjednoczonych, 'ndranghecie w Europie. Ale będzie z tego miał może jakąś jedną dwudziestą zysków, które miałby, gdyby sam kontrolował cały łańcuch dystrybucji. Może wcale nie śpieszy się powoli.

- Myślałem podobnie - przyznał Hjelm - lecz nie miałem odwagi głośno tego powiedzieć. Jego firma ochroniarska zawsze była bardzo zaangażowana w zorganizowaną przestępczość na wielką skalę. On chce profesjonalizować, co tam, do diabła, *skorporacjonizować* cały handel narkotykami. Odejść od średniowiecznego klanowego myślenia 'ndranghety, od brutalnej gangsterskiej mentalności Los Zetas i wkroczyć w cywilizowany, lecz bezprawny świat międzynarodowych firm. Zamierza się też przygotować na przyszłą legalizację handlu narkotykami. Będzie miał wtedy gotowe wszystkie korporacyjne struktury.

- Jeśli pójdzie w stronę przemocy, da radę - stwierdził De Luca.
- A jeśli pójdzie w stronę bardziej dyktatorskiej formy korporacji, też da radę.

- Krótko mówiąc - podsumował Moretti - Christopher James Huntington jest człowiekiem przyszłości.

- Nie - powiedział Paul Hjelm - Przyszłość musi być czymś

lepszym.

Drapieźnik

V

Bazylikata, Włochy, 27 września

OBRAZ SATELITARNY pokazywał samotny dom położony na płaskowyżu, z daleka od wszelkich ludzkich skupisk. Ale pokazywał też o wiele więcej. Były cztery drogi dojazdowe z zaporami strzeżonymi przez zamaskowanych mężczyzn. Pomiędzy drogami dojazdowymi znajdował się las, trzysta sześćdziesiąt stopni wokół las, a w centrum ogród pośrodku płaskowyżu. Również w lesie znajdowali się uzbrojeni ludzie, choć byli widoczni tylko przez kamerę termowizyjną satelity jako małe, ruchome, żółto- czerwone plamki pomiędzy drzewami. Ponieważ do tego miejsca doprowadził ich X, a dokładniej śledzona przez W komórka Xaviera Montoi, oraz Nicholas, który wczoraj wieczorem zdążył przesłać Hershey szybki raport z biwaku we wspomnianym lesie, istniały powody, by sądzić, że duża część z tych żółto- czerwonych plamek na obrazie termowizyjnym z satelity to najemnicy z Camulus.

Sam X spędził dwie ostatnie noce w budynku, a dni w ogrodzie i w lesie. Prawdopodobnie to on dowodził ochroną i rozmieścił ludzi w strategicznych miejscach.

Najważniejsze było chyba to, że satelita zidentyfikował elektroniczny monitoring. Przy zaporach na wszystkich drogach dojazdowych znajdowały się kamery i rozmieszczono też kamery w lesie, między drogami. Ale przede wszystkim na dachu niepozornego białego domu znajdował się radar. Udało się wyliczyć jego zasięg; pięćdziesiąt metrów w głąb lasu, nie więcej. Tam jego rolę przejmowały kamery.

Każdej z czterech zapór drogowych pilnowało pięciu ciężko

uzbrojonych mężczyzn w kominiarkach, a kolejnych dwudziestu było rozmieszczonych w lesie pomiędzy drogami. Aż do dzisiejszego ranka jednym z nich był również Nicholas Durand, Jego pulsujący punkt różnił się teraz od pozostałych. Był niebieski, za sprawą specjalnego nadajnika, który przekazano mu ubiegłej nocy razem z miniaturową kamerą wyposażoną w nadajnik. W najlepszym wypadku Nicholas będzie mógł ją umieścić w jakimś odpowiednim miejscu, zapewniając centrum dowodzenia lepszy wgląd w sytuację. A dziś rano wezwano go do budynku.

Jak Paul Hjelm by nie liczył, ludzi było więcej, niż donosił Nicholas z Nowego Jorku. To nie mógł być tylko świeżo zrekrutowany oddział z Nowego Jorku.

Dzięki temu, że znali zasięg kamer i radarów, mogli rozmieścić tuż poza nim swoich ludzi. Za skupiskiem czerwono- żółtych plamek znajdowało się inne skupisko. Składało się z doświadczonych w walce z mafią karabinierów i policjantów z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, dowodzonych przez komendanta policji De Lucę, który teraz siedział obok Paula Hjelma, oraz z grupy Opcop. Niektórzy jej członkowie znajdowali się przy Hjelmie, inni przy leśnych drogach.

W białym domku dało się rozróżnić ośmiu mężczyzn, z czego dwóch siedziało na piętrze i sprawdzało odczyty z radaru oraz kamer. Sześciu, w tym Xavier Montoya, znajdowało się na parterze. Jednym z nich był Nicholas, niebieski pulsujący punkt wśród czerwono- żółtych.

Dziś wcześnie rano Nicholas został włączony do straży przybocznej w budynku. To obudziło pewne nadzieje, że uda mu się umieścić tam miniaturową kamerę. Ale najwyraźniej do tej pory nie miał okazji tego zrobić, więc musieli się zdać na obraz termowizyjny z satelity.

Być może jednym z mężczyzn przebywających w budynku był sam Christopher James Huntington, lecz pozostawało to niejasne. Jeśli tak było, to przez cały czas nie wyściubiał nosa na

zewnątrz.

Paul Hjelm znów połączył siły ze swoim zastępcą, Angelosem Sifakisem Siedzieli w dużym, dobrze zakamuflowanym mobilnym centrum dowodzenia, w lesie między zachodnią a północną drogą dojazdową. Obaj wraz z De Lucą dowodzili na miejscu akcją nadzorowaną przez sędziego śledczego Morettiego. W długiej, przypominającej przyczepę konstrukcji siedziało też dwóch ludzi z Catanzaro z jednostki do walki z przestępczością zorganizowaną, którzy razem z Felipem Navarro i Adrianem Marinescu zajmowali się monitoringiem. W sumie w miejscu zwanym ironicznie „przyczepą” znajdowało się więc osiem osób.

Pozycja była naturalnie wrażliwa, ponieważ mimo wszystko po lesie poruszało się wielu dobrze wyszkolonych najemników. Umyślnie jednak umieszczono „przyczepę” sporo poza obszarem regularnie patrolowanym przez oddział ochroniarzy. Poza tym w pobliżu umieszczono w lesie duży oddział policji. „Przyczepa” była świetnie zakamuflowana i dobrze strzeżona.

Poza tym były też włoskie wozy policyjne ukryte wzdłuż wszystkich czterech dróg dojazdowych. Przy południowej, wschodniej i północnej dodatkowo rozmieszczono też ludzi z Opcop. Na południu w samochodzie z potężnym silnikiem siedziały Laima Balodis i Miriam Hershey, na wschodzie Arto Söderstedt i Jutta Beyer w bardziej tradycyjnym kuloodpornym wozie policyjnym, na północy zaś, stosunkowo niedaleko „przyczepy”, Jorge Chavez i Salvatore Esposito. Ponadto mieli w samochodzie stojak do kroplówki i podłączonego do niego osobnika. Lorenzo Ragusa nie powinien jeszcze oczywiście opuszczać szpitala. Przyszycie języka było skomplikowanym i bardzo bolesnym zabiegiem, ale potrzebowali go tutaj. Potrzebowali potwierdzenia, który z mężczyzn to Bonavita. A więc leżał na tylnym siedzeniu i co jakiś czas prosił bełkotliwie, żeby zwiększyli mu dawkę morfiny.

Czas włókł się niemiłosiernie. Hjelm siedział w „przyczepie” i wpatrywał się w oba obrazy satelitarne - z kamerą termowizyjną

i bez niej. Ciężko uzbrojony policjant chodził po okolicy i podawał kawę w mikroskopijnych filiżankach. De Luca ciągle rozmawiał przez radio ze swoimi ludźmi w samochodach i w lesie, a Sifakis, Marinescu i Navarro omawiali możliwe scenariusze z oboma włoskimi kolegami. Tylko sędzia śledczy Moretti pustym wzrokiem patrzył przed siebie.

Paul Hjelm w roztargnieniu zrobił kółko po filiżance kawy na leżących wokół niego dokumentach. Spytał:

- Żadnych raportów z najniżej położonych posterunków?

- Nie - odparł De Luca. - Jeszcze nic. Ale z drugiej strony jest dopiero jedenasta. Nie mamy przecież pojęcia, kiedy ma się odbyć to spotkanie.

- Minimalny ruch w budynku - poinformował Navarro. - Radar cały czas się obraca. Ludzie od monitoringu siedzą na piętrze, X i Nicholas się nie ruszają, pozostałych czterech od czasu do czasu się kręci.

- Rozumiem, że ten niebieski to wasz infiltrator - powiedział De Luca - ale skąd wiecie, który to X?

- Ten, który wydziela najwięcej ciepła - odparł Marinescu. - Facet, który waży sto siedemdziesiąt kilo, wydziela najwięcej ciepła.

- Sto siedemdziesiąt kilo mięśni - dodał Navarro. - Ciemnoczerwony punkt.

- Skąd, u diabła, was na to wszystko stać?! - wybuchnął De Luca. - Niebieskie, czerwono- żółte i ciemnoczerwone punkty na obrazach satelitarnych? Ile ta Unia Europejska ma kasy?

- Wystarczająco dużo, żeby zrobić z pana bohatera w mediach, De Luca - odparł Hjelm, a następnie zrobił zbliżenie wjazdów na drogi dojazdowe, przyjrzał się im i nie zwracając się do nikogo w szczególności, rzucił: - Co to jest to coś przy ich posterunkach?

W tym momencie ocknął się Moretti. Przestał wpatrywać się pustym wzrokiem przed siebie i skupił się na ekranie Hjelma. Hjelm zrobił zbliżenie i na ekranie pojawiły się cztery pola z obrazem satelitarnym ze wszystkich czterech posterunków.

Moretti wskazał na coś i powiedział:

- We wszystkich miejscach dokładnie ta sama struktura. Wygląda mi to na wykrywacze metalu.

- Czyli mówimy o strefie bez broni? - spytał De Luca.

- Trochę to paradoksalne, jeśli uwzględnić tych czterdziestu facetów porozstawianych w lesie - zauważył Sifakis.

- Z drugiej strony 'ndrangheta i Meksykańcy zjawiają się pewnie uzbrojeni po uszy - powiedział Navarro. - Mam nadzieję, że wasi ludzie w śmigłowcach są naprawdę w najwyższej gotowości.

- Mamy sześć helikopterów, które mogą być w powietrzu w ciągu dwóch minut - odparł De Luca. - To prawie setka ludzi.

- I jesteśmy całkowicie pewni, że ryzyko ostrzału snajperskiego jest minimalne? - spytał Marinescu.

- Najbliższy wyżej położony punkt jest oddalony o ponad trzy kilometry - odparł De Luca.

- Ryzyko wydaje się bardzo niewielkie. Najgorsze, co się może zdarzyć, to że zaczną się nawzajem dziurawić, ale z czymś takim da się żyć.

- Mamy tam naszego infiltratora - odezwał się Hjelm. - *Nie chcemy, żeby zaczęli się dziurawić.*

- A właśnie - ożywił się De Luca. - Gdzie się podział pański ochroniarz?

Ochroniarz? - *nie wybuchnęli* Sifakis, Navarro i Marinescu, lecz Hjelm wyraźnie widział, co myślą. Byli jednak profesjonalistami, więc się nie odezwali. Hjelm potrząsnął tylko głową. De Luca wyglądał, jakby zamierzał drażnić temat, lecz akurat usłyszał coś w słuchawce.

Sifakis spojrzął krzywo na Hjelma i skupił się na swoim ekranie. Hjelm z kolei się upewnił, że obraz z kamery termowizyjnej satelity jest widoczny również na komórce; przesłał go dalej. Navarro się przeciągnął; w wozie na wschodzie Jutta Beyer podała kawę z termosu zdumionemu Arto Söderstedtowi; w tym na północy Lorenzo Ragusa jęknął, Salvatore Esposito zwiększył mu dawkę morfiny, a Jorge Chavez dostroił obraz z satelity i przygotował się do wykonania zbliżenia; w wozie na południu Laima Balodis masowała spięte mięśnie

karku Miriam Hershey.

Godziny wlekły się ślamazarnie. Ta nieskończona nuda obserwacji, gdy równocześnie wiedzieli, że przez cały czas muszą być w gotowości, by w razie potrzeby natychmiast zareagować.

Gdyby ktoś zwrócił na to uwagę, stwierdziłby, że na wyżynach Bazylikaty jest przepiękny letni dzień. Słońce świeciło łagodnie, ptaki latały wysoko, z zapąłem grały świerszcze. Świat mógłby być naprawdę piękny.

Wszyscy jednak wiedzieli, że czeka ich piekło.

Dochodziła trzecia, gdy De Luca przysunął rękę do prawego ucha i powiedział:

- Raport o trzech minibusach przy najniżej położonym posterunku na wschodniej drodze.

- Jutta i Arto - powiedział Hjelm do mikrofonu. - Słyszeliście?

- Tak - potwierdziła Jutta Beyer. - Zbliżają się trzy minibusy.

De Luca nawijał coś po włosku przez zestaw słuchawkowy.

- Adrian? - rzucił Hjelm

- Już - powiedział Marinescu, zmieniając perspektywę obrazu satelitarnego za pomocą joysticka.

I faktycznie, trochę poniżej wjazdu na wschodnią drogę pojawił się mały konwój czarnych pozbawionych okien minibusów. Marinescu zrobił zbliżenie, busy przejechały bez problemów obok posterunku Beyer i Söderstedta przy małej leśnej drodze i zbliżyły się do zapory na drodze. Dwóch ochroniarzy w kominiarkach wyszło im naprzeciw z uniesionymi rękoma. Z pierwszego wozu wyskoczył mężczyzna. Miał ewidentnie latynoski wygląd.

- To pewnie Meksykanie - powiedział De Luca.

- No to zaraz zobaczymy, jak zareagują na ewentualną próbę rozbrojenia - zauważył Hjelm - Maksymalne zbliżenie, Adrian.

I tak się stało. Mężczyzna, który wyskoczył z samochodu, był co najmniej o trzydzieści centymetrów niższy od obu zamaskowanych facetów. Wskazał drwiąco na ich kominiarki.

Zignorowali go i ich dowódca uniósł osiem palców. Meksykanin lekceważąco machnął ręką i z obrażoną miną wrócił

do minibusa. Czas mijał. Potem z wozów wysypali się ludzie, prawie wszyscy ciężko uzbrojeni. Dowódca facetów w kominiarkach uparcie pokazywał osiem palców. Zatoczył ręką wokół siebie. Trochę starszy Meksykanin oddzielił się od czteroosobowej, na oko nieuzbrojonej grupki, podszedł do gościa w kominiarce i zaczął dyskutować. Następnie odwrócił się do swoich ludzi i wskazał na czterech z nich.

- Wybrano czterech ludzi, żeby towarzyszyli swoim czterem szefom - stwierdził Navarro.

- Bez broni - dodał De Luca. - Niezłe wyzwanie.

- Wygląda na to, że reszta zostaje, gotowa w każdej chwili do ataku - powiedział Sifakis. - Jakichś piętnastu Meksykanów z pistoletami maszynowymi obok pięciu dziwnie wyluzowanych facetów w kominiarkach.

- Co to właściwie za jedni? - spytał Moretti. - Po co te kominiarki?

- Nie wiadomo - stwierdził De Luca. - Wygląda na to, że mamy piętnastu ciężko uzbrojonych Meksykanów na pięciu facetów w kominiarkach. Ale wiemy też, że w lesie aż roi się od najemników. Spójrzcie na obraz termowizyjny.

Nie było żadnych wątpliwości, że co najmniej ośmiu ludzi z lasu zbliżyło się do blokady na wschodniej drodze. Wszystko wskazywało na to, że nieustannie przekazywano im informacje z budynku.

Czterech wybranych ochroniarzy złożyło broń, czterech bossów, którym przewodził najstarszy, również powyciągało najróżniejszą broń z ubrań i umieściło ją w koszach na stole przed wykrywaczem metalu. Następnie przeszli przez niego, jeden po drugim, usłyszeli parę uwag, trochę pomarudzili, wyjęli jeszcze jakieś ukryte noże czy miniaturowe pistolety i ponownie przeszli przez wykrywacz metalu. Kilkanaście metrów dalej równocześnie się zatrzymali, jakby otrzymali jakieś instrukcje.

- Weszli w zasięg naszego mikrofonu kierunkowego? - spytał Hjelm.

- Sprawdzam - odpowiedział jeden z włoskich policjantów,

dostrajając coś pokrętłami.

Z głośnika „przyczepy” odezwały się słabe, ledwie słyszalne głosy mówiące po hiszpańsku. Felipe Navarro przetłumaczył najlepiej, jak się dało:

- .. .pieprzone brednie... cholerni makaroniarze...
- .. .może jednak sensowne zabezpieczenie...
- .. .trzech na jednego, Juan to załatwi...
- ... gdzie to kurewstwo...

De Luca znów przysunął rękę do ucha. Poinformował:

- Nowy konwój, południowa droga.

Marinescu zbliżył na obrazie satelitarnym szereg mercedesów podjeżdżających trochę bardziej stromą drogą od południa.

- Kontakt wzrokowy - rozległ się głos Hershey. - W tej chwili nas mijają. Sześć wozów. Samochody dojechały do południowej zatory na drodze. Tam rozegrała się podobna scena. Jeden człowiek wysiadł, powyklócał się trochę z facetem w kominiarce, który uniósł osiem palców. Mężczyzna wrócił do samochodu i ze wszystkich wozów wysypali się ludzie z bronią w rękach. Gość w kominiarce wciąż unosił osiem palców.

- Cazzo! - wybuchnął De Luca. - Niech mnie diabli, jeszcze nigdy nie widziałem tyłu 'ndranghista naraz.

- Cazzo? - spytał Hjelm, zerkając na Morettiego.

Ale ten wpatrywał się tylko, zdumiony, w ekran. Pokręcił głową.

- To tylko przekleństwo - powiedział. - Ale De Luca ma rację. To unikalne wydarzenie. Nie widziałem czegoś podobnego od czasu Plati w dwa tysiące trzecim

Ośmiu rozbrojonych mężczyzn zdążyło już przejść przez wykrywacz metalu i przystanęli kilkanaście metrów dalej w ogrodzie. Do budynku zostało jakieś pięćdziesiąt metrów.

- Zbliź i prześlij Chavezowi - polecił Hjelm.

Marinescu wykonał zbliżenie, tak by widoczne były twarze większości mężczyzn, i przesłał obraz na laptop Chaveza w samochodzie na północy. Lorenzo Ragusa siedział z tyłu; zasłonił usta ręką. Gdy podano mu laptop, kiwnął głową i wskazał na

jednego z mężczyzn - trzymającego się prosto człowieka przed pięćdziesiątką.

- Ten po prawej to Bonavita - powiedział Chavez do mikrofonu. - Granatowy garnitur, przed pięćdziesiątką.

- Mamy go - powiedział Moretti. - Oznakujcie jego i tego starszego Meksykanina. To szefowie. Marinescu oznakował dwóch wspomnianych bossów elektronicznymi plamkami, które zaczęły się poruszać razem z nimi.

Teraz było już jasne, że obie ośmioosobowe grupki widzą się z odległości niecałych stu metrów. Kilkanaście metrów za każdą z nich znajdowały się małe armie ciężko uzbrojonych ludzi. Te jednak prawdopodobnie się nie widziały.

W tym momencie z białego domku wyszło dwóch mężczyzn z uniesionymi rękoma. Obaj mieli mundury w kolorze khaki i wyglądali na nieuzbrojonych. Zbliżyli się do samotnego stołu ustawionego przed domem i zatrzymali się z rękoma w powietrzu. Wówczas na taras wyszedł samotny barczysty mężczyzna i przez chwilę się rozglądał. Gdy zszedł po schodach z tarasu, stało się jasne, że to Christopher James Huntington we własnej osobie. Za nim szedł olbrzym z uniesionymi rękoma. To był Xavier Montoya. Na koniec po schodach zeszło jeszcze dwóch mężczyzn z rękoma nad głową.

Jednym z nich był Nicholas.

Huntington zaczął mówić i dokładnie w tej samej chwili wychwycił go mikrofon kierunkowy. „Przyczepę” na kilka sekund wypełnił jego grzmiący głos, nim włoskiemu dźwiękowcowi udało się go przyciszyć:

- Jesteśmy nieuzbrojeni. Schodzimy do was, do każdej grupy po kolei.

Sześciu mężczyzn z budynku podeszło najpierw do grupki Bonavity. Huntington i Bonavita uścisnęli sobie ręce. Następnie cała szóstka mężczyzn z budynku przeszła przez wykrywacz metalu. Teraz stało się jasne, że dom i jego otoczenie naprawdę stanowiły strefę bez broni.

- Mamy obraz - poinformował jeden z włoskich policjantów w

„przyczepie”.

- Obraz? - spytał Moretti.

- Właśnie się pojawił - potwierdził policjant. - Obraz z wnętrza domu.

Faktycznie pojawił się obraz z wnętrza domu: z dużego salonu na parterze. Było tam w tej chwili zupełnie pusto. Widać było kuchnię z głównym wejściem od strony tarasu, schody prowadzące na piętro i wyjście na tyłach. W ostatniej chwili przed opuszczeniem budynku Nicholas musiał umieścić miniaturową kamerę na ścianie.

- Niech mnie diabli - powiedział Moretti.

W tym czasie grupka Bonavity ruszyła w stronę budynku razem z ludźmi Huntingtona. Ośmiu mężczyzn przystanęło przy stole i tę samą procedurę powtórzono z Meksykanami. Po chwili również oni ruszyli w stronę domu.

Zebrał się przy stole przed tarasem, tworząc trzy wyraźne grupki. Większość miała trochę dziwne miny, nie mając pod ręką broni.

- Całkowicie się myliliśmy - powiedział Moretti. - To nie basilischi czy 'ndrangheta są gospodarzami, to Huntington organizuje całe to gówno.

Odezwał się Bonavita:

- Stoimy tu bez broni i nie mamy pojęcia, co ukrywacie w domu.

Huntington kiwnął głową.

- Wyślijcie dwóch ludzi i sami sprawdźcie. Tylko nie tchórzy.

Bonavita się zaśmiał i kiwnął głową do starszego Meksykanina. Wybrali po jednym ochroniarzu. Mężczyźni weszli do budynku.

- Piętro wyżej siedzi dwóch ludzi ze sprzętem monitorującym! - zawołał za nimi Huntington. - Są nieuzbrojeni.

Na obrazie z kamery pojawiło się dwóch mężczyzn przeszukujących salon. Weszli do kuchni, wbiegli po schodach i wyjrżeli przez okna na tyłach budynku, od północy. Wrócili do ogrodu i kiwnęli głowami na potwierdzenie.

- Jesteśmy trzema stronami, po osiem osób każda - powiedział

Huntington. - Trzy równorzędne siły. To dlatego tu jesteśmy. Jako trzy równorzędne strony zdominujemy przyszły rynek narkotykowy. Moim wkładem do tej współpracy która przyniesie korzyści nam wszystkim, jest, jak wiecie, *ta oto* substancja, nosząca obiegową nazwę *Avalanche*. - Huntington dał znak Xavierowi, który wyniósł na oko kilogramowy worek i położył go na stole. - Spróbujcie, jeśli macie ochotę - dodał Huntington. - Na ulicy cena takiego worka wynosi około pół miliona euro. To o wiele wyższa cena za kilogram niż w przypadku kokainy.

Bonavita i meksykański boss wysłali do stołu po jednym ze swoich ludzi. Xavier lekko rozchylił worek. Obaj mężczyźni wzięli odrobinę proszku i wciągnęli go do nosa. Obaj równocześnie zgięli się w pół, jakby Xavier rąbnął ich pięścią w splot słoneczny.

- Wow! - powiedział w końcu Meksykanin. - Zajebiste.

Włoch kiwnął głową, ale wyglądał, jakby nie był w stanie powiedzieć nic zrozumiałego.

- Wejdzmy do środka wszystko omówić? - Huntington wykonał zapraszający gest.

Duży salon wypełnił się ludźmi. Stali wszędzie. Nicholas z zadowoloną miną zerknął w stronę kamery; najwyraźniej była dobrze ukryta.

W tym momencie kamera satelity wychwyciła ruch na skraju lasu, między zachodnim a północnym posterunkiem na drodze.

Z lasu wyszedł mężczyzna w stroju w kolorze khaki, prowadząc przed sobą jakąś zgarbioną postać. Ten zgarbiony miał na głowie kaptur i ręce związane za plecami. Potykał się.

- Zbliżenie! - zawołał Moretti w „przyczepie”.

Zbrali się wokół obrazu z satelity i wpatrywali się w dziwną parę, która powoli zbliżała się do budynku od strony tylnego wejścia. Ten w mundurze powiedział coś do więźnia, który się zatrzymał. Towarzyszący mu mężczyzna wycofał się do lasu.

W tej samej chwili w budynku odezwał się Huntington.

- Zanim zaczniemy, moi panowie, chciałbym każdemu z was przekazać prezent. Wyślę teraz jednego z moich ludzi, by przynieśli ten pierwszy. Mam nadzieję, że to dla was do

przyjęcia. To bardzo upragniony prezent.

- Ożeż kurwa - zaklął Moretti, odwracając się do Hjelma.

Ale Paula Hjelma już tam nie było. Wyszedł z „przyczepy” i pozdrowił pilnującego drzwi karabiniera. Ten kiwnął mu tylko głową. Zapuszczając się dalej w las, Hjelm myślał o tym, co przed chwilą zobaczył. Jak wszystkie elementy zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. Jak ostatni parametr skompletował równanie.

Słowa uratowanej Lavinii Potorac, że zabrano Fabia Tebaldiego. Lekarz w szopie. Strefa bez broni. Bezgraniczna pazerność Huntingtona.

Dotarł do pagórka w lesie. W pobliżu nie było żadnych policjantów. Zapukał w pień drzewa. Coś się poruszyło. Rozsunęło się kilka gałęzi. Pojawiła się przestrzeń oświetlona dwoma laptopami podłączonymi do dużej baterii. I w ich poświacie twarz W.

- Dwie rzeczy - powiedział Hjelm. - Swobodne dojście do granicy radaru. Potem wyłącz radar.

W kiwnął głową i złożył laptopy. Obraz termowizyjny pojawił się zamiast tego na jego komórce.

Przeciągnął się i spytał:

- X tam jest?

- Tak, będzie tam.

W prowadził Hjelma przez las, ze spojrzeniem utkwionym w obrazie termowizyjnym. Zręcznie wyminęli policjantów. Potem W zmienił obraz na wyświetlaczu i nacisnął coś na nim.

- Radar wyłączony - stwierdził.

- Chodźmy dalej - powiedział Hjelm - Swobodne dojście na skraj lasu.

W tym czasie człowiek Huntingtona wprowadził do budynku więźnia z kapturem na głowie. Podniosły się przyciszone głosy, przez grupkę ponad dwudziestu ludzi przeszedł szmer.

- Wiem, jak tęskniłeś za tą chwilą, Bonavita - powiedział Huntington. - To mój prezent dla ciebie.

Kiwnął głową człowiekowi, który wprowadził więźnia. Ten

ściągnął mu kaptur. Więźniem był potwornie wyniszczony Fabio Tebaldi.

W salonie rozległy się krzyki. Nikt nie zwrócił uwagi na mężczyznę, który wyglądał ze schodów i próbował coś powiedzieć, pewnie o wyłączonym radarze. Bonavita podszedł do Tebaldiego i spojrzał mu w oczy. Zerknął z wdzięcznością na Huntingtona i powiedział:

- Fabio Allegretti, w rzeczy samej.

- Zrób z nim, co chcesz - rzekł Huntington. - Zostawimy was na chwilę w spokoju. Masz wolną rękę, Bonavita.

Huntington i Xavier wyszli tylnymi drzwiami, przyczaili się i rzucili biegiem na skraj lasu.

Siedzieli tam Hjelm i W, patrząc, jak się do nich zbliżają.

- Szybkie podsumowanie? - spytał W.

- Ładunek wybuchowy w brzuchu Tebaldiego - odparł Hjelm - Próbują się oddalić na bezpieczną odległość. Musimy im odebrać detonator. Najprawdopodobniej ma go Huntington. Zamierzają wysadzić Tebaldiego w budynku i wszystkich zabić.

Huntington i Xavier byli dziesięć metrów od nich, gdy W rzucił się naprzód. Huntington dostrzegł go kątem oka i sięgnął do kieszeni. W chwycił jego rękę. Xavier był pięć metrów dalej, natarł na nich. Utkwił lodowatofioletowe spojrzenie w W, który trzymał w żelaznym uścisku rękę Huntingtona, tę, która wciąż była w kieszeni, i powstrzymywał drugą, która szukała jego gardła. Dostrzegł nacierającego na nich X. Ale X w połowie skoku się zatrzymał i runął na ziemię z dymiącą dziurą w piersi. Hjelm stał kilka metrów od niego, trzymając pistolet z tłumikiem. X podźwignął się i z irytacją otrzepał pierś. Z krwią tryskającą z rany rzucił się na W i Huntingtona. Ten ostatni wyszarpnął rękę z kieszeni, ale W zdążył w nią uderzyć; grafitowoszara puszką przecięła powietrze i wylądowała jakieś pięć, sześć metrów dalej. Xavier staranował W ogromnym cielskiem, Huntington się uwolnił i rzucił się za puszką. Hjelm pobiegł za nim Huntington szukał gorączkowo w trawie, Hjelm zacisnął ramię na jego gardle i szarpnął do tyłu. Zdawał sobie sprawę, że ma tylko kilka

sekund, Amerykanin miał nad nim fizyczną przewagę. Z całej siły wciskając rękę w gardło Huntingtona, dostrzegł w trawie puszkę. Pchnął przeciwnika w bok i rzucił się po nią, chwycił ją i z całej siły cisnął w stronę skraju lasu. W tej samej chwili Huntington zwałił się na jego plecy. Runęli na ziemię.

W tkwił jak w imadle w uścisku Xaviera. Montoya wrzasnął:

- Plan B?!

- Tak! - odkrzyknął Huntington, który właśnie chwycił Hjelma.

W leżał na plecach, X uniósł się nad nim i kliknął coś na komórce. Zza karku Xaviera ukazała się tarcza słońca. Była na niej plamka.

Na słońcu pojawiła się plamka.

W stawiał opór, X był mimo wszystko osłabiony postrzałem w pierś. Watkin sięgnął po jakiś patyk i wbił go prosto w ranę. X wrzasnął. Plamka na słońcu stawała się coraz większa. Z patykiem w piersi X odwrócił głowę i ujrzał wyraźne kontury drapieżnika. Jego ciało przygotowało się do skoku, W wyraźnie to wyczuł.

Dron ich namierzył.

Nóż wysunął się z pochwy w rękawie kurtki i w tej samej chwili W pomyślał:

Dwie sekundy.

Dokładnie w chwili gdy X, wpatrując się w niego lodowatofioletowym wzrokiem, spróbował się uchylić, W wbił mu nóż w gardło i odtoczył się na bok. X osunął się na kolana, łapiąc się za szyję. Wtedy piekielny ogień trafił go w plecy.

Nie zostało z niego nic.

W ugasił płomienie na lewym rękawie. Zobaczył, że Huntington dusi Hjelma. Policjant wydawał się już martwy. W dopadł do nich i z całej siły kopnął Huntingtona w głowę. Coś chrupnęło, pękło. Amerykanin podniósł się, zdumiony, z głową pod dziwnym kątem, W błyskawicznie go minął, podniósł Hjelma i popędził z nim w stronę skraju lasu.

- Zawraca! - krzyknął i rzucił się na ziemię, zasłaniając Hjelma własnym ciałem.

Wtedy drugi piekielny ogień trafił w plecy Christophera Jamesa Huntingtona. Zamienił go w czerwoną mgiełkę i fragmenty ciała rozrzucone po trawie.

Moretti na obrazie z kamery w budynku zobaczył, że czterech ludzi Bonavity przytrzymuje Fabia

Tebaldiego. Z braku lepszej broni Bonavita przysunął do jego twarzy palec wskazujący. Jego ludzie trzymali głowę Fabia. Meksykanie śmiali się ochryple w de.

- Wydłubię ci oczy - powiedział Bonavita. - Jedno po drugim.

I w tej chwili za oknem nastąpił wybuch. W budynku rozpętał się chaos. Puszczono Tebaldiego, ktoś otworzył drzwi na tyłach. Bonavita z dwoma ludźmi wybiegi na zewnątrz. Zobaczył w ogrodzie Huntingtona z dziwnie przekrzywionym karkiem Obok przeleciał dron i trafił go w plecy. Zmasakrował go.

- Co jest, kurwa?! - krzyknął Bonavita. - Musimy się stąd wydostać!

- Nigdzie nie pójdziecie - oświadczył starszy Meksykanin. - Musimy się dowiedzieć, co tu się, kurwa, dzieje.

- Zajmijcie się tym pieprzonym Tebaldim! - krzyknął Bonavita do swoich ludzi i wskazał na sofę.

Ale Tebaldiego już tam nie było.

Wtedy Meksykanie rzucili się do ataku.

Nicholas biegi skulony w stronę lasu, właściwie wlekąc za sobą Fabia Tebaldiego.

Gdy rozległa się pierwsza eksplozja, Jorge Chavez i Salvatore Esposito wyskoczyli z samochodu. Ze swojej zamaskowanej kryjówki spojrzeli ponad szczyty drzew. Po chwili rozległ się kolejny wybuch. Chavez spojrział na tylne siedzenie, na stojak do kroplówki. Ale nikt już nie był do niej podłączony. Lorenzo Ragusa zniknął.

- O ja pierdołę! - wybuchnął Chavez i odwrócił się do Esposito. - Zostań tutaj.

- Nie tym razem - odparł Włoch, szukając dodatkowej broni pod siedzeniem.

Nie było jej tam.

Mimo wszystko ruszyli. Mieli po jednym pistolecie.

Nicholas i Tebaldi dotarli na skraj lasu, skulili się i obejrzeni na ogród. Od południowej i wschodniej blokady na drodze hordami nadbiegali ludzie. Zaczęli do siebie strzelać, serie z pistoletów maszynowych rozdarły ciszę na płaskowyżu, z lasu wysypali się mężczyźni w mundurach koloru khaki. Nicholas dostrzegł w oddali zbliżające się śmigłowce.

Poczuł lufę pistoletu przyciśniętą do skroni.

- Jesteś infiltratorem? - spytał ledwie słyszalny głos.

Nicholas spojrział w parę oczu, które dosłownie się zamykały. Wydawały się aż świecić od morfiny.

- Lorenzo - syknął Tebaldi. - Ten gość mnie uratował.

- Fabio - wybełkotał Ragusa. - Niech mnie diabli. Weź to.

Lorenzo Ragusa podał jeden pistolet Nicholasowi, drugi Tebaldiemu. Wzięli je. Nicholas kiwnął głową, Tebaldi tylko patrzył. Spojrzeli na płaskowyż. Trwała tam dzika strzelanina. Wszędzie padali ludzie koszeni serią z karabinu maszynowego pierwszego śmigłowca. A w ich stronę biegnie trzech mężczyzn.

- Zostaw tego z przodu - wybełkotał Ragusa do Nicholas.

Nicholas wstał i zastrzelił dwóch biegnących z tyłu. Ten pierwszy został nagle sam. Z rozpędu zrobił jeszcze kilka kroków w stronę Nicholas i upadł na kolana.

A Fabio Tebaldi i Lorenzo Ragusa spojrzeli prosto w przerażone oczy Bonavity. Znow mieli po osiem lat i odkrywali, co kryją zbocza Aspromonte. Fabio uniósł kciuk, którego opuszkę przecinała biała blizna. Lorenzo przycisnął do niego swój.

I obaj strzelili Bonavicie w czoło.

Za nimi na płaskowyżu pojawiło się nagle dwóch mężczyzn w kominiarkach. Zdumiewająco szybko unieśli pistolety maszynowe. Nicholas zdążył jedynie dostrzec ich kątem oka. Przed jego oczami pojawiło się nagle nagie ciało Miriam Hershey i wiedział już, że jest martwy. Był martwy i czuł przedziwny spokój, kiedy padały strzały.

Ale padły z niewłaściwej strony. Mężczyźni w kominiarkach

runęli na ziemię. Pojawili się Chavez i Esposito. Ten drugi przebiegł obok i opróżnił magazynek w ciała leżących.

- Chyba już starczy, Salvatore - powiedział Chavez.

Następnie odwrócił się do Nicholasa.

- Przypuszczam, że ty jesteś Nicholas - powiedział. - Tam dalej stoi nasz samochód. Z lasu mogą wypaść ludzie, więc bądź czujny. Zaraz przyjdziemy, musimy tylko sprawdzić jedną rzecz.

Chavez podszedł do Esposito i wyjął mu broń z ręki. Następnie ściągnął kominiarkę jednemu z leżących. Był to bardzo młody, jasnowłosy mężczyzna. Ściągnął kominiarkę drugiemu. Wyglądali identycznie.

- Ożeż kurwa - powiedział Chavez.

- Co to za jedni? - spytał Nicholas.

- Pierwsze pokolenie eksperymentalnych „doskonałych przywódców” - odparł Chavez. - A teraz spadamy.

W samochodzie Chavez posadził Tebaldiego na tylnym siedzeniu. Spróbował podchwycić jego półprzymknięte spojrzenie.

- Poznajesz mnie, Fabio? - spytał.

- Aleś ty się zestarzał, Jorge - odparł Fabio Tebaldi. - Masz chyba z pięćdziesiąt lat.

Chavez się zaśmiał i pchnął go na tylne siedzenie. Tebaldi został w pozycji leżącej.

- No to mamy tutaj *dwóch* chorych sukinsynów - powiedział Chavez. - Za karę za to, że zwiąłeś, będziesz leżał na podłodze, Lorenzo.

- Podłącz mi tylko z powrotem kroplówkę - odparł Ragusa, kładąc się na podłodze z tyłu.

Tymczasem Paul Hjelm znalazł grafitowoszarą puszkę. Podniósł ją ostrożnie i zdjął wieczko. Pod nim był czerwony przycisk. Z powrotem zamknął wieczko i wysunął klapkę na odwrocie. Zobaczył dwie baterie i wyjął je. Następnie wsunął puszkę do kieszeni i odwrócił się do W.

Ale W już tam nie było.

Nigdzie go nie było.

Hjelm się uśmiechnął i spojrział w stronę domu. Strzelanina

właściwie już ustała. W ogrodzie stało pięć helikopterów, szósty właśnie lądował. Policjanci w czerni zebrali się wokół dwóch owalnych plam krwi, które nawodniły suchą trawę. Hjelm uniósł ręce nad głowę, ruszył im na spotkanie i zawołał:

- Policja!

Przy domu natknął się na De Lucę i Morettiego. Uściskali go, najpierw jeden, a potem drugi.

- A niech mnie - powiedział De Luca, kręcąc głową. - A niech mnie.

- Huntington? - spytał Moretti.

- Nie żyje - odparł Hjelm

- Dobrze - stwierdził Moretti. - Uciekł pan...

- Nagle zrozumiałem, na czym polegał plan Huntingtona. Musiałem to rozwiązać... no cóż... sam... Tebaldi przeżył?

- Nie wiem, jak to się stało, ale jest z pańskim kolegą Chavezem. Tak, żyje. Udali się do śmigłowca ratowniczego, który wylądował tam dalej.

- On ma bombę w brzuchu - powiedział Hjelm. - Bądźcie z nim cholernie ostrożni.

- Bombę? - spytał Moretti.

- Musicie ją jak najszybciej wydobyć.

Hjelm odetchnął. Głęboko. Potem dotknął szyi i osunął się na kolana.

- O do diabła - rzucił De Luca. - Jakiś skurwiel pana dusił.

- Nie dał rady - odparł Hjelm - I obiecuję, że nie będę się mścić.

Świat zawirował, zwinął się w kulkę i zniknął. De Luca złapał osuwającego się bezwładnie Hjelma.

Esposito siedział na kolanach Nicholasa na miejscu pasażera, a Chavez na pełnym gazie pędził w stronę północnej blokady na drodze. Nagle dogonił ich samochód z wyraźnie potężniejszym silnikiem. Karkołomnie ich wyprzedził na wąskiej leśnej drodze. Esposito i Nicholas trzymali już broń w rękach, gdy kierowca wysiadł z rękoma uniesionymi nad głową.

To była Laima Balodis.

Od strony pasażera wysiadła Miriam Hershey.

Nicholas zepchnął Esposito z kolan i wyskoczył z samochodu. To było jak miraż. Ruszył w jej stronę. A ona pobiegła mu na spotkanie. Połączyli się w namiętym pocałunku, który wydawał się trwać całą wieczność.

- Błazenada - powiedziała Balodis.

- Wygłupy - stwierdził Chavez. - Możecie go sobie zatrzymać.

I pojechał dalej. Przy blokadzie na drodze leżało wielu zabitych. Większość miała kominiarki.

Dotarł do ogrodu na płaskowyżu, do śmigłowca ratowniczego. Zebrano tu tych, którzy przeżyli, kilku w kominiarkach, paru Meksykanów, paru Włochów. Ratownicy z helikoptera wynieśli z samochodu Lorenza Ragusę i Fabia Tebaldiego. Obu leżącym na noszach udało się unieść ręce w pożegnalnym geście. W tym momencie na pokład wniesiono trzecie nosze.

Leżał na nich Paul Hjelm

Miał niebieskofioletową szyję, ale udało mu się otworzyć oczy dokładnie w chwili, gdy miano go wnieść do śmigłowca. Chavez zatrzymał ratowników i do niego podszedł. Z cienia wynurzył się Arto Söderstedt i również się do nich zbliżył. Chavez ujął jedną rękę Hjelma, Söderstedt drugą.

- O tak, udało ci się zrobić pieprzoną masakrę - powiedział Arto Söderstedt.

- Mogło być o wiele gorzej - odparł Paul Hjelm i znowu zemdlął.

6

OSTATNIA PARA UCIEKA

Ostatnia para ucieka

Rzym, 30 września

NIE DALEKO MAUZOLEUM Hadriana, Castel SanfAngelo, stał piękny stary szpital o nazwie Ospedale Santo Spirito, skąd rozciągał się widok na Tybr. Stał tam od wielu stuleci, spokojnie obserwował drastyczne przemiany w świętym mieście i łaskawie przyjmował do siebie chorych.

Mężczyzna, który błąkał się po korytarzach, wiedział o tym bardzo niewiele. Wydawały mu się nieskończone i nieskończenie do siebie podobne, i dopiero gdy całkiem solidnie się zgubił, uświadomił sobie, że szpitalny strój wygląda trochę barokowo. Wtedy jednak dogoniły go już dwie pielęgniarki, które niczego bardziej nie pragnęły, jak zaprowadzić go z powrotem do jego pokoju. On tego jednak nie chciał. Gdy wreszcie je przekonał, by zaprowadziły go tam, gdzie chciał trafić, zostawiły go po prostu pod jakimiś anonimowymi drzwiami w zupełnie innej części prastarego szpitala. Drzwi pilnowało dwóch potężnych, uzbrojonych policjantów, którzy bardzo sceptycznie mu się przyglądali. Dopóki nie odczytali jego nazwiska z plakietki i nie zrozumieli, kim był. Wtedy ich podejście radykalnie się zmieniło.

Spojrzał na siebie, na groteskową szpitalną piżamę i przez chwilę się wahał, nim nieśmiało zapukał do drzwi. Nie był

pewny, jak zostanie przyjęty. Otworzył je i wszedł do pokoju.

Leżeli na łóżkach obok siebie, a jego wciąż zamroczony mózg znalazł wreszcie słowa, których szukał. Brzmiały one:

- Ostatnia para ucieka.

Wydało mu się, że rozpromienili się na jego widok, ale jego spostrzegawczość pozostawiała w tej chwili wiele do życzenia.

- Paul Hjelm- powiedziała kobieta w łóżku po lewej stronie.

- Cholera, wyglądasz na bardziej chorego od nas - odezwał się mężczyzna w łóżku po prawej.

Tuż obok, po prawej stronie, wisiało lustro i gdy Paul Hjelm odwrócił się w jego stronę, nic nie mógł zarzucić spottżezeniu Fabia Tebaldiego.

Z drugiej strony Lavinia Potorac wyglądała na zdrowszą niż Fabio. Wprawdzie nie miała wielu zębów i jej ciało wciąż było wyniszczone po przejściach z ostatnich dwóch lat, ale najwyraźniej dość szybko dochodziła do siebie.

Tebaldi wyglądał nędznie, lecz w jego spojrzeniu było dość życia, by było się czym podzielić.

- Usiądź tu na krześle między nami - poprosiła Potorac.

Hjelm dowlóknął się tam i usiadł. Od trzech dni nic nie mówił i gardło bolało go na tyle, by wiedział, że niewiele powie. Z drugiej strony już wychrypiał lulka słów, więc może jednak się uda.

- Nigdy sobie nie wybaczę, że pozwoliłem wam tam siedzieć przez dwa lata - wyskrzecztał.

- Enzo jest drugim najbystrzejszym człowiekiem, jakiego znam - powiedział Tebaldi. - Jeśli on coś zaplanuje, to jest to dobry plan. Co się teraz z nim stanie?

- Nie wiem - odparł Hjelm. - Właściwie to nic nie wiem. Leżałem nieprzytomny, odkąd przetransportowali nas helikopterem z Bazylikaty. Bo chyba tak było, prawda?

- I mówisz coś takiego akurat wtedy, kiedy chciałem ci powiedzieć, kto jest najbystrzejszym człowiekiem, jakiego znam - stwierdził Tebaldi.

Hjelm się zaśmiał i przyjrzał mu się. Kiedyś Fabio był w grupie

Opcop najbardziej wysportowany. Teraz był wychudzony, wymizerowany, zmienił się niemal w szkielet. Ale jego spojrzenie pozostało takie samo. Naprawdę takie samo. A na lewym ramieniu widać było wyraźnie tatuaż przedstawiający jakąś małą postać pochłanianą przez płomień.

- Fabio Allegretti - powiedział Hjelm. - Ocalały.

Potem odwrócił się do Potorac i położył rękę na jej dłoni.

- A co z tobą, Lavinia? Spotkałaś się z rodziną?

Lavinia Potorac również zaliczała się kiedyś do twardzieli z grupy Opcop. Teraz leżała na łóżku, mała i wynędzniała.

- Tak - rozpromieniła się. - Tak się bałam, że Dimitru pozna kogoś innego; przecież sądził, że od dwóch lat nie żyję. Ale tak się nie stało. I wydawało mi się, że Nadia gdzieś w głębi serca mnie poznała.

- Ma teraz trzy latka? - spytał Hjelm.

- Niedługo skończy. Na jej trzecie urodziny pojedziemy do Rumunii. Będziemy się kąpać w Morzu Czarnym.

Hjelm potrząsnął głową i poczuł, że świat zaczyna wirować. Przycisnął palce do powiek i stwierdził, że są wilgotne.

- Gdybyśmy tylko sami prowadzili to śledztwo... - powiedział.

- Nie mogliście wiedzieć - odparła Potorac. - To było niemożliwe. I dowiedzieć się teraz, że siedzieliśmy tam tylko dlatego, że chcieli użyć Fabia jako żywej bomby... Do diabła!

- Sam najwyraźniej leżałem nieprzytomny przez parę dni - powiedział Hjelm. - Ale rozmawialiście z kimś? Potrzebujecie pomocy psychologa?

- W każdym razie nie pilnie - odparła Potorac. - Ale to dwa lata, które znikły nam z życiorysu. To będzie wracać przez całe życie.

- Było bardzo ciężko?

- Ciężko - odparł Tebaldi. - *Było* ciężko. Nie zamierzam zgrywać twardziela. Przyjmę pomoc, którą mi zaproponują. Przez cały ten czas próbowaliśmy być racjonalni. Szybko zrozumieliśmy, że to nie 'ndrangheta. Miałem z nimi dość do czynienia, by to wiedzieć, ale nie mogliśmy dojść do tego, co to

za jedni. I nie chciałem uwierzyć, że Enzo nas sprzedał. A jednak tak się stało...

- Jak poszła operacja, Fabio? Miałeś przecież w brzuchu pieprzoną bombę.

- Najwyraźniej bez metalu - powiedział Tebaldi. - Na wypadek gdyby kazali mi przejść przez jakiś wykrywacz.

- Nie zmieniaj tematu. Jak poszło?

- Nic nie zauważyłem. Obudziłem się wczoraj z wielką blizną na brzuchu. Najwyraźniej operacja poszła dobrze. Nic mi nie jest. Tyle że jestem bardzo, ale to bardzo zły. Byłoby lepiej dla mojego zdrowia, gdybym sobie odpuścił, rozumiem to, lecz, cholera, jak łatwo obrócić pieniądze w czyste zło.

- Wiem - przyznał Hjelm. - Człowiek nie powinien się wściekać...

- Mam pytanie - rzekł Tebaldi. - Kto uratował mi życie? Ten wytatuowany facet? To nowa gwiazda Opcop? Mój zastępca?

- Niespodziewany bohater - uśmiechnął się Hjelm. - Nie, to nie twój zastępca. Twoim zastępcą... mniejsza z tym. Nazywa się Nicholas Durant, był naszym infiltratorem w Camulus vel Asterionie, a jest po prostu facetem Miriam Hershey. Jeśli ją pamiętacie...

- Pamiętamy wszystkich - powiedziała Potorac. - Bardzo dużo o was rozmawialiśmy. Opcop był dla nas wspólnym punktem odniesienia.

- Prawdziwy twardziel - zauważył Tebaldi. - Nie za bardzo pasuje do eleganckiej i wytwornej Hershey. To znaczy, jak na mój prymitywny gust.

- Świat jest trochę bardziej skomplikowany, niż się wydaje - stwierdził Hjelm - Coraz bardziej się o tym przekonuję. Co by się na przykład stało, gdyby Huntingtonowi udało się przejąć handel narkotykami na świecie? Czy uniknęlibyśmy przemocy Meksykanów? Czy rynek stałby się spokojniejszy, bardziej racjonalny? Czy moglibyśmy żyć z Christopherem Jamesem Huntingtonem jako jedynym baronem narkotykowym?

- Poczekaj chwilę - przerwał mu Tebaldi. - Kto był moim

zastępcą?

W trochę mniej zamroczonym stanie Paul Hjelm trzymałby język za zębami. Nie powinien był się błąkać po szpitalnych korytarzach. Powinien był się wstrzymać z tą rozmową, dopóki nie dojdzie do siebie.

- Poczekajmy z takimi rzeczami, dopóki nie wyzdrowiejecie - odparł.

- Nie rozmawiaj tak ze mną - powiedział Tebaldi. - Przez te lata stałem się nie tylko słabszy, ale też mądrzejszy, częściej się zastanawiam. Zapewniam cię, że po tych latach mam uczulenie na wciskanie kitu. Chcę słyszeć tylko to, co jest prawdziwe i ważne, reszta mnie nie interesuje. A więc kto był moim zastępcą?

- Donatella Bruno - odparł Hjelm

- O rany - rozpromienił się Tebaldi. - Piękna Donatella. Ale dlaczego nie chciałeś o tym mówić?

- Ona nie żyje, Fabio. Huntington ją zabił.

Tebaldi milczał. Zapadł się w siebie. W końcu się odezwał:

- Sam nie wiem. Widziałem, jak wymordowali całą moją rodzinę, i przeżyłem tylko dlatego, że poprzedniego wieczoru II Sorridente oglądał akurat *Wybór Zofii*. Potem próbowałem, naprawdę próbowałem walczyć z antyhumanizmem. Ale kiedy tak się patrzy na skutki własnych prób... Lavinia, Donatella, Lorenzo też, ty z jednym wielkim siniakiem na szyi... to diabli wiedzą. Może lepiej być zupełnie biernym. Brać to, co jest.

- Nie. - Lavinia Potorac potrząsnęła głową. - Nie, to nieprawda. *Musimy* stawiać opór. Nienawidzę być marudna, ale od dwóch lat nie marudziłam, więc jednak sobie na to pozwolę. Za dziesięć lat mafia będzie rządzić światem. To znaczy, teraz już za *osiem*. I niekoniecznie mam tu na myśli 'ndranghetę, cosa nostrę, rosyjską mafię czy triady, tylko drapieżny kapitalizm, który nie cofnie się przed niczym, żeby zarabiać pieniądze. Cały ten Camulus, czy jak tam się, kurwa, nazywają, to przecież tylko mafia w nowym przebraniu. Dopóki drapieżny kapitalizm będzie w porządku, będzie-my się coraz bardziej zbliżać do rządów

mafii.

- Wiem - przyznał Hjelm - To nie takie proste. Ale musimy walczyć dalej. Mam jeszcze jedno pytanie. Do Fabia.

- Tak? - spytał Tebaldi.

- Kim była ta kobieta, która jako ośmiolatka przyprowadziła cię do klasztoru?

- To była mama Lorenza - odparł Tebaldi. - Kiedy jego ojciec zamordował moją mamę, to ona poszła do lasu i mnie znalazła. Siedziałem zapłakany w jaskini pełnej nietoperzy. Zabrała mnie do ojca Sebastiano i do Gianpaola i znów zacząłem żyć. To była żona II Ricurvo. Tak jak mówiłem, to skomplikowane.

- Ale co z *tobą*? - spytała Potorac.

- Boże - odparł Hjelm - jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Ale przecież ma - zapewniła Potorac. - Ma znaczenie dla nas. Hjelm uśmiechnął się lekko.

- Obrażenia szyi po duszeniu - odparł. - Ponoć mam lekko przestawioną krtań. Utrzymywali mnie w narkozie, póki się nie upewnili, że oddychanie jest pod kontrolą. Przejdzie mi. Ale dzięki, że pytacie.

- Użalanie się nad sobą to tylko wymówka - stwierdził Tebaldi. - Tego nauczyliśmy się w tej szopie.

Paul Hjelm pokiwał głową i siedział tak jeszcze przez jakiś czas.

- Oby otarcie się o śmierć naprawdę sprawiło, żebyśmy trochę bardziej zaczęli doceniać życie powiedział.

Widok z lotu ptaka

Szanghaj, 1 października

W SZANGHAJU był wczesny ranek. Corine Bouhaddi siedziała przy hotelowym łóżku Marka Kowalewskiego, kiedy zadzwonił telefon. To była jasna, prosta rozmowa z Mechelen w Belgii.

- Udo się ocknął - powiedział Arto Söderstedt.

- Możemy tak otwarcie rozmawiać? - spytała Bouhaddi .

- Tak. Chińczycy tego chcą tak samo jak my. Może to zauważyłaś po swoim Wu Weiu?

- Może - odparła Bouhaddi . - Co się stało?

- Trzy osobne źródła - odparł Söderstedt. - Źródło pierwsze: w Bazylikacie przeżyło ośmiu z dwudziestu „doskonałych przywódców”. Mieli dziewiętnaście lat i takie samo DNA. Powinni zachowywać się absolutnie identycznie. To znaczy, gdyby genetyka była jedynym punktem odniesienia.

- Czyli jednak tak nie było?

- Są poważnie uszkodzeni. Mówimy tu o eksperymencie na ludziach na takim poziomie, przy którym skrzywiona psychika naszego dawnego znajomego W wydaje się zaledwie łagodnym efektem.

- Właśnie, co się z nim stało? Nadal go nie znalezione?

- Z tego, co wiemy, nie - odparł Söderstedt. - Ale pierwsze pokolenie bohaterów *nie odpowiedziało* identycznie na moje pytania. Przeżyło ich ośmiu, połowa wykazała się niesłychaną wiernością i nigdy nie wpadłaby na pomysł, by cokolwiek nam zdradzić, choć udało nam się ich przekonać, że ich *pan* nie żyje. Że są wolni i mogą zrobić, co zechcą. Cokolwiek oznacza wolność dla kogoś, kto ni gdy jej nawet nie zaznał.

- Ta dla wszystkich ludzi - powiedziała Bouhaddi.

- Nie cytuj mi tu teraz Erazma z Rotterdamu - odparł Söderstedt. - Dwóch z nich przyznało, że wychowali się w Chinach. Że obóz treningowy jest w Chinach i zawsze tam był.

- Czyli pierwsze źródło?

- Tak. Drugie źródło: Mirelli Massicotte i Colinowi B. Barnworthowi spadł kamień z serca, kiedy ich poinformowaliśmy, że Huntington nie żyje. Okazało się, że byli w jego rękach i począwszy od teraz mieli dostarczać jedno pokolenie rocznie. Wstrzymywali się jednak z tym wyznaniem, czekając na Uda. Najwyraźniej chcieli się przekonać, co on będzie chciał zrobić. Ale oni również potwierdzili, że to w Chinach.

- Czyli trzecim źródłem jest Udo Massicotte?

- Słuszny wniosek - potwierdził Söderstedt. - Dziś się ocknął. Tu w Mechelen jest teraz tuż po pierwszej w nocy. Ja i Jutta spędziliśmy z Udem cały dzień. Był w nastroju do wyznań. Pewnie sądził, że w ten sposób skróci sobie odsiadkę. I zapewne ma rację.

- No to *spit it out*.

A wówczas Arto Söderstedt wyrecytował serię cyfr, które były po prostu współrzędnymi GPS.

Nawet się nie udali w ten odludny rejon Chin, na który wskazywały współrzędne. Kiedy ludzie Wu Weia wskakiwali do helikoptera, Bouhaddi czekała, aż Kowalewski się obudzi.

Potem położyła się obok niego.

Otworzył oczy i zaspanym głosem powiedział:

- Wydajesz się jakaś inna. Pora wracać do domu?

Objęła go, przysunęła się bliżej i odparła:

- Tak mi się zdaje.

Dwanaście godzin później stali na lotnisku w Szanghaju. Czekali. Przyszedł do nich Wu Wei i pokręcił głową.

- Jak stodoła - powiedział. - Najpierw stodoła, potem obóz wojskowy. I nigdzie po drodze prawdziwego kontaktu z ludźmi.

- Ilu ich tam było? - spytał Kowalewski.

- Nie mam pojęcia - odparł Wu Wei. - Setki. Wiele pokoleń. Upiorny tłum. Ale było cicho. Jakby manipulacje genetyczne w jakiś sposób uniemożliwiały rozmowy. Zanika oczywista wymiana z ludźmi, którzy są inni. A jak wtedy nauczyć się czegoś ważnego?

Obserwowali człowieka, który od prawie dwóch miesięcy był ich gospodarzem.

- Baliście się mnie, prawda? - spytał.

- Nie wiedzieliśmy, po czyjej jesteście stronie, Wei - odparła Bouhaddi. - To był nasz pierwszy kontakt z chińską policją. Nic nie wiedzieliśmy.

- A teraz wiecie?

- Jak wygląda twoja rola w tym wszystkim? Nie. Ale wiemy, że w tej sprawie stoimy po tej samej stronie.

- To mi wystarczy - odparł Wu Wei, wyciągając rękę.

Bouhaddi ją uścisnęła. Kowalewski również.

- Ale to nie zmienia faktu, że macie tu zdecydowanie zbyt wiele egzekucji - stwierdził Kowalewski.

Wu Wei wbił w niego wzrok. Potem kiwnął głową i odparł:

- Zgadzam się z tobą. Czeka nas długa droga. Ale już nią podążamy.

- Jeśli tylko pozwolą działać ludziom takim jak ty... - powiedziała Bouhaddi.

Wu Wei się zaśmiał.

- Naprawdę sądziliście, że was inwigiluję? - spytał.

Bouhaddi i Kowalewski wymienili spojrzenia.

- Gdzie tam - odparła Bouhaddi.

- Wiecie, że istnieje coś, co się nazywa *sinofobia*, prawda? Musicie spróbować jej się pozbyć. W przyszłości wszyscy będziemy żyć razem. Bez sztucznych granic.

- Masz całkowitą rację - przyznała Bouhaddi. - I przepraszamy, jeśli w ciągu tych miesięcy w jakikolwiek sposób cię obraziliśmy.

- Nie obraziliście mnie - roześmiał się Wu Wei. - Tyle że te udawane pieszczoty nie były wam do niczego potrzebne.

Samolot wzniósł się nad monstrualnym miastem i zatoczył koło

nad Shanghai World Financial Center. Hotel, w którym mieszkali prawie dwa miesiące, wyglądał teraz jak naturalnej wielkości otwieracz do piwa. Kowalewski oparł policzek na ramieniu Bouhaddi.

- No to kiedy te udawane pieszczoty staną się erotyczne? - spytał.

Bouhaddi wybuchnęła śmiechem.

- Od dawna takie są, Marek.

Potem wtuliła głowę w jego włosy i pomyślała:

Jedna rzecz jest w każdym razie pewna.

Nigdy nie wiadomo, dokąd zaprowadzi cię życie.

Jesień

Haga, 10 października

BYŁ PONIEDZIAŁEK rano, kiedy do Hagi zawitała jesień. Paul Hjelm stał przez chwilę przed okazałymi drzwiami sali konferencyjnej, której już nikt nie nazywał Nową Katedrą. Wyrzwał przez okno i zobaczył, że jesień nadciąga od północy, z tej części świata, z którą nie wiedział, czy coś go jeszcze łączy. W Szwecji już od dawna była jesień, ale teraz również holenderskie drzewa zaczęły wysysać chlorofil z liści, by uzupełnić zapasy energii na zimę. Na dole, w małym parku Scheveningse Bosjes, widać już było trochę żółtych liści.

Chciał być pierwszy w Katedrze, by zobaczyć ich, jak wchodzą, para za parą, powracając z różnych stron świata.

Wszedł, usiadł na podwyższeniu i czekał. Leżała przed nim sterta poczty, ale świadomie na nią nie patrzył.

Wydarzenia w Bazylikacie od niemal dwóch tygodni dominowały w światowych mediach i nic nie wskazywało na to, by ta burza miała wkrótce minąć. Wprawdzie pojawiało się coraz więcej **krytycznych** ocen - *czy naprawdę musiało zginąć aż tak wielu ludzi* - lecz nic nie mogło poważnie zagrozić statusowi bohaterów, jakimi stali się Moretti i De Luca. Właściwie nikt nie kwestionował tego, co osiągnęli w walce ze światowym handlem narkotykami. Może tylko kilku dziennikarzy śledczych zadawało sobie pytanie, skąd wzięły się te wszystkie informacje i jak właściwie przebiegła sama interwencja. Ismiało wiele niewyjaśnionych spraw, jeśli chodzi tak o planowanie, jaki o samą akcję.

Moretti był profesjonalistą w każdym calu i powoli wczuwał się w rolę szarej eminencji walki z mafią; o żadnych przejęzyczeniach nie mogło być mowy. De Luca w nieco

bardziej oczywisty sposób odpowiadało pławienie się w chwale i Hjelm miał wrażenie, że czasem naprawdę *pragnął* opowiedzieć o tych dynamicznych scenach, których nijak nie dało się wyjaśnić. Ale zawsze udawało mu się w porę ugryźć w język.

I nigdzie, w żadnym miejscu, nie wspomiano o Opcop.

Ich rolą wciąż było działanie w cieniu.

Nierzucanie się w oczy.

Może byli na to dożywotnio skazani.

Zaczęli powoli wchodzić, jedno po drugim. Jak właściwie wyglądali? Angelos Sifakis wydawał się niemal zawiedziony, że nie zjawił się jako pierwszy, ale szybko wziął się w garść. Hjelm przywołał go na podwyższenie i siedzieli tam we dwóch, podpierając ścianę, kiedy weszły Laima Balodis i Miriam Hershey. Nie były jednak same. Zjawił się z nimi Nicholas i wydawał się jeszcze bardziej wyprostowany niż podczas ostatniego spotkania z Hjelmem. Weszli Jutta Beyer i Arto Söderstedt, wyglądali dokładnie tak jak zwykle. Zjawili się Jorge Chavez i Salvatore Esposito i usiedli z tyłu, jako specjalnie zaproszeni krajowi przedstawiciele. Wyglądało na to, że o coś się trochę spierali. Felipe Navarro i Adrian Marinescu stali się zgraną parą i usiedli na samym przedzie. Potem weszli Corine Bouhaddi i Marek Kowalewski. Ten ostatni, jak zwykle po zakończonej sprawie, z opatrunkiem, tym razem na prawym uchu.

Gdy Kowalewski w końcu usiadł, wszyscy z grupy Opcop zaczęli się wiercić i rozglądać. Nie byli w komplecie? Sifakis odwrócił się do Hjelma i coś do niego szepnął. Hjelm kiwnął głową i powiedział:

- Czekamy na jeszcze jedną parę.

W tym momencie do Katedry weszli Lavinia Potorac i Fabio Tebaldi. Poruszali się co prawda trochę niepewnie, ale oboje prezentowali się znacznie lepiej niż wówczas, gdy półtora tygodnia temu spotkał się z nimi Hjelm.

Członkowie grupy Opcop wstali i spontanicznie zaczęli bić brawo, jakby nigdy nie chcieli przestać. Potorac i Tebaldi

wydawali się zakłopotani, co dwa lata temu by im się nigdy nie zdarzyło. Na przykład z żadnym z nich nie przeprowadzono wywiadu w mediach, ich przypadek nie zaliczał się do wielkiej sprawy z Bazylikaty. To również udało się zachować w tajemnicy.

- Rany, ale ładną siedzibę sobie sprawiliście pod naszą nieobecność - powiedział Tebaldi.

Fabio i Favinia usiedli obok siebie. Pozostawało pytanie, czy kiedykolwiek naprawdę uda im się rozstać.

Odezwał się Paul Hjelm:

- Chciałbym zacząć od czegoś, co niektórzy z nas uzgodnili na Cimitero del Verano w Rzymie dwa i pół miesiąca temu. Czy ktoś pamięta, jak dokładnie brzmiały te słowa?

Jucie Beyer udało się nie podnieść ręki. Powiedziała za to głośno i dobitnie:

- „Obiecujemy ci, Donatello, że złapiemy twojego mordercę. I uratujemy Fabia i Favinię. Tylko tyle. To szczerą obietnicą”. I tak zrobiliśmy.

- Dziękuję, Jutto - powiedział szczerze Hjelm - Tak zrobiliśmy, mimo wszystko. I nie będziemy niepotrzebnie przeciągać tego spotkania. Większość rzeczy już się wyjaśniła. Spróbujmy tylko podsumować tę niezwykle skomplikowaną sprawę. I naturalnie musimy zacząć od tego, co media nazwały masakrą w Bazylikacie i w czym nie braliśmy absolutnie żadnego udziału. Nasz wkład został pominięty w oficjalnych dokumentach, nasze własne materiały ze śledztwa zaś jak zwykle zostaną opatrzone najwyższą klauzulą tajności. W górach Bazylikaty zginęło aż trzydzieści dziewięć osób, trzydzieści cztery odniosły rany, wszyscy zostali schwytani. Żaden policjant nie zginął, kilku raniono. Dziewięciu zabitych było Meksykanami, ośmiu Włochami, ośmiu najemnikami różnych narodowości, w tym dwóch zupełnie niemożliwych do zidentyfikowania, a aż dwunastu było „bliźniakami jednej aj owymi”. Jak wiecie, ten ostatni fakt zafascynował prasę do tego stopnia, że Wu Wei zorganizował w Chinach konferencję prasową na temat

nalotu na obiekt, który nazwał „farmą genetyczną”, gdzie znajdowało się ponad dwustu „bliźniaków jednej aj owych” w wieku od dwóch do osiemnastu lat. Dziennikarze jeździli do Chin jak nigdy dotąd. Mnóstwo organizacji humanitarnych podjęło się zadania przywrócenia tych „bliźniaków jednej aj owych” do zwykłego, normalnego życia. A ponieważ Wu Wei wspaniałomyślnie poinformował, iż była to europejska farma, i bez wahania podał nazwiska odpowiedzialnych za to osób, Udo i Mirella Massicotte oraz Colin B. Barnworth raczej nie spędzą starości na Korsyce, bez względu na to, jak szczerze o wszystkim opowiedzieli na przesłuchaniach.

- Czy to *menage a trois*? - spytał Arto Söderstedt.

- Na to wygląda - potwierdził Navarro. - Według Barnwortha Mirella jest nienasycona. Mimo wieku. Wydawał się trochę wyczerpany. A teraz wszyscy troje umrą samotnie w swoich celach. W celibacie.

- Może zajmijmy się tym, co istotne? - odezwał się Sifakis z podwyższenia. - Ci „zupełnie niemożliwi do zidentyfikowania” zabici z Bazylikaty dzięki stosownej pomocy zostali naturalnie zidentyfikowani jako Huntington i płatny morderca Xavier Montoya. Musimy się zadowolić tym, że było mnóstwo DNA. Prasa dogrzebała się do całej afery Camulusa i miejmy nadzieję, że to na jakiś czas wykluczy ich z gry. Ale dalej istnieje fabryka produkująca Avalanche i ta fabryka dalej działa. Przekazano tę sprawę amerykańskim władzom i pozostaje nam się tylko przekonać, co oni z tym zrobią. Jeszcze jakieś refleksje?

Laima Balodis odchrząknęła i powiedziała:

- Fakt, że z dwudziestu „bliźniaków jednej aj owych” zginęło aż dwunastu, może wskazywać, że nie udało się z nich uczynić „doskonałych przywódców”.

- Po pierwsze, mieli dziewiętnaście lat - odparła Corine Bouhaddi - a po drugie, byli dopiero „pierwszym pokoleniem”. Osiągnięcia genetycznej perfekcji można się było spodziewać może dopiero za jakieś dziesięć lat. Do tego czasu musieli być

mięsem armatnim, podporządkowanym autorytetom.

- A może - wtrącił Kowalewski - sugeruje to, że *chcieli* zginąć. Mieli gówniane życie, inaczej nie da się tego określić. Lepsze szanse na prawdziwe życia mają już chyba żołnierze dzieci w Ugandzie. Mam nadzieję, że Udo Massicotte będzie się smażył w piekle. I to szybko. Albo najlepiej już teraz.

- Niestety, nie od razu - odezwał się Arto Söderstedt. - Udo wrócił do więzienia w Mechelen, gdzie aresztowano czterech pracowników i oskarżono o udzielanie mu pomocy. Relaksuje się i czyta sobie klasyków humanizmu. Bardzo się stara wyprzeć to, co zrobił.

- Huntington miał w gotowości dwustu najemników pod Nuevo Laredo w północnym Meksyku

- poinformowała Miriam Hershey. - Zaraz po wysadzeniu w powietrze bossów w Bazylikacie mieli przejść do ataku, blitzataku, i odbić miasto z rąk Los Zetas. To by im dało bezpośredni dostęp do kokainy, głównie z Ameryki Środkowej, i do tras przelotowych do Nowego Jorku.

- A stamtąd mieli wysłać ją dalej - podjęła Balodis. - Tam również Huntington zgromadził całą armię. Co może o tym powiedzieć mój sąsiad?

Nicholas Durand się wzdygnął. Było wyraźnie widać, że poczuł się nieswojo w tej nowej sytuacji.

- Ci, którzy robili nam testy w Nowym Jorku, należeli do miejscowego oddziału - powiedział.

- Jeden z nich zdradził mi, że jest ich wielu. I podkreślił: *naprawdę wielu*. Myślę, że byli gotowi uderzyć na port.

- Dziękuję, Nicholas - odparł Paul Hjelm i już miał kontynuować, ale mu przerwano.

- *Pezzo di merda!* - wybuchnął Fabio Tebaldi. - Nie poznałem cię. Jesteś Nicholas?

- Tak - potwierdził zdezorientowany Nicholas.

Tebaldi wyciągnął się na całą długość, sięgając ławki Nicholasas. Uścisnęli sobie ręce.

- Do diabła, uratowałeś mi życie - rzekł Tebaldi.

- To był instynkt - odparł Nicholas i się odwrócił. - A w ogóle to siedzi tu też dwóch facetów, którzy uratowali *moje* życie.

- I moje - powiedział jeszcze raz Tebaldi. - Jasny gwint, musicie lepiej zadbać o Jorge, bo strasznie szybko się starzeje.

- *Fuck off* - odparł Jorge Chavez i się roześmiał. - I nie zapominaj o Salvatore. Strzelał, że hej!

Salvatore Esposito nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić.

- Nigdy dotąd nikogo nie zabiłem - powiedział. - Ciężka sprawa. Kiepsko sypiam.

- Najstraszniejsze, że to przechodzi - odpowiedział Chavez, kładąc mu rękę na ramieniu. - Że człowiek się przyzwyczaja.

Na chwilę zapadła cisza. Potem odezwał się Paul Hjelm.

- Mamy tu przecież paru prawdziwych bohaterów. Wkład Nicholasa jako infiltratora w ogóle był bardzo imponujący, ale to, co się stało w tym domu w Bazylikacie, kamera, uratowanie Tebaldiego, to było prawdziwe ukoronowanie. Lecz jeden z nas musiał wziąć na siebie ciężkie brzemię zabijania i to nie raz, ale kilka razy. Wtargnięcie do tej chaty we włoskich Alpach, kiedy Jorge z pomocą Angelosa i Salvatore uratowali Lorenza Ragusę... tak, im więcej o tym słyszę, tym bardziej mi się to wydaje heroiczne. Chciałem po prostu to powiedzieć.

- Dzięki - odparł lekko zaskoczony Chavez. - Angelos też bardzo się do tego przyczynił.

- Wiem - potwierdził Hjelm - W ogóle byliście wspaniali, moi przyjaciele, i nikt się nigdy o tym nie dowie.

Przez chwilę milczeli. W końcu odezwał się Fabio Tebaldi:

- Właśnie, Lorenzo... Co się z nim stanie?

- A jak byś chciał? - spytał Hjelm. - I jak ty byś chciała, Lavinia? To on zgotował wam ten cały koszmar, od zameczku aż po szopę. Naprawdę wierzycie w to jego gadanie, że myślał, iż przetrzymają was tam tylko miesiąc, a potem wypuszczą?

- Nie wiem - odparł Tebaldi. - Był przyparty do muru, to była jego jedyna szansa na przeżycie. A potem zabił Bonavitę.

- Nie nienawidzę go - powiedziała Potorac. - Był tylko pionkiem w grze Huntingtona. A Huntingtona też już nie mogę

nienawidzić, bo przecież nie żyje. Jak właściwie zginął? To prawda z tym dronem? To przecież jakieś chore.

- Mamy zeznania kilku ocalałych z budynku - odparł Sifakis, zerkając na Hjelma. - Najwyraźniej Huntington szedł *chwiejnym krokiem* po płaskowyżu. Jeden ze świadków zeznał: „głowa zwisała pod dziwnym kątem, jakby miał złamany kark”. Wtedy nadlatuje dron i posyła mu prosto w plecy pocisk rakietowy. Moje pytanie brzmi: dlaczego Huntington miał złamany kark?

- To tylko jakiś zdezorientowany świadek - powiedział Hjelm. - Dron należał przecież do Xaviera Montoi, najemnika, którego zabiła pierwsza rakietka. Dowiedzieliśmy się, że sterował nim pilot z bazy w Laredo w Teksasie, ale drona ani pilota nie odnaleziono. Dron miał być planem B, na wypadek gdyby nie została zdetonowana bomba w brzuchu Tebaldiego. Miał wtedy zniszczyć budynek.

- Ale nie zrobił tego - zauważył Sifakis. - Za to zaatakował własnego szefa i jego zwierzchnika. Niby dlaczego? I dlaczego zwierzchnik szefa miał złamany kark? I dlaczego pilot pozbył się najpierw własnego szefa?

Marinescu i Navarro wymienili spojrzenia. Kto miał zadać to krytyczne pytanie? Marinescu wziął głęboki oddech i powiedział:

- I kto był ochroniarzem, który towarzyszył naszemu szefowi na spotkaniu z Morettim i De Luçą?

- A poza tym - dodał Navarro - nigdy się nie wyjaśniło, jak udało nam się odnaleźć ten dom w Bazylikacie.

- Nie wiem, o czym mówicie - oświadczył sztywno Hjelm

- Mam nadzieję, że kiedyś zatrudniłeś nas dlatego, że byliśmy dobrymi detektywami - stwierdził Sifakis. - I liczę, że staliśmy się od tego czasu jeszcze lepsi.

Paul Hjelm głośno, ciężko westchnął.

Lavinia Potorac pochyliła się do przodu.

- Wprawdzie długo mnie nie było - powiedziała - ale pamiętam pewną chwilę na początku istnienia Opcop. Powiedziałeś wtedy, szefie, że masz dość polityki. Że o ile ta grupa ma mieć jakąkolwiek przyszłość, to nie może być między nami

żadnych tajemnic. Żadnej podwójnej gry. Czy to wciąż obowiązuje?

Hjelm wybuchnął głośnym śmiechem.

- Tak, to wciąż obowiązuje - potwierdził. - Ale akurat to nigdy nie trafi do żadnych oficjalnych raportów i jeśli komuś o tym powiecie, na pewno trafię do więzienia. Nie wiem tylko, w którym kraju.

- Stany Zjednoczone? - podsunął Söderstedt. - Zniknąłeś na kilka dni i pojechałeś do Stanów Zjednoczonych?

- Do Meksyku - sprostował Hjelm. - Spotkałem się z W w Nuevo Laredo.

- O cholera - mruknął Söderstedt. - Drugie najgorsze miasto na świecie.

- Zadbalem o to, by wszystko pozostało w tajemnicy. W pomógł nam dojść do nazwiska Martę Haugen, dzięki czemu udało się zlikwidować Fabrykę w Gaoyou w Chinach. Namierzył komórkę Xaviera Montoi, co nas doprowadziło we właściwe miejsce w Bazylikacie. Wziąłem go ze sobą na spotkanie z Morettim i De Lucą jako „ochroniarza”, żeby miał pełny wgląd w całą sprawę. Bo wiedziałem, że później będę go potrzebował.

- I wszystko to zrobiłeś bez naszej wiedzy - stwierdził Söderstedt. - A do czego go potrzebowałeś?

- Był bardzo zmotywowany, żeby zlikwidować Xaviera Montoyę - odparł Hjelm. - W rejestrze Fabryki zwanego X.

- Czyli sekcja NATO stworzyła jeszcze jeden zmanipulowany genetycznie egzemplarz próbny? - spytał Söderstedt. - Po W?

- Egzemplarz o imponujących cechach fizycznych - odparł Hjelm - lecz niedorównujący W intelektem. Domyślałem się, jaki będzie wynik. Nie wiedziałem tylko, jak to się dokładnie odbędzie. Zrozumiałem to dopiero wówczas, gdy zobaczyłem, jak prowadzą ciebie, Fabio, w kapturze na głowie. Przekazując cię jako prezent Bonavicie, Huntington mógł zdetonować bombę w strefie, która z konieczności była wolna od broni. Przez cały czas miał w kieszeni detonator, nawet baterie były niewykrywalne dla wykrywacza metalu. Za jednym

zamachem zamierzał pozbyć się bossów 'ndranghety i Meksykanów. Co prawda musiałby przy tym poświęcić sześciu swoich ludzi, w tym również ciebie, Nicholas, ale uważał, że było warto. W sieci dystrybucji narkotyków powstałby na tyle wielki chaos, by Camulus mogła przejąć cały biznes. Nie mogłem dopuścić, żeby zdetonował bombę, i skorzystałem z pomocy W. Odebraliśmy im detonator, ale mieli plan B. Był nim dron, *drapieźnik*, tak zwany MQ- I Predator. Xavier nawiązał kontakt z pilotem w Teksasie, który zobaczył, jak X walczy z W, i wybrał za cel tego ostatniego. W udało się jednak sprawić, by w jego miejscu znalazł się X. Potem najwyraźniej pilot był zmuszony błyskawicznie wybrać między pierwotnym planem, czyli zniszczeniem budynku, a ratowaniem X, swojego szefa. Nie wiedział przecież, że ten już nie żyje, i nie rozpoznał dziwnie zdeformowanego Huntingtona stojącego nad kimś, kogo pilot uznał za Montoyę. Wydawało mu się pewnie, że mu zagrażał. A więc odpalił raketę w dzwonnika z Notre Dame i załatwił Huntingtona. Nas już wtedy tam nie było.

- O do diabła - wyrwało się Söderstedtowi. - A dlaczego Huntington wyglądał jak dzwonnik z Notre Dame?

- Bo W kopniakiem złamał mu kark, kiedy prawie udało mu się mnie udusić - odparł Paul Hjelm.

- Przykro mi, że to wszystko zachowałem przed wami w tajemnicy. Ale wiedziałem, jak bardzo łamię prawo, zwracając się o pomoc do seryjnego mordercy W. Chciałem, żebyście wszyscy mieli *total deniability*.

W Katedrze zapadła całkowita cisza. Katedralna cisza. Taka, która aż dzwoniła w uszach. Wibrowała od myśli. W końcu odezwała się Bouhaddi.

- A tak w ogóle, Martę Haugen została w Chinach oskarżona między innymi o zamordowanie dziecka. Zaangażował się w to norweski rząd, ale istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że zostanie skazana na śmierć.

- A tymczasem Udo siedzi sobie wygodnie w Mechelen - stwierdził Söderstedt.

- Pewnie skończy się tak, że Lorenzo Ragusa zostanie objęty programem ochrony świadków - powiedział Sifakis, spoglądając na Tebaldiego. - Mimo wszystko bardzo nam pomógł. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby *nie załatwił* Bonavity, lecz w świetle jego pisemnych wypowiedzi można przynajmniej zrozumieć, dlaczego to zrobił. I w ogóle dostarczył nam mnóstwo ważnych informacji. A teraz, gdy wkrótce będzie normalnie mówił, Moretti będzie mógł z niego wyciągnąć wszystko.

- A W? - spytał Söderstedt. - Co się z nim stało?

- Nie mam pojęcia - odparł Hjelm. - Naprawdę nie mam pojęcia.

- A zamordowanie Donatelli Bruno? - spytała Bouhaddi.

- Tu możemy tylko spekulować - odparł Hjelm - Ale najprawdopodobniej było tak: przed zamachem na komisarz Unii Europejskiej Marianne Barriere w Brukseli mężczyzna, którego nazwaliśmy Antonio Rossim, wrócił do Włoch. Tyle że Rossi nie miał nic wspólnego z 'ndranghetą, jak nam się wydawało, tylko był człowiekiem Huntingtona w Kalabrii. Oznacza to również, że to Huntington stał za żebracką szajką. Przypuszczamy, że kilka dni po powrocie Rossi spotkał się z Huntingtonem w mieście o nazwie Pizzo. Ludzie Huntingtona dokładniej niż dotąd sprawdzili go wykrywaczami i znaleźli w jego ciele nadajnik, nasz mikrochip. Wywieziono go na wieś, do stodoły, gdzie go torturowano i odcięto mu głowę; w stodole zabezpieczono jego DNA. Potem na autostradzie zdali sobie sprawę, że trzeba jeszcze wydobyć chip z jego żołądka. I tak zrobili, ale zachowali głowę i chip. Wtedy wiedzieli już, że Donatella Bruno dowiedziała się od Lorenza Ragusy, że Labio i Lavinia żyją i że to nie 'ndrangheta za tym stoi. Wysłali Bruno głowę i chip, wraz z bombą zegarową, która uruchomiła się w chwili otwarcia paczki. Donatella zakładała, że paczkę przysłał jej dawny kochanek. Zapewne liczone na to, że materiały z jej nieoficjalnego śledztwa również zostaną zniszczone wskutek eksplozji.

- Czyli mimo wszystko mniej więcej tak, jak przypuszczaliśmy - stwierdził Söderstedt. - Ale równocześnie Huntington wysłał też film, na którym Fabio próbuje naprowadzić nas na właściwy trop, wskazując na artykuł w gazecie. Nie rozumiem, dlaczego wysłano ten film

- Ja też nie mogę tego do końca zrozumieć - odparł Hjelm. - Ale sądzę, że chodziło nie tyle o to, by nas zastraszyć, lecz raczej żebyście *pochwalić*. Mniej więcej tak jak wtedy, kiedy Lavinia przekazała mi osobistą wiadomość z kłamstwem: „Do zobaczenia w Kalabrii”. Chciał pokazać, że przez cały czas jest o krok przed nami.

- I dostał prztyczka w nos - stwierdził Söderstedt.

- O ile pocisk raketowy AGM- I14 Hellfire można nazwać prztyczkiem - powiedział Hjelm

W Katedrze znów zapadła cisza, tym razem trochę bardziej absolutna. Po prostu nie zostało już zbyt wiele do dodania. Hjelm oświadczył:

- Kontynuujemy działalność tak jak zwykle. Wciąż trzeba powiązać luźne tropy, napisać raporty, z powrotem ożywić kontakty towarzyskie. A teraz idźcie żyć, ludzie. Cieszcie się pięknem północnoeuropejskiej jesieni. I dziękuję wam za świetną robotę. Po raz kolejny.

Trochę niechętnie zaczęli się rozchodzić. Szmer głosów się nasilał, w miarę jak zbliżali się do wrót Katedry, i w końcu pozostało po nich tylko echo.

Angelos Sifakis wciąż siedział obok Paula Hjelma. Spojrzał na niego i spytał:

- Co powiedziała dyrekcja Europolu?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, ile z tego wszystkiego zrozumieli.

- Nic o... no wiesz... naszym przyszłym statusie?

- Nie - odparł Hjelm. - Wygląda na to, że na dobre utknęliśmy w cieniu. Na tę chwilę to nam musi wystarczyć.

Sifakis kiwnął głową i podał mu rękę. Hjelm, lekko zdziwiony, uściśnął ją.

- Jesteś dobrym szefem - stwierdził Sifakis i sobie poszedł.

Hjelm siedział tak jeszcze przez jakiś czas. Potem się zaśmiał i wziął się do przeglądania sterty poczty, nieomylny znak, że nieubłagane powracała codzienność. Zatrzymał się na bąbelkowej kopercie z niewyraźnym stemplem pocztowym. Poczł się trochę nieswojo. Ale ponieważ cała poczta przeszła przez skanery Europolu, wszystko na pewno było w porządku. Otworzył ją.

Ku jego ogromnemu zdumieniu zawierała książkę dla dzieci.

Przyjrzał się oryginalnym ilustracjom i przewertował kilka stron. To było bardzo zagadkowe.

Książkę napisano po hiszpańsku, nosiła tytuł *Chłopiec i dziewczynka, którzy nigdzie nie pasowali* i wyglądało na to, że opowiadała po prostu o chłopcu i dziewczynce, którzy różnili się od reszty. Autorzy nazywali się Alejandro i Rafaella Hernandez.

Kolacja dla par

Haga, 14 października

CIEMNE OCZY. A w nich spokój. Uśmiech.

- Czujesz się lepiej? - spytała Ruth.
 - Nie bardzo - odparł Paul.
 - Nie wierzę ci. Czujesz się o wiele lepiej.
 - Może trochę - przyznał Paul.
 - Kontrola - powiedziała Ruth. - Jak tam z kontrolą?
 - Teraz ja nie wiem, o czym mówisz,
 - O uczuciu, że kula ziemiska jest granatem, który w każdej chwili może zostać wypuszczony z ręki.
 - Wypuściłem go. Nie wybuchł.
 - No to może jednak nie zależą od ciebie losy świata?
 - Trudno mi to ocenić - odparł Paul, bardzo lekko uśmiechając się pod nosem. - A ty jak sądzisz?
 - Gdyby się temu dokładnie przyjrzeć, to chyba wynik masakry w Bazylikacie byłby mniej więcej taki sam bez tego, co zrobiliście z W?
 - A jednak nie. Zginąłby Tebaldi i Nicholas. Huntington i X by przeżyli.
 - Czyli jednak możemy powiedzieć, że wniosłeś coś pozytywnego?
 - Kiedy to puściłem, tak.
 - To twoja interpretacja - odparła Ruth. - Tak czy inaczej, to była piekielnie ciężka historia. Będę musiała wystawić Europolowi czterokrotnie wyższą fakturę.
 - Uplynęły dopiero cztery godziny - powiedział Paul, - Mówiłaś, że masz cały dzień.
 - Bo mam. Ale nie pracuję za darmo.
- Pośmiali się trochę. Potem Ruth powiedziała:

- Zamierzam cię teraz uznać za zdrowego, Paul. Koniec z darmowymi sesjami.

- Powiniennem udawać bardziej chorego?

- Myślisz, że dałabym się na to nabrać?

- Jeśli masz dla mnie czas, chętnie bym kontynuował. W przyszłości.

- Dla ciebie zawsze mam czas. Ale jestem droga jak diabli.

- A ja jestem dobrze zarabiającym unijnym urzędnikiem. Mam do ciebie jedno pytanie, Ruth.

- Tak?

- Jak to możliwe, że narkotyki stanowią tak wielką część naszego życia? Dlaczego żyjemy w świecie, w którym potrzeba, by przed nim uciec, jest tak wielka?

- Nie uważasz, że twoja historia odpowiada na to pytanie?

- Może i tak. Ale co jest jajkiem, a co kurą?

- Niestety, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. A ja też mogę ci jedno zadać?

- Tak.

- Czy wciąż jesteś samotny, Paulu Hjelm?

- Chyba tylko w tym sensie, w jakim wszyscy jesteśmy samotni. Ostatecznie i w obliczu śmierci.

- Jak to miło, że się dzielimy najbardziej krzepiącymi myślami. Pytanie uzupełniające: zamierzałeś zachować dla siebie obecność W i V? Tylko dla siebie?

- Bardzo chciałbym wierzyć, że powody były racjonalne. Że chciałem chronić Opcop przed moimi ekscesami. Gdyby wszyscy o tym wiedzieli, grupa zostałaby rozwiązana. Gdybym wiedział tylko ja, wyleciałbym z roboty i poszedłbym siedzieć, ale grupa by przetrwała. Z drugiej strony to nie wiem. Może w równym stopniu chodziło o to, że nie chciałem już być hubem. Chciałem coś zrobić, brać w tym udział. I znalazłem sposób.

- Więc odpowiedź brzmi, że *nie zamierzałeś* im o tym powiedzieć?

- Tak mi się wydaje.

- W takim razie, mimo wszystko, wciąż jesteś dość samotny.

- To ma być taka podnosząca na duchu puenta na zakończenie?

- Na zakończenie? Jeszcze nie skończyłam Opowiedziałeś o wszystkim Kerstin?

- Tak - odparł Paul Hjelm.

- Osobiście czy w półoficjalnym mailu?

Hjelm się zaśmiał. Był to trochę wymuszony śmiech.

- *Opowiem jej.*

- Zrób to. Jeszcze dziś.

- Tak. Ona jest tu, w Hadze.

- Ach tak?

- W każdym razie wkrótce tu będzie. Mamy się spotkać w kilka osób. Możesz to nazwać kolacją dla par.

- Doskonale - powiedziała Ruth. - Może jednak jest dla ciebie jakaś nadzieja.

Siedzieli w Cafe Restaurant Rootz na skrzyżowaniu Raamstraat i Grotę Marktstraat i było ich sześcioro: Paul Hjelm i Kerstin Holm, Jorge Chavez i Sara Svenhagen oraz Arto i Anja Söderstedtowie. Godzina była późna, jedzenie się skończyło, ale wino jeszcze nie.

- Minimum Maundera - oświadczył Arto.

- Sam nie potrafiłbym lepiej tego wyrazić - odparł Jorge. - Cholera, jaka boska kolacja. Jak miło było znów was wszystkich zobaczyć.

- I wzajemnie - powiedziała Anja. - Wy pracujecie przecież razem, więc od czasu do czasu się widujecie, ale dla mnie to była pierwsza okazja od lat. Cudownie znów się spotkać z normalnymi ludźmi.

- Halo! - zaprotestował Arto, dolewając sobie wina. - Ja chyba też jestem normalnym człowiekiem!

- Nie - odpowiedział mu chór pięciu głosów.

- No dobra - stwierdził Arto, jednym haustem wypijając wino. - Minimum Maundera to okres, w który teraz wkraczamy.

Przeżyliśmy podobny w siedemnastym wieku. Słońce zapada w sen, robi się coraz zimniej. Na jego powierzchni nie ma żadnej aktywności, żadnych plam słonecznych. Ani jednej plamki na słońcu.

- Jako numer na imprezę to jest naprawdę kiepskie, Arto - powiedziała Kerstin.

- Czasem dobrze jest spojrzeć na nasze trudy i znoje z trochę szerszej perspektywy - odparł Arto. - Przypatrzeć się temu z zewnątrz.

- Z gasnącego słońca? - spytał Paul.

- Zgasnąć to ono nie zgaśnie - stwierdził Arto. - Ale mimo wszystkich naszych wysiłków, żeby ratować środowisko i uniknąć globalnego ocieplenia, wygląda na to, że czeka nas raczej stu pięćdziesięcioletnia mała epoka lodowcowa. W tej chwili słońce powinno tętnić aktywnością, podlega przecież jedenastoletnim cyklom. Jego aktywność powinna teraz osiągnąć szczytowy poziom. No i naukowcy są skonsternowani, bo prócz paru słonecznych burz tam na górze bardzo niewiele się dzieje. Dziwne, ale na słońcu jakoś nie ma żadnych plam

- Naprawdę jesteś w szczytowej formie, Arto - powiedziała Sara, obejmując męża.

Jorge mocno przytulił ją do siebie i powiedział:

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby przyjrzeć nam się z zewnątrz. Dzięki temu mógłbym spojrzeć z odpowiedniej perspektywy na dręczące mnie pytanie.

- Wiem, jakie to pytanie - powiedział Paul - i to chyba nie czas ani miejsce, żeby to drażyć.

- W przeciwieństwie do minimum Maundera - wtrąciła Anja - bo to przecież taki wspaniały temat do rozmowy.

- Naprawdę wiesz? - zdziwił się Jorge.

- Zmieńmy może temat - oświadczyła Kerstin. - Wiecie, co słyhać w Bionovii AB w klastrze biotechnologicznym na Hornsbergu?

- Dobra, zmieńmy temat - powiedział Paul. - Nie, nie mam pojęcia. Padli ofiarą poważnego szpiegostwa przemysłowego i

wykradzono im najtajniejszą formułę, ale ze złodziejami się przecież rozprawiono. Używali preparatu, by stworzyć dzieci z nieproporcjonalnie wielką masą mięśniową. Te dzieci będą przez całe życie walczyć, żeby stać się kimś w miarę normalnym.

- No nie, ale wy wszyscy potraficie poprawić humor - skwitowała Anja. - Pogadajmy lepiej

O waszych zwyczajnych biologicznych dzieciach. Bo nasze czują się dobrze, dzięki, że pytacie. Cała piątka, a teraz mamy jeszcze dwoje wnucząt.

- Wnucząt? - spytał Paul. - O tym jeszcze nie słyszałem.

- Mój mąż woli rozmowy o nadciągających epokach lodowcowych.

- Gratulacje, Anja - powiedziała Kerstin i ją uściśniła.

- A ja? - upomniał się Arto.

Kerstin spojrzała na niego i powiedziała:

- Sorbona właśnie przyznała tytuł doktora honoris causa dyrektorowi naczelnemu Bionovii, Hannesowi Grönlundowi.

- A preparat ponoć wkrótce zostanie wypuszczony na europejski rynek - dodała Sara. - Przedsprzedaż bije wszelkie możliwe rekordy. I chyba *nie tylko* wśród ludzi z zanikiem mięśni. Ponoć dużymi klientami są również siłownie.

- Mówimy tu o leku opierającym się na manipulacji genetycznej - zauważyła Kerstin.

- Ratuje przecież ludzi, którzy bardzo cierpią - powiedziała Anja.

- Każdy kij ma dwa końce - stwierdził Jorge. - Ten lek ratuje ludzi, którym jest ciężko, lecz co się stanie, kiedy kulturysta biorący ten preparat będzie miał własne dzieci?

- Wnuki, Arto - powiedziała Sara, ściskając dłoń Söderstedta.

Arto się uśmiechnął.

- Życie dalej się toczy - odparł. - Wszystko przetrwa, wszystko przezwycięży. Tylko nikt nie wie, czym ono właściwie jest.

- W każdym razie czymś innym niż mała epoka lodowcowa - stwierdziła Sara. - No proszę, a my się tutaj martwiliśmy globalnym ociepleniem. A teraz się okazuje, że Chińczycy,

Rosjanie i Amerykanie znów mogą sobie poszaleć z tymi swoimi czterolitrowymi silnikami. No i nie trzeba się będzie babrać z sortowaniem śmieci.

- Coś mi się wydaje, że mogłem zostać źle zrozumiany... - zauważył Arto.

- Nam wszystkim ciągle się to przytrafia - pocieszył go Jorge.

- Może nawet tobie, Arto - dodał Paul - chociaż w innym sensie. Naprawdę sądziłeś, że to my jesteśmy celem Asteriona? Że porwali Tebaldiego i Potorac, żeby dobrać się do grupy Opcop?

- Tak - przyznał Arto. - Może trochę przeceniłem nasze znaczenie. Choć w przyszłości może się okazać, że mam rację.

- No dobra - odezwał się Jorge. - Dłużej nie wytrzymani Jakie to pytanie według ciebie mnie dręczy, Paul?

- Naprawdę chcesz *tutaj* o tym rozmawiać? - spytał Hjelm.

- A kogoś by to zdenerwowało? - chciał wiedzieć Jorge.

- Ja się bardzo chętnie dowiem - oświadczyła z uśmiechem jego żona.

- A Anja? - spytała Kerstin.

- Zapodawaj - zachęciła Anja. - Co może być gorszego niż mała epoka lodowcowa?

- Myślę, Jorge - powiedział dobitnie Paul - że zastanawiasz się, czy w trakcie tej sprawy zabiłeś cztery osoby, czy pięć.

Przy stole zapadła cisza. Jorge zamknął oczy. W końcu odparł.

- Błąd.

- Błąd?

- Tak. Było ich pięć. Pytanie, które mnie dręczy, to czy powinienem o tym powiedzieć Salvatore. Kiepsko sypia, choć odstrzelił co najwyżej jakąś kukułkę na czubku drzewa.

- To ma swoją cenę - oświadczył Arto.

- Co? - spytała Anja.

- Nasza praca - wyjaśnił Arto. - Czuwanie nad kruchymi i nieuchwytnymi granicami demokracji. To ma swoją cenę.

- Co teraz z nami będzie? - spytała Sara. - Opcop będzie dalej działał tak jak dotąd?

- Pewnie tak - odparł Paul. - Ale teraz zrobimy sobie przerwę.
- Przerwę? - spytał Jorge.
- Mamy zaległy miesiąc miodowy - oświadczył Paul, patrząc na Kerstin. - I tym razem, do diabła, to będzie naprawdę długi miesiąc.
- Bardzo, bardzo długi - powiedziała Kerstin.
- W oczekiwaniu na epokę lodowcową - dodał Jorge.
- Dajmy już z tym spokój - zaproponował Paul.
- Cieszę się, że Lavinia Potorac żyje - oświadczył Arto. - Ale nie jestem pewien, czy się z nią zgadzam.
- Nie wypileś przypadkiem za dużo, Arto? - spytała Anja.
- O tak - przytaknął. - I choć raz, dla odmiany, jestem z tego dumny.
- O czym ty mówisz, Arto? - spytał Paul.
- Potorac powiedziała, że za dziesięć lat światem będzie rządzić mafia. Zgadzam się z tym Choć wydaje mi się, że nie chodzi nam o to samo.
- To w czymś takim może nie chodzić o to samo? - spytała Kerstin.
- Jak najbardziej - potwierdził Arto. - Dla uproszczenia podzielmy światy, w których żyjemy, na dwie kategorie. Żyjemy w zewnętrznym świecie i w wewnętrznym. W obiektywnym i w subiektywnym. Wszyscy nadążają?
- Odpowiedziało mu w najlepszym razie ciche mamrotanie.
- Jestem optymistą - oświadczył Arto. - Naprawdę wierzę, że demokracja siedzi w nas głęboko, głębiej, niż sami sądzimy. Myślę, że zauważymy, jeśli mafia naprawdę przejmie kontrolę nad światem. W najgorszym wypadku zjawia się w formie faszyzmu i sądzę, że mimo wszystko będziemy na to gotowi. A więc Potorac się myli. Na tej płaszczyźnie.
- Ale nie na wszystkich płaszczyznach? - spytał Paul.
- Nie - odparł Arto. - Tym, czego powinniśmy się bać, jest *mafia w nas samych*.
- Amen - powiedział Jorge.
- Chyba pora powoli zbierać się do wyjazdu - oświadczyła

Kerstin.

- Bo we wszystkim zawsze chodzi o coś innego - powiedział Paul Hjelm.

OSTATNIA PARA UCIEKA TO CZWARTA I ZARAZEM OSTATNIA CZĘŚĆ
CYKLU O GRUPIE OPCOP.


Grupa Opcop zdążyła już stracić kilku członków, bliźni innych nigdy się nie zagoją. Mafia jest silniejsza niż kiedykolwiek, handel narkotykami bardziej zaawansowany, a metody brutalniejsze, czego Paul Hjelm i jego koledzy doświadczyli na własnej skórze. Z nieoczekiwanej strony nadchodzi jednak nowe wyzwanie. W świecie, w którym z dnia na dzień zmieniają się reguły gry, pozostała już tylko jedna rzecz, którą można manipulować: ludzkie DNA. Osłabioną jednostkę czeka ostateczna rozgrywka, a walka z przestępczością nabiera osobistego wymiaru – zwłaszcza dla Paula Hjelma.



ARNE DAHL pisarz, krytyk i redaktor, jeden z najwybitniejszych autorów kryminałów w Szwecji. Pracuje dla Akademii Szwedzkiej, przyznającej corocznie literacką Nagrodę Nobla. Jego książki zostały przetłumaczone dotąd na ponad 20 języków. Dahl otrzymał liczne prestiżowe nagrody literackie.

Dahl gra z nami w szachy i wciąga nas w rozgrywkę, w której od początku zna swój zwycięski ruch. Nie wiemy tego aż do chwili, gdy utkniemy z naszym królem zagonionym do narożnika.

„NORRKÖPINGS TIDNINGAR”, SZWECJA

Dostępna także jako 

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Patronat medialny:



Cena: 39,99 zł

ISBN 978-83-8015-001-0



9 788380 150010 >